PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK PIĘTNASTY. — TOM LVIII.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1898.

KRAKÓW.
Druk W. L. Anczyca i Spółki.
1898.

WALKA NARODOWOŚCIOWA NA KRESACH ZACHODNICH.

Kiedy na kongresie wiedeńskim r. 1815 mocarstwa europejskie zadecydowały nowy podział dawnych ziem polskich, uznały za potrzebne byt narodowy Polaków uszanować. Otwarcie, zgodnie i wyraźnie to wypowiedzieli i jako zasadę dla następnych rządów przyjęli. W Wiedniu też datowana jest odezwa królewska Fryderyka Wilhelma III. z dnia 15 maja 1815 r. do nowo zagarniętych poddanych, która się stała zasadniczem prawem krajowem W. Ks. Poznańskiego [1]. W niej odzywa się król pruski do nich w sposób następujący: „I wy macie ojczyznę, a z nią odebraliście dowód szacunku mego za przywiązanie do niej. Będziecie wcieleni do mojej monarchii, narodowości jednak waszej zapierać się nie potrzebujecie. Język wasz ma być obok niemieckiego we wszystkich czynnościach urzędowych używany. Każdemu z was będzie przystęp otwarty do wszystkich urzędów, honorów, godności w mojem królestwie. Mój namiestnik, z pomiędzy waszych współobywateli wybrany, będzie pomiędzy wami przemieszkiwał". Że zasady, w powyższej odezwie zawarte, są oparte na prawie międzynarodowem, potwierdza to najwyraźniej Fryderyk Wilhelm IV., dając 1 sierpnia r. 1841, następującą odprawę sejmową dla W. Ks. Poznańskiego: „Narodowości polskiej przyobiecane zostały, mocą traktatu wie-

[1] Zbiór praw pruskich z roku 1815, str. 47. — Język polski w W. Ks. Poznańskiem wobec prawa pruskiego. Grodzisk 1861.

deńskiego i odezwy z d. 15 maja 1815 r., uwzględnienie i opieka. Wykonawcy traktatu wiedeńskiego postanowili chwalebną miłość każdego szlachetnego ludu dla swego języka, swych obyczajów i historycznych wspomnień także i w Polakach szanować i cenić, a pod naszem panowaniem doznawać one będą poważania i opieki". Dziś po latach 82 słowa powyższe pruskich monarchów, brzmią jakby gorzka ironia wobec zamachów rządu pruskiego i części społeczeństwa niemieckiego na polską narodowość. Zdaje się, jakoby prawa międzynarodowe i uroczyste obietnice królewskie miały znaczenie tylko dla słabych i uciśnionych, mocni zaś mogą sobie z nich drwić i jak żelazny kanclerz ongi cynicznie urągać, że one „dla niego ani za szelążek nie mają znaczenia" [1]. Tem się tłumaczy, że prawa te przez niemieckich urzędników w Poznańskiem, że wspomnimy tylko jenerała Grolmanna i prezesa naczelnego Flottwella, od początku lekceważone, faktycznie dopiero za księcia Bismarcka, po zwycięstwie nad Francyą, za nieważne uznano. Była w żelaznym kanclerzu jakaś demoniczna chętka dławienia wszystkiego, co uważał za słabe. Tem się tłumaczy także i walka kulturna przeciw katolicyzmowi w Prusiech, który zagrożony secesyą starokatolików w r. 1870, zdawał się być łatwym łupem dla zachłannej i niwelującej wszystko prusko-protestanckiej polityki kanclerza. Polakom ta walka podwójnie dawała się we znaki, gdyż obok antagonizmu religijnego, występuje wobec nich także i antagonizm narodowy. Wszak kwestya języka niemieckiego, jako wykładowego przy nauce religii w szkołach średnich, zaostrzyła znacznie antagonizm rządu do duchowieństwa polskiego, doprowadziła do ciekawego w swym rodzaju zakazu pobierania nauki religii nawet prywatnie, pod grozą wykluczenia z gimnazyum. Walce kulturnej zawdzięczamy także osławione ustawodawstwo Falka, z r. 1873, wprowadzające do szkół ludowych system bezwzględnej germanizacyi, usuwające zupełnie język polski i wpływ duchowieństwa na wychowanie młodzieży.

[1] *Sind mir keinen Pfifferling wert!* — oświadczył publicznie ks. Bismarck. Cfr. Mowa ks. Bismarcka z dnia 28 stycznia 1886. — Fink, *Kampf u. die Ostmark,* 311, 303 i 305.

Nigdzie też nie prowadziła się walka ta z taką zaciekłością, jak w Poznańskiem, nigdzie tak nie ścigano duchownych, jak tutaj, żadnego z biskupów nie prześladowano tak, jak Ledóchowskiego; tutaj trwało zastosowanie najnowszych ustaw antykościelnych najdłużej, najdłużej się też ociągano obsadzić stolicę arcybiskupią, gdyż, jak ks. Bismarck oświadczył, „nie możemy ani chcemy w Poznaniu dopuścić arcybiskupa, przychylnem okiem patrzącego na to, co my nazywamy rewolucyą, a co Polacy odbudowaniem Rzeczypospolitej polskiej zowią". Z tem wszystkiem żelazny kanclerz, choć tak sierdziście w 1872 r. zapowiadał, że do Kanossy nie pójdzie „ani cieleśnie ani duchowo", musiał kapitulować przed niespożytą siłą katolicyzmu, musiał się częściowo wyrzec praw majowych i zrobić pokój kościelny. Z tem większą za to zaciętością rzucił się teraz z przegranej walki religijnej do walki narodowościowej przeciw Polakom. Fanatyzm bezwyznaniowo-protestancki był mniej odpowiedniem hasłem dla społeczeństwa XIX. wieku, lepszym kitem dla utrzymania chwiejącej się większości w parlamencie był szowinizm narodowy, było hasło nienawiści rasowej. To hasło też miało odwrócić uwagę opinii publicznej od niepowodzeń księcia na polu polityki wewnętrznej, zwłaszcza na polu socyalnem, ono też i dziś jest głównym atutem i parawanikiem słabości politycznej, stojących dziś na czele rządu epigonów „silnego" kanclerza. Daremnie przestrzega Windhorst, aby przez usunięcie języka polskiego ze szkoły i inne ustawy antypolskie nie obrażano dotkliwie uczuć polskiej ludności, albowiem w razie wojny będzie wielką kwestyą, z jakim patryotyzmem piąty korpus, złożony przeważnie z Polaków, do boju wystąpi. „W wielkiej walce Romanów i Słowian przeciw Germanom — oświadczył przywódca katolików niemieckich — będziecie może żałowali tych kroków, żałowali, że się Polskę rozebrało" [1]. Na mocy nieudowodnionego i nieprawdziwego oskarżenia, że Polacy są wrogami Rzeszy niemieckiej i państwa pruskiego, posypały się jak z rogu Pandory ustawy antypolskie i środki wyjątkowe przeciw

[1] Flathe, *Gesch. der neuesten Zeit*, t. III, str. 559—562.

nam, przeprowadzane z całą surowością. Ustawodawstwo antypolskie rozpoczęto z pośpiechem i uchwalano z pośpiechem w r. 1886. „Nagle wyłoniła się myśl — pisze *Vossische Zeitung* — myśl, którą nikt dotąd nie zajmował się na seryo, może jako rezultat jednej bezsennej nocy. I raz po razie następowało po sobie najprzód owo straszliwe, bezwzględne, tłumne wydalanie Polaków, nieposiadających obywatelstwa pruskiego, przez co pozbawiono około 40.000 ludzi spokojnych środków utrzymania, uchwalenie stomilionowego funduszu na wykupywanie ziemi polskiej, przesiedlanie urzędników Polaków do wyłącznie niemieckich krajów, ustawa językowa, wykluczająca użycie języka polskiego ze wszystkich urzędów i wogóle przedłożenie nie mniej jak sześciu ustaw przeciw Polakom, które następnie sejm przyjął z tym samym pośpiechem. Pomimo to tej polityki gwałtów i bezwzględności nie mogło *à la longue* znieść nawet państwo pruskie. Zbytnio naciągniona struna pęknąć musiała; wszechpotężny *maiordomus* państwa niemieckiego otrzymał od nowego cesarza dymisyę, a wtedy nastąpiło ze strony nowego rządu łagodniejsze i życzliwsze traktowanie Polaków. Pomimo że ulgi między 1891 r., tj. toruńską mową dzisiejszego ks. arcybiskupa Stablewskiego a toruńską przemową cesarza 1894 r., „były nadzwyczaj zewnętrzne, słabe i nieśmiałe, mimo to Polacy powitali je z wdzięcznością. Chcąc zaś okazać posłowie polscy, że Polacy nie są wrogami państwa, ani Rzeszy, jak im to zarzucano, głosowali za przedłożeniami rządowemi i swoimi głosami przechylili w chwilach krytycznych szalę na stronę rządu, jak przy projekcie wojskowym i traktatach handlowych, nawet z narażeniem osobistem swoim wyborcom. Podzięką za to pokojowe i poświęcające się zachowanie Koła Polskiego jest nieuzasadniony i nagły zwrot antypolski najnowszego kursu“. Epigonowie ks. Bismarcka i jego wielbiciele, zręcznie wyzyskawszy frazeologię przemówień festynowych na wystawie lwowskiej, nie bez przyczynienia się pustelnika z Friedrichsruhe, wywołali nietylko u rządu ten „złowrogi dla nas kierunek“, „to deptanie niejako nogami bez żadnego względu wszelkich zagwaran-

towanych i przyrodzonych praw narodowych ludności polskiej“ [1] lecz postarali się o zorganizowanie szowinizmem narodowym zarażonych warstw społeczeństwa niemieckiego do walki z polskością.

Zestawiając mowy cesarza Wilhelma II. z 8 i 22 września r. 1894 w Malborgu i Toruniu, z mowami ekskanclerza z 16 i 22 września w Warcinie do deputacyi Niemców poznańskich i zachodnio-pruskich, nie możemy przypuścić, aby antypolski ton tych przemówień był dziełem przypadku, był skutkiem narodowych przemówień we Lwowie z d. 16 września [2]; widocznie mamy tu do czynienia ze zręcznie ukartowanym spiskiem kamaryli bismarkowskiej przeciw Capriviemu i jego polityce polskiej, przeciw której cesarza za pomocą takich kreatur, jak komisarza policyjnego, Tauscha, uprzedzono. Najnowszy kurs i hakatyzm, to dzieci duchowe ekskanclerza, nie dziw, że zwyczajem epigonów właśnie tylko najsłabsze strony mistrza starają się naśladować, prześcigując go w znęcaniu się nad słabymi, nad biedną polskością, z której robią straszaka na uciśnioną rzekomo niemczyznę i uciśniony *risum teneate* protestantyzm. Działalność antypolska tych bliźniaków ma być przedmiotem niniejszej pracy, jakoteż samoobrona społeczeństwa polskiego przeciw zamachom na jego byt narodowy.

Obecny kurs rządowy występuje nietylko we wszystkich dziedzinach administracyi politycznej czy lokalnej wrogo przeciw polskości, lecz nawet w sądownictwie, w szkolnictwie, stara się za pomocą służby wojennej, kolonizacyi i protestantyzmu, przez tępienie wszelkich śladów i objawów polskości w życiu publicznem zrealizować program byłego prezydenta Flottwella, program dążący do systematycznej germanizacyi polskich prowincyj [3]. Oświadczył to bez ogródek „fanatycznie po niemiecku

---

[1] Przemówienie posła ks. d-ra Jażdżewskiego w parlamencie dnia 6 grudnia 1897 r.

[2] Fink, *Kampf u. die Ostmark*, str. 319—321. — *Die deutsche Ostmark. Actenstücke u. Beiträge zur Polenfrage*, 51—74.

[3] Ze względu, iż na program Flottwellowski bardzo często i reprezentanci rządu i wroga nam część społeczeństwa niemieckiego się powo-

usposobiony“ minister oświecenia Bosse, w sejmie pruskim w dniu 10 stycznia 1897 r. [1].

Niemcy szczycą się często, że są „Rechtsstaatem“, tymczasem tak się u nich pomięszały pojęcia prawne, zwłaszcza na punkcie narodowościowym, że państwo prawa zamienia się powoli na państwo bezprawia i gwałtu. To zaś nie ulega wątpliwości żadnej, przyznaje to nawet wielu Niemców, iż „w państwie pruskiem germanizacya idzie przed prawem, przed kulturą i przed dobrobytem ludności polskiej“ [2]. Coraz częściej rozbrzmiewa hasło, iż prawo jest prawem tylko dla Niemców i to lojalnych; Polaków, katolików i Niemców wolnomyślnych obowiązywać winna zasada: *Steuer zahlen und Maul halten.* Na każdym kroku doświadczają Polacy, iż są poddanymi drugiego rzędu, których inaczej przedstawiciele władzy traktują, niż uprzywilejowanych obywateli niemieckich. „Polityka wewnętrzna takich ministrów, jak Köllera czy v. der Recke, zużywa wszelkie środki przymusowe, na jakie się zdobyć umie władza karna i policyjna, przeciw niepożądanym objawom“. „Przy pomocy najsubtelniejszego wytężenia przepisów, ograniczających swobodę zbierania się i stowarzyszania, przy pomocy przekraczającego wszelką miarę zastosowania i wyzyskania norm prawnych przeciw obrażaniu wszelkiemu, nieporządkom i gwałtom publicznym [3] chcą stłumić te niepożądane objawy. Czasami wydać się może, że istnieją pomiędzy nami ludzie, żyjący i działający

---

łuje, podajemy go w dosłownem brzmieniu: „Die Aufgabe der Regierung ist, die innige Verbindung der Provinz mit dem preuss. Staat dadurch zu fördern, dass die ihr eigenthümlichen Regungen, Gewohnheiten u. Neigungen, die einer solchen Verbindung widerstreben, allmählich beseitigt und dass dagegen die Elemente des deutschen Lebens in seinen materiellen und geistigen Beziehungen immer mehr in ihr verbreitet werden... Die gänzliche Vereinigung der beiden Nationalitäten als der Schluss dieser Aufgabe kann aber nur durch das entschiedene Hervortreten deutscher Kultur erlangt werden“. To znaczy krótko a zwięzłowato: przez germanizacyę w Poznańskiem osiągnie rząd tamże swój cel.

[1] Fink l. c. str. 322—323.

[2] Mowa posła d-ra Zyg. Dziembowskiego w parlamencie niemieckim z 13 grudnia 1897 r.

[3] Cf. *Opalenica, Świecie.*

w wyobrażeniach Metternichowskich i uchwał karlsbadzkich". W ten sposób ocenia dzisiejszy system polityki pruskiej, zastosowany wobec socyalistów i Polaków, nie kto inny, jak pozasłużbowy radca trybunału Rzeszy, p. Otto Mittelstädt [1], którego o sympatye polskie nikt chyba nie posądzi.

Wszędzie obowiązuje zasada, że urzędnicy, przeznaczeni na usługi społeczeństwa, wśród którego żyją, winni się do istotnych potrzeb tego społeczeństwa zastosować, a w pierwszej linii porozumiewać się z niem językiem zrozumiałym. Inaczej w kresowych ziemiach państwa pruskiego. Tu społeczeństwo polskie musi się stosować do wygody niemieckiego urzędnika i porozumiewać się z władzami wyłącznie za pomocą języka niemieckiego. Język rodzinny jest nietylko wykluczony ze wszystkich urzędów administracyjnych, skarbowych, policyjnych, ale nawet z urzędów gminnych, kas powiatowych, urzędów pocztowych i kolejowych. Mniejsza o to, że np. władze kolejowe pilnie baczą, aby urzędnicy kolei żelaznej, a nawet zatrudnieni przy niej stale robotnicy nie posługiwali się ukradkiem między sobą językiem polskim. W „państwie prawa", w państwie „cywilizowanem" i „konstytucyjnem", tego rodzaju nietolerancya jest co najmniej dziwną, z tem wszystkiem państwo jest pracodawcą, więc do pewnego stopnia w prawie jest dyktować swoim podwładnym pewne warunki, atoli czyż może się z istotą prawa zgadzać żądanie od całego społeczeństwa znajomości języka niemieckiego, choć nie wszystkie jednostki miały możność przyswojenia sobie obcego języka. Germanizatorzy twierdzą wprawdzie, że kto pobierał naukę szkolną za pomocą obecnego systemu i służył przy wojsku, umie władać językiem niemieckim, tylko nie chce się nim posługiwać i dlatego „silniejsze naprężenie strun wobec opornego polonizmu" ze strony rządu jest zupełnie wskazane, a nawet żądają, aby w razie użycia tłumaczy dla porozumienia się z publicznością, nierozumiejącą po niemiecku, koszta za tłumaczenie ponosiła ta publiczność [2]. Pomijamy na razie kwestyę,

---

[1] *Vor der Fluth* cf. *Dziennik Poznański,* n. 257.

[2] Fink, str. 280.

czy obecny pruski system szkolny potrafi przyswoić dziatwie polskiej znajomość języka niemieckiego tak, aby się stał trwałym na całe życie dla niej nabytkiem; pytamy się atoli, czy wszyscy służyli w wojsku, czy wszyscy korzystali z obecnego systemu nauki? Czy więc domaganie się znajomości niemieckiego języka od setek tysięcy ludzi, którzy w t. zw. „polskiej szkole“ przed r. 1873 naukę pobierali, nawet ze stanowiska pruskiego jest prawnem? A jednak nieraz słychać ze strony urzędników pocztowych czy kolejowych wymyślanie brutalne na kobiety, na staruszki za to, że po polsku poproszą o bilet lub o znaczek pocztowy [1]. Fizyk powiatowy w Wolsztynie, dr. Schroeder, ogłosił nawet w piśmie urzędowem, że nie zna polskiego języka i dlatego, kto po niemiecku nie umie z nim się porozumieć, ten niech przyprowadzi tłumacza [2]. Tak samo niejedna osoba z Królestwa Polskiego musiała szukać tłumacza, by otrzymać bilet przy kasie kolejowej np. w Poznaniu, w Jarocinie, przyczem nie szczędzono ze strony urzędników wyrazów oburzenia na przeklętą polską paplaninę, *das verdammte polnische Gequatsche* i t. d. W Rawiczu nie chciano niedawno temu przyjąć polskiego telegramu do Galicyi, choć ten sam urzędnik telegram angielski, francuski, a nawet chiński niechybnieby przyjął. Tak samo prości chłopi otrzymują urzędowe pozwy, obwieszczenia, wszystko w języku niemieckim. Nieraz przychodzi nawet sołtys do księdza lub nauczyciela, by mu list urzędowy przetłumaczył. Dokuczliwy jest ten język urzędowy zwłaszcza szerokim warstwom robotniczym, które przymusowo zniewolone do zabezpieczenia się na wypadek choroby lub na starość, nietylko otrzymują książeczki służbowe niemieckie, ale wszelkie podania do państwowego urzędu ubezpieczenia w tym języku podawać są zniewoleni, płacąc za to swój krwawo zapracowany grosz pokątnym pisarzom. Cóż jednak znaczy dola lub niedola biednych robotników polskich wobec racyi stanu, że tylko wtedy pruskie te wschodnie prowincye pozostaną pruskiemi, jeżeli się zamienią na niemieckie [3].

[1] Tenże, str. 228. [2] L. c., str. 263.

[3] *Aus unserer Ostmark. Realpolitische Betrachtungen* von C. C. Sonderabdruck aus den *Grenzboten*. Leipzig 1897. Str. 61.

Aby je tedy jak najrychlej na niemieckie zamienić, nietylko ruguje się ze wszystkich urzędów język polski, lecz ślady polskości chce się nawet z nazw lokalnych i imion własnych zetrzeć. Codziennie można czytać o zmianie nazw miejscowości: Janików na Kujawach nazwano Amsee, z czego nasi chłopi w potocznej mowie znowu zrobili „Jamża", Małachów ochrzczono Malwenkampf, Krzywołąkę w pow. szamotulskim Krummwiese, Dąbrówkę w pow. szubińskim Eichenhain, Dąbecz w pow. wschowskim na Dambitsch, Krzemieniewo na Feuerstein, Jasikowo na Buchenhain, Otoczno na Kaiserau, Sławoszewo na Lawau, Przyczynę na Lindenburg, Runowo na Wilhelmsau i t. d. i t. d. W ciągu ostatnich lat w ten sposób przechrzczono kilka do kilkanaście set nazw, przyczem mieszkańcy odnośnej miejscowości niejednokrotnie po chrzcie urzędowym dopiero się dowiadują o tym fakcie. Jeżeli właściciel wsi jest Polakiem i umie zająć się energicznie sprawą, to nieraz uratuje dawną nazwę przez wniesienie protestu, gdzie jednak dziedzicem jest Niemiec lub gdzie ludność polska nie umie protestować, a to najczęściej ma miejsce, tam miejscowość otrzymuje urzędowe piętno germańskie, choć ludność jej posługuje się starą nazwą dalej. Wskutek tego powstaje, jak oświadczył w parlamencie poseł Zygmunt Dziembowski[1], w prowincyach polskich takie zamięszanie, iż zarządzenia germanizatorskie „tamują wręcz prawidłową komunikacyę handlową i pocztową". Ciekawą przytem jest ta okoliczność, iż pisma ultranarodowe niemieckie nie mogą wyjść z oburzenia, gdy chodzi o sprzeciwiający się kulturze chrzest np. nazwiska Dorpat na Jurjew, Kronstadt na Brasso i w prowincyach nadbałtyckich lub w Siedmiogrodzie takie postępowanie piętnują jako „rabunek" nazwisk, w prowincyach pruskich to samo uznają za całkiem słuszne, postępując wedle zasady: *Ja, Bauer, bei dir ist das ganz was anderes.* W podobny sposób germanizuje się nazwy osób spolszczonych, a germanizuje się je przymusowo na podstawie metryk przodków, zwłaszcza dzieci szkolnych, aby w ten sposób dzieci, jako niemieckie, uchronić od nauki języka

[1] *Kuryer Poznański*, 1897, n. 289.

polskiego lub religii w języku polskim. Szulc zmienia się na Schulze Wróbel na Sperling i t. d., z drugiej strony forytuje się niemczenie nazw często polskich np. Dalski na Dahlke [1], Mówiński na Redner i t. d. i t. d.

Polacy dość często spotykają się z zarzutem chęci oderwania się od Prus. Jako dowód przytoczył minister Bosse między innymi fakt, że Polacy śpiewają pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła“ [2]. Wskutek tego toczy się w dzielnicach naszych wogóle przeciw pieśni polskiej żywa walka, a mianowicie ze strony władz wojskowych, które zakazały orkiestrom wojskowym grać pieśni polskich. „Wywołać to musiało zdziwienie — zauważył słusznie w cytowanej już mowie poseł Dziembowski — zwłaszcza wśród starych członków obrony krajowej, których we wojnie austryackiej i francuskiej wśród dźwięków tych pieśni polskich prowadzono w grad kul“. Rozporządzenie zaś, aby podczas koncertów kapeli wojskowych w ogrodzie zoologicznym w Poznaniu programy wyłącznie w języku niemieckim drukowane były, uważa nawet tak fanatycznie i szowinistycznie usposobiony pastor poznański, który napisał broszurę p. t. *Polen und Deutsche in der Provinz Posen* [3], za niepotrzebne kłócie Polaków szpilkami.

Raziły także niemieckie oczy czerwono-białe barwy prowincyonalne, mianowicie czerwono-białe chorągwie, wywieszane podczas różnych uroczystości kościelnych, zwłaszcza podczas wizytacyi arcybiskupiej. Po głośnym procesie komisarza Carnapa, będącym srogą kompromitacyą hakatyzmu, a i po części rządu, jako odpowiedź na tę porażkę moralną wyszło rozporządzenie, zmieniające dotychczasowe barwy prowincyonalne na biało-czarno-białe. Dawne zaś jako narodowo polskie ściga się z zaciętością godną iście lepszej sprawy. „Rzeczy zaszły tak daleko — jak oświadczył na kongresie wolnomyślnego stronnictwa ludowego w Norymberdze redaktor *Posner Zeitung*, Wagner — że pewien chłopiec polski ukarany został za noszenie biało-czerwonej kra-

---

[1] *Dziennik Poznański*, n. 286.
[2] *Dziennik Poznański*, n. 251.
[3] Separat-Abdruck aus dem *Volk*, str. 37, 38.

watki“ [1], a polakożercza *Magdeb. Ztg.* gani zarząd pocztowy za to, że nowe karty podwójne *(Kartenbrief)* kazał wykonać w kolorach polskich: białym i czerwonym!!!

W ten sam sposób prześladuje się i myśl polską czy to w prasie, czy w broszurach, czy na scenie. „Statystyka kryminalna — pisze *Dziennik Poznański* — została zbogaconą w r. 1896 przez skazanie na grzywny polskich redaktorów jakie kilkadziesiąt razy. Tylko w jednym wypadku nastąpiło uwolnienie oskarżonego“. Jaką sumę wynoszą te grzywny za rok 1896, nie dowiadujemy się. Wedle obrachunku jednak czasopism niemieckich w pierwszej połowie 1897 r. zapłacili polscy redaktorzy nie mniej, jak 12.000 mk. kary i kosztów sądowych, pominąwszy koszta obrony i inne opłaty, co razem najmniej 20.000 mk. uczyni. Jakiego rodzaju wykroczeń dopuszczają się obżałowani, dowodzi niedawny proces byłego redaktora *Gońca Wielkopolskiego*, Wincentego Bolewskiego, który w artykule inkryminowanym dowodził, „że hakatyzm chce wytępić Polaków, a rząd na to daje swoje *placet*. Komisya kolonizacyjna wydziera Polakom jedną piędź ziemi za drugą“. Prokurator wniósł 2 miesiące więzienia za to przekroczenie, § 131. Krajowy sąd poznański jednak oskarżonego uwolnił. Wskutek wniesionego atoli rekursu prokuratora sąd Rzeszy jeszcze raz sprawę przekazał poznańskiemu sądowi krajowemu, a p. Bolewski zasądzony został tym razem na 300 mk. grzywny [2]. Wobec takich wypadków prześladowania prasy polskiej przez prokuratorye pruskie przewyższają niejednokrotnie w swej dokuczliwości najsurowszą cenzurę, a jednak zamachy te na swobodę prasy są niczem wobec wykonywania u nas prawa o stowarzyszeniach.

Około 2.000 polskich stowarzyszeń, istniejących w państwie pruskiem, śledzi rząd naprawdę oczyma argusowemi [3].

[1] Podobny wybryk ze strony polskiej przeciw Niemcom notuje Fink ze Szamotuł, gdzie szewczyk pewien na nauce uzupełniającej zjawiał się pomimo kilkakrotnych zakazów ze strony nauczycieli z polską szpilką, przedstawiającą sokoła (!). *Kampf um die Ostmark*, str. 256, 257.

[2] *Katholische Volkszeitung* n. 270.

[3] C. C., *Aus unserer Ostmark. Realpolitische Betrachtungen.* Odbitka z *Grenzboten* str. 26.

W każdem naszem towarzystwie, nawet konferencyi św. Wincentego à Paulo, towarzystwach przemysłowych upatruje się „stowarzyszenia politycznego dlatego, że jest polskie“ [1], w każdem naszem „zebraniu wietrzą zdradę stanu i przygotowania do gwałtownego oderwania się od państwa pruskiego“. Głośna nowela o stowarzyszeniach reakcyjnego ministra v. der Recke, która chciała zebrania i towarzystwa oddać na łaskę i niełaskę policyi, głównie przeciw socyalistom i Polakom była wymierzona. Gdyby nie owe kilka głosów większości w sejmie pruskim, dzięki którym upadła, dla polskich stowarzyszeń i zebrań wybiłaby niewątpliwie ostatnia godzina. Nie mogąc w drodze ustawodawczej zniszczyć lub ograniczyć stowarzyszeń polskich, postanowił rząd pruski i bez noweli o stowarzyszeniach dopiąć celu przez naciąganie nielegalne istniejących ustaw. „Wszystkie pochody zabawowe, publiczne zabawy ludowe, urządzane przez towarzystwa polskie przemysłowe, słowem wszystkie zabawy, które wogóle mogły być zakazane, lub które wymagały osobnego pozwolenia, zostały po największej części zabronione, ponieważ naraz zrobiono odkrycie, że pochody i zabawy tych towarzystw, których działalność była dotąd lojalną i nie dawała powodu do skarg, mogły być niebezpiecznemi dla pokoju publicznego“. I czy rzeczywiście na seryo obawiały się władze naruszenia pokoju publicznego? Nie, tu chodziło po prostu o największe ograniczenie swobody i działalności naszych towarzystw. Tajne rozporządzenie ministeryalne poleciło władzom niższym wydawać zakazy wszędzie gromadzenia się, gdzie widzą niebezpieczeństwo naruszenia publicznego spokoju [2]. Z pełnomocnictwa tego skorzystały władze te na niekorzyść naszą, mianowicie tam, gdzie osobniki rozstrzygające podlegają wpływom hakatyzmu. Ze wszystkich stron nadchodziły wieści o zakazach wycieczek

---

[1] Policya uznała np. katolickie towarzystwo przemysłowe za polityczne i skazała prezesa, p. Janiszkę, na 15 mk. kary, ponieważ nie zawiadomił policyi o zwołaniu posiedzenia. Izba karna w Pile orzekła na niekorzyść oskarżonego, natomiast *Kamergericht* berliński uznał ten wyrok za niesłuszny. *Kuryer Pozn.* n. 266.

[2] C. C., *Aus unserer Ostmark*, str. 28.

i wspólnych pochodów: z Gniezna, Bydgoszczy, Krobi, Mielżyna, Grudziądza, Pelplina, z Wildy pod Poznaniem. Towarzystwu przemysłowemu w Bydgoszczy zabroniono przy sposobności 25-letniego jubileuszu swego istnienia w ostatniej chwili nawet koncertu i zabawy i tylko za usilnem staraniem zarządu na to pozwolono, ale pod warunkiem, że nie wolno brać wstępnego, przez co Towarzystwo rzeczone poniosło wielką szkodę finansową. W Środzie ks. Pałkowski, jako nauczyciel religii, urządził z dziewczynkami szkolnemi wycieczkę, a ponieważ do niej osoby dorosłe się przyłączyły, za to oskarżono go o wykroczenie przeciw ustawie o stowarzyszeniach i skazano go na 75 mk. grzywny. Sami nieuprzedzeni Niemcy przyznać muszą, że „Polacy dzisiaj słusznie czują się traktowani jako obywatele drugiej klasy, skoro nakazują im ‚stulić gębę' nietylko w stosunku do wysokiej władzy, ale nawet w stosunku do równych im ludzi. Jeżeli gdzie jakie polskie towarzystwo przemysłowe zwoła zebranie celem omówienia spraw ekonomicznych, przybywa żandarm i rozwiązuje zebranie, ponieważ nie rozumie po polsku" [1]. W Polskim Cekcynie w Prusiech Zach. dnia 15 sierpnia roku zeszłego żandarm Ende rozwiązał po raz siódmy zebranie Towarzystwa ludowego z powodu używania na niem języka polskiego, i to wtedy, gdy p. Bajka z Tucholi zaczął mówić stosownie do programu: „O racyonalnej hodowli świń w najnowszych czasach". Kiedy Koło polskie w sejmie wniosło interpelacyę w sprawie rozwiązywania zebrań dlatego, że używano na nich języka polskiego, minister p. Recke wywodził, że dawniejszy wyrok sądu administracyjnego z dnia 26 września 1876 r., korzystny dla nas, uledz może zmianie i inne obecnie będzie sądu zapatrywanie. Na karb tego fałszywego przypuszczenia ministra rząd dozwalał, aby policya niesłusznie dręczyła ludność polską rozwiązywaniem zebrań [2]. Sprawa wreszcie górnika Jana Dąbrowskiego z Rozbarku na Ślązku, spowodowana faktem, że urzędnik policyjny roz-

[1] Mowa Wagnera, redaktora *Posner Zeitung* na kongresie w Norymberdze.

[2] Sprawozdanie poselskie d-ra Rzepnikowskiego, posła do sejmu i parlamentu, w Lubawie z dnia 9 listopada 1897 r.

wiązał zebranie robotnicze w Wieszowie dnia 6 grudnia 1896 r za zagajenie go w języku polskim, przeprowadzana przez wszystkie instancye, zakończyła się wyrokiem najwyższego sądu administracyjnego z dnia 5 października 1897 r., orzekającym, że postępowanie rządu było bezprawne [1].

Tak samo bezprawne i niczem nie uzasadnione było rozporządzenie prezesa rejencyi kwidzyńskiej względem tłumaczenia sztuczek dla teatrów amatorskich, które tyle ambarasu, kosztów i niepotrzebnego kłopotu narobiło naszym amatorom, zwłaszcza w Prusach Zachodnich. Zażalenie dopiero posła do sejmu i parlamentu d-ra Rzepnikowskiego z powodu teatru amatorskiego w Lubawie u ministeryum sprowadziło wprawdzie nie ogólne zniesienie tego rozporządzenia, lecz specyalne cofnięcie nakazu dawniejszego dla Lubawy [2]. Widzimy więc, że energiczne wystąpienie w obronie praw słusznych pożądany odnosi jeszcze skutek. Z tem wszystkiem słusznie podnosi poseł Dziembowski, że formalne prawo skargi i zażalenia niema dla stron wartości. „Cóż bowiem pomoże np. stowarzyszeniu w Miłosławiu, gdy może w lutym, po zniesieniu zarządzenia niższych władz administracyjnych, otrzyma zezwolenie odbycia majówki w lesie pod gołem niebem? Nadto niepodobieństwem żądać, żeby wszędzie znajdowały się siły posiadające czas i pieniądze, aby domagać się swego prawa“. Szczególnie znienawidzone są przez rząd i jego organa i całą Germanię wojowniczą związki sokolskie, którym władze największe stawiają trudności, jakkolwiek sokolstwo w politykę się nie bawi i jest stowarzyszeniem gimnastycznem, jak pierwszy lepszy *Turnerverein*. Jakie zapatrywania mają sfery rządowe o „Sokołach“, tego ciekawy dowód dała bytomska Izba karna w procesie wytoczonym za noszenie munduru sokolskiego (!). „Związki Sokołów“ — brzmi opinia tej władzy, reprezentującej sprawiedliwość na Górnym Śląsku — uprawiają pod pozorem gimnastyki w ten sposób wielkopolską agitacyę, że się starają o to, aby ludność kraju po polsku mówiącą

[1] Wyrok najwyższego sądu administracyjnego z dnia 5 paźdz. 1897 r. w sprawie używania języka polskiego na zebraniach. *Gazeta Opolska*, dodatek.

[2] *Kuryer Poznański* n. 252.

odstręczyć od niemczyzny, a mianowicie w młodzieży uczucie dla polskiej mowy i polskich obyczajów szerzyć i pielęgnować. Skutkiem tego noszą też członkowie związków sokolskich narodowy strój polski (!!) przy uroczystościach. Ta tendencya Sokołów jest dobrze znana górnośląskiej ludności, a przeto noszenie publiczne polskiego stroju narodowego (!) uważane bywa za zamierzoną polityczną manifestacyę, za pomocą której w demonstracyjny sposób ma się ujawnić, że ci, którzy ów strój noszą, niemieckości, niemieckiego usposobienia i obyczajów niemieckich nie cierpią, niemieckości się wyrzekają a uważają, że należą do narodu polskiego, chociaż co do narodowości są Niemcami. (!) To dążenie Sokołów, ażeby się postawić w przeciwieństwo do niemieckich współobywateli niepolskiego języka, może w wysokim stopniu, mianowicie gdy się publicznie objawia, wywołać zaniepokojenie i zgorszenie w tej części ludności, która jest narodowo usposobiona i ojczyznę kocha, i to dlatego, ponieważ sprzeciwia się niemieckiej konstytucyi i istniejącym urządzeniom państwowym; dlatego też wzbudza troskę, że przez to uczucie narodowe większej części górnośląskiej ludności na korzyść wielkopolskich dążności ucierpi lub zgoła zaniknie. (!) Z tego powodu mogło postępowanie oskarżonego, który na publicznej ulicy polski strój narodowy nosił, wywołać zaniepokojenie i zgorszenie publiczności..." To wystarczy, ażeby stwierdzić istnienie publicznej swawoli *(grober Unfug)*, pomijając to, czy rzeczywiście zgorszenie miało miejsce, czy nie. Za tę „grubą swawolę" skazany został jakiś p. John, według *Katolika*, na karę i koszta. Wyrok dotyczy sprawy górnośląskiej wprawdzie, gdzie stosunki w wyższym stopniu jeszcze są zaognione niż w Poznańskiem, świadczy on jednak wymownie, przez jakie okulary świat urzędniczy pruski wogóle, zatem i w Wielkopolsce, patrzy na sprawy polskie; nie dziw tedy, że popada w taką śmieszność, iż nazywa strój sokoli strojem narodowym polskim i za to skazuje na grzywny i karę.

A przecież należałoby przypuszczać, że w dziedzinie sądownictwa krajowego panuje absolutna przedmiotowość. Tymczasem subjektywizm narodowy i przy wymiarze sprawiedliwości coraz

jaskrawiej występuje i coraz częściej oczywiście ze sprawiedliwością się mija. Najwyższy sędzia Prus Zach. wydał rozporządzenie, mocą którego zabronił powoływania tłumacza dla osób, które uczęszczały do niemieckiej szkoły lub odbyły służbę wojskową, zmuszając tem samem Polaków, jako tako władających językiem niemieckim, do zeznawania przed sądem po niemiecku. „Pomyślmy co to znaczy — powiada prof. Hans Delbrück[1]. — Olbrzymia to różnica, mówić po niemiecku w codziennych stosunkach, a zeznawać pod przysięgą przed sądem. Niezawodnie zdarzać się będzie, że Polacy tylko z uporu narodowego wzbraniać się będą mówić przed sądem po niemiecku; kto atoli będzie umiał rozróżnić, czy nie dołącza się tu pewna obawa posługiwania się obcym językiem w chwili tak niebezpiecznej? Na jakież to podejrzenie naraża się sprawiedliwość, która w takiem położeniu ośmiela się wywierać nacisk! Czyż nie jest najwyższem ze wszystkich praw to właśnie, że przed prawem wszyscy obywatele są równi i że sprawiedliwość nie służy żadnemu innemu interesowi, jak tylko samej sobie? Słyszałem dobrych Niemców mówiących o tem rozporządzeniu z największem oburzeniem. A jednak słychać raz po raz o wypadku zasądzenia na karę nawet kobiet, jeżeli wzbraniają się składać przysięgę w języku niemieckim. Tak np. skazał sąd ławniczy poznański panią M. Spiacką dn. 4 września r. 1897, na 20 mk. kary lub 4 dni aresztu, uważając oświadczenie świadka, że nie chce składać przysięgi po niemiecku wprost za odmowę przysięgi. Wyrok ten niesprawiedliwy zniósł co prawda sąd ziemiański[2], z tem wszystkiem z tego i innych wypadków widać, jak sędziowie niższych sądów ulegają coraz więcej wpływom szowinizmu narodowego i coraz mniej „utrzymują odpowiednią miarę objektywności". Jaskrawo to uwydatnia między innymi następujący wypadek. „W Gdańsku odbywał się w lutym proces przeciw *Danziger Neueste Nachrichten*, które podały nieprawdziwą wiadomość, jakoby niejaki Łepek zabił w borach tucholskich Niemca kamieniem z powodu fana-

[1] *Preuss. Jahrbücher*, Dezember 1897, 90 Bd. Heft III, str. 575.
[2] *Kuryer Poznański*, n. 235.

tyzmu wyborczego. Pokazuje się później — i owo pismo to też przyznało — że to twierdzenie było nieprawdziwe; mimo to redaktor rzeczonego pisma został uwolniony z tego powodu, że redaktor jako członek Towarzystwa ku szerzeniu niemczyzny ma słuszny interes w omawianiu wszystkich tego rodzaju spraw, a jeżeli ten wypadek okazał się niestety nieprawdziwym, to jednak broni go § 193. Tak więc zamiast oszczercy, skazuje sąd pruski pokrzywdzonego przez oszczerstwo na poniesienie znacznych kosztów procesu, a to ze względu na to, że pismo niemieckie — chociaż oszczerstwem — broniło uprawnionych interesów niemczyzny. Podobny tylko gorszy jeszcze wypadek wydarzył się w Grudziądzu, gdzie tamtejsze pismo *Geselliger* zrobiło zarzut katolickiemu duchownemu, ks. proboszczowi Połomskiemu z Wąbrzeźnia, że nadużywał konfesyonału do celów politycznych. Oczerniony kapłan wytoczył skargę prywatną, mimo to odpowiedzialny redaktor został uwolniony, gdyż pismu, mającemu jako zadanie naczelne popieranie niemczyzny na wschodnich kresach, przysługuje prawo obrony z § 193, albowiem tutaj działało w obronie słusznych interesów. Ale uczucie katolickie, świętość sakramentu spowiedzi nie doznaje obrony wobec germanizatorskich interesów *Geselligera!* Tego rodzaju wyroki chyba świadczą o zupełnej przewadze polityki nad prawami i sprawiedliwością[1]. Nie bez podstaw atoli mówiło się, a i dziś się jeszcze powtarza: *Il y a des juges à Berlin.* W wyższych i najwyższych trybunałach można jeszcze znaleźć słuszny wymiar sprawiedliwości. Głośny wyrok najwyższego sądu administracyjnego z października r. 1897 w sprawie używania języka polskiego na zebraniach zdawałby się za tem przemawiać, gdyby nie ekskursya polityczna, poprzedzająca sam wyrok, „o niebezpiecznej agitacyi wielkopolskiej, której zwalczanie jest rzeczą uznania godną“ i o „niedostateczności obecnych przepisów prawa“. Takie wtręty politycznej natury w wyroku sądowym nawet wśród nieuprzedzonych Niemców budzą poważne wątpliwości, a *Freisinnige Zeitung* całkiem słusznie powiada: „Za-

[1] *Kuryer Poznański* n. 289.

daniem sądów jest li tylko wymierzanie prawa, a nie wydawanie opinii o tem, co jest niebezpieczne, oraz robienie rządowi propozycyi co do zmiany istniejących ustaw“ [1]. „Wynikiem takich wyroków — musimy powtórzyć za radcą trybunału najwyższego p. Mittelstädtem [2] — nie może być nic innego, jak zburzenie ostatniego szczątku powagi trybunałów pruskich, wzmocnienie przekonania, że w sądownictwie pruskiem panuje judykatura stronnicza i kastowa“.

(C. d. n.)

Wielkopolanin.

---

[1] *Dziennik Poznański*, r. 1897, n. 250.

[2] *Vor der Fluth*, cf. *Dziennik Poznański*, n. 257.

DZISIEJSZE STANOWISKO MEDYCYNY.

(Dokończenie).

IV.

Przystępując z kolei rzeczy do napisania słów kilku o rozwoju medycyny czysto-praktycznej, nie mogę nie poprzedzić moich uwag pewnem zastrzeżeniem. Medycyna praktyczna, jako sztuka zastosowania teoretycznej nauki do potrzeb codziennego życia, jest i sztuką wzniosłą i nauką poważną, ma jednak dużo bardzo nieprzyjaciół, zwłaszcza w czasach dzisiejszych. Skoro zaś mamy mówić o jej postępach i o jej rozwoju, przeto chciałbym z góry ochronić tych kilka wierszy od ewentualnego ironicznego uśmiechu czytelnika, który mógłby przed ich przeczytaniem wystąpić ze zarzutem: „Cóż ta postępująca medycyna zrobiła, skoro ginie tyle ludzi co minutę? cóż ona warta, skoro jeden z was, wasz sławny Trousseau sam powiedział, że dobry praktyk potrzebuje trochę zmysłu spostrzegawczego i odwagi, a nauka czasem tylko dopomódz mu może?“ [1]. W odpowiedzi na podobne zarzuty odrazu uprzedzamy, że nie o reprezentantach nauki lekarskiej mówić tu będziemy, lecz o samej nauce jako takiej; nie o talentach i sumienności jednostek, ich subtelności i spostrzegawczości, lecz o całokształcie dostarczonych przez naukę środków, którymi jeden adept Eskulapa, według

[1] „Que faut-il pour être un bon praticien? Beaucoup de bon sens et un peu de courage. Et la science? La science; oui, elle peut servir quelquefois?“

okoliczności od niego niezależnych lub według osobistych zdolności, bruździć może, drugi zaś cudów prawdziwych dokazuje. Słusznie i dowcipnie zastosowano stary aksyomat o poetach w formie parafrazy do lekarzy: *medici nascuntur, doctores fiunt*, a każdy wie o tem doskonale, że lekarz, tak jak architekt, z tego samego materyału wystawić może piękną lub nietrwałą i niewygodną budowlę; winną być może jego głowa nietęga, ale winnym także i grunt do budowy nieodpowiedni lub nieprzewidziane w tymże gruncie zmiany; w żadnym jednak wypadku nie rzucimy kamieniem na architekturę jako sztukę, na jej prawa i zasady, na jej zdobycze i twórcze dzieła. Zresztą nie żądajmy od medycyny, żeby wypędziła wszelką słabość i śmierć nawet z tego padołu płaczu. Cóż powiedzielibyśmy o takim turyście, który stojąc np. przed wspaniałym tumem kolońskim, zawołałby z pogardą: „Cóż mi z tego, kiedy wieżyca nie potrafi dosięgnąć stropu niebios?“

Odpowiednio do rozmiarów i charakteru niniejszej pogadanki, najlepiej podzielić medycynę praktyczną na dwa wielkie działy. Reprezentanci jednego, trudnią się leczeniem za pomocą środków podawanych do wnętrza ustroju; drugiego zaś, wkraczają czynnie ręką lub instrumentem. Pierwszemu działowi najlepiej odpowiada tytuł, używany zresztą powszechnie przez publiczność, medycyny wewnętrznej; charakter drugiego zaś, określa najdosadniej wyrażenie chirurgii czyli nauki o rękoczynach, wedle znanej greckiej etymologii; w naszym wypadku pragnąłbym jednak ze względów praktycznych, rozszerzyć zakres działu drugiego i na specyalności, które ściśle chirurgią nie są, a więc na sztukę leczenia chorób ocznych, skórnych, gardlanych, usznych i t. d., i nadać obszernej tej kategoryi nauk, w przeciwieństwie do powyżej użytego wyrażenia, tytuł medycyny zewnętrznej. Oczywiście, że w zasadzie te pojęcia nie są ścisłe, a w rzeczywistości działy te obejść się bez siebie nie mogą; okulista np. podający choremu miksturę jest internistą, a za chwilę eksternistą w chwili operowania katarakty; *de facto* jednak techniczne wydoskonalenie pewnych manualnych czynności wśród różnych rękoczynów, postawiło na

stanowisku odrębnem lekarzy, leczących metodami zewnętrznemi, tj. ręką i nożem, tak że podział przyjęty przez nas, nie jest pozbawiony racyi bytu. Dla nas jest on zaś i z tego względu wygodny, że mamy mówić o postępach nauki lekarskiej i jej dzisiejszem stanowisku; otóż bakteryologia, owa najmłodsza zdobycz wiedzy, która tak wielki wpływ wywarła na całą medycynę, zupełnie odrębnie pchnęła medycynę wewnętrzną i zewnętrzną na drodze postępu w naszych czasach. Wykrycie bowiem przyczyny rozlicznych chorób w postaci drobniutkich, mikroskopowych tworów, bakteryami zwanych, wykrycie praw życia tych tworów i ciał, mogących to życie zniszczyć, zwróciło uwagę uczonych na to, aby oprzeć się przeważnie na niszczeniu tych elementów rozkładowych, na walce z wrogami ustroju, na t. zw. antyseptyce. Rok rocznie mnożyła się ilość środków przeciwgnilnych, a rzeczywistość pouczała, że przypuszczenia były słuszne, i że w myśl starej zasady: *Cessante causa cessat effectus,* choroba znikała po usunięciu jej przyczyny. Ale tu właśnie zaznaczyła się różnica między medycyną wewnętrzną a zewnętrzną; podczas gdy bowiem jednym antyseptyka ze skuteczną przyszła pomocą, drugim stała się bezużyteczną, a nawet czasem szkodliwą. Bliższe rozpatrzenie tej sprawy na kilku przykładach, łatwiej rzecz nam wyjaśni.

Póki nie znano antyseptyki, chirurgia i nauki o innych rękoczynach zewnętrznych, stały wysoko genialnością swych twórców i zgrabnością ich ręki, lecz nizko bardzo skutecznością stosowanych metod. W największych szpitalach, do jakich zaliczano Charité w Berlinie i Hôtel Dieu w Paryżu, ranni przedstawiali obraz istnych nędzarzy. Ropienie ran, róża, zgorzel przyranna, tężec postępowały jak cienie za najdzielniejszym chirurgiem, krzyżując jego plany i niszcząc jego nadzieje, a każdy z obawą powtarzał: „Jam ciebie opatrzył, niech cię Pan Bóg wyleczy!“ Dopiero zastosowanie środków antyseptycznych, którymi myto ranę, narzędzia i opatrunki, dawało rękojmię, iż do licha, które dopiero co nożem usunięto, nowe licho się nie przyplącze. Coraz większa ilość operacyj udawała się świetnie, coraz głębiej i śmielej zapuszczały się nóż i ręka w ciało ludzkie

wiedząc, iż nie niosą ze sobą chorobotwórczych pierwiastków, lecz przy pomocy antyseptyków niszczą nawet te, któreby przypadkowo gdzieś być mogły. Z pomocą równocześnie wprowadzonego w użycie uśpienia chloroformowego czyli narkozy, bez bólu i szkody dla ludzkości, coraz to nowsze wawrzyny zdobywa w ten sposób medycyna zewnętrzna, a niema dziś prawie, z wyjątkiem może mózgu, obszaru nieznanego jej bliżej lub niedostępnego jej środkom. Każdy zbyt dobrze wie o tych licznych guzach i nowotworach, szpecących chorego lub zagrażających jego życiu, które zgrabnie wyłuszcza ręka operatora; każdy słyszał o sztucznych żołądkach, gardłach, kończynach, funkcyonujących z mechaniczną precyzyą; każdy ugina wreszcie czołem przed zbawczą ręką okulisty, powracającego wzrok śmiałem cięciem, na kształt Tobiaszowego anioła, a przykładów takich naliczyćby można bez końca. Oczywiście, że istnieją wypadki, gdzie niepomyślny stan zdrowia pacyenta lub nieprzewidziane komplikacye, do smutnego doprowadzają końca, a słyszymy wtedy nieraz, że „operacya się udała, lecz chory umarł“; tak jednak pisać i mówić mogą tylko ci, którzy o cierpieniach ludzkości i nauce niosącej im ulgę, jak ów poeta, „nie krwią piszą serca, lecz żółcią zjadliwą“. Kto zaś przeciwnie siłę słonecznego światła mierzy nie według ilości plam na słońcu będących, przyznać musi, choćby był największym sceptykiem, polemizującym z zasady z ideą rozwoju terapii, że, jeżeli już nie inne gałęzie medycyny, to przynajmniej nauka o zewnętrznych rękoczynach ogromnie się rozwinęła i coraz świetniejsze osięga rezultaty z dniem każdym.

Inaczej zupełnie, niż na medycynę zewnętrzną, wpłynęły bakteryologia i antyseptyka, na rozwój medycyny wewnętrznej w ostatnich czasach. Środki niszczące działalność bakteryj okazały się bowiem szkodliwymi i dla samego ustroju ludzkiego, a stosowanie ich wewnętrzne stać się łatwo mogło podobne do przysługi owego niedźwiedzia, który zabijając kamieniem muchę na czole swego pana, zabił i jego równocześnie. Więcej już dodatnio zdziałała nauka aseptyki czyli chronienia się od jadów chorobotwórczych, zanim się one jeszcze dostały do ustroju;

spokrewniona z nauką antyseptyki i na jednym wyrosła gruncie, aseptyka i w chirurgii stosowaną bywa skutecznie; w medycynie zaś wewnętrznej wspólnie z prawami, zdobytemi drogą teoretycznych doświadczeń, stała się jedną z najważniejszych podstaw leczenia prewencyjnego i hygieny. Nie zabijać zatem wroga mieczem obosiecznym, który i nas skaleczyć może, lecz nie dopuścić go na pole walki wszelkiemi siłami: oto zasada, którą się posługuje dziś medycyna wewnętrzna w tych razach, gdzie na daną chorobę nie ma w swej skarbnicy farmakologicznej innych środków leczniczych dla ustroju chorego nieszkodliwych. Natrąciliśmy tu mimowoli o drugą podstawę medycyny wewnętrznej tj. o farmakologię czyli o lekoznawstwo. Tak stara jak świat, przechodziła ta gałąź nauki różne fazy; leczono najpierw bez żadnej krytyki roślinami takiemi, o których praktyka codzienna udowadniała, że pomagają na pewne bóle; leczono potem temi roślinami według pewnych racyonalnych danych, walcząc oczywiście między sobą, kto ma wyłączne prawo racyonalnego leczenia; leczono wreszcie z pewną ostrożnością, a w cięższych wypadkach nawet leczono wprost nieinterwencyą, która w teoryi przyczyniła się do rozgmatwania sił leczącej natury i zasługi stosowanych lekarstw, lecz w praktyce doprowadzała nieraz do zgubnego nihilizmu terapeutycznego. Dopiero odkrycie alkaloïdów, będące, według zdania jednego z nowoczesnych uczonych, jedną z najpiękniejszych zdobyczy naszego wieku, zrobiło przewrót w farmakologii, a przez to i w medycynie wewnętrznej. Zniknęły z półek aptecznych stare wywary i mikstury, zioła podejrzanej świeżości i rośliny o składzie tak zmiennym i od tylu warunków zależnym, a na ich miejsce za to pojawiły się preparata chemiczne, alkaloïdami zwane, o których nauka wie, że one właśnie w danej roślinie działają, że one z tej lub owej rośliny dadzą się wydostać lub nawet jeszcze dokładniej sztucznie wytworzyć, że one wreszcie, co najważniejsze, dadzą się mierzyć i miareczkować, regulować i zastosowywać do danych warunków. Wprawdzie istnieje dotąd walka między homeopatami, zapisującymi niezmiernie małe ilości leków, i lekarzami, stosującymi te same leki z większą odwagą,

oraz między starą szkołą, która się trzyma jeszcze ziółek i mikstur, a nową szkołą, idącą ręka w rękę z postępem, lecz nauka sama jako taka, stojąc wyżej ponad walkami stronnictw, dumną być może z odkrycia owego *agens* działającego w każdej danej roślinie. Zastrzegamy się przytem przed twierdzeniem, iżby samo *agens* zawsze tak samo działało jak cała roślina w danych warunkach, lecz ze względu na wymienione powyżej korzyści dozowania leków i kontrolowania ich świeżości, odkrycie samo chyba jest doniosłe. Spełniły się też wreszcie w wieku XIX. życzenia słynnego Fourcroy'a, który przed stu prawie laty wzdychał[1] do tej idealnej chwili, gdy wiadomem będzie, co w danej roślinie działa dodatnio dla ustroju, a szkodliwie dla jadów chorobotwórczych. Nauka nie poprzestała jednak tylko na spełnieniu tych życzeń. Badania najnowsze uczonych wykazały, że tak jak roślina wytwarza w swem łonie trucizny, które dla pewnych celów leczniczych mogą być pożyteczne, tak też i w ustroju ludzkim wytwarzają się ciała trujące, zwane ptomaïnami, toksynami, leukomaïnami, a będące po części regularnym i koniecznym produktem życia tkanin. Znajomość ich składu i granic ich szkodliwości, staje się więc dalszą konieczną podstawą terapii, a pielęgnowanie normalnej funkcyi narządów, wydzielających te trucizny z ustroju, metodą leczniczą niemniej chyba ważną, jak stosowanie produktów roślinnych lub farmaceutycznych wytworów. I na tem jeszcze nie koniec. Choroba istnieć może, choć na ustrój nie działają ani jady bakteryj, ani trucizny przez tkanki wytwarzane; bliższe badania wykazują zaś, że w całokształcie funkcyj normalnego ustroju brakuje bagatelnej na pozór czynności jakiegoś np. gruczołu, który widocznie wydzielał coś dla życia potrzebnego, a który zmarniał lub wycięty być musiał nożem chirurga. Otóż ku prawdziwemu zdumieniu świata, terapia nowoczesna w takich wypadkach podaje przetwory chemiczne lub pożywki z odpowiednich gruczołów lub innych narządów zwierzęcych sporządzone, osiągając

[1] „Nous faisons des voeux, que des travaux soient entrepris sur les grands médicaments, que l'art de guérir possède, afin que leurs principes soient mieux connus".

najświetniejsze rezultaty za pomocą tej nowej metody organoterapeutycznej, której nazwa figuruje coraz częściej w piśmiennictwie fachowem i ogólnem. Do tych omówionych pokrótce zdobyczy farmakologii i toksykologii, hygieny i organoterapii, dodajmy pomnikowe dzieło szczepienia ochronnego, o jakiem mówiliśmy już, opisując postępy bakteryologii, a będziemy mieli przed oczyma całokształt środków, jakimi rozporządza dziś nowoczesna medycyna wewnętrzna, i do zdobycia których doszła drogą pracy i doświadczenia.

Naprzeciwko medycyny praktycznej postawićby można, a właściwie stawia się zwykle medycynę naturalną, która nie używa ani leków, ani noża, lecz zbawia wodą i powietrzem. Są to rzeczywiście czynniki i dla życia niezbędne i w chorobie nieraz cudowne. Fałszywie też mniemają ci, którzy sądzą, że przeciętny lekarz musi być wrogiem medycyny naturalnej i przeciwnikiem używania wody lub świeżego powietrza. Środki te nie należą ani do jednej, ani do drugiej szkoły wyłącznie, lecz do całej ludzkości, która ich używać może do syta i używała nawet, zanim powstały jakiekolwiek ślady nauk ścisłych. Medycyna zarzuca tylko reprezentantom kierunku naturalnego, zwłaszcza wtedy, gdy pochodzą z warstw nieoświeconych, lekceważenie zdobyczy nauki, oraz grube błędy, wynikające z nieświadomości i uporu, bez których jeszcze świetniejszymi rezultatami praca ich byłaby uwieńczona. Zresztą nauka oddaje Bogu co boskie, a Cezarowi, co Cezara, nazywając np. Priessnitza „reformatorem na polu lecznictwa“, a Kneippa „mądrym kapłanem-lekarzem“; z szarlataneryą jednak lub suggestyjnem wyzyskiwaniem łatwowierności ludzkiej walczyć zawsze będzie w imię dobra ludzkości i naukowej prawdy! Mam w tej chwili przed sobą jeden z najnowszych podręczników ogólnikowej techniki lekarskiej. Cóż tam znajduję? Obok praw dyagnostyki fizykalnej i chemicznej, obok elektrodyagnostyki i elektroterapii, całe rodziały poświęcone są mechanoterapii czyli masażowi i gimnastyce, pneumatoterapii czyli nauce o inhalacyach i leczeniu klimatycznem, wreszcie balneologii i hydroterapii czyli nauce o kąpielach i wodolecznictwie. Czyż można więc mówić, że medy-

cyna nie zna lub nie chce znać środków naturalnych? czy raczej skarbów, w lecznictwie od dawna używanych, według pewnych swoich prawideł nie chcą uporządkować i do wyłącznych użyć celów tacy, którzy negując istnienie wiedzy, swoje imię na pierwszej chcą położyć karcie, wołając do reprezentantów żmudnej pracy naukowej: *ôte toi, pour que je m'y mette!*, co po naszemu znaczy tyle co: „skarb pozostanie ten sam, tylko ja nim będę rządzić". Największym powagom nauki trudno nieraz rozstrzygnąć, co właściwie było czynnikiem uzdrawiającym, czy zmiana warunków bytu, czy miejsce, czy lek, czy wpływ osoby leczącej, czy korzystne zmiany w samym organizmie, od leczenia niezależne; a ileż razy laik bez podstaw naukowych błędnie sądzi w tym względzie z pozorów lub mylnie naciągniętej statystyki? Usunąć powody tych błędnych wniosków jest nauki rzeczą i uczyć bez względu na to, czy ją słuchają; każdy zaś, będąc oczywiście właścicielem swego życia i zdrowia, wierzyć może temu, komu chce, byle tylko umiał uszanować powagę wiedzy i na sztucznych wnioskach nie chciał budować odrębnych prawd.

V.

Jako ilustracyę do ogólnikowych uwag nad dzisiejszym stanem teoretycznej i praktycznej medycyny, postanowiliśmy dodać kilka luźnych przykładów, zaczerpniętych z ogromu szczegółów, zdobytych badaniami naukowemi w ostatnich czasach. Przykładów tych kilka, zupełnie zresztą, jak powiedzieliśmy, luźnych, nie możemy tu ani wyczerpująco opisać, ani zupełnie wedle wymagań nauki objaśnić; jedynym celem naszym byłoby wykazanie na kilku sprawach, będących często przedmiotem rozmowy potocznej, związku ścisłego, jaki dziś istnieje między wszystkiemi kategoryami i subkategoryami nauk lekarskich, oraz wspólności dążeń, znamionującej postęp poszczególnych specyalności wiedzy.

Dopóki np. nóż anatoma zapuszczał się w głąb tkanki mózgowej, poszukując coraz to nowszych szczegółów, o mózgu nie wiedziano nic więcej, jak tylko tyle, że jest bryłą tego

a tego kształtu, o takiej konsystencyi i budowie, o takiem uformowaniu pojedynczych szczegółów i t. d. Znaną była uczonym, jak powiedziałem wyżej, geografia mózgu, znanym każdy rowek i wypuklenie, jamka i przegroda, lecz poza tem nic. Medycyna praktyczna wiedziała również dużo szczegółów o stanach chorobowych mózgu, szczegółów przeważnie luźnych i niepowiązanych, między jej spostrzeżeniami jednak a zdobyczami teoryi nie było żadnego łączącego ogniwa, żadnego, że tak się wyrażę, racyonalnego pomostu. Z chwilą jednak, gdy w stuleciu naszem rozwinęły się inne gałęzie wiedzy, z chwilą, gdy anatomia normalna badać zaczęła budowę wewnętrzną tkanek przy pomocy mikroskopu, a anatomia patologiczna drobnowidzowe zmiany tychże samych tkanek w stanach chorobowych, nauka o mózgu na inne weszła tory. Wśród krajów, znanych dotąd tylko z wejrzenia zewnętrznego, odkryto drogi i ścieżki, po których rozum ludzki wnikać zaczynał w głąb pojmowania i definiowania czynności psychicznych; odkryto komórki i grupy tychże, będące siedliskami pewnych centralnych biur zawiadowczych, kierujących czynnościami układu nerwowego; odkryto drogi, łączące te biura między sobą oraz z obwodem ciała, za pomocą rozgałęzionych połączeń, utrzymujących, na kształt sieci telegraficznej, zewnętrzne i wewnętrzne narządy ciała w ciągłej ze sobą konneksyi. Na odkryciu istnienia czegoś nauka nie poprzestała, lecz docierając dalej, przynajmniej na tyle, na ile jej było dozwolonem, zapytała, do czego to wszystko służy. Fizyologia czyli nauka o funkcyach normalnych, i patologia czyli fizyologia ustrojów chorobowych, podjęły się tego zadania; drogą drażnienia sztucznego różnych części mózgu i różnych wychodzących z niego nerwów oraz obserwowania powstających wskutek tego czynności, a z drugiej strony, drogą wycinania pewnych kawałeczków mózgu i obserwowania, jakiej czynności zwierzę nie wykona, wybudowały te obie nauki przy pomocy kilku innych metod, których opisywanie zajęłoby nam tu dużo miejsca i czasu, wspaniały gmach nauki o lokalizacyi czynności w mózgu, który może być prawdziwą chlubą naszego stulecia. Najmniejsza czynność najmniejszego narządu ustroju ma swoje granice i swój

zarząd; znane nam siedlisko władz rządzących, prawa ich i drogi, po których płyną rozkazy, przyspieszające i hamujące wykonanie pewnych czynności; znane nam wreszcie modyfikacye, którym ulegają te czynności i te prawa w stanach chorobowych. Medycyna praktyczna swojemi spostrzeżeniami potwierdza i uzupełnia niejednokrotnie skarbnicę teoretycznych doświadczeń; na odwrót zaś w postępowaniu leczniczem opiera się na zdobyczach, wspomnianych pokrótce powyżej, do powiązania których w jedną całość wspólnemi siłami przyczyniły się anatomia i histologia, fizyologia i patologia. Dosadne znaczenie tych zdobyczy przyznać musi każdy bezstronnie, nawet reprezentant jakiejś szkoły psychologicznej, toczącej walkę z kierunkiem naturalistycznym wiedzy lekarskiej; bo choć nauka nie objaśniła samej istoty życia psychicznego, to uczyniła ona ogromnie dużo na drodze wytłumaczenia różnych warunków mózgowych i nerwowych tego życia w teoryi i w praktyce. Inną jest rzeczą, czy w szybkiej pogoni za chwytanemi nieraz w lot spostrzeżeniami, nauka o mózgu nie wzniosła się czasem w swoich hipotezach zbyt śmiało i zbyt wysoko; nie do nas tu należy ten interesujący przedmiot, którego dotkniemy może kiedyś w innej pogadance; w każdym jednak razie z kilku nieudałych prób Ikarowego lotu, z kilku upadków całkowitych lub częściowych ze szczytu frenologicznych marzeń, sądzić nie należy o całokształcie nauki o mógu i o zasadniczych jej prawach, imponujących zarówno subtelnością szczegółów, jak i powagą zdobytych pewników.

Ze szczytnej nauki frenologii, wśród omawiania której o mało nawet nie zaczepiliśmy o wzniosłe zagadnienia psychologiczne, zstąpmy teraz na chwilę do prozaicznego narządu trawienia. Zbyt dobrze są znane każdemu z nas jego choroby, począwszy od drobnostkowych dolegliwości codziennych, a kończąc na takim strasznym wrogu, jakim jest cholera, wychylająca się od czasu do czasu z krainy pereł i dyamentów, otoczonej ujściami rzek świętych, aby zagrozić Europie widmem zniszczenia. I dla ustroju, i dla nauki lekarskiej niebezpiecznym jest zarówno ów wróg mały, tkwiący częstokroć w nałogowych przy-

zwyczajeniach naszej natury, jak i wróg straszny, mikrobem przecinkowym zwany, który, jakby na urągowisko postępów cywilizacyi, w wieku pary i elektryczności, wydostał się dopiero z ukrycia, z krainy wężów i tygrysów. Przeciwko pierwszemu wrogowi wytoczyła medycyna praktyczna cały arsenał środków farmakologicznych, a gdzie potrzeba, i zabiegów chirurgicznych; przeciwko drugiemu prawa desynfekcyi i ostrożności prewencyjnej hygieny. Nie chce się jednak wierzyć, że te wszystkie rodzaje broni ukute zostały dopiero w naszych czasach; że zwycięzką walkę z chorobowymi objawami poszczególnych cierpień narządu trawienia zawdzięczamy odkryciom wiedzy nie tak dawnym; że wreszcie sposoby zlokalizowania zgubnych skutków epidemii są zdobyczą uczonych naszego wieku. Kilka luźnych dat objaśni nam to lepiej. Wszak odkrycie anatomicznej budowy ścian żołądka, bez którego nie rozumielibyśmy znaczenia jego gruczołów, odnosi się do roku 1836; pierwsze fizyologiczne doświadczenie nad własnościami soku żołądkowego, wylewającego się z przypadkowo powstałej rany brzusznej, do roku 1834; pierwsze chemiczne prace nad składem tego soku, do okresu czasu między rokiem 1836 a 1852; pierwsze zapuszczenie sondy do żołądka człowieka, bez której dziś i chorób nie moglibyśmy rozpoznawać za życia i udzielać niektórych leków, do r. 1822; pierwsza operacya chirurgiczna wreszcie, śmiało wycinająca kawałek schorzałej ściany żołądka, do r. 1879. Dodajmy wreszcie, skorośmy mówili o cholerze, że wiekopomne dzieło odkrycia przez Kocha mikrobu, będącego przenośnikiem tej choroby, oraz praw życia i śmierci tego mikrobu, datuje się roku 1883, a będziemy chyba mieli wystarczający obraz tego, co wiedza lekarska w wieku XIX. zrobiła w kierunku zbadania normalnych i chorobowych czynności narządu trawienia. Powoli, wśród łącznej pracy wszystkich gałęzi teoretycznych i praktycznych, wyłaniało się odkrycie z odkrycia i z dawnych spostrzeżeń spostrzeżenie nowe; a choć każdy uczony w swoim wyłącznie pracował zakresie, zaczepiały się fakta o fakta i obserwacye o obserwacye, a na tle tem wspólne wyrosły prawa.

Jako trzeci i ostatni przykład podkreślić chcę na tem miej-

scu odkrycia naukowe, odnoszące się do gruczołu szyjnego, tarczykowym zwanego, o którym w mowie potocznej wspominamy zwłaszcza wtedy, gdy jest znacznie powiększonym, i mianujemy go nazwą „wola“. Ktokolwiek podróżował po Szwajcaryi, widział pewnie w niektórych kantonach cierpiących na taki rozrost gruczołu „kretynów“, u których obok tego nagminnie rozpowszechnionem jest częściowe lub zupełne przytępienie władz umysłowych; podobny zresztą obraz przedstawiają „matołki“ w niektórych okolicach Galicyi. Oddawna też nauka zwróciła uwagę na ten dziwny organ i starała się wytłumaczyć związek jego czynności z funkcyami intellektualnemi. Anatomia zbadała tedy kształt i budowę gruczołu; fizyologia łamała sobie głowę nad tem, czy on co wydziela, czy też liczne naczynia krwionośne, przez jego miąższ przechodzące, służą do regulowania dopływu krwi do mózgu; patologia określiła dokładnie zmiany, zachodzące w pewnych chorobach w konsystencyi gruczołu i zawartości jego komórek, a bakteryologia wreszcie zajęła się zbadaniem pasożytów chorobotwórczych, mogących się w tym gruczole zagnieździć. Dopiero medycyna praktyczna jednak, opierając się na badaniach teoretycznych, wywnioskowała z własnych spostrzeżeń pewne dane, które zupełnie inne na tę kwestyę rzuciły światło. Okazało się bowiem, że wycięcie powiększonego gruczołu prowadzi wtedy do zapadu sił lub śmierci, gdy go się wyjmie całkowicie; zostawienie zaś pewnej części w ustroju, wszycie kawałeczka gruczołu, zwierzęcego pod skórę lub podawanie przetworów z takiego gruczołu, pozostawia przy życiu i pełni sił umysłowych. Rezultatem tych odkryć był nowy szereg badań nad chemicznym składem tej istoty, przez gruczoł wydzielanej, której minimalne nawet ilości do utrzymania życia są potrzebne i zdatne. Badań tych, będących po części jeszcze w toku, przytaczać tu nie mogę ze względu na ich specyalny charakter; niech to jednak wystarczy do ogólnej wiadomości, że dziś z jednej strony używamy w medycynie praktycznej szeregu wyciągów i przetworów gruczołowych, będących dzielnymi środkami leczniczymi w pewnych stanach chorobliwych, a z drugiej strony wiemy, iż niektóre gruczoły, o czynności dla nas dotąd zagadko-

wej, wydzielają pewne soki dla życia niezbędne, których zadaniem jest utrzymywanie czynności odżywczej tkanek lub wpływanie na natężenie i przebieg funkcyi układu nerwowego, kierującego życiem ustroju. Przykład powyższy przytoczyłem dla objaśnienia, iż w danym wypadku punktem wyjścia odkryć były spostrzeżenia medycyny praktycznej, które w logicznym zestawione związku z wynikami teoretycznych badań, prowadzą do zdobyczy naukowych, rosnących dziś jeszcze z dniem każdym.

Przykładów kilka, przytoczonych powyżej, miało na celu, jak powiedzieliśmy, wykazanie związku, istniejącego między poszczególnemi gałęziami wiedzy lekarskiej i wspólności dążeń, będącej warunkiem i rękojmią prawdziwego postępu. To z tej, to z drugiej nauki wychodzi impuls do zbadania pewnej kwestyi; ani kroku naprzód jednak nie zrobi nikt bez użycia nauk pomocniczych i pokrewnych, bez wezwania współtowarzyszy broni na pole walki, bez harmonijnego zespolenia wszystkich środków naukowych. Pomimo pozornej walki chwilowych nieprzyjaciół, zarysowuje się coraz wyraźniej ta harmonia praw fundamentalnych i prawd wiekuistych, a ktokolwiek uważnie się przypatrzy pracującym od wieków uczonym w wielkim warsztacie nauk lekarsko-przyrodniczych, przyznać musi, iż adepci różnych gałęzi podobni są do robotników, kopiących we wspólnej kopalni, choć w różnych idą kierunkach; nasłuchując wzajemnie uderzenia młotków i ku jednemu dążąc celowi, oczekują z niecierpliwością dnia, w którym się spotkają ich ręce i w jedną całość zleje się ich praca. Tak i w medycynie, teoretyk i praktyk, anatom i fizyolog, chemik i patolog, internista i chirurg różnemi drogami dążą do jednego celu, którego wzniosłość wszystkim zarówno leży na sercu, a którego szybkie osiągnięcie wspólną tylko uwarunkowane jest pracą.

Wśród dwóch biegunów jednej wielkiej, wspólnej drogi, obraca się ta praca: jednym biegunem jest to, co znane, co należy do nas i leży w doświadczeniu wieków, drugim biegunem to, co nieznane, co niepokoi i nęci, a do czego dąży rozum, doświadczeniem wsparty, w odwiecznej pogoni za prawdą. Prawda ta jednak jest jedną i niezmienną, a w jej wiekuistem

ognisku zestrzelić się muszą kiedyś trudy pokoleń i praca wieków. Obyśmy tylko, działając mądrze i bez zaślepienia, umieli korzystać ze zdobyczy tych, o których powiedział poeta:

Żywi nas zasób pracy plemion długiej,
Ich trud i sława istnienie nam krasi;

obyśmy także do duchowego dorobku przeszłości dodawali ciągle, w miarę sił i możności, własną cegiełkę, bądź to pracą własną, bądź też poparciem cudzej, jeśli chcemy, aby się sprawdziła druga połowa zwrotki:

A z naszych czynów i z naszej zasługi
Korzystać będą znów następcy nasi.

Dr. J. Zanietowski.

Z PODRÓŻY DO BRAZYLII.

Plantacye kawowe w stanie S. Paulo.

Krzew kawowy, zawieziony do Brazylii w przeszłem stuleciu, wyrugował w ostatnich latach z podzwrotnikowej strefy tego kraju nieopłacającą się dostatecznie po zniesieniu niewolnictwa kulturę bawełny i trzciny cukrowej, a gorączka kawowa, niegorsza od gorączki złotej, przyprawiła już o ruinę setki plantatorów i wywołała kilka bardzo dotkliwych dla finansów brazylijskich krachów giełdowych.

Kawa *(coffea arabica)*, udaje się najlepiej w klimacie nietyle gorącym, ile niezbyt wilgotnym, dlatego też w regionach równikowych Ameryki, z wyjątkiem okolic suchych, jak górskie okolice Ekwadoru lub wyżyna Wenezuelska, nie uprawia się na większą skalę; mrozów nie znosi, lecz dojrzewa nawet w klimatach bardzo umiarkowanych, jak na wyżynie Quito, na wysokości 10.000 stóp, przy temperaturze nieprzekraczającej 20° C. w największe upały, a spadającej często do +2—3°.

Od lat kilkunastu gorączkowo rozpowszechniono kulturę tej rośliny w stanach brazylijskich Sao Paulo i Minas Geraes, a to do tego stopnia, iż wskutek nadmiernej produkcyi i braku zbytu, ceny tego artykułu, jak zobaczymy niżej, bajecznie spadły. Z bardzo małymi wyjątkami cała produkcya pozostaje w rękach wielkich właścicieli ziemskich *(fazendeiros)*, uprawa bowiem jest bardzo kosztowna.

Do uprawy kawy nadaje się najlepiej t. zw. w Brazylii *terra roxa*, ciemno-czerwona, ciężka glina, powstała ze zwietrze-

nia skał wulkanicznych, dyabazów, bazaltów i melafirów. Glina ta znajduje się obficie zwłaszcza w zachodniej, dotąd prawie nieznanej i bezludnej połowie stanu Sao Paulo.

Roślina sama przedstawia się jako krzew lub nizkie drzewko, 2—3 metrów wysokie, o rozłożystych gałęziach i gęstym ciemnozielonym liściu. Kwiaty są białe, bardzo aromatyczne, owoce są to jagody barwy czerwonej, siedzące pierścieniami naokoło gałązek. Każda jagoda zawiera dwie pestki; jeżeli pestki są zrośnięte w jedną, kawa nazywa się „mokka", jakkolwiek nigdy Arabii nie widziała.

Chcąc się zapoznać ze sposobem uprawy i handlu kawowego, przenieśmy się od razu na jedną z wielkich plantacyj czyli *fazendas,* położonych w głębi prowincyi, o dzień drogi koleją od stolicy stanu.

Plantacya istnieje od lat kilkunastu i rośnie z każdym rokiem, zagarniając coraz nowe obszary niegdyś dziewiczego lasu.

Przygotowanie pola do uprawy na dziewiczym gruncie nie jest tak łatwem. Kolonista, osiedlający się wśród puszczy, nie potrzebuje i nie ma zwyczaju karczować wyciętej poręby; sadzi swoją kukurudzę czy maniokę pomiędzy opalonymi pniami, dopóki po kilku latach uprawy i corocznego wypalania „rossy", pnie te same z pola nie znikną. Interes kawowy zbyt jest rentowny, aby się czekać opłaciło; należy nietylko las wyciąć i wypalić, ale oczyścić pole, jak w Europie, do najstaranniejszego siewu, a praca to nielada, skoro zważymy, że pod plantacye wybiera się nie lekkie grunta, porosłe łatwym do wykarczowania lasem araukaryj lub bambusów, ale najżyźniejsze kawałki ziemi, porosłe potężnymi pniami palisandru, mahoniu, imbuyas, canelas, jacaranda, cabriuva i innych drzew, twardych jak żelazo, na których siekiery się szczerbią, a ogień chwytać ich nie chce.

Do pracy tej nie używa się t. zw. „kolonistów" czyli robotników familijnych, osiadłych na plantacyi, na warunkach, które niżej wymienię, lecz parobków, podzielonych na robotnicze brygady *(turmas),* za opłatę 75—80 milrejsów miesięcznie i wikt wynajmowanych czasowo. Nowoprzybyli emigranci nasi, których próbowano wielokrotnie używać, nie okazali się dość

wytrzymałymi, głównie z powodu nieznośnych upałów, do których latami przywykać trzeba. Polscy osadnicy z kolonij Capivary i Rio Pequeno, po zaaklimatyzowaniu się w okolicy, pozbyli się już uprzedzeń do plantacyj kawowych i nauczywszy się robić tak samo, jak inni, chodzą z kolonii na czasowe zarobki do wielkich *fazendeiros,* unikając jednak starannie drobnych obywateli, polujących na wyzysk niedoświadczonych emigrantów europejskich. Główną masę robotników plantacyjnych stanowią wszędzie Włosi, zwłaszcza Lombardczycy i Wenecyanie, lud krzepki, pracowity i oszczędny, z którymi nasi ludzie rywalizować nie mogą.

Oprócz brygad robotniczych do karczowania nowin leśnych, plantacya zatrudnia znaczną liczbę woźniców do zwożenia kawy z plantacyi, wolarzy, parobków folwarcznych i t. p. Płaca ich wynosi tyle, co robotników dziennych, tylko woźnice i palacze otrzymują o 10 milrejsów miesięcznie więcej.

Sam folwark, obejmujący zabudowania, jak suszarnie, sortownie i t. d., zatrudnia wszelkiego rodzaju rzemieślników: stolarzy, kamieniarzy, kowali, mechaników. Zarabiają oni po 4—6 milrejsów dziennie oprócz wiktu. Główny mechanik dostaje 400 milrejsów miesięcznie i mieszkanie.

Fazenda, którą biorę na wzór do opisu, położona w pobliżu stacyi Araquara, jest własnością d-ra Alfreda Ellis. Posiada ona posadzonych 800.000 krzewów kawowych i zatrudnia około 1.000 ludzi, wyłącznie Włochów z Lombardyi i Trentynu. Murzyni, po uwolnieniu, wszyscy prawie się wynieśli do miasta, pozostało tylko kilka sług do domu przywiązanych, z któremi stosunek panuje patryarchalny. Inwentarz roboczy wynosi 150 wołów i 30 mułów.

Plantacya cała jest podzielona na sekcye po 1.000 drzewek i pozostaje pod wyłącznym dozorem t. zw. „kolonistów“, którzy zastąpili dawnych niewolników czarnych i mieszkają w domkach po nich pozostałych. Fazenda d-ra Ellis posiada 40 rodzin takich „kolonistów“ włoskich. Robi ona wrażenie naszego dworu wiejskiego, pominąwszy zastosowaną do gorącego klimatu, przewiewną architekturę domu mieszkalnego i odmienne

przeznaczenie budynków folwarcznych. Oprócz domu mieszkalnego i czworaków dla folwarcznej służby, widzimy szopę z maszyną do płukania i wyłuskiwania ziarn kawowych, budynek z sortownią, oraz obszerny, twardo ubity tok do suszenia wypłukanej kawy. Nieco opodal ciągnie się długi szereg porządnych, białych domków, krytych czerwoną dachówką na sposób włoski; są to mieszkania niegdyś niewolników, dzisiaj „kolonistów“ włoskich. Domki czyste i porządne, składają się z dwu izb i kuchni; przy każdym widnieje chlew, w którym koloniści tuczą znaczną ilość wieprzy na swój użytek. Na fazendzie Ellisa 40 rodzin włoskich trzymało niemniej jak 500 wieprzy. Oprócz nierogacizny trzymają oni wiele drobiu i trochę kóz. Bydła rogatego i koni bardzo mało, choć wolno kolonistom trzymać ich dowolną ilość, gdyż wypas mają bezpłatny.

Warunki kontraktowe, na których koloniści bywają osiedlani, są następujące: Każdy kolonista obowiązuje się dozorować pewnej części plantacyi sobie powierzonej (oddają im je we wrześniu, po ukończeniu zbioru), utrzymywać w porządku drzewka kawowe, 5 razy do roku całą przestrzeń sobie powierzoną wypleć, wreszcie zebrać owoc na swoim gruncie i złożyć w małe kopce, których zwiezienie do dworu, należy do obywatela. Gdyby nie upał nieznośny, osłabiający niezmiernie robotnika europejskiego, praca ta nie byłaby trudną. Jest to prosta robota ogrodnicza, w której i dzieci bardzo są pomocne, zwłaszcza podczas zbioru, trwającego kilka miesięcy. Na części plantacyi, zasadzonej młodemi drzewkami, nieowocującemi do trzeciego roku, kolonista ma obowiązek zasadzić dla ochrony od słońca rzędy kukurudzy pomiędzy rzędami kawy; ta kukurudza jest jego własnością. Na całym zresztą obszarze plantacyi wolno mu pomiędzy drzewami kukurudzę i fasolę czarną sadzić. Pośród plantacyi rozrzucone drzewa pomarańczowe są również własnością kolonistów, którzy pomarańczami wieprze karmią; obfitość owocu jest atoli taka, że ani setnej części zużytkować nie mogą; reszta gnije na polu. Oprócz tego dostaje kolonista kawał ogrodu na własny użytek i wolny wypas na całym niezajętym

przez plantacyę obszarze. Nie wolno mu tylko pod żadnym pozorem sadzić kawy na własny użytek.

Za pielenie powierzonych sobie drzewek otrzymuje kolonista płacę w ilości 90—100 milrejsów rocznie od każdego tysiąca (rodzina złożona z dwojga ludzi dorosłych może łatwo dozorować 3.000 drzewek), nadto tantyemę od zebranej na jego gruncie kawy w ilości 700 reisów (35 cnt. w. a.) za *alquieire*, czyli $^1/_2$ buszla jagód. Ekonom, przyjmujący przygotowane do zwózki kopce, mierzy je i zapisuje na rachunek kolonisty. Tantyema od zbioru bywa zmienną, stosownie do cen kawy, urodzaju, oraz okoliczności, czy kolonista ma działkę wolną od drzewek młodych, czy też pewną część, zazwyczaj jedną trzecią krzewów nieowocujących; w tym drugim wypadku pobiera opłatę wyższą.

Wysokość zarobku w gotówce ocenić najlepiej można z dwu rachunków, najniższego i najwyższego, jakie w księgach plantacyi znalazłem:

I. Ghidelli Luighi	**winien**	**ma**
Saldo	37.200 reis.	
2 pielenia		116.000 reis.
Gotówką wypłacono	54.000 reis.	
Trzecie pielenie		58.000 „
Rachunek sklepowy	69.700 „	
Czwarte pielenie		58.000 „
Gotówką wypłacono	110.000 „	
Wóz kukurudzy	5.000 „	
Tantyema za 662 alquiery kawy		355.600 „
Piąte pielenie		58.000 „
Gotówką wypłacono	360.000 „	
Suma	645.000 reis.	645.000 reis.

Liczba drzewek dozorowanych 3.000.

II. Biason Giuseppe

Dozorował 6.000 drzewek.

Dwa pielenia	289.700 reis.	
Trzecie pielenie	144.870 „	
Czwarte pielenie	144.870 „	
Za 2.018$^1/_2$ alquierów zebranej kawy	1,078.150 „	
Piąte pielenie	144.870 „	
Suma	1,802.500 reis.	(1.800 koron).

Kwota ta, jakkolwiek znaczna, sama przez się na życie nie wystarcza, z powodu niesłychanej drożyzny artykułów spożywczych, których zajęci kawą plantatorowie wcale nie produkują. Zapobiegliwy kolonista stara się zatem przez zarobki uboczne, przedewszystkiem z chowu wieprzów, mających zawsze dobry odbyt na słoninę, oraz przez sadzenie kukurudzy, fasoli i warzyw na swój użytek, uwolnić się od konieczności kupowania tych artykułów za gotówkę w sklepiku, będącym zazwyczaj własnością obywatela.

Pracowici i oszczędni Lombardczycy po 5—6 latach odchodzą zazwyczaj do kraju z kapitalikiem 5—10 tysięcy franków, zarobionych na plantacyi. Dla wychodźców naszych cyfry powyższe nie są miarodajnemi, a to z dwóch powodów: najprzód emigrant polski potrzebuje przynajmniej trzech lat do całkowitej aklimatyzacyi, podczas których nie może równie intenzywnie pracować, jak Włoch, który do klimatu już w pierwszym roku przywyka; powtóre, nieobeznani z językiem i nikomu niewierzący robotnicy nasi, zrażają się przy pierwszym obrachunku rocznym: gdy zamiast zarobku wykazują im długi, uważają to za oszustwo ze strony obywatela i porzucają pracę. W rzeczywistości, obywatele, nie mając możności zmusić robotnika do pozostania na plantacyi w czasie roboczym, prawo bowiem zakazuje w tym względzie kontraktów piśmiennych, i w razie zerwania umowy staje zawsze po stronie robotnika, usiłują zatrzymać swoich ludzi obfitemi zaliczkami, trzymając ich w nieustannym długu; Włosi, którzy umieją rachować, na tę sztuczkę się nie łapią; nasi wpadają w pułapkę, z której po kilkoletniej nieraz pracy, bez grosza, porzuciwszy manatki, uciekają.

Wspomniałem wyżej o aklimatyzacyi. Nie znaczy to, aby klimat w okolicach kawowych stanu Sao Paulo był zabójczym, owszem nazwać go dość zdrowym nawet można, jakkolwiek po miastach dość często zawleczona grasuje żółta febra; dla naszych jednak ludzi gorąco jest nadmierne i tylko koloniści, którzy tutaj kilka lat już przebyli, zdolni są do pracy intenzywnej na równi z Włochami i Niemcami.

Ale wróćmy do fazendy i przyjrzyjmy się dalszym losom zebranej z plantacyi kawy.

Poobrywane z krzaków jagody, częścią dojrzałe, częścią jeszcze całkowicie zielone, częścią już uschłe i zmiecione z ziemi, zwożą się wielkimi dwukołowymi wozami do fazendy i wrzucają w cementowany zbiornik z bieżącą wodą; jagody suche zostają na wierzchu i razem z wodą przepływają górą do następnego rezerwoaru; jagody świeże, zwane „wiśniami“ *(cereia)*, toną w pierwszym zbiorniku, zwanym „tanque“. Jagody suche, zebrane w drugim zbiorniku, po przepłukaniu wynoszą koszami na tok, „tereiro“, gdzie schną przez 10—12 dni na słońcu; suszenie wymaga wielkich ostrożności i znacznej liczby robotników, którzy rozgartują kawę płaskiemi łopatami, przewracają, i w razie deszczu cały tok szybko przykrywają wielkiemi płachtami z nieprzemakalnego płótna.

Jagody, pozostałe w pierwszym zbiorniku, przechodzą stamtąd dolnym kanałem do maszyny, zwanej „despulpador“; jest to walec kauczukowy, połączony z podziurawioną miedzianą blachą; jagody wtłoczone pod walec miażdżą się, a ziarna wyłuszczone spływają do osobnego zbiornika *(tanque)*. W tym zbiorniku kawa pozostaje przez 36—40 godzin dla fermentancyi. Po fermentacyi przechodzi do nowego zbiornika z wodą, gdzie ziarna są płukane i mięszane łopatami, poczem rozpościera się je dla pierwszego suszenia na toku cementowanym przez 24 godzin, później przenosi się na tok ceglany i suszy, poruszając kilkakrotnie codzień, przez dni 8—9.

Jagody suche, zebrane z pierwszego zbiornika i przesuszone w suszarni *(tulha)*, pochyłemi korytami przechodzą do wentylatora *(ventiladór de coco)*, stąd przewodami, jak ziarno do mlewa, przenoszą się do specyalnej maszyny *(descascadór)*, łuszczącej ziarno z uschniętej jagody. Z „descascadora“ innymi przewodami zsypuje się oczyszczone ziarno do drugiego wentylatora podwójnego *(ventilador dobrado)*. Oczyszczone w sposób powyższy, wysuszone i przewiane ziarno kawy obu gatunków, tj. jagody świeżej i suchej, zsypuje się do maszyny sortującej. Jest to olbrzymi walec z miedzianej blachy, którego pojedyncze

pasy pokrywają różnej wielkości i kształtu dziurki; maszyna podobna z urządzenia do przyrządu używanego w Europie do sortowania kartofli: z każdej strefy dziurek pewnego kształtu prowadzi drewniane koryto do zasieków, gdzie już gotową do sprzedaży przesortowaną kawę pakują w worki. Najlepsze gatunki wybierają się jeszcze ręką, oczyszczając z ziarn zbyt zielonych lub zczerniałych.

Kawa brazylijska posiada ziarno spore, dość płaskie, barwy zielonkawej. W handlu kupujemy u nas niemal wyłącznie kawę z tego kraju pod najrozmaitszemi nazwami. W Brazylii odróżniają następujące gatunki:

Najdroższą jest *cafe chato superior*, najtańszą *cafe miudo;* po średnie między temi są: *cafe mokka, chato grosso* i *chato bom.*

Wszystkie te „gatunki“ rosną na jednem drzewku i są tylko produktem sortowni. *Mokka* np. nie jest niczem innem, jak ziarnem anormalnem, w którem dwa ziarnka, zwykle w jagodzie zawarte, zrosły się w jedno, walcowatego kształtu. Różnica ceny pomiędzy najdroższym *(chato superior)* a najtańszym gatunkiem *(cafe miudo)* pozostaje w stosunku 13 : $9^1/_2$ milrejsów za 10 kilogramów[1]. Jednostką sprzedażną jest „worek“, mierzący 4 „arrobas“ czyli 60 kilogramów. W plantacyi przy wypłatach obliczają na „alquieres“ czyli miarę po 50 litrów.

Chcąc dać pojęcie o kosztach handlowych i zyskach plantatora, podaję rachunek frachtowy z plantacyi Santa Eudoxia w stanie S. Paulo, odległej o 1—2 godzin jazdy koleją od stolicy, a o 16 godzin od portu Santos:

W Santos sprzedano 15.600 kg. kawy rozmaitego gatunku (przeciętna norma plantacyi) w cenie od 13—$9^1/_2$ milrejsów za 10 kg. za łączną kwotę 18,189.000 reis.

Fracht kolejowy	1,588.000 reis.
Fracht w przystani	130.000 „
Prowizya agenta 3%	565.670 „
Razem	2,260.750 reis.

czyli, po odtrąceniu kosztów, 15.900 milrejsów za 15.600 kg., okrągło 1 milrejs za kilogram oczyszczonej kawy.

[1] Cena portowa w r. 1896.

Wydatki roczne fazendy, posiadającej 800.000 drzewek, z tych około 300.000 młodych, nieowocujących, wynoszą 200—300.000 milrejsów (koron). W stosunku do wyłożonych kosztów, przy cenie kawy, powyżej podanej, czysty zysk plantatora dochodzi do 30% od włożonego kapitału. Przed kilkoma laty dochodził do 80%!

Zdawałoby się, że tak olbrzymie zyski zapewniają powodzenie przedsiębiorstwom, tymczasem plantatorom grozi krach nieunikniony, a to z powodu, iż zaledwie kilkunastu milionerów prowadzi uprawę za gotówkę własną, znaczna zaś większość żyje kredytem, łatwym co prawda, lecz nadzwyczaj drogim. Agentury handlowe i banki w Santos, dają mianowicie plantatorom zaliczki na kawę, któremi się wszystkie wypłaty bieżące pokrywa, jednakże na stopę 3% miesięcznie, to znaczy, że przy zysku tylko 30%, plantator, pracujący za cudze pieniądze, jest zupełnie zrujnowany — co też i stało się z wszystkimi niemal drobnymi producentami bez gotówki, a zdziczałe plantacye kawy, zarosłe lasem, jakie się zwłaszcza we wschodniej części stanu Sao Paulo i w stanie Rio Janeiro bardzo często widzi, są tego wymowną ilustracyą: kawa jest, ale niema ani robotnika czem zapłacić, ani za co drogich maszyn kupić.

Drobny właściciel, np. kolonista, z wielu względów kawy uprawiać nie może, przynajmniej w Sao Paulo: nasamprzód ziemia, zdatna do uprawy tej rośliny, wskutek ogromnego na nią popytu, dochodzi do bajecznej ceny 2.000 franków za „alquiere“ (2½ hektara), podczas gdy tuż obok, grunta, nadające się do wszelkiej innej kultury, lecz do kawy niezdatne, liczą się po 30—50 franków. Powtóre, kolonista nie jest w stanie bez maszyn ani oczyścić, ani przesortować ziarna, oczyszczanie bowiem rękami nadzwyczaj żmudne, nie może wytrzymać konkurencyi z jedną maszyną, łuszczącą 1.000 buszli dziennie, a sortowanie bez przyrządów jest wprost niemożliwe; kawy zaś niesortowanej żaden kupiec nie przyjmie. Widziałem przykład tego wymowny w Santa Catharina, gdzie koloniści uprawiają kawę, nie mogąc na nią, pomimo bajecznie nizkiej ceny, znaleźć zbytu. Dodajmy jeszcze okoliczność, iż wielki producent ma w ręku

nietylko forsę pieniężną, ale i cały handel kawowy, rywalizacya więc z nim jest dla kolonisty wręcz niemożliwą, pozostaje mu chyba ewentualność sprzedawania swojej kawy plantatorowi po dowolnie naznaczonej, bardzo nizkiej cenie, co się stanowczo nie opłaca.

Rozpisałem się obszerniej o tym przedmiocie z powodu, iż werbownicy robotników plantacyjnych do stanu Sao Paulo i Minas Geraes, jako główny artykuł produkcyi zachwalają kawę, a wielu ludzi nieświadomych mniema, iż mogliby ją na własnych koloniach uprawiać.

Stosunki klimatyczne w kawowym regionie stanu Sao Paulo nie są ani najgorsze ani też dobre: endemicznych chorób niema, oprócz bardziej przykrej, niż niebezpiecznej choroby aklimatyzacyjnej i niemiłych pcheł ziemnych, tylko dla nowicyuszów uciążliwych; brak jednak odpowiednich urządzeń sanitarnych sprawia, iż niechlujni robotnicy włoscy zawlekają często epidemię żółtej febry z gorącego pomorza w góry, przyczem jest uderzającym szczegół, iż epidemia ogranicza się wyłącznie do miast, i wyłącznie niemal do dzielnic, przez Włochów zamieszkałych. Polacy okazali się dość na tę chorobę odpornymi.

Krótko mówiąc, stosunki zarobkowe robotników plantacyjnych nie są wcale tak opłakane, jak to usiłują przeciwnicy emigracyi wmówić, wymagają jednak: najprzód znajomości języka, a przynajmniej posiadania odpowiednich znajomości i stosunków, aby nie wpaść w ręce oszustów i wyzyskiwaczy; powtóre, przyzwyczajenia się do klimatu, zbyt dla nas gorącego.

Pierwszej ewentualności, podczas mego tam pobytu, zamierzano zaradzić w ten sposób, iż rodzaj kółek rolniczych, utworzonych w każdym powiecie, miał prowadzić księgę firmową wypłacalnych i rzetelnych plantatorów, które to spisy byłyby do przejrzenia w europejskich konsulatach [1]; do obywatela niezaprotokołowanego żaden świeży nie poszedłby emigrant, a na plantacyach wielkich milionerów zbyt wiele zależy na tem,

[1] Zanim to nastąpi, informacyj podobnych udzieli chętnie p. Stanisław Kruszyński, główny buchalter banku w Sao Carlos de Pinhal.

aby robotnika w stanowczej porze nie zabrakło, zbyt wielkie interesa są w grze, aby spekulowano na wyzysk robotników, mający ten niezawodny skutek, że po niejakim czasie plantator taki za żadne pieniądze robotnika nie znajdzie, oprócz nowoprzybyłych emigrantów, niemogących się poinformować o wypłacalności swoich chlebodawców.

Sprawa aklimatyzacyi jest trudniejszą, i tu leży szkopuł główny, dlaczego bardzo przez rząd stanu popierana immigracya robotników polskich, zrobiła zupełne *fiasco*. O ile w stanie Parana Polacy łatwo do cieplejszej nieco aury przywykają, o tyle w stanie Sao Paulo aklimatyzują się łatwo Włosi, z którymi i pod wielu innymi względami rywalizacya naszych robotników jest trudną — stąd całe Sao Paulo zalane jest Włochami, a inne narodowości odgrywają tylko podrzędną rolę.

Pozostaje mi jeszcze nadmienić słów kilka o koloniach rolniczych polskich w granicach tego stanu. Istnieje tylko jedna, chociaż nosi ona dwie nazwy: Capivary i Rio Pequeno, położona na szczycie gór Serra do Mar, wśród lasów araukaryowych, w pobliżu miasteczka Sao Bernardo. Łagodny klimat sprzyja uprawie wszelkich warzyw europejskich: kukurudzy, manioku, bawełny, tytoniu i herbaty chińskiej, której plantacye, dawne, zdziczałe spotyka się często w lesie. Natomiast nadmierna wilgoć, przeszkadza uprawie ziarna, niedającego się nigdy zebrać bez szkody; pomimo tedy zachęty ze strony rządu, premij płaconych i obietnic nagród, dotychczas wszelkie próby siania pszenicy i jęczmienia, dały bardzo liche rezultaty. Trochę lepiej udaje się żyto, ale i tutaj zbyt częste deszcze wiele wyrządzają szkody. Szkodnikami wielkimi są tu — jak w całym stanie — mrówki, których miryady niszczą wszystko. Za to warzywa wybujały do bajecznych rozmiarów: taką kapustę, jak w Capivary, u nas tylko na wystawach ogrodniczych oglądać można. Kapusta t. zw. włoska nie chce się zwijać w główki, lecz wybujała w zupełnie inaczej wyglądającą, wysokopienną roślinę — daje się używać na paszę dla koni i bydła. Kartofle, bataty, maniok, z owoców zaś: pomarańcze, *ameizas*, brzoskwinie, niekiedy (w zaciszniejszych miejscach) banany — udają się wybornie, lecz dla

braku dogodnej komunikacyi ze stolicą stanu, nie mają ceny. Brak tutaj jeszcze kupców pośredniczących w handlu warzywnym, nader korzystnym, gdyż w odległem zaledwie o kilka godzin drogi Sao Paulo, ceny są 3—4 razy wyższe, niż na kolonii. Wskutek braku zbytu na produkta rolnicze, koloniści polscy, przeważnie z Kongresówki pochodzący, trudnią się najwięcej wyrębem i zwózką drzewa do tartaków. Oprócz Polaków istnieje na kolonii kilkanaście rodzin Litwinów, Łotyszów oraz Rusinów galicyjskich. Placówka to stracona i niema przyszłości, chyba, gdyby Polacy zajęli góry na pograniczu stanu Parana, na co się jednak nie zanosi, jest to region, który prędzej czy później będzie czysto włoskim.

W samem mieście Sao Paulo istnieje, tak samo jak w Rio Janeiro, liczna gromadka polskich rzemieślników i robotników, zatrudnionych na przeróżnych fabrykach, przeważnie przędzalniach bawełny w mieście i okolicy. Ma ich być około 2.000; nie wiem, czy aż tyle się znajdzie, gdyż są po dalszych przedmieściach (Bom Retiro) rozrzuceni. Zarobki są niezłe, lecz drożyzna życia, wywołana gorączką kawową, tak wielka, że tylko lepsi fachowi rzemieślnicy mogą coś zaoszczędzić; wyrobnicy żyją z dnia na dzień, zaledwie opędzając z zarobku najkonieczniejsze potrzeby. Polacy w Sao Paulo posiadają towarzystwo polskie, niemające jednak dotychczas stałego lokalu; prenumerują trochę pism krajowych i polsko-amerykańskich. Do towarzystwa należą również i koloniści z Capivary. Brak dotkliwy księdza i szkółki polskiej, na którąby się środki z łatwością znalazły.

Jeżeli powyżej mówiłem wyłącznie o plantacyach kawy, pomijając stosunki na plantacyach trzciny cukrowej i bawełny, to głównie z tego powodu, iż zarówno jedne jak drugie w stanie Sao Paulo upadają coraz bardziej. Warunki pracy są na nich o wiele gorsze, z powodu bowiem mniejszych zysków, plantator nie może tak wysokich, jak przy kawie, dawać zarobków. Rodzaj zaś pracy jest przy plantacyach obu rodzajów mniej więcej podobny. Przy bawełnie trzeba pleć krzewy, sadzić młode

płonki na nowinie, zbiór zaś z nizkich krzewów jest bardzo prosty i nawet dzieci do tego użyte być mogą. Rozpęknięte owoce oczyszczają się maszynami z ziarna, które idzie do olejarni, włókna zaś w stanie surowym wysyłają do przędzalni lub do agentur portowych na wywóz.

Trudniejszą jest praca przy trzcinie cukrowej, wymagającej nader starannej uprawy, obrywania liści zwiędłych i uschłych — co przy bujnem krzewieniu się tej rośliny wiele zabiera czasu — uprzątanie tychże liści, cięcie wielkimi nożami i zwózka do cukrowni — wszystkie te roboty wykonywają się bądź na akord, bądź za płacę dzienną od 2—3 milrejsów. Dzisiaj w stanie Sao Paulo uprawiają trzcinę cukrową tylko na małą skalę, na użytek domowy plantacyj, pędząc z niej wódkę i warząc cukier, który się na prostej centryfudze odrazu rafinuje; odpadki, brunatnej barwy, bardzo aromatyczne, zawinięte w liście kukurudzy w kształcie małych czworokątnych cegiełek, stanowią pod nazwą *rapé* ważny artykuł miejscowego handlu, Brazylianie bowiem bardzo są łakomi na wszelkie słodycze, a „rapé“ uchodzi za narodowy cukierek bardzo lubiany.

Wobec okoliczności, iż emigracya osadnicza do stanów południowych, najkorzystniejsza dla rolników naszych, została na czas nieograniczony wstrzymaną dla braku środków na kolonizacyę, sądzę, iż szczegóły powyższe będą na czasie, gdyż, o ile słychać, rządy stanów Sao Paulo i Minas Geraes w dalszym ciągu sprowadzać zamierzają emigrantów z Austro-Węgier, pomiędzy innymi także z Galicyi; oczywiście tylko jako robotników na plantacye. Wszelkie obietnice agentów, że ich do Parany zawiozą, albo że im dadzą grunta w Sao Paulo, należy przyjmować z wielkiem niedowierzaniem; gdyż jakkolwiek obecny gubernator stanu Sao Paulo nosi się z myślą założenia pewnej liczby kolonij rolniczych, jakie istnieją dotąd w Capivary, Sabauna, Sorocaba i t. d., to jednak nasamprzód, kolonie te zamierzone są w bardzo drobnych rozmiarach, powtóre głównie liczą na Włochów, Szwajcarów lub Tyrolczyków, po trzecie wreszcie, projektowi temu niechętni są wielcy właściciele ziem-

scy, rządzący wszystkiem w stanie Sao Paulo, zarówno jak w Minas Geraes.

Na zakończenie pozwolę sobie dodać jeszcze słów kilka o stanie Minas Geraes, którego nie znam wprawdzie osobiście, lecz zebrałem o nim wiarogodne dane od ludzi miejscowych i emigrantów naszych, którzy w nim dłuższy czas przebywali.

Olbrzymi ten stan, graniczący od północy ze stanem Sao Paulo, jest najbardziej górzysty ze wszystkich stanów brazylijskich, stąd też odznacza się nadzwyczajną rozmaitością klimatu. Pasma górskie, zwłaszcza na południu i zachodzie, dochodzą w najwyższych szczytach do 3.000 metrów wysokości nad poziom morza, podczas gdy region północny i północno-wschodni leży całkowicie w niezdrowej i gorącej strefie kawowej. Górskie okolice pod względem klimatycznym odpowiadałyby wymaganiom rolników północnej Europy, jak wnosić można chociażby z flory leśnej, gdzie, jak w Paranie, przeważają araukarye; jednakże odległości od centrów zbytu są tak olbrzymie, zaludnienie tak rzadkie, iż o zyskach z rolnictwa chyba tylko w pobliżu wielkich miast mówić można. Dlatego też cała forsa właścicieli ziemskich w górskich okolicach stanu Minas Geraes, polega na ulepszeniu chowu bydła, odstawianego kolejami do Rio Janeiro na sprzedaż. Jest to jedyna w Brazylii okolica, gdzie bydło nie chowa się dziko bez dozoru na stepie, lecz jest ulepszane przez sprowadzanie rasowych reproduktorów z Europy, i chowane w sposób umożliwiający gospodarstwo mleczne na szeroką skalę. W wielkich „fazendas“ górskich, zatrudniają setki robotników — niemal wyłącznie jednak Szwajcarów i Tyrolczyków — przy gospodarstwie mlecznem i dozorze bydła. Rolnictwo w tych okolicach prawie nie istnieje, bydło zaś rasowe osiąga w Rio Janeiro tak wysokie ceny, iż obywatele kupują sami na domowy użytek mięso suszone *(charque)* z południowych stanów, jako znaczniej tańsze, cały zaś przychowek sprzedają do stolicy.

W okolicach natomiast gorących, w dolinach rzecznych północnej połowy stanu, panują stosunki plantatorskie w najgor-

szem tego słowa znaczeniu, a brak wszelkiej opieki prawnej, odległość od centrów miejskich, i wyzysk robotników ze strony plantatorów, o ile słyszałem, ma panować powszechnie. Klimat jest tam o wiele gorszy, aniżeli w Sao Paulo, a febry zarówno żółta jak przeróżne malarye, oraz brazylijska choroba „beri-beri“, panują tam stale.

Dr. Józef Siemiradzki.

ROKOSZ ZEBRZYDOWSKIEGO I JEZUICI.

(Ciąg dalszy).

Osobne poselstwo wręczyło *gravamina* rokoszowe królowi 13 września 1606 r. w Wiślicy, gdzie 38 senatorów, moc rycerstwa zawiązało konfederacyę przy królu przeciw rokoszowi sandomierskiemu [1].

Nazajutrz, 14 września, król zwołał najprzód radę senatu, a potem koło rycerskie do kościoła wiślickiego. Tu i tam rozbierano punkt po punkcie *gravamina* rokoszan. Jak przyjęto *gravamen* 28 przeciw Jezuitom, o tem mamy relacyę ks. Skargi.

Pisał do niego 5 sierpnia 1606 r. Akwawiwa, uwiadomiony o wiszącej nad polskimi Jezuitami burzy przez prowincyała

[1] Rokosz i konfederacya są dowodem wadliwej konstytucyi państwowej, radykalnem lekarstwem na choroby, których wadliwa konstytucya nie przewidziała, albo przeciw nim lekarstwa niema. Zawiązują się wtenczas, gdy sejmy i zwyczajne prawa okazują się niewystarczające. Nakładają one posłuszeństwo pod przysięgą marszałkom swoim; zawiesiwszy zwyczajne sejmy, legalne urzęda i sądy, biorą prawodawstwo, administracyę, sądownictwo, bezpieczeństwo granic i osób w swe ręce, nakładają i wybierają podatki, rozpisują zaciągi wojskowe w kraju i za granicą; komendę nad wojskiem odebrawszy hetmanom, chyba że ci do rokoszu lub konfederacyi przystąpili, oddają swoim hetmanom; marszałek i koło (wydział) jest najwyższą władzą u obojga. Różnica ta, że rokosz przybiera się w majestat Rzeczypospolitej, wiąże się p r z e c i w królowi i wogóle p r z e c i w naczelnikowi rządu i władzy prawowitej. Rokoszanin Szczęsny Herburt tak go określił: „Rokosz to jest sąd Boży z senatem i z złośliwymi ludźmi, z królem i z tymi, którzy króla podwodzą“. Konfederacya zaś wiąże się zazwyczaj przy królu i z królem a podczas bezkrólewia przy prymasie i z prymasem. Otóż zjazd

Strivera i przez samego Skargę [1], polecając mu, aby odwiedził niechętnych lub mniej chętnych zakonowi panów i dygnitarzy i nakłonił ich do obrony zagrożonego zakonu [2]. Uczynił to Skarga i listem z dnia 20 września 1606 r. zdaje sprawę jenerałowi z tych swoich odwiedzin, oraz z tego, co się pod Sandomierzem i w Wiślicy od 14 września działo. „Jesteśmy tu w Wiślicy z dzielnem i licznem bardzo wojskiem dla obrony królewskiej godności, ze wszystkimi prawie znaczniejszymi senatorami, i siedmiu biskupami i liczną a znamienitą szlachtą katolicką. Nieprzyjaciele też króla, których hersztami heretycy, rozłożyli się obozem o 12 mil stąd, pod Sendomierzem. Przez cztery prawie tygodnie układano się o pokój przez poselstwa. Ostatnie układy 16 września ten miały koniec: przysłali swoje warunki i posłów do Króla JM., ażeby je wypełnił natychmiast, jeżeli chce królować.

„Rozbierano je w senacie i uznano, że wiele z nich przeciwnych Bogu i królewskiej godności, wiele przeciw duchowieństwu i Kościołowi, ale też niektóre przeciw Towarzystwu (Jezuitom) srogie, fałszywe a niegodziwe. Dlatego też od wszystkich jednogłośnie warunki te potępione i odrzucone. Szlachta

---

sandomierski był przeciw królowi, postawił go w stan oskarżenia, wezwał go przed swój sąd i dlatego był rokoszem, był przeciw senatowi i sejmowi, i senatorów i posłów stojących przy królu, t. zw. „regalistów“, także przed swój sąd zacytował. Zjazd wiślicki stanął przy królu, w obronie majestatu i władzy królewskiej, w obronie ustaw i praw Rzeczypospolitej i dlatego był konfederacyą najlegalniejszą, jaka kiedy w Polsce zawiązaną była.

Czytaj wyczerpujące studyum Aleksandra Rębowskiego p. t. „Konfederacya i rokosz“.

[1] List Skargi z d. 29 lipca 1606 r., w którym uwiadamia jenerała o zamordowaniu Dymitra w Moskwie i wielu Polaków, o ocaleniu Jezuitów i dodaje: „Całe to polskie królestwo pełne jest buntów i tumultów przeciw Królowi JM. Niema nadziei tylko w modlitwach do Boga“.

Inny list Skargi z Wiślicy 14 września 1606 r., donosi jenerałowi, że rokoszanie 13 września przysłali swoich z punktami ugody (grawaminami) a senat teraz nad niemi deliberuje. *Archiv. Prov. Pol. Epistolae*, I.

[2] Do przyjaciół zakonu pisał także sam jenerał, prosząc o opiekę dla swoich i otrzymał przychylne odpowiedzi od kanclerza Pstrokońskiego 29 lipca 1606 r, od wojewody Jana Gostomskiego pod tąż datą.

zaś w kole swem zebrana, gdy je usłyszała, to artykułu przeciw Jezuitom ani odczytać nie pozwoliła.

„Tego więc samego dnia odprawiono ich posłów z surową reprymendą, że śmieli się domagać rzeczy przeciwnych prawom, ustawom, a nawet zdrowemu rozsądkowi i niegodziwych. Rozkazano im broń złożyć i udać się do zwyczajnego wszystkich chorób państwowych lekarstwa, na sejm, który wnet zostanie zwołany, bez żadnego hałasu zbrojnego. Zawiązano też konfederacyę (pod laską Adama Sieniawskiego) wszystkich przeciw nim, że jeżeliby nie usłuchali, uważani będą za buntowników i nieprzyjaciół ojczyzny.

„Oto pierwsze fundamenta obrony, danej od Boga Towarzystwu naszemu, przez tych heretyków tak srodze udręczonemu. Dziękować (Bogu) należy, że taką pieczę ma o nas i niewinności sług swoich broni. Ponieważ zaś nadchodziła niedziela 17 września, więc za pozwoleniem Króla JM. i biskupów, na kazaniu, mianem wobec bardzo licznej szlachty, senatorów i króla, zbiłem wszystko, co przeciw nam zarzucali. Przyjęto słowa moje przy pomocy bożej z wielkim aplauzem i ukontentowaniem; pisze o tem O. Bartcz, który słyszał. Co mówiłem, ogłoszę drukiem, jeżeli starsi pozwolą.

„Stosownie do rady Przewielebności Waszej zniosłem się z niektórymi podejrzanymi mi magnatami ustnie i listownie, między tymi z kasztelanem krakowskim, pierwszym senatorem świeckim[1]. Odpowiedział łaskawie i przyrzekł wziąść w obronę Towarzystwo. List jego posyłam O. Prowincyałowi".

Opowiedziawszy potem krótko, dla informacyi jenerała, znaną nam już genezę rokoszu i główną w nim rolę heretyków, odsłania szczegół ciekawy, tłumaczący oną nienawiść Jerzego

[1] Książe Janusz Ostrogski kaszt. krak. nawrócił się z schyzmy na dworze Rudolfa II., i siła prześladowania wycierpieć za to musiał od ojca swego księcia Konstantego, i jako gorliwy katolik był przyjacielem Jezuitów. Wątpliwym wydał się ks. Skardze dlatego, że będąc wujem marszałka rokoszu księcia Janusza Radziwiłła, potakiwał jego robotom, byle ten nic przeciw królowi nie przedsiębrał. W danej chwili odegrać chciał rolę pośrednika między królem a rokoszem, i nie oświadczywszy się za żadną stroną, bywał na zjazdach w Stężycy, pod Lublinem i Sandomierzem, ale

księcia Zbaraskiego, z jaką ten magnat ścigał zakon przez całe lat dziesiątki. Oto rokoszanie heretycy wciągnęli tego księcia do swej antyjezuickiej planty i jako katolika postanowili użyć za swe narzędzie przeciw Jezuitom. „Książe — donosi Skarga — jest nam i zakonowi od dawna nieprzyjazny, bo twierdzi, że zmarły przed siedmiu laty O. Bernard (Gołyński, spowiednik królewski) obraził go, obmawiając go przed królem JM., a on nie mogąc się zemścić nad umarłym, mści się na nas wszystkich. Ten więc książe niewielu i nie bardzo gorliwych katolików (rokoszan) tak przeciw zakonowi rozjątrzył, że niektórzy kłamstwom jego uwierzyli. Zarzucał zaś te zbrodnie: Jezuici zdrajcami ojczyzny, bo przez swoich przełożonych cudzoziemców znoszą się z królem, aby oddać Polskę Austryakom; całe królestwo burzą, w kazaniach króla do *absolutum dominium* namawiają; prawa krajowe ganią, na dworze królewskim do spraw świeckich się mięszają i wszystko w pałacu, gdzie wiecznie przesiadują, dzieje się według ich woli; Dymitra Moskala wtrącili w takie niebezpieczeństwa i każń taką; z wielu ich też państw wypędzono. Te i tym podobne rzeczy prawił katolikom a siebie udawał za najlepszego katolika. Użyli tego fortelu heretycy, widząc umysły usposobione po temu, ażeby sami przeciw nam, co się im zda, uchwalili, a z siebie zrzucili podejrzenie, że nie z nienawiści religijnej to czynią. Znalazło się jednak sporo najzacniejszych katolików, którzy artykułom przeciw nam spisanym, ostro oponowali, jak Jędrzej Stadnicki ze Żmigrodu, Stanisław Wapowski, Mielżyński (Mielsinius), Zaręba i inni, ale zakrzyczeli ich heretycy i ich zwolennicy".

Kończy: „Nie ma się więc co strachać Przewielebność Wasza. Wszystko ocalone. Święte Towarzystwo nasze dobrze tu

---

i w radach senatu wiślickich brał czynny udział. Proteuszem go też zwała szlachta rokoszowa. Gdy jednak marszałek Radziwiłł na czele poselstwa rokoszan przybył do Wiślicy i domagał się od króla amnestyi dla wszystkich, zwrotu kosztów na wojska rokoszowe łożonych, zgromił go książe Ostrogski i zerwał z rokoszem, ale też i królowi nie sprzyjał szczerze i hufiec swój zbrojny zawrócił z drogi do Janowca. Łubieński, *De motu civili*, 83, 87. — Niesiecki, VII, 187.

usadowione i użyźnione. Przeciw Bogu i królowi i całemu duchowieństwu podniesiono wojnę. Jak to się ostatecznie skończy, Opatrzności Bożej to polecamy. Broni nie złożono, pokoju jeszcze nie zrobiono. Dzielić będziemy niebezpieczeństwa wszystkiego królestwa, dopokąd Pan nie powie burzy: przełam tu nadęte nawałności twoje, jak Przewielebność Wasza nas pociesza".

Do listu dodane *post scriptum:*

„Skoro Bóg albo pokój, albo spokojniejsze czasy przywróci, zapytuję pokornie, czyby nie było stosowne, ażebym się od dworu usunął? Na razie to czynić nie wypada, aby się nie zdawało, że Króla JM. w ciężkiej chwili opuszczam, z którymbym i umrzeć pragnął. Ale przed przyszłym sejmem możeby to dobrze było, aby ci złośliwi ludzie zrozumieli, że od tych świetnych dworskich urzędów chętnie się usuwamy, a przyjmujemy je tylko z posłuszeństwa. Oby i mnie, zmordowanemu starcowi dano coś czasu do przygotowania się na śmierć. Błagam, daj mi znać o tem Przewielebność Wasza, ażebym rzecz tę z Królem JM. i z W. O. Prowincyałem zawczasu ułożył" [1].

Widoczna więc, że pomimo całej swej hartownej cnoty i świadectwa sumienia o własnej niewinności, napaści rokoszan, wymierzone głównie na osobę Skargi, dotknęły go boleśnie, przygnębiły chwilowo i nasunęły myśl, ażaliby dla zakonu nie było lepiej, gdyby ustąpił ze dworu. Ale innego zdania był król i przełożeni zakonu.

„Kazanie wiślickie", o którem w liście do jenerała wspomina ks. Skarga, wywarło istotnie potężne wrażenie. Ogłoszone drukiem w tym jeszcze roku na dwa zawody, u Piotrkowczyka i u Loba w Krakowie, w tym jeszcze roku obiegło Polskę całą i ustaliło dobre imię zakonu. Najpiękniejszy to bez wątpienia pomnik polemicznej wymowy kościelnej: prostota obok wspaniałości dykcyi, gruntowność obok jasności wywodów. To, co w Wiślicy ku obronie zakonu Skarga mówił, „poprawował" potem i uzupełnił i w kwietniu 1607 r. wydał w osobnem dziełku p. t. „Próba zakonu Societatis Iesu". Apologia to zakonu całego

[1] *Archiv. Prov. Pol. Epist.* t. I. — Wielewicki II, 208—210.

z uwzględnieniem szczególniejszem polskich Jezuitów. Potrzebną ona była dla tego, że tak na sesyach deputacyi 24-ech, jak w kole rokoszowem, książe Jerzy Zbaraski siła rzeczy prawił o Jezuitach i ich instytucie, o ich „zbrodniach, spiskach i intrygach", za które ich w Francyi i Anglii śmiercią karano i wyganiano, o potworności wewnętrznego ich rządu i trybu życia. To, co mówił w rokoszowem kole, ogłosił drukiem, dowodząc, że „w Polsce nie może być przywrócony ani ustalony pokój, jak długo Jezuici w niej pozostają" [1]. O. Jerzy Tyszkiewicz, pod nazwiskiem wprawdzie ks. Mikołaja Ziemeckiego, archidyakona z Pczewa, i ks. Kasper Cichocki, kanonik i proboszcz z Sandomierza, wzięli gorąco zakon w obronę i ciętą dali odpowiedź na owe „rady" księcia Zbaraskiego [2], ale nie była ona ani dosyć prędka, ani wyczerpująca. Taką odpowiedzią była „Próba zakonu" Skargi. Więc też w późniejszych wydaniach obok „Próby zakonu" drukowano także: „Kazanie miane w Wiślicy 17 września 1606 r.", bo jedno dopełnieniem drugiego [3].

---

[1] *Consilium datum amico de recuperanda et in posterum stabilienda pace Regni Poloniae. Conversum ex polonico in latinum.* Anno 1607. — Biblioteka Działyńskich w Kórniku, nr. 7.623.

[2] *Responsio Nicolai Ziemecki ad famosum Anonimi cuiusdam tenebrionis et calumniatoris libellum contra PP. S. I. ad illustres Regni proceres editum, qui inscribitur: Consilium etc.* Cracoviae 1610. (Tamże, nr. 3.517).

Anatomia Consilii de stabilienda pace Regni Poloniae Iesuitis pulsis. Auctore G. Cichocki. Cracoviae 1611. (Tamże, nr. 3.518).

[3] Oto szkic obojga:

Kazanie wiślickie.

Tekst: „Błogosławieni jesteście gdy wam złorzeczyć będą i t. d., gdy was będą nienawidzieć ludzie" i t. d. (Łuk. VI).

Wstęp. Artykuł ten „bez pozwu, bez pytania, bez przekonania i dowodów, bez sądu żadnego, na karanie nas złoczyńcom, łotrom i mężobójcom i zbrodniom (zbrodniarzom) własne potępia i sromotnie z królestwa wygania i na śmierć, którą civilem zowią, zdawa". — Dobra sława, kaznodziejom i zakonnym ludziom potrzebna; dobro dusz ludzkich, którym ten artykuł kapłanów i pomoc duchowną odbiera; potrzeba wreszcie odkrycia zdrad heretyckich — wszystko to razem domaga się odprawy na ten artykuł.

Podział. „Z słów artykułu tego poznać, iż nam cztery winy zadają a siedmią nas plag karzą.

Część I. Cztery winy: 1) wdawanie się w sprawy świeckie i publiczne na dworze króla JM.; 2) doradzanie w kazaniach *absoluti domini;*

Świadectwo Skargi, dane niewinności zakonu w obliczu Rzeczypospolitej, zebranej w Wiślicy, będące równocześnie obroną króla, nie zamknęło ust ani nie zmieniło przekonań roznamiętnionych tłumów rokoszowych, ma jednak swoją wagę i powagę historyczną. Skarga mógł wiedzieć i wiedział prawdę, mógł znać

---

3) ganienie w kazaniach wolności i porządków Rzeczypospolitej; 4) pobudzanie do tumultów i sedecyi.

Część II. Siedm plag czyli kar. „Ale jak można karać tych, o których ani sądu, ani wypytywania, ani dowodu żadnego nie było?... Czemu nie mianują osób a wszystkich karać chcą?... Jeżeli ks. Piotr (Skarga) winien, niech sam pokutuje, a dla niego święci i niewinni bracia niech nie cierpią. Dlaczego większą karę jak przewinienie kładą? Jak śmią rzucać się na zakon od tylu papieży i soboru Trydenckiego zatwierdzony?“ Po tych ogólnych uwagach przechodzi każdą z siedmiu plag.

1) Wypędzenie ze dworu. Zgoda na „uczciwą odprawę ze dworu“ z honorem, „ja temu, który mi tę nowinę przyniesie, suknią, będzieli moja, z siebie daruję“. Ale na „sromotne wyrzucanie“ wara. Nikt niema prawa ograniczać króla w wyborze spowiednika i kaznodziei, „dzieciom to tylko niedorosłym czynią, póki rozsądku nie mają“. 2) „Wygnanie Jezuitów cudzoziemców“. A przecie żaden zakon w Polsce się nie urodził, i teraz dwa obce zakony Karmelitów Bosych i Kamedułów do Polski przybyły. Dlaczegóż tylko Jezuitów obcych wyganiacie, którzy „nie mają żadnej styczności z królem, służą towarzyszom za wzór i naukę“. 3) „Fundacyj Jezuitom nie przyczyniać“. Śmieszne żądanie, któż ich w wolnym narodzie usłucha? Komu można zabronić, aby nie użył swych pieniędzy na cele religijne i naukowe? 4) „Fundacye od królów i biskupów nadane, kasować i zepsować“. A to co za sprawiedliwość umarłym krzywdę czynić, zapisy łamać, kościelne i duchowne dobra zabierać? Gdyby wam król wasze majątki pozabierał, „z jakiem to sercem przyjmiecie?“ I tu pana sami do *absolutum dominium* wiedziecie, aby wedle swego upodobania cudze nadane psował i kasował. 5) „Zostawić je w Poznaniu i t. d., a wygnać je zaraz z Krakowa“ i t. d. Wykazuje rażącą nielogiczność tego żądania. 6) „Fundacye i imiona (dobra) Jezuitów na akademię krak. i na szpital żołnierski obrócić. Niech jeszcze poczekają“. Jeszcze jest król, senat, sporo szlachty co na taką krzywdę nie pozwolą. Nie akademii i szpitalom, ale Jezuitom są oddane. 7) Kara wygnania na nieposłusznych. „Tak było zaraz mówić“, z wielką siłą wymowy wykazuje „jad i serce heretyków“, któremu Jezuici nieznośni.

Domówienie jest wspaniałą apostrofą do biskupów, senatu, królów polskich, aby ujęli się o krzywdę zakonu, do samychże rokoszan, aby „dla krwi swojej“, boć między Jezuitami wielu rodowitej szlachty, okrutnymi nie byli. Kończy modlitwą do Chrystusa Pana.

Próba zakonu Societatis Iesu. Kraków 1607.

Tekst (łaciński). „Doświadczyłeś nas, Boże, wypławiłeś nas ogniem

i znał swój zakon i jego sprawy, on zaszczycony najwyższem zaufaniem prowincyała, którego na dwa zawody zastępował, i jenerała, który mu najdelikatniejsze misye powierzał, a że cała Polska szanowała go jako męża nieposzlakowanej prawości, że mówił wobec króla, senatu, rycerstwa, szlachty, na ich świadectwo się powoływał publicznie, „ja mam wszystkiej Korony

jak pławią srebro". (Ps. 65). „Doświadczyłeś mnie ogniem a nie nalazła się we mnie nieprawość". (Ps. 16).

Przedmowa. Artykuł rokoszan przeciw Jezuitom, od ewangielików, którzy w rokoszu przodowali, napisany, otrzymał odprawę na kazaniu wiślickiem, które „teraz poprawuję tą Próbą". Heretycy „albo na państwo heretyka szukają, albo sami nas katolików opanować chcą... poczęli od wygnania Jezuitów. Nie tyle nas boli krzywda nasza, jak zachwianie ojczyzny, gdy niemądre dzieci matkę uciskają". Wzywa do ratunku tego „ostatniego na Europie katolickiego królestwa, które jest płotem i murem wszystkiego chrześcijaństwa od niewiernych Turków i Tatarów... Kto rozrywa całość, zgodę i jedność miłej ojczyzny, ten matkę swoją zabija. Stójmy wżdy przy dobrej stronie", przy Bogu, kościele, urzędach, prawach. Dziełko samo dzieli się na cztery części.

1) Opowiada początek, cel, dążności zakonu, który potwierdzili papieże i sobór Trydencki. 2) Wykazuje pożytki, jakie zakon Kościołowi i państwom pojedynczym przynosi, lecząc potrójną szkodę, od pogan, oziębłych chrześcijan i heretyków, chrześcijaństwu i państwom w tych czasach zadaną, i dlatego rozrósł się szybko, bo w ciągu lat 60 (od 1540—1600) doszedł do 9.296 członków. Podnosi ważność szkół zakonu. „Nauki nasze na heretyki rozumy ostrzą, na złości i swawolą i grzechy zbroję gotują. Czynią dobre kapłany, mądre senatory, mężne z wiadomości żołnierze i *bonos cives bonarum partium*. Bo fundują się na bojaźni bożej, którą podsiewamy zawżdy gramatyki, retoryki, filozofie, teologią i bez tej siejby z nieba nikomu w naukach nie służym". 3) Najdłuższa część w 10 rozdziałach rozwodzi się nad prześladowaniami i potwarzami, jakie od samego zaraz początku ponosi zakon w różnych krajach. Dlaczego tyle, więcej od innych zakonów cierpi? Bo „bije szczególnie na heretyki dzisiejsze, bo oprócz kapłańskich obowiązków, trudni się szkołami i misyami, bo jest nowym zakonem". Następnie przechodzi szczegółowo prześladowania zakonu w Anglii, Siedmiogrodzie, Węgrzech, Flandryi, Niemczech, a nareszcie pierwsze od lat 50 w Polsce, gdzie „na zjeździe sendomirskim ludzkie języki uczuł". 4) Opowiada męczeństwa Jezuitów w Anglii, Francyi i krajach zamorskich.

W domówieniu zwraca się do potwarców zakonu. Świadczy za nim sobą samym, bo 39 lat w nim przeżył. „Niechby jakiem okienkiem wypatrzyli, co się w tym zakonie wewnątrz i jakoby w zamknięciu dzieje: odmieniliby serce i myśli swoje" i opowiada codzienny tryb życia jezuickiego.

po sobie świadectwo", przeciwników swych wzywał publicznie, aby z dowodami wystąpili, „kto inaczej na mnie mówi, niech wystąpi", albo im wprost w oczy rzucał, „dowieść tego na nas nie możecie... to wielka omyłka, żadnem świadectwem nie wsparta", przeto wprost niemożliwą jest rzeczą, aby ukrywał albo przekręcał rzetelny stan rzeczy. Jeżeli kiedy, to za pontyfikatu Klemensa VIII., który, jak opowiem niżej, nie na żarty zabierał się do przeobrażenia zakonu, Jezuici już przez sam instynkt zachowawczy trzymali się zdala od mięszania się w sprawy świeckie i publiczne u dworu; nakazywały im to surowo konstytucye kongregacyi V. i ordynacye jenerała Akwawiwy, a nad ich wykonaniem czuwali prowincyałowie i wizytatorowie bacznie.

Skarga pojmował „rzemiosło kaznodziejskie" w wielkim stylu, „jako poselstwo wielkiego posła od wielkiego pana... teolog i kaznodzieja może nauczać o wojnach, o prawach i rządach, o sądach i kontraktach, o policyi, o ekonomii, o sejmach, o radach ludzkich, o kupiectwach i zyskach... o ile do czci bożej i zbawienia ludzkiego potrzeba... bo wszystko jednemu panu służy. Już to piętnaście sejmów za panowania szczęśliwego pana i króla naszego się odprawiło. Na każdym byłem posłem, ale nie z jednego powiatu". Tak „szeroko" pojmując kaznodziejstwo, musiał omawiać także polityczne kwestye, prostując np. błędne, przesadne a zgubę niosące pojęcia wolności szlacheckiej, lub takie maksymy jak ta: „nierządem Polska stoi"; musiał mówić o poszanowaniu królewskiej władzy i praw, o potrzebie rządu. Karcąc skąpstwo sejmów na potrzeby publiczne, łakomstwo i nienasyconą chciwość na starostwa, królewszczyzny, powstając na zazdrości i waśnie i nienawiści wzajemne, musiał tłumaczyć, że na ofierze z prywaty, na jedności i zgodzie, miłość ojczyzny się gruntuje. Patrząc na niezliczone prawie mężobójstwa, bezkarnie uchodzące, na ucisk biednego ludu, aż do pogwałcenia jego sumienia posunięty, musiał krytykować i ostro ganić niedorzeczne prawa, jak np. to, że szlachcica-zbrodniarza nie wolno imać aż prawem przekonanego, a chłop duszą i ciałem oddany w moc szlachcicowi; musiał karcić przepych, usuwanie się od

służby rycerskiej, samowolne zjazdy i inne publiczne wady. Rokoszanie nazwali to „mięszaniem się do spraw publicznych“ i cały swój gniew zwrócili na Skargę, a on tylko spełniał kaznodziejskie swe rzemiosło. Poza niem Skarga, który, jak wiemy, bardzo niechętnie zostawał u dworu i z niego się szczerze wypraszał, nie wdawał się w żadne sprawy publiczne, chyba gdy chodziło, jak w Rewlu, przypomnieć królowi obowiązek jego, albo godzić powaśnionych obywateli. Nie wdawali się inni Jezuici, i w żadnym może kraju nie odegrali tak mało politycznej roli jak w Polsce. Nie mogli też istotnie, oprócz ogólników, wystąpić rokoszanie z żadnym poszczególnym faktem. Jedynie dwie legacye Possevina do Moskwy nosiły cechę polityczną, ale te działy się z woli papieża i króla, w obliczu narodu całego, żadna zaś nie dotykała w niczem wewnętrznych spraw polskich. Dymitra, na którego wskazywał książe Zbaraski, jako ofiarę jezuickiej intrygi politycznej, widzieliśmy, że nie Jezuici wyprowadzili na widownię, nie oni wyprawili do Moskwy! Czy nie wiedzieli o tem rokoszanie? Wiedzieli wybornie. Dlaczegóż więc wołali na nich, że mięszają się do spraw publicznych i świeckich, i domagali się ich wygnania od dworu? Rzecz bardzo prosta: „Bo widzą łaskawe oko ku nam króla pobożnego... bo król na duchownych swych łaskaw“. Zygmunt istotnie Jezuitów szanował i do nich miał zaufanie, przypuszczano więc, że jako pan katolicki w wątpliwościach sumienia swego czy to przy rozdaniu wakancyj, czy w rozstrzygnięciu mnogich sporów i spraw, z któremi się doń odnoszono, albo które z urzędu doń należały, szukał rady i zdania u „teologa“ swego, Skargi [1], lub spowiedników: Gołyńskiego, Bartcza, Markwarta. Przypuszczenie uzasadnione, ale wniosek: „więc ten teolog, więc ten spowiednik, więc Jezuici wogóle mięszają się w sprawy świeckie“, nielogiczny, bo

[1] Wielewicki nazywa Skargę *concionator regius, teologus regius*. Birkowski w mowie pogrzebowej mówi o Skardze, że dwór cały utrzymywał w pobożności i powadze, iż się do zakonnego domu zdał podobniejszy. W XVI. i XVII. wieku, słowo „teolog“ obejmowało cały wogóle kierunek duchowny osoby i domu, w którym przebywał, acz często obok teologa był jeszcze spowiednik.

na to królowie mieli przecie swych teologów i spowiedników, aby w wątpliwościach sumienia zdrową radę i światło u nich znaleźli. Miała i królowa swego teologa i spowiednika, Jezuitę Niemca, ten pilnował jej sumienia i przestrzegał karności i moralności jej fraucymeru, jak znów Skarga z urzędu teologa królewskiego, trzymał cały dwór królewski w pobożności i rygorze moralnym.

Rzecz jasna, że i ta pobożność króla, i ten nastrój poważny i wysoce moralny na jego dworze, nie podobał się heretykom, ale też i wielu katolikom słabych przekonań religijnych, swawoli światowej żądnych; że chcąc ten rygor utrzymać, wglądnąć trzeba było w niejedną sprawę, naprzykrzyć się niejednej osobistości; że ludzie lekcy i płosi, wątpliwych obyczajów albo niepewnych zasad, na taki dwór dostać się nie mogli, a dostawszy się, długo tam miejsca nie zagrzali. Ci wszyscy, a tych było sporo, ludzi znacznych nieraz rodów i paniąt, rankor żywili do „teologów“, oni im byli niedogodni i to, co było niczem innem, tylko przestrzeganiem rygoru moralnego, nazwali mięszaniem się do spraw publicznych; że zaś tymi teologami byli Jezuici, więc nienawiść swoją przenosili z kilku na wszystkich. Podobnych, jak ów podkoniuszy królewski, Porudziński, który idących na zamek OO. Skargę i Gołyńskiego najechał koniem, łajał i wyzywał 3 lipca 1592 r., za co od króla ze dworu wygnany został[1], albo jak książe Zbaraski, który posądzał O. Gołyńskiego, że mu u króla stołka przystawił, i stąd wszystkich Jezuitów nie cierpiał szczerze i wykrzykiwał: precz z nimi ze dworu — naliczyłbyś więcej. Prosty domysł, słowo podejrzenia, rzucone na chybił trafił przez jakiego dworaka, wystarczyło, aby miniony wakans, niełaskę lub mniejszą łaskę królewską zwalić na karb teologa lub spowiednika, na „intrygę jezuicką“. Niechby u dworu byli nie Jezuici, ale inni zakonnicy lub świeccy księża teologami i spowiednikami, a pełnili swój obowiązek ściśle, ro-

[1] Wielewicki I, 155. — Porudziński przeprosił Ojców, za wstawieniem się O. Gołyńskiego wrócił do dworu i urzędu.

koszanie krzyczeliby tak samo, „że się w sprawy świeckie mięszają“, precz z nimi.

Cudzoziemskich Jezuitów na 570 osób zakonnych, było 1606 r. 40 kilku w Polsce i ci przeważnie nauczaniem w szkołach byli zajęci, a widzieliśmy, z jaką trudnością zdołali ich uprosić u jenerała biskupi i prowincyałowie, a król Batory zażyć w tem musiał interwencyi Grzegorza XIII. Przy królu Zygmuncie byli Jezuici Polacy, do Szwecyi tylko 1593 r. towarzyszył mu Niemiec, O. Ernhofer, spowiednik królowej Anny. Słusznie więc mówił Skarga, że „ci, których tu z Włoch, Hiszpanii wysyłają, nie idą na rozkosze, ani panowanie; potrzebni są do nauk (nauczania), w których młódź polską ćwiczą, i pracują pilno, i wiele ich na tej robocie starganych pomarło. Pięknieby śmy im płacili, byśmy je wyganiać ze sromotą mieli“. Niesłychana też rzecz była w Polsce Zygmunta III., aby który cudzoziemiec z kraju był wywołany, a wałęsało się po niej nierówie więcej, jak cudzych Jezuitów, bo „wieleset cudzoziemców duszorozbójników, skazców wiary św., rozsiewaczów niezgody sąsiedzkiej. Te wyganiajcie, na te prawa tak srogie stawcie“. Owszem w Polsce znajdowali bezpieczne schronienie heretycy, wygnańce z innych krajów; znalazły też przytułek i Brygidki szwedzkie z Wadsteny w Gdańsku i biskup pięciokościelny z prałatami swymi, którym na wstawienie się Zygmunta III., Boczkay, ks. Siedmiogrodu, nadręczywszy ich do woli, opuścić ojczyznę pozwolił. Przybyli do Krakowa ledwo żywi, tak ich przyprawiła tolerancya kalwińska, 22 stycznia 1606 r. a już 30 t. m. umarł schorzały biskup, w kościele św. Szczepana pochowany, a Skarga kazał na jego pogrzebie. W grudniu 1606 r. przybyło 10 Jezuitów, należących do prowincyi austryackiej, z wice-prowincyałem Argenti, wygnanych przez Boczkaya z Siedmiogrodu, do Krakowa. Przyjęli ich i podejmowali gościnnie przez kilka tygodni Jezuici w domu św. Barbary i św. Szczepana, a mieszkańcy Krakowa znosili jałmużny, dopokąd ich potem dobrze opatrzonych w drogę do Ołomuńca nie wyprawiono [1]. Taka była

[1] Wielewicki II, 110, 229.

zawsze uprzejma gościnność polska; niefortunnie więc bardzo wybrali się rokoszanie z projektem swym wypędzenia cudzoziemskich Jezuitów [1].

Ale „Jezuity tumulty czynią i do sedycyj ludzie pobudzają", wołali rokoszanie. Na to im Skarga: „Na to dowodów pragniem, gdzie, kiedy i jako tumulty i sedycye podnosim". „Próżne słowa, szczera pomowa, bez żadnego dowodu". Rozróżnia tumulty, bo te Jezuitom wogóle przypisywano, od zarzutu sedycyi (buntu), który zbywa krótko: „nikt tego na nas dowieść nie może", bo nim głównie bito w samego Skargę, jakoby on żołnierze w Wiślicy do wojny domowej animował. „Tumultami podobno zowią zburzenie kilku ich zborów, a zwłaszcza tego roku w Poznaniu. Na co nigdy Jezuici nie radzili ani pobudzali i słowa jednego na kazaniu i w szkołach do tego nie przykładali; i owszem studentom swoim pilnie pod karaniem zakazowali zawżdy i zakazują takiego wszeteczeństwa. Starali się z wielką pilnością zborownicy, aby czego takiego na nas urzędownie dowieść mogli, ale i żadnego studenta naszego w tem przekonać nie było podobna".

---

[1] Już na króla Batorego sarkano nawet na sejmach, że się Węgrami otacza, Węgrów forytuje, ale nikomu na myśl nie przyszło podnosić stąd rokosz. Zygmunt III., Szwed rodem, acz z matki Jagiellonki, mówił poprawną polszczyzną, ale dwa razy żonaty z Austryaczkami, utrzymywał dwór swój na stopę hiszpańsko-niemiecką. Ochmistrzyni dworu była Niemka Mejerin, ochmistrzem Kurlandczyk Dinhof, straż królewska złożona z Szwedów, Niemców, Szkotów. Kilku radców szwedzkich bawiło przy boku króla; językiem dworu był przeważnie język niemiecki. Biorąc rzeczy trzeźwo, dziwićby się należało, gdyby było inaczej, zwłaszcza w owych czasach, gdy narodowościowe kwestye nie istniały. Obydwie królowe Austryaczki i ich ochmistrzyni Mejerin, wyuczyły się po polsku, ta ostatnia pisywała nawet listy polskie. Dzieci królewskie mówiły biegle po włosku, niemiecku i polsku. Więcej trudno żądać od króla szwedzkiego pochodzenia. Z Jezuitów jeden tylko był Niemiec, spowiednik królowej. Ciekawym też, na którym dworze europejskim wtenczas i potem nie było cudzoziemców. Ale słusznie powiedział Szujski, że „artykuły rokoszowe odznaczają się bardzo smutnie zupełnym brakiem głębszej politycznej myśli i świadomości, czego, jakich zmian właściwie sobie życzono, jak zabieżeć mniemano polityce dotychczasowej królewskiej". („Historyi polsk. ksiąg dwanaście", str. 244, wyd. 2).

Jak zwykle kompromisy, tak i ten 28 artykuł kompromisem katolików z heretykami zawarty, grzeszył niedorzecznością, brakiem logiki. Heretycy ukuli pierwszy jego ustęp: wypędzenie od dworu, a mieli szczerą ochotę wygnać ich z całego kraju, pozując jednak na tolerantów, zdali rzecz całą na katolików; ci zaś odwzajemniając się grzecznością dla tamtych, a wstydząc się nastawać na cały zakon, uchwalili najnielogiczniej w świecie, połowiczne wypędzenie Jezuitów. Więc im też przymawiał Skarga: „Dziękujem za miłosierdzie, iż płaszcz zdarłszy, suknią zostawujecie. Jednak się dziwujem baczeniu waszemu. Jeśli Jezuici tak źli, jako udajecie, dlaczego im tę łaskę czynicie, iż wszystkich nie wyganiacie? A jeśli dobrzy, czemu się szerzyć im nie dajecie? Gdyż dobre niema być skrócone, a im się więcej szerzy, tem większy ludziom pożytek czyni. Wydaliście się w takim rozsądku znać, iż mamy wżdy co dobrego w sobie, czego wam przeć sumienie nie dopuści". Rokoszanie jednak pogrozili wygnaniem zupełnem, gdyby się Jezuici do artykułu tego zastować nie chcieli. „Tak było zaraz mówić sercem heretyckiem i jadem! Wszystkich Jezuitów nie chcemy, ciężko nam na nie patrzeć, różny żywot ich od naszego. Kalwin i Luter nasz nie powstanie, póki oni trzody tej papieskiej, jako wierni psi strzegą. Wyrzućmy, wyświećmy te papiestwa obrońce, imię ich niech zginie, niech sekty nasze takich nieprzyjaciół nie mają... Prosim, jeszcze się wżdy nie kwapcie! Podnieście trochę oczy na Francyą" — i tu wskazuje na Henryka IV., z Kalwina gorliwego katolika, który wygnanych przez parlament Jezuitów przywrócił we Francyi, zamek swój dziedziczny la Fleche oddał im na kolegium i akademię tam im założył... „Palec jest Boży *Societas Iesu*[1], co Bóg szczepił, ręka ludzka nie wykorzeni". Wskazuje na heretyckich ministrów: „O jaka niesprawiedliwość, Boże mój! Ministrom waszym żaden katolik, ani urzędy porządne tego nie czynią, siedzą w pokoju, nikt ich nie wymiata: wy kapłany katolickie tak uciskacie i wyświecacie? Iżali się też katolicy nie

[1] Słowa są Pawła III., gdy instytut zakonu przez św. Ignacego ułożony przeczytał: *Digitus Dei est hic.*

poczują?... Poczekają podobno, aż inne zakonne i duchowne jako i nas wymiatać poczniecie? Poczekają aż się i na biskupy rzucicie, którzy tyle wam winni jako i my. I owszem oni nas na straż i obronę i karmienie cnotami i naukami chrześcijańskiemi owiec swoich wprowadzili. Ozyusz warmiński, Waleryan wileński, Noskowski i Baranowski płocki, Konarski poznański, Maciejowski łucki, Karnkowski gnieźnieński, Rozrażewski kujawski, Kostka kulmeński, Solikowski lwowski i t. d. Iżali nie większym się gniewem na nie aniżeli na nas wzburzycie? Iżali nie cięższi hetmani niż żołnierze? A jako im, pobiwszy żołnierze, przepuścicie?

„Przetoż czujcie się przewielebni pasterze, abyście bez żołnierzów swoich przystępu do siebie i owiec waszych nieprzyjaciołom nie dali. Wyświadczcie nas ojcowie święci, biskupi, jakośmy się wam zachowali i zachowujem. Powstań błogosławny i po wszystkim świecie żywotem i nauką rozniesiony Ozyusie (Hozyuszu), któryś najpierwej zakon nasz w tej Koronie osadził, powiedz coć do chwały Bożej i zatrzymania Kościoła katolickiego między pruskimi heretykami przybyło? Powiedz Waleryanie, jakie było Wilno, które ukazać się na ulicę kapłanowi katolickiemu ledwie dało, jako rzadki już był we wszystkiem wielkiem onem księstwie, zwłaszcza między przednimi pany, katolik. Niech Kraków, Poznań, Lwów, Lublin, Kalisz, Jarosław powiada, co im do nabożeństwa i kościołów i do katolictwa i pobożności i do nauk Pan Bóg przyczynił? Niech wszystka Korona na nas się obejrzy!...

„Senacie prześwietny! w którym są niektórzy fundatorowie nasi, powiedz cośmy przewinili a jeśliśmy na takie karanie zasłużyli? Stanie rycerski i szlachto przesławna, która nam syny swoje polecasz i najdroższego się skarbu nam zwierzasz, co za posługi z nas odnosisz, powiedz? Młodzi i domów wielkich synowie, u nas wychowani, wyćwiczeni w kolegiach naszych jako domowi i tu w Polsce i w Niemczech i we Włoszech, we Francyi: czegośmy was nauczali, coście patrząc zawżdy w nasze kolegia do wzgorszenia widzieli, powiedzcie, coście od nas wynieśli, na ozdobę dusz i sławy swej wspomnijcie!...

„Nabożni wszyscy! Którzy kazań naszych słuchacie, spowiedzi świętej i Sakramentów zażywacie, wiecie-li co na nas przykrego i obraźliwego? z jaką wam ochotą służym i co od was bierzem, oznajmijcie!

„Nakoniec królowie polscy! niech mówią o nas. (Tu przypomina dobrodziejstwa Towarzystwu od Zygmunta Augusta i Batorego wyświadczone). I ty Przenajświetniejszy Zygmuncie Trzeci M. Panie nasz, wyświadczaj nas, wszakżeś nas od młodości świadom, na nas oko twoje zawżdy. Dlaczegóż nas przy dworze swoim trzymasz? Dlaczego nam tak przeważny kościół w Krakowie budujesz? Dlaczego nas tak uprzejmie bronisz? Byśmy takimi byli, jako nas osądzono, a jakobyś i wejrzeć na nas mógł!...

„Do was się obracam, do sędziów i pisarzów takiego na nas prawa. Nie znaleźliście żadnego w Koronie tej tak szkaradnego i szkodliwego zbrodnia, któregobyście w swoich artykułach tak srogo i sromotnie odprawili? Nie ruszyła was szczera niewinność niezbronnych owieczek, prostych sług Boga Najwyższego, którzy w zaprzeniu się samych siebie, świat porzuciwszy, więcej w niebie niźli na ziemi przemieszkują? Nie obeszły was przykłady cnót pobożności chrześcijańskiej i światłość prawowiernej nauki, z którą je Pan Bóg do was posełа? Jeruzalem! Jeruzalem, która zabijasz proroki!...

„Wżdy zmiłujcie się nad k r w i ą s w o j ą. Jeśli cudzoziemcom naszym nie przepuszczacie, a my, którzyśmy się tu urodzili, gdzie pójdziem?... innej ojczyzny nie mamy na ziemi. Tak wiele zacnych polskich szlacheckich domów między nami; a im jakąż wolność zostawujecie, grzechów ich takiego karania godnych, nietyle nie dowodząc, ale ani ich mianując? Bo te, któreście wedle myśli swojej mianowali, na dwu albo na trzech tylo podejrzenie czynią, a tyle niewinnych dlaczego cierpieć i na śmierć, którą *civilem* zowią, zdani być mają. Nim z Bochni Żydy dla krzywdy Bożej w Przenajśw. Sakramencie, roku przeszłego wygnano, trzy lata i dalej proces na nie przeciągniony był; a my nad Żydy podlejsi, i do sądu przyzwani nie będąc, tak prędkie i sromotne wyroki na wygnanie odnosim?

„Acz wiemy od kogo i jako ważne, jednak ciężkie i wstydu pełne... O ziemio! o niebo dziwuj się! Odpuść, Panie, prześladowcom naszym! Bez przyczyny nienawidzą nas. Grzech ich oddal, aby swemu zbawieniu przeszkody nie mieli. Zalecając nabożnym sercom waszym niewinność i obronę naszą a zwłaszcza Królowi JM., który nas najlepiej świadom i od dzieciństwa prawie z młodości na nasze sprawy patrzy; uniżamy się pod krzyż Jezusa Chrystusa Syna Bożego i Zbawiciela świata, który imię swoje na nas włożył i o krzyżach naszych i prześladowaniu nas przestrzegł, obiecując św. Patryarsze naszemu miłościwą obronę“...

(Dok. nast.).

Ks. St. Załęski.

JAN CHRZCICIEL,

TRAGEDYA SUDERMANNA.

Dzisiejsza poezya *fin de siècl*'u już niejednokrotnie próbowała lotu w sferę ideałów religijnych. Sam rodzic obecnego dekadentyzmu, Baudelaire, w chwilach, w których „w uśpionem zwierzęciu przebudzał się anioł", zwracał wzrok błędny w zamgloną oddal nadprzyrodzonego świata. Tych przeblasków religijnego uczucia jest dosyć także u epigonów Baudelair'a, ale są one tak w jedną wiązankę splecione z litaniami do szatana i z bluźnierstwami czarnego zwątpienia, z nerwowymi podrzutami znudzenia i lubieżności, że trudno byłoby je z tej całości wydzielić jako jakiś dodatni objaw dzisiejszej literatury. W najbardziej nawet religijnym odłamie dekadentyzmu, który pewni pisarze mistyczno-katolickim nazywają, ta religijność jest, jak dotychczas, tylko owocem chorej duszy i smutnej melancholii, która nie tyle szuka myśli, jak raczej wrażeń, i to wrażeń niewyraźnych, nieforemnych, mglistych. Świątynią religijną dekadentycznego mistycyzmu nie jest gmach potężny i śmiały, którego wnętrze jest pogodne i jasne, gdzie olbrzymie kolumny i wyraziste łuki wspinają się w słonecznych promieniach ku niebu. Ich kościołem mogłaby być chyba jakaś mistyczna grota, do której jeden tylko promyk światła dopływa, i to przeobrażony kolorową szybą w siny, ponury połysk ametystu. Stan psychiczny, z którego mglistość ta religijna wypływa, jest to ta

sama półsenna, mistyczna newroza dekadentyzmu, która tylko przygłuszonych dźwięków i przyćmionych nastrojów szuka i, wedle zeznań samych poetów, nad ożywcze światło przenosi mrok i obłoki, nad złoty, wiosenny ranek, wilgotną i chmurną jesień, a bardziej, niż świeżą woń zbóż dojrzałych i lasów szpilkowych, woli perfumy i atmosferę fryzyerskiego salonu.

Jak długo toczy się jeszcze kwestya o religijne motywy w dekadentycznej liryce lub opisowej poezyi — o których móliśmy dotąd — tak długo psychologiczną przyczynę tego faktu dałoby się jeszcze jakoś zrozumieć. W skrajnym dekadentyzmie są te religijne aspiracye tylko nową kryjówką przed rozpaczliwymi nudami, są jakby wstąpieniem do kościoła po drodze z grymasu, aby i wśród ścian świątyni coś znaleźć, coby podrażniło zniszczone nerwy, — w tak zwanej zaś mistyczno-katolickiej grupie, objaw ten zdaje się poważniejsze mieć przyczyny. Jest ta religijność na razie chorą i wrażeń tylko szuka, ale w istocie rzeczy płynie ona prawdopodobnie z głębi duszy spragnionej szczęścia i tęskniącej do szlachetniejszych ideałów, niż te, które dzień dzisiejszy przedstawia.

Ale dramat, pojawiający się na dzisiejszej europejskiej scenie, a osnuty w całości na religijnych motywach, jest w obecnej chwili zjawiskiem niełatwo zrozumiałem. Przecież dramat bardziej, jak inny jakikolwiek rodzaj poezyi odczuwa tętno chwili i serce otoczenia i jest tych otaczających a powszechnych przekonań, dążeń, porywów, namiętności i bezpośrednim wypływem i najwierniejszym obrazem. Kiedy za czasów Lopeza i Calderona wydała Hiszpania swoje nieśmiertelne dramaty religijne, to była ona wtedy cała na wskróś katolicką. Wtedy zwalczała ona protestantyzm i religijne nowości nietylko w obrębie swych granic, ale też w Niemczech i we Francyi, a swoich misyonarzy słała na noże Indyan i przez morskie burze do dalekiej Ameryki. Z pośród wzgórz i równin hiszpańskich podnosiły się wtedy co chwila olbrzymie postaci, płomienne religijną gorliwością i aureolą świętości otoczone i szły w świat na walkę z ciemnością i błędem. Cóż dziwnego, że przy tym stanie umysłów powstały całe stosy religijnych dramatów, a kiedy w Ma-

drycie, Sewilli, lub Toledo wystawiano na publicznym placu, przy płomieniu pochodni *autos sacramentales*, — któreby dzisiaj niewielu słuchaczy znalazły — zbiegały się na nie codziennie przez przeciąg całego miesiąca miasta całe.

A dziś? Nie przeczymy, że zaczyna dzisiaj świtać jakaś nowa epoka i że jedną ze znamiennych jej oznak jest pewne przebudzenie się religijnego uczucia, Tołstoizm, neochrystyanizm, mistycyzm i całe setki dzisiejszych spirytystycznych i religijnych związków i stowarzyszeń, skrajnych wprawdzie jeszcze i fantastycznych, świadczą wyraźnie, że dzisiejsze umysły stanęły na przełomie. Tylko, że chwila ta przełomowa w najlepszym razie dopiero zaczyna się, — a więc i nie ogarnia obszerniejszych mas i nie stanęła jeszcze na wyraźnych i prostych ścieżkach, ażeby mogła przejść do dramatu. Jeszcze religijny motyw, pojawiający się w dramacie jako widmo gorączkowej halucynacyi, jak w Hanusi Hauptmanna, mógby mieć jakąś łączność z dzisiejszą chwilą, ale religijny dramat realny, historyczny zwłaszcza, przez wybitne pióro tak traktowany, żeby i religijnym i artystycznym wymaganiom zadość uczynił, ten wleciałby jak biały kruk w dzisiejszą atmosferę. I jeżeli rzetelnem zwierciadłem dnia dzisiejszego jest dramat Sudermanna „Koniec Sodomy", to zdawałoby się, po tytule sądząc, że nie przyszedł jeszcze czas na inny dramat, który z pod tego samego pióra wyszedł, o świętym Janie Chrzcicielu [1].

W każdym razie, fakt pojawienia się dzisiaj religijnego dramatu jest nadzwyczaj interesującem zjawiskiem. Budzi to w wysokim stopniu ciekawość, jak zabierze się do religijnego tematu dramaturg wybitny i zarazem wybitnie dzisiejszy. Przejście z dotychczasowego dramatycznego terenu do tej ostatniej tragedyi było u Sudermanna skokiem bardzo gwałtownym, a przytem ryzykownym. Artysta, który zyskał sobie sławę i wziętość jako malarz dzisiejszych typów w dramacie, który dzisiej-

[1] *Johannes.* Tragödie in fünf Akten und einem Vorspiel von Herrmann Sudermann. Stuttgart 1898.

szy wyuzdany cynizm w najjaskrawszych barwach z potężnym rozmachem wirtuoza przedstawił, artysta taki wobec postaci świętej, najlżejszym oddechem świata nieskalanej, powinien był wejść w siebie i dobrze rozważyć, czy pendzel jego, do brudnych i ciemnych farb używany, potrafi być dosyć czystym, aby mógł słoneczną aureolę wywołać. Jakiś obrachunek odbyć się w duszy Sudermanna musiał, bo znać w każdem słowie chęć poprawności; Sudermann chciałby traktować swego bohatera z wielką czcią i szacunkiem i widocznie wszystkie siły natęża, aby postać świętą nakreślić.

I.

Pierwsze pytanie, które przy tym dramacie się nasuwa, jest to, czy *Johannes* Sudermanna jest hisrorycznym świętym Janem?

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dramaturg, przedstawiający św. Jana Chrzciciela, powinien go przedstawić takim, jakim jest w Ewangelii. Corneille nie czuł potrzeby szperania w pergaminach rzymskich, kiedy szkicował Augusta; wystarczyło mu zupełnie pod ogólny typ monarchy, jakiego sobie wymarzył, przylepić tylko etykietę rzymską. Z Janem Chrzcicielem taktyka taka dziśby się nie udała; raz dlatego, że co do prawdy w sztuce mamy daleko większe wymagania, aniżeli ją miały poprzednie epoki, a powtóre i głównie dlatego, że święty poprzednik Chrystusa jest postacią powszechnie i dokładnie znaną i pojedyncze nawet jego słowa tkwią dobrze w pamięci ogółu. Wszelki rozdźwięk z tą utartą opinią i odstąpienie od rzeczywistej historyi, drażniłyby tylko słuchacza i psuły artystyczne wrażenie. Ale jak z jednej strony nieodzowną jest wierność historyczna, tak skądinąd znowu nie można żądać od poety, aby tylko dosłownie powtarzał tych kilkanaście ustępow, które nam Ewangelia o Janie przekazała. Jakaś inwencya jest konieczną: czy to inwencya, tycząca się wewnętrznych procesów duszy bohatera, czy nawet taka, która jakieś drugorzędne sytuacye komponuje. Jedno tylko jest przy tej twórczości ograniczenie, aby nie wykraczała ona poza granice, jakie charakter

wewnętrzny bohatera i jego stanowisko historyczne wytyczają. I tu Sudermann potknął się.

Sudermann czytał do swej tragedyi Ewangelię i zna dosyć odnośne rozdziały; niektóre nawet ustępy wplata w swoje dyalogi prawie dosłownie. Widocznem jest nawet, że myślał nad nimi długo i że z rozrzuconych tych kawałków chciał utworzyć sobie całość — ale zamiast pogłębienia ich i wejścia w ich ducha, jak przystało na dramaturga, począł je analizować, i uzupełniać. Można już z góry przeczuwać, jakie może mieć skutki samodzielna wyprawa dzisiejszego umysłu, nieznającego egzegetycznych prawideł, w dziedzinę Ewangelii. Wyszła też z tych studyów postać całkiem zmieniona, o rysach zupełnie innych, niż te, które nam przekazała historya.

Dwa były momenta, które w tem studyum przygotowawczem sprowadziły Sudermanna na bezdroża. Pierwszym jest fakt, zawarty w Piśmie św., a drugim pewne apryorystyczne przypuszczenie. Faktem tym była chwila, w której Jan wysyła dwóch uczniów do Chrystusa z zapytaniem: „Tyś jest, który masz przyjść, czyli innego czekamy?“. Posłowie Jana trafiają na moment potężny, kiedy Jezus, otoczony tłumem ludu, dokonuje całego szeregu cudów, a jako odpowiedź każe donieść Janowi to, co sami naocznie widzieli i słyszeli, „iż ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli powstają, ubodzy Ewangelię przyjmują“. Ostatnie słowa Chrystusa do posłańców Janowych były: „A błogosławiony jest, którykolwiek się nie zgorszy ze mnie“.

A więc Jan — zakonkludował Sudermann — wątpi w mesyańskie posłannictwo Chrystusa, kiedy śle takie poselstwo, a nawet i gorszył się kiedyś z Chrystusa, skoro go Chrystus przed gorszeniem się przestrzega. I tak jednym zamachem wrzucił dramaturg do niezłomnej duszy zwątpienie. Naturalnie, że taki psychiczny moment w bohaterze otwiera szerokie pole dla twórczości — czy dramatycznej, zobaczymy niżej. W każdym razie wprowadzona jest rozterka między posłannictwem i obowiązkiem a przekonaniem, która wywołuje straszny zamęt w duszy i walkę wewnętrzną.

Ale taki odcień zwątpienia Sudermannowi jeszcze nie wystarczał. On chciał to zwątpienie spotęgować i na więcej rozciągnąć objawów tak, żeby ono całą duszę owładnęło. Zabawia się więc w dowolną kombinacyę i przypuszcza, że Jan podzielał przekonania ogółu żydowskiego co do charakteru i posłannictwa Mesyasza, — że więc wyobrażał go sobie jako jakiegoś potężnego króla, który wrogów Izraela zwycięży i państwo jego wyswobodzi z niewoli. Będzie miał ten król także duchowe i moralne posłannictwo, ale posłannictwo to zjawi się na okręgu ziemskim, nie w słodyczy miłości, pokoju i przebaczenia, ale w błyskawicach i z mieczem w dłoni, aby grzech i występek wytępić. Tą ideą ożywiony Jan Sudermanna przepowiada na puszczy z płomiennem natchnieniem przyjście Zbawiciela i przygotowuje mu drogę. Ale kiedy stanął w ulicach Jerozolimy i spotkał się z wieścią, że Chrystus głosi nie Ewangelię grozy i kary, ale miłości, — wtedy Chrzciciela ogarnia zwątpienie i olbrzymi niepokój. A więc cała jego wielka i świetlana idea była tylko ciemnością, więc przepowiednie jego wszystkie były błędne, bo nie odpowiadają rzeczywistemu charakterowi Mesyasza, więc zamiast przygotować drogę „temu, który ma przyjść", on ją tylko utrudnił i na nowo kamieniami zarzucił. I to zwątpienie stanowi całą istotę tego Jana Chrzciciela, którego Sudermann nakreślił, ono owłada całą jego istotę, łamie go w środku drogi i przyspiesza jego tragiczny koniec.

Czy racye Sudermanna do przypuszczenia tej walki wewnętrznej w duszy Chrzciciela są wystarczające? Nie! W całem opowiadaniu Ewangelii występuje Jan jako charakter pogodny i jasny, pełen wewnętrznej mocy, zapału i zupełnej świadomości swojego celu. Człowiek ten niezwykły, otoczony od pierwszych chwil swego istnienia nadziemską cudownością, nadziemską też tylko drogą niezwykłe swoje posłannictwo otrzymał. Stąd z taką niezłomną pewnością przepowiada przyjście Zbawiciela, że żadnego miejsca wątpieniu nie pozostawia; na każdym kroku znać, że człowiek ten od Boga jest posłany i że w bożych wyrokach czytał. Gdy pewnego dnia stanął na brzegach Jordanu jakiś nieznany młodzieniec, Jan, choć go pierwszy raz w życiu

widzi, od razu nań wskazuje: „Oto Baranek Boży, oto, który gładzi grzechy świata. Ten ci jest, o którymem powiadał: Idzie za mną mąż, który stał się przedemną, iż pierwej był, niż ja“. A gdy kilka chwil później otworzyły się niebiosa, gdy ujrzał Jan spływającą na Chrystusa gołębicę i gdy głos z nieba usłyszał: „Ten jest syn mój miły, w którymem upodobał sobie“ — od tej chwili nie może być nawet mowy o jakichkolwiek wątpliwościach Chrzciciela. Jeżeli później dwóch swoich uczniów wysyła do Chrystusa z pytaniem: „Tyś jest, który masz przyjść, czyli innego czekamy?“ — to nie czyni tego ze względu na swoje wątpliwości, ale ze względu na słabą wiarę niektórych swoich uczniów. Było to zupełnie naturalnem następstwem wybitnej działalności Jana i niepospolitego jego charakteru, że wielu z jego słuchaczy w nim, a nie w Chrystusie mistrza swego i wodza upatrywało. Ani wielka pokora Jana, ani ciągłe wskazywanie na Chrystusa, jako na Mesyasza, nie pomagały; długo jeszcze po śmierci Chrzciciela istnieją w łonie chrześcijaństwa ślady joanizmu, jakiegoś stronnictwa, złożonego ze zwolenników św. Jana. Z takich to stronników wysyła Jan Chrzciciel dwóch, aby naocznie przekonali się o wyższości i bóstwie Chrystusa. Posłańcom tym wskazuje Chrystus na swoje cuda, jako na dowód swojego bóstwa, a kiedy w końcu wypowiada słowa: „Błogosławiony jest, którykolwiek się nie zgorszy ze mnie“, to słów tych nie stosuje do Jana, ale częścią do samych posłów, którzy łatwo mogli dać się uwieść przeciwnej Chrystusowi, faryzejskiej opinii, a częścią i do samych faryzeuszów, stojących w pobliżu, wśród rzeszy. I choć już posłowie Jana odeszli, Chrystus przy tym temacie zgorszenia pozostaje i skierowawszy się ku faryzeuszom, mówi: „Przyszedł Jan Chrzciciel, ani jedząc chleba, ani pijąc wina, a mówicie: czarta ma. Przyszedł syn człowieczy, jedząc i pijąc, a mówicie: oto człowiek obżarca i winopilca, przyjaciel celników i grzeszników“.

Drugie przypuszczenie Sudermanna, że Jan nie rozumiał ducha chrystyanizmu i nie znał prawa miłości, jest zupełnie dowolne, a nawet z opowiadaniem Ewangelii niezgodne. Istnieją w tekście Pisma św. wskazówki, że Janowi znajomość miłości

chrześcijańskiej obcą nie była. Gdy rzesze, przejęte potęgą słów Chrzciciela, pytały z trwogą: „Cóż tedy czynić będziem?“, Jan nie wskazuje im na przepisy Starego Zakonu, ale podaje im jako drogowskaz życia, krótkie przykazanie miłości chrześcijańskiej: „Kto ma dwie suknie, niech da niemającemu, a kto ma pokarmy, niech także uczyni“. Co się zaś samej osoby Chrystusa tyczy, to wcale Go Chrzciciel nie pojmuje, jako surowego sędziego i króla, owszem patrzy nań, jak na oblubieńca, który do ludzkości, jakby do swej oblubienicy, przychodzi. Gdy uczniowie Jana zauważyli przed nim ze smutkiem, że tłumy ludu już go opuszczają, a idą za Jezusem, odrzekł Jan z radością: „Kto ma oblubienicę, oblubieńcem jest, lecz przyjaciel oblubieńców (Jan Chrzciciel), który stoi a słucha go, weselem się weseli dla głosu oblubieńcowego“.

Zabawiliśmy się dłużej w egzegetyczną dyskusyę, bo i sam dramaturg na egzegetę zakroił, i nietylko, że nową teoryę stworzył, ale też tak sztucznie pod tę teoryę wypadki Ewangelii podporządkował, że mógłby wywołać nawet wrażenie prawdy. Zresztą, cała ta duchowa walka niepewności i zwątpienia, w duszy świętego tocząca się, jest główną osią tragedyi, — dwie inne akcye: walka Chrzciciela z Herodem i Herodyadą i miłość Salomy do Chrzciciela, do tej głównej akcyi są tylko niezręcznie przystawione — i dlatego, dla uniknięcia ciągłych zastrzeżeń, trzeba ją było od razu poddać analizie.

II.

Dramat zaczyna się prologiem, przedstawiającym puszczę Chrzciciela, jakąś dziką, skalistą okolicę, która, jak chce Sudermann, leży w pobliżu Jerozolimy[1]. Wśród nocy, przy bladem

[1] Wszystkie trzy miejsca, w których dramat się odgrywa, są niezgodne z historyą. Puszcza Jana nie była w pobliżu Jerozolimy, ale wzdłuż brzegów Jordanu, które dość daleko są od Jerozolimy odległe. Pierwsze trzy akty dzieją się w Jerozolimie, choć w Jerozolimie Jan najprawdopodobniej nigdy nie był. Wreszcie więzienie Jana Chrzciciela, które w czwartym i piątym akcie występuje na scenę, nie było w Galilei ale w zajordańskiej prowincyi, w pobliżu morza Martwego.

świetle księżyca, przezierającego przez rozdarte chmury, zjawiają się przychodnie ze świętego miasta i tacy, którzy chcą proroka zobaczyć i chorzy mający nadzieję cudownego uzdrowienia, wreszcie i uczniowie Chrzciciela. Cały ten prolog, wypełniony rozmową, którą raz tylko czynność przerywa, gdy Chrzciciel paralitykowi cudownie zdrowie przywraca[1], wprowadza bardzo dobrze na scenę i postać świętego i zawiązek dramatycznej akcyi. Widocznie szło Sudermannowi w prologu tym o naszkicowanie kilkoma rzutami takiego portretu Jana, jaki podaje Ewangelia, aby po złożeniu tej ofiary na ołtarzu wierności historycznej mieć już w dalszym ciągu rozwiązane ręce do samodzielnej inwencyi. Dzięki tej wierności historycznej, Jan w prologu jest potężnym charakterem: umacnia słabych i przepowiada zbliżającą się epokę Mesyasza z całem jasnowidzeniem proroka. Jednak i tu już zaznaczony jest przelotnie ten przyćmiony rys wątpiącej duszy, kiedy Jan opowiada tłumom pierwsze i jedyne spotkanie swoje z Chrystusem, nad brzegami Jordanu.

„Było to nad Jordanem. A ja chrzciłem tam, posłuszny głosowi pańskiemu. I wiele ludu było naokoło mnie i wierzyło mi, jednak duszę moją trawiły wątpliwości. W tem zstąpił z wysokiej skały młodzieniec — samotny. I cały lud cofnął się. A kiedy me oko podniosłem ku niemu, to wiedziałem: oto ten jest, — bo blask wieczności spoczywał na nim. A kiedy do do mnie przemówił i zażądał chrztu, jak jeden z grzeszników, to broniłem się drżący i rzekłem: Mnie potrzeba, abym był od ciebie ochrzczony, a ty przychodzisz do mnie? On jednak odpowiedział: Zaniechaj teraz, albowiem tak się nam godzi wypełnić wszelką sprawiedliwość. Wtedy schyliłem się i dopuściłem mu... A kiedy był moją drżącą ręką ochrzczony, wyszedł natychmiast z wody i oto! — nagle otwarło się nad nim niebo i ujrzałem, jak Duch Boży, jakby biała gołębica zstępował i schodził na niego, a światłość święta prawie go skrywała. I oto! głos z nieba mówił: Ten jest syn mój miły, w którym upodo-

[1] Cuda św. Chrzciciela są tylko pomysłem Sudermanna, bo w Ewangelii znajduje się wyraźna wzmianka, że święty ten żadnych cudów nie działał.

bałem sobie... wtedy padłem na me oblicze i uwielbiłem go. A moja dusza już nie trwożyła się więcej.

Cały ten ustęp charakteryzuje dobrze kierunek, w którym w dalszym ciągu pójdzie inwencya Sudermanna. Całe opowiadanie jest, co do rzeczy, prawie dosłownie wzięte z Ewangelii, z wyjątkiem tych dwu zwrotów o wątpliwościach i trwodze.

Prolog kończy się przegrywką do walki Chrzciciela z Herodem. Wracający nocą z Jerozolimy uczniowie Jana donoszą o gorszącym wypadku, który nową hańbą lud Izraela okryje. Nazajutrz ma przybyć do miasta Herod, aby nieprawnie poślubić, zbiegłą żonę rodzonego i żyjącego swego brata Filipa, Herodyadę. Przed chwilą właśnie wjechała ona wraz z córką swoją Salomą do Jerozolimy; odrzwi pałacu były ubrane w kwiaty, a w oknach czerwone światła świeciły. Najgorszem jest to, że człowiek, który taką publiczną zbrodnię popełnia, chce w pierwszym dniu Paschy wraz z nieprawną swoją małżonką wejść do świątyni i przy drugiej bramie otrzymać od arcykapłana błogosławieństwo. Tu zaczyna się pole działalności dla Jana na widoczniejszej arenie; trzeba będzie rzucić puszczę, pójść na dwór księcia i ująć się za podeptanem prawem. On w sobie dosyć sił czuje na walkę, jaka go czeka, i choćby mu przyszło nawet w tej walce życie położyć, to ciałem swojem przygotuje drogę „temu, który ma przyjść“. Decyzya Jana odbywa się w jednej chwili, bez długich refleksyj i bez wielu słów: „Idźcie wszyscy do domu. Chcę pozostać sam. Jutro ujrzycie mnie w Jerozolimie“.

Zanim Jan się zjawi, chce dramaturg szeregiem krótkich sylwetek nakreślić ówczesną moralną fizyognomię świętego miasta. Scena aktu pierwszego przedstawia plac w Jerozolimie, przed pałacem Heroda. Widzimy tam żołnierzy rzymskich, którzy skracają sobie nudy żartami na temat judaizmu i rzucaniem kostek; jacyś dwaj kupcy, nie mając odbytu, siedzą przed drzwiami swych kramów i chwalą sobie wzajemnie swoje święte towary; przechodzący kapłani chcieliby koniecznie komuś błogosławieństwa udzielić, ale nie mają już widocznie u nikogo szacunku, bo każdy to błogosławieństwo odtrąca. W kilku tych scenach

widać, jak chyli się już ku upadkowi świątynia mojżeszowej wiary i jak z tej wiary pozostało już tylko martwe przestrzeganie litery i pozorów prawa. Szkoda tylko, że sceny te nie mają żadnego związku z akcyą dramatu; osoby w nich występujące znikają w dalszym ciągu zupełnie z widowni, a wypadków niema w nich żadnych. Wprowadzenie takie w świat pojęć i moralnego stanu, byłoby bardzo dobre w jakimś opisowym poemacie; w dramacie fizyognomia moralna i umysłowa epoki powinna przeglądać ubocznie z charakteru działających osób, a nie stanowić jakiegoś osobnego historycznego rozdziału.

Akcyi Jana przeciw Herodowi nie widać na scenie. Donoszą tylko, zjawiający się na placu przychodnie, jak staje on na różnych punktach miasta, gromadzi koło siebie tłumy ludu i z piorunującą wymową występuje przeciw zbrodni Heroda. Powoli tłumy roznamiętnione napływają na plac, a po chwili z nową rzeszą zjawia się i Jan w otoczeniu swych uczniów. Ale w chwili, kiedy staje na scenie, naprzeciw pałacu Heroda, natchnienie i zapał już go opuściły. Porywa go tęsknota za puszczą i radby z miejskiego zgiełku umknął do swego zacisza. I tu już zaczyna się dramat rozpadać, a akcya dalsza utrzymuje się tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi przypadków. Gdyby nie czyhali na Jana faryzeusze, chcący go wprawić w kłopot teologicznemi trudnościami, byłby się z pewnością z pośród tłumów usunął.

Zarzuty faryzeuszów są pierwszym krokiem do wprowadzenia w duszę Jana wątpliwości. Były to te same zarzuty, które faryzeuszowie także Chrystusowi stawiali, — czy wobec nowej nauki prawo mojżeszowe traci swą moc obowiązującą, czy w swej mocy nadal pozostaje. Naturalnie, że trudność taka, postawiona wobec ludu całem sercem do starego zakonu przywiązanego, była podstępem, obrachowanym na utratę popularności Chrzciciela. I niestety! na tę trudność Jan nie umie odpowiedzieć. Przez chwilę utrzymuje się jakaś wymiana słów, bo Chrzciciel trudności pomija, a faryzejską nieuczciwość piętnuje, ale po chwili, nie widząc odpowiedzi, zaczyna milczeć. Sytuacya zaczyna być naprężona, bo faryzeusze mówią w sposób przemawiający do przekonania ludu, i lud się już na ich stronę

przechyla. Tu znowu przypadek ratuje sytuacyę. Na chwili odwraca uwagę tłumów jakaś chora kobieta, a wkrótce potem wjeżdża przed swój pałac Heród, przy boku Herodyady i Salomy, otoczony wojskiem. I kiedy na niechcące rozstąpić się tłumy przypuszczają żołnierze atak, faryzeusze pierwsi rzucają się do ucieczki, lud się rozchylił na strony, a przed lasem oszczepów został sam jeden Chrzciciel. Ta odwaga zaciera pamięć poprzedniego niepowodzenia i lud znowu ciśnie się do niego i woła: „Zostań przy nas wielki proroku! Wspomóż nas! Błagamy cię".

Ale z tej sceny nie wychodzi już Jan ten sam, jaki był w prologu. W czasie dysputy jakiś Galilejczyk z tłumu rzucił wielkie słowo, które kwestyę faryzeuszów rozstrzygało: „Wyższą nad prawo i ofiarę jest miłość". Ta nowa dla Jana idea, będąca oddźwiękiem nauki, głoszonej w Galilei przez Chrystusa, wpada na dno jego duszy i wyprowadza go z równowagi. Jak we śnie rozmarzony, nie patrzy na nic, co się naokoło niego dzieje, nie słyszy okrzyków tłumu, cisnącego się w jego opiekę, tylko myśląc o miłości, każe szukać Galilejczyka, aby dowiedzieć się od niego o źródle, z którego tej wiedzy zaczerpnął.

Akt drugi, odgrywający się w pałacu Heroda, dorzuca do akcyi dramatycznej tylko dwa momenty: rozprawę Chrzciciela z Herodyadą i miłość Salomy do Chrzciciela. Wystąpienie przeciw Herodyadzie jest ostatnim przebłyskiem wielkiej duszy, zanim omgliły ją chmury zwątpienia. Znać w tej scenie tę moc proroka i bezwzględność świętego, która, ani z własnem życiem nie rachuje się, ani żadną uprzejmością i słodyczą uwieść się nie da. I tu także opanowuje Jana na chwilę refleksya o miłości, kiedy Herodyada miłością swój występek usprawiedliwia: „I ty — woła Jan — mówisz o miłości, i ty?..." Ta miłość jest dla niego tak nowem pojęciem, że nie spostrzega od razu tej olbrzymiej przepaści, jaka miłość Chrystusową od zdrożnych miłostek dzieli.

Cała ta scena z Herodyadą jest dość udaną, dzięki temu, że miał do niej Sudermann wskazówkę w Ewangelii i że za tą wskazówką poszedł. Ale ze sceną tą styka się inna, w której

dramaturg sam popróbował lotu. Był to jednak niestety, lot Ikara, bo miłość Salomy do Chrzciciela jest zupełnie niefortunnym pomysłem. Czyż może być bardziej naiwna sytuacya, jak ta, kiedy młoda kokietka stroi koperczaki do anachorety, obrzuca go różami, urządza koncerty, prawi czułości i komplementy. Pustelnik, który przywykł tylko do widoku surowych skał i do smaku ostrych korzonków leśnych, zupełnie nie rozumie nowego dla siebie zjawiska i patrzy na te zalotne kołowania, z szeroko otwartemi oczyma, jak na wirowanie obłąkanej. Zresztą pochłania go całego wewnętrzny niepokój duszy, i kiedy zalotnica najsilniejsze szturmy przypuszcza, on o swojej mesyańskiej idei myśli...

SALOME.

Chcę z tobą zawrzeć przymierze. Czy mam ja być słońcem, a ty moim królem? Albo ty chcesz być słońcem, a ja twoją królową?

JAN

Dziewczyno, ja nie mogę być ani słońcem, ani królem.

SALOME.

Dlaczego nie? Przecież to zabawa.

JAN.

Król postępuje za mną, ja zaś błądzę w ciemności i szukam drogi między cierniami.

SALOME.

A nie znalazłeś jej?

JAN.

Dla siebie nie.

I tak nie widać właściwie, po co stworzoną została ta cała sytuacya Salomy do Jana — chyba po to, żeby w dramat kobietę i romans wprowadzić. Ale cały ten romans jest najpierw nieprawdopodobny, bo trudno przypuścić, żeby widok Chrzciciela mógł podobne uczucie wywołać a potem i niedramatyczny, bo nietylko, że nie wywołuje w Chrzcicielu jakiejkolwiek wzajemności, ale nawet jego uwagi na siebie nie zwraca.

Scen w tym akcie drugim jest jeszcze dużo, ale wszystkie służą tylko do charakterystyki osób, obracających się na dworze. Przesuwa się więc przed oczyma Heród zachmurzony, którego już występny stosunek gryźć zaczyna; człowiek ambitny a słaby, który chciałby swemu wielkiemu ojcu dorównać, a czuje dobrze,

że cała wartość jego na tem tylko polega, że jest „synem Heroda i jego małpą“. Przy nim zjawia się Herodyada, również dumna, której nie o Heroda, ale o tron książęcy idzie, kobieta przytem sprytna i przebiegła. Córka jej Salome wszelkie złe instynkty w sobie nosi, a w dodatku tak jest do szczętu zepsuta dworskiem życiem i złym przykładem matki, że potrafi z uśmiechem na twarzy przebiedz całą skalę występku, od obłudy, aż do morderstwa. Pod względem charakterystyki te dwie kobiety są najlepiej wykończone ze wszystkich osób dramatu i w chwilach, kiedy one zjawiają się na scenie, zaczynają blade kolory dramatu nabierać wyrazistości i siły. Pochodzi to już z długoletniej wprawy Sudermanna, bo podobne typy i sytuacye już nieraz przedstawiał.

W trzecim akcie dochodzi akcya dramatu do zenitu. Rozchodzi się nocą wieść, że nazajutrz rano ze świtem ma zjawić się Heród z Herodyadą w świątyni. Dowiaduje się o tem i Chrzciciel, ale wypadek ten już mało go interesuje. On chciałby znaleźć jakieś światło w swoich wątpliwościach i dlatego każe szukać za tym Galilejczykiem, który wielkie słowo o miłości z Galilei przyniósł. Ale za to słowo zamordowali już Galilejczyka żydowscy zeloci, i dla Jana nic innego nie pozostaje, jak udać się pod świątynię, do innych przechodniów z Galilei, którzy mogli Mesyasza widzieć i słyszeć. Pod świątynią nawiązuje Jan najpierw rozmowę z żebraczką Mezulemet, siedzącą na tem miejscu, gdzie siedziała prorokini Anna, ta sama, która dzieciątko Jezus w kościele jerozolimskim oglądała. Żebraczka więc opowiada Janowi o historycznem znaczeniu swojego miejsca, na którem siedzi i o swojej poprzedniczce Annie — historye, które nie wiedzieć ile tysięcy razy przechodniom już z pewnością opowiadała, — ale gdy stąd przechodzi rozmowa na Mesyasza, i gdy Chrzciciel przedstawia go jako króla w złotym pancerzu, żebraczka się oburza. Niech królowie do królów przychodzą, do nas biednych jeszcze nikt nie przyszedł. „Idź precz cudzoziemcze, ty targasz się na resztę mojej nadziei... Idź... tyś jest fałszywym prorokiem“.

Z rosnącym coraz bardziej smutkiem i niepokojem w duszy,

trafia Jan wreszcie na dwóch Galilejczyków, którzy mu dosyć o Chrystusie powiedzą Cała ta scena jest nadzwyczaj charakterystyczną. Dwaj rybacy z nad jeziora Genezaret, ludzie ze wsi, a patrzący na rzeczy pod kątem starego zakonu pojmują Jezusa, jako jakiegoś awanturnika i wyrażają się o nim z całą dosadnością prostaków. Mogłaby się wydawać w tym krytycyzmie rybaków i w braku wszelkiego szacunku dla Chrystusa, wielka niepsychologiczność, bo jeżeli kto, to lud poddaje się bez dyskusyi urokowi cudowności, jaką był otoczony Jezus; mógł jednak wpływ faryzejskiej opinii gdzieniegdzie i między ludem podobne przekonania wytworzyć. Gdyby tylko nie niezgodne z historyą stanowisko Jana, byłaby ta scena bardzo dobrą, bo skreślona jest z nadzwyczaj silną dramatycznością. Rozmowa toczy się na pozór swobodnie i jowialnie. Jan tylko zadaje pytania, ale znać, że te pytania stawia z trwogą i że każde słowo przenika go do głębi i kraje mu duszę, bo tu idzie o jego złocistego króla, o najwyższy ideał, któremu całe życie poświęcił i którego całem sercem ukochał. Rybacy zapytani o proroka z Galilei, nie wiedzą zrazu — co jest nieprawdopodobnem — o kim mowa, i dopiero później wspominają sobie na Jezusa z Nazaretu...

GALILEJCZYK 1.

Ach, ty masz na myśli Jezusa z Nazaretu?

JAN *(wstrząśnięty, półgłosem).*

Jezus z Nazaretu.

JOZAFAT I MACIEJ *(dwaj uczniowie Jana).*

Jezus z Nazaretu?

JAN.

Tyś wymówił jego imię po raz pierwszy. Mnie trwoga zamykała usta. Ale kiedy już jest nazwanym — tak — o nim myślałem.

GALILEJCZYK 1.

Tak. Jego ojca znam dobrze. Jest tęgim cieślą. I pobożny także, o tak. Możnaby mu słusznie życzyć, ażeby się doczekał pociechy ze swego syna.

JAN.

Mów dalej o nim.

GALILEJCZYK 1.

Mojemu przyjacielowi robił łóżko.

JAN.

O synu, mów.

GALILEJCZYK 1.

Ach, o synu. Nieprawdaż, Abia, cóż o nim jest do powiedzenia?

GALILEJCZYK 2.

Tak, cóż o nim jest do powiedzenia?

JAN.

Czyś go kiedy widział?

GALILEJCZYK 1.

O tak.

JAN.

Tyś go widział?

GALILEJCZYK 1.

Z mego statku — wiele razy. Bo on tłucze się po brzegach. A wtedy zawsze jest wielkie zbiegowisko. Nieprawda, Abia?

GALILEJCZYK 2.

O tak, wtedy zawsze aż czerni się na brzegu. A to spostrzegają ryby. To nie jest dobrze dla nas.

JAN.

. . . Mów dalej, człowieku.

GALILEJCZYK 1.

Mówią, że on chorych leczy, może to i być, ale to jest niedobrze, że czyni to także w sobotę. To jest źle, źle! A z jego przyjaźniami to także wcale nie dobrze sprawa stoi. Rozsądni ludzie nie wdają się z nim chętnie. Ale jakżeż można mieć zaufanie do człowieka, który z celnikami i grzesznikami siada do stołu? A potem naokoło niego pełno zawsze wesel i uroczystości. Ach — nie — nie!

JAN.

On obchodzi uroczystości?

JOZAFAT *(uczeń Jana)*.

Mistrzu, to są mali ludzie. Oni nie rozumieją żadnych ust mądrości.

JAN.

Wielki powinien małych za sobą porwać, mędrzec powinien być mistrzem nierozumiejącego. Tego on nie uczynił... A czego on uczy?

GALILEJCZYK 1.

Czego on uczy? Rozmaitych głupstw uczy... Naprzykład, że mamy naszych nieprzyjaciół miłować.

JAN.

Naszych nieprzyjaciół miłować?

Następstwem tej rozmowy jest zupełne zwątpienie Jana. „Obraz mojego króla — woła Jan — świecący w blasku Cheru-

bów, gdzież on jest? Gdzież jest siedmiobarwna tęcza nad jego głową? Siedm pochodni płonęło przed jego stolicą, — a ja już ich nie widzę więcej".

Równocześnie, jak zwątpienie Jana dochodzi do ostatnich granic, zbliża się też i jego katastrofa. W tej chwili rozchodzi się wiadomość, że Herod i Herodyada zbliżają się już do świątyni. I choć rozjątrzone tłumy patrzą na Jana, jak na swego wodza, który z pewnością stanie w obronie świętego miejsca, choć uczniowie pchają go do czynu, on stoi bezwładny, przygnębiony czarnemi myślami, poza otaczającą go sferą. Walkę tę z Herodem, w tej decydującej chwili, prowadzą właściwie uczniowie Jana; oni wypychają swego mistrza na schody, wkładają mu do ręki kamień, aby dał pierwszy znak ludowi do ukamienowania Heroda, i w chwili, gdy Herod staje przed świątynią, zmuszają Jana, aby kamieniem na przestępcę rzucił. I rzeczywiście Jan podnosi rękę z kamieniem do góry i zaczyna wypowiadać słowa sądu: „w imię tego", — ale w tej chwili staje mu na myśli opowiadanie Galilejczyka, że Chrystus każe nieprzyjaciół miłować, więc kamień mu wypada z ręki, razem ze słowami miłości: „w imię tego, który mi ciebie miłować każe". W tych słowach i w tym momencie dramat doszedł do swego punktu kulminacyjnego. Lud bez przewódcy na żaden krok się nie waży, a tymczasem siepacze Heroda wiążą Jana i prowadzą go do więzienia.

Rzecz dalsza w czwartym i piątym akcie toczy się bardzo leniwo i z wyjątkiem kilku ostatnich scen, nie przedstawia już żadnego wybitniejszego momentu. Akt czwarty wypełniają same odwiedziny składane Janowi we więzieniu przez trzy kategorye osób, które stanowiły trzy odrębne akcye dramatu. A więc odwiedza go najpierw Herod, ale widząc człowieka złamanego i niezdolnego do czynu, pozostawia mu w więzieniu wszelką wolność i swobodę. Po Herodzie przychodzi Salome, aby jeden jeszcze szturm przypuścić do więźnia, ale znowu bez skutku. Zjawiają się wreszcie uczniowie Jana i zastają go w tej samej rozterce wewnętrznej i niepokoju duszy o Mesyasza. W tej ciężkiej chwili decyduje się Jan na stanowczy krok, aby dwóch uczniów, ostatnich, którzy mu

wiernymi pozostali, wysłać do Jezusa z zapytaniem: „Tyś jest, który masz przyjść, czyli innego czekamy“. Żegnając ich, stawia im Jan Sudermanna pytanie, którego Jan ewangeliczny byłby z pewnością nigdy nie postawił: „A nie zapomnicie na moją ciemność w jego świetle?“

Ostatni akt znany jest co do głównych zarysów z Ewangelii. Na uczcie, którą Herod legatowi Vitelliusowi wyprawia, tańczy Salome i tak Heroda zachwyca, że książe obiecuje jej wszystko, czego zażąda. Namówiona przez mściwą matkę, a i sama mściwa za pogardzoną miłość, żąda głowy Jana. Ale Jan prosi o zwłokę, bo chciałby zobaczyć jeszcze swych uczniów i usłyszeć odpowiedź Chrystusa. W tej chwili dają znać, że posłani uczniowie jego już powrócili. Wprowadzeni na salę powtarzają odpowiedź Chrystusa, w której wskazuje on na swoje cuda, jako na najlepszy dowód swej wierzytelności mesyańskiej. I tu ucisza się już burza w duszy Chrzciciela, już pojmuje on teraz jasno właściwy charakter Chrystusa a przed natchnionym jego wzrokiem roztacza się święte widzenie. „Słyszę wokoło wielki szum, a cudowne światło otacza mnie... Tron zstąpił z nieba z ognistymi słupami. Na nim w białych szatach siedzi książe pokoju. A jego miecz zwie się ‚miłość‘, a ‚miłosierdzie‘ jest jego hasłem wojennem“.

Tę wielką chwilę natchnienia przyjmuje Herod z ironią. „Janie — woła — żal mi cię prawdziwie. A kiedy przyjdzie ten, o którym ty marzyłeś, to go tak przywitam, jak ciebie witam. Ha, ha, ha, ha!“ Ale inaczej wypadło. Ledwie stracono Jana za sceną i ledwo ze ściętą głową odprawiła wstrętny taniec Salome, donoszą Herodowi, że tłumy wylęgły na dachy i ulice i witają wchodzącego do miasta Mesyasza z palmami w ręku wśród okrzyków: „Hosanna temu, który ma przyjść, hosanna królowi żydowskiemu!“ I gdy Herod chce ze swego pałacu przywitać Chrystusa w oddali puharem, puhar mu z rąk wypada, a on, jakby jakąś światłością rażony, odwraca twarz i zakrywa ją płaszczem.

To wprowadzenie Chrystusa na scenę z oddali zaraz po śmierci św. Jana jest bardzo dobrem zakończeniem dramatu

o Chrzcicielu, który całe życie zdaleka patrzył na Chrystusa i całe życie przepowiadał: „Idzie za mną mąż, który stał się przedemną".

III.

Ogólne wrażenie, jakie się z tej tragedyi odnosi, nie jest dodatnie. Co przedewszystkiem w niej uderza, to jest brak wszelkiego ruchu i życia. Tego, co całą wartość dramatu stanowi, że przez wszystkie jego arterye krążą wezbranym pędem strumienie gorącej i serdecznej krwi, tego w dramacie Sudermanna niema; organizm jego tragedyi jest anemiczny, o bladym wyglądzie suchotnika i z przygasłym wzrokiem.

Przyczyna tej anemii zdaje się najpierw spoczywać w tem, że dramat historyczny nie jest widocznie terenem dla Sudermanna odpowiednim. Już w trylogii *Morituri*, wzięty z zamierzchłej przeszłości dramat *Teja* był rzeczą nieudaną, a *Johannes* jeszcze bardziej tę opinię potwierdza. Znać w każdym ruchu sztywność i brak swobody i widać naocznie, jak koloryt lokalny i historyczność charakterów krępują mu ręce i rozpęd. Pełno scen, poświęconych tylko charakterystyce osób i malowaniu stosunków panujących i współczesnych przekonań tak, że gdyby te ustępy z dramatu wydzielić, na samą akcyę zostałoby ledwie kilkanaście scen. Z tej historyczności tematu wypłynął też i inny błąd tragedyi. Każdy wybitny charakter historyczny jest postacią z jednego kawałka granitu wykutą, i wszystkie sztukaterye, dokładane z piaskowca, a więc wszelkie sprzeczne z tym charakterem dodatki wyobraźni tak, jak wprowadzają w historyczną fizyognomię bohatera niesymetryczność, tak i do akcyi dramatu wnoszą chaos i zamięszanie. Wskutek dowolnej i nieuzasadnionej kombinacyi Sudermanna co do charakteru Chrzciciela wyniknęła konieczność rozstrzelenia się działalności świętego w potrójnym kierunku. Jak trzy równoległe pasma górskie, ciągną się przez dramatyczną widownię trzy równorzędne, a zupełnie odrębne akcye; raz idą one oddzielnie, potem splatają się z sobą, to znowu dwie z nich: gniew Herodyady i miłość Salomy, znikają z widowni, a w końcu wszyst-

kie trzy występują na scenę. Sprawia to wrażenie bezcelowego błąkania się po rozmaitych drogach. Chrzciciel podąża raz jedną ścieżką za Chrystusem, z tej zwraca się na drugą przeciw Herodyadzie, po drodze zabłąkał się na trzecią, gdzie obok Salomy przechodzi — znowu wraca się w pierwotnym swoim kierunku, aby po chwili napowrót szczęścia na dwóch innych drogach próbować. I tak zamiast trzech dróg powstało bezdroże, ustawiczne kręcenie się i kołowanie. Najwidoczniej ten artystyczny błąd wprowadzenia trzech akcyj przejawia się przy katastrofie tragedyi, bo nie wypływa ona z jednej walki i z jednej namiętności, ale powstaje z całego szeregu przypadków. Gdyby Jan nie był wyszedł z puszczy na walkę z Herodem, nie byłoby go owładnęło zwątpienie o Mesyaszu; gdyby nie te mesyańskie wątpliwości, nie byłby dostał się do więzienia, bo Heroda i Herodyadę byłby lud ukamienował. A i w więzieniu nie byłoby przyszło do katastrofy, gdyby nie przyszła trzecia akcya, pogardzona miłość Salomy, z pomocą. Tak mści się na historycznym dramacie pogardzona historya.

Częściową więc przyczyną niepowodzenia była historyczność dramatu, główną był temat religijny. Sudermann boi się wejść w duszę świętego, nie ma odwagi chwycić za serce i namiętności i pogłębić charakter moralny — a bez tego momentu ani postaci świętej stworzyć nie można, bo świętość głównie na wewnętrznym, moralnym ustroju serca polega, a także i nie można stworzyć dramatu, który tylko na dążenia, walki i namiętności serca ludzkiego patrzy. Walka wewnętrzna Chrzciciela którą Sudermann wymarzył, odbywa się raczej w rozumie, jak w sercu, bo nad wątpliwościami wiary bezpośrednio dyskutuje rozum, a pośrednio dopiero przez umysł mają one wpływ na wolę. Inne rysy charakteru Chrzciciela są dość martwo odkopiowane z Ewangelii i, z nielicznymi wyjątkami, tak lekko tylko rozmazane, że prawie żadnego nie wywołują wyrazu. Chrzciciel Sudermana jest tylko świętym z nazwiska i z historyi — i to nie w ścisłem znaczeniu, bo główna cecha jego, wątpienie, jak wykazaliśmy, historyczną nie jest, ale o tyle tylko, o ile wie się z historyi, że Chrzciciel był świętym i o ile dramaturg pewne

rysy, z historyi przekazane, w dramacie uwzględnił. Świętym żyjącym i prawdziwym ten święty nie jest. Światłość i aureola nie wypływają mu na skronie, jako promieniejący odblask wewnętrznej jasności, ale ze złotych blaszek sporządzone, przymocowane są do głowy tylko zewnętrznie.

Z tej przyczyny, jak niema w dramacie świętego, tak głównie dlatego niema też i akcyi. Walka rozumowa może być dobrem tłem dla filozoficznych lub teologicznych dyalogów, ale w dramacie sama jedna akcyi nie wywoła. Inne dwie działalności Jana, w stosunku do Herodyady i Salomy, dramaturg umyślnie przymglił nieco, aby ta główna miała obszerniejsze pole do roztoczenia się. A właśnie ta główna akcya jest tego rodzaju, że jest wszelkiej akcyi negacyą, bo człowiek, w ten sposób wątpiący, zupełnie jest do czynu niezdolny. To też święty, Jan, przygnębiony i oszołomiony swemi wątpliwościami przez cały ciąg dramatu nic prawie nie mówi, a zupełnie nic nie działa. Ma się wrażenie, że gdyby go nie poruszano z miejsca na miejsce, to stałby, z oczyma w ziemię wrytemi, w jednym punkcie, bezwładny. Od czasu tylko do czasu, jakieś niejasne półsłowo z ust mu się wyrywa i w tem milczeniu złowrogiem i w milczącem, a gorączkowem poszukiwaniu za prawdą, polega cała siła tego dramatu. Nadaje to dramatowi jakiś mistyczny nastrój, jak gdyby rzecz cała toczyła się w półmroku, rozjaśnianym tylko od chwili do chwili przez blade, z ukosa strzelające światło kaganka. Może ten symbolistyczny nastrój wywołać w niektórych miejscach tragedyi nawet silne wrażenie, ale sam jeden życia do dramatu nie wleje.

A szkoda, że Sudermann nie potrafił wejść do samego przybytku świętości, do serca i do wnętrza duszy Chrzciciela. To pozostanie w przedsionku pochodziło prawdopodobnie z nieznajomości terenu, ale mogło też płynąć po części z fałszywej opinii co do stanowiska świętych w dramacie. Pisał Lessing w swojej hamburskiej dramaturgii *(Zweites Stück)*, a za nim powtarza się powszechnie i dzisiaj, że charakter chrześcijanina konsekwentnie i świętego, z natury łagodny i cichy, nie nadaje się do tragedyi, gdzie występują ludzie walczący

i w grę wchodzą namiętności i burze. Tkwi w tem twierdzeniu przekonanie, że święci są to charaktery bierne, wyzwolone z wszelkiej namiętności i słabości i we wiecznej ciszy i w błogosławionym spokoju, już na ziemi zatopione. Naturalnie, że takie charaktery nie nadają się żadną miarą do dramatu, ale też święci takimi charakterami nie byli. Nie są to przecież figury woskowe, bezbarwne i bezwładne, z krwi i życia odarte. To byli bohaterzy, w najprawdziwszem tego słowa znaczeniu, i świętość ich nie polegała na tem, że żadnych słabości nie mieli, ale w tem zasadzała się, że z tą słabością całe życie, aż do grobowej deski zwycięsko walczyli. Zresztą nie każda namiętność jest słabością, i doskonałość chrystyanizmu nie każe wcale z namiętności się wyzuć, ale każe je tylko skierować do nadprzyrodzonego celu. W ten też sposób mieli i święci namiętności. Taka namiętność może nawet przedstawiać z punktu artystycznego większy interes, aniżeli jakakolwiek inna, bo najpierw jest od tamtych szlachetniejszą i idealniejszą, — co dla sztuki jest decydującym momentem, — a powtóre i dla tego, że opiera się na szerszych widnokręgach, niż namiętności nizkie. Nie była ona bynajmniej zamkniętą w piersi człowieka i odgrodzoną od świata murem osobistej doskonałości, ale wznosiła się ku niebu w olbrzymich porywach, wkraczała na łono rodzin i narodów i nieraz wątek dziejów ujmowała w ręce. Nie było wprawdzie w tej namiętności gorączkowego targania wszelkich praw i obowiązków, nie zrzucała ona z siebie, jak dziki rumak, jarzma, które sumienie i rozum nakładają, ale też za to z nierównie potężniejszą siłą, bo przez rozum i sumienie posiłkowana, jak spadająca górska rzeka, rwała przeszkody i tamy, które czy to własna ułomna natura, czy wrogie otoczenie, stawiały.

A przypomnijmy sobie, ile istnieje dramatów w wielkim stylu stworzonych i za wielkie powszechnie uznanych, choć niema w nich ludzi o rozpętanej i zczerniałej duszy, rwących się na porządek nadprzyrodzony i depcących przyrodzone prawo. Jest w tych dziełach także walka, i walka ogromna, ale albo z sobą albo z bezprawiem i błędem; — a na tym samym terenie tylko na podnioślejszej wyżynie, toczy się walka świętych! I je-

żeli prawdą jest, co twierdzi Lessing, że zadaniem tragedyi jest oczyszczanie namiętności przez namiętności, nie wiemy, która namiętność może być bardziej oczyszczającą, jak ta.

Prawda, charakter świętego jest nieteatralny, — jak zarzuca Lessing, — ale zdaje nam się, że żaden z bohaterów historycznych, taki Wallenstein lub Wilhelm Tell naprzykład, w chwili kiedy był bohaterem, teatralnym nie był. Jest to słowo dwuznaczne, które, jeżeli jest użyte w innem znaczeniu, jak do wyrażenia miejsca, gdzie się mieści scena, oznacza tylko afektacyę i przesadę. I sądzimy, że żaden prawdziwy dramaturg nie chciałby, aby główny bohater jego, jeżeli ma być z założenia prawdziwym bohaterem, był w tem znaczeniu teatralnym. Samo zaś miejsce i budynek teatru nic o jakości tematu przesądzać nie mogą.

Rzuciliśmy tylko luźnie jedną, drugą w tej kwestyi uwagę, o ile na poruszenie jej w tem miejscu, zakres niniejszego artykułu pozwalał. Skądinąd przyznajemy, że obecne warunki nie są dla dramatu religijnego przyjazne, bo społeczeństwo dzisiaj dosyć krótkim łokciem sztukę mierzy, a teatr pojmuje jedynie jako miejsce zabawy. Ale w historyi literatury były też epoki inne, w których i dramat religijny był inaczej pojmowany. Epoki takie zakazują stawiać, jakiekolwiek w tym względzie, ekskluzywne zasady.

Czy podobna epoka zbliża się teraz — czy dzień dzisiejszy jest Janem Chrzcielem, po którym przyjdzie Chrystus? Już we wstępie zastrzegliśmy się, w jakiem znaczeniu tę idącą epokę i jej nowe objawy rozumiemy. W tym stanie, jak to już również zaznaczyliśmy, dramat religijny wybitny, i z charakterem religii zgodny, nie znalazłby się jeszcze w swojskiem sobie otoczeniu, bo umysły te szukają dopiero, wątpią i błądzą po rozbiegających się ścieżkach. Ale tego błąkania się wyszlachetnionem odbiciem, takim wyidealizowanym, szukającym umysłem jest wątpiący Jan Sudermanna. I w tem odczuciu chwili leży znaczenie tego dramatu.

Ks. J. Pawelski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła. Przez *Romana Plenkiewicza*. (Jana Kochanowskiego. Dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe. T. IV. Część pierwsza) str. VII, 674, w 8-ce. Warszawa 1884—1897.

Ostatniem dużej miary dziełem o Janie Kochanowskim była książka prof. Tarnowskiego, wydana w 1888 r. W kreśleniu życia poety opierała się ona na znanym materyale, jednakże pogłębiła tło literackie i obyczajowe epoki, a na genezę, rozbiór i znaczenie dzieł poety rzuciła wiele nowego światła. Przed paru miesiącami ukazało się dawno zapowiedziane (w r. 1884) dzieło Plenkiewicza, które jest trzecią wielką polską monografią, rozmiarami idącą w paragon z księgami Wł. Mickiewicza o ojcu i p. Hösicka o Słowackim.

R. Plenkiewicz we wstępie tłumaczy opóźnienie wydawnictwa. „Nieznane szczegóły o rodzinie Kochanowskich“ (1885), czerpane przez p. St. Windakiewicza z księgi I. *Inscriptionum* aktów ziemskich radomskich, dały autorowi pobudkę do poszukiwań archiwalnych. Poszukiwania te przyniosły nadspodziewanie obfity plon, gdyż blizko 400 odpisów w całości, a do 200 notatek z ksiąg wpisów i dekretów, aktów ziemskich lub grodzkich radomskich, chęcińskich i opoczyńskich, oraz ksiąg Metryki koronnej z lat 1505 do 1588; jednak przewertowanie tych kilkudziesięciu ksiąg i wydobycie materyału, a także dokładne zbadanie i wyzyskanie, wskazanego przez prof. Brücknera w bibliotece cesarskiej w Petersburgu, rękopisu Jana Osmólskiego ze zna-

nemi i nieznanemi elegiami poety — wszystko to przyczyniło się wprawdzie do opóźnienia IV. tomu, lecz zarazem powiększyło jego wartość, nadając mu charakter pracy nietylko informacyjnej, ale i naukowej. Zwłaszcza w znajomości wypadków z życia poety dotychczas było mnóstwo i niepewności i luk; nieznane były losy poety w ciągu lat całych [1]. Nowe dzieło nie usuwa wprawdzie całkowicie wątpliwości, ale ogranicza je do *minimum*. Na wstępie spotyka czytelnik obszerny, na 46 stronic rozciągnięty, wywód o rodzie i rodzicach Jana. Wywód stwierdza, że Piotr Kochanowski, sędzia ziemi sandomierskiej, skrzętnie, zabiegliwie i energicznie gromadził majątek; ale jakkolwiek obszerność tej rozprawy o rodzie ma swoje poczęcie w pracach Małcurzyńskiego, Gackiego, Rymarkiewicza i Windakiewicza, które rozwiódłszy się szeroko i długo o rodzie, kolebce i posiadłościach poety, kazały p. Plenkiewiczowi również szeroko o tych kwestyach pisać, zwłaszcza że zdobył sam wiele cennego a nieznanego materyału, to jednak ośmielam się utrzymywać, że takie wielkie rozmiary rodowodu i dziejów powiększania się Piotrowego majątku są niepotrzebne, bo te wszystkie szczegóły, na nieszczęście, nie rzucają najdrobniejszego promyka światła ani na genezę talentu, ani na rozwój umysłowy poety. W ogólnym charakterze epoki wskazują one wybitny rys pieniactwa, który już znamy z dokumentów d-ra Kniaziołuckiego o Reju. I Piotr, i Anna po jego śmierci ciągają się po sądach z sąsiadami, zwłaszcza Zieleńskimi, Jaroskim, Nieczujskim, Regowskim i t. p.; ale czy odnalezienie tego rysu dla tła ogólnego jest tak ważne, że warto dlań pisać kilkadziesiąt ogromnych stronic?

Pierwszą z kolei wątpliwością, z jaką autor staje w kreśleniu życiorysu do rozprawy, jest pytanie, gdzie młody Jan pobierał początkowe nauki? Nie w Sieciechowie, bo Benedyktyni nie mieli tam szkoły; najpewniej Piotr trzymał bakałarza do synów, a był nim Jan Czarnolas lub Sylwiusz, późniejszy profesor akademii krakowskiej.

Dalsze wątpliwości są: Jak długo był w uniwersytecie krakowskim, czy uczył się w Niemczech i kiedy, czy w Wenecyi i u kogo, oraz kiedy rozpoczął, kiedy zaś skończył studya w Padwie, a kiedy rozpoczął i skończył w Paryżu? W łączności z tem zostaje pytanie, czy w Krakowie i zagranicą tworzył, a także co i jak tworzył? Pytaniami temi zajmowali się uczeni: Windakiewicz, Kallenbach, Małecki

[1] Por. skargi w tym względzie w dziele prof. Tarnowskiego: „Jan Kochanowski“, str. 428—429.

i Loewenfeld. W pracy p. Plenkiewicza rzecz tak się przedstawia. W letniem półroczu 1544 Jan zapisany w krakowskiej akademii; po wakacyach wraca do niej, potem z powodu zarazy jedzie do Sycyny, lecz na rok następny 1545 i 1546 dąży znów do Krakowa. W 1547 r. umiera ojciec Jana. Ponieważ w stolicy znów wybuchła zaraza i rektor w czerwcu rozpuścił młodzież, Jan udaje się do domu, ale r. 1548 spędza na dworze hetmana Tarnowskiego. Hetman, wysyłając w grudniu tego roku syna swego, Jana Krzysztofa do Wiednia, wyprawił z nim razem Jana Kochanowskiego do Wenecyi, gdzie się poeta zaciągnął w szeregi uczniów biegłego humanisty, Pawła Manucyusza. Gdy ten z końcem 1550 roku zamknął swój zakład, poeta przeszedł pod kierunek Franciszka Robortellego do szkoły państwowej. Z początkiem 1551 r., wezwany przez rodzinę, spieszy do kraju, aby stanąć wobec sądu w sprawie z Zieleńskimi, na zimę zaś tego roku wyrusza znów do Wenecyi, a gdy w 1552 r. Robortello objął katedrę w Padwie, podąża poeta za swym mistrzem. Na okres padewski przypada niezawodnie miłość ku Lidyi. Stosunek ten trwa do r. 1555: w tym roku Lidya uchodzi z Padwy przed zarazą, Kochanowski zaś z przyjacielem Nideckim zwiedza Rzym i Neapol. Skoro przybyli z powrotem do Padwy, przybyła i Lidya, ale oziębłość jej tak bolała młodzieńca, że Nidecki w czerwcu 1556 r. zabrał go do kraju. Po krótkim w kraju pobycie wyrusza poeta znowu do Padwy, jednakże już w październiku t. r. przenosi się do Paryża okrętem z portu Livorno lub Genui przez Marsylię. We Francyi bawi niedługo, gdyż matka Anna umarła w styczniu, nie ma tedy czasu na długi pobyt w Paryżu.

Utwory w tych latach powstałe dzieli p. Plenkiewicz nie na dwie grupy, jak je dotąd dzielono, ale na trzy. Pierwszą stanowią epigramata 5 i 17, oraz elegie: 2, 3, 8, 9 i 14 ks. I, a także 3 ks. II. Te należą do okresu weneckiego. Drugą grupę stanowią utwory z czasu pobytu poety w Padwie. Są to epigramata: 3, 4, 6, 7, 8, 10, 15, 16, 21, 25, 26, 31, 35, 37, 50, 51, 55, 65, 69, 70, 105, 116, 117; elegie: 4, 6, 10, 12 i 13 ks. I.; 1, 2, 4, 5, 6, 9 i 10 ks. II.; 6 ks. III. i 9 rękopisu Osmólskiego; fraszki: 39, 93 ks. I.; 34, 51, 57, 59, 72, 89, 92 ks. II.; 5, 26, 27, 30, ks. III.; nadto przekład „Iliady“, pieśni 4, 6 i 7 ks. I, 21 ks. II, a także pieśni 1 i 9 Fragmentów. Trzecia wreszcie grupa składa się z utworów we Francyi pisanych, a są to: epigramat 71, ody 7 i 9, elegie: 11 ks. II, 17 ks. III, oraz 10 rękopisu Osmólskiego, wreszcie „Pieśń o dobrodziejstwach Boga“ i „Szachy“.

Widzi stąd czytelnik, że p. Plenkiewicz nie pozostaje dłużnym

odpowiedzi na żadne z pytań; w badaniu swem dochodzi częstokroć do rezultatów sprzecznych z dotychczasowymi, ale popiera zdanie swe dowodami i określa dokładnie czas, miejsce i okoliczności, towarzyszące zdarzeniom z życia. Tak samo ma się rzecz z dalszym ciągiem opowieści. Co poeta robił, gdzie przebywał, co pisał przez szereg lat od powrotu do stałego osiedlenia się w Czarnolesiu?

Dotąd przypuszczaliśmy, że do r. 1562 służył na dworze Firleja, od tego roku w kancelaryi królewskiej, którą opuścił dla jakichś przykrości i niewiadomo kiedy. P. Plenkiewicz kreśli obraz dalszego życia poety w ten sposób. Na razie po zgonie matki bracia posiadają Sycynę wspólnie, ale każdy otrzymuje na wyłączną własność część innej majętności: Jan część w Czarnolesiu. Już 5 marca t. r. puszcza dzierżawą posiadłości w Sycynie bratu Piotrowi za sto dukatów *puri auri* i objeżdża domy możnych panów: bawi w Dąbrowicy u Firlejów nie jako *servitor* jednak, lecz jako *domesticus* lub *familiaris*, następnie na dworze wojewody krakowskiego, Tęczyńskiego, w Kraśniku, potem odwiedza Wiewiórkę, gdzie przebywał hetman Tarnowski, nie pomija i Gorliczyny, rezydencyi Jana Krzysztofa, syna hetmana. W r. 1558 wraca do domu, potem spieszy do Krakowa, gdzie drukuje pieśń „O potopie". Z końcem tego roku obecny w czas sejmu w Piotrkowie, zaznajamia się z Rejem i Łukaszem Górnickim, oraz rozpoczyna starania o sekretaryat królewski. W r. 1559 bracia dzielą się ostatecznie. Jan zatrzymuje połowę Czarnolesia, Rudę i młyn na rzece Grodzkiej. Całość wynosiła $52^1/_2$ włók lasu, oraz $9^1/_2$ włók ornych gruntów. Poeta zaczyna seryo myśleć o klamce dworskiej. W r. 1560 udaje się do Wilna, gdzie był dwór i podkanclerzy Padniewski, zawiązuje z tym ostatnim stosunki i choć na razie wraca na grzędę rodzinną, ale w 1562 r. bez określonego zajęcia przebywa przy dworze biskupa krakowskiego, z kolei w Krakowie, Kielcach, Iłży i Bodzentynie. W czasie sejmu piotrkowskiego, w marcu 1563 r., pisze polityczny utwór „Zgoda" i drukuje „Szachy". Wtedy to ożywiła się korespondencya poety z dawnym przyjacielem, Nideckim, który pozostawał przy kancelaryi królewskiej. Stąd wyłoniła się znowu myśl przejścia do tej kancelaryi pod skrzydła podkanclerzego Myszkowskiego, następcy Padniewskiego. Wnet też podczas sejmu warszawskiego w 1563/4 poeta nasz pisze „Satyra" i „Wróżki", a w dniu 7 lutego 1564 r. otrzymuje od Myszkowskiego znaczne dochody z katedralnego poznańskiego probostwa, przed 3 kwietnia zaś zostaje sekretarzem królewskim. Przyszłość tedy zabezpieczona, zajęcia kancelaryjne nieuciążliwe, przyjaźń z Myszkow-

skim słodka — i tak snują się dni poety w nieustannych podróżach wraz z królem i przy królu aż do 15 kwietnia 1571 r., w którym to czasie wraca do Czarnolesia. Powody się znalazły. Pierwszym była miłość ku jakiejś Hannie z fraucymeru królewny Anny Jagiellonki, miłość długa, ale niemająca się skończyć na ślubnym kobiercu. Ponieważ nawet odbyły się zaręczyny, należało tedy przygotować gniazdo dla ptaszki. Powtóre, ponieważ w listopadzie poprzedniego roku biskup płocki umarł, a Myszkowski miał to biskupstwo obiecane, dni więc jego na podkanclerstwie były policzone, a bez przyjaciela i mecenasa, dwór dla poety stawał się pustką. Nie zrywał z nim jednak całkowicie, pozostając na liście sekretarzy i nadal. W Czarnolesiu wybudował z dębów dom na podmurowaniu piętrowy, gontem kryty, i urządzał nową siedzibę, ale nie zaniedbywał stosunków ze stolicą. Równocześnie przekłada „Psałterz", którego niecierpliwie oczekuje Zygmunt August. Ale Hanna zwróciła mu zaręczynowy pierścień, a rękę swą oddała jakiemuś dworakowi; wtedy rozgoryczony poeta pożegnał dwór na zawsze elegią 14 ks. III.

Dalsze życie przedstawia się z małemi zmianami tak, jak znaliśmy je dotychczas. Dąży do Krakowa na pogrzeb Zygmunta Augusta, uczestniczy potem przy koronacyi Henryka, pisze „Muzę" i „Dziewosłąb", żeni się w 1574 r., zrzeka się probostwa poznańskiego, a potem i zwoleńskiego, pisze „Marszałka", „Sobótkę", ubezpiecza swoje dość znaczne kapitały, umieszczając je na różnych dobrach, bierze udział w sprawach publicznych, czy to pod Stężycą, czy na sejmie elekcyjnym warszawskim, gdzie niefortunnie popiera arcyksięcia Ernesta i carewicza Fiedora, wreszcie układa swą ciętą odprawę: *Gallo crocitanti.*

Z objęciem tronu przez Stefana Batorego, stosunki między dworem a poetą ożywiają się. Na żądanie Zamojskiego tworzy „Odprawę", wydaje wnet potem „Psałterz", dawno zaczęty, a otrzymawszy 9 września 1579 urząd wojskiego sandomierskiego, dostaje też od króla roczną płacę 1.200 fl. i poświęca niemal wyłącznie swe pióro Batoremu, wyjąwszy „Treny" i parę innych utworów. Że poeta w ostatnich latach życia miał się dostatnio, świadczą sumy lokowane choćby u Firleja, które w r. 1583 wynoszą znaczną naówczas kwotę 17.400 fl.

Tak przedstawiają się ze studyum p. Plenkiewicza koleje życia poety. Autor wziął sobie za zadanie nakreślić obraz ten z dokładnością i ścisłością taką, żeby usunąć wszelkie wątpliwości, a przynajmniej ograniczyć je, o ile można. Trzeba też przyznać, że cel swój osiągnął o tyle, że w biografii niemal z pewnością oznaczył szlaki, po

których szło to życie: dom, Kraków, Wenecya, Padwa, Paryż, następnie Sycyna, dwór Padniewskiego, dwór Myszkowskiego i kancelarya królewska, wreszcie Czarnolas. Upada hipoteza o nauce w Sieciechowie, upada niedawna, aprobowana przez prof. Tarnowskiego, hipoteza o pobycie na dworze Firleja, jako *servitor*[1]. Opierała się ona na trzech dokumentach z r. 1563, podpisanych przez Jana Kochanowskiego, a świadczących o zajmowaniu majętności po Janie Bonarze na rzecz Firlejowej. Ale Janów Kochanowskich było współcześnie kilku, a poeta w 1563 r. zgoła czem innem był zajęty i niema mowy o jego służbie w tym czasie u Firleja. Upada również, dzięki rękopisowi Osmólskiego, hipoteza o Lidyi paryskiej; miłość tę stanowczo odnieść należy do pobytu Kochanowskiego w Padwie. I dalszy tok życia jaśniej, pewniej, dokładniej z kart tego życiorysu wyziera. Rozpraszają się wątpliwości co do stosunku poety z Padniewskim i Myszkowskim; niezupełnie, ale prawie niknie mgła, która dotąd przysłaniała czas i powody opuszczenia dworu i przesiedlin na stały pobyt wiejski. Toż samo da się powiedzieć co do genezy dzieł. Tu jednak należy uczynić pewne zastrzeżenia. Widocznem jest usiłowanie biografa, aby wszystkie utwory, nawet drobne fraszki lub epigramata wsunąć w pewien określony czas i umotywować psychologicznie ich powstanie. Chęć godna uznania, ale jeżeli takie chronologiczne rozmieszczenie utworów np. Mickiewicza napotyka na niezmożone trudności, o ileż trudniej jest ułożyć wedle czasu poematy Kochanowskiego wobec odległości paru wieków, wobec niedokładnej znajomości i życia i czasu, wobec tego wreszcie, że i sam poeta i pierwsi wydawcy pomięszali utwory i utrudnili oznaczenie porządku, w jakim powstawały. Zapewne też można się pisać na układ elegii, dokonany przez p. Plenkiewicza, zwłaszcza, że już miał w tym wypadku wytknięty ślad przez Loewenfelda i Tarnowskiego. Można także, a nawet trzeba przyjąć tak dokładną, ścisłą i logiczną genezę „Zgody“, daleko pewniejszą od wywodu Bobrzyńskiego[2]; wedle p. Plenkiewicza wiersz „Zgoda“ musiał powstać po 2 marca 1563 r. i był odpowiedzią Padniewskiego na memoryał posłów świeckich z 6 lutego, w którym prosili króla o wyzwolenie narodu z pod duchownego jarzma. Trzeba także w przeważnej części przyjąć genezę „Odprawy posłów“, znaną nam już z artykułu w *Bibliotece warszawskiej*. Ale np. napisanie

[1] Por. str. 231—232.

[2] „W trzechsetną rocznicę Jana Kochanowskiego“. Kraków 1884. Artykuł „Stanowisko polityczne J. K.“, str. 88.

„Zuzanny“ podczas pobytu poety w Wilnie nie jest ściśle umotywowane, czas pisania „Szachów“ nie jest oznaczony, a choć bystre dostrzeżenie w dedykacyi porównania młodego Tarnowskiego do nowego miesiąca istotnie odsyła wydanie tego wiersza poza rok 1561, to jednak nie koniecznie wyznacza mu ono rok 1562/3, bo w 1564 i 1565 aż do 1566 r. mógł jeszcze poeta to samo mówić. Wszak młody Tarnowski zmarł w 1567 r. i nikt zapewne na pięć lat przed śmiercią jego nie wiedział, że w tym roku umrze. Kwestya tedy wydania „Szachów“ pozostaje nierozstrzygnięta, skoro p. Plenkiewicz nie obalił zdania prof. Tarnowskiego [1], że wyszły w 1567 r., ani p. Witkowskiego, że pierwsze wydanie „Szachów“ wyszło w Krakowie u Wierzbięty w r. 1566 [2]. Autor snać tej ostatniej rozprawy nawet nie przeglądał, ani „Szachów“ ze *Scacchia ludus* nie porównywał, skoro mówi, że cały „przebieg gry w poemacie Kochanowskiego, poczynając od pierwszego do ostatniego posunięcia, jest najzupełniej zgodny we wszystkich szczegółach z opisem przez Vidę określonym“ (str. 335). Wszakże Witkowski (str. 193) udowadnia, że „zakończenie gry jest u Kochanowskiego oryginalne i sztuczniejsze niż u Vidy, u którego król biały dostaje mata, dopiero będąc zupełnie osamotnionym, a takiego mata dać nie jest wielką sztuką. U Kochanowskiego dostaje mata strona biała, mimo że posiada jeszcze królowę i wieżę“.

Słabo też motywuje p. Plenkiewicz swoją hipotezę o powstaniu „Satyra“ przed 22 listopada 1563 r. Ani bowiem brak wzmianki o zakończeniu sprawy wołoskiej, ani wyrażenie „Jedź do Trydentu“, nie obala zgoła twierdzeń prof. Morawskiego. Dlaczego koniecznie musiał szeroko wykładać całą sprawę wołoską spółczesnym, którzy ją doskonale znali: poprzestał tylko na wzmiance i to starczyło; a wyrażenie „Jedź do Trydentu“, niekoniecznie trzeba rozumieć literalnie. Mogły się obrady zbliżać do końca w Trydencie, a mógł poeta wysyłać innowierców do Trydentu, aby się nauczyli dogmatów wiary katolickiej, tak jak i dziś z myślą o Trydencie łączy się myśl wzmocnienia jedności kościelnej. Materyalnego dowodu przeciw dacie 22 listopada 1563 r. te wyrazy nie dają. Ale dają ten dowód słowa „kwapiona praca“, użyte przez poetę. P. Plenkiewicz usiłuje wytłumaczyć je odmiennie niż prof. Morawski; jednak dowód p. Plenkiewicza — jak i dowód

[1] Por. „Jan Kochanowski“ str. 280.

[2] Por. S. Witkowski, „Stosunek ‚Szachów‘ Kochanowskiego do poematu Vidy ‚Scacchia ludus‘“. Rozp. Akad. Um. t. XVIII, str. 195, r. 1893.

o czasie pisania jest wątpliwy — i geneza prof. Morawskiego musi się ostać, bo jest zupełnie naturalna i prosta. Jakże można np. przypuścić, aby sam Myszkowski, „chcąc poecie otworzyć drogę do przyszłych zaszczytów“, zachęcał go do dedykowania Zygmuntowi poematu, w którym młody poeta radzi królowi, w myśl mowy Siennickiego, aby „zaczął rząd od siebie“ i t. d. Takie rady mogły chyba zamknąć poecie drogę do zaszczytów, nie zaś otworzyć [1].

Mówiąc dalej o „Psałterzu“ Kochanowskiego i o stosunku jego do *Paraphrasis* Buchanana, stara się p. Plenkiewicz obalić mniemanie, jakoby szkocki poeta wywarł wpływ na przekład polski [2]. Biograf nie zna najnowszej a gruntownej pracy prof. Antoniego Siennickiego p. t. „Stosunek ‚Psałterza przekładania J. Kochanowskiego‘ do ‚Paraphrasis psalmorum‘ Jerzego Buchanana“ [3]. Badanie to wykazuje, że tylko w 33 psalmach niema reminiscencyi z Buchanana, a niektóre Kochanowski prawie dosłownie na polski język przekładał. Pomimo tego wszakże zasługa poety i znaczenie „Psałterza“ w naszej literaturze nie ulegną zmianie, bo trzeba pamiętać, że nie płyną one stąd, czy Kochanowski posługiwał się *Paraphrasis* czy nie: przekład tak czy owak pozostaje przekładem. Nie da się także utrzymać geneza „Trenów“ p. Plenkiewicza. Zupełnie dowolnie i bez podstawy wyobraził sobie biograf, jakoby pierwotne „Treny“, oddane do drukarni Łazarza w 1580 r., składały się tylko z 12 ustępów nie 19, jak obecnie. Miały to być: 1 (II), 2 (III), 3 (IV), 4 (VI), 5 (VII), 6 (VIII), 7 (IX), 8 (X), 9 (XI), 10 (XVII), 11 (XVIII), 12 (XIX). A inne treny? Otóż piąty razi „jednostajnością“, dwunasty jest „prozaiczny“, a nawet razi w nim rys jeden, który na niekorzyść otoczenia przemawia, mianowicie, że Urszulę pobudzano do naśladowania ruchów osób, a może ich śmieszności [4],

---

[1] Por. Plenkiewicz, str. 345.

[2] Występuje tu — choć tego nie mówi — przeciw recenzyi wydania pomnikowego, umieszczonej przez A. Brücknera w *Archiv für slavische Philologie,* VIII, str. 477 i dalsze.

[3] Sprawozd. dyrekcyi gimn. w Samborze r. 1893, str. 1—65.

[4] Jest to surowa i pochmurna pedanterya, że p. Plenkiewicz ze słów: „każdego ukłon trafić, wyrazić postawę“, ukuł aż zarzut przeciw Urszuli i otoczeniu. Słowa te wskazują, że miała ona zdolność naśladowczą w wysokim stopniu, a zdolność ta u dzieci daje miarę szybkości rozwoju i powinna być w pedagogii uwzględnianą. Gdyby nie ona, dziewczę nie uczyłoby się tak wiele w pierwszych latach. A skądże p. Plenkiewicz wziął, że nadużywano jej, ucząc karykaturować śmieszności starszych. To zupełnie dowolne podejrzenie.

tren trzynasty niepotrzebny, a napis na kamieniu „zbyteczny", nareszcie treny: 1, 5, 12, 13, 14, 15 i 16 — „rozrywają myśl przewodnią utworu" (str. 624).

Przyznam się, że podobne powstanie „Trenów", byłoby w guście *fin de siècle*, kiedy to początkujący wierszokleta posławszy już do druku pewną ilość wierszy poematu, potem dodaje ich jeszcze kopę, bo płatny jest „od wiersza", a nie dba o to, czy mu to zepsuje układ, czy nie. Aleć Kochanowski nie był płatny „od wiersza", a musiał co najmniej równie dobrze, jak i p. Plenkiewicz, czuć, czy nowo dodane treny są do niczego i czy nie rozerwą myśli przewodniej dawnych. Dla wszystkich dotychczasowych badaczów — a było ich niemało z Szujskim, Nehringiem i Faleńskim na czele — treny potępione, są do rzeczy, mają ścisłą łączność z całością, mają psychologiczne usprawiedliwienie w stopniowem wzrastaniu uczucia żalu aż do trenu XI. i stopniowem zmniejszaniu się tego uczucia. P. Plenkiewicz nie czuje tego, że układ artystyczny Trenów byłby gorszy, gdybyśmy z całości wyjęli ich siedm, że to błąkanie się w szukaniu środków ukojenia jest naturalne u zbolałego serca, a w obrazowaniu, jako ogniwa — jednego łańcucha konieczne. Nie mówię tu nic nowego; stwierdzam tylko, że świeża hipoteza o powstaniu i wartości „Trenów", jest niefortunna i ostać się wobec dotychczasowych nie może. A co powiedziałem o oznaczeniu genezy ważniejszych dzieł, toby należało zastosować i do poezyj drobnych. Szczególniej krytyczno-estetyczna strona dzieła niejeden brak i niejedną ułomność okazuje. Niemasz w ocenach równomierności. „Pieśń o dobrodziejstwach Boga", rozpatrzona wszechstronnie, ale rozbiór estetyczny „Trenów" nie zadowala; poematu „Proporzec" badacz nie uwzględnia, dlaczego zaś „Szachy" uważa za „utwór pierwszorzędnej wartości" (str. 333), zgoła nie wiadomo[1]. O „Sobótce" np. wypowiada zdanie: „przez ‚Sobótkę' daleko więcej zbliża się on do Goethego, niż przez ‚Odprawę posłów greckich', jak to powszechnie mniemano" (str. 500). Otóż to „powszechne mniemanie" upowszechnił Mickiewicz w „Literaturze słowiańskiej", zestawiając „Odprawę" z „Ifigenią". Mickiewicz jednak miał argumenta; ale dlaczego przez „Sobótkę" swą tak się zbliża Kochanowski do Goethego — na to p. Plenkiewicz wyjaśnień nie udziela. Mnie wydaje się to zdanie tylko wielkim paradoksalnym frazesem. Wogóle co się tyczy estetycznych rozbiorów, dzieło p. Plenkiewicza

[1] Por. Tarnowski, „Jan Kochanowski", str. 138.

nie usuwa w cień dzieła prof. Tarnowskiego. Nie znaleźć tutaj ani tej bystrej analizy estetycznej, ani tego subtelnego odczucia prawdziwych piękności, ani tej miary w szeregowaniu cennych i mniej cennych dzieł poety, jaką się zalecała poprzednia książka.

Ale nie czynię autorowi życiorysu z tego ciężkiego zarzutu; nie pociągałbym go o to nawet zupełnie do odpowiedzialności, gdyby był całkowicie pominął stronę estetyczną, a ograniczył się do materyalnej i psychologicznej genezy utworów. Zresztą dzieło p. Plenkiewicza zdobyczami swemi w kierunku badań biograficznych i zaletami samego badania pokrywa stokrotnie usterki. Przedewszystkiem gruntowne przewertowanie archiwalnych źródeł, pozwoliło określić po raz pierwszy majątkowe i towarzyskie położenie rodziny poety i jego samego w różnych okresach życia. Co prawda skrupulatność i ścisłość autora posuwa się niekiedy do uwzględniania drobiazgów bez znaczenia. Nic nam np. po tej wiadomości, że kmiecie z Zielanki: Jan Wrona, Jan Czwiostek i takich samych czternastu, domagają się sądownie od Anny Kochanowskiej odszkodowania za zamulenie łąk wskutek wylewu Łuczyny, nic nam i po tem, że dowiadujemy się, którędy szły listy do Jana w Wenecyi od Anny i Kacpra w Sycynie (str. 123, 125). Powtóre, po raz pierwszy w kreśleniu życia i rozwoju umysłowego tego poety, dołożono tak wiele starań do zarysowania nietylko konturów życia, opartych o główne zdarzenia, ale i psychologicznych ewolucyj wyobrażeń i przekonań, a także nie omieszkano wypełnić zarysów drobiazgami, co portretowi nadało barwę i pełność. Podkreślając to, jako kapitalną zaletę dzieła, muszę też zaznaczyć, że częstokroć domyślność p. Plenkiewicza przekracza miarę, źródłami wskazaną, i sięga sfery wyobraźni. Do tych miejsc zaliczyłbym ustęp o wycieczkach młodego żaka do Dąbia (str. 102), o korzyściach z powodu pobytu na dworze Tarnowskiego (str. 109), o charakterze posiedzeń studenckich w Padwie (151), o wrażeniu, jakie sprawiło na rodzinę oblicze poety, kiedy wrócił z Włoch z niewygasłą jeszcze w sercu namiętnością ku Lidyi (186), o tajemnych pobudkach Myszkowskiego, które go skłoniły do popierania poety (337), o podróży poety z Dudyczem do Radomia (391), z drobnostek zaś choćby przypuszczenie, że Urszula umarła na *meningitis tuberculosa*, wysnute ze słów: „Tak wiele cnót jej młodość i takiej dzielności, Nie mogła znieść: upadła od swej bujności“, albo też o powodach śmierci, której przyczyną miała być szorstka (?!) odpowiedź króla Stefana (645). Ale mało znaczą te za daleko idące wnioski wobec trzeciej wielkiej zalety dzieła, wobec szeroko pomyślanego i z nie-

pospolitą erudycyą malowanego tła wieku. P. Plenkiewicz przez cały ciąg dzieła liczył się z zasadniczą prawdą, że autor ze siebie nie snuje pomysłów, że z niczego nie powstają piękne dzieła ducha — i otacza też poetę szeregiem ludzi, dziełami ludzkich rąk, przyrodą... Jestem zupełnie świadom trudności, jakie autor pokonał. Były one duże: należało zapoznać się z dziejami szesnastego wieku, należało wżyć się w ducha czasu, obyczaje, prawa, życie towarzyskie; należało zaznajomić się osobiście z wielu wybitnymi ludźmi, z którymi wiązały Kochanowskiego stosunki. Potem dopiero trzeba było intuicyjnie odczuć, że się tak wyrażę — wpływ, jaki ten lub ów widok, to lub owo zdarzenie, ta lub owa książka w danej chwili na poetę wywarła. Wszystko autor nasz poznał i osiągnął. I tak: Kochanowski jedzie do Krakowa, Wenecyi, Padwy, Paryża, Wilna, Iłży lub Bodzentyna. Autor prowadzi nas do tych miast lub zamków, kreśli ich postać w owym wieku i owym roku, ocenia piękności głównych gmachów, urok całości, wrażenie ogółu i szczegółów. Jeszcze co się tyczy Wenecyi, Krakowa lub Paryża, rzecz sama bardzo trudną nie była, ale np. Iłżę lub Bodzentyn autor odwiedza, poznaje stan dzisiejszy i z ruin i gruzów odtwarza dawne pałace, zamki i miasteczka [1]. Tak samo rzecz ma się z ludźmi XVI. wieku. Ile razy Kochanowski przyjaźni się z jakim człowiekiem, ile razy przez czas dłuższy przebywa przy jakim człowieku, tyle razy autor nie omieszka przedstawić nam człowieka, jego zwyczajów, sposobu myślenia, upodobań, życia publicznego i życia prywatnego. Tak poznajemy hetmana Tarnowskiego, Padniewskiego, Myszkowskiego, Zygmunta Augusta, tak dowiadujemy się nieskończonej ilości drobnych rysów obyczajowych u ludzi ówczesnych. Ile razy znów krajem porusza jakaś idea, wstrząsająca sercami i umysłami, czy ona nadlata ze wschodu lub zachodu, czy rodzi się w kraju lub za granicą, tylekroć autor z wielką pilnością i z rozmysłem wpatruje się w przebieg jej i wpływ na państwo, sejmy, króla i szlachtę, a poznawszy to dokładnie, zwraca się ku poecie i pyta, jakie wrażenie wywołała w nim i w jakie kształty utworu przybrało się to wrażenie. Niemałej potrzeba było erudycyi, aby w taki sposób zaznajomić się z dziejami wieku i dziejami kraju; autor tę erudycyę posiadł a czerpał ją z najpierwszych źródeł i najlepszych opracowań. Miałbym tu ochotę zauważyć, że czasami trochę za dużo tego tła wobec małego stosunkowo portretu. Chociaż we wstępie autor powiada, że Kochanowski przez swe pisma dawał niejedno-

[1] Por. np. str. 115, 168—169.

krotnie kierunek wypadkom, rozgrywającym się na widowni dziejowej, to w gruncie w sprawach państwa odgrywał on nieznaczną rolę i zdanie powyższe uważać trzeba po części za hyperbolę. Tak też wygląda portret na rozległem tle, kreślonem przez biografa. Jeśli zmierzymy łokciem, to są takie dość liczne rozdziały w księdze, gdzie o poecie naszym prawie ani słowa [1].

Niech to jednak nie uważa się za zarzut. Nawet i te rozdziały, pisane są z taką dzielną i drobiazgową znajomością wieku i ludzi, pisane zresztą tak zajmująco, że czytelnik postępując w głąb dzieła, prowadzony umiejętną dłonią autora w wir wydarzeń, nie gubi się wobec coraz szerszych widnokręgów, nie gmatwa się w ich labiryncie, lecz owszem rozciekawia się i rozmiłowywa w życiu przeszłych wieków, tak odmiennem od dzisiejszego życia. Prof. Tarnowski pisał w swej książce o poecie: „Jeżeli chcesz wiedzieć, jakim był wiek XVI. w Polsce, poznać go w jego religijnych uczuciach i walkach, w jego politycznych pojęciach i dążeniach, w jego filozoficznych dociekaniach i wątpliwościach, w jego moralnem i umysłowem i towarzyskiem życiu, w nastroju jego uczuć, smutku czy radości, w jego wesołości i żarcie, jeżeli chcesz poznać, czem była cywilizacya polska XVI. w., jak wyglądała na stopniu najwyższym, którego dosięgła, czytaj Kochanowskiego...“ Ale niedość czytać — trzeba i rozumieć. Dotąd zrozumienie było bardzo utrudnione; dzieło p. Plenkiewicza czyni je łatwem. Jako całość jest ono wybornym komentarzem XVI. wieku, wypowiada na szereg lat ostatnie słowo o życiu Kochanowskiego i stanowi niewątpliwie najcenniejszy w okresie lat ostatnich nabytek wśród badań nad literaturą polską.

Antoni Mazanowski.

Zagadnienia ogólne z teoryi nauk lekarskich. *Władysław Biegański.* Warszawa 1897.

W czasach, w których specyalne prace naukowe z każdym dniem prawie w coraz to większej pojawiają się liczbie, lecz w formie zwykle dla szerszego ogółu niedostępnej, potrzebującej dopiero popularyzowania i objaśniania, zanim będą mogły być zrozumiane przez każdego, napisanie dzieła tej miary, jak książka powyżej cytowana, jest faktem, który winien być podkreślonym nietylko w publicystyce lekarsko-przyrodniczej, lecz nawet w każdym ogólniejszym przeglądzie

[1] 12, 13, 25, 37 i inne.

nowoczesnej literatury. Nowsze zdobycze nauki teoretycznej, suche i ścisłe, niejednokrotnie może nawet przeciętnemu lekarzowi w swoich szczegółach bliżej nieznane, zostały przez autora powiązane w zajmującą całość, w której sprawozdanie z walki przeróżnych poglądów zgrabnie przeplecione jest analizą trudniejszych pojęć i krytycznem roztrząsaniem tychże. Wprawdzie głównym celem dzieła jest, jak sam autor powiada we wstępie, pobudzenie lekarzy do głębszego krytycznego myślenia i zwrócenie ich uwagi na doniosłość zagadnień ściśle naukowych, na których opierać się winna praktyka codziennego życia, jednakowoż, zdaniem naszem, każdy poważniej myślący chętnie tę książkę przeczyta i do przeczytania zachęconym być powinien przez krytykę literacką, choćby na pierwszy rzut oka odstręczyć go mogły: specyalny charakter tytułu lub sucha treść niektórych technicznych określeń i zawikłanych zagadnień. Wszak krytyczna analiza przeróżnych teoryj o istocie życia, o przejawach tego życia i nieuchwytnych nieraz zmianach tych przejawów, jest rzeczą obchodzącą chyba każdego, a czytelnik, niemający nawet nic wspólnego z naukami lekarskiemi lub przyrodniczemi, zainteresować się musi tem kołowaniem przeróżnych gałęzi wiedzy naokoło wspólnego celu określenia i zbadania naukowej prawdy. Z przeróżnego wychodząc stanowiska i pod różnym kątem widzenia obserwując ten wspólny cel, coraz bliższe zataczają się naokoło niego kręgi, lecz jeszcze go nie uchwyciły, nie zbadały ostatecznie, nie określiły bez zarzutów i zastrzeżeń. Pomimo piętrzącego się coraz wyżej gmachu szczegółów, przez wiedzę zdobytych, plącze się ciągle subtelna różnica istot żyjących a martwych, lub białka żywego i nieżywego, a wśród najwspanialszych teoryj bruździ ciągle konieczność zatrzymania się tam, gdzie możemy obserwować fakta, lecz nie zdołamy określić ich najgłębszej istoty. Pod tym ostatnim względem autor jest właśnie zwolennikiem zasady, jak zresztą i dużo innych poważnych dzisiejszych myślicieli, że tworzenie sztucznych teoryj i określeń do celu nas nie zbliża i że, nie wątpiąc w twórczość ducha ludzkiego, na razie należy z obserwacyj objawów życiowych i różnicy funkcyj prawidłowych i nieprawidłowych czerpać podstawy do praktycznego zachowania się względem tychże.

Trudno na tem miejscu przechodzić po porządku treść poszczególnych rozdziałów; szczególniejszą uwagę zwrócić atoli musimy na roztrząsanie nowoczesnych pojęć o zachowaniu i przemianach energii, na historyczno-krytyczny przegląd teoryj życia, na interesujące szczegóły z dziedziny budowy komórki, wreszcie na wyczerpujące omówienie

istoty funkcyi prawidłowej i ilościowo lub jakościowo zmienionej. Zwłaszcza te ostatnie sprawy są omówione szeroko i traktowane z wspaniałym zakrojem; lekarz w nich znajduje dużo uwag o podstawowem dla niego znaczeniu, przeciętny zaś czytelnik dużo ciekawych szczegółów, rzucających światło odrębne na ogólne zagadnienia lekarskie w duchu powyżej naszkicowanym. Treść rozdziałów na każdym kroku świadczy o wielkiem oczytaniu autora, forma zaś chlubne daje świadectwo biegłości jego pióra.

Rozpatrując krytycznie dzieło p. B. w jednym z fachowych pism lekarskich, podkreśliłem wśród pochwał, należących się autorowi, za cel i zakrój dzieła, iż dla przeciętnego lekarza przyjemnąby może było rzeczą spotkać się u wstępu dzieła z rodzajem programu, objaśniającego bardziej szczegółowo związek poszczególnych rozdziałów ze sobą. Wśród nawału zajęć praktycznych, wśród pogoni za jak najtreściwszem określeniem najnowszych zdobyczy chwili, mógłby przeciętny lekarz łatwo przerazić się rozmiarami filozoficznych roztrząsań, a potknąwszy się na kilku suchych początkowych wywodach, nie zapalić się tak do dzieła, jak tegoby życzyć należało. Na tem miejscu, analizując dzieło z innego stanowiska i wobec innego grona czytelników, nie podnoszę tego zarzutu, sądząc, że czytelnik, któremu nie zależy na pospiesznem poinformowaniu się o postępach wiedzy, chętnie przejrzy od deski do deski, choćby po parę kartek dziennie, owo interesujące studyum filozoficzne; ożywi go zresztą przywiązanie autora do wszystkiego, co własne i swojskie, oraz gorąca zachęta, aby nie zawsze iść za głosem pseudopowagi zagranicznych prądów, lecz raczej krytycznie budować na tle zdobyczy poprzedników, których prace tak często leżą zapoznane w najbliższej nam, a mało znanej naukowej skarbnicy.

Dr. J. Zanietowski.

W stolicy Padyszacha. Wrażenia z podróży do Konstantynopola. *Stanisław Bełza.* Warszawa 1898.

W najnowszem swem dziele odtwarza nam p. St. Bełza od dawna już znany, a jednak zawsze jeszcze tajemniczy świat Wschodu, a przedewszystkiem stary gród bizantyjski. W książce tej znajdujemy rozrzucone tu i ówdzie piękne opisy i głęboko odczute piękno krajobrazów, ciekawe notatki o zabytkach i pamiątkach miejscowych; znajdzie się też i niejeden ciekawy szczegół, odnoszący się do przeszłości lub też szkicujący nam oryginalne nowoczesne stosunki stolicy tureckiej, wynikające ze ścierania się dwóch światów i dwóch cywilizacyj.

Mimo to jednak, że uznajemy wartość pracy szanownego autora, nie możemy się powstrzymać od wskazania na pewne usterki. Dziwi nas przedewszystkiem niezrozumiały nam entuzyazm lub przynajmniej zbytnia przychylność dla mahometanizmu, która powtarza się na zbyt wielu stronicach, a jak nam się zdaje, bez wystarczających racyj. Wiele z tych dziwnie brzmiących zdań kładziemy na karb nowości i pierwszego zapoznania się z mniej znaną przedtem sferą, ale mimo to widzimy jeszcze w tych zachwytach autora wielką przesadę. Bo czyż naprawdę ta wiara jest tak doskonałą, czy i rzeczywiście każe się ona wyrzekać przyjemności ziemskich dla przyszłego życia? (sam fakt haremów i wielożeństwa przeciw temu zdaniu przemawia). Czyż w Koranie tylko piękne miejsca się znajdują, jakie nam autor przytacza, a czy i te ustępy nie są wyjęte z Pisma św. i innych źródeł objawienia chrześcijańskiego? Trudno nam też zrozumieć, jak pisarz objawiający tyle smaku artystycznego, będąc obecnym na ceremoniach wyjących derwiszów i słysząc te „nie ludzkie, lecz zwierzęce tony“ (str. 129), tę „nie mowę, jeno szczekanie“, „te jednostajne, choć coraz głośniejsze tony wycia... wpada w stan jakiegoś słodkiego rozmarzenia... i w skupieniu już ducha głębokiem... woła w ekstazie poruszonego serca do tego, który i tu króluje: jakkolwiek Cię ludzie rozumieją, jakkolwiek czczą, czy zwą Cię Bogiem, Jehową czy Ałłahem, święć się Imię Twoje“ (str. 130).

Nie podoba nam się dalej trochę powierzchowne ślizganie się po przedmiocie. P. Bełza ma dary po temu, aby dał nam dzieło wyczerpujące, któreby zarazem i zaciekawiało. Tymczasem w książce tej wiele kwestyj wprawdzie poruszonych, ale ani jedna nie wyczerpana, a o obecnych stosunkach, które każdego dziś nader zajmują, bardzo mało wzmianek.

Zewnętrzna strona przedstawia się wcale dobrze, a rozliczne ilustracye, przedewszystkiem zaś takie, które nie przedstawiają obszerniejszego widnokręgu, dodają książce nie mało wartości.

Wiktor Wiecki.

Księgi wiary. Poemat. Napisał *Jatrań*. Paryż 1897.

Jest w tym poemacie jedno miejsce, gdzie uczucie serdeczne i zdrowe płynie w harmonijnych strofach z ziemskiego padołu ku Stwórcy. Wielka szkoda, że taki ustęp jest tylko jeden, a jeszcze większa, że naokoło tej jednej zielonej wysepki płyną tylko smętne fale złych rymów i błędnych idei.

Dlaczego p. Jatraniowi zachciało się koniecznie być autorem „Ksiąg wiary", o której niema jasnego pojęcia, nie wiemy. Wiemy tylko, iż wskutek tego, że zamiar przekroczył siły, powstała rzecz bardzo nieudana. Nie wchodzimy tu jeszcze w samą wartość teoryj, które p. Jatrań głosi, — o tem kilka wierszy napiszemy niżej — idzie nam w tem miejscu tylko o estetyczną wartość utworu. I czemżeż z literackiego punktu widzenia jest w najlepszym razie utwór p. Jatrania? Jest martwem, bezdusznem rezonowaniem na temat wiary i katalogowem wyliczeniem dzisiejszych herezyj. Pozbierał p. Jatrań całe mnóstwo najfałszywszych, najfatalniej ateistycznych ogólników i pookuwał te ogólniki w rymowe końcówki. To chyba jeszcze do poezyi nie wystarcza?

Niestety, jak z tych ksiąg widać, p. Jatrań już wiarę stracił. Narzeka na świat, że mu Boga zakrył świętokradzko posępnym murem kościoła i sztucznym dymem kadzideł. Dawno już przebrzmiałe teorye o religii przyrody przewalają się niezgrabnie po tych kartkach po to chyba, żeby na nich do reszty stracić wszelkie pozory łudzące. Dla p. Jatrania kościołem jest nieskończoność, ołtarzem świat, kapłanem własny głos sumienia, modlitwą całe jego życie — a jedna łza p. Jatrania:

. . . w bolu uroniona
Prędzej doleci w niebiosy,
Niż dym kadzideł i msza zapłacona
I sztuczne organów głosy.

Z dogmatami p. Jatrań pora się prędko:

Niepotrzebne nam dogmata,
Poza które myśl nie wzlata
W błędnem błądząc kole.

A jak dowcipnie udowadnia p. Jatrań, że piekła niema, lub, jak się oburza na tych, co wymyślili Bóstwo Chrystusa, kiedy on z człowiekiem panem Chrystusem chciałby poufale popod ramię chodzić.

Takich i tym podobnych mrzonek jest jeszcze dużo w tej książce, ale myślimy, że bez straty dla społeczeństwa możemy o nich przemilczeć. A szkoda p. Jatrania! przynajmniej ze względu na ten jedyny ustęp, o którym wspomnieliśmy z początku. Ustęp ten jest prawdziwie piękny. W swej modlitwie przed Bogiem wspomina poeta na lata pierwsze życia, lata wierzącej młodości, gdy

. . . . . patrząc na Twoje obrazki
Duszą dziecięcą rwałem się do Ciebie
Przez mgły mej myśli, przez otchłań i blaski,
Co w niedostępnem skrywały Cię niebie,
I z drżącem sercem błagałem Twej łaski
Dla mych rodziców, dla kraju, dla siebie.

Gdyby poeta był w tem usposobieniu wytrwał, to pomijając inne względy, nie byłby napisał tych nieszczęśliwych „Ksiąg wiary", które na półkach księgarskich mole gryźć będą, ale byłby pisał wiersze miłe, poezye prawdziwe, któreby krążyły w rękach i trafiały do serc.

Ks. J. Pawelski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Geschichte des deutschen Volkes seit dem XIII. Jahrhundert bis zum Ausgang des Mittelalters. *Michael Emil S. J.* I. Band. Deutschlands wirtschaftliche, gesellschaftliche und rechtliche Zustände während des XIII. Jahrhunderts. Zweite, unveränderte Auflage. Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1897.

Dzieło powyższe, poświęcone pamięci Jana Janssena, równą co Jansenowskie dzieło cieszy się popularnością, licząc w rok po pojawieniu się już 3-cie wydanie. Autor zamierza niemiecką historyę doprowadzić od w. XIII. aż do chwili, z którą Janssen rozpoczyna wątek swego opowiadania dziejowego. Całość zamierzonej pracy obliczoną jest na kilkanaście tomów, jeżeli dzieje samej kultury niemieckiej w XIII. w. obejmą 3 tomy pod tytułem: *Culturzustände des deutschen Volkes während des XIII. Jahrhunderts.* Pierwszy tom, którego omówienie jest przedmiotem niniejszej recenzyi, zdaniem samego autora, mógłby być także zatytułowany: „Kwestya socyalna w Niemczech w XIII. w. i jej rozwiązanie". Przedmiotem drugiego tomu będzie opis stosunków religijno-moralnych, wychowania i szkolnictwa, umiejętności i mistyki w XIII. w. Trzeci tom traktować będzie sztukę niemiecką w tymże wieku, następne tomy dopiero przedstawią dzieje polityczne. W podobny zaś sposób niezawodnie opracowany będzie wiek XIV. i część wieku XV.

Autor, jak widać z samego planu dzieła, jest zwolennikiem najnowszej szkoły historyograficznej, t. zw. szkoły socyalnej, której najwybitniejszym przedstawicielem jest obecnie bez kwestyi Karol Lam-

precht, w swej głośnej *Deutsche Geschichte;* starając się oprzeć dzieje na najszerszej podstawie ekonomicznych stosunków i wysnuć z nich cały przebieg umysłowych i politycznych zmian państwa i losów narodu. Krytyka niemiecka, że wymienimy recenzye Belowa, Finka, Lenza, Rachfahla, Meineckego, Hintzego, Onckena, Delbrücka, wykazała dosadnie dowolność i bezpodstawność wielu poglądów Lamprechta, a przedewszystkiem nicość głównej jego tezy, jakoby proces politycznego rozwoju był w istocie swej ekonomicznej natury [1]. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że zmiany ustroju państwowego są zawisłe od ekonomicznych warunków, wszakże nie dadzą się absolutnie z nich wyłącznie wytłumaczyć. Państwo feudalne nie było tylko wytworem gospodarstwa naturalnego, ale także politycznych, religijnych i społecznych idei, które na siebie wzajem oddziaływały [2]. Jak dalece przeciwnie na stosunki ekonomiczne i socyalne oddziaływały zwłaszcza wpływy religijne i kościelne w XIII. w., jak dalece Kościół nietylko może, ale musi być nazwany piastunką i wychowawczynią społeczeństwa średniowiecznego w Niemczech, to właśnie w swej pracy świetnie udowodnił O. Michael, w ten sposób unikając zasadniczego błędu socyalnej historyografii, a mimo to czyniąc zadość jej słusznym postulatom, aby na tle ekonomiczno-społecznych stosunków, na tle dziejów kultury materyalnej i duchowej przedstawić dopiero dzieje polityczne narodu.

Opis ekonomicznych, społecznych i prawnych stosunków w Niemczech w ciągu wieku XIII. podzielił autor na pięć rozdziałów, zatytułowanych: I. Rolnictwo i chłopi, II. Kolonizacya Wschodu., III. Miasta, IV. Rycerstwo, rabusiostwo i usiłowania do zaprowadzenia pokoju, V. Ustawodawstwo i prawa. Każdy z tych rozdziałów zawiera tak bogatą i tak interesującą treść, zwłaszcza I. i II., że recenzent zamiast kusić się, aby choć w przybliżeniu oddać wątek myśli autora, wolałby czytelnikowi *Przeglądu* krótko i zwięzłowato oświadczyć: „Proszę wziąść dzieło do ręki i czytać całe z uwagą! Nietylko zawiera ono żywy, różnobarwny i wierny obraz prochem sześciu wieków pokrytej przeszłości, ale co więcej, głęboką naukę dla czasów dzisiejszych, z którymi pod względem szybkiego ekonomicznego rozwoju wiek XIII. ma niejedno podobieństwo". Któż dziś atoli gołosłownym zapewnieniom

[1] Cfr. *Preuss. Jahrbücher*, grudzień 1897, str. 521—524.
[2] Cfr. *Kwart. hist.* 1895, str. 366 i r. 1896, str. 446.

bez dowodów da wiarę! Następujące myśli wybrane z naszego dzieła sądzę, wymownem będą świadectwem jego wartości.

Germanie mieli wstręt do pracy, przepędzali życie w wojnie i lenistwie, dopiero Kościół twarde umysły tego ludu uszlachetnił. Całe postępowe rolnictwo średnich wieków wyszło z kościołów i klasztorów, zwłaszcza cysterskich. Dzięki swym znakomitym wynikom, rolnictwo jest na przełomie wieku XII. i XIII. wysoko cenione. Rolnik, który rocznie 100 cetnarów zboża sprzedał, był w średnich wiekach lepiej sytuowany, biorąc 1 reń. za centnar, niż jest dziś, biorąc cztery lub pięć razy więcej. Tak samo robotnik musi dziś dziesięć do dwudziestu razy więcej zarobić, niż robotnik średniowieczny, chcąc jak tamten potrzebne środki pożywienia nabyć. Tak samo, jak ceny zboża były stosunkowo wysokie, tak i praca potrzebna przy rolnictwie była dobrze płatna. Tem się tłumaczy także podskoczenie cen ziemi w XIII. w., która w ciągu trzech wieków nabyła niekiedy siedemnaście razy większej wartości. Ponieważ zaś poddani chłopi płacili swym panom czynsz w naturze wedle dawnej ustalonej miary, nie dziw więc, że przy olbrzymiej zwyżce cen ziemi i zboża $^4/_5$ czystego dochodu dostawało się chłopom pracującym w udziale, a zaledwie $^1/_5$ renty gruntowej właścicielowi gruntu. Te to okoliczności wywołały ten gorączkowy ruch kolonizacyjny i karczunkowy, który nie zważając na przeszkody przyrody, wśród najgorszych warunków stwarza produktywną glebę. Średniowieczni ci koloniści, rzec można, dokazywali cudów pod tym względem i zostawili ślady swej działalności tam, gdzie dziś niktby o zdobywanie plonu się nie pokusił. Tak np. uprawiano winograd aż po szczyty gór w Nadrenii i starano się winnice hodować nawet na Rugii wyspie. Zwykła rola chłopska wynosiła co najmniej 20 mórg tj. $10^1/_2$ hekt. Gospodarstwo było trójpolowe, obok tego wysoko już stało ogrodownictwo, które uprawia z małymi wyjątkami wszystkie dzisiejsze ogrodowizny i kwiaty. Nauczycielami ogrodownictwa są znowu Cystersi, którzy zmienili florę, rzec można, Europy środkowej i północnej, sprowadzając z Francyi i Włoch cały szereg roślin ogrodowych i drzew owocowych, że wymienimy tylko szare renety. Borsztówki rozpowszechnione w Polsce zawdzięczamy np. Cystersom lubiązkim, którzy w latach 1203—1239 około 950.000 mórg zdobyli dla kultury (str. 105). Do wieku XIII. uważano w Niemczech lasy za nieużytek, ale już w końcu XII. wieku przekonano się tu i ówdzie o wartości lasu i drzewa, a stąd o potrzebie ochrony lasów Hodowla bydła w górach niczem się nie różniła od dzisiejszej. Wartość konia roboczego wynosiła 12 soldów czyli szy-

lingów (16 łutów srebra, tj. $^1/_2$ funta ważyła grzywna kolońska, równa 20 soldom po 12 fenigów czyli denarów), wół 8 soldów. Ważną rolę odgrywała hodowla świń, przyczem lasy dębowe mają wielkie znaczenie. Rosły wieprz kosztował 3 soldy, prosię 3 denary, cena barana 8—12 denarów. Przy kopalniach górniczych z dawien dawna trzymano trzody kóz dla suchotniczych górników. Wedle Zwierciadła saskiego, wartość kury i kaczki wynosiła $^1/_2$ denara, gęsi 1 denar. Ważne było także bartnictwo. Do podniesienia rolnictwa w XIII. wieku przyczyniła się głównie zmiana w stanowisku chłopa, który z poddanego stał się swobodnym prawie czynszownikiem i dlatego, że pracował dla siebie, pracował ochoczo i intenzywnie. Nadto posiadłość ziemska w średnich wiekach nie ulegała wyzyskowi kapitału. Dzięki dzierżawie i czynszom w naturze, grunt mógł się obyć bez kapitału, a jednak chłop nie był pozbawiony dobrodziejstwa korzystnej pożyczki pod postacią kupna rentowego. Dłużnik płaci czynsz w naturze wierzycielowi, który w razie opłaty renty nie ma prawa wypowiedzenia gruntu. Natomiast dłużnik lub jego spadkobiercy mogą każdej chwili przez spłacenie ceny umówionej kupna zrzucić się z ciężarów opłaty czynszu. Te to okoliczności uchroniły rolnictwo od choroby nowoczesnej, tj. od obdłużenia posiadłości ziemskiej, nie dziw, że dziś państwo niemieckie, aby zaradzić przesileniu agrarnemu, nie ma innego środka, jak ów średniowieczny środek włości rentowej. W jaki sposób ludność pierwotnie niewolna i poddańcza uzyskała częściową lub zupełną wolność i swobodę, niepodobna tu bliżej określić, to tylko nadmienić musimy, że głównie przyczynił się do tego wpływ Kościoła i że szczególnie poddani duchownych mieli się bardzo dobrze tak, iż powstało przysłowie niemieckie: *Unter dem Krummstab ist gut wohnen.* Ciekawem jest, że osławiona *ius primae noctis* w Niemczech nie ma innego znaczenia, jak tylko opłaty na rzecz pana za zezwolenie na małżeństwo swego poddanego, inne tłumaczenie tego wyrażenia jest, zdaniem najgłośniejszych badaczy, naukowym przesądem (str. 54). W całych obszarach, jak w Szwajcaryi, w Austryi i nad morzem Niemieckiem zachował się lub wytworzył zupełnie swobodny stan chłopski. Wobec tego nie dziw, że chłopstwo miało się bardzo dobrze, że niejeden chudopachołek szlachecki szczęśliwy był, jeżeli mógł poślubić bogatą chłopską córę, i że szereg poematów średniowiecznych, przez rycerzy skomponowanych, z pewną zazdrością opisuje dobrobyt i wystawność chłopską i wyśmiewa ich przesadę i małpowanie wyższych stanów, że najznakomitsi kaznodzieje i moraliści oburzają się na butę, sobkowstwo i rozwiązłość

chłopów niemieckich, z tem wszystkiem chłop to niemiecki głównie dokonał największych zdobyczy, przysparzając niemieckiej ojczyźnie większą połowę jej dzisiejszego obszaru za pomocą kolonizacyi słowiańskiego wschodu.

Bolesna to kwestya dla nas, ta kwestya cmentarzyska słowiańskiego między Łabą a Odrą, Wisłą dolną i Niemnem, niemniej przeto jest ona faktem i, powiedzmy, koniecznością dziejową. Tak samo świat germański utracił połowę swych plemion na rzecz ludów romańskich w czasie wędrówki ludów, a i niektóre pograniczne ziemie, jak Belgię, Luksemburg, Lotaryngię, pierwotnie germańskie, które uległy wpływom francuskim. Podobnie i żywioł litewsko-ruski przyswoił sobie kulturę zachodnio-chrześcijańską tylko za cenę przedniej warstwy narodu tj. szlachty, która się stała polską. Chrześcijańskie uczucie wzdraga się przed eksterminacyjną walką marchionów niemieckich, jak Gerona lub Albrechta Niedźwiedzia na kresach słowiańskich, a jednak nie trzeba zapominać, że tak samo postępował Karol W. ze Sasami, tak samo nasz Bolesław Krzywousty z Pomorzanami. Nietyle zresztą walka wytępiła i zniszczyła żywioł słowiański między Łabą a Odrą; żywioł ten uległ pokojowemu zasymilowaniu się z przedstawicielami wyższej kultury. Dowodem tego Pomorze i Ślązk, gdzie bez najmniejszego gwałtu, pod opieką rodzimych książąt, głównie za sprawą klasztorów norbertańskich i cysterskich, jak to wykazuje wymownie autor, dokonała się germanizacya. Wszystko to przyznając, musimy się atoli zastrzedz przeciw całemu szeregowi uwag autora w tej partyi umieszczonych, które z prawdą dziejową się mijają, niezawodnie pod wpływem ciasnego nacyonalizmu. Na str. 99 twierdzi autor, że „Ślązk od r. 1163 (!) był odłączony od wielkiego państwa polskiego“, a jednak sam napis nagrobkowy Bolesława Wysokiego, księcia ślązkiego, z r. 1201, przytoczony przez autora na stronie następnej: *Dux Boleslaus, cui par nullus erit per regna Polonica princeps,* powinien był pouczyć autora, że było inaczej, że książęta ślązcy uważają się przez cały XIII. wiek za książąt polskich, a jeszcze i w XIV. wieku niektórzy Polski się trzymają. Przesadne jest zatem również twierdzenie (str. 108), jakoby około połowy XIV. wieku cały Ślązk z wyjątkiem niektórych okolic Górnoślązka był zniemczony. Wszak dzisiaj pomimo sześciowiekowej germanizacyi więcej niż $^1/_4$ zaludnienia Ślązka zalicza się do Polaków. Stronniczo są również dzieje Krzyżaków przedstawione. Z przedstawienia autora (str. 114) wynikałoby, że Krzyżacy utracili ziemię Burza w Siedmiogrodzie z powodu niepokoi we Węgrzech. Tymczasem faktem jest,

że utratę tej ziemi spowodowali sami swemi nadużyciami i zachłannością, a przedewszystkiem, że chcieli kraj ten oderwać od Węgier, oddając go pod opiekę Stolicy apostolskiej, a to na podstawie, jakoby ziemia ta była bez zastrzeżeń darowana Zakonowi i wyjęta zupełnie z pod zwierzchnictwa węgierskiego. Węgrzy poznali się na wilkach w owczej skórze i Krzyżaków gwałtem wyrzucili, pomimo próśb i gróźb uprzedzonego przez Hermana Salzę papieża [1]. To, co się nie udało we Węgrzech, to się udało w zupełności za pomocą zręczności i przebiegłości, przed oszustwem nie wzdrygającej się, w Polsce. Nie trzeba zapominać, że Herman Salza, to jeden z najzręczniejszych i najbezwzględniejszych dyplomatów średniowiecznych, że to powiernik i zaufaniec średniowiecznego na prawdę *il principe* wedle przepisu Machiavela, tj. cesarza Fryderyka II., że w królestwie obojga Sycylii powstała ta bezwzględna, przewrotna, egoistyczna a zarazem faryzejska polityka, jaką Zakon kontynuował od powołania do Prus aż do apostazyi swej w r. 1525 [2].

Że Zakon całym szeregiem fałszerstw [3] doszedł do niezawisłości swej, że oszukał przytem papieża tak samo jako i dobrodziejów swych, Konrada i biskupa Krystyna, że następnie w oburzający po prostu sposób wydarł Łokietkowi Pomorze, o tem autor nietylko nic nie wspomina, ale zajęcie Pomorza przez Zakon przedstawia jako zaszłe w r. 1294 po wygaśnięciu książąt pomorskich (str. 124). Autor nie może zaprzeczyć, że nawracanie Krzyżaków odbywa się za pomocą miecza, twierdzi atoli, że Zakon obchodzi się z ludnością pruską nadzwyczaj łagodnie, a zwłaszcza pierwszy landmistrz Herman Bulke (str. 120, 124). O łagodności tej landmistrza między innemi świadczy egzekucya pierwszego do niewoli wziętego wodza pruskiego Pipina. Wedle współczesnej zapiski Kron. Oliwskiej [4] rozpróto mu brzuch i włóczono go około drzewa, dopóki z niego wszystkie wnętrzności nie wypłynęły. Że wypadek ten w r. 1231 bynajmniej nie był wyjątkowy, lecz że Krzyżacy dopuszczali się na Prusakach największych gwałtów, jak później na Litwinach i Żmudzi, tego dowodzi, między całym szeregiem dokumentów, choćby bulla Grzegorza IX. z dnia 11 kwietnia r. 1240 [5], w któ-

[1] Koch, *Herman v. Salza,* 50—53.
[2] Koch, str. 128.
[3] Perlbach, *Preussisch-polnische Studien,* str. 64—96.
[4] *Script. r. Pr.* v, 596 i Dusburg i, 55.
[5] Perlbach, *Preuss. Regesten,* n. 177.

rej biskup pruski Chrystyan, Niemiec, rzuca w twarz Zakonowi to samo ciężkie oskarżenie, jakie podnosić będą po kolei i Mendog i Gedymin, Jagiełło, poświadczy zaś cały szereg biskupów polskich i niemieckich, mianowicie, że Krzyżacy swą chciwością i brutalnością utrudniają poganom przyjęcie chrześcijaństwa i nawróconych już, do pogaństwa znowu odpychają... A więc fakta rzeczywiste w całkiem innem świetle przedstawiają Zakon niż tem różowem, w jakiem go widzi autor. Dlaczego w fałszywem oświetleniu przedstawia autor kolonizacyę Wschodu, ten „największy czyn niemieckiego narodu", na to złożyły się różne przyczyny. Nie trzeba zapominać, że autor maluje olbrzymi obraz zamaszystem pociągnięciem pendzla, że w szczegóły wchodzić nie może, choćby chciał. Proszę zauważyć, że autor streszcza w swej pracy wyniki naukowe z blizko 500 dzieł, a znacznie więcej tomów. Monografie, na których się opiera w dziejach swych kolonizacyi, pisane są przez uczonych pochodzących głównie z tych krajów, gdzie walka narodowościowa jak na Ślązku i w Prusiech nie ustała, gdzie ci pisarze są niekiedy przodownikami duchowymi w tej walce. Czyż więc przedstawienie rzeczy może być u nich bezstronne, czyż subjektywizm narodowy nie musi tam zabarwiać prawdy dziejowej? Jak dalece autor, nieznający stosunków na wschodnich kresach państwa niemieckiego, padł ofiarą zręcznych fałszerzy opinii, tego najlepszym dowodem jest zacytowane przez niego na str. 91 dzieło Seringa p. t.: *Die innere Kolonisation im östlichen Deutschland,* na którego podstawie wspomina o pomyślnych wynikach obecnej kolonizacyi, tej kolonizacyi, która za pomocą funduszu 200-milionowego szerzy nietylko niemieckość, ale i protestantyzm, które dla tego tak energicznie zwalcza katolickie *Centrum.* Autor był przy opisie kolonizacyi Wschodu w tem samem położeniu, co niejeden historyk katolicki, piszący dzieje reformacyi przed dziełem Janssena. Jak dzieje reformacyi i wogóle nowożytne dzieje niemieckie niechybnie ulegną kiedyś gruntownemu przekształceniu, gdy antagonizmy religijne umilkną, tak wobec antagonizmów narodowych i wybujałości poczucia narodowego trudno spodziewać się bezstronnych monografij, a jeszcze trudniej na stronniczych monografiach opartego bezstronnego poglądu ogólnego, jakim jest praca niniejsza.

Na szczęście to tylko epizod jeden mniej udały w tym obrazie wspaniałym kultury niemieckiej XIII. wieku. Rozkwit ten rolnictwa wywołał i rozkwit miast. Obfitość płodów rolniczych domagała się pola zbytu, a zbyt odbywał się na targowicach miejskich. Targowica to matka miast. W nich zaś ostatecznie zwyciężyła nowa forma go-

spodarstwa tj. gospodarstwo pieniężne nad gospodarstwem naturalnem. Reprezentantem gospodarstwa naturalnego był średniowieczny dwór szlachecki z X. wieku wraz z poddanymi. Był to organizm, który sam sobie wystarczał, wymiana towarów należała tu do wyjątków. Dopiero z nastaniem gospodarstwa pieniężnego przychodzi do zasadniczego podziału pracy, do wytworzenia się różnych zawodów rzemieślniczych, kupieckich i robotniczych, które już nie dla zaspokojenia potrzeb pewnego pana służą, lecz są za pieniądze do usług każdego potrzebującego ich wyrobu. Odtąd rozpoczyna się wydoskonalenie pojedynczych gałęzi wytwórczych, datują się wyższe wymagania i postęp. Rolnik jest zawisły od miasta, mieszczanin od rolnika, łącznikiem ich jest targowica, środkiem zamiennym staje się pieniądz, który dopiero umożliwia wytworzenie się kapitału, jest tem w ekonomii narodowej, czem krew w organizmie. Gospodarstwo pieniężne daje dopiero możność i ludziom świeckim zajmowania się nauką, sztuką, podczas gdy do XIII. w. tylko zakonnicy w klasztorach byli w tem szczęśliwem położeniu. Z nową więc formą gospodarczą powstaje nowy porządek socyalny, wytworzenie się mieszczaństwa. Że ten porządek nowy w XIII. w. wytworzył się bez gwałtu, bez rewolucyi, że kapitalizm nie przybrał tych ujemnych stron, jakie dziś posiada, do tego przyczyniły się związki rzemieślników zwane cechami i kupców zwane gildyami. Związki te chroniły wolną pracę od wyzysku, zapobiegały nierzetelności i fuszerce, i zapewniały rzetelnemu robotnikowi pewne utrzymanie, ponieważ zaś w duchu średniowiecznym oparte były na zasadach religijno-moralnych, nie dziw, że wytworzyły to dzielne mieszczaństwo, które najwyższy swój rozkwit osiągnęło w głośnej Hanzie, będącej potęgą nietylko ekonomiczną, ale i polityczną w północno-wschodniej Europie.

Prześliczny jest również obraz rycerstwa niemieckiego, oparty głównie na źródłach poetycznych tak licznych w XIII. w. Stąd pochodzi, że może wypadł zbyt idealistycznie (str. 225) w porównaniu do rzeczywistego stanu rzeczy, który tem bardziej był zawichrzony gwałtami rycerzy-rabusiów, o ile przez cały ciąg XIII. w. władza królewska była bardzo słaba, lub innemi, włoskiemi sprawami zajęta. Właśnie to rycerstwo drapieżne niemieckie, jako żywioł anarchistyczny, spowodowało powstanie licznych związków niemieckich miast, zwłaszcza związek miast reńskich z r. 1254, a w końcu XIII. w. głośną Hanzę, której genezę mylnie dotąd w związku między Lubeką a Hamburgiem z r. 1241 upatrywano (str. 199). Nie przeczymy, by nie było w Niemczech szlachetnych, wzniosłych postaci rycerskich, jakie poezya przed-

stawia, twierdzimy atoli, że poetyczne obrazy idealnego chrześcijańskiego rycerza były nader rzadkie w życiu, nawet w najlepszych czasach (str. 225); nadto zapożyczone przez niemieckich poetów z poezyi francuskiej. Przecież Francya jest tak samo macierzą odrodzonego życia chrześcijańskiego wyszłego z klasztoru Clugny, jak i uszlachetnionego rycerstwa, które w wyprawach krzyżowych idealnym blaskiem zajaśniało i wywołało naśladownictwo u innych narodów. Idealne postaci rycerskie czy Rolanda, Parcivala, Tristana, na jakie się autor powołuje, były przecież wysnute z fantazyi francuskich truwerów, przez Turolda, Chrestiena de Troiger i t. d., i stąd dopiero zapożyczyli je Pfaffe Konrad, Wolfram z Eschenbach, Gotfryd z Strassburga, tworząc swoje pieśni o Rolandzie, Parcivalu, Trystanie i Izoldzie i t. d. — Dlatego niesłusznie jest, zdaniem mojem, przedstawiać te postaci jako typy wyłącznie chrześcijańsko-germańskiego świata (str. 212).

Ostatni rozdział wreszcie, poświęcony ustawodawstwu i prawu, zajmuje się godnością królewską w Niemczech i cesarską, dalej powstaniem kolegium elektorów i genezą udzielności książąt niemieckich. Pierwsze ślady tej udzielności terytoryalnej widać w Austryi. Książęta odtąd uważają się nie za urzędników, lecz za właścicieli terytoryów w zarząd im oddanych. W sejmach Rzeszy, które dotąd były tylko zgromadzeniami książąt i radą królewską, stanowią odtąd wskutek uczestnictwa w nich także miast, pierwsze stany. Miasta wzmógłszy się ekonomicznie, zyskują i wpływ polityczny w XIII. w.; ważne są także pod względem prawnym, gdyż z nich wyszło skodyfikowanie prawa zwyczajowego niemieckiego. Najważniejszą kodyfikacyą znaną pod nazwą Zwierciadła saskiego, aczkolwiek była prywatną pracą jakiegoś Eike z Repgowa, mimo to miała olbrzymie znaczenie na dalszy rozwój prawa nietylko w Niemczech, ale i sąsiednich krajach, gdzie wraz z mieszczaństwem niemieckiem rozpowszechniły się jego zwyczaje prawne (str. 307), znane pod nazwą prawa magdeburskiego. — Ciekawe są ustępy o ordaliach i o pojedynkach średniowiecznych, z którymi nowoczesny pojedynek nie stoi w żadnym związku, wyrósłszy ze zgniłych stosunków na dworze ostatnich Walezyuszów (str. 319). W końcu jest mowa o wpływach prawa rzymskiego na stosunki prawne niemieckie, wpływach częstokroć ujemnych. Pomimo niezrównanej formy, jest prawo rzymskie wypływem ducha pogańskiego, wypływem innych stosunków niezgodnych z zasadami społeczeństwa średniowiecznego na wskróś chrześcijańskiego. Nie dziw więc, że Kościół, pomimo że sam

w niejednem z prawa rzymskiego skorzystał, przeciw szkodliwym jego wpływom energicznie występował.

Taka mniej więcej jest w najogólniejszym zarysie treść znakomitego dzieła O. Michaela. W przeciwieństwie do innych dzieł niemieckich uczonych, przedstawienie jest przystępne, styl lekki i jasny, barwność zaś opisu i zręczne poruszanie kwestyj i dziś aktualnych sprawia, że się dzieło z prawdziwą przyjemnością czyta. Nie na wszystko zgodzić się można, we wszystkiem jednak widać dobrą wiarę i chęć służenia prawdzie, wszędzie chwalebną tendencyę wykazywania zbawiennej działalności Kościoła katolickiego. Jeżeli zaś zważymy, że wiek XIII. jest wiekiem największego przesilenia, jakie społeczeństwa środkowej Europy przeszły, że jest chwilą przejścia ze stanu barbarzyńskiego prawie do stanu kulturnego, wytwarzającego miasta kilkudziesięciotysięczne, z takiemi dziełami, jak katedry kolońskie i strassburskie, to zrozumiemy, że to przełom jest znacznie większy aniżeli przełom XIX. wieku, wprowadzający maszynę parową, kolej żelazną, milionowe miasta fabryczne, teatry i muzea. A jednak ten przełom w XIII. wieku rewolucyą się nie objawił, jaka dziś grozi społeczeństwom, a to dlatego, że regulatorem społeczeństwa średniowiecznego była moralna potęga Kościoła, którą zbuntowane społeczeństwa europejskie długo lekceważyły, a dziś dopiero po zbankrutowaniu antykościelnych haseł przy ogólnym rozstroju socyalnym znowu cenić zaczynają. *Historia est magistra vitae!*

Dr. K. Krotoski.

The mighty Atom („Potężny atom"). *Marie Corelli.* I vol. (Str. 279).

Zauważyliśmy już dawniej na tem samem miejscu, że umysł Maryi Corelli jest jakoby piękny instrument, na którym uzdolniona ale niewprawna dłoń usiłuje wygrywać melodye. Czasem gra fałszywie, że aż gwiazdy w swych posadach zgrzytają, czasem znów dobędzie czysty i dźwięczny akord, którego bogate tony wstrząsają głębię serc. Z utworami jej tedy należy postępować ostrożnie: wybierać ziarno, a odrzucać zatrute plewy. U nas jednak dzieje się wręcz przeciwnie. Znanymi są w szerokich kołach fantastyczne dziwolągi, jak *The romance of two worlds* („Powieść z dwóch światów"); znanym pełen zarazem absurdów, fałszów i pięknych ustępów *Barrabas;* najbardziej znanemi, bo przełożonemi na polski język brednie, nazwane *The sorrows of satan*, „Troski szatana". Na ten utwór, dzięki jaskrawości tytułu, rzuca się skwapliwie nasza młodzież męzka i żeńska, a choć niejeden trafnie

osądzi, że „to chyba w domu waryatów pisane“, przecież zawsze coś z tych niedorzeczności musi przylgnąć do duszy. Najwinniejszym tu jest tłumacz, puszczający w obieg — widocznie dla interesu — fałszywą moralną monetę; winnym i czytający, którego nie na to w dzieciństwie zdrowemi zasadami pojono, aby je własnowolnie z serca wyrywał. Najmniej może winną (choć to się niedorzecznością wydaje) jest sama autorka, której według zasad protestantyzmu wolno wiarę Chrystusową przekręcać według fantazyi i, końcem końców, wierzyć w to, co się jej podoba.

Że zamiary jej nie są zdrożne, świadczy obok niektórych innych ładnych powieści ostatni jej utwór *The mighty Atom* („Potężny atom“), dedykowany „Samozwańczym postępowcom, którzy nauką i przykładem popierają niegodziwą sprawę wychowania bezwyznaniowego i którzy wprowadzając w czyn pożyczoną od francuskich ateistów zasadę pozbawiania dzieci szkolnych i innych świadomości i miłości Boga, tej jedynej podstawy szlachetnego żywota, stają się winnymi zbrodni gorszej od morderstwa“. Dedykacya ta, sama przez się wymowna, starczy już za przedmowę i wyraża cały sens moralny utworu.

Treść książki zawiera dzieje duszyczki jednego z owych biednych dzieci, na których popełniono „zbrodnię gorszą od morderstwa“. Lionel Valliscourt jest synem zamożnego pana, który nie z miłości, lecz z pychy, nie żałował nic od kolebki dla kształcenia jego umysłu. W śliczne a wątłe pacholę wepchano bez litości potworną ilość skrzywionej nauki, pod którą organizm fizyczny się słania, a myśl chorobliwie rozwija. Lionel nie zna pieszczot ani zabaw dziecinnych, nie zna słodyczy krom tej, która mu z własnego serca wypływa. Za to w 11-tym roku życia umie rozprawiać o filozofach greckich. Uczono go wszystkiego, ba! nawet religii chrześcijańskiej i żywotu Chrystusa, ale w równej mierze z mitologią Greków i Rzymian, z fetyszyzmem, brahmanizmem, buddyzmem i zasadami Koranu, przedstawiając mu te różne systemy jako stopnie błędu, przez które dziecinna ludzkość przechodzić musiała, zanim dojrzała na tyle, aby się obejść bez baśni. Nauczyciele, dobierani starannie, całem wychowaniem w tym kierunku sterują; jeden tylko, ostatni, młody Szkot, pełen energii i życia, dostał dopiero co szorstką odprawę, bo wierzył w Boga. Lionel tedy wyrasta bez wiary w niebo, bez uszanowania dla starszych, choć wie, że ulegać musi do czasu, póki jest słabszy, bez czci dla ojca, z jednem tylko uczuciem miłości dla matki. Ale ta, któraby mogła wszystkiemu złemu zaradzić, jest tylko istotą piękną i płochą, wyziębłą

i zdziczałą w bezwyznaniowej atmosferze mężowskiego domu. Lionel tedy jest istotnie sierotą. Życie, z nadmiernym, na barki jego wtłoczonym trudem, cięży mu nieraz; biedna główka męczy się i trapi, obracając wciąż jedno i to samo pytanie, na które znikąd odpowiedzi nie słyszy: Na co się zda praca, cierpliwość, cierpienie, jeżeli wszystko ma się zakończyć w grobie? Skąd się wziął świat, skąd niebo ze swymi cudownymi blaski? Powiedziano mu, że wszystko powstało z Atomu... O jakżeż potężnym, jak mądrym musiał być ten Atom, aby to wszystko utworzyć... O ten Atom, ten Atom! Czemuż on nie jest żywą istotą — tożby można do Niego przemówić, a Onby słyszał, Onby pocieszył, objaśnił, a może... może i zabrał do Siebie!... I na tę myśl serce biednego dziecka zda się roztapiać w łonie, ale na chwilkę tylko, bo wraz przypominają mu się szyderstwa ojcowskie, twierdzenia, że Stwórcy żadnego niema i nie było, i że dziś tylko ludzie ciemni weń wierzą.

Opowieść zaczyna się właściwie z odjazdem młodego nauczyciela. Lionel jego jednego lubił z pomiędzy swych nauczycieli; to też odprowadza go ukradkiem z rana do pocztowego powozu, a potem dopuszcza się pierwszego w życiu aktu swawoli: bez pozwolenia ojca idzie przez parę godzin bujać wśród kwiatów i słońca. I tak błądząc bez celu zachodzi na wiejski cmentarz; miejsce dla niego ciekawe; toż mu ojciec nie pozwolił nigdy zbliżyć się do kościoła! Na cmentarzu widzi grabarza, który właśnie kopie dół na mogiłę. Niezwykle piękna powierzchowność starego, a zwłaszcza jego robota, budzą zajęcie chłopca; wszczyna się rozmowa, wśród której Lionel słyszy z ust prostego, ale rozumnego człowieka wyznanie owej wiary, którą mu gardzić kazano. Patrzy i dziwi się, że ten człowiek kopie grób, a mówi o wiecznym żywocie, spostrzega litość, jaką w starym wzbudza własne jego zwątpienie. Rozmowę przerywa przybiegająca do ojca sześcioletnia dzieweczka, Jessamine (kwiat jaśminu), aniołek, któremu tylko skrzydeł potrzeba. Lionel czuje się od niej o całe wieki starszy, ale poczyna się bawić, ujęty jej niewymowną prostotą i wdziękiem. Wpośród igraszek, maleńka wciąga go do kościoła. Tutaj wszystko dlań nowe, wszystko poważne i dziwnie przejmujące. Jessaminka z uszanowaniem drepce na paluszkach, i szczebiot zniżając do szeptu, pokazuje mu w wielkiej księdze swój ulubiony obrazek: Dziecię Jezus, nauczające doktorów w świątyni. I Lionel dziwi się znowu, że jest mądrość, przewyższająca ludzki rozum i wiedzę.

Za powrotem do domu czeka go gniew ojca i kara, ale chłopiec gniewu się nie boi: „Nie zabije mnie przecież — mówi do matki —

a choćby i zabił, to więcej sobie tem zaszkodzi, niż mnie". Oprócz kary czeka go nowoprzybyły nauczyciel, sławny profesor Cadman Gore, stary, brzydki, szorstki, zaśniedziały w bezwyznaniowej nauce. Ten uprzedzony niekorzystnie wybrykiem ucznia, zabiera się nazajutrz do surowego zbadania jego wiedzy. Lionel odświeżony jednodniowym spoczynkiem, odpowiada z zadziwiającą trafnością, która wszakże — jak to zwykle bywa — zachęca tylko egzaminatora do świdrowania coraz to głębiej w jego mózgu. Tem większe jest tegoż zdziwienie, gdy po skończonej próbie chłopiec zaczyna jemu samemu zadawać pytania. Wielka sława mądrości profesora wzbudziła w nim nadzieję: Może on, co tyle umie, zdoła rozwiązać trapiące go zagadki? Może on coś wie o twórczym Atomie, o przyczynie życia i śmierci? Ale profesor odpowiada banalnymi ogólnikami „o nauce, która milczy o wszystkiem, czego nie stwierdziła naocznie", a gdy to nie wystarcza chłopcu, który raz wraz strzela logicznymi argumentami w jego papierową twierdzę negacyi, stary mędrzec wepchnięty w róg, gniewa się i odchodzi. „Ciekaw jestem — mówi sobie Lionel — dlaczego ludzie zawsze się złoszczą, gdy nie wiedzą, co odpowiedzieć? A przecież powinniby wiedzieć... toż to ważniejsze od łaciny i greki!" I zawiedziony zasiada smutno do pracy.

Odtąd ciągną się długie, jednostajne dni ciężkiej nauki, wśród której umysł dziecka, pozbawiony moralnej dźwigni i ciało pozbawione fizycznego ruchu, coraz bardziej więdnieją i słabną. Nerwy za to dochodzą do takiego stopnia rozdrażnienia, że biedaczek sam się niem przeraża, ale nie ma zwierzyć się komu. Przeczucie o istnieniu Stwórcy nie opuszcza go, pomimo iż mu o tym przedmiocie ust otworzyć wzbroniono, a wszelką styczność z grabarzem, Rubenem Dale, zakazano stanowczo. Myśl wszakże pracuje ciągle; w moralnem osamotnieniu tęsknota z każdym dniem wzrasta, a w przemęczonym umyśle tworzy się chaos, od czasu do czasu przestrzelony wyraźniejszą iskrą wiary, lub czarniejszym cieniem zwątpienia. Raz cały jego gmach nadziei burzy się na widok ułomnego, na wpół oszalałego nędzarza: „Niema Boga! — woła do siebie — są tylko głupie, okrutne siły natury, bo przecie dobry Bóg nie patrzałby obojętnie na tyle cierpień i nędzy!" Szczęściem, przychodzi mu na myśl pożyczyć od służącej Nowego Testamentu, i tu ustęp o Panu Jezusie uzdrawiającym trędowatych uspokaja mu duszę: „Dziesięciu uleczył — myśli — a jeden tylko wrócił podziękować. Ludzie są niewdzięczni i dlatego cierpieć im trzeba". Pracę jednak i rozmyślania przerywa mu jak grom — nieszczęście.

Pewnego wieczora, gdy już usnął w swej samotnej izdebce, przychodzi doń matka, pieści, jak nigdy dotąd nie pieściła, a w końcu żegna ze łzami (ustęp rzewny, ale za długi). Nazajutrz Lionel dowiaduje się, że uciekła. W liście zostawionym do męża, powiada mu, że on sam winien jej czynu, bo życie jej uczynił piekłem, a serce jej wyzuł z Boga, z miłości, z poczucia wszelkiego obowiązku. I następuje scena ohydna, gdzie ojciec, pieniący się ze złości, wybucha przed synem najsroższemi obelgami na matkę. Lionel zrazu słucha przerażony, zasłaniając się rękami, jakby przed gradem materyalnych ciosów, a wreszcie przerywa haniebną mowę gwałtownym w swej bezsilności protestem: „Nie mogę już więcej, ojcze, nie mogę!... Ja ją kocham, kocham — o moja mamo!“ I na wpół przytomny ucieka z domu.

Odtąd już sam nie wie, co się z nim dzieje, aż przyniesiony budzi się na łóżku po długiem omdleniu. Lekarz zaleca zmianę otoczenia i konieczny spoczynek, a srogi niedawno profesor Cadman Gore, którego serce poczyna odtajać pod falą ogromnej litości, zabiera go do cichej osady, nad sam brzeg morza. Nietylko litość w nim świta. Uporczywe pytania Lionela i bezsilność w daniu im odpowiedzi, powoli zachwiały mu duszę i poczęły wprzód budzić sumienie: „Czyż nie było rzeczą potworną wychowywać dziecko bez wiary?“ Następnie wznieciły pamięć własnych lat dziecinnych, gdzie i on przecież modlił się i kochał, a czemże za to jest teraz? Człowiekiem, który korzystastając z wszelkiego dobra, jakie wiara światu przyniosła, pracuje nad jej wytępieniem... Wiara ta jeszcze mu nie powróciła, ale spokój jego ateizmu zachwiany, a tymczasem sili się ciężko, niezgrabnie ale poczciwie, aby, co może, uczniowi okazać dobroci. On — najpoważniejszy z uczonych powag — szuka w swoich wspomnieniach bajek, aby biedną główkę rozerwać, a nie znajdując nic krom mitologii, opowiada baśń o Erosie i Psyche. Lionel słucha zamyślony głęboko: „Lubię tę historyę — rzecze po chwili. — Bo widzi pan... Psyche nie wiedziała a pragnęła wiedzieć... tak jak ja i pan i wszyscy — nieprawda?... Zapalamy nasze lampki i zaczynamy szukać i odkrywać, i czasem zdaje nam się, żeśmy już odkryli ów twórczy Atom... gdy nagle przychodzi piorun i ciemność... umieramy... i lampa nasza gaśnie. Ale nie słyszymy szelestu odlatujących skrzydeł jak je Psyche słyszała... Gdybyśmy choć to słyszeli, ten szelest skrzydeł, czulibyśmy, że ktoś był przy nas i oddalił się. Tam... nie wiemy gdzie... i próbowalibyśmy iść za nim. Może przy śmierci usłyszymy ów szelest i poznamy to, czego dziś nie możemy poznać, bo lampki nasze gasną zbyt prędko...

Ot, ludzie wierzący w Chrystusa... oni słyszą ten szelest skrzydeł, gdy powiadają: Zmartwychwstał i wstąpił do niebios. Oni czują to, że ktoś ich kędyś wyprzedził i usiłują jak mogą za nim podążyć... Jabym tak chciał módz wierzyć w piękne rzeczy napisane w Biblii..."

I tak mówi dalej a profesor milczy, bo wszelkie argumenta zamierają mu na ustach. Dwa tygodnie upływają nad morzem spokojnie, przerwane tylko dla Lionela wypadkiem, który mu dziwnie zostaje utkwiony w pamięci: w nadbrzeżnej szopie znaleziono powieszonego nieznanego turystę a stary rybak zapytany oświadczył, że to najszybszy rodzaj śmierci: „trzeba mieć hak i chustkę... i tyle!" Lionel powraca do ojca nieco wzmocniony; profesor jednak ostrzeżony przez lekarza, nie myśli go męczyć nauką i chętnie zaraz nazajutrz pozwala mu na parę godzin wybiegnąć. Chłopcu pilno Jessaminkę odwiedzić; od owego dnia gdy ją poznał, widział ją raz tylko w ogrodzie, a wtedy, odchodząc wytknęła raz jeszcze główkę z pomiędzy gałęzi, wołając mu wesoło: „Bądź zdrów Lili, ale nie na długo!" Odtąd przyszło nieszczęście i tygodnie minęły a Lionel zatęsknił za jej słodkim szczebiotem. Biegnie zatem czemprędzej i otwiera wrota cmentarza. Tu, podobnie jak wówczas, stoi grabarz i kopie dół na mogiłę, ale tym razem dół jest maleńki a z wybladłej twarzy robotnika grube łzy spadają do grobu. Kochanie jego, jedyna pociecha po zmarłej żonie, od dwóch dni leży umarła. I biedak płacze i cierpi głęboko, ale pokornie, z całą siłą i poddaniem wiary, z taką słodyczą, że nawet łagodnie łopatą usuwa robaka, który z ziemi grobowej wypełznął. Ale Lionel jeszcze wierzyć nie umie: śmierć Jessaminki wywołuje w sercu jego bunt, a w ustach bluźnierstwo. Naprożno sam nieszczęśliwy ojciec stara się go ukoić; zrozpaczony ucieka z cmentarza. „Biedne dziecko — szepcze patrząc za nim grabarz — nie widzi Boga w cierpieniu, tylko cierpienie samo".

Tymczasem chłopiec nieutulony, rzucił się gdzieś w trawę pod drzewem i gorzko przeciw niezrozumiałym wyrokom wyrzeka. Powoli jednak myśl jego w zwykłe powraca koryto, a zgon Jessaminki wznieca znów pytanie: Co się z nią stało? gdzie się podziała po śmierci?,.. Podniósł się i stoi długo dumając z zaciśniętemi rękami i silnie zwartemi usty: „Może uczeni ludzie są istotnie mniej mądrzy, niż im się zdaje, może się mylą. Atom, o którym rozprawiają, jest może Bogiem a nawet Chrystus był nie mitem, nie prostym, dobrym człowiekiem, pragnącym zreformować Żydów, ale Boską Istotą? I kto wie? Może tam jest inne życie i inny świat, do którego poszła już Jessaminka? Tylko,

jak się dowiedzieć na pewno, zupełnie na pewno?“ Przechodzi parę kroków i wtedy nagła myśl strzela mu do głowy, myśl, od której dziwnie zapalają się oczy a twarz oblewa gorączkowym rumieńcem. „Już wiem — szepcze. — Już wiem najlepszy sposób dojścia do prawdy; muszę ją znaleźć i — znajdę!“

W głowie chłopca, znękanej jałową pracą, wstrząśniętej utratą matki a potem niespodzianym zgonem Jessaminki, egzaltacya teraz dosięga szczytu. Pozornie jednak spokojny wraca do domu. Nie martwi się już, ale coraz głębiej pogrąża w myśli. Późnym wieczorem, gdy już wszyscy uśpieni, dobywa schowaną z niedawnych lat dziecinnych długą szarfę błękitną, cichaczem schodzi do pokoju, który mu służy za klasę, i tu w piękną noc letnią, „noc kędy każde serce wierzące napełnia się jak kielich święty winem wesela i dziękczynienia a każda dusza śpiewa *Magnificat*“ — biedny chłopiec z uśmiechem i pierwszą modlitwą na ustach spełnia swój zamiar. A spełnia go z taką naiwnością dziecięcą, z taką nieświadomością złego, że chyba wokoło niego anieli wołają: „Ojcze, przebacz mu, bo on nie wie co czyni!“ Istotnie nie wie, bo go nikt nie nauczył, co to grzech a co przykazanie, nikt nie kazał unikać zbrodni, prócz tych, które karze policya. Nazajutrz rano odbiwszy drzwi, profesor i ojciec znajdują maleńkie zwłoki zwieszone na błękitnej przepasce.

Ostatnie dwa rozdziały opisujące pogrzeb Lionela, mają widocznie na celu przeciwstawienie pięknej, szlachetnej boleści wierzącego i ufającego grabarza z wstrętnym cynizmem bezwyznaniowego półmędrka. Profesor oburzony, wymusza na nim, groźbą skandalu w dziennikach, wykonanie ostatniej, w liście zostawionej prośby zmarłego, pochowania obok Jessaminki, wśród wiejskiego chrześcijańskiego cmentarza. Z nad grobu Lionela odchodzi już chrześcijaninem.

Być może, iż w tej opowieści jest nieco przesady, że np. żaden ojciec nie będzie tak bezwstydnie brutalnym a żaden 11-letni chłopaczek, choć w najnienormalniejszych warunkach, zarazem tak rozwiniętym i tak dziecinnym, że cały utwór jest — jeśli rzec można — pamfletem gwoli dobrej sprawy. Niektórzy ludzie wszakże mniemają, że tylko spotęgowane efekta mogą podziałać na ogół, bo zawsze część tego, co się czytało, sama z siebie odpada, więc nie szkodzi kłaść grubiej kolorów, aby to, co potrzebne zostało. Zwykły antyklerykalizm Maryi Corelli raz tylko w ciągu całego tomu objawia się przelotnie w niesmacznym żarcie o świętopietrzu, oraz w twierdzeniu, że „niestety, niejeden duchowny sam nie wierzy w prawdy, których naucza“, co

zresztą — o ile mówi o pastorach — nie zawsze jest pono niesłusznem. Wogóle jednak tendencya dobra, treść wstrząsająca, opisy cudne a styl świetny jak zawsze.

Bodźcem, który pchnął p. Corelli do napisania tej smutnej powieści był ingres do Anglii, ohydnego „Katechizmu wolnomyśliciela“ *(Le catéchisme du libre-penseur)* Edgara Monteil, kodeksu moralnego pilnie przez ostatni dziesiątek lat rozsiewanego między dziećmi w szkołach francuskich a pouczającego je, iż: „namiętności człowieka są jego najpewniejszym i najwierniejszym w życiu przewodnikiem“ — dalej, że „Bóg jest marą wymyśloną przez księży dla terroryzowania bojaźliwych umysłów“, a w końcu, że „skoro dusza nie przedstawia już dla nas niezależnej i nieśmiertelnej istoty, przeto nie masz i życia przyszłego...“ „Nie łatwo zgłębić do dna strasznych skutków zniszczenia, wynikającego z tych zasad — pisze autorka. — Można wszakże choć w przybliżeniu powziąć o nich wyobrażenie ze sprawozdania posiedzeń Rady Okręgowej *(Conseil d'Arrondissement)* w Nantes, której członkowie w końcu dyskusyi orzekli, że: „Zważywszy, iż wypadki samobójstwa pomiędzy dziećmi i wyrostkami (rzecz dawniej u nas nieznana) pomnożyły się w ostatnich czasach do tego stopnia, że liczba ich dosięga 443 rocznie... Zważywszy również ubolewania godny wzrost zbrodni i występku pomiędzy dziećmi i młodzieżą [1] — uchwalamy, aby odtąd w szkołach naszego okręgu nauka moralności nie była oddzielaną od nauki religii, a obowiązki względem Boga były uważane za fundament i nieodzowną podstawę wszystkich innych obowiązków człowieka“.

„Taką jest rozumna uchwała Rady Okręgowej w Nantes — pisze dalej p. Corelli — ale niestety, ogół Francyi nie poszedł za dobrym przykładem. W każdym niemal okręgu naukowym zasady wolnomyśliciela Monteil'a sieją wśród narodu ziarno zniszczenia... Nauki te zaś, przyjęte w całej pełni przez wolnomyślne stowarzyszenia angielskie, dostają się coraz obficiej do naszych świeckich szkół, ajenci bowiem czyli „misyonarze wolnej myśli“ równie są gorliwi w mnożeniu i rozpowszechnianiu swych broszur, jak najzagorzalsi członkowie Armii Zbawienia. Bardziej skryci i cisi, nie są mniej od nich przemyślni — to też w naszym niegdyś bogobojnym kraju wielu już spotkać można ludzi, przyjmujących biernie za prawdę zabójcze i bluźniercze kłamstwa o nieistnieniu wolnej, niezawisłej duszy a wraz z nią i żywota wiecznego“.

[1] W ciekawej książce *Souvenirs de la Grande Roquette*, pisanej przez kapelana więziennego, można stwierdzić, że co najmniej dwie trzecie zbrodniarzy skazanych na śmierć we Francyi liczy lat 18—25.

Nic dziwnego, że na taki widok krew zagrała w żyłach autorki, że z poza mgły błędu, w którą zbyt często się chowa myśl jej, choćby chwilowo, spojrzała wprost w światło prawdy i podniosła wielki krzyk w jego obronie. Wiem wprawdzie, że niejeden rygorysta odrzuciłby choćby najczystszą prawdę z ust, które w swem życiu tak sporo błędów wyrzekły, ale czy miałby słuszność? Czy w płodach pióra, podobnie jak w czynach człowieka, podlegających codziennej zmianie na lepsze lub gorsze, nie wypada zazwyczaj (oczywiście bywają wyjątki) sądzić raczej, co kto a nie kto co uczynił? Czyż nie należy za każdy błysk z góry dziękować Bogu, który sam narzędzia swoje wybiera? Z radością więc powitaliśmy śmiałe wyzwanie do walki, rzucone w twarz ateistom przez zbłąkaną, ale nie straconą istotę, której rozgłośne imię wielu czytelników do słuchania słów prawdy przygarnie.

T. W.

Z pism czasowych.

Kwartalnik „Lud".

Trzeci mija już rok od czasu pojawienia się we Lwowie pisma peryodycznego, obecnie kwartalnika, pod tytułem *Lud*, pod redakcyą d-ra Antoniego Kaliny.

W „Słowie wstępnem" Redakcya *Ludu* podaje w streszczeniu program nowego czasopisma. *Lud* ma być przedewszystkiem dalszym ciągiem *Ludu* Oskara Kolberga, który zaraz w pierwszym tomie obok głównego tytułu *Lud* kładzie: „jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce", czyli jak się wyraża, „materyały do etnografii słowiańskiej". Wobec tego, nie ulega wątpliwości, że *Lud* d-ra Kaliny będzie folklorem polskim, będzie dalszym ciągiem prac, jakiemi od pół wieku, oprócz Kolberga, zajmowali się: Żegota Pauli, Wacław z Oleska, Zmorski, Kozłowski, ks. Siarkowski, Kopernicki i inni, a wreszcie i czasopismo warszawskie *Wisła*. Jakkolwiek dotychczasowy zbiór folkloru polskiego składa się już z kilkudziesięciu tomów, w porównaniu jednak ze zbiorami za granicą, jest tylko drobną jego cząstką; nie posiada jeszcze dostatecznego materyału do wydobycia z nich syntez i wniosków, któreby etnologia i inne działy tej umiejętności mogły zużytkować. Stąd nowe czasopismo znalazło uznanie w kraju i wielu bardzo po-

ważnych mężów, nawet i z duchowieństwa, wzięło czynny w niem udział.

Redakcya *Ludu* w swym programie nie poprzestaje na samym folklorze, zapowiada, że zebrany materyał „poddawać będzie naukowemu opracowaniu i pomieszczać będzie samodzielne badania z zakresu ludoznawstwa".

Taki szeroki zakres, wytknięty pismu, wywołał podziw, ale zarazem zrodził niejakie obawy co do jego spełnienia. Redakcya, jakby odpowiadając na te domyślne obawy, zaraz w dalszym ciągu tłumaczy, że te „samodzielne badania" nie będą przeładowane „balastem naukowym", lecz „poprzestaniemy na podaniu lub streszczeniu badań, podjętych nad pewnemi kwestyami". Nadto, według programu, ma być wprowadzony „trzeci dział", mianowicie „przegląd, o ile możności dokładny, wszystkich dzieł ludoznawczych i tych prac, które stoją w jakimkolwiek związku z ludoznawstwem".

Otóż, najpierw, nie rozumiemy różnicy między dwoma ostatnimi działami. Drugi dział ma się zajmować streszczeniem i krytyczną oceną „badań ludoznawczych", które przecież muszą się znajdować w dziełach już drukowanych, lecz tą oceną ma się zajmować dział trzeci! Dalej, jeżeli wyrażenie „w jakimkolwiek związku" ma być dosłownie wzięte, wówczas Redakcya będzie się zajmowała wszystkimi możebnymi działami, albowiem niema na świecie dzieł, któreby nie można podciągnąć pod „jakikolwiek związek" z ludoznawstwem.

Program tedy nie był jasny, trzechletnie dopiero wydawnictwo *Ludu* wykazało cel jego i dążności.

„Spis rzeczy" w każdym z trzech roczników wykazuje trzy działy: 1. Rozprawy; 2. Zbiory materyałów etnograficznych; wreszcie 3. Rozbiory i sprawozdania. Dwa ostatnie działy zawierają rzeczywiście artykuły, odpowiadające tytułowi, ale pod dział pierwszy podciągnięto największą część artykułów, należących właściwie do działu drugiego, tj. do folkloru. Ten rozkład bałamuci czytelnika, a zwłaszcza badacza. Kilka, może kilkanaście artykułów i artykulików, zawartych w pierwszym dziale, do których właśnie tytuł „Rozpraw" może być stosowanym, nadaje czasopismu wybitną cechę socyologiczną, a do tego tak skrajnie pozytywistyczną, jakiej dotąd w pismach tutejszych nie napotkaliśmy; z tego powodu, pomijając dwa ostatnie działy, zajmiemy się rozbiorem tych „Rozpraw".

W pierwszym zaraz numerze *Ludu* naczelne miejsce zajmuje artykuł p. Iwana Franki p. t. „Najnowsze prądy w ludoznawstwie".

Co autor w tej rozprawie chciał wyjaśnić, czego dowieść — nie-

wiadomo. Jest tam mowa *de omnibus et de quibusdam aliis.* Streszczenie tego artykułu jest niemożebne. Każdy niemal peryod czepia się innej umiejętności lub nauki: prawa, medycyny, geografii, etnologii, antropologii, mitologii, literatury, no i innych. Do rzędu mężów, którzy położyli zasługi w „ludoznawstwie", zalicza: Hegla, Comte'a, Feuerbacha, Marksa, Darwina; w pierwszym jednak rzędzie stoją: Morgan, Maine, Mac Lennan, Lubbock, Tylor, Spencer; nie pomija też innych jeszcze.

Co to za rodzaj ludoznawstwa, do którego mogli przyłożyć rękę wymienieni mężowie, biegli w swych różnorodnych specyalnościach? Jest to ludoznawstwo d-ra Franki.

Ludoznawstwo, według d-ra Franki, jest wszechwiedzą, oznajmia to najwyraźniej: „obejmuje w sobie, ściąga ku sobie i łączy w jedną całość organiczną wszystkie nauki, wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiej"[1]. Lecz to nie wszystko.

Ludoznawstwo p. Franki ma nam przedstawić dokładny rys ewolucyjny ludzkości, wszystkie etapy, przez jakie cywilizacya kroczyła. Cywilizacya ludzkości jest jakby armią, idącą na zdobycie nowych krajów. W tym pochodzie, jedni wojownicy kroczą wciąż naprzód, inni, „marudery i ciury", pozostają dłuższy czas w różnych miejscowościach. Podczas gdy przednie szeregi posunęły się już o setki lat naprzód, maruderzy pozostają na miejscu, i „przeżuwają nieraz tysiące lat to, co poprzedni już dawno przetrawili i zapomnieli". Porównanie powyższe jest nietylko kulejące, jak je sam p. Franko nazywa, ale całkiem jest fantastycznem i błędnem, w zupełnej sprzeczności z historyą i etnologią. Wniosek, jaki p. Franko ze swej teoryi wyciąga, jest nader charakterystyczny. „Nie należy — mówi on[2] — okazywać pogardy dla zabobonów, przesądów i babich bredni, albowiem co my dzisiaj piętnujemy zabobonami, przesądami i bredniami, przed wiekami nazywało się najnowszą zdobyczą cywilizacyi... pamiętajmy, że przyjść może czas, gdy i nasze dzisiejsze najświętsze wierzenia i przekonania, przeholowane przez rozwój dziejowy (?) spadną na dno potężnego strumienia cywilizacyjnego (!) i staną się wdzięcznym materyałem dla ludoznawców przyszłości". Ile tu przesady, ile bałamuctwa, (jeżeli nie bluźnierstwa)!

Inne części rozprawy p. Franki podobne są do ustępów wyżej cytowanych, nie nadają się zupełnie do oceny naukowej; czasopismo,

---

[1] Ob. tom I, str. 5.

[2] Tom I, str. 6 i 7.

które je zamieściło, nietylko nie przyniosło sobie chluby, lecz nawet obniżyło swą powagę.

W tymże prawie czasie p. Franko zamieścił w czasopiśmie ruskiem *Żytie i Słowo*, wydawanem przez panią Franko, rozprawę p. t. *Ślidy snochactwa w naszych horach.*

Snochactwem zowie się po rusku pożycie małżeńskie teścia z synową, której mąż jest małoletnim chłopcem. Autor dowodzi, że ten zwyczaj był dawniej powszechnym, a z niego w następstwie wywiązała się poligamia. P. Franko nawiązuje snochactwo z lewiratem Hebrajczyków, przytacza zdania podróżników, którzy je znajdowali u różnych ludów świata, przytacza szczególniej pisarzy rosyjskich i powołuje się na Nestora.

P. Strzelecki rozbiera krytycznie rozprawę p. Franki w *Ludzie* [1]. W zasadzie zgadza się sprawozdawca, że snochactwo istniało w wielu krajach, lecz przeczy jego powszechności, niema prawdopodobieństwa, żeby istniało wśród Aryów, a tem samem wśród Słowian. Wyrażeń Nestora p. Franko nie rozumiał i błędnie je przytoczył. Nadużycie to istniało w niektórych okolicach Rosyi, ale tam tylko, gdzie rdzenne ludy były pochodzenia fińskiego.

Dowody, jakkie p. Franko przytacza na poparcie swej tezy, dowodzą właśnie wprost przeciwnego wniosku, jaki zamierzał. „Kasztelanowa krakowska, — pisze p. Franko — wdowa po księciu Januszu Ostrogskim, dziedziczka dóbr Skolskich i Tucholskich wydała instrukcyę dla swych poddanych. Punkt 6 tej instrukcyi opiewa: „Jeżeliby się też to trafiło, jako się to tam znajduje, żeby miał ociec z synową swoją mieszkać w nierządzie, a świadectwo pewne było, tedy go gardłem karać, jednak z dołożeniem się naszem“. Otóż zdanie: „jako się to tam znajduje“, jest prawdopodobnie wtrąconem, w sprzeczności jest bowiem ze zdaniem poprzedniem: „jeśliby się też to trafiło“. W każdym razie znaczy to, że taki wypadek był tylko wyjątkowym, a nie powszechnym; sama ciężka kara za ten występek jest dostatecznym dowodem. Inny dowód jest już wprost śmiesznym. Wieśniak z powiatu drohobyckiego zaskarżył swego ojca do sądu za to, że *beresia do jeho żinki*. Otóż ten wieśniak nie był małoletnim, sąd odrzucił skargę jako nieudowodnioną, a sam p. Franko naiwnie dodaje, że „w tej rodzinie nie było snochactwa“.

W rok coś później p. Gorzycki, redaktor *Ludu*, chcąc zatrzeć

[1] Tom I, str. 145 i nast.

wątpliwości, jakie podnosił p. Strzelecki w tej sprawie, w krótkiej notatce popiera zdanie p. Franki. „Mojem zdaniem — pisze on [1] — lewirat był ogólnym, tj. zawsze i wszędzie powtarzającym się śladem familij, tak zwanych, gminnych. Nie inaczej było u Słowian". Jako dowód przytacza ustęp z „Dziennika wyprawy Stefana Batorego pod Psków". Czytamy tam: „Przywiedziono mi (do króla Batorego) tu w Litwie gdzieś niedawno dziecię we 13 lat, a przy nim niewiastę. Ten chłopiec mężem był tej niewiasty, a przecie ojciec jego mieszkał z nią jako z żoną, czekając, ażeby syn dorósł". Otóż jeżeli fakt był rzeczywisty, jeżeli do samego króla przywiedli ową parę, to chyba dla osobliwości, był to zatem wyjątek, który potwierdza regułę, że snochactwo nie było powszechne. Hipoteza tedy p. Franki nie znajduje potwierdzenia ani w historyi, ani w etnologii.

Jedną z większych rozpraw, jaką znajdujemy w *Ludzie,* jest pióra p. Adolfa Strzeleckiego p. t. „Z dziejów pierwotnej rodziny" [2].

W tej kwestyi rozchodzi się o to, czy w pierwotnem społeczeństwie istniało już małżeństwo, czy też „każda kobieta była wspólną własnością wszystkich mężczyzn".

Dla nas chrześcijan wierzących, kwestya przedstawia się inaczej. My mamy Księgi objawione, które przetrwały zwycięsko nader ostrą i szczegółową naukową krytykę; niektórzy uczeni odrzucają je, nie dlatego żeby one sprzeciwiały się nauce, lecz powodowani uprzedzeniem, które się przeradza w nienawiść, z umysłu nie nabyli tej wiedzy, którąby właśnie doskonale kierowała ich badaniami etnicznemi i dlatego błądzą i sprzeczni są jedni z drugimi. Dla nas pierwsi ludzie, Adam i Ewa, żyli w małżeństwie, w małżeństwie też i monogamii żyli ich pierwsi potomkowie, dopiero Lamech, jak zaznacza Księga Rodzaju, pojął dwie żony. Co się stało z innymi potomkami Adama, Pismo św. milczy. Niektóre pokolenia rozeszły się wcześnie po świecie, odstąpiły one Boga, a stąd mogły odstąpić od praw moralnych, mógł nastąpić, rozluźnić się a nawet miejscami zaniknąć pierwotny węzeł małżeński, a ponieważ nic nie wiemy o tych ludach, dlatego byłoby dla nas rzeczą ciekawą i nauczającą dowiedzieć się czegoś o stanie moralnym tych ludów. Nie potępiamy tedy badań w tym kierunku, chętnie je nawet popieramy, byleby one były rzeczywiście

[1] Rok. II, str, 278.

[2] Rok I, str. 33 i dal.; str. 65 i dal.

racyonalne i oparte na poważnych dowodach. Badania socyologów nie odpowiedziały żadnemu z tych warunków.

Najznaczniejsza część socyologów wychodziła ze stanowiska darwinistowskiego, tj. uważała hipotezę niedowiedzioną Darwina za pewnik naukowy. Pomimo wspólności tych zasad, podzielili się socyolodzy na dwa obozy. Najdawniejsi i najskrajniejsi wychodząc z zasady zwierzęcego pochodzenia człowieka, powołując się na rzekome fakty obecnego ustroju niektórych pokoleń najniżej stojących, utrzymywali, że pierwotne stosunki płciowe były całkowicie luźne. Przeciwnicy zbijali najprzód fakty, na mocy najnowszych badań podróżników, następnie, opierając się właśnie na zwierzęcem pochodzeniu człowieka, dowodzą, że pierwotnie musiała już istnieć monogamia, skoro się ona spostrzega nawet i dzisiaj wśród wielu grup zwierząt, mianowicie ptaków, ssaków, nawet ryb; decydującym zaś dowodem jest to, że orangutany i goryle żyją w monogamii.

Najciekawszem jest zdanie Darwina, przytoczone przez p. Strzeleckiego: „Jakkolwiek, mówi on na podstawie przytoczonych przez Morgana, Mac Lennana i Lubbocka dowodów, zdaje mi się, że prawdopodobnie instytucya małżeństwa rozwinęła się dopiero stopniowo i że pierwotnie panowała na całej kuli ziemskiej zupełna, ogólna wspólność płciowa; to jednak, opierając się na uczuciu zazdrości, wspólnem wszystkim zwierzętom, możemy wnioskować, że istnienie luźnych stosunków u ludzi na stopniu pierwotnym, jest nadzwyczaj nieprawdopodobnem“.

Oba tedy obozy socyologów nie zostały ze zdania mistrza zadowolone, albowiem orzekł, że luźne stosunki płci są prawdopodobne i zarazem nieprawdopodobne. Sam p. Strzelecki zachwiał się w swem pierwotnem zapatrywaniu i począł studyować socyologów. Wynik tych studyów był następujący: „Nowe badania — pisze on [1] — obalają hipotezy, uchodzące do niedawna za ostatnie słowo nauki; studya Starckego, Darguna, Westermarcka, Kautsky'ego, Zieglera i t. p., zachwiały nieomylność wyników badań takich powag na polu socyologii jak: Bachofen, Lubbock, Giraud-Teulon, Mac Lennan, Maine, Spencer, Kohler, Post i t. d.; hipotezy nawet Morgana — mimo niezaprzeczonej i niezaprzeczalnej pomnikowej wartości dzieł jego — napotkały na silną opozycyę, a nawet w wielu kierunkach zakwestyonowane lub nawet odrzucone zostały przez nowszych badaczy“. Stąd p. Strzelecki wyciąga wniosek

[1] Rok II, str. 145.

zgodny zupełnie ze zdaniem Darwina, mianowicie: „Hipoteza, stawiająca monogamię jako pierwotną i najdawniejszą formę, jest pod względem naukowym co najmniej równouprawnioną z hipotezą zupełnej luźności stosunków płci“ [1].

Musimy tu nadmienić, że poważni myśliciele nie brali nigdy awanturniczych hipotez skrajnych socyologów za „ostatnie słowa nauki“; mrzonki te nieoparte na dowodach pozytywnych, były tylko wykwitem chorobliwej wyobraźni, wyrośniętej na ateizmie. Jeden z gruntownych badaczy, Westermarck, w znakomicie opracowanem dziele, wykazuje dowodnie, że nigdzie na świecie nie istnieją, wśród ludów związki luźne małżeńskie. Dalej na całkiem wiarogodnych świadectwach dowodzi, że ludy stojące na najniższym szczeblu oświaty, zachowały zasady moralności i wstydliwości, a nadto pilnie je przestrzegają w życiu, z wyjątkiem tych, które weszły w styczność z Białymi; ci właśnie Biali, a więc Europejczycy, zaprowadzają nierząd wśród Czarnych.

W końcu dodamy to tylko, że p. Strzelecki, przebiegając zapatrywania socyologów, pominął zupełnie socyologów chrześcijańskich, jest to jeden z dowodów stronniczości.

Jakkolwiek monogamia wydawała się p. Strzeleckiemu prawdopodobną jedynie z powodu podobnej formy u orangutana i goryla, ten pogląd musiał się wydać Redakcyi *Ludu* zbyt zacofanym, gdyż niebawem ukazał się w temże czasopiśmie artykuł, traktujący tę samą rzecz, tylko przez innego autora i pod innym już tytułem.

P. Jan Witort, w zeszycie IV. r. z., umieścił sprawozdanie z pisma warszawskiego p. t. *Prawda*.

Prawda warszawska jest organem semicko-radykalnym, szerzy wśród kół, tak zwanych inteligentnych, najskrajniejsze maksymy i teorye, błędne, niemoralne i ateistyczne. Tymczasem p. Witort pisze: „Wogóle Redakcya *Prawdy* oddaje znaczne usługi naszemu społeczeństwu, przyswajając naszej literaturze prace uczonych europejskich“. Jakie prace i jakie usługi oddaje *Prawda* naszemu społeczeństwu, zaraz zobaczymy.

P. Witort zamieszcza w *Ludzie* streszczenie oceny, jaką *Prawda* zamieściła w swych łamach o pracy p. Ludwika Krzywickiego, która była drukowana w *Ateneum* warszawskiem p. t. „Pierwotna horda“.

Już sam tytuł każe się domyślać o treści rzeczy; p. Strzelecki w swych artykułach mówił jeszcze o „Rodzinie pierwotnej“, obecnie mówi się już o „hordzie“.

---

[1] Rok I, str. 77.

Nasi protoplaści żyli gromadnie, jak horda, a raczej jako stado. „Każde stado — pisze p. Krzywicki — składa się z kilku samic i jednego samca, który znosi w pobliżu tylko młodych samczyków, niezdolnych jeszcze do reprodukcyi. Z chwilą gdy dosięgną one pewnego wieku, zaczynają się bitwy, skutkiem których najsłabsze, zmuszone ustąpić silniejszym". P. Witort dodaje od siebie: „Coś podobnego działo się w pra-hordzie ludzkiej, można to śmiało przypuścić".

Przytacza on kilka oderwanych obrzędów ślubnych — które tu opuścić musimy — u kilku barbarzyńskich plemion i na ich podstawie wnosi ryczałtem, że wśród pierwotnej ludzkości popęd płciowy nie był stały lecz występował peryodycznie, jak u zwierząt, według pór roku. Kiedy zaś później stał się ciągłym, było to postępem, bo „utrwalił luźne związki małżeńskie, parzyste lub gromadne".

Co tu znaczą związki gromadne? Znowu na podstawie kilku przykładów wspólności żony między braćmi, dowiadujemy się, że gromadne, mniej lub więcej ograniczone posiadanie żon, ma być powszechnym ludzkości typem, w pewnym peryodzie jej postępu.

Ile tu niedorzeczności bez podstawy przyjętych! Dla p. Witorta wszystkie brednie, które, kilkadziesiąt lat temu, przywodzili skrajni socyologowie, są niewątpliwe, a przecież już z samej rozprawy p. Strzeleckiego powinien się był dowiedzieć, że dokładne i najświeższe badania zadały kłam wrzekomym faktom, że dzisiejsi uczeni, nawet racyonaliści, uważają je za mrzonki. Dwadzieścia lat temu, p. Wisłocki w książce p. t. „Nauka o ludach", rozbierał te hipotezy i dowody, i uznał je za bezpodstawne. Badania Westermarcka, Howitta, Mana, Macdonalda, O. Pescha, Hahna, Johnstona i innych, zadały stanowczy cios awanturniczym hipotezom. Westermarck nazywa je niedorzecznością naukową, a sam Tylor w swej „Antropologii" uznaje, że ludzkość nie żyła nigdy w stanie dzikiej hordy.

P. Witort ubolewa gdzieś w jednym ze swych artykułów, że dawniejsze „luźne stosunki płciowe" dziś już nie istnieją. Niech się pocieszy. Prawda, że te stosunki nie istnieją wśród ludów stojących na niższym stopniu cywilizacyi, ale czyż nie istnieją wśród pewnych kół, tak zwanej inteligencyi. Wie on zapewne, że we wszystkich większych miastach świata cywilizowanego, istnieją całe grupy, które stale trzymają się owych przedhistorycznych zwyczajów. Dlaczego pominął ten przykład, który byłby dobrym dowodem dla jego hipotezy?

Rok jeszcze przedtem, p. Witort, dał się poznać ze swych zapatrywań pozytywistycznych. W roczniku II. *Ludu* umieścił rozprawę

p. t. *Ius primae noctis*. Wstęp, który zawiera większą część artykułu, poświęcony jest omówieniu o „pierwotnych luźnych związkach płciowych". Według p. Witorta, „od czasów Lubbock'a, Bachofen'a, Morgan'a okazało się, że współczesna rodzina osobista istnieje stosunkowo niedawno...; przekonano się, że powstanie jej pierwszych zarodków wyprzedził stan zupełnej swobody stosunków płciowych, bez żadnych niemal ograniczeń. Etnografia stwierdziła to dostatecznie". Widzieliśmy, że te śmiałe twierdzenia są po prostu fałszami.

W dalszym ciągu autor przystępuje do właściwego tematu. Zaraz z samego początku przyznaje się naiwnie, że główną treść zaczerpnął ze starej, znanej z niekrytyczności „Encyklopedyi francuskiej". Przytacza i nowsze badania, lecz, bez żadnych dowodów, nazywa je „zacofanemi", „klerykalnemi". Stanowczym dowodem dla p. Witorta jest to, że „to prawo nie było zaprzeczone przez dwa (?) wieki". Otóż podobnych oszczerstw i fałszów historycznych było bez liku w Encyklopedyi. Encyklopedyści trzymali się rady swego mistrza: „kłamcie, kłamcie, zawsze coś z tego pozostanie". Zdarzało się, że i poważniejsi nawet pisarze powoływali się na te rzekome pewniki, które przedostały się z czasem i do podręczników szkolnych. „Stąd — mówił p. Kurth w odczycie swym, mianym we Fryburgu [1] — ta nieprzebrana moc legend, które dla wieków poprzedzających a nawet dla wielu ludzi naszego stulecia, spóźnionych Wolteryanów, są wszystkiem, co wiedzą z historyi wieków średnich".

Między owemi legendami, jak je zbyt łagodnie nazywa p. Kurth, była i ta t. zw. *ius primae noctis*. Otóż z okazyi nowego wydania dzieł Bouhours'a, Ludwik Veuillot, przy pomocy przyjaciół, uczonych prawników i historyków, zebrał wszystko, co dawni pisarze mówili w tej kwestyi, poddał je krytyce i w doskonale opracowanem dziele, *Droit du Seigneur*, dowiódł, że takie prawo nie istniało we Francyi. Karol Schmidt w dziele p. t. *Ius primae noctis* (Fryburg 1881), do tego samego wniosku przyszedł w Niemczech; wreszcie A. de Foras w świeżo wydanem dziele *Le droit du Seigneur* (1897), przywodzi różne dowody *contra*, jeden z nich jest decydującym, mianowicie prawo średniowieczne francuskie, które orzeka: „Item na zasadzie tego co wyżej powiedziano, możesz i powinieneś wiedzieć i rozumieć, iż na wypadek, gdyby pan zwierzchniczy *iaceret cum uxore sui feudatarii aut cum filia ipsius, quae*

[1] Odczyt ten pomieszczony był w styczniowym numerze r. b. w *Przeglądzie Powszechnym*.

fuerit virgo, aut cum sanguinea ipsius, wiedz, że wtedy poddany powinien być na zawsze wyjęty z pod władzy pana".

Rzekome prawo, w znaczeniu tem, jak je bierze p. Witort i pozytywiści, nie istniało w dawnej Polsce, dla tych samych powodów co i we Francyi, albowiem Statut Wiślicki, prawie tymi samymi wyrazami, jak i prawo francuskie, określa stosunek pana do poddanego w tym względzie. P. Witort zna to prawo, obstaje przy swojem, opierając się na powadze Czackiego. Lecz trzeba pamiętać, że Czacki żył jeszcze w czasach przesiąkniętych zasadami encyklopedyzmu i sam niemi był nasycony, a w końcu powaga Czackiego nie przemoże faktów i tekstów. Ks. W. Szcześniak obszerniej traktował rzecz o tem prawie w „Słowniku apologetycznym", tom II, str. 205 i nast.

Oto streszczenie głównych rozpraw, pomieszczonych w *Ludzie,* w ciągu lat trzech. Jaki one mają związek z folklorem czy ludoznawstwem? Czy te rozprawy zapoznają nas z naszym ludem, jak to zaznaczono w programie? Czy to są zestawienia i porównania zwyczajów, podań, guseł i t. p. ludu naszego w różnych częściach kraju, jak to jest obowiązkiem pisma zajmującego się ludoznawstwem? Czy takie rozprawy mogą przynieść ludowi pożytek, jak to wyraźnie przyrzekał program: „Dziś — pisano tamże — kiedy jest powszechnem hasło: lud, oświata jego, polepszenie jego bytu materyalnego", czy takimi środkami osiągnie czasopismo ten cel? Każdy chyba odpowie przecząco.

Gdyby rozprawy, umieszczane w *Ludzie,* służyły prawdziwie nauce, podkopując przytem moralność — byłoby to już bardzo niemądre: bo przecież bez ubliżenia nauce przyznać trzeba, że moralność ma większą i bez porównania donioślejszą od niej wartość. Ale kiedy te rozprawy nauce, jakeśmy widzieli, nie służą wcale — a przytem dążą do podkopania wszystkich podstaw moralności, usiłują odebrać tym podstawom ich absolutność, wykazać ich zmienność, ich rdzenną identyczność z popędami zwierząt; kiedy te rozprawy nawet w religię katolicką godzą, bo te zasady etyczne, które one podkopują, są dla nas katolików prawem Bożem — to niema wątpliwości, że cała ta robota jest złą, zgubną i na najsurowsze zasługuje napiętnowanie.

Dziwić się musimy na zakończenie, że referent, który świeżo zdawał sprawę z tej publikacyi Sejmowi, przedstawiał ją jako ze wszech miar godną poparcia i zapomogę z funduszów kraju dla niej wyjednał.

Ks. W. Zaborski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

WZROST RADYKALIZMU W SZWAJCARYI.

20 lutego b. r. uchwalono w Szwajcaryi przez powszechne głosowanie (200.000 głosami) centralne upaństwowienie wszystkich kolei żelaznych, polegające na tem, że rząd centralny za odpowiednią cenę wykupu weźmie w swój zarząd koleje żelazne, zależne do tej pory od poszczególnych rządów federacyjnych.

Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że sprawa ta ma znaczenie czysto ekonomiczne a wcale nie wchodzi w zakres spraw kościelnych. A jednak tak nie jest. Ostatnie ludowe głosowanie tyczyło się wprawdzie bezpośrednio interesu finansowego, ale niespodziany jego wynik zaznaczając nowy tryumf radykalnych idei w Szwajcaryi, jest krokiem naprzód do centralizacyi federacyjnego aż dotąd państwa, którą radykali uważają za niezbędny warunek zupełnego swego zwycięstwa. — We wszystkich krajach Europy w ostatnich latach powstała w imieniu wolności i dobrobytu ludowego reakcya przeciw liberalnej rządowej centralizacyi; a prądy te są tak silne, że rządy chcąc nie chcąc z nimi liczyć się muszą. W angielskim parlamencie właśnie teraz toczy się rozprawa nad nowym bilem mającym nadać Irlandyi pierwsze przynajmniej początki samorządu. Król

włoski w mowie tronowej obiecał swym ludom większą swobodę administracyjną w poszczególnych prowincyach, gdyż nawet włoski rząd, który już na świat przyszedł z manią centralizacyi, namacalnie się przekonał o zgubnych skutkach bezwzględnego jej stosowania. Bawarya i inne państwa niemieckie odpierają stanowczo zakusy wszechwładztwa pruskiego; Norwegia grozi zupełnem oderwaniem się od Szwecyi; samodzierżca Rosyi nosi się z myślą udzielenia narodom sobie poddanym większych wolności i swobód.

Wśród tego rodzaju objawów, ogarniających niemal wszystkie państwa, uderzyć musi, że centralizacya górę bierze w kraju, którego ludy już z natury, jako mieszkańcy gór uroczych, od wieków nadewszystko ukochali wolność, nieraz krew swą przelewali dla zachowania dziedzicznych swobód a nawet mimo wielkiego przywiązania do Kościoła klątwę na siebie ściągnęli dla zbytniego przywiązania do wolności. A jednak niema się czemu dziwić. Po zwycięstwie radykałów nad *Sonderbundem*, związkiem zawartym między 7 katolickimi kantonami: Uri, Schwyc, Unterwalden, Zug, Lucerna, Fryburg w r. 1848 w obronie praw katolickich, radykali nieustannie do centralizacyi dążą pod hasłem wprawdzie wolności ludu, ale z pogwałceniem najistotniejszych jego praw[1]. Jawną jest bowiem rzeczą, że wewnątrz związku wielka swoboda zostawiona kantonom jest podstawą wolności tak odrębnych górskich szczepów, a na zewnątrz i największe skupienie sił tak małemu państewku wolności zabezpieczyć nie może. Atoli radykałom nie tyle chodzi o wolność jak o zagładę Kościoła katolickiego i ta nienawiść jest główną sprężyną, która ich pcha do ukrócenia wolności kantonów na rzecz rządu centralnego. Zwingli i Kalwin rzucili w Szwajcaryi ziarno nienawiści ku Kościołowi katolickiemu, które w majętniejszych warstwach i w zepsutym wówczas klerze świeckim i zakonnym znalazło grunt podatny a wydało jako owoc rzezie straszne prostego ludu, rzadką w dziejach historyi nietolerancyę

[1] Już przy zaprowadzaniu nowej konstytucyi rząd w niektórych kantonach stworzył sobie większość głosów, wliczając na swoją korzyść głosy nieoddane.

względem katolików w kantonach, choć po części reformą zarażonych. I po dziś dzień spadkobiercy ducha Zwinglego niezmordowanie nad tem pracują, by, o ile to tylko możliwe, w całej Szwajcaryi wyniszczyć katolicyzm.

Jak wrogie są usposobienia rządu centralnego, o tem 50 lat ostatnich świadczy. Przez konstytucyę z r. 1848 zniesione zostały wszelkie prawa duchowieństwu należne, szkoły również jak i duchowieństwo poddane zostały pod władzę świecką — zakon Jezuitów i z nim spowinowacone wygnano z całego związku. W r. 1873 rząd wygnał biskupa z Soloturny i zupełnie na własną rękę przeprowadził zmianę w organizacyi Kościoła, a gdy Pius IX. przeciwko temu protestował, odprawił nuncyusza. Od tego czasu mimo pokojowego usposobienia Leona XIII., mimo jego starań, nie udało się jeszcze nawiązać stałych stosunków dyplomatycznych. Przy ostatniej rewizyi konstytucyi w r. 1874 obostrzono prawo przeciw wszystkim zakonom, zakazując zakładania nowych albo wskrzeszenia zniesionych w Szwajcaryi klasztorów i uprawniając rząd centralny do tego, by prostym ukazem mógł znieść jakikolwiek zakon.

Rząd w Bernie byłby jeszcze więcej zaszkodził Kościołowi; pokazał najlepsze do tego chęci, i to nieraz, np. w r. 1872 i 1882, podając ustawy, Kościołowi i katolickiemu wychowaniu nieprzychylne, ale plebiscyty pokrzyżowały jego plany. Z katolikami bowiem, którzy są w mniejszości, często się łączyły francuskie, acz protestanckie kantony, przeciwne centralizacyi z przyczyn narodowościowych, gdyż radykalna protestancka partya z samych Niemców się składa. Rząd centralny tylko wtenczas zwyciężał, kiedy fanatyzm protestancki górę brał nad uczuciem wolności narodowościowych. Wynik ostatniego głosowania był dla obydwóch partyj niespodziewany; przyczynił się do niego niestety pod wpływem katolickiego radcy *Bundesratu*, M. Zempa, wielki kanton katolicki Lucerny; z francuskich kantonów tylko Vaud dał się nakłonić nadzieją bardzo wątpliwych, jak znawcy stosunków twierdzą, materyalnych korzyści do przyjęcia nowej ustawy.

Katolicko-ludowa partya, założona 4 lata temu, stara się

za pomocą *referendum* tj. prawa, mocą którego lud może odrzucić ustawę, przez swoich przedstawicieli uchwaloną, albo wymagać nowych ustaw — walczyć przeciw radykalnym prądom i centralizacyi; nie brak Szwajcaryi dzielnych mężów, wystarczy przypomnieć wolne stowarzyszenie socyologów katolickich z Descurtinem na czele. Mimo tego przyszłość w dość ponurem przedstawia się świetle. Radykali z wielką polityczną miarą i roztropnością do swych celów dążą. Już komisya dla rewizyi ustaw w r. 1848 wyznaczona, trzymała się tej zasady, że reform radykalnych nie trzeba zbyt pospiesznie przedsiębrać. „Możeby — czytamy w tem sprawozdaniu — udało się wprowadzić system unitarny, ale trudno byłoby go utrzymać... Czy Szwajcarya później dojdzie do niego? Czy będą kiedyś zamiast samorządzących się kantonów tylko powiaty? Być może, ale czas nie zdaje się jeszcze być po temu". Wierna tej zasadzie partya postępuje krok za krokiem naprzód; w ustawie o kolejach ledwie znać dążność centralizacyjną, a przecież prawdopodobnie pociągnie ona za sobą konieczność założenia rządowego banku krajowego i skupienia w Bernie finansów wszystkich kantonów.

Jak rzeczy teraz się mają, życie katolickie w Szwajcaryi w ostatnich 50 latach widocznie się rozwinęło; świadczy o tem między innemi uniwersytet fryburski, założony i utrzymywany przez tak niewielki kanton. Przyczyniła się do tego rozwoju wolność wyznań, którą konstytucya z 1848 r. zaprowadziła, i uznana niezależność kantonów. Przez wolność wyznań religia katolicka wróciła do kantonów, zamkniętych dla niej od czasów Reformacyi, a skutkiem napływu katolickich przybyszów i liczebnie wzrasta. Widzą to protestanci i radykali, a stąd gorączkowo nawoływują do wojny przeciw Rzymowi. W kantonie zurychskim synod przeszłoroczny chciał nawet uchwalić i nakazać odczytanie odezwy publicznej do ludu, by go ostrzedz przed rzymsko-katolicką propagandą i przedewszystkiem zwrócić jego uwagę na zapatrywanie katolików co do chrztu i małżeństw mięszanych. Szumne mowy przeciw „rafinowanej chytrości i zwartej falandze rzymskiej hierarchii" popierały wniosek, a tylko wzgląd na to, że uchwała w tej formie może raczej dopomódz sprawie kato-

lików, skłonił synod do tymczasowego jej cofnięcia. Ciekawą w toku rozprawy była mowa pastora Zimmermanna; nie dzielił on wcale oburzenia synodu przeciw katolickiej praktyce, nakazującej protestantów, przechodzących na wiarę katolicką, w pewnych wypadkach warunkowo chrzcić; owszem sądził, że pastorzy sami temu winni, gdyż nie zawsze jak się należy chrzczą *(nicht immer rite taufen)*. W dwóch kantonach, Zurychu i Bazylei, można nawet należeć do zboru protestanckiego, nie będąc wcale ochrzczonym. Wogóle władzom kościelnym protestanckim prawie wyłącznie chodzi o zniszczenie katolicyzmu, a nie o utrzymanie protestantyzmu. Między pastorami są znani agitatorzy socyalnej demokracyi tak, że sama nieurzędowa prasa protestancka na to się oburza: „Wszyscy — pisze protestancka *Freitagszeitung* — którzy jeszcze szukają duchowego pokarmu w kościele, a nie zadawalniają się socyalistycznymi i politycznymi odczytami, muszą uciekać od protestantów i... szukać w kościele katolickim, czego w swoim znaleźć nie mogą". Władza protestanckiego Kościoła stała się narzędziem radykalnych celów. Ale przeciwko wszelkim radykalno-protestanckim wichrzeniom samorząd katolickich kantonów jest potężną bronią. Tak gdy niedawno temu w Schwyc wydano rozkaz ukrócający wolność domów zakonnych, biskup i opat z Einsiedeln natychmiast przeciwko temu powstali, a lud powszechnem głosowaniem rozporządzenie odrzucił.

Centralizacya wytrąci tę broń z rąk katolików i sprawi, że katolickie kantony nawet u siebie nie będą mogły rządzić się według zasad Kościoła. W chwili, kiedy rząd centralny sobie przywłaszczy wszystkie prawa, przynależne dotąd władzom i ludom kantonów, o wiele łatwiej mu przyjdzie kuć prawa przeciw katolikom. Protestantów w całej Szwajcaryi jest 1,716.000, katolików o 500—600 tysięcy mniej. Przy powszechnem więc głosowaniu porażka katolików będzie prawie pewna, a choćby umiarkowani protestanci albo Francuzi chcieli się połączyć z katolikami, to przecież rządowi centralnemu o wiele łatwiej będzie wpłynąć na głosowanie i zabezpieczyć sobie potrzebną większość, aniżeli teraz, gdy kantony jeszcze mają pewną wobec rządu w Bernie niepodległość i oprzeć się mogą jego agitacyom.

NIEMIECKIE CENTRUM.

Wśród walki na życie i śmierć, roznieconej przez „żelaznego“ kanclerza przeciwko Kościołowi, wkrótce po r. 1870 utworzyła się w Niemczech partya, która późniejszym pokoleniom służyć będzie za wzór politycznej partyi na wskróś katolickiej. Już teraz katolicy francuscy, którzy dopiero w ostatnich czasach także w życiu publicznem pod chorągwią krzyża się skupiają w ciężkich chwilach, zachęcają się walkami i zwycięstwami, odniesionemi przez *Centrum*.

Gdy burza *Kulturkampfu* przeszła, odezwały się i jeszcze się odzywają w Niemczech głosy nieprzyjaciół i przyjaciół fałszywych, że *Centrum* już nie ma racyi bytu, gdyż cel swój osiągnęło, z walki zwycięsko wyszło i Kościołowi jaki taki pokój przywróciło. Mówimy: jaki taki pókój, gdyż wiadomo, jak rząd protestancki jeszcze krępuje Kościół, nietylko upośledzeniem katolików przy obsadzaniu wszelkich posad państwowych, ale też wymuszaniem na Stolicy św. przyznania mu pewnego prawa nadzoru nawet przy obsadzaniu wszystkich kościelnych beneficyów *(Anzeigepflicht!)*. Walka na polu religijnem jeszcze nie ustała, a chyba nie tak prędko ustanie. Obok starych nieprzyjaciół powstają nowi, może niebezpieczniejsi od tamtych, bo radykalniejsi, a zdaje się, że w niedalekiej przyszłości katolicy wszystkich krajów będą musieli zmierzyć się z nimi w otwartem polu, jeżeli nie chcą wpaść w ich niewolę. Dlatego katolicy wszędzie się ruszają i myśleć zaczynają o jednolitej organizacyi. Straszną więc szkodą byłoby, gdyby się rozprószyli tam, gdzie już przez długie lata tworzą silne ciało polityczne na zasadach katolickich oparte. *Centrum* też bezustannie wielkie usługi oddaje sprawie katolickiej, a stąd wściekła iście nienawiść partyj liberalnych i niemiecko-konserwatywnych; przeciwko *Centrum* zwrócone są również najzjadliwsze wycieczki protestanckich związków. „Walczymy — powiedział jeden z ich przewódców — przeciwko arogancyi Rzymu i jego służalców, księży i ludzi z *Centrum*“ [1].

W ostatnim przedewszystkiem czasie powstały w Niemczech ruchy bardzo dla *Centrum* niebezpieczne. W Bawaryi t. zw.

---

[1] Lipsius w mowie na uroczystości Lutra w Eisenach 9 sierp. 1883 r.

Związek chłopski pod pozorem, że *Centrum* nie dba dość o prawa Bawaryi, niedość rozumie potrzeby ludu rolniczego, oderwał już część ludu katolickiego od *Centrum* i połączywszy się z liberałami i socyalistami przeprowadził przy wyborach na prezydenta drugiej Izby kandydaturę Clemma liberała, zamiast członka *Centrum* Waltera. Niestety i duchowieństwo przyczyniło się do tej klęski. We wschodnich częściach państwa Związek gospodarzy rolnych *(Bund der Landwirthe)* tak samo rozwinął pracę dążącą do przerzedzenia szeregów katolickich. Choć w żadnej partyi niema tylu właścicieli agrarnych jak w *Centrum*, przecież Związek stara się przyciągnąć katolickich właścicieli dóbr ku sobie, oskarżając *Centrum* o niezrozumienie ich potrzeb. Zarazem związek, by łatwiej nieostrożnych w swe sidła zagarnąć, podnosi potrzebę religii, potrzebę chrześcijańskich zasad: „chłop będzie pobożnym, albo wcale nie będzie", to jeden z ich frazesów. Lecz ta pobożność, powiadają, polega nie na chrystyanizmie, który się zadawalnia szeptaniem modlitw, ale na żywym chrystyanizmie. „Precz z kłótniami wyznaniowemi. Katolicy i protestanci muszą walczyć ramię przy ramieniu przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Precz z dogmatycznemi formułami". W te słowa przemówił główny dowódca tej partyi dr. Oertel na zebraniu Związku w Berlinie 15 lutego. Wielkie nareszcie lekceważenie, z którem gazety do Związku należące się wyrażają o papieżu, „chcącym uchodzić za nieomylnego", dosadnie pokazują, że prawdziwy katolik strzedz się powinien podobnej partyi, która choć chwilowo się kryje ze swymi zamiarami, przecież jeszcze w r. 1895 otwarcie się przyznała do tego, że chce koniecznie rozsadzić *Centrum*.

Niebezpieczną dla *Centrum* zdaje się także być nowa polityka skupienia się *(Politik der Sammlung)* wszystkich partyj celem wspólnego zabezpieczenia ekonomicznych interesów przy zbliżającem się odnowieniu traktatów handlowych z Francyą, Austryą, Rosyą i innemi państwami w roku 1905. Politycy „skupienia" chcieliby pozyskać dla siebie *Centrum*, a w zasadzie nic się temu nie sprzeciwia, żeby *Centrum* w sprawach ekonomicznych połączyło się z partyami, z któremi nie dzieli zapatrywań religij-

nych i politycznych. Ale w praktyce nie można sobie wystawić jakby *Centrum* bez narażenia swych zasad, a skutkiem tego i swojego bytu, mogło wchodzić w skład koalicyi, której wszystkie partye tylko na to czyhają, aby *Centrum* uśmiercić. Dosyć przytoczyć ustęp mowy posła Eynerna w Magdeburgu 20 lutego wypowiedzianej, by się przekonać jaki duch wieje w obozie zwolenników gospodarczego skupienia niemieckich partyj: „Po 30 latach założenia państwa niemieckiego przeciw akcyi Francyi, w której potęga Rzymu główne swe siły skupiła, niemiecki lud ewangelicki, lud reformacyi, widzi na czele parlamentu dwóch posłów ultramontańskich, partyę *Centrum* jako najpotężniejszą i obok niej jako prawie równie potężną partyę, międzynarodową socyalną demokracyę, obie partye pracujące zarazem przeciwko narodowemu państwu i narodowym zdobyczom... Jest jednak jeszcze nadzieja zwycięstwa, jeśli wszystkie narodowe partye się połączą w tej walce przeciwko socyalnej demokracyi i ultramontanizmowi". Hr. Hoensbroech ex-Jezuita, również członek partyi nacyonalno-liberalnej, stara się nawet udowodnić, że katolicy są dla państwa jeszcze niebezpieczniejsi niż socyaliści.

Dopóki Windthorst żył, duch wielkiego wodza łączył wszystkich członków *Centrum* ściśle ze sobą. Nie wątpimy o tem, że *Centrum* i dziś umiałoby się bronić przeciwko otwartym napaściom na katolicyzm podobnie dzielnie, jak za czasów Windthorsta: ale brak wybitnego wodza daje się przedewszystkiem uczuć w czasach, kiedy godzi się w byt *Centrum* i tak ściśle z nim związaną sprawę katolicką, skrycie i podstępnie. Hr. Hompesch, który teraz stoi na czele partyi, oświadczył wprawdzie przy wspólnem zebraniu w dzień śmierci Windthorsta, że partya w zupełnem zjednoczeniu chce dalej walczyć za prawdę, wolność i sprawiedliwość, ale mimo tego i w łonie wyborców *Centrum* i między samymi posłami objawiają się pewne scysye, któreby mogły stać się bardzo niebezpiecznemi. Dlatego z radością wielką powitać trzeba powstanie i rozwój „Związku Windthorsta", który sobie wytknął jako cel utworzyć w okręgach wyborczych stałe stowarzyszenia dla poparcia *Centrum* i dla wykształcenia mło-

dych przedewszystkiem ludzi w życiu politycznem i katolickiem, którzyby mogli zająć z pożytkiem miejsca starszych swych braci.

W tej chwili właśnie *Centrum* przechodzi niebezpieczną kryzys z powodu wniosku rządowego o powiększeniu floty niemieckiej. Przez długi czas nie wiadomem było, jakie stanowisko *Centrum* zajmie; wiedziano tylko, że wybitni członkowie *Centrum* w komisyi budżetowej pod przewodnictwem d-ra Liebera, oświadczyli się za nim pod warunkiem, że wydatki pokryte będą tylko przez opodatkowanie klas majętniejszych. Po przyjęciu przez rząd niektórych zmian przedłożonych przez d-ra Liebera, odbyły się w *Centrum* długie narady, które niestety nie doprowadziły do zupełnej zgody. Większość głosować będzie za ustawą, $^1/_3$ — składająca się z posłów południowych Niemiec — przeciw, gdyż wyborcy ich i lud katolicki — w owych przedewszystkiem stronach — bardzo są rozdrażnieni przeciw ustawie i rządowi pruskiemu. Przyjęcie ustawy, jeśli coś nadzwyczajnego nie zajdzie, jest zapewnione.

Rządowi ogromnie chodziło o pozyskanie *Centrum*, gdyż jego stanowisko miało rozstrzygnąć o losie ustawy. Widocznie też w ostatnich czasach starał się niczem nie drażnić uczuć katolickich i w grzecznościach dla Watykanu posuwa się do ostatnich granic. Ten sam rząd, który parę miesięcy temu z powodu encykliki o Kanizyuszu, złożył interpelacyę w Watykanie, która żadnej rozumnej przyczyny nie miała, nie przychylił się teraz do skargi Związku ewangelickiego z powodu udziału posła niemieckiego w katolickiej uroczystości w Rzymie w dzień imienin cesarskich. A przecież się zdaje, że tym razem protestanci mieli ważniejszą przyczynę do żalów. Niemieccy katolicy w Rzymie odmówili swego udziału przy protestanckim obiedzie na cześć cesarza, gdyż postanowiono, że nie będzie toastu na cześć papieża. Zgromadzili się więc sami, a do nich się przyłączył poseł pruski przy Watykanie, który wzniósł jeden tylko toast na cześć papieża i cesarza niemieckiego nie wspominając o królu włoskim. Cesarz zupełnie uznał postępowanie swego ambasadora i kazał oświadczyć Związkowi protestanckiemu swe najwyższe niezadowolenie z powodu jego zażalenia. Nota niemieckiego sekretarza stanu dla

spraw zewnętrznych kończy się temi słowy: „Papież jest panującym *(riconosemtti)* a ciężki błąd popełniłby dyplomata, któryby nie miał dla niego wszystkich względów należących się panującemu“. Jeszcze daleko większe dowody życzliwości i usługi wyświadczył rząd papieżowi przy ostatnich manifestacyach studentów w Rzymie, o czem niżej donosimy.

Szerzą się też pogłoski, że podróż kardynała Koppa do Rzymu miała na celu pozyskanie *Centrum*, za cenę pewnych ustępstw rządu na rzecz katolików. Dowiadujemy się z najpoważniejszych źródeł, że te pogłoski są bezpodstawne; lecz czasem się zdarza, że i wiadomościom „z najpoważniejszych źródeł“ płynącym późniejsze fakta kłam zadają. Wiedząc z doświadczenia, jaką niesłychaną ilość bajek szerzy prasa o Watykanie, wolimy zawiesić sąd nasz co do interwencyi Watykanu w sprawie marynarki. Tylko tego gorąco pragniemy, by *Centrum* się ostało, by zwycięsko wyszło z walk zewnętrznych i wewnętrznych. Osłabienie, co nie daj Boże, rozerwanie *Centrum* byłoby bezwątpienia szkodą, teraz jeszcze nieobliczalną dla katolickiego życia w Niemczech, tryumfem dla wszystkich partyj antykatolickich. Byłoby to też i dla nas Polaków nowym i ciężkim ciosem.

STUDENCI RZYMSCY.

Uniwersytetom włoskim nikt nie może odmówić smutnej chluby, że są rozsadnikami ateuszostwa i materyalizmu. Fakultetów teologicznych wcale niema, bo katolicy są zbyt niebezpiecznymi dla państwa, aby im można zostawić wolność nauczania, a profesorowie po wielkiej części są Kościołowi nieprzychylni. Powoli jednak zdrowy zmysł młodzieży uczuł, że pokarm podawany jej w imieniu nauki nie jest zdrowy, że wywołuje czczość zarazem i przesyt w umyśle i sercu. Na uniwersytetach powstały stowarzyszenia katolickie studentów, które się zwracają znowu do starych, wyśmiewanych przez profesorów, ideałów wiary chrześcijańskiej. Wszystkie zaś stowarzyszenia połączyły się razem w „Federacyi uniwersyteckiej, katolickiej, włoskiej“ z główną siedzibą w Neapolu.

Między wszystkiemi wszechnicami półwyspu Sapienza, *Alma Mater* rzymska odznaczała się duchem czysto masońskim; dla-

tego młodzież tutaj najpóźniej się ocuciła. Dopiero przeszłego roku zawiązały się początki katolickiego stowarzyszenia nie bez wielkich trudności i z małymi skutkami na zewnątrz. Pod wpływem jednak kongresu katolickiego ruch się ożywił, a dzięki Bogu, zaczyna wydawać swe owoce. Przeszło 160 studentów zapisało się do katolickiego stowarzyszenia, zbiera się trzy razy na miesiąc na wspólne narady, a co niedzielę studenci mają osobne konferencye apologetyczne w kaplicy Augustyanów. Na wzór angielskich uniwersytetów odbywają się dysputy naukowe; za sprawą katolickich studentów urządzono też w styczniu wykłady ekonomiczne i socyalne, na które liczna publiczność uczęszczała, aby słuchać sławnego profesora Toniolo.

Niemało rozgłosu dodały młodemu stowarzyszeniu ostatnie zajścia z powodu udziału jego członków we włoskiej pielgrzymce. Koło 60 studentów połączyło się z innymi pątnikami i wystąpiło z oznakami uniwersyteckiemi, aby oddać cześć papieżowi; różnobarwne oznaki nietylko malowniczo odbijały od czarnej masy tłumu na placu św. Piotra, ale zwróciły też powszechną na siebie uwagę. Odważne i publiczne przyznanie się do wiary katolickiej i do synowskiego przywiązania do Stolicy św. wywołało krzyk oburzenia w obozie masońskim. Inni uczniowie uniwersytetu czuli się zobowiązani zmyć czem prędzej tę hańbę, która spadła na nich, kiedy ich koledzy „w podłości swej tak daleko się posunęli, iż przybyli na mszę Ojca św. w biretach uniwersyteckich... i rzucali okrzyki, obrażające najdroższe uczucia włoskie“. Zwrócili się więc z odezwą do całego uniwersytetu i zebrawszy się w halach Sapienzy wyruszyli pochodem do pomnika Giordano Bruno. U stóp posągu mnicha-apostaty dali swym uczuciom folgę, wołając: Niech żyje Giordano Bruno! Śmierć papieżowi! Niech żyje Zola! (Szczególne to przypięcie Zoli do tej sprawy). Potem wrócili do uniwersytetu, śpiewając szyderczo psalmy *Miserere* i *De profundis*. Rząd włoski sprzeciwił się pozornie tym demonstracyom. Inspektor policyi wprost oświadczył, że ma wyraźny rozkaz, by przeszkodzić pochodowi; ale na tem oświadczeniu się skończyło, a silny oddział policyi towarzyszył tylko studentom z dala. Brak miejsca nie pozwala

nam podać w całości odpowiedzi katolickich studentów na odezwę masońskich. Jest to odpowiedź małej tylko garstki, ale pełna godności, gdzie w każdem zdaniu przebija uczucie siły, które daje głębokie przekonanie prawdy, gdy tymczasem odezwa żydowsko-masońska, pełna brutalności, przypomina szamotanie się zwierza dzikiego, który czuje, że wyższa siła go zwycięża.

Nie po raz pierwszy Rzym był świadkiem podobnych zajść: padały już grady obelg o wiele gorszych na Ojca chrześcijaństwa, katolicy wszystkich narodów protestowali nieraz, ale żadne państwo nie ujmowało się za papieżem, bo niema państwa, któreby stać było na tyle odwagi katolickiej. Tym razem, jak *Osservatore Romano* donosi, rząd niemiecki robił Włochom silne przedstawienia i radził im, by na przyszłość zapobiegli podobnym skandalom. Dodaje rząd niemiecki, że nie bez trudności mu się udało wstrzymać katolików od głośnych skarg, które mogłyby znaleźć odgłos w parlamentach i zmusić obce rządy do interwencyi.

Wiemy już, co skłania w tej chwili państwo protestanckie do tej bezprzykładnej gorliwości o cześć Stolicy św.; a przecież sam fakt ten jest policzkiem dla państw katolickich, które jeszcze nigdy na podobne wystąpienie zdobyć się nie mogły. Byłoby to nawet na ich własną korzyść — lecz tak daleko wzrok krótkowidzącego liberalizmu nie sięga.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Listy z Anglii o ruchu religijnym.

II.

Od lat blizko 20-stu jestem mieszkańcem Anglii, miałem szczególnie dobre sposobności poznać gruntownie prawie wszystkie jej warstwy społeczne, ich metodę oświaty i wychowania, ich pełno-krwiste życie polityczne i ekonomiczne, ich wytyczne stanowiska, z których czynią swoje poglądy na rzeczy materyalne i na problematy idealne. Wszystkie spostrzeżenia moje zbiegają się w najpierwszem miejscu ku temu wnioskowi naczelnemu, że wybitną właściwością umysłową rasy

anglo-saskiej jest pozazdroszczenia godna trzeźwość, która się uwydatnia w umiejętności równoważenia czynników korzystnych z niekorzystnymi, w stanowczości odrzucania rzeczy nieużytecznych, niepraktycznych, lub w jakiś sposób... nieopłacających się — *unprofitable*. Widzimy tę trzeźwość w politycznych zabiegach i w ekonomicznych — w kierunkach pracy społecznej i najrozmaitszej pracy umysłowej. Dała Anglia Niemcom wysepkę helgolandzką w zamian za niemiecką apatyę w sprawie egipskiej; dała Francyi znaczną połać nieponętnych dziczyzn Syamu, by tem swobodniej zrobić skok ogromny nad Nigrem. Owocem tej chłodnej trzeźwości jest wolna wymiana handlowa i jest owa bezgraniczna, zdawałoby się, swoboda jednostek, której naród zawdzięcza wszystką dzisiejszą potęgę narodowej inicyatywy i... zdumiewającą odporność wobec bezustannych zamachów, prób i manewrów międzynarodowego anarchizmu. Próbowano w Anglii przekonać opinię publiczną, że naród stracił zupełnie — i przeważnie na korzyść Niemców — cały przemysł rękodzielniczy, drobny; próbowano wynieść z tego powodu lament, i przemysł ów wskrzesić; opinia publiczna odpowiedziała na to najspokojniej: Owszem! czemuż nie? niech nam Niemcy robią zabawki dziecinne, lepią garnki, szyją suknie i buty, wypalają porcelanę... niech zarabiają obficie, bo nasze kompanie górnicze w Australii, Afryce i Kanadzie, nasze kompanie koncesyj rządowych w Argentynie, nasze syndykaty finansowe na całym świecie zbiorą ten zarobek niemiecki z nieskończonymi procentami zysków dla Anglii! Tak samo próbowano w sferach artystycznych rozmaitego kierunku kontynentalnego: z dziwnie szybką stanowczością obrano, co dobre — odrzucono, co pod jakimkolwiek względem okazało się *unprofitable*. Realizm Zoli w beletrystyce angielskiej ukazał się z całą swobodą — pod egidą Tomasza Hardy i Grant'a Allen'a — miał naśladowców legion, trwał zaledwie półtrzecia roku i... zaduszony pogardą i wstydem publicznym, przepadł bez echa. Dekadentyzm, uosobiony w Oskarze Wild'zie... przesiedział dwa lata w kryminale i przeniósł się na medytacye w nieznane nikomu strony. Ibsenizmowi dano przez lat pięć lub sześć wszelką sposobność do pokazania, czy jest w nim coś treściwego — a gdy pokazał, że jest tylko odbrzękiem roztarganych przez zwyrodniałe chuci strun duszy ludzkiej, przestano się nim zajmować do tego stopnia, że przestano zapoznawać opinię z dalszymi konceptami autora *Heddy Gabler*. Ale... przekraczam granice „maleńkiej“ dygresyi! Chciałem podzielić się wrażeniem, które żyjącemu w Anglii cudzoziemcowi narzuca się uparcie: Anglicy nie są ludźmi, którzyby zajmowali się wytrwale, systematycz-

nie — a najmniej... namiętnie — czemś, czegoby nie uważali za godne krańcowej wytrwałości, troskliwości i energii Lubią powtarzać: „Jeżeli coś warte jest wogóle pracy, to tem samem warte jest pracy możliwie najdoskonalszej".

Otóż między różnorodnemi kwestyami, jakie Anglicy wzięli rezolutnie na kieł, jest — a jest bezsprzecznie najwybitniej, najwyraźniej dziś — kwestya religijna. Nie wchodzę w to (bo ani miejsca, ani czasu nie stać na to), czy i o ile zawsze tak w Anglii było. Jest tak dziś, a to co jest i jak jest, jest oczywiście następstwem przeszłości i zarazem zapowiedzią przyszłości. Rodacy nasi, przybywający tu z ciekawości, dla interesów lub przyjemności, bawiący zazwyczaj czas króciutki, nad miarę roztargnieni mnogością najrozmaitszych wrażeń — to wrażenie przejmują i odnoszą najprędzej i najsilniej, że Anglia jest krajem ogromnie religijnym. W pokoju hotelowym zastają egzemplarz Biblii; przy stole jadalnym widzą bardzo często osoby modlące się przed i po jedzeniu; w ulicach zastanawia ich wielka liczba kościołów; słyszą, w dni nawet powszednie, uroczysty dźwięk kościelnych dzwonów to z tej, to z owej, to z tamtej strony. A gdyby gość jakiś pozostał w Londynie czas dłuższy, wszedł w stosunki, zabrał znajomości w klubach, bywał po domach! jakżeby go uderzyło choć to jedno, zewnętrzne zjawisko — iż tyle się tu mówi o religii! Mniejsza na razie, co się mówi. Ale nie mniejsza... jak się mówi. Ktoś tu dowcipnie i może trafnie odpowiedział na pytanie światowego nowicyusza: Kiedy, około której godziny po wieczornym obiedzie można, lub wypada, myśleć o wyniesieniu się z salonu? — „Rozumie się, skoro tylko konwersacya zacznie się o religii!" — była odpowiedź. Nie powiem ja, że, jak Londyn szeroki i długi, każde w nim towarzystwo znajomych bierze kwestyę religijną za... choćby podkurkowy, czy poduszkowy temat rozmowy. Ale to mogę sumiennie powiedzieć o tutejszych warstwach inteligentnych, że, dalekie, bardzo dalekie od uważania kwestyi religijnej za własność ludzi zawodowych, księży i pastorów, lub za coś niepochwytnego, lub za objaw idyosynkrazyi ludzi — zwłaszcza kobiet — życiem złamanych, albo wreszcie za przedmiot mglistej spekulacyi mistyków i entuzyastów... dalekie od takiego poglądu, warstwy inteligentne zajmują się kwestyą religijną, jako tem czemś, co się im wdraża coraz natarczywiej w życie codzienne, w codzienną rzeczy obserwacyę. I dlatego o niej mówią — choć mówią najrozmaiciej. Nadmierne bogactwo warstw jednych, przeprowadziwszy je po wszystkich stopniach przesytu — od zmysłowego do altruistycznego — powoduje jednostki

szczere do wejścia w siebie i zastanawiania się nad problematem „racyi uniwersalnej“... zupełnie tak samo, jak to czynią szczerze usposobione jednostki, przygnębione nadmierną nędzą materyalną, niedostatkiem i niepowodzeniem. W którymże zaś kraju, w którem społeczeństwie krańcowe stany materyalne są tak, jak w Anglii, narzucające się i tak na każdym kroku byt swój uwidoczniające? A jakże wiele możnaby powiedzieć o coraz religijniejszych prądach w literaturze — zarówno fikcyjnej, jak sprawozdawczej z filozoficznych kierunków? Jakie powieści mają największe powodzenie? Pierwszy lepszy księgarz ma na to zapytanie gotową odpowiedź i wymieni w pierwszem miejscu Maryę Corelli, za nią panie: Humphrey Ward i Oliphant, a dalej M. Crawford'a, Jana Mac Laren'a i całą plejadę autorów, których centralnym meteorem jest Jerzy Meredith. Jużcić też godnem jest uwagi umysłowe usposobienie społeczeństwa, którego najwybitniejszy, bezwarunkowo najzdolniejszy mąż stanu (Artur Balfour) znajduje czas wśród zajęć ministeryalnych do pisania dzieł tak znaczących, jak np. „Podstawy Wiary“; którego najznakomitsi artyści dramatyczni (H. Irving i Wilson Barrett) odtwarzają na scenach stolicy — jeden, Neronowe prześladowanie pierwszych chrześcijan, drugi — obraz ascetyzmu i gorącej miłości chrześcijańskiej, rozlany dokoła postaci katolickiego kapłana! Nakoniec — kolosalne doprawdy rozmiary krajowej publicystyki, przechodzące granice roztropności nawet... wiodą czytelników najrozmaitszej kategoryi do zajmowania się kwestyami, któremi zajmowały się od czasów najdawniejszych wyjątkowe jednostki w najściślejszej skrytości — a „te rzeczy“, jeżeli, co prawda (a prawda, bezustannie stwierdzana) przynoszą śmiałkom kary zgrozą przejmujące, to jednak zmuszają umysły nawet najtępsze do uznania, iż ciało jest powłoką duszy i jej czasowem więzieniem.

Te dwa fakta biją w oczy swoją wyrazistością w Anglii: że ogół narodu jest najprzeważniej religijny i że ogół narodu uznaje boską potęgę w nauce Chrystusowej. Możnaby to, zapewne, inaczej wyrazić — ja się o to nie pokuszę, bo zanadto blizko ocieram się o żywe formy prądów tutejszych, bym się mógł wahać z wypowiedzeniem stanowczego zdania.

I właśnie ten naród jest rozbity na... po prostu nieskończoną liczbę frakcyj religijnych, rozmaicie wierzących, wzajem z sobą wojujących! Jak do tego przyszło, wie już dziś każdy, komu znane są dzieje t. zw. Reformacyi w ogóle, a w szczególności wewnętrzne dzieje Anglii pod panowaniem wielożennego Henryka i „królowej dziewicy“

Elżbiety. Są fakta wytyczne, które trzeba mieć na uwadze, chcąc zrozumieć szczegóły przełomu dzisiejszego — a z nich ten najważniejszy, iż, jak schyzma Henryka VIII. miała i początek swój i rozwój w przyczynach, powstałych z niemoralności tego monarchy i następnie z jego krnąbrności — tak schyzma Elżbiety, sformalizowana prawodawstwem narzuconem, wybujała z gruntu czysto politycznego. Królowej Elżbiecie było najobojętniejszem, w co naród chciał czy miał wierzyć, lub nie wierzyć — byle nie wierzył w papieża. Kościół państwowy, którego ona była założycielką, nie był nigdy narodowym, nie był nigdy angielskim, wymyślony był na to, aby w nim znalazły pomieszczenie wszystkie sekty, by i najsprzeczniejsze między sobą pod względem nauki, tak długo dopóki wykluczał statutowo supremacyę i jurysdykcyę Namiestnika Chrystusowego. Z rozkazu Elżbiety, posłuszni jej prałaci przerobili państwowy kodeks wiary (Edwarda VI.), zawarty w 39 artykułach, w ten sposób, iż prawie każdy z tychże ma sens wątpliwy, lub dwuznaczny — że kodeks mógł być przyjętym zarówno przez ludzi „kościelnych“ i „niekościelnych“, purytanów i prezbiteryanów. Nieuniknionem tego następstwem było od początku i jest do dni naszych, że Kościół anglikański jest w sobie podzielony na wiele stronnictw, z których jedne ciążą i oryentują się ku Kościołowi katolickiemu, a drugie ku luteranizmowi i kalwinizmowi. W różnych czasach trzechsetlecia ostatniego, przewaga moralna była, raz po stronie pierwszych stronnictw — usiłujących grupować się pod nazwą „Wysokiego Kościoła“ *(High Church)* — to znów po stronie drugich — których aglomerat nazwano „Kościołem Nizkim“ *(Low Church)*. Lecz są to... mają to być rzekomo różnice wewnętrzne: na zewnątrz, Kościół państwowy, jako instytucya duchowna, narodowa, ma być ciałem jednolitem, którego głową jest panujący monarcha *(Defensor fidei)*, mianujący biskupów i arcybiskupów... według wskazówek każdorazowego szefa ministeryalnego gabinetu.

Wszystkie inne wyznania chrześcijańskie, nie uznające władzy i jurysdykcyi hierarchów anglikańskich, niestosujące się do kodeksu 39-ciu artykułów, tworzą w Anglii, wielkie ciało dyssydentów, t. zw. „Nonkonformistów“. Ze stanowiska anglikanów teoretycznego, katolicy zaliczają się także do dyssydentów; w praktyce atoli obóz tychże składa się naczelnie z czterech oryginalnych sekt dawnych: metodystów-wesleyanów, metodystów-kalwinów, baptystów i „niezależnych“ czyli kongregacyonalistów. Sekty te są znów między sobą rozbite na... około 170 sekt osobnych w obrębie Zjednoczonego Królestwa — a nie

zaliczają się do nich oczywiście ani kwakrowie, ani unitaryanie (aryanie), ani nowocześni pelagianie — ani wreszcie takie narośle na zgangrenowanym protestantyzmie, jak „Armia Zbawienia", „Bracia z Plymouth", „Związek hrabiny Huntingdon" i t. d. Pod względem liczbowym i odnośnie do ludności Anglii i Walii (bo praca niniejsza nie uwzględnia stosunków wyznaniowych w Szkocyi i w Irlandyi), wynoszącej według spisu z r. 1891, dusz 29,503.362 — statystyka wyznaniowa prawie nie istnieje... z powodu tego, że władze rządowe o wyznanie poszczególnych mieszkańców wcale się przy spisie nie pytają, zaś cyfry, podawane przez statystów prywatnych, podlegają gwałtownej dyskusyi międzywyznaniowej. Urzędowy „Przewodnik katolicki", wychodzący każdorocznie z aprobatą duchowną, podaje cyfrę katolickiej ludności Anglii i Walii za r. 1896 — 1,600.000. Nonkonformiści przywłaszczają sobie najmniej 10 milionów dusz; więc odliczywszy jeszcze ze dwa miliony na rzecz niechrześcijan — wypadłoby pozostawić anglikanizmowi dusz około 16 milionów. Atoli dalszy ciąg tej pracy wykaże, jak mało znaczenia należy przywiązywać do tych statystycznych zakusów.

W chwili obecnej, Kościół Nizki zdaje się wymierać, dogorywać; Kościół Wysoki — „wyższy" dziś, aniżeli był kiedykolwiek — byłby substancyalną formą anglikanizmu, gdyby w toku lat ostatnich nie wytworzyła się trzecia jeszcze forma, znana jako „Kościół Szeroki" *(Broad Church)* — niezmiernie czynna, a raczej niezmiernie silnie wpływająca na masy narodu.

Do tego ciała, które znamy pod jego formalną nazwą Kościoła anglikańskiego, może należeć dziś i aktualnie należy... kto tylko chce i w jaki tylko chce sposób. Członkami tego Kościoła, pastorami, wyższymi dygnitarzami, ba! nawet biskupami są ludzie o najsprzeczniejszych wierzeniach i — ludzie bez żadnych zgoła wierzeń.

Klejem, który całą tę, niewysłowienie eklektyczną instytucyę łączy i spaja na zewnątrz, jest — poprostu funt sterling czyli opieka i supremacya państwowa. Z chwilą, w której anglikanizm zostanie pozbawiony charakteru instytucyi państwowej — co mu grozi z każdą kadencyą parlamentarną wyraźniej — rozluźni i rozpłynie się ta spójnia najkompletniej i bezpowrotnie: anglikanizm rozsypie się między sekty krajowe i obce, a pewna część pastorów i wyznawców Kościoła Wysokiego wróci tłumnie do katolicyzmu. Anglikanie sami o tem nie wątpią. Państwo, które za Henryka, Edwarda i Elżbiety wyposażyło było Kościół urzędowy łupami, wziętemi na katolicyzmie — a w zamian za-

żądało wyparcia się jedności tegoż Kościoła z Stolicą Apostolską — mianuje wszystkich hierarchów i dygnitarzy kapitulnych. Charakter nominantów zależy od charakteru nominujących — tymi zaś są bezpośrednio pierwsi ministrowie. I tak, arcybiskupa kantorberyjskiego, Tait'a, którego Pusey nazywał *the Presbyterianizing Archbishop* i który z dziekanem Stanley'em usiłował wyrzucić z Symbolu św. Atanazego artykuły, warunkujące wiecznem potępieniem[1], otrzymał nominacyę prymasowską od Benjamina Disraeli'ego (1868), a ten mąż stanu, jeżeli nie umarł żydem, to z pewnością nie wyznawał chrześcijaństwa otwarcie. Zmarły w r. 1896 prymas Benson, nominowany przez Gladstone'a, należał do stronnictwa Wysokiego; obecny prymas, a poprzednio biskup londyński, dr. Temple, kreowany przez lorda Salisbury, znany jest z poglądów tak „szerokich", że jego intronizacyi na stolicę niegdyś św. Augustyna towarzyszyły skandaliczne protesty w niektórych świątyniach anglikańskich, stołecznych... Nie chcę bynajmniej dać do zrozumienia, jakoby pierwsi ministrowie koronni forytowali swoich przyjaciół, albo ludzi o zapatrywaniach, na jakie oni sami, ministrowie, zwykli się pisać; faktem jest najogólniejszym — w naszych przynajmniej czasach — że minister, przystępując do wyboru metropolity, bierze pod uwagę stan umysłów, jaki w danej chwili panuje najogólniej między biskupami i wybitnymi szkolarzami anglikanizmu. Mając nominować biskupa dyecezyalnego, liczy się z usposobieniem danej dyecezyi.

Szef rządu, tj. każdorazowego gabinetu, wywiązuje się ze swoich zadań kościelnych, jak może najostrożniej, najdyplomatyczniej. Według przeto okoliczności, pod biskupem „wysokim" obsadza stale kanoniczne dygnitarzami „nizkimi", lub „szerokimi" — i odwrotnie. W dobrach koronnych, pierwszy minister mianuje także proboszczów, czyli rektorów; królowa czyni podobnie w dobrach swoich prywatnych — i ten sam przywilej posiada każdy lord i każdy właściciel ziemski, będący szefami majoratów. Dlatego to znajdujemy w każdym „Przewodniku parlamentarnym" wiadomość, ile ten i ów par dziedziczny ma na swoich majątkach prebend anglikańskich, których jest jedynym rozdawcą[2]. Ani szef rządu, ani biskup, ni prymas nie mogą sprzeciwiać się wyborowi i instalacyi danej osoby na prebendę prywatną — tak długo,

---

[1] *Life of Edward Bouverie Pusey, D. D.* By Henry Parry Liddon, D. D. tom IV (świeżo wyszły), str. 246—247.

[2] Z magnatów katolickich, książe Norfolk rozporządza 9-ciu prebendami anglikańskiemi, lordowie: Ripon, Bute, Denbigh i inni mają po kilka

dopóty instalowany jest człowiek, posiadający „święcenia“ kapłańskie lub dyakonat anglikański i posiada „licencyę głoszenia Ewangelii“. W praktyce więc, obsada rektoratów jest w największej proporcyi rzeczą osób świeckich, lub uniwersytetów i korporacyj handlowych, przemysłowych i t. p. Mogą się one porozumiewać z biskupem i mogą zastosowywać swoje wybory do życzeń, czy potrzeb lokalnych — ale mogą też obywać się bez tych... formalności.

Arcybiskup kantorberyjski, przywłaszczający sobie tytuł następcy św. Augustyna na stolicy w Canterbury, a tytuł prymacyalny nad Zjednoczonem Królestwem, jako następca legendowych biskupów brytońskich z pierwszych, celtyckich wieków, ma oficyalną jurysdykcyę tylko nad swoją własną dyecezyą — teoretycznie zaś, lub właściwiej jeszcze, idealnie jest metropolitą dyecezyj, położonych w hrabstwach Anglii południowych. Północne dyecezye mają swój środek metropolitalny w Yorku, stolicy arcybiskupiej drugiego prymasa, zwanego *honoris causa* „prymasem wszech Anglii“. Zaznaczę, iż po ruchu oksfordzkim weszło w zwyczaj uważać arcybiskupa kantorberyjskiego za reprezentanta anglikanizmu w świecie. Co przedewszystkiem uderza, to fakt, iż ani prymas sam, ani gremium hierarchiczne nie posiadają ani źdźbła władzy, nauczającej niezależnie od sankcyi i aprobaty państwa. Nie posiadają też władzy administracyjnej — bo ta należy wyłącznie i niepodzielnie do t. zw. „komisarzy kościelnych“ *(Ecclesiastical Commissioners),* mianowanych przez gabinet ministeryalny, odpowiedzialnych przed parlamentem ogólno-państwowym. Są dwa ciała prawodawcze, kościelne: konwokacya kantorberyjska i yorkska, zasiadające równocześnie z westminsterskiem ciałem parlamentarnem — ale, rozumie się, odrębnie od niego. W konwokacyach zasiadają *ex officio* arcybiskupi, biskupi, oraz kapitulni dziekani i arcydyakoni; kapituły zaś i dyecezyalne gremia rektorów parafialnych wysyłają swoich przedstawicieli. Atoli bez zezwolenia i ewentualnej aprobaty monarchy konwokacye nie mogą ustanawiać żadnych praw ani kanonów kościelnych. Są one poniekąd kościelnemi delegacyami, obmyślającemi *ex parte sua* wszystko to, co ostatecznie parlament poleci, lub nie poleci do przeprowadzenia swoim urzędnikom, kościelnym komisarzom. Konwokacye przeto nie zajmują się problematami dogmatyki, choć mogą się zajmować reformą dyscyplinarną (np. rytualistyczną), zapoczątkowaną przez rozmaicie zrozumiane dogmata anglikańskie... To też sesye konwokacyjne trwają zazwyczaj czas bardzo krótki; rezultaty obrad przechodzą z kolei do Izby lordów — gdyż w niej tylko zasiadają *ex officio* obaj arcybiskupi

z 24 biskupami [1]— następnie, jeżeli kwestya jaka dotyczy finansów, do Izby niższej, skąd się przedostaje lub nie przedostaje się do gabinetu królowej.

Kościół anglikański nie był nigdy — ani nawet z imienia — ciałem nauczającem. Od r. 1532 do 1867 był tylko kustoszem tego wyznania wiary, zawartego w XXXIX. artykułach, jakie mu spisał Cranmer za Edwarda VI., jakie mu z bezwzględną wzgardą i stanowczością narzuciła Elżbieta w affirmacyi z r. 1571. Ciało anglikańskie, złożone podówczas najprzeważniej z purytańskich protestantów, przyjęło Artykuły i liturgię, ulegając wszechstronnej przemocy. Póki, w pościgach za resztami katolicyzmu, zwłaszcza za kryjącymi się kapłanami i misyonarzami, władze państwowe dopilnowywały zachowania nowej liturgii i głoszenia Artykułów w każdej parafii, póty też ci duchowni, którzy nie mieli odwagi opuścić rządowych kościołów — choć zarażeni jedną lub drugą herezyą — zastosowywali się zewnętrznie do form narzuconych. Z postępem czasu, w miarę ustającej kontroli rządowej, pastorowie wyłamywali się stopniowo z pod jarzma, które nie mogło mieć i nigdy nie miało ani znaczenia moralnego, ani wartości. Purytanizm, rozszalały w ostatnich latach Karola I. i pod „protektoratem“ Cromwella, wyszydził liturgię Cranmer'a, jako „bałwochwalczą pozostałość papizmu“, wyśmiał Artykuły, jako wymysł ludzki, niezawarty w księgach biblijnych — zniszczył w świątyniach ostatnie ślady prastarej religii, zamiast ołtarza postawił pulpit z otwartą na nim i łańcuchami przytwierdzoną Biblią... i zwołał do niej lud, by ją sobie czytał

[1] Oto najważniejsze dane statystyczne o Kościele anglikańskim w ogólno-władztwie brytańskiem (*Whitaker's Almanack*, 1897, str. 241): 2 arcybiskupów, 32 biskupów dyecezyalnych i 17 sufraganów — w Europie; 90 biskupów kolonialnych i misyjnych, 80 amerykańskich. W W. Brytanii i Irlandyi jest 14.000 anglikańskich parafij, ogólna liczba duchowieństwa dochodzi 23.000. O bogactwie anglikanizmu świadczą wymownie *(ibid.)* następujące wiadomości: dobrowolnemi składkami na rozmaite cele religijne zebrano w ciągu jednego roku, od kwietnia 1894 do marca 1895 r., sumę 5,850.000 funtów st., nie licząc w to składek samego duchowieństwa i składek na parafialne szpitale, ochronki i czytelnie! W 25 latach, od 1860—84, zebrano składkami w funtach st.: 35,000.000 na budowy kościołów i roboty podobne; 7,000.000 na misye krajowe *(home-missions)*; 10,000.000 na misye zagraniczne; 22,000.000 na oświatę elementarną; 4,000.000 na cele dobroczynne i 2,000.000 na zapomogi pastorom. Wszystkie te sumy, wynoszące razem prawie cały miliard złr., zebrano w obrębie Zjedn. Królestwa. Cyfry te, dające wyobrażenie o bogactwie kraju, są zarazem wymownem świadectwem religijnego usposobienia społeczeństwa.

i tłumaczył [1]. Purytanizm XVII. i XVIII. wieku, a po nim współczesny w Anglii nonkonformizm zaprowadził i w zborach swych utrzymuje, zamiast służby Bożej — stałą ankietę nad rządami Bożymi w dziejach. Protestantyzm stawia obowiązek oddawania czci Bogu-Stworzycielowi w drugiem miejscu, bo w pierwszem położył obowiązek przyswajania sobie znajomości Pisma św. i rozumienia go, rozbierania krytycznego... co w niem może być do wierzenia!

Hierarchia anglikańska była od początku w położeniu, w jakiem się dzisiaj znajduje — między Scyllą osobistej swobody wierzenia i Charybdą powagi nauczającej. Patrzyła od początku, jak i dziś patrzy, na nieskończenie płodną operacyę rozumu ludzkiego, który sam sobie zostawiony, wytwarzał w alembiku „swobody osobistej“ i jeszcze wytwarzać nie przestaje szereg po szeregu sekt i podsekt, szereg po szeregu systemów... jedynej prawdy, Boga jednego. Anglikanizm patrzył od początku, jak i dziś patrzy, na genezy poszczególne sekt niezliczonych i na ich bezpłodne wymieranie. Wszakżeż te nawet, które zachowały nazwy pierwotne, nie zachowały z przeszłości nic więcej.

W skromnie zakreślonym artykule niepodobna zatrzymać się nad niektórymi momentami wewnętrznych dziejów anglikanizmu po-stuartowskiego. Skojarzony i najzupełniej zlany z całokształtem państwowego ustroju, sparaliżowany od początku przez bezwzględnie i rygorystycznie nałożony sobie, a sprzeczności pełen kodeks wiary, anglikanizm przetrwał półtora wieku, jako instytucya urzędowa, dająca wygodne schronienie uczonym szkolarzom, młodszym synom niezamożnych magnatów, otwierająca ambitnym karyerowiczom nietrudną drogę do suto płatnych

---

[1] „Następstwem tych urządzeń (Biblij, przywiązanych łańcuchami do pulpitów) było, że zapaleńcy protestanccy zbierali się dokoła pulpitów, czytali biblię i rozprawiali nad nią głośno i kłótliwie — nawet podczas publicznego nabożeństwa. Zgorszenie doszło do takich rozmiarów, że, za panowania Henryka VIII., zaledwie w kilka lat po wydaniu dekretu o wystawieniu Biblii do użytku publicznego w kościołach, musiano osobną uchwałą parlamentu zakazać publicznego czytania Biblii — a nawet i prywatnego, z wyjątkiem tylko na korzyść osób dostojnych i wykształconych“. *(Some Sidelights on the English Reformation.* Artykuł Dudley'a Baxter w *Month.* zeszyt grudniowy 1897*)*. Cranmer postarał się następnie o odwołanie owej uchwały i dopiero w końcu panowania Elżbiety postanowiono, iż czytanie Biblii ma się odbywać w godzinach osobnych i pod pewnymi warunkami. Lecz już po r. 1560 stały się te przepisy zbytecznymi, bo w owym roku zaczęto rozpowszechniać biblię (z przedmową Kalwina), drukowaną w Genewie i opatrzoną komentarzami... nie do zacytowania.

dostojeństw. Anglikanizm nie byłby przetrwał może ani półtora dziesiątka lat, gdyby jakich takich sił i soków naturalnych nie czerpał stale z obydwu starożytnych wszechnic (Oxford i Cambridge), których skład i układ zewnętrzny — zawsze kościelny, a od Elżbiety anglikański — potrzebował i wydawał uczonych duchownego stanu. Obydwa te ogniska najwyższej kultury naukowej stały się z woli Cranmera i Elżbiety twierdzami religii państwowej. Wszystkie w nich stanowiska od najwyższych, naukowych, do najniższych, administracyjnych, zajmować mogli tylko ludzie, świadczący głośno i dobitnie nienawiść katolicyzmu i pogardę względem nonkonformizmu — osobistości zresztą, które, jeżeli tylko złożyły przysięgę wierności królowi i podpisały deklaracyę przyjęcia 39 Artykułów, mogły *in foro interno* wierzyć, lub nie wierzyć, w co im się tylko podobało. Co więc zawsze odróżniało i dziś odróżnia duchownych anglikańskich od nonkonformistycznych, to wyraźne znamię wyższego — nieporównanie wyższego i ogładzonego — wykształcenia pierwszych, ich kilkoletniego obcowania z młodzieżą rodzin uprzywilejowanych. Mówi się dziś jeszcze w Anglii, że anglikański *clergyman* jest *a gentleman* — a sekciarski pastor, czy predykant jest gburem. Po pierwszym spodziewa się przeważnie świeckiej erudycyi i światowych, wielkoświatowych manier; po drugim — krasomówstwa, lub przynajmniej płynnego krzykactwa. O ile nonkonformizm zasklepiał się stale i fanatycznie w surowym i ciasno-umysłowym purytanizmie, o tyle znów anglikanizm pozwalał swoim duchownym puszczać najswobodniej wodze wszelkim fantazyom, nietylko umysłowym. Czytelnikom powieści angielskich musi być znany dobrze przeciętny typ anglikańskiego rektora, czyli plebana: w stolicy miewa on dodatkowe urzędy katedralne, jest salonowcem i potrafi trzymać dla żony i córek ekwipaże z liberyą, jest w stanie dawać wytworne u siebie obiady; na prowincyi żyje z obywatelstwem, bierze udział w każdym sporcie hrabstwa, hoduje rasowe konie, poluje konno z psami i, jeśli suknie jego nie trącą stajnią i psiarnią, to dlatego, ponieważ nosi ubiór duchownych tylko w niedziele i tylko w kościele. Kto znów chce się zapoznać z życiem dostojników i ich rodzin, skupionych w miastach katedralnych, na kanoniach i archidyakoniach, niech przeczyta słynne powieści Antoniego Trollope'a (w seryi *The Barchester Towers*), a potem zechce wynaleźć, czy w ogóle i w co wierzą ci panowie i te ich panie i panny...

Edmund Naganowski.

Nowa kongregacya dla misyj afrykańskich.

Od czasu do czasu, zwyczajnie na wiosnę, zjawia się w Krakowie pewna pani, o której przybyciu wszyscy, czy chcą, czy nie chcą, wiedzieć muszą. Metrowemi plakatami zapowiada zgromadzenia na rzecz misyj afrykańskich, a w przeciągu kilku dni potrafi się zetknąć ze wszystkiemi warstwami społeczeństwa, aby czynić propagandę dla swoich murzynów. U nas podobno nie najlepiej jej się wiedzie. Afryka tak daleka, kraj nasz ubogi, nędzy bez liku, a więc — każdy sobie powtarza — bliższa koszula ciała, i dlatego wszyscy wogóle dość obojętnie się zachowują wobec dzieła gorliwej, jak ją nieraz nazywają, Afrykanki. Parę lat temu p. Bałucki, jeśli się nie mylę, napisał bardzo dowcipny, choć złośliwy artykuł w jakiemś lwowskiem piśmie, w którym całe dzieło przedstawił jako zabawkę sprytnej damy z wielkiego świata, która nie ma nic lepszego do czynienia.

I myśmy z początku nie bardzo dowierzali, czy z tej pracy będzie jakiś większy pożytek dla Kościoła. Z tem większem zdziwieniem przerzuciliśmy nadesłane nam sprawozdanie o założeniu i działalności Sodalicyi św Piotra Klawera. Nowe stowarzyszenie zawdzięcza swój początek zetknięciu się ówczesnej damy dworu, hr. T. Ledóchowskiej ze sędziwym kardynałem Lavigerie, którego gorące słowa zapaliły ją do poświęcenia się sprawie niewolników. Ale zaraz w pierwszych początkach powstały zewsząd trudności, które powinny były zrazić ją i zniechęcić do dalszej w tym kierunku pracy. Tymczasem gorliwa apostołka porzuciła swe stanowisko w świecie i chwyciła za pióro w przekonaniu, że tylko za pomocą prasy może sobie utorować drogę do swych celów. W codziennych gazetach i miesięcznikach zaczęły się pokazywać tu i ówdzie fejletoniki w sprawie afrykańskiej. W r. 1890 założyła maleńkie czasopismo *Echo z Afryki.* Skromne to pisemko znalazło powoli drogę do chat wieśniaczych i do pałaców, gdzie jeszcze żywszy duch wiary panował. Praca zaczęła się mnożyć, datki coraz obfitsze wpływać, korespondencye z misyonarzami wzrastać tak, że założycielka, nie mogąc sama podołać zajęciom, zaczęła się rozglądać za towarzyszkami. Stąd poszło, że założyła najprzód stowarzyszenie świeckich pań, które miały pracować w Europie i wogóle poza Afryką, aby dostarczyć misyonarzom niezbędnie im potrzebnych środków materyalnych, pobudzać do modlitw i wspomagać powołania do prac misyjnych w Afryce. Towarzyszek do pracy mało przybywało,

ale praca ciągle ogromnie rosła. Aby więc dać dziełu trwalsze podwaliny, postanowiono zmienić stowarzyszenie w rodzaj kongregacyi zakonnej z 3 ślubami wiecznymi, a 16 kwietnia 1897 arcybiskup salcburski potwierdził konstytucye i uznał Sodalicyę dla swojej dyecezyi za kanoniczne stowarzyszenie zakonne.

O działalności młodej kongregacyi i błogosławieństwie, które jej towarzyszy, najlepsze dać mogą wyobrażenie niektóre liczby. *Echo z Afryki*, organ stowarzyszenia, wychodzi teraz aż w 3 językach: po polsku, włosku i niemiecku, a ma przeszło 15.000 abonentów. Oprócz tego Sodalicya wydaje w języku niemieckim broszurki popularne z małemi opowiadaniami o Afryce, które mają blizko 4.000 abonentów. W celach propagandy wydają się liczne inne broszury i obrazy.

Co najdziwniejsza, to wzrost datków nadsyłanych do Redakcyi *Echa* dla biednych murzynów. W roku 1894 ogólna suma wynosiła 9.618 złr., w r. 1895 — 14.528 złr., w r. 1896 — 23.012 złr., a w zeszłym roku aż 49.515 złr. Z początku zbierano składki, co zawsze jest rodzajem przymusu moralnego, ale teraz zupełnie ich zaniechano, tak że datki uważać trzeba za jałmużnę najzupełniej dobrowolnie ofiarowaną. Tem bardziej wysokie cyfry dziwić muszą, że chodzi o sprawę bądź co bądź nie bardzo popularną. Oprócz pieniężnych datków Sodalicya przyjmuje wszystko, co misyonarzom może być potrzebne: przybory mszalne, sukno, zabawki dla dzieci i t. p. rzeczy. Misyonarze objawiają swe życzenia w *Echu z Afryki* a prawie zawsze w krótkim czasie znajdują się dobrodzieje, którzy zadośćczynią ich prośbom, posyłając im za pośrednictwem Sodalicyi to dzwony kościelne, to kielichy, to obrazy do kościołów i kaplic. Naturalnie, że wywiązała się stąd nader żywa korespondencya między misyonarzami całej Afryki a Sodalicyą, która niemało sił pochłania. Aby zachęcić do wykupienia i utrzymywania biednych murzynów, Sodalicya podaje ofiarodawcom od czasu do czasu wiadomości, nawet fotografie ich przybranych dzieci; jedynie tym sposobem 600 dzieci murzyńskich wychowuje się dotąd w wierze katolickiej.

Sodalicya oprócz głównej swej siedziby w Salcburgu, posiada już 3 filie: w Krakowie, Tryeście i Wiedniu. Do Sodalicyi należeć mogą także osoby świeckie, które o ile ich obowiązki pozwalają, chcą się przyczyniać do rozszerzenia tego dzieła, czy to jako eksternistki, ściślej złączone z Sodalicyą, czy jako zelatorki.

Mgr. Roveggio, wikaryusz apostolski dla Afryki centralnej zdziwiony wzrostem dzieła, które z tak małych zawiązków rozwinęło się

już w drzewo tak szeroko rozgałęzione, powiedział do ks. dr. Mioni, gorliwego zelatora Sodalicyi w Tryeście, że „Sodalicya jest dziełem Opatrzności i wzrośnie i wzmocni się, a Afryka po wielkiej części jej zawdzięczać będzie zbawienie".

Że cel stowarzyszenia jest piękny i szlachetny i że ma dla sprawy Bożej bardzo doniosłe znaczenie, o tem żaden dobry katolik wątpić nie może. Cechą istotną naszej wiary jest, by była katolicką, a przestałaby nią być w chwili, w którejby zarzuciwszy troskę o cały świat pogański, ograniczyła się tylko do tych, którzy już są w posiadaniu wiary. Można tylko zarzucić, że kraj biedny jak nasz, nie jest w stanie przyczyniać się do tego rodzaju dzieła. W czasach, kiedy papieże nawoływali do wypraw krzyżowych przeciw półksiężycowi — Polska od samej Stolicy św. została uwolniona od udziału, gdyż u siebie ciągłe miała utarczki z poganami. Dzisiejsze obowiązki, jakie mamy względem biednych i opuszczonych na własnej ziemi, są bez wątpienia przyczyną, że dużo dla misyj afrykańskich robić nie możemy. Ale żleby postąpił, ktoby, tak jak socyaliści, żałował każdego grosza, który idzie w zamorskie kraje, by przynieść ulgę nędznym niewolnikom na ciele i duszy, jak gdyby przez to krzywdę się czyniło naszym, jak mówią, białym niewolnikom. Wdowi grosz może tam dużo zdziałać, a wspieranie dzieł misyjnych ma i dla kraju tę wielką korzyść, że więcej niż inne dzieło miłosierdzia, rozbudza życie wiary. A duch wiary, jeżeli spotężnieje, sprawi, że przez odmówienie sobie próżnych, kosztownych a zabijających szlachetniejsze uczucia zabaw, nietylko się znajdą skromne datki dla czarnych niewolników, ale i hojność dla dobrych celów w kraju się powiększy, choćby kosztem zmniejszenia się „tańcującego miłosierdzia". Szczególnie uderza, że prosty lud u nas, tak samo, jak za granicą, okazuje głębokie zrozumienie tej sprawy. Pewien wieśniak usłyszawszy, że za 12 złr. można wykupić dziecko z niewoli i zapewnić mu dobrodziejstwa wiary, zaraz do kieszeni sięgnął i kilkadziesiąt centów zaofiarował. „Jakżebym — mówił z poczciwą a piękną naiwnością — nie dał tych parę szóstek, by duszę odkupić, kiedy na jarmarku za krowę, która może wnet zdechnąć, daję 20 i 30 złr."

Niech więc dzieło, tak odpowiedne duchowi katolickiemu, i u nas się rozwija. Żadnej z niego szkody kraj nie poniesie, a korzyści, jakie wynikną z wzbudzenia idealniejszych celów, mogą być wielkie.

Ks. F. S.

Korespondencya Redakcyi.

Otrzymaliśmy w tych dniach bezimienną korespondencyę „O szczegółach dziwnych zjawisk w Nienadówce", litografowaną i dość obszerną, bo 12 stronic arkuszowych zawierającą. Są tam szczegółowo przedstawione objawy, wyglądające na opętanie wiejskiej dziewczyny, i rozwinięty jest wniosek autora, że opętanie jest niewątpliwe. My, rzecz przeczytawszy z uwagą, wniosku tego podzielić nie możemy. Zdarzają się wprawdzie przenoszenia i przerzucania rozmaitych przedmiotów; ale przerzucania takie nie przewyższają wogóle sztuki kuglarskiej; przytem warunki obserwacyj przez świadków są najniekorzystniejsze. Zdarza się też powtarzanie słów obcych języków, które autor listu nazywa mówieniem obcymi językami. Gdyby używanie nieznanych języków zupełnie samowładne zostało należycie sprawdzone, toby coś znaczyło, ale w danym opisie znajdujemy tylko urywane słowa, bądź łacińskie, bądź niemieckie, które łatwo się o uszy dziewczyny obić mogły, słowa te nie zawsze są gramatycznie poprawne i w luźnym tylko związku z poprzedniemi pytaniami. Słowem, żadnegośmy nie wyczytali objawu, któryby dowodził interwencyi złego ducha. Niejeden zaś objaw w przeciwnym sensie przemawia. Między innemi: fakt ten, że ciemność jest warunkiem tych objawów, — co się w hypotezie złego ducha wytłumaczyć nie da, i o czem nigdy w opętaniach nie słyszano. Dalej fakt, że cała umysłowa sfera tych wrzekomych przemówień złego ducha, nie przewyższa sfery umysłowej wieśniaka: nietylko suma wiadomości tego ducha nie przewyższa wiadomości wiejskich, ale nawet żarty jego są żartami chłopskimi. Jaki udział w tych rzeczach przypisać należy kuglarstwu, a jaki może histerycznemu stanowi dziewczyny, to trudno osądzić, tem trudniej, że histerya splata się nieraz bardzo ściśle z oszukaństwem.

W końcu nie pochwalamy gorliwości autora, z jaką każde wątpienie o interwencyi szatańskiej w tym wypadku przypisuje sceptycyzmowi i niedowiarstwu. Pewnie że niedowiarstwo szkodzi sprawie Bożej, ale szkodzi jej też zbytnia łatwowierność.

Redakcya Przeglądu Powszechnego.

Druk ukończono 29 marca 1898 r.

DZISIEJSZY OKULTYZM NAUKOWY.

CZARNOKSIĘSTWO I MEDYUMIZM, przez *Ign. Matuszewskiego*. 1896.
KWESTYA MEDYUMIZMU, przez *d-ra Juliana Ochorowicza*. *Życie*, październik 1897, n. 4—8.

Nie dalej jak przed 20 laty, kiedy w sferach naukowych całej Europy panował oficyalnie pozytywizm, i każdy, kto chciał za uczonego uchodzić, musiał się pod jego patronat przynajmniej podszyć, kiedy myśl filozoficzną ludzkości przedstawiali tacy ludzie, jak Taine i Spencer — ktoby był przypuścił, że ten dumny wiek XIX. skończy zwrotem do okultyzmu i czarnoksięstwa?!

Wprawdzie już wtedy grasował w najlepsze, importowany z Ameryki spirytyzm, zdobywał krocie adeptów i rozgorączkowywał publiczność. Zaczęło się najskromniej, od kręcenia stolików — potem znudzono się długością wypukiwań i zaczęto przywiązywać do nóg stolików ołówki, którymi duchy wypisywały odpowiedzi — potem zachciało się same duchy widzieć, i poczęto je wywoływać. Amerykanin Hume zawracał głowy paryskiego i londyńskiego towarzystwa. Ale cały ten ruch krążył w poziomie przysłoniętym mgłą tajemniczości i zabobonu. Świat uczony nic o nim nie chciał wiedzieć. A choć kilku wybitnych przedstawicieli nauki, jak Arago, dało się skusić na parę spirytystycznych posiedzeń, prędko jednak umyli sobie od tego ręce.— Dziś ten okultyzm śmiało podnosi głowę. Zakłada jawnie, pod najrozmaitszemi nazwami — teozofów, neobudystów, spirytua-

listów — już nietylko w Ameryce, ale w Anglii, Francyi, Niemczech, Rosyi, Włoszech, Węgrzech i we wszystkich niemal krajach [1] swe związki, stowarzyszenia, kasyna, nawet świątynie. Zapełnia świat swemi publikacyami; wydaje nietylko własne peryodyczne pisma, jak *Revue Spirite*, *Revue théosophique*, *Le Lotus*, *Le Voile d'Isis*, *L'Aurore* pod kierunkiem lady Caithness, *Licht des Jenseits*, *Psychische Studien* pod kierunkiem niegdyś Aksakowa, *Geister Revue*, amerykański *Banner of light*, który 30.000 odbiorców liczy, i t. d. i t. d., ale, co ciekawsza, w pismach najogólniejszej treści i najbardziej rozpowszechnionych, jak *Revue of Revues*, ogromne zajmuje miejsce. Nietylko czasopisma wydaje, ale i grube książki, w takiej ilości, że istnieją całe księgarnie, wyłącznie tym publikacyom okultyzmu poświęcone. Mam w rękach katalogi dwóch takich księgarni paryskich. Według Dippel'a [2], w Ameryce 100.000 książek i broszur w tym przedmiocie rocznie się sprzedaje. Mam też przed sobą pewną liczbę tych dzieł, z charakterystycznymi tytułami, jak „Próba nauk przeklętych" — „Klucz absolutny tajemniczej nauki" — „Spirytyzm, fakiryzm Zachodu", „Teozofia powszechna i teozofia chrześcijańska" — „Nauka tajemnic" i t. p.

Przez niektóre z tych dzieł i czasopism przerzynałem się odważnie — jak Sven Hedin przerzynał się zeszłego roku przez piaskowe zaspy pustyni Gobi — mimo straszliwego znużenia, jakie sprawia pusty symbolizm, dziecinne praktyki, górnolotne słowa, ciągle coś obiecujące, czego nigdy nie mówią — i cóż znalazłem? Tyle co nic; jakąś mglistą doktrynę o wędrówkach dusz z planety na planetę, bez określonego pojęcia Bóstwa, bez wyraźnego moralnego obowiązku — doktrynę mniej więcej tę samą, którą już byli dawni spirytyści z masy pukań i objawień swych duchów wydystylowali. Ale to wszystko zdąża dzisiaj do jakiejś solidarności z magią całego Wschodu i całej przeszłości.

---

[1] We Wiedniu założył się świeżo Teozoficzny Związek i tłumaczy nawet na polskie publikacye, popularyzujące swą naukę, np. „O Teozofii", odczyt d-ra Froebe. Kraków 1897. — Szczegóły o dzisiejszem rozgałęzieniu okultyzmu po różnych krajach czytać można w dziele d-ra Dippel'a, *Der neuere Spiritismus*. Monachium 1897.

[2] L. c.

Twierdzą ci panowie, że mają tajemnicze konszachty z monasterami budystów na Himalaju; za swoich uznają fakirów Indyi, ciemnych szamanistów Syberyi; powołują się na nowo odkryte teksty klinowe i hieroglificzne, które mają zawierać esoteryczną umiejętność najstarszych ludów — tych tekstów jednak nigdy nie cytują[1]; głoszą (rzecz charakterystyczna na końcu XIX. wieku), że klucz wiedzy był w posiadaniu najstarszej ludzkości i o to tylko idzie, żeby go odgrzebać; usiłują (najniefortunniej) naukowy pogląd na świat dzisiejszego Zachodu pogodzić z mgławicznym panteizmem budystów i zabobonną teurgią Egipcyan — słowem, dążą do stworzenia jakiejś ogólno-ludzkiej, ogólno-światowej p a n m a g i i [2].

Ale co jest najcharakterystyczniejszem w tych ostatnich latach i zupełnie nowem zjawiskiem — i co mię powoduje do pisania tych kartek — to jest, że świat naukowy, który dotychczas boczył się na cały okultyzm i systematycznie go ignorował, teraz zaczyna z nim flirtować. I tak, w Anglii, zasłużony dla nauki William Crookes, ten sam, który stan promieniujący materyi odkrył, przerzucił się w okultyzm; próbował z początku tłumaczyć zjawiska „siłą psychiczną“ — ale sfascynowany trzyletniemi odwiedzinami widma, przez siebie wywołanego, jakiejś Katie King, pogrążył się zupełnie w spirytyzmie. We Francyi dr. Gibier próbował także naukowych tłumaczeń, lecz zetknąwszy się z sławnem medyum Slade, wpadł również w czysty spirytyzm — do tego stopnia, że ustąpić musiał z posady naukowej

[1] Szkoda, że nie zajrzeli lepiej do tych tekstów, bo bardzo być może, żeby w nich znaleźli poglądy na świat mgławiczne i praktyki dziecinne, do swoich zupełnie podobne.

[2] Dla katolików oczywiście ta cała literatura jest owocem zakazanym, ale że i do nich dolatuje rozlany w dzisiejszej atmosferze zapaszek magii i budzi się w nich niezdrowa ciekawość do tajemniczych stosunków z zaświatem, więc sprytni ludzie jęli komponować, *ad usum* katolików, takie publikacye, jak *Le diable au XIX. siècle*, albo jak „Pamiętniki ekspalladystki“, gdzie pod źle zszytym płaszczykiem prawowierności, podawali katolickiej publiczności tę samą chorobliwie podniecającą strawę, którą tamte pisma dawały niewierzącym. W rzeczy samej zrobili na tem doskonały finansowy interes. A zbyt łatwowierni katolicy otrzymali surową nauczkę, która, jak spodziewamy się, posłuży na długo.

i stosunki z kolegami zerwać. Tenże sam Slade narzucił wiarę w okultyzm Zöllnerowi, profesorowi lipskiemu. Zöllner usiłuje te zjawiska tłumaczyć za pomocą rzekomego czwartego wymiaru przestrzeni. Inny znów niemiecki uczony Leeser wszystko tłumaczy przez fluid, któremu daje starą nazwę „odu"; genewski zaś profesor Thury przypisuje wszystko fluidowi, któremu nową przyczepia nazwę „psychody". U nas przedstawicielem tego kierunku jest p. Ochorowicz, który dużo już o tych rzeczach pisał i rozprawiał; w końcu przed kilkoma miesiącami ogłosił w *Życiu* rozprawę p. t. „Kwestya medyumizmu", która jest wyraźnie streszczeniem jego dzisiejszych poglądów, a odznacza się jasnością, w tej materyi dość rzadką. Dopełnieniem poniekąd tej rozprawy jest książka p. Matuszewskiego „Czarnoksięstwo i medyumizm", bo kiedy p. Ochorowicz stara się naukowo tłumaczyć dzisiejszy okultyzm, to p. Matuszewski porównuje z nim dawne czarnoksięstwo i sili się wszystko do jednego mianownika sprowadzić. Te dwie prace razem wzięte odzwierciedlają dość wiernie poglądy i usiłowania tej całej naukowej sfery, o którejśmy powiedzieli, że się wdaje w konszachty z okultyzmem. I dlatego, nie chcąc czytelników gubić w tym strasznym lesie

Questa selva selvaggia et aspra e forte,
Che nel pensier rinnova la paura! —

te dwie książki nam najbliższe, obraliśmy za główne tło naszego studyum.

Kiedy nazywam badaczy okultyzmu sferą naukową, to wymaga to pewnego zastrzeżenia, a przynajmniej zwrócenia uwagi, że charakter naukowy tej sfery i jej badań podlega sporowi. Zwarta falanga przedstawicieli n a u k i idzie dalej, jak szła, w biały dzień, drogą ściśle skontrolowanych doświadczeń; o żadnych tajemnicach okultyzmu słyszeć nie chce; a nawet kolegów, jej hasłom i metodom niewiernych, przestaje za swoich uważać. Jeżeli się kiedy z jej łona jaki głos w tej sprawie odezwie, to taki, jak Wundta, który, w rozprawie *Der Spiritismus, eine sogenannte wissenschaftliche Frage,* wszelkiego charakteru naukowego okultyzmowi odmawia. Wszelako oprócz tej skupionej falangi, jest pewna liczba ludzi, którzy także, jedni bliżej, drudzy dalej,

naokoło nauki grawitują; a choć o ścisłości naukowej liberalniejsze mają pojęcia, jednak zagadnieniami nauki żywo się interesują, szerokie w dziedzinie naukowej zdradzają oczytanie, słownictwa naukowego twardo się trzymają. Ci też, w szerszem znaczeniu, do świata naukowego należą — podobnie jak wolna atmosfera należy do planety, którą otacza. Otóż z tych niektórzy znaleźli, jak twierdzą, w niedawno odkrytym hypnotyzmie pomost między nauką a okultyzmem, który ich szczególnie ciągnął. Uderzeni z jednej strony realnością niezaprzeczalną zjawisk hypnotycznych, a z drugiej strony pewnem ich podobieństwem do tej lub owej z nieprzeliczonych praktyk owej panmagii, o którejśmy mówili, rzucili się zapalczywie w tym kierunku, i wysnuli system — właściwie nie system, tylko pogląd — wprowadzający cały okultyzm, wszystkie starożytne czarnoksięstwa, kabały, teurgie, i nowożytne spirytyzmy i teozofie, w szeroką naukową (a przynajmniej n a u k o i d o w ą) formułę.

Właściwi okultyści przypuszczają duchy, przynajmniej dusze zmarłych, wędrujące poprzez światy — i na ich karb kładą zjawiska magiczne. To wszystko owi uczeni odrzucają — odrzucają nie na podstawie jakichś badań, doświadczeń lub rozumowań, ale z góry: bo jest im *a priori* oczywistem, że nic przeciwniejszego nauce być nie może, jak przypuszczenie duchów. — Jednak odrzuciwszy duchy, nic nie odrzucają ze zjawisk; nie ścieśniają bynajmniej swego krytycznego widnokręgu. Z łatwością, równą łatwowierności czcicielów magii, przyjmują ci panowie i klasyfikują jako „materyał naukowy“ wszystkie najdziwaczniejsze opowiadania, jakie w starej lub nowej magii znajdują. P. Ochorowicz daje wiarę bez różnicy cudom kapłanów egipskich, o jakich greccy historycy prawią, przypisując je głównie hypnotyzmowi; wierzy również w suggestyę myślną, tj. możność działania samą myślą na drugą osobę w jakiejkolwiek odległości; o lewitacyi, tj. unoszeniu się w powietrzu przedmiotów i osób, przekonał się doświadczalnie. P. Matuszewski widzi w lewitacyi prostą czynność „siły medyumicznej“; uznaje tak zwane „aporty“ rozmaitych przedmiotów; opowiada dużo o nadpowietrznej akrobatyce czarownic, o orgiach szabatów, i zdaje się nie wątpić, że zlatywały

się czarownice na łopatach, byleby nie dyabeł te łopaty nosił, ale — siła medyumiczna! — Słowem, otworzył się, niby pod firmą nauki, nowy magazyn, w którym jest kilka wielkich szuflad, opatrzonych napisami, jak „medyumizm“, „suggestya myślna“, „magnetyzm ludzki“, „eksteryoryzacya“, „ciało dynamiczne“ — i w te szuflady ładuje się wszystko, co się nawinie dziwnego, cudacznego, trochę tajemniczego — nie bardzo pytając o to, z jakich źródeł te szczegóły przychodzą, nie troszcząc się o to, czy są jedne do drugich podobne, czy do tej szuflady więcej niż do innej pasują. Dawniej obawa pozoru nienaukowości ścieśniała skłonność wierzenia do przesady, dziś sam fakt istnienia owych szuflad i szyldów, rozprzestrzenia ją bez granic.

Ale przecież muszą oni mieć jakąś teoryę dla wytłumaczenia tych wszystkich dziwnych rzeczy; odrzuciwszy „dyabła średniowiecznego“, odrzuciwszy też dusze wędrowne dzisiejszych spirytystów, muszą jakieśkolwiek hypotezy na ich miejscu postawić. — Wprawdzie zastrzegają się oni często, że „jeszcze nic o przyczynach nie wiedzą, że dopiero materyał naukowy zbierają“; wszelako pisząc o tych dziwnych zjawiskach, odkrywają raz po raz swoje poglądy na ich przyczyny i na sposób tłumaczenia ich — a brać im tego za złe nie można, bo taka jest rozumu ludzkiego natura, że na poście gołych zjawisk nie wyżyje. Zaznaczyć wszakże trzeba, że te poglądy kierują ich pracą przy zbieraniu materyału, przy jego porządkowaniu, że otrzymały od nich techniczne nazwy, słowem, że pełnią, w całem znaczeniu tego słowa, w ich badaniach funkcye hypotez naukowych. Możemy więc słusznie pytać: czy one i charakter naukowych hypotez mają?

Rzućmy okiem na główne i wspólne im punkta ich poglądów. Odróżniają oni najprzód pewną kategoryę objawów, którą p. Ochorowicz nazywa medyumizmem niższego rzędu, a którą w ogóle słusznie tłumaczą przez przyczyny subjektywne, czyli stany psychiczne podmiotu, bądź naturalne, bądź sztucznie przez drugą osobę wywołane. Do tej kategoryi zaliczają się najprzód zwykłe objawy hypnotyzmu, zależące w zasadzie na tem, że hypnotyzer, uśpiwszy sztucznie drugą osobę, kieruje umiejętnie jej snem, poddając jej wyobrażenia, za pośrednictwem jej

zmysłów; na co ona oddziaływa, w sposób bardzo podobny do tego, co się zdarza w śnie zwykłym, a zwłaszcza w somnambulizmie. Do tej samej kategoryi należy głośny z początku tego wieku „magnetyzm zwierzęcy“, o którym się pokazało, że co do istoty nie różni się od hypnotyzmu: że mianowicie używane przy nim rękoczyny *(les passes)*, nie potrzebują wydzielać fluidu, bo działają wprost na wyobraźnię pacyenta, podobnie jak suggestya, czyli poddawanie myśli, i doprowadzają łatwo do stanu półświadomego, zbliżonego do hypnozy. Do tejże kategoryi należą rozmaite sztuczki, które z początku zdumiewały pozorem magiczności, ale później dały się wytłumaczyć przez bezwiedne ruchy podmiotu, silnie opanowanego pewną myślą. Tu też zalicza p. Ochorowicz wirowanie stolików: bo jak już przed pół wiekiem Chevreuil przypuszczał, a dziś podobno dokładne badania Piotra Janet'a wykazały, jest w tem także sztuczka psychicznego nastroju osób czyniących te doświadczenia. Kiedy takie osoby trzymają przez dłuższy czas z wytężeniem palce wyciągnięte nad stolikiem, i utkwione są w jednej wspólnej idei, musi nastąpić w kończynach pewne zbezczulenie, a zarazem mimowolne w nich skurcze odpowiadają bezwiednie temu, co się w wyobraźni dzieje. Odpowiedzi zaś, jakie się z w y k l e otrzymuje od stolików przez pukania, nietylko nie osłabiają tego tłumaczenia, lecz owszem je potwierdzają: treść bowiem tych odpowiedzi nie przechodzi umysłowego i moralnego poziomu obecnych osób; póki kto pyta o rzeczy, o których obecni wiedzą, lub choć jeden z nich wie, póty odpowiedzi są jasne i prawdziwe; jak tylko pytania przekraczają tę sferę, odpowiedzi są bałamutne, sprzeczne, wśród wielu fałszywych znajdzie się przypadkiem jedna trafna [1].

Mniej szczęśliwie podciąga jeszcze p. Ochorowicz pod tę samą kategoryę „telepatyą“, czyli zdolność odczuwania z daleka

[1] Mimo tego racyonalnego wytłumaczenia illuzyi, tkwiącej w zwykłych objawach wirujących stolików, praktyka ta nie przestaje być moralnie złą: bo kręcenie stolika zmierza do stawiania pytań; pytania zaś nie zmierzają, w myśl osób pytających, do nich samych, tem mniej do stołowych nóg, ale zmierzają do jakiejś istoty rozumnej, mającej przez stolik

myśli. Kiedy hypnotyzer i jego medyum są niedaleko siebie, medyum okazuje często zadziwiającą łatwość poznawania i pełnienia myślnych rozkazów hypnotyzera; ale sam p. Ochorowicz wykazał niegdyś, jak rozmaitemi sposobami, często zupełnie bezwiednemi, taki myślny rozkaz może się zewnątrz objawiać — początkiem gestu, postawą, skurczem twarzy, ruchem ust, oczu — i tak dojść do świadomości medyum, zwłaszcza gdy to medyum jest w stanie hyperestezyi. Nie jest to już w takim razie suggestya czysto myślna, tylko zwykła suggestya w hypnotyzmie i magnetyzmie używana. Ale p. Ochorowicz chce czegoś więcej, mianowicie udzielania się rozkazów czysto myślnych, w jakiejkolwiek odległości (z Paryża do Bordeaux np.), o czem napisał osobną książkę [1]. Gdyby takie udzielanie się było rzeczywistem, to należałoby ono nie do niższego rzędu medyumizmu, lecz do rzędu wyższego, skoro w takim razie siła myśli wychodziłaby daleko poza swój podmiot. Pozwolę sobie jednak szan. autorowi powiedzieć, że w jego książce o suggestyi myślnej, początek, w którym wykłada przeróżne sposoby łudzenia się, jakim się podlega w tych obserwacyach, więcej mi trafił do przekonania, niż dalszy ciąg, w którym opowiada pewne przypadki udzielania myśli, wolne, jego zdaniem, od złudy; wypadków tych jest zresztą za mało, a obserwacya ich nie przedstawia tych znamion ścisłości, jakich się wymaga od naukowych doświadczeń.

Ale już opuśćmy ten „perystyl“ medyumizmu i wejdźmy do ciemnego wnętrza „celi“ tj. do rzeczy, które p. Ochorowicz nazywa medyumizmem wyższego rzędu. W samym progu hierofant każe nam — nie obuwie zdjąć, ale trudniejszej poddać się próbie: każe przypuścić, „że w organizmie ludzkim tkwi siła, mogąca działać poza powierzchnią ciała“, którą nazywa „siłą medyumiczną“. Siła działająca poza powierzchnią ciała — toby

---

odpowiedzieć. Jest więc w tym czynie zarodek nekromancyi. I doświadczenie to stwierdziło, bo jak wyżej mówiłem, bezpośrednio z praktyki kręcenia stolików wywiązała się w połowie tego wieku praktyka wywoływania duchów i cały spirytyzm.

[1] *De la suggestion mentale.* Paris 1889.

jeszcze nic trudnego do przyjęcia nie było; przecież ciepło naszego organizmu promienieje w dal, elektryczność także, światło przezeń odbite, fala głosu przezeń wzbudzona, udzielają się bardzo daleko. Ale szczególna owa siła, którą nam p. Ochorowicz przypuścić każe, różni się bardzo od tych wszystkich: te, wyszedłszy z granic naszego ciała, nie podlegają dalej naszej woli, ale rozchodzą się na wszystkie strony po liniach prostych według praw mechanicznych; siła zaś medyumiczna wyszedłszy z podmiotu używanego za medyum [1], ma dalej kierować się jego wolą, a nie prawami mechaniki; ma dosięgać tych osób, tych przedmiotów, które medyum chce, aportować je, unosić je w górę, bez punktu oparcia. Co więcej, ta dziwna siła ma być zdolną objektywnie się „materyalizować", „kondensować się", okazywać się oczom, nawet dotykowi, to jako tuman, to jako ręka odosobniona, to jako całkowity sobowtór... Wobec tego, określenie tej siły medyumicznej przez możność działania poza powierzchnią ciała, jest bardzo niedostateczne. Uzupełnia je przecież poniekąd p. Ochorowicz, dodając zaraz, że to ta sama siła, „którą nazywają autorowie magnetyzmem zwierzęcym, elektrycznością zwierzęcą, odem i t. d.", to znaczy: siła obejmująca w swem szerokiem łonie wszystkie dziwne skutki, jakie starzy i nowi badacze dziwów, tym przeróżnym przyczynom przypisywali.

A dlaczegoż właściwie mamy tę dziwną siłę przypuścić? — Zmuszać nas do tego mają doświadczenia wyższego medyumizmu. P. Ochorowicz jest głównie, niemal wyłącznie, pod wrażeniem własnych doświadczeń z Eusapią Paladino. Bo też robił tych doświadczeń wiele: jeździł dla badania jej do Medyolanu, sprowadził ją potem do Warszawy, pojechał za nią i do Paryża; w końcu, z gronem zapalonych badaczy, przeniósł się na samotną

---

[1] Dawniej (np. w książce o Suggestyi myślnej i w odczytach o Tajemnicach kapłanów egipskich) tłumaczył p. Ochorowicz wszystkie dziwne objawy przez hypnotyzm i magnetyzm. Później, doszedłszy do objawów, które uznał za wyższe, niedające się inaczej tłumaczyć jak przez tę osobliwą siłę, znajdującą się w niektórych tylko osobach, zwanych od dawna medyami, iż niejako pośredniczą w takich doświadczeniach, cały ten rodzaj objawów nazwał medyumizmem.

wysepkę Roubaud, gdzie w skupieniu, pośród modrych fal Śródziemnego morza, odcinających od zgiełku i roztargnień świata, robiono nad Eusapią doświadczenia przez całe trzy miesiące!

Jak się odbywają te doświadczenia? Zamiast przenosić się na szczyt Brockenbergu, w noc świętej Walpurgi, stawmy się myślą w burżuazyjnym salonie. Na środku pokoju zwyczajny stół; pod ścianą, na kanapie siedzi medyum; koło niej kilku świadków, którzy jej przytrzymują ręce i nogi, dla upewnienia się, że ona się niemi nie posługuje aby wywołać mechanicznie zjawiska, których wszyscy oczekują. Po odpowiednio długiem czekaniu, uczestnicy widzą dziwne rzeczy: różne przedmioty, zwłaszcza lekkie, przesuwają się po stole lub przylatują z głębi pokoju do medyum (aporty); dają się słyszeć po ścianach pukania, dzwonienia; stół w środku pokoju unosi się w powietrzu (lewitacya); niektórzy z tych panów czują jakąś rękę, chwytającą ich za ramię, dotykającą ich twarzy. Kiedy idzie dobrze, zdarza się, że tę rękę w powietrzu widzą. Zdarza się nawet, że samo medyum unosi się o parę cali ponad ziemią — tak że świadkowie mogą przesuwać ręce po ziemi i przekonać się, że medyum ziemi nie dotyka.

Ale te cudowne objawy nie otrzymują się tak łatwo, jak się opowiadają. Trzeba przedewszystkiem, jak świadczą panowie medyumiści, wiele cierpliwości, długiego szeregu posiedzeń i prób nieudanych, zanim się do czegoś przyjdzie. Gdy w tym czasie nowi świadkowie przyłączą się do grona eksperymentujących, to przeszkadza zjawiskom. Potrzeba widocznie, żeby i oni się do tego środowiska dostroili. Dalej potrzeba c i e m n o ś c i. Czują ci panowie, że ten „nieszczęsny, jak mówią, warunek“, rzuca na całą sprawę „pewne niezaufanie“; nie przeczą go jednak (co im się chwali). Zastrzegają wprawdzie, że ta ciemność potrzebna jest głównie z początku (póki świadkowie nie są odpowiednio włożeni), poczem, i przy oświetleniu „dostatecznem“, zjawiska medyumiczne następują; przyznają jednak w ogóle, że ciemność ogromnie sprzyja medyumizmowi, i że tak na początku, jak i pod koniec posiedzeń, „im mniej światła, tem zjawiska występują łatwiej i wyraźniej“.

Wreszcie trzeba biednej ofierze tych doświadczeń wiele wyrozumieć: nawet to, że czasem próbuje oszukiwać — że, gdy trzeba jakiś przedmiot posunąć, wymykają się jej ręce lub nogi z uwięzi rąk świadków — że pochyla się cała ku osobie, którą ma dotknąć cudowną ręką i t. p. — Próbował p. Ochorowicz nie uznawać tych oszukiwań, bronił po rycersku, jak długo mógł, sławy Eusapii. W końcu jednak fakta oszukaństwa były tak jawne, świadkowie ich tak liczni, a zwłaszcza straszliwy pogromca amerykańskich medyów, dr. Hodgson z Nowego Yorku, zjechawszy umyślnie do Europy, tak doskonale wykazał sposoby, jakimi Eusapia oszukiwała — że i p. Ochorowicz dał się przekonać. Ale nie złożył broni. Wymyślił natychmiast zręczną teoryę, która i sławy Eusapii i medyumizmu pozwala mu dalej bronić: mianowicie teoryi o instynktowem oszukiwaniu. Kiedy właściwa medyumiczna siła dla jakiejkolwiek przyczyny nie dopisuje, wtedy u medyum, pod wpływem idei oczekiwanego zjawiska, instynktowo, bezwiednie, ręce uwalniają się od przeszkód i poruszają się — „aby dopomódz naturze“. Więc nawet kiedy się przyłapie medyum na gorącym uczynku oszukaństwa, jeszcze nie trzeba go posądzać o złą wolę, a tem mniej wątpić o prawdziwości reszty medyumicznych zjawisk. — Sprytna ta teorya świadczy niewątpliwie o bezgranicznej dobrotliwości pana Ochorowicza, budzi jednak niejedną wątpliwość, w szczególności tę: czy można podciągnąć pod kategoryę instynktu takie sztuki, jakie wyprawia medyum? Rozumiem, że gdy coś pada w oko, zamyka się odruchowo powieka, gdy coś ukłóje rękę, cofnie się ręka bezwiednie: bo jest w naturze instynkt samoobrony — lecz kiedy medyum usiłuje dotknąć niepostrzeżenie twarzy uczestników dalej siedzących, kiedy próbuje podnieść w górę stół i t. d. — to zdawaćby się mogło, że to nie jest właściwe pole instynktu, lecz przeciwnie, zręczności i przytomności. Ale nie krytykujmy nad miarę; teorya ta, jak powiedziałem, rozbraja swoją poczciwością.

Dodać wreszcie należy, że oprócz tych świeżych doświadczeń na Eusapii i innych podobnych medyach, obrońcy siły medyumicznej powołują się także na całą magię starożytną.

Już w r. 1891 p. Ochorowicz miał odczyty o „tajemnicach kapłanów egipskich“, w których wszystkie niemal cuda tym kapłanom przypisywane, kładł na karb hypnotyzmu. Ale ta pierwsza próba nie była szczęśliwą, jak pisałem w tymże roku w *Przeglądzie*[1]. Opierała się, nie na rodzimych źródłach egiptologii, lecz na powieściach historyków greckich, przez dzisiejszą egiptologię już uśmierconych, a zamiast cośkolwiek tłumaczyć, rzucała przypuszczenia bardzo dowolne. Myślę, że sam p. Ochorowicz nie dałby dziś tych odczytów do druku. Za to rozpisał się szerzej o starej magii, niedawno temu, p. Matuszewski. Właśnie w ostatnich paru latach wydał skrzętny szperacz niemiecki, Karol Kiesewetter, kilka ogromnych tomów, w których mnóstwo szczegółów z dawnych dzieł o magii, z procesów czarownic, z legend o Fauście, z najnowszego też okultyzmu, bez ładu i krytyki (jak p. Matuszewski przyznaje) pozbierał. Otóż w materyale tym upatruje p. Matuszewski rozmaite podobieństwa z dzisiejszym medyumizmem; niektóre z tych czarów pojmuje on, podobnie jak p. Ochorowicz, jako złudzenia subjektywne, lub halucynacye, wywołane u widzów przez suggestye maga; lecz w bardzo wielu razach uznaje on rzeczywistość i objektywność magicznych zjawisk, a przypisuje je sile, która wychodzi z podmiotu i działa „teleplastycznie“, która nawet w pewnych razach się niejako zgęszcza poza podmiotem, „materyalizuje się“, widocznie i dotykalnie. Przestrzega wprawdzie p. Matuszewski, że czarnoksięstwo dalekie jest od tej nieograniczonej łatwości, jaką mu przypisują literackie twory wyobraźni, jak „Wyspa zaczarowana“, albo „Tysiąc i jedna noc“; w rzeczywistości zaś nie bez trudu płodzi swe dziwy, i nie przechodzi pewnych granic. Granice te jednak, jakeśmy widzieli, rozciąga nasz autor bardzo daleko.

Gdybyśmy p. Matuszewskiego przyparli do muru pytaniem: czemu on dziś tak niezmiernie łatwo przypuszcza fakta w czarnoksięskich księgach opisane, z których przed dziesięcioma laty

[1] „Odczyty p. d-ra Ochorowicza o tajemnicach“ i t. d. *Przegląd Powszechny* z lutego 1891, t. XXIX, str. 299.

niewątpliwieby się śmiał – pewnie dotarlibyśmy do tej ostatecznej racyi: że dzisiejsze doświadczenia medyumiczne, szczególnie doświadczenia warszawskie z Eusapią Paladino, w których p. Matuszewski brał także udział, dały mu ten animusz wierzenia w dawne czary. Zapewne i p. Ochorowicz nie dawałby łatwo wiary cudom kapłanów egipskich, gdyby nie doświadczenia hypnotyczne i magnetyczne, którym się podówczas z zapałem oddawał. Ten sam motyw przebija u innych „naukowych“ magii wskrzesicieli. Można więc, sądzę, powiedzieć, że właściwy d o w ó d, który skłania tych wszystkich panów do uznania medyumizmu wyższego rzędu, i nieoddzielnej od niego (jak słusznie p. Ochorowicz twierdzi) siły medyumicznej uzewnętrznionej — nie jest to nic innego, tylko pewna liczba posiedzeń z medyami, w rodzaju tych, któreśmy opisali.

Spróbujmy teraz wybadać od tych panów, co oni sądzą o naturze tej siły medyumicznej? — P. Matuszewski tłumaczy ją sobie jako siłę pierwotnie psychiczną, ale mogącą uzewnętrznić się i nietylko działać mechanicznie poza podmiotem, lecz, jak mówi, „kondensować się“ jakoś i „materyalizować“. W rozdwojeniu jaźni np. — znanem zjawisku, którego psychologiczny mechanizm dosyć zbadany został przez Charcota i Richeta — upatruje on „początkowe stadyum materyalizacyi“. Innemi słowy: Mefistofeles u rzeczywistego Fausta byłby w pierwotnej dobie subjektywną halucynacyą Fausta, a z czasem stałby się objektywnym jego sobowtórem — mocą medyumicznej siły, dotykalnie uzewnętrznionej. Zanim jednak dojdzie materyalizacya do tej perfekcyi, musi przechodzić przez pośrednie stadya, jawić się najprzód jako tuman nieokreślony, potem coraz konkretniejsze przybierać kształty. Szereg fotografij z publikacyi Aksakowa, które p. Matuszewski reprodukuje (str. 180—185), unaocznia nam ten proceder. Jest to, według p. Matuszewskiego, ta sama rzecz, którą spirytyści nazywają *perésprit*, neobudyści „ciałem astralnem“, starożytni sobowtórem; — tylko, chcąc ją przenieść do nauki, trzeba ją tak pojąć, jak się dopiero wyłożyło. — Nieco inaczej tłumaczy nam p. Ochorowicz: punktem wyjścia wszystkich wyższych objawów medyumizmu, mówi on jasno, jest t e-

lekinezya, poruszanie przedmiotów odległych; to zaś każe przypuścić u medyum „rozszczepianie się ręki żywej na materyalną i eteryczną“. To ciało eteryczne, które okultyści nazywają astralnem, a p. Ochorowicz najchętniej nazywa dynamicznem, może się częściowo, a niekiedy całkowicie, odrywać od ciała zwykłego. Kiedy dotykają się widzów ręce niewidzialne, „to nie duchy się dotykają, lecz dynamiczne ręce samego medyum“. A kiedy widać ręce odosobnione w powietrzu, to są te same ręce dynamiczne medyum, do tego stopnia spotęgowane, że się stały widzialnemi. P. Ochorowicz przypuszcza, że to rozszczepienie się dzieje się z trudem i cierpieniem medyum; siła która idzie w ciało dynamiczne, ubywa ciału zwykłemu. Skonstatował on dynamometrem, że nietylko ręce medyum, ale też ręce innych uczestników są po doświadczeniach osłabione, „pomimo że ci ostatni żadnej pracy mięśniowej nie wykonywali“. Skąd wnioskuje, że i z ich siły magnetycznej coś się na te ręce dynamiczne zapożycza.

Taka jest γνῶσις, głąb wiedzy, naszych naukowych medyumistów. Przyznać trzeba, że wobec tych tłumaczeń doznaje się zawodu!

Darmo myślę o tej materyalizacyi siły psychicznej, o tem oddzielającem się ciele dynamicznem; nic więcej zrozumiałego, nic zwłaszcza bardziej naukowego w tem znaleźć nie mogę, jak kiedy mi hierofanci okultyzmu prawią o ucieleśnianiu się duchów i o ciałach astralnych. Oni przynajmniej dają pokój nauce, te zaś teorye czy hypotezy ją wprost zarywają. Wydzielanie się na zewnątrz i materyalizacya siły psychicznej, sprzeciwia się wszystkiemu, co o siłach i stanach psychicznych wiemy. Nawet materyalista powie, że wyobrażenie poza mózgiem być nie może. Owo zaś oddzielanie się dynamicznego ciała od zwykłego przewraca podstawowe nasze pojęcia o ciałach: bo jakżeż pojąć to rozszczepianie się? czy te same atomy są tu i tam — w ciele dynamicznem i w ciele zwykłem — czy też część ich zostaje w ciele zwykłem, a część się oddziela dla tworzenia ciała dynamicznego? Pierwsze sprzeciwia się pewnikowi, że każdy atom ma pewne miejsce w przestrzeni, i nie może przejść na drugie miejsce

bez porzucenia pierwszego. Coby się stało z mechaniką, gdyby ten pewnik upadł? Drugie sprzeciwia się fizyologii, wobec której taka wewnętrzna dezagregacya ciała żywego odebraćby musiała temu ciału, a przynajmniej jednej jego części, warunki życia. P. Ochorowicz nazywa tę część odczepioną ciałem dynamicznem; może on nie myśli o rozszczepieniu materyalnych atomów ciała, tylko samą siłę chce podzielić, i z jej części odłączonej utworzyć „ciało dynamiczne“; ale taki pogląd jeszcze mniejby się mógł utrzymać. Nauka nie zna sił materyalnych bez atomów, bo właśnie punkta zaczepienia sił atomami nazywa. Jeżeli kto, w myśl dynamizmu, tak pojmuje siłę, że ona może bez atomu wędrować, to ten już w pojęcie siły wkłada to, co inni przez atom rozumieją; ale też konsekwentnie innych atomów taki nie przypuszcza; więc i u takiego o rozłączeniu atomów i sił mowy być nie może.

Cóż więc począć? Kiedy te tłumaczenia siły medyumicznej nie godzą się w żaden sposób z nauką, czy może szukać tłumaczeń lepszych? czy pytać Zöllnera o zastosowanie czterowymiarowej przestrzeni, albo Thury'ego o funkcye „psychody“? Próżno szukać! Tłumaczenia zgodnego z nauką tu być nie może, bo się jest poza terenem nauki — bo, jak zaraz zobaczymy, samo przypuszczenie istnienia takiej siły, jak medyumiczna, podkopuje naukę. Prawda, że dziś dokazujemy różnych rzeczy, o których Kartezyuszowi i Newtonowi się nie śniło. Przelatujemy prędzej od wiatrów lądy i morza, w mgnieniu oka rozkazy przesyłamy na drugą półkulę, zaczynamy wznosić się w powietrze... Ale żaden z tych wynalazków nie sprzeciwia się prawom ruchu i ciążenia, które Kartezyusz i Newton zbadali, owszem każdy wynalazek na podstawie tych praw został zrobiony. A taka siła medyumiczna, czy się godzi z temi prawami? Nie w tem oryginalność tej siły, że działa w dal, ale w tem, że działa w dal z pominięciem mechaniki i z właściwą sobie dowolnością [1].

[1] P. Ochorowicz próbuje (mimowoli) wywieść nas w pole, gdy mówi nam, że do przyjęcia siły medyumicznej już pół drogi jest zrobionej, skoro faktem jest magnetyzowanie i odczuwanie przez chorych zbliżającej się ręki hypnotyzera; idzie tylko o to, żeby to działanie, skonstatowane odnośnie do ciał żywych, rozciągnąć na martwe. — Jeżeli faktem jest (co zresztą

Wszystkie ciała, żywe i martwe, w pewnem znaczeniu, działają w dal: ciepłem, światłem, elektrycznością, grawitacyą; ale w tych działaniach pośredniczy środowisko, i one promienieją dokoła, jak mówiliśmy wyżej, po liniach prostych, według mechanicznych praw falowania, bez żadnej dowolności. Dowolność człowieka sięga tak daleko, jak powierzchnia jego ciała. Wola człowieka, będąc aktem najistotniej immanentnym, ma li tylko immanentne skutki: oryentuje myślenie, wywołuje prądy nerwowe, napręża mięśnie, porusza organa. Ruchem organów swego ciała dokazuje wprawdzie człowiek nadzwyczajnych rzeczy na swej planecie; ale i to działanie, gdy poza ciało wychodzi, musi posługiwać się środkami zewnętrznymi, z mechanicznemi ich prawami: np. falą powietrza lub eteru, albo też dźwignią, liną i innemi maszynami. Dowolność więc człowieka kończy się właściwie na granicy jego ciała; poza tem już są tylko mechaniczne skutki, którym wola jego dała początek. Otóż owa mniemana siła medyumiczna to ma szczególnego, że wyszedłszy z ciała medyum, jeszcze kieruje się jego wolą: kiedy medyum chce, żeby stół się podniósł, siła wychodzi z medyum, idzie do stołu w kierunku poziomym, pod stołem zmienia swój kierunek na pionowy, bez żadnego mechanizmu, mocą rozkazu medyum — i stół się podnosi. Kiedy medyum chce, siła ta robi się widzialną, dotykalną, w postaci sobowtóra, w kształcie ręki odosobnionej, jednego widza dotyka, drugiego pomija, i znowu staje się niewidzialną. Wedle tejże woli medyum, siła ta puka, dzwoni, aportuje; nie przyciąga, jak magnes, wszystkich przedmiotów jednego gatunku, ale przynosi te lub owe, choć najdalej położone, według upodobania — podobnie jak doskonale wytresowany pies. A to jest autokineza, samoruchomość, właściwa istotom żywym, usprawiedliwiona właściwą ich strukturą i pierwiastkiem życia·

---

nie jest jeszcze dowiedzionem), że chory, nietylko przez suggestyę, ale przez wpływ fizyczny odczuwa zbliżającą się rękę magnetyzera — to pewnie dlatego, że ta ręka dokoła promienieje, podobnie jak źródło ciepła, albo jak magnes; ale to nie ma nic podobnego do siły medyumicznej z jej autokinetycznym sposobem działania, który niżej omawiamy.

Przeniesienie jej poza ich organizmy jest hypotezą niezgodną z mechaniką, antynaukową [1].

Odrzucili ci panowie *a limine* dyabła „średniowiecznego“ i dusze wędrujące. P. Matuszewski orzekł, szablonową formułką, że to hypotezy „niewytrzymujące obecnie krytyki naukowej“; p. Ochorowicz zbył je twierdzeniem: że „to doktryna nie naukowa, lecz dogmatyczna, tłumacząca fakta niezrozumiałe innymi również niezrozumiałymi“; — ale doprawdy, czy niezbyt się pospieszyli nasi uczeni? czy te przypuszczenia bardziej uchybiają nauce, niż ich własne hypotezy? — Ja, szczerze mówiąc, gdybym wierzył z p. Matuszewskim w zlatywanie się czarownic na szabaty, to już wolałbym przypuścić, że je dyabeł nosi, aniżeli że je nosi „siła medyumiczna skondensowana“. — Bo też pytam bez żartu: co jest nienaukowego w przypuszczeniu duchów? która to nauka dowodzi, i jakim sposobem dowodzi, że dyabeł jest czemś niemożliwem? Czekam odpowiedzi...

Właściwie, istnienie duchów, będąc normalnie poza sferą doświadczenia, jest też poza sferą doświadczalnej nauki. Nauka, w nowożytnem ścisłem znaczeniu, nie mówi o istnieniu duchów ani tak, ani nie — jeno, że o tem nie wie. Każdy prawdziwy uczony zgodzi się na to orzeczenie. — Filozofia znów stwierdza możliwość duchów. Wszyscy więksi filozofowie pojęli Boga jako ducha; prawie wszyscy uznali w duszy ludzkiej istotę duchową, żyć zdolną i po śmierci ciała; wielu z nich, od Platona i Arystotelesa począwszy, przypuściło istnienie innych jeszcze duchów, od duszy ludzkiej wyższych. Pojęcie zaś ducha formuje filozofia nie na wiatr, ale na tle naszej wewnętrznej świadomości, która nam objawia byt myślący. Przez ścisłą i krytyczną analizę tego zjawiska, wyróżnia ona oddzielną istotę myślącą od podkładu ciała — co już jej daje pojęcie ducha. Wreszcie przez elimowanie wszelkich ograniczeń, jakie znajduje w naszym bycie,

[1] W chwili oddania tych kartek do druku, dowiaduję się, że jeden z uczonych, piszących przeciwko temu pseudonaukowemu okultyzmowi, dr. Schneid, w książce *Der neuere Spiritismus,* właśnie ten sam, co ja czyni mu zarzut: że owa siła, nawet po wyjściu z ciała medyum, kieruje się jego wolą. Nie mam już czasu sprawdzić.

myśleniu i chceniu, dochodzi ona do pojęcia ducha absolutnego, Boga. Wobec tego wszystkiego, zbywać tę rzecz rzucaniem słów, jak: „dogmatyzm“, „rzeczy niezrozumiałe“ — jest to budzić podejrzenie, że się tych prac filozofii nie zna. W wielkim byliby kłopocie panowie Ochorowicz, Matuszewski *e tutti quanti*, gdybym ich zapytał: dlaczego duch ma być czemś mniej zrozumiałem dla nas, niż materya?... W rzeczy samej ani jednego, ani drugiego jestestwa nie znamy nawskróś; o duchu jednak coś wiemy przez bezpośrednie doświadczenie wewnętrzne, o świecie zaś materyalnym przez zewnętrzne doświadczenie, pochodne i podlegające, jak wiadomo, złudzeniu. A jeżeli duch wogóle nie jest niezrozumialszym dla nas, niż materya, to o ileż zrozumialszym jest, aniżeli „siła medyumiczna skondensowana“, albo „ciało dynamiczne“?

Religia wreszcie chrześcijańska naucza, zgodnie z filozofią, i bez najmniejszej sprzeczności z nauką, że Bóg jest duchem, że stworzył w człowieku duszę, która nie umiera z ciałem, że wreszcie stworzył duchy bezcielesne, których część obrała dobro, a część zwróciła się ku złemu; te ostatnie nazywamy szatanami. Dusze ludzkie, według tejże nauki wiary, zaraz po wyjściu z ciała zostają osądzone i na nagrodę lub karę wzięte; jest więc rzeczą niedopuszczalną, żeby się wałęsały bez końca po świecie, i żeby na zawołanie spirytystów obracały stoliki i poruszały ekierki. Jeżeli się kiedy dusza nieboszczyka zjawi, to może być tylko faktem wyjątkowym, rodzajem cudu, z przyczyn Boga godnych, a nigdy nie może być w mocy człowieka. Dlatego też spirytyści, chcąc utrzymać swą teoryę o dowolnem wywoływaniu duchów, odstąpili wogóle od chrześcijańskiego dogmatu o rozstrzygnięciu zaraz po śmierci losu dusz ludzkich i wymarzyli sobie, że te dusze, ani w dobrem ani w złem nie utwierdzone, wędrują swobodnie po naszej planecie i po innych także. Jest to konsekwentne, ale tem wyraźniej z nauką chrystyanizmu sprzeczne. — Teorya więc spirytystyczna nie jest w zasadzie antynaukową ani antyfilozoficzną[1] — tylko z nauką wiary niezgodną.

[1] Mówię, że teorya spirystystów nie jest antynaukową, ale praktyki ich są pełne zabobonów i wszelkiego zmysłu krytycznego pozbawione.

Co się tyczy szatana, ten, według tej samej nauki wiary, nie utracił przez swój upadek naturalnej swej mocy; wpływ jego jednak ogranicza się n o r m a l n i e na psychicznej suggestyi (podobnej, jak przypuszczam, psychologicznie do tej, jaką praktykują hypnotyzerzy). Ten jeden, że tak powiem, punkcik oparcia wystarcza szatanowi, aby złemu, jakie się dzieje w świecie, nadawał do pewnego stopnia kierunek i systematycznie je organizował. Magię uważamy za fikcyę — nie dlatego jakoby szatana nie było — ale dlatego, że człowiek nie ma nad szatanem mocy. Magia pojmuje się właściwie jako nauka, a raczej sztuka opanowania, przez pewien system praktyk i formuł, ducha piekielnego i zmuszenia go do rozmaitych posług, jakich czarownik wymaga. Otóż nie da się pomyśleć żaden czyn, żadne słowo ludzkie, któreby mogło mocą swoją, ducha niezawisłego, jakim jest szatan, owładnąć i do czegośkolwiek zmusić. Moc Boża oczywiście może to uczynić; ale magia odwracała się zawsze plecami do Boga i łudziła się wrzekomem badaniem tajemniczych zaklęć, rękoczynów i warzeń, którym przypisywała moc nad dyabłem. Stąd jednak, że nauka albo sztuka czarnoksięska jest niemożliwą, nie wynika, żeby niemożliwe były jakiekolwiek zjawiska szatańskie, przy interwencyi złych ludzi. Człowiek, chciwy złego, może się do tego stopnia moralnie zbliżyć do szatana i jakoby z nim zbratać, że ten zechce zrobić na jego żądanie pewne zjawiska. W takich razach, nie człowiek opanowuje szatana, ale szatan nad człowiekiem panuje; nie mają skuteczności żadne praktyki magiczne, lecz tylko wolna wola szatana, oraz złość ludzka, która złemu duchowi poniekąd moralne środowisko wytwarza.

Jeżeli się jednak takie wkroczenia szatana w sferę zjawiskową zdarzają, to tylko bardzo wyjątkowo i rzadko: bo duchy złe i dobre należą do świata, którego prawem jest być ukrytym dla nas, a prawem świata zjawisk jest toczyć się regularnym łańcuchem przyczynowości mechanicznej. Opatrzność najwyższa może niekiedy dopuścić wyjątki, z przyczyn siebie godnych; nie może pozwolić, aby w mocy człowieka czy szatana było zachwianie tych praw. — Czy dziś, wśród tej rozognionej

epidemii okultyzmu, przy tej grzesznej ciekawości do stosunków z zaświatem, nie zdarzy się czasem żeby który z tych adeptów nauk tajemnych dochodził aż do stosunków z złym duchem — tego nie wiemy. Słyszymy nieraz o faktach, któreby za tem przemawiały — lecz któż te fakta skontroluje? — Atoli tę całą masę okultystycznych praktyk i zjawisk, które się dzisiaj systematycznie na obu półkulach odbywają, kłaść na karb dyabła — byłoby, sądzę, naiwnością, niedopuszczalną wobec określonych co dopiero praw opatrznościowych.

Jakkolwiek więc uważamy hypotezy naukowych okultystów, pp. Ochorowiczów i Matuszewskich, za daleko nieracyonalniejsze i niezgodniejsze z nauką, niż hypotezy spirytystów i czarnoksiężników — zgadzamy się jednak z tymi panami w tem, że zjawisk okultyzmu ani duszom zmarłych, ani w ogóle dyabłu przypisać nie należy.

Więc czemu? jakiej przyczynie je przypiszemy?... Czy nie możnaby ich przypisać poprostu złudzeniu? zakwestyonować ich egzystencyę? — Przedewszystkiem powiedzieć muszę, że ani przez myśl mi nie przechodzi podejrzywać szczerości szanownych autorów, z którymi się rozprawiam. Owszem, w pismach jednego i drugiego wieje taka szczerość i przekonanie, że wątpić nie można, iż tak piszą jak myślą. To jednak nie wyklucza możliwości wkroczeń tak zwanej „wyobraźni dopełniającej", którą sam p. Ochorowicz doskonale omówił na wstępie swej książki o Suggestyi myślnej. Mianowicie, kiedy, przy obserwacyi zjawiska, nie dostrzegamy wyraźnie jakiegoś szczegółu, albo kiedy przy opowiadaniu widzianej rzeczy, jakiegoś szczegółu nam brakuje, zdarza się, że wyobraźnia, całkiem bezwiednie, z własnego zasobu dopełnia ten szczegół — tak dalece, że nie odróżniamy tego, cośmy widzieli lub słyszeli, od wtrąconego szczegółu. Takie wtręty wyobraźni dopełniającej zdarzają się nawet, jak wiadomo, przy obserwacyach astronomicznych; o ile łatwiej zdarzać się mogą przy medyumicznych, gdzie tyle niekorzystnych warunków utrudnia trzymanie wyobraźni w karbach?

A czy w samych zjawiskach medyumicznych niema pierwiastków złudzenia? P. Ochorowicz, podzieliwszy, jak już wiemy, me-

dyumizm na niższy i wyższy — czyli na zjawiska tłumaczące się przez przyczynę podmiotową, i zjawiska wymagające siły wychodzącej z podmiotu — orzeka twardo, rozstrzelonemi literami, że „cały medyumizm niższego rzędu jest bezwiednem oszukiwaniem siebie i drugich“. Zaraz potem zaś dodaje, że rozgraniczenie między tym niższym medyumizmem a wyższym „tylko w teoryi jest ścisłem“, w praktyce zaś jest bardzo zawikłanem przez wtrącanie się oszukaństw niższego rzędu między wyższemi objawami. Mamy więc świadectwo doświadczonego praktyka, jakim jest p. Ochorowicz, że pierwiastki złudzenia i oszukaństwa wtrącają się w cały medyumizm; a któż powie na pewno gdzie jest ich granica?

My medyumizm niższy mniej surowo sądzimy; owszem w nim upatrujemy jedyną dodatnią stronę tych wszystkich badań. Wprawdzie zjawiska tej kategoryi o tyle są oszukańcze, że na pierwszy rzut oka tak wyglądają, jak gdyby od zewnątrz pochodziły. Dlatego też z początku zawsze jakiejś objektywnej potędze przypisywane bywały. Ale powoli doszło się, że właściwa ich przyczyna leży w samym ustroju psychicznym, zdrowym albo chorym, podmiotu ludzkiego. I tu prawdziwe zdobycze nauka zrobiła. Zwłaszcza naukowe badania hypnotyzmu wiele w tej materyi światła przyniosły. Ten sztucznie wywołany sen, podobnie jak sen naturalny, odbiera duszy samowładanie; a odcinając mnóstwo zewnętrznych wrażeń, które na jawie nas rozpraszają, potęguje, także podobnie jak zwykły sen, siłę tych kilku wyobrażeń, które w duszy zostają. A że hypnotyzujący może te wyobrażenia poddawać i przez to całym snem umiejętnie kierować, stąd może on różne psychiczne zjawiska i siły w odosobnieniu i spotęgowaniu obserwować. Sen hypnotyczny pozwala poniekąd robić autopsyę duszy, podobnie, jak chloroform pozwala zaglądać do głębi żywego ciała. Ta autopsya nauczyła nas różnych rzeczy, dotyczących nietylko stanu hypnozy, ale i innych stanów jej pokrewnych, i nawet normalnego stanu człowieka. Dowiedzieliśmy się najprzód, że potęga wyobraźni i jej wpływ na organizm nierównie dalej idą, niżeśmy kiedykolwiek przypuszczali. Dowiedzieliśmy się, że kla-

wiszami a przynajmniej jednym z klawiszów, który tę potężną wyobraźnię, a przez nią inne funkcye, psychiczne i po części fizyologiczne, w ruch wprawia, jest suggestya, która może być przez drugą osobę narzucona, bądź zupełnie bezwiednie, jak w hypnozie (może i w pokusie szatańskiej), bądź na jawie, w sposób czasem niedostrzegalny — i którą też człowiek sam sobie, z większą lub mniejszą świadomością, narzucić może: co nazywamy autosuggestyą. Dowiedzieliśmy się, że w przedziwnym naszym ustroju psychicznym są głębie, na które nie zwracaliśmy dotąd uwagi; że w tych głębiach zarejestrowane są ślady wrażeń, które przed laty przeleciały przez naszą świadomość i poszły w zapomnienie, w pewnych jednak warunkach znowu się wzbudzić mogą i do świadomości powrócić; że przez odosobnienie pewnych wyobrażeń lub funkcyj psychicznych, można te czynności (kosztem innych) spotęgować i do ogromnego doprowadzić nadczulenia, i dziwnie bogate wywołać objawy — nic jednak takiego, coby przechodziło zasób nagromadzony w podmiocie; co więcej, że przez sztuczne rozerwanie tej związki wyobrażeń i wspomnień, która w naszej pamięci identyczność naszej osoby (a raczej identyczność jej stosunków do otoczenia) stanowi, można aż do pozornego rozdwojenia tej osobistości doprowadzić.

Te, i inne pouczające rzeczy, dowodzące że nasz ustrój psychiczny jest dziwnie zasobnym czynnikiem, odsłoniły się najpierw i najwybitniej, jak już wiemy, w badaniach hypnotyzmu; potem spostrzeżono, że te same czynniki, tylko w niższem napięciu i w formie trochę odmiennej, grają rolę i poza hypnozą, w stanach do niej zbliżonych, jak w magnetyzmie, somnambulizmie, w śnie zwykłym, wreszcie i na jawie, tudzież, że pewne choroby nerwowe podatność podmiotu na te wpływy powiększają. W ten sposób rozmaite dziwne objawy, które dawniej przypisywano jakiejś tajemniczej sile w pewnych ludziach i rzeczach mieszkającej i z nich wychodzącej, zaczęły się tłumaczyć przez ustrój psychiczny, a w części i fizyologiczny, podmiotu — czyli, według sposobu mówienia p. Ochorowicza: zaczęły

przechodzić z kategoryi wyższego medyumizmu do kategoryi niższego.

Tak przeszedł magnetyzm zwierzęcy, przeszły i wirujące stoliki, znajomym już nam sposobem. — Przeszły rozmaite, zrazu zdumiewające, sposoby odgadywania myśli, któremi zasłynął osobliwie Cumberland — skoro się pokazało, że podmiot, pod suggestyą tych myśli, zdradza je zwykle mimowolnemi ruchami mięśni. — Przeszło i „pisanie automatyczne“, które kreśli ręka człowieka sama sobie zostawiona, bez kierunku myśli (w czem spirytyści czynność swych duchów upatrują), bo się w końcu przekonano, że człowiek przez dłuższą autosuggestyą doprowadzić może do zerwania świadomego związku między ruchem ręki piszącej, a myślą w głębi jaźni utajoną. — I to przechodzenie po dziś dzień się odbywa. Ot, w czasie kiedy tę rozprawę pisałem, odbywała to przejście sławna różdżka wróżbiarska, *virga divinatoria,* za pomocą której po wsze czasy odnajdywano podziemne źródła wody (czy i kruszce, to inna kwestya). Dzięki mozolnym i na szeroką skalę prowadzonym badaniom W. F. Barrett'a, dopiero ogłoszonym w rocznikach *Society for psychical Research,* wykazało się, że cuda tej różdżki tłumaczą się poprostu (jak było do przewidzenia) przez subjektywne własności samych poszukiwaczy źródeł, szczególnie do tego uzdolnionych *(sourciers).* Podobnie jak osoby cierpiące na reumatyzm, odczuwają niedostrzegalną dla drugich wilgoć atmosfery i przepowiadają przyszłą niepogodę, tak ci źródlarze mają wrodzoną wrażliwość nerwów na blizkość płynącej wody, doznają wobec niej silnych wstrząśnień w całym organizmie; a przez uwagę, ćwiczenie, autosuggestyę, do tego stopnia tę wrażliwość wykształcają, że nietylko mogą ściśle miejsce źródła oznaczyć (tam gdzie najsilniejszych doznają wstrząśnień), ale w przybliżeniu i głębokość, w jakiej się ono znajduje. Różdżka zaś, której tajemniczą moc przypisują, i którą przy badaniach trzymają w ręku, tę im prawdziwą usługę oddaje, że zdradza i pomnaża najmniejsze drgnięcie ich muszkułów i oznacza ich stopniowanie. Krótko mówiąc: dotychczas pojmowano różdżkę wróżbiarską (o ile jej całkiem nie zaprzeczano) jako posiadającą tajemniczą moc przedmio-

tową — zaliczała się więc do medyumizmu wyższego; teraz uznano, że przyczyna tych zjawisk leży w szczególnej wrażliwości nerwowej samych poszukiwaczy wody — sprowadzono więc różdżkę do medyumizmu niższego.

Czemuby, pytam, ten sam pochód nie miał iść dalej? czemu i inne zjawiska, które jeszcze po drugiej stronie granicznego rowu zdają się zostawać, nie miałyby z postępem nauki przejść na tę stronę? — To przypuściwszy, doszlibyśmy od razu do jasnej i racyonalnej konkluzyi: wspólną przyczyną wszystkich zjawisk, za medyumizm uchodzących, byłby podmiot ludzki...

Nie, powie p. Ochorowicz, nie można objektywnej siły medyumicznej kasować, bo jakżeż bez niej takie fakta tłumaczyć, jak lewitacya, aporty i inne podobne? — Odpowiadam na razie: nie wiem, jak tłumaczyć te zjawiska; ale cóż stąd wynika? Czy nie można się spodziewać, że dalszy ciąg badań nad podmiotowemi siłami człowieka jeszcze cośkolwiek wyjaśni? Czy nie można też podejrzywać cośkolwiek — nie mówię, wiarogodności świadków — ale kongruencyi ich wrażeń z tem, co się działo objektywnie? I czy zaraz trzeba uciekać się do takich hypotez, jak siła medyumiczna? Ile razy czytam opisy posiedzeń medyumicznych, tyle razy przypominają mi się widziane niegdyś przedstawienia kuglarzy. Na takich przedstawieniach, zwłaszcza gdy operują zawołani mistrzowie prestydygitacyi, nie brak ani aportów, ani lewitacyi, ani znikania przedmiotów i przenoszenia ich, gdzie się mistrzowi podoba. Każdy, kto na te sztuki patrzył, przyzna, że wogóle nie mógł ich sobie w żaden sposób wytłumaczyć. Nikt jednak nie przypuszcza, że kuglarz posiada jakąś tajemniczą siłę, którą z siebie wydziela, że od jego rąk fizycznych odczepiają się jego ręce astralne... i t. d. Dlaczego? Bo każdy wie, że właściwemi środkami sztuki kuglarskiej są: wielka zgrabność rąk i psychologiczna umiejętność wywodzenia w pole uwagi widzów; te środki zaś wystarczają, aby roztaczać przed nami zadziwiające zjawiska, których sposób powstania zostaje nam ukryty. Dlaczegóż, pytam, gdy siedzimy w sali posiedzeń medyumicznych, mielibyśmy inaczej sądzić zjawiska zupełnie do tamtych podobne? Dlaczegóż taką samą niemożność wytłumaczenia sobie znanemi

środkami tych zjawisk, w jednym razie przypisujemy złudzeniu, w drugim mielibyśmy przypisać sile medyumicznej?...

Ale kuglarze z zawodu oszukują — odpowiedzą medyumiści — a nasze medya są to najszczersze, najprostoduszniejsze stworzenia w świecie. — Ba! Kiedy sto razy przyłapano medya na gorącym uczynku oszukiwania! Wolno p. Ochorowiczowi uważać to oszukiwanie za nieświadome; ale my, którzy chłodno i krytycznie na to wszystko patrzymy, którzy wiemy, że nawet taka figura, jak pani Bławacka, Rosyanka, arcykapłanka neobudyzmu i wyrocznia okultystów obu półkuli, przekonaną została przez Amerykanina Hodgsona o rozmaite oszukaństwa — my, mówię, skłonni jesteśmy podejrzywać w ogóle medya o kunszt kuglarski — na czem jedne zarabiają dosyć pieniędzy, drugie przynajmniej cieszą się tem, że się stają interesującemi i ludziom imponują. Ale, czy świadome czy nieświadome oszukaństwo, rezultat jest ten sam: zawsze pewien element złudzenia wciska się w doświadczenia medyumiczne.

Czy przynajmniej po stronie świadków tych zjawisk, warunki obserwacyi są takie, jakich wymaga naukowe badanie? Temu lat kilka, uczony astronom paryski, p. Janssen, chcąc sprawdzić pewne przypuszczenia swoje o wpływie atmosfery na obserwacye astronomiczne, dostał się na szczyt Mont Blanc; ale wykonał tę ascenzyę w ten sposób, że ani kroku nie zrobił własnemi nogami: wymyślił sztuczną jakąś lektykę, noszoną przez dobrany pluton alpejskich przewodników, a tak powieszoną, że mimo największych spadzistości, po których trzeba się było wspinać, znajdował się w niej zawsze w kierunku pionowym, bez najmniejszego zmęczenia. Dlatego zaś tych zachodów i kosztów nie szczędził, że, jak mówił, każde fizyczne lub moralne utrudzenie naraża naukowe obserwacye na niedokładności. Oto jak mąż nauki pojmuje warunki potrzebne badaczowi, gdy obserwuje. Jeżeli zaś do astronomicznych badań potrzeba wypoczętego umysłu i ciała, to zarówno, jeśli nie *a fortiori*, potrzeba tego do takich badań, jak medyumiczne. A w jakich warunkach, w jakim stanie są ci panowie, gdy obserwują? Przedewszystkiem są strasznie umęczeni, fizycznie i umysłowo. Muszą długo

czekać, wysilać się, walczyć ze złudzeniami, zanim coś wydatnego otrzymają. Sami przyznają, że „ciężki i trudny jest poród“ tych zjawisk. Stąd posiedzenia medyumiczne trwać muszą godzinami, powtarzać się dzień po dniu. P. Ochorowicz i towarzysze trzy całe miesiące na wysepce Roubaud badają Eusapię! Co za wytrwałość! Ale co za umęczenie! Czy nie większe, niż ascenzya na Mont Blanc? Zdaje się tym panom, że ten długi szereg prób na to jest potrzebny, aby wprawić medyum w właściwy stan; o to się tylko troszczą, aby odosobnić to medyum od wpływu i oszukaństw obcych; dlatego w danym razie przenoszą się wraz z medyum na samotną wysepkę. A nie reflektują widocznie nad sobą, nie zdają sobie sprawy, że nerwy swe przemęczają, że wyobraźnię swoją, wciąż ku jednemu wyprężoną, chorobliwie podniecają; słowem, że się bezwiednie trenują do złego obserwowania, i widzenia więcej, niż widzą. — Nie jest to żaden żart, ani też ubliżenie sumienności badaczów, ale tylko skonstatowanie wiadomej podatności wyobraźni ludzkiej na wpływy takich warunków. — Opowiadał mi jeden z naszych misyonarzy ludowych, że był kiedyś posłany dla przywrócenia pokoju w pewnej wsi, gdzie najrozmaitsze zjawiska dyabelskie całą niemal ludność opanowały i zakłóciły. Zważywszy epidemiczność tego objawu, był z góry przekonany, że to nie dyabła sprawa, tylko wyobraźni (o czem też później ludność przekonał). Gdy jednak całemi dniami pracował w konfesyonale i na ambonie, a nocami, zamiast spać, słuchać musiał opowiadań o niestworzonych widziadłach, przyszedł w końcu do takiego zdenerwowania i rozstroju wyobraźni, że sam widział straszydła — choć im nie wierzył, i z ciekawością na sobie samym tę suggestyę środowiska obserwował. — Otóż pytam: czy długi szereg posiedzeń medyumicznych nie może podobnych wywrzeć skutków? Czy się nie musi w nich wytworzyć szczególna atmosfera duchowa, ujemnie wpływająca na wyobraźnię, a pośrednio i na spostrzeżenia zmysłów? P. Matuszewski konstatuje ogólnie potrzebę „wytworzenia podkładu czyli atmosfery psychicznej, która ułatwia i przyspiesza“ tego rodzaju zjawiska. W jaki sposób atmosfera ta wpływa, to uważa on za niezbadane; mnie się zdaje jasnem, że ta psy-

chiczna atmosfera zależy po prostu na psychicznem trenowaniu świadków. Uwaga, którą tenże p. Matuszewski zapisał: że przyłączenie się w ciągu doświadczeń nowych uczestników bardzo utrudnia zjawiska — najzupełniej to potwierdza. Widocznie tego potrzeba, żeby wszyscy byli odpowiednio wymacerowani, zanim zjawiska zrobią na nich wrażenie w rodzaju medyumizmu.

P. Ochorowicz mierzy dynamometrem po posiedzeniu siłę rąk uczestników i konstatuje, że ta siła jest mniejszą niż była przed posiedzeniem, chociaż żadnej pracy fizycznej ci uczestnicy nie wykonali. Stąd wnosi — ktoby wierzył? — że część siły medyumicznej tych panów przeszła w ręce dynamiczne Eusapii. Jak takie przechodzenie siły pojąć mechanicznie, to jest pytanie, którem się p. Ochorowicz nie trapi; ale to mię trochę dziwi, że wpada w coś, co mi zupełnie na błąd fizyologiczny wygląda. Przecież wiadomo, że aby nastąpił skurcz ręki, który się zapisuje na dynamometrze, nie wystarcza, żeby siła muszkularna nagromadzona była w mięśniach, trzeba też, żeby innerwacya tę siłę muszkularną potrąciła niejako i do ruchu pobudziła. Otóż kiedy nerwy są zmęczone, wyczerpane, to pobudzenie będzie słabe i siła mięśni tylko częściowo się objawi. Niech p. Ochorowicz po uważnem oglądaniu galeryi obrazów zmierzy dynamometrem swą siłę, a pewnie znajdzie w niej ubytek. Znam kogoś, co po takiem oglądaniu bywa tak zmęczony, że ani ręką ani nogą ruszyć nie może. W końcu, to mierzenie pana Ochorowicza nie przemawia wprawdzie za ciałem astralnem, ale ściśle dowodzi tego właśnie, o co nam tu idzie: że w doświadczeniach medyumicznych uczestnicy są zmęczeni i wyczerpani — więc źle uzdolnieni do obserwacyi.

Dodajmy do tego ten intrygujący warunek ciemności. Krzywią się, jak widzieliśmy, nasi medyumiści przy tem przyznaniu, jednak poczciwie przyznają, że ciemność gra ogromną rolę w ich doświadczeniach; w początkach jest ona niezbędną, a zawsze jest korzystną, bo zawsze im mniej światła, tem lepiej udają się badania. — Na czem może zależeć to niezaprzeczalne oddziaływanie ciemności na tego rodzaju zjawiska?... Czy na medyum wpływa ciemność, czy na widzów?... O tem sza! Ci panowie, którzy nad

najmniejszym szczegółem się zastanawiają, którzy pamiętają nawet, żeby mierzyć po doświadczeniach swą siłę dynamometrem, na ten niezmiernie ważny warunek nie zwracają jakoś uwagi. — Gdybym brał udział w warszawskich doświadczeniach z Eusapią, przyszłoby mi, sądzę, od razu na myśl, że jeżeli te zjawiska są realne, a przyczyna ich jest, jak twierdzą ci panowie, w osobie medyum, to ciemności o tyle tylko mogą być potrzebne lub korzystne, o ile wpływają na medyum, wcale zaś nie potrzeba, aby ogarniały i widzów, podniecając ich wyobraźnię i utrudniając obserwacyę; a w takim razie trzeba było spróbować pogrążyć medyum w jak największej ciemności — nie poprzestając na tem, że zamróża oczy, zawiązać mu je jak najgrubszą zasłoną — a cały pokój, w którym siedzą widzowie *al giorno* oświecić lampami lub pełnem światłem dnia. Otóż nigdzie nie czytałem, żeby kto tę próbę zrobił. — Póki zaś ta próba nie będzie systematycznie robiona i nie wykaże się, że obserwatorowie w pełnem świetle zostający, jeszcze lepiej widzą te wszystkie zjawiska, niż w ciemności, póty będziemy uprawnieni sądzić, że ciemność przez to tylko się przysłuża, iż utrudnia właściwą obserwacyę i wyobraźni widzów wolniejsze daje pole [1].

Mówi przy końcu swej pracy p. Ochorowicz, że „gdyby nie owa nadzwyczajność tych zjawisk, gdyby chodziło np. tylko o jakieś nowe odkrycie, fizyczne lub chemiczne, to sto razy mniejsza liczba faktów, niż ta, jaką już badacze medyumizmu stwierdzili, wystarczyłaby do przyjęcia ich w nauce". Otóż myli się w tem bardzo p. Ochorowicz. Każde odkrycie w dziedzinie nauki za dni naszych rejestruje się szczegółowo w fachowych pismach, i natychmiast powtarza się wielokrotnie we wszystkich pracowniach tej gałęzi wiedzy poświęconych, po wszystkich pięciu częściach świata. I póki nie uda się wszę-

[1] Zöllner twierdzi, że doświadczenia z Sladem w biały dzień odbywał. Jest to świadectwo niemal wyjątkowe. Ale trzeba też pamiętać, że Slade jest wyjątkowo uzdolnionem medyum. Zresztą od kwestyi ciemności wywody nasze przeciw medyumizmowi nie zależą. Nie samej ciemności ale wielu innym warunkom przypisujemy wadliwość obserwacyi i możliwą niezgodność między objektywnemi faktami a wrażeniami świadków

dzie tego doświadczenia w podanych warunkach powtórzyć, póty nie zalicza go nauka do swoich „zdobyczy“. Nauka więc nietylko robi bardzo wiele doświadczeń, ale robi je i kontroluje je w sposób sobie właściwy. Medyumizmu uznać nie chce, nie dlatego, że on wnosi coś nadzwyczajnego, ale dlatego, że doświadczenia, na których się opiera, są (i z natury rzeczy muszą być) w nienaukowy sposób robione. I dlatego, choćby ich było tysiąc razy więcej, nie zaimponują nauce. Hypnotyzm, mimo nadzwyczajności, jaką w pierwszej chwili zaniepokoił, prędko przyjęty został do nauki, dlatego że się dał badać w sposób naukowy. Doświadczenia, jakie robił Charcot w Paryżu, a Bernhain w Nancy, powtarzały się przy tych samych warunkach w klinikach, w pracowniach naukowych Niemiec, Anglii, Rosyi i Ameryki. Pewne nadzwyczajne objawy, jak telepatya, przypisywane też z początku hypnotyzmowi, nie wytrzymały powszechnej kontroli, nie dały się wszędzie w tych samych warunkach powtarzać, dlatego też nie zostały włączone w naukowy hypnotyzmu dorobek. Uczeni dali im pokój, a pielęgnują je medyumiści. Doświadczenia zaś wyższego medyumizmu, ile razy spróbowane zostały w pracowniach naukowych, pod ścisłą kontrolą ludzi nauce oddanych, tyle razy zawiodły [1]. To też nie próbują już one szczęścia na tej arenie; odbywają się zaś w warunkach, jakeśmy widzieli, obserwacyi naukowej najprzeciwniejszych: w lokalach niedość oświeconych — przy nadmiernem wytężeniu nerwów i wyobraźni świadków — przyczem nie mogą ci ostatni wywołać zjawisk kiedy i jak chcą, ale czekają kiedy i jak im się podoba okazać — postrzegają często, że medyum oszukuje, a nie mogą się upewnić, że nie zdarzają się inne niepostrzeżone oszustwa — konstatują, że złudne objawy niższego medyumizmu plączą się gęsto między objawami uważanemi za wyższe, a nie mogą w praktyce ścisłej między niemi pociągnąć granicy... Wina tych wszystkich niedostatków w doświadczeniu leży nie tyle po stronie badaczy, ile raczej w naturze przedmiotu, który się

[1] „Co to jest hypnotyzm“. *Przegl. Powsz.* 1888, t. xx, str. 153, 319.

inaczej badać nie da; ale to właśnie jest piętnem nienaukowości medyumizmu jako takiego.

Zbliżamy się już do konkluzyi. Odrzuciliśmy siłę medyumiczną, za pomocą której, pod rozmaitemi nazwami, próbowano nam w imieniu nauki wytłumaczyć zjawiska do magii podobne: odrzuciliśmy tę siłę dlatego, że wyłamuje się z praw mechaniki a podlega dowolności podmiotu. Szukając dalej, co może być tych zjawisk przyczyną, zobaczyliśmy najprzód, jak wiele z nich tłumaczyć się może przez psychiczny i fizyologiczny ustrój podmiotu ludzkiego, używanego za medyum; teraz wreszcie przekonaliśmy się, że gra w nich także rolę pewien psychiczny stan świadków, stan rozstroju, który bezwiednie i pomimowolnie naraża ich na złudzenia. Jesteśmy więc ze wszechmiar uprawnieni do wniosku, że tak zwane zjawiska wyższego medyumizmu dadzą się po części sprowadzić do tej samej przyczyny podmiotowej co medyumizm niższy — reszta zaś należy do sfery złudzeń — (nie mówiąc o wypadkach wyjątkowych, gdzie może być interwencya złego ducha). — Wniosek niby negatywny, jednak dla nauki cenny; bo gdyby trzeba było przypuszczać ową siłę medyumiczną, wychodzącą z podmiotu, owe ciała dynamiczne, materyalizacye psychicznych stanów... to na prawdę posady nauki byłyby wstrząśnięte.

Dodatnią stroną tego wniosku jest: że wskazanem dla nauki polem do szukania przyczyn tego rodzaju zjawisk — to jest ta *psyche* nasza, te nieprzebrane i niezgłębione zasoby, jakie Stwórca złożył w ustroju naszym duchowym, a po części fizyologicznym Spirytyści z jednej strony, nasi przyjaciele medyumiści z drugiej, przyjąwszy złe hypotezy, ulegają ich kierownictwu nietylko przy konstrukcyi, ale nawet przy zbieraniu materyału. Wszystko niemal z ich punktu widzenia wydaje im się zarówno możliwem, i przez to tracą zmysł krytyczny w badaniu źródeł i w kontrolowaniu własnych doświadczeń. Nauka zaś badająca podmiot człowieka, ma pod sobą realny grunt i w nim już jakąś znajduje oryentacyę. Widzieliśmy, że jej badania w ostatnich lat dziesiątkach nie mało przyczyniły się do znajomości tego pod-

miotu ludzkiego. Do niego odniosły i aż do pewnego stopnia wytłumaczyły nadzwyczajne objawy, które przeszłym wiekom były nieznane, albo je w osłupienie wprawiały. Ale jeszcze nierównie więcej na tem polu do zbadania pozostaje.

Tyle dla nauki. Dla wszystkich zaś wyłania się ten praktyczny wniosek: że o k u l t y z m jest niezdrowym dla ducha ludzkiego owocem. Podobało się mądrości Bożej odkryć nam ten świat zwierzchny, który widzialnym nazywamy, i oddać go, jak mówi Pismo, badaniom naszym — a świat drugi, który zaświatem zwiemy, dokąd przejść mamy kiedyś i dokąd już nas uprzedziły drogie nam istoty, zakryć przed nami grubą zasłoną. Przez tę zasłonę nie przedostają się zmysły ani żadne w ogóle środki empiryczne; sama tylko wiara ją przenika. Ludzkość jednak, którą tajemnice zaświata w najwyższym stopniu obchodzą, wiecznie kuszona jest chętką nie poprzestawania na wierze, i próbowania empirycznego zetknięcia z zaświatem, odchylania palcami rąbka tej nietykalnej zasłony. A kiedy się jej wydaje, że te próby się wiodą, że z drugiej strony zasłony coś się rusza i na jej macania odpowiada, wtedy już biedna ludzkość całkiem traci głowę. Historya tej grzesznej ciekawości ukrytego świata ciągnie się przez wszystkie misterya starożytności, przez magie wieków nowożytnych; i dziś, po krótkiem stłumieniu, rozbudził się ten szał z szczególną siłą ekspansywną, jaką dzisiejsze środki wymiany myśli dają. Nauka, jedna z wielkich potęg dzisiejszych, spróbowała wkroczyć w tę magiczną dziedzinę; ale i ta interwencya, jak widzieliśmy, nie była szczęśliwą. Jedni z uczonych, jak Crookes, Zöllner, Gibier, stracili na tym grząźkim terenie równowagę, i wpadli w głąb okultyzmu. Drudzy usadzili się, żeby wytłumaczyć magię po uczonemu — i ci doszli poniewolnie do hypotez, podkopujących naukę.

Więc niema co się wdzierać poza ową zasłonę. Badajmy naukowo ten świat — a o drugim świecie wierzmy, co Pan Bóg objawił.

Ks. Maryan Morawski.

ROKOSZ ZEBRZYDOWSKIEGO I JEZUICI.

(Dokończenie).

III.

Kiedy Skarga zastawiał się tak wspaniale o całość i sławę zakonu, zdawał się już chylić do upadku „świętobliwy rokosz“ [1], który, jak zwykle w Polsce, wszystkie z szumem i trzaskiem podjęte przedsięwzięcia, buchnął w połowie sierpnia jak garść słomy płomieniem, a już w połowie września ledwie garść popiołu z niego została. Zwlekło się pod Sandomierz od 6—12 sierpnia jakie 50.000 szlachty konno i zbrojno, koło 20 sierpnia było jej może jeszcze raz tyle. Było to istotnie zjechanie się „kupą“, bez ładu i składu, bez programu akcyi i przewodniej myśli. Sam Zebrzydowski, który jeszcze przed 6-tym sierpnia stanął w Pokrzywnicy, nie wiedział czego właściwie chce i co z tą „kupą“ począć. Wreszcie dnia 12 sierpnia, „kupa“ odbyła pierwsze walne zebranie. Wybrano przez aklamacyę marszałkiem ks. Janusza Radziwiłła i deputatów porządkowych; spisano akt „kapturu czyli konfederacyi“, zawierający 16 artykułów regulaminu rokoszowego. Obok jeneralnej konfederacyi, zawiązały się, jak niósł zwyczaj, konfederacye wojewódzkie, przyczem nie obeszło się bez sporów, przymówek a nawet gróźb, zrywania się do korda; 20 sierpnia ustanowiono sądy kapturowe, które do-

[1] Tak go nazwał w kole rokoszowem wojewoda lubelski, Gabryel Tenczyński.

piero 22 funkcye swe rozpoczęły, i komisyę 12-tu, potem 24-ech, do spisania „utrat“ czyli grawaminów Rzpltej wybrała. Całych więc dwóch tygodni czasu potrzeba było do uorganizowania jako tako rokoszu, i to dzięki energii Stadnickiego, który na wszystkie tony i nuty krzyczał „cnej braci“ w uszy: „ej, mości panowie, nie traćcie czasu darmo, czynić trzeba a czynić nie mówić, bo jeżeli nie dla siebie, ale wżdy dla potomstwa czyńmy to, jako dla nas przodkowie uczynili“ [1]. Oprócz „kupy szlachty“ były i zaciężne wojska z Siedmiogrodu i Węgier, 1.100 przywiódł Herburt, dwa razy tyle Stadnicki z Zebrzydowskim; ten ostatni obrany hetmanem wojsk rokoszowych. Nagabywany ze wszech stron, wołaniami szlachty, aby odkrył wreszcie to „c o ś w i ę c e j“, co wie o praktykach króla z Austryakami na zgubę wolności polskich, wił się jak piskorz. „Powiem i każdemu, tylko niech wiem k t o n a s z, k t o n i e n a s z. Ponieważeście się WM. w kupę zwołali, trzeba pierwej wiedzieć k t o n a s z, k t o n i e n a s z, potem mogę powiedzieć. Niechaj się ci, co odmiany (króla) nie chcą, deklarują a ja się nie będę wzbraniał powiedzieć“. Zrozumiała szlachta, że Zebrzydowski nic więcej o królu nie wie nad to, co i na poprzednich zjazdach powiedział, więc zniecierpliwiona pytała: „po co nas tu zegnano do kupy“? On zaś spychając rewelacye na plan drugi, odpowiadał, że „dla naprawy Rzeczypospolitej“. Wyraźniej nieco tłumaczył się w kole, że chce to dwoje: odsunięcia grożącego *absoluti dominii* i asekuracyi wolności a naprawy egzorbitancyi. Ale jak to dwoje osiągnąć? Partya radykalna Stadnickiego wołała: „chcemy naprawy zmianą pana“ (króla), umiarkowana domagała się, „naprawy bez zmiany pana“, a do tej przychylał się, jak wnosić ze wszystkiego, Zebrzydowski. Nie brakło wreszcie i takich, którzy, jak Janusz książe Ostrogski, na dwóch stołkach siedzieli, mając ochotę zabawić się w rozjemców i pośredników między „kupą“ rokoszową a królem i sejmem; rokosz, o ile przeciw królowi i senatowi powstawał, był im wstrętny, za to zjazd wiślicki „przy królu“ sympatyczny. Przy takiej różnicy zdań rokoszowej

[1] Teka Batowskiego l. 41.

„kupy“, gdy i sam jej herszt oświadczał, „że nie zwykłem nigdy na swym się rozumie sadzić, ale zdaniu WM. sam *applaudo*“ (przyklaskuję), trudno było co mądrego uradzić, co stanowczego uchwalić. Schodził więc na niczem czas drogi sierpniowy, czas żniw, orki i zasiewów; szlachta wykrzyczawszy się, nahałasiwszy dowoli na króla i „na jego złą radę“, niekontenta z Zebrzydowskiego, od którego niczego się nie dowiedziała, głodna zresztą, bo wzięte z domu zapasy się wyczerpały, a cała wzdłuż i wszerz okolica ogołoconą była z żywności dla ludzi i koni, zaczęła się w pierwszych dniach września tłumnie rozjeżdżać do domów. Powstrzymać jej nie było sposobu, zresztą hersztom rokoszu wygodniej było bez tej „kupy“, więc ją rozpuścili bez trudności, żądając tylko, aby województwo każde delegatów swych dla dalszych robót rokoszu zostawiło. Stało się tak, ale tym sposobem rokosz stał się prawie bezbronny, pozostało mu ledwo 3.500 zaciężnych.

Do króla tymczasem pod Wiślicę doprowadzono razem z kwarcianem wojskiem pod hetmanem polnym Żółkiewskim 11.000 bitnego żołnierza. Podczas więc kiedy rokoszanie układali wśród swarów i kłótni *gravamina* i poselstwo z niemi do króla wyprawiali, gorętsi regaliści z marszałkiem Myszkowskim pchali króla do pokonania rokoszu orężem, a był to jedyny sposób: przeciąć żelazem ten wrzód brzydki na ciele Rzeczypospolitej; gdy znów umiarkowani przez wstręt do „wojny bratniej“ radzili straszyć bitwą, ale jej nie staczać. Zebrzydowski też, który przez swoich tentował Żółkiewskiego i wojsko, był przekonany, że kwarciani bić się „z cną bracią“ nie będą. Więc pomimo listu nuncyusza Rangoni z d. 25 września, którym go w imieniu papieża upominał, „ażeby przecie nie doprowadzał do tego, iżby siły zbrojne królestwa, któreby przeciw najzawziętszym nieprzyjaciołom Tatarom, jego i wszystkich zdaniem, obrócone być powinny, zwrócone zostały, czego nie daj Boże, w własne wnętrzności“, pomimo nierównych sił, postanowił stawić czoło wojskom królewskim[1]. Wiemy, że w decydującej

[1] *Archiv. Vatic. Borghesiana,* 1, 230.

chwili, 4 października, pod Janowcem, zuchwały w mowie, nie tęgi w czynie Herburt z hufcem 1.100 swoich, cofając się przed królewskimi, wpław przepłynął Wisłę, i tym sposobem stał się do bitwy nieużyteczny; że hetman rokoszowy, Zebrzydowski z Stadnickim, we 2.000 wojska osaczony z trzech stron od królewskich, z czwartej mając Wisłę za sobą, przez którą dla braku statków i czasu, salwować się nie mógł, szedł ku niechybnej śmierci, ale przemogło u króla wstawienie się umiarkowanych senatorów. Było to miłosierdzie okrutne, sentymentalizm urągający rozumowi, błąd nie do darowania[1]. Zebrzydowski i Radziwiłł przeprosili wrzekomo króla, rozpuścili zaciągi, pisemnie oświadczyli, że „na sejm blizko przyszły, da Pan Bóg, jeśli na nim będziem, bez wojsk i przyjmowania ludzi nad wszystek zwyczaj, *ad pacta consilia* staniemy i o wszech sprawach Rzeczypospolitej życzliwie i wiernie JKM. radzić będziemy“ [2]; ale jeszcze nie przebrzmiało dziękczynne *Te Deum*, które z polecenia biskupów w całej Polsce śpiewano, a już pojawiły się pisma krytykujące ugodę janowską, niektóre wykazujące jej nielegalność, Zebrzydowski polemizował z Myszkow-

[1] Trwano w tym błędzie i po bitwie guzowskiej. Włos z głowy nie spadł uzurpatorom królewskiej i sejmowej władzy, intrygantom na wielką skalę. Za całą zemstę regalistom starczyła satyra na rokoszan, wnet po porażce pod Janowcem obiegająca Polskę całą p. t. *Passio Domini nostri Sigismundi III., Regis Poloniae et Sueciae secundum servum et fidelem subditum Domino suo compatientem.* Naśladując styl i ton ewangelii o Męce Pańskiej, opowiada autor satyry dosyć wiernie i nie bez dowcipu roboty rokoszan, krzywdy króla, podwójną rolę księcia Janusza Ostrogskiego, zdradę Dyabła Stadnickiego, częste poselstwa, pojmanie hersztów rokoszu, naigrawania z nich w obozie, cytacye przed sejm, wreszcie powrót króla do Krakowa. Satyra kończy się: *Qui tot passus est ab ipsis Rokoszanis, Rex pientissime miserere nobis.*

Nie dziwić się senatorom. Sam papież Paweł V., winszując królowi 3 czerwca 1606 r. (trochę przedwcześnie) „poskromienia namiętności burzliwych na sejmie, zachowania godności królewskiej i obrony wiary, radzi z Zebrzydowskim jeszcze niespokojnym“ zażyć tyle wychwalonej łagodności, „pozwól, aby ogień zadusił się własnym popiołem“. (*Mon. Reg. Pol.*, III, 292). Wisiała więc wówczas w powietrzu ta *laudabilis conniventia*, która tolerowała uzurpatorstwo, rozzuchwalała uzurpatorów.

[2] Teka Batowskiego l. 41.

skim, zwalając nań część winy swojej i mentorował senatorów; szlachta krakowska w styczniu 1607 r. obesłała króla zuchwałem pismem; Wielkopolska na samowolnym zjeździe w Kole wydaje 14 lutego podburzający uniwersał, który obiega kraj cały. W wielu województwach szlachta nie pozwoliła na roki ziemskie, bo nie chce uznawać króla, który nie spełnił żądań rokoszu i przyrzeczeń janowskich. Król zwyczajem swoim zwlekał z zwołaniem sejmu [1], tłumacząc zwłokę niezgrabnie, nareszcie przyparty krzykami zjazdu kolskiego, zwołał sejmiki na 27 marca, sejm na 7 maja, a ostrzegał naród przed wichrzycielami, co zwołują zjazdy i mieszają Rzeczpospolitą. Nic to nie pomogło. Drugi samowolny zjazd złożyli Wielkopolanie i Małopolanie w Jędrzejowie w kwietniu, zaprosili nań obydwóch hersztów; przybył tylko Janusz Radziwiłł i długim listem pouczał i upominał króla, w jaki sposób powinien ukontentować naród. Dwa uniwersały z Jędrzejowa 6 i 26 kwietnia wydane, wznowiły sandomierski rokosz z większem jeszcze zuchwalstwem. Nie ufamy królowi — wołała niesforna „kupa“ — bo zwlekał z zwołaniem sejmu, bo o artykułach rokoszowych nic słyszeć nie chce, o wiślickich tylko wspomina; nie ufamy sejmowi, bo ten nieszczerze, pod presyą naszą zwołany, z kreatur królewskich złożony, nieszczerze do naprawy Rzeczypospolitej przystępuje. „My innego celu nie mamy, jeno abyśmy praktykom szkodliwym gruntownie zabieżawszy, a przywiódłszy *tandem* do skutku to, czego przez tyle sejmów otrzymać się nie mogło, koniec tym mieszaninom, suspiciom, nieufnościom i kłótniom domowym uczynili“ [2].

Rzuciwszy uniwersałami płomień rokoszu w Rzeczpospolitą całą, wezwali szlachtę stawić się „kupą“ pod Warszawę

[1] Na to marudztwo króla powszechne narzekania, doszły one aż do kuryi rzymskiej. Kardynał Maciejowski w cyfrowanym liście do kardynała Borghese z dnia 25 lutego 1607 r. pisze: „król jest ociężały *(e tardo)* w zdecydowaniu się, a więcej jeszcze w wykonaniu; nie ma doradców sympatycznych *(grati)* w królestwie, a co gorsza, nie ma sił, gdy przyjdzie do rzeczy“ *(se non lontane)*. (*Archiv. Vat. Borghesiana,* II, 241). Nuncyusze Rangoni i Simonetti w relacyach do kard. Borghese opisali bardzo szczegółowo rokosz. (*Borghesiana,* II).

[2] Teka Batowskiego l. 94.

i „nadsłuchiwać co za pociechę to tam zgromadzenie (sejm) ojczyźnie przyniesie". Sejm otwarto 8 maja. Skarga na kazaniu wprowadziwszy świętego Stanisława nawołującego do zgody braterskiej sam wołał: „Patronie nasz, cudowny Stanisławie, użal się nad narodem twoim, a w tem zamieszaniu i rozterkach tych lat nieszczęśliwych, uproś królestwu temu pokój kościelny, domowy i postronny, aby w nim fałszywe nauki i niezgody upadły, a pobożność wszelaka i ona staropolska uprzejmość i cnota kwitnęła". Król niewidzianym przykładem, opuściwszy salę sejmową i senatowi i Izbie śledztwo i sąd nad sobą, nad swemi praktykami i *absolutum dominium* zostawiwszy, sejmowi powierzył uspokojenie Rzeczypospolitej. Był to nowy błąd, to uznanie supremacyi Rzeczypospolitej nad królewskością w chwili, gdy podczas trwania sejmu, za zgodą samychże naczelników rokoszu, Radziwiłła i Zebrzydowskiego, zwołanego, „kupa" szlachty pod tymże marszałkiem Radziwiłłem, prawa i majestat Rzeczypospolitej sobie uzurpowała. Ale stało się, król zrezygnował chwilowo z swej władzy, więc senat i Izba zapraszają Zebrzydowskiego, który dopiero 20 maja był w drodze do rokoszan, bo dotąd siedział w Zamościu, aby się raczył zjawić w sejmie i przed nim odkrył raz przecie wszystko i jasno, co wie o praktykach króla i *absolutum dominium*, do czego się ugodą janowską zobowiązał, a bez czego uspokojenia Rzeczypospolitej osiągnąć niepodobna. On w długich dwóch listach jął dowodzić sejmowi, że co miał odkryć, to już odkrył, sejm wie to dobrze, niech więc nie nalega o nowe rewelacye, ale niech się szczerze zabierze do naprawy Rzeczypospolitej i znagli króla do wprowadzenia w czyn tego, co w 67 grawaminach rokoszowych podano [1]. Zuchwalej jeszcze poczęli sobie rokoszanie, bo z pod Wąchocka wyprawili posłów na sejm (11 maja) z pismem, redagowanem widocznie przez Stadnickiego, wzywając sejmujące stany, aby razem z rokoszem, nie marnując czasu, nie oglądając się „na cudzoziemskich rad dependencye i ciekawość prakty-

[1] Teka Batowskiego l. 105.

kantów“ [1], zabrali się szczerze do wykonania artykułów sandomierskich, bo te jedne naprawią Rzeczpospolitą [2]. Ale król i sejm trwali, i słusznie, przy tem, że raz przecie wykryte być muszą, owe wrzekome praktyki królewskie, które od tylu lat niepokojąc Rzeczpospolitą, aż do rokoszu doprowadziły. Więc król uniwersałem 28 maja do wszystkich obywateli koronnych ogłosił „Asekuracyę na odkrycie praktyk cudzoziemskich“, wzywając wszech i wobec każdego, aby wszyscy, którzy cokolwiek wiedzą o tych „praktykach“ albo o złe rady do *absolutum dominium* kogokolwiek winią, aby „najdalej do środy (do 5 czerwca) przed osobnym sądem sejmowym się stawili i te rzeczy odkryli. Jeżeliby się kto na ten sąd nie stawił, a „dalej Rzeczpospolitą turbował i ludzi kupił, na tymże sejmie zaraz postąpimy, jakoby Rzeczpospolita koniecznie od takowych mieszanin uchwałą sejmową uspokojoną była“ [3]. Rokoszanie na „asekuracyę“ odpowiedzieli uniwersałem z pod Sieciechowa 30 maja, w którym sąd sejmowy na praktyki zagraniczne i złych doradców nazwali „oczywistem z Rzeczypospolitej szyderstwem... gwałtem żałosnym“; potrzeba więc „kupy i potęgi jak największej stanu rycerskiego do konkludowania już *tandem* tego rokoszu“. Z pod Czerska zaś wyprawili do sejmu posłów z pismem, gdzie „asekuracya“ nazwana *absurdissimum edictum,* a rozłożywszy się obozem pod Żabieńcem, zapraszali sejm do wspólnych narad nad naprawą Rzeczypospolitej przez wprowadzenie w życie artykułów sandomierskich. Sejm tymczasem (od 15 czerwca) wraz z królem obradował dalej i powziął kilkanaście uchwał co do wolnej elekcyi, rezydencyi senatorów przy królu, o cudzoziemcach, zamkach,

[1] Aluzya do regalistów, którzy przypierali do muru Zebrzydowskiego i rokoszan, ażeby przecie raz wyśpiewali te „praktyki“ rakuskie, któremi król do *absolutum dominium* dąży, boć przecie od nich i z nich Zebrzydowski snuć począł swe rokoszowe roboty. Było to bardzo nie na rękę i Zebrzydowskiemu i rokoszanom, bo nic szczególnego a pewnego wykryć i dowieść nie byli w stanie. Więc sprawę „praktyk“ odsuwali na bok, a wołali już tylko o naprawę Rzeczypospolitej przez zaspokojenie 67 grawaminów sandomierskich.

[2] Teka Batowskiego l. 112. *Vol. leg.*, II, 432.

[3] Teka Batowskiego l. 112. *Vol. leg.*, II, 432.

ekonomiach i t. d., które istotnie zadość czyniły główniejszym grawaminom rokoszowym. Widząc jednak rosnące z dniem każdym zbrojne „kupy“ pod Żabieńcem, gdy już i termin sześciotygodniowy wychodził, sejm zamknął prace swoje „konkluzyą“, w której sformułowawszy jaśniej i dokładniej artykuł *de non praestanda obedientia*, znosi i kasuje „teraźniejsze zjazdy, które uciążają Rzeczpospolitą“, rozkazuje, aby rokoszanie „zaraz *arma deponant* (broń złożyli) i z zjazdów i z kup tych do domów się swych rozjechali, a w nich spokojnie żyjąc, kontentowali się prawem pospolitem, rozruchów żadnych nie czyniąc“ i wyznacza przy królu komisyę pacyfikacyjną z 12 senatorów i 24 posłów złożoną [1].

Na tę bardzo umiarkowaną i słuszną „konkluzyę sejmu“, odpowiedzieli rokoszanie „konkluzyą rokoszu“. Dzień 16 czerwca naznaczyli, aby każdy, kto co wie o praktykach króla i o zgubnych radach przed Kołem stanął i śmiele wyjawił. Stawił się Zebrzydowski, który sejmowi odpowiadać nie chciał i stare, zapomniane już z 1592 i 1595 r. wywlekał na króla inkryminacye; pomagali mu Łaszcz, Kazimierski, Herburt. Osobna komisya rokoszowa przejrzała te oskarżenia i wydobyła z nich 10 dowodów, „że król JM. domowemi sposoby na nas idzie, chcąc nam wolność naszą odjąć“, i nimi umotywowała dekret wypowiedzenia posłuszeństwa Zygmuntowi III. czyli detronizacyi. Herburt był referentem. Trudno coś banalniejszego i mniej mądrego znaleźć w historyach detronizacyj, jak to wrzekomo prawne umotywowanie Herburta i komisyi [2].

O Jezuitach, jak w całym tym okresie rokoszu, tak i w referacie Herburta, żadnej wyraźnej wzmianki niema; domagając się ryczałtem wykonania 67 grawaminów sandomirskich, doma-

[1] *Vol. leg.*, II, 452.

[2] Dla próbki rozumu i logiki przytaczam: „Dowód 9-ty. Zabawy domowe króla jakie? Tylko próżnowania. Wielka okazała się jego niedbałość i niebiegłość w sprawach statutów, nieczytanie i nieumiejętność. Król ma się bawić wielkiemi zabawami, albo wojnami, a jako przestanie o tem myśleć i zawiadywać, to zawsze Polacy mniemali, że im wolność chce łamać, a zatem zaraz myśleli o wypowiedzeniu posłuszeństwa“. (Teka Batowskiego l. 111).

gali się tem samem wykonania także 28-go artykułu przeciw Jezuitom. Atoli 10 „dowód zamiaru gwałtownego panowania przez pisma przeciwników i kazania ich publiczne, w których to tylko radzą, aby monarchię postanowić, która najbliższą jest tyrańskwa“, widocznie przymawia ks. Skardze, chociaż go nie wymienia.

„Konkluzya“ rokoszu, rozpoczęta 16 czerwca pod Czerskiem, skończyła się pod Jezierną 24 czerwca ogłoszeniem detronizacyi Zygmunta III. Powtórzywszy wszystkie znane dawno już zarzuty, zwaliwszy wszystkie klęski i niepowodzenia ostatnich lat 20 na króla wyłącznie, uznawszy tego króla za niepoprawnego, oświadczają, że „w takim ostatnim gwałcie, do ostatniej też obrony swobód naszych, do prawa *de non praestanda obedientia* ucieceśmy się musieli i Zygmuntowi III., panu dotąd naszemu, będąc po tak wielu napomnieniach od niej wedle prawa i wolności naszej wolni, posłuszeństwośmy wypowiedzieli, jakoż i teraz tem teraźniejszem pismem wypowiadamy, o dalszych wolnościach za pomocą Bożą radzić chcemy“ [1].

Nie było już czasu na te „rady za pomocą Bożą“. Król bowiem uniwersałami 26 i 28 czerwca, wykazawszy przewrotność i zuchwalstwo rokoszan, wezwawszy raz jeszcze „kupy“ zbrojne do złożenia broni i rozejścia się do domów, ogłosił buntownikami i nieprzyjaciółmi ojczyzny wszystkich, którzy wezwania natychmiast nie usłuchają, siebie oddał w opiekę senatu i rycerstwa, a wszystkich obywateli koronnych upomniał do wierności wybranemu i uznanemu przez senat, rycerstwo i naród

[1] Teka Batowskiego l. 119.

Ogłosiwszy detronizacyę, musieli przecie rokoszanie mieć gotowego do korony kandydata. Otóż jeszcze 1606 r. rozpuścili regaliści wieść, że rokoszanie znoszą się potajemnie z księciem siedmiogrodzkim, srogim kalwinem, Gabryelem Batorym, wieść nie pozbawioną wszelkiej podstawy. W papierach pojmanego w bitwie Herburta znaleziono listy ks. Gabryela Batorego, w których mowa o warunkach, pod którymi gotów polską koronę przyjąć. (Łubieński 132). Zebrzydowski wszelako na radzie rokoszan (20 września 1606 r.) proponował, w razie detronizacyi wybór Piasta, jak to opowiada dobrze poinformowany Wielewicki. (II, 214). Szujski domyśla się, że rokoszanie forytowali zrazu na tron polski Dymitra Samozwańca, który, jak wiemy, przebąkiwał, że stutysięczną armię, którą ma gotową na Tatarów,

królowi [1]. Poparł króla prymas kardynał Maciejowski, uniwersałem z 28 czerwca, podobnym treścią do królewskiego, „oświadczając się ojczyźnie, WM. braci swej i potomnym czasom, że przy władzy, zwierzchności i dostojeństwie Króla JM., pana mego, oddając mu zwykłe i wierne poddaństwo, przy prawach i wolnościach, którym się gwałt za takim postępkiem (detronizacyą) dzieje, z drugimi Ichmościami całe stoję i opowiadam się“ [2].

Z prymasem stało przy królu jak mąż jeden 40 senatorów, stali hetmani Żółkiewski i Chodkiewicz z wojskami Rzeczypospolitej, przyzwani przez króla jeszcze przed rozpoczęciem sejmu, zostawiając niestety południowe i zachodnio-północne kresy ogołocone z obrony; stały liczne poczty zbrojnych, które przywiedli wierni królowi panowie. Uchwalono na radzie królewskiej nie czekać, aż się większe „kupy cnej braci“ zgromadzą pod Jezierną, jeno natychmiast wrzód od lat prawie 20 nabierający przeciąć ostrzem miecza. Zebrzydowski zamiast „radzić o wolnościach“, musiał rad nie rad „sprawiać szyki bojowe“, a tu go „pomoc Boża“ zawiodła, zawiedli podkomendni jego, najwięksi krzykacze, Łaszcz i Herburt. W bratobójczej bitwie dnia 5 lipca pod Guzowem, guz rokoszowy przecięty, rana jego jednak ropiała jeszcze długo, zabliźniła się dopiero w lutym 1609 r. na sejmie pacyfikacyjnym powszechną amnestyą [3].

„może gdzieindziej“ obróci. Śmierć Dymitra popsuła szyki, ale cofnąć się już było zapóźno. (Hist. pol. w skróceniu, str. 242, 243). To pewna, że obiegała po kraju wieść, że Dymitr 100.000 rubli przysłał Zebrzydowskiemu na zaciągi wojska rokoszowego. (Łubieński, 72). Zdaje się jednak, że oprócz szaleńca Stadnickiego i jego nie tak znów licznych zwolenników, ogół rokoszan i sam Zebrzydowski aż do czerwca 1607 r. nie myśleli na seryo o detronizacyi, a nawet ogłosiwszy ją, nie wierzyli, aby ją wykonać mieli, tak jak nie wierzyli, że wojsko kwarciane bić się z nimi będzie. Nastraszyć chcieli króla, rozumiejąc niemądrze, że się on nastraszyć da. Szczypty rozumu politycznego u rokoszan trudno znaleźć, a jednak oni znaleźli apologetę swego w demokratycznym historyku Schmitcie.

[1] Teka Batowskiego l. 119.

[2] Tamże, l. 122.

[3] Po przegranej guzowskiej, Zebrzydowski zebrał znaczne zawsze jeszcze niedobitki i trzymał pod bronią aż do maja 1608 r., sam zaś rezy-

Przez całe dwa lata rokoszu, od 24 czerwca 1606 r. do 9 czerwca 1608, tak jak w całej Polsce z rozporządzenia biskupów, odbywały się publiczne suplikacye, pobożne do miejsc cudownych, zwłaszcza do Częstochowy, pielgrzymki, tak z ordynacyi prowincyała Strivera we wszystkich kościołach, domowych kaplicach jezuickich odprawiano ekspiacyjne nabożeństwa 40-godzinne i inne procesye pokutnicze, zakończone biczowaniem; przez sierpień zaś i wrzesień 1606 r. przepisany był wszystkim trzechrazowy post co tydzień i inne umartwienia, a suplikacye

---

dował w obronnym Zamościu (jako opiekun młodego Tomasza Zamojskiego) i rozpisywał stamtąd listy do wielu senatorów, radząc się, ażali ma przyjąć warunki przeproszenia, podane przez króla, i pokutę za rokosz. Trwały te targi całą jesień i zimę. Senatorowie nakłaniali króla do łagodności, książe Ostrogski, kasztelan krakowski tak wyraźnie stawał w obronie rokoszu i Zebrzydowskiego, że aż król przypomnieć mu musiał obowiązki pierwszego senatora. Żółkiewski znów obrabiał Zebrzydowskiego, aby się nie certował, jeno króla przeprosił, bo na wiosnę nowa wojna domowa wybuchnie. Tymczasem uganiały się za rokoszanami wojska Żółkiewskiego. W jednej takiej potyczce Herburt pojmany, osadzony w więzieniu, wyszedł z niego dopiero w maju 1608 r., przeprosiwszy bardzo pokornie króla za swe „złości i uniesienia". Szlachta też rokoszowa po wielu miejscach zwoływała zjazdy. Na Litwie ks. Janusz Radziwiłł otoczył się zbrojnym ludem i ciągle swe poczty pomnażał pod pozorem, że niechętny mu Chodkiewicz na wolność jego nastaje i w „sieci łowi". Po długiem ociąganiu się, król nareszcie zwołał radę senatu w maju 1608 r. do Krakowa. Ta ułożyła łagodniejsze punkta przeproszenia Zebrzydowskiemu i zawezwała go do aktu przeprosin na dzień 16 maja. Złamany dwuletnią gorączkową agitacyą, klęską guzowską, upokorzeniem i chorobą, zwlókł się z łóżka i z Zamościa stawił się w Krakowie przed królem i senatem. Przeprosiwszy pierw senatorów, przepraszał według przepisanej sobie roty króla. Ten, dawszy mu przez kanclerza Pstrokońskiego w grzecznej formie zasłużoną admonicyę, oznajmił mu przebaczenie i przypuścił do ucałowania ręki. Za Zebrzydowskim przepraszali króla powoli inni hersztowie rokoszu. Także Janusz Radziwiłł za wdaniem się senatu, listownie prosił i otrzymał przebaczenie królewskie. Król uniwersałem z dnia 9 cerwca 1608 r. obwieściwszy przyjęcie do łaski Zebrzydowskiego, przyrzeka tąż łaskę przebaczenia wszystkim rokoszanom, którzy o nią poproszą, przeciw upornym zaś i niepokojącym zaciągami i zjazdami Rzeczpospolitą, grozi całym rygorem prawa. Dopiero jednak na lutowym sejmie 1609 r. nastąpiła, na prośbę senatu, powszechna amnestya i uspokojenie Rzeczypospolitej potrzebne do prowadzenia wojny z Moskwą. (Łubieński, *De motu civ.*, lib. III. i IV.).

Podziwiano w kraju i za granicą łaskawość i łagodność króla, ale nie chwalono. Ćwierćwiekowe dalsze panowanie Zygmunta nie przywróciło

w niedziele i święta „na odwrócenie nieszczęść od Rzeczypospolitej, od króla JM. i od zakonu". Podczas samej bitwy guzowskiej, na początku której król znajdował się w rzeczywistem niebezpieczeństwie i zwycięstwo przechylało się na stronę rokoszan, kapelan obozowy królewski, O. Bartcz, ofiarował króla do Matki Boskiej Częstochowskiej. Król, dowiedziawszy się o tym ślubie, przyjął go chętnie i odbył *ex voto* pobożną pielgrzymkę do Częstochowy [1].

---

królewskości tej władzy, powagi i poszanowania, którą sponiewierał, osłabił i z której ją odarł rokosz. Błędy i wady Zygmunta: odsunięcie Zamojskiego, kunktatorstwo, brak decyzyi, wysuwanie bezpotrzebne naprzód senatu, które tylko podsycało oligarchiczne instynkta, paktyzowanie z rokoszanami, których od razu należało ogłosić za buntowników i nieprzyjaciół ojczyzny i orężem ścigać, przyczyniły się bezwątpienia do rozwinięcia się i prawie dwuletniego trwania rokoszu. Niektóre żądania czyli *gravamina* rokoszan były przecie słuszne, sejm 1606 r. przedłożył ich 23 królowi, te należało bez zwłoki zaspokoić, ale równocześnie zwołujących zjazdy bez zwłoki i to przykładnie ukarać. Król jednak upierał się, słuszności tych niektórych grawaminów nie uznawał, uznawszy wreszcie, z wykonaniem zwlekał, a za to herszta rokoszu traktował jakby legalną udzielną potęgę. Nawet po niesłychanem zuchwalstwie detronizacyi, po pokonaniu go w wojnie domowej, jednego starostwa mu nie odebrał. To nie łagodność ale słabość, nie łaskawość, ale bezkarność. Królowi pomagał w tem senat, z wyjątkiem może Myszkowskiego.

Od czasów rokoszu szlachta nauczyła się najzgubniejsze prawo wolnej elekcyi *viritim*, jednomyślności w uchwałach sejmowych, artykułu *de non praestanda obedientia* wtenczas, gdy dokoła dziedziczne monarchie się formowały, uważać za „źrenicę oka". „Tylko naiwność szlachecka wyrobiła mistyczny kult konstytucyi polskiej" i nie pozwoliła przez 150 lat tknąć jej; zabrała się dopiero do jej rewizyi, kiedy było już za późno, a Zebrzydowski był pierwszym możnowładcą, który do swej osoby, swych ambicyj i interesów, pod płaszczykiem wolności Rzeczypospolitej, przywiązał tłumy szlachty i wodził je, dokąd mu się podobało. Gdyby był chciał, na wiosnę 1608 r. mielibyśmy drugą wojnę domową. Zaprzysiągłszy on i Herburt (ten 20 maja 1608 przed grobem św. Stanisława) obietnicę, że nigdy Rzeczypospolitej nie zakłócą, dochowali przysięgi: Zebrzydowski oddał się dewocyi, wybudował Kalwaryę, kościół farny i udotował kilka szpitali, Herburt założył w Dobromilu drukarnię, w której pod kierunkiem Jana Szeligi od r. 1611—1616 drukował dzieła historyków polskich i udotował tamże klasztór bazyliański 1613 r., acz zawsze w nim pokutowały „rokoszowe humory".

[1] Wielewicki, II, 166, 179, 243. Królowa Konstancya, oprócz wielu nabożeństw w Krakowie, zamówiła mszę św. przez cały kwartał w Często-

Szukając ratunku u Boga, nie zaniedbali Jezuici szukać pomocy u ludzi. Połatać trzeba było nadszarpane dobre stosunki z dawnym zakonu dobrodziejem, Zebrzydowskim. Miał on jeszcze zawsze wielki mir u swoich, zbliżał się sejm 1607 r., w którym on będzie miał ważne słowo do powiedzenia, wzajemne będą partyj ustępstwa i kompromisy, zachodziła więc obawa, że dla miłej zgody padną ofiarą Jezuici, jeżeli nie wszyscy, to częściowo. Bądź co bądź należało wybadać, jakie jest obecne usposobienie potężnego jeszcze herszta rokoszu dla zakonu. Z porady więc Barbary Zamojskiej, wdowy po hetmanie, wielkiej zakonu protektorki, wystosował prowincyał Striveri w lutym, czy też z początkiem marca, list do Zebrzydowskiego w Zamościu, polecając mu zakon, okazując mu współczucie, że w tak burzliwych czasach tyle wycierpieć musi, ofiarując modlitwy zakonu, aby Bóg tym zaburzeniom raz koniec położył. List ten, poczciwiej niż mądrze pomyślany, nie podobał się Zebrzydowskiemu. Uważał go za delikatne potępienie swych robót i był on niem istotnie, wiedział zresztą, że Skarga, a z nim inni Jezuici, głośno rokosz potępiali i jego czyny ganili. Odpisał więc 14 marca 1607 r. z Zamościa; dziękując za afekt, upewnia, że: „zawsze wysoko zakon ceniłem i spodziewałem się, dzięki temu, szczególniejszej jakiejś u Boga zasługi. Czy jednak dobrze lub źle mi odpłacono, niech osądzą inni. Nie robiłem nic nieopatrznie, lecz cokolwiekbądź się stało, sądzę, że z obowiązku senatorskiego się zdziałało. A jeżeli Ojcom nie tak się to być zdało, jako mnie, to zaiste albo przez wzgląd na moje jakie takie zasługi, albo tylko z chrześcijańskiego obowiązku powinniby byli mnie zainterpelować. Bądź co bądź, to co do uszu moich doszło, nie zachwiało mego animuszu. Dwa dobrodziejstwa z tego jednego czynu Ojców przewidziałem, że mogą spłynąć na mnie“: niewinność jego pokrzywdzona wyjdzie jaśniejszą, cierpliwość jego, z jaką niewdzięczności ludzkie znosi, większą u Boga będzie mieć zasługę. „I właśnie dwie te rzeczy dodają mi jeszcze ducha

chowie, a po zwycięstwie guzowskiem, spowiednika swego, O. Fredlera, wyprawiła do tegoż miejsca, aby przez ośm dni msze św. dziękczynne przed ołtarzem Matki Boskiej odprawiał. Tamże 245.

do coraz większego poważania zakonu“ [1]. Od Zebrzydowskiego więc nie było się czego obawiać.

Ujął się też i papież Paweł V. za pokrzywdzonymi przez rokoszan na sławie, zagrożonymi na mieniu i wolności Jezuitami. Przewidując, że na sejmie majowym 1607 r. przyjdą pod obrady artykuły rokoszowe, a więc i ów groźny 28-my, co się też i stało, obawiali się oni, aby nie został zamieniony w uchwałę sejmową. Jednali sobie więc wcześnie obrońców w senacie i między gorętszymi katolikami-posłami, a na króla, chociaż o jego życzliwości nie wątpili, ale dla nadania mu bodźca, użyli orędownictwa papieża. Jakoż na prośby jenerała i samychże polskich Ojców przez nuncyusza zaniesione, Paweł V. wystosował do Zygmunta brewe pod datą 1 czerwca 1607 roku. „Jak wielką korzyść sprawie katolickiej w obszernem twem królestwie OO. Towarzystwa Jezusowego przynoszą, wie to dobrze WKM., i my, którzy codziennie doświadczamy zbawiennej ich pomocy w staraniu się o chwałę Bożą i zbawienie bliźnich, łatwo to odgadujemy. Więc też bardzo zaniepokojeni jesteśmy, słysząc, że jest obawa, aby na przyszłym sejmie przeciw nim nie wystąpili wrogowie wiary katolickiej i publicznej spokojności... Upominamy więc usilnie i skutecznie domagamy się u WKM., abyś opiekę ich i obronę, którąbyś dobrowolnie i ochotnie sam podjął, tem ochotniej na prośby nasze na się przyjął... W tej samej sprawie obszerniej pomówi z WKM. nuncyusz nasz apostolski“ [2].

Gdy ten list doszedł rąk królewskich, sprawa Jezuitów była już ubita na sejmie. Rozbierano na nim, za zgodą regalistów i rokoszan, artykuły sandomierskie. W samą porę, w kwietniu 1607 r., puścił Skarga w świat swoją „Próbę Societatis Iesu“; czytało ją wielu posłów. Więc gdy 28 maja znany artykuł 28-my wniesiono na stół, odezwały się dość liczne głosy: „nie

---

[1] Wielewicki, II, 236.

[2] Theiner, *Mon. Reg. Pol.*, III, 295. Podobnej treści brewia posłał Paweł V. do kard. Maciejowskiego i innych osób. Nuncyuszowi polecił, aby im i królowi wykazał jasno, jak papież troszczy się o ten zakon, przypomniał usługi, jakie spełniał i spełnia dla królestwa, i niedozwalali go prześladować. (*Nunc. di Pol.*, vol. 173).

czytać tego bezecnego artykułu, nie czytać"; przemogły jednak głosy przeciwne. Przeczytano, otwarto dyskusyę, nikt nie zabierał głosu. Podniósł się wreszcie Gorajski i oświadczywszy, że członkiem był deputacyi 24-ech, która układała jak inne, tak i ten artykuł, więc wie na pewno, że nie ewangelicy, ale katolicy są jego autorami, wnosił stąd, że niepodobna, ażeby bez bardzo słusznych powodów przeciw swym własnym kapłanom w ten sposób powstawali; za najgłówniejszy zaś powód podawał ten, że Jezuici mięszają się do spraw publicznych Rzeczypospolitej. Odpowie na to Jędrzej Stadnicki najprzód wielkiemi pochwałami na zakon, a potem zwracając się do Gorajskiego: „prawda, katolicy układali artykuł 28-my, ale też i to prawda, że zaprotestowali przeciw temu od razu deputaci wielu województw". Wmięszało się w dyskusyę kilku magnatów i dalejże przytaczać szereg argumentów w obronie i na pochwałę zakonu. Odezwał się wreszcie marszałek sejmu, Feliks Kryski, prawnik nielada, bo referendarz w. k., i reasumując pierwszą sentencyę Gorajskiego, który sam oświadczył, „jako ewangelicy nie byli autorami 28-go artykułu", zakonkludował: ponieważ i katolicy, jak z obecnej dyskusyi widzimy, nic przeciw nim nie mają, przeto artykuł 28-my upada. Nastała chwila ciszy i milczenia; przerwał ją jeden z posłów ziemskich (prawdopodobnie chełmiński) i w imieniu swego województwa wniósł projekt do uchwały sejmowej, któraby Jezuitów w Toruniu i innych miastach pruskich, gdzie zostali wypędzeni lub poszkodowani, do dawnego stanu jak najprędzej przywróciła. Heretycy, zaskoczeni tym wnioskiem, chcąc zresztą być konsekwentni, wstrzymali się od wotowania, katolicy zaś oświadczyli się zgodnie za wnioskiem. Okrutna stąd radość w obozie licznych przyjaciół zakonu; przybiegali do rezydencyi warszawskiej, do Ojców nadwornych, winszując tak znakomitej rehabilitacyi zakonu przez sejmujące stany. Takiego obrotu sprawy nie spodziewali się różnowiercy, strawić nie mogli upokorzenia, jakie własną swą taktyką sobie zgotowali.

Nazajutrz 29 maja w senacie marszałek w. lit., Dorohostajski, kalwin, wniósł artykuł 28-my pod obrady, powstawał głównie na niesłychaną lekkomyślność, z jaką Jezuici u dworu

mięszają się do spraw publicznych. Zapyta go grzecznie kanclerz Pstrokoński: który to Jezuita i do jakiej to mianowicie sprawy publicznej mięszał się lekkomyślnie czy poważnie, bo ten szczegół nie zmienia rzeczy? Dorohostajski nie dał odpowiedzi, i tem zbił sam siebie. Za to kilku senatorów, a zwłaszcza znany nam już wojewoda poznański, Hieronim Gostomski, mając gotowe argumenta w „Kazaniu wiślickiem“ i „Próbie zakonu“ Skargi, wykazali bezpodstawność tego ulubionego rokoszan i dyssydentów zarzutu. Artykuł 28-my upadł niepowrotnie, za to stanęła konstytucya, przywracająca Jezuitów do Torunia i miast pruskich [1].

Tak przeszumiała szczęśliwie nad głowami Jezuitów burza rokoszowa. Nietylko nie zachwiała zakonem, ale go umocniła w Polsce. Słusznie uspakajał Skarga jenerała: „dobrze tu od Boga zasadzony zakon i użyźniony“. Wszyscy zwolennicy królewskiej władzy i ładu i porządku stanęli po stronie zakonu; dawni przyjaciele zszeregowali się bliżej nich, nie już jednostki, ale zjazd cały wiślicki i sejm wziął ich w obronę, obojętni zainteresowali się nimi, a „Kazanie wiślickie“ i „Próba Societatis“ Skargi, dozwoliła im głębiej wglądnąć w ducha i właściwości zakonu. Nietylko ani jednego domu nie zamknięto, ale przywrócić kazano do dawnych, otwarto nowe. Jezuitom artykuł sandomierski posłużył za przestrogę, aby jeszcze ostrożniej postępowali, jeszcze ściślej dekreta kongregacyi V. i ordynacye Akwawiwy zachowywali.

Najgorzej na rokoszu wyszli różnowiercy. Ostatnia to była przystań dla nich, z której wymierzyli ostatni atak na Kościół katolicki. Atak chybił na całej linii, okazała się bezsilność różnowierstwa, iż ono już jest nieznaczną fakcyą, niemającą punktu oparcia w kraju, szukającą go w Siedmiogrodzie u Gabryela Batorego. Pokazało się, że oprócz hetmana w. lit., Krzysztowa Radziwiłła i Janusza Radziwiłła na Litwie, oprócz Rafała Leszczyńskiego i Grudzińskiego w Wielkopolsce, kalwini i lutrzy, do niedawna tak liczni i butni, przewódców i patronów więcej nie

[1] Wielewicki, II, 244, 245. — *Vol. leg.*, Restytucya *expulsionis Patrum S. I.* do kościoła i szkoły toruńskiej.

mają, a przy rokoszu wytrwali do końca oprócz katolika Zebrzydowskiego, dwaj tylko heretycy senatorowie, ks. Janusz Radziwiłł i kasztelan parnawski, Stabrowski, inni wycofali się wcześnie, pozostali tylko *dii minorum gentium*, jak Stadnicki, Herburt, Łaszcz, ostatni trybuni-krzykacze różnowierstwa. Odtąd ono nie „walczy“ z Jezuitami, ale próbuje obrony bezsilnej, jak to na pobojowisku po walnej przegranej bywa, gdzie jeszcze tu i tam gromadki niedobitków kupią się, animują, próbują stawić opór zwycięskiemu nieprzyjacielowi — i giną. Uwolniony od wstępnego boju z różnowierstwem zakon, odkomenderowawszy z pośród siebie drobne oddziały na pościg i zniesienie zwyciężonych, główne swe siły obrócił na spokojną, dobrze uorganizowaną pracę nad skonsolidowaniem żywiołów katolickich i spotęgowaniem życia religijnego w narodzie.

Ks. St. Załęski.

MALARZ CZECHOWICZ.

Studyum na podstawie dzieł jego krakowskich.

Rzecz dziwna, że nikt z piszących o Czechowiczu, nie podniósł jednego bardzo dla artysty i wieku, w którym żył, charakterystycznego rysu: twórczości jego niemal wyłącznej na polu religijnego malarstwa, o którem wiek XVIII. zdał się zupełnie zapomnieć, swą uwagę zwracając raczej na pasterskie sielanki, na te *fêtes champêtres,* lub na wytworne wnętrza pałaców. — Pierwiastek religijny ustępuje miejsca światowemu, a jeśli malują się obrazy religijne, to na prawdę rzadko na nazwę tę zasługują. Są one religijne może tylko z tytułu, nie z ducha, którego przecież moda wygnać się starała — czasem wygnała. To też, gdy na tle takiego ducha wieku, zjawia się artysta malujący rzeczy religijne z głębokiego swego przekonania, z całą szczerością, z religijnem prawdziwie uczuciem, taki nie może niestety liczyć na poklask ogólny, mniej jeszcze na poklask dworu. Ale byłoby już bardzo źle, gdyby nie miał choć szczupłego kółka zwolenników. Na szczęście i w wiekach o przerafinowanej kulturze i szerokiem zepsuciu, obok jego adeptów, są i inni, lepszą wybierający cząstkę, w których żyją i dawna wiara i dawne, zdrowe obyczaje przodków. Do tych ostatnich przemówi obraz religijny, natchniony rzeczywiście religią.

Czy potrzeba dodać, że mam tu na myśli Czechowicza, artystę, którego dopiero dzisiaj oceniamy sprawiedliwie? Tak

uznajemy w nim niepospolitego malarza religijnego; wówczas uchodził on za takiego tylko w oczach przyjaciół i zakonników, w opinii niewielu tylko malarzy, jak np. tego Jana Albertrandi'ego, który w miłej zachowuje go pamięci, w wierszu swym „o malarstwie“ [1]: „Jakoż Ty Czechowiczu! coś świeżo celował, Żyjąc dotąd w pamięci uczniów, coś wychował“. Dla reszty społeczeństwa polskiego XVIII. w., właśnie dla tego wybitnie religijnego rysu, był kierunek Czechowicza mniej sympatycznym, mniej zrozumiałym. Do uczuć i wyobraźni publiczności przemawiały o wiele bardziej francuskie sielanki lub sceny z Olimpu, i stąd Czechowicz, któremu talentu zaprzeczyć nie można było, miał w XVIII. wieku w Polsce poza szczupłem tylko gronem swych wielbicieli, *un succès d'estime*.

Miał jednak i przyjaciół. O jednym już wspomniałem; jakiś inny, ukrywający się pod pseudonimem Quercinus, nie znawca sztuki, bo obok Czechowicza stawia tak miernego, jak Stachowicz, ale ją odczuwający, taki Czechowiczowi (i wraz z nim Smuglewiczowi) poświęca epigram [2]:

O! Dea Pictorum — patulas nunc exere lauros;
Smuglewicz, Czechowicz quas meruere sibi.
Divisim aut simul exornando tempora sertis,
Tertius his Stachowicz adnumerandus erit.

Jakkolwiek jednak oceniało Czechowicza jego otoczenie, historya sztuki polskiej ocenić go powinna, jakim on jest, jakie są jego błędy, ale i uznać niezaprzeczone zalety. Jeśli który z polskich malarzy XVIII. wieku zasługuje na monografię — to w pierwszym rzędzie Czechowicz.

Życzenie to wyraził prof. dr. Maryan Sokołowski w swych „Źródłach do historyi sztuki w Polsce w XVII. i pierwszej połowie XVIII. wieku“ [3] — powtórzyć je mogą wszyscy znający

---

[1] „Skarbniczka naszej archeologii“, przez A. Grabowskiego (wyd. I. N. Bobrowicza, Lipsk 1854) str. 101. Wyjątki z rzadkiego dziełka I. Albertrandi'ego, „Wiersz o malarstwie“. W Warszawie, u M. Grölla 1790.

[2] *Die Kirchen der Stadt Krakau.* Wien 1853. Von Dr. Konstantin Wurzbach. Str. 344.

[3] Kraków, nakładem Akademii Umiejętności 1893, str. 19.

dzieła Czechowicza. Ale jak pomnik dla człowieka zasług stawiać powinien skończony artysta, aby był godny czczonej zasługi, tak monografię malarza, jak Czechowicz, niechaj pisze ktoś wytrawny i w dziejach sztuki w ogóle, i Czechowicza znający dokładnie. Gdy naturalnie ani do jednego, ani do drugiego nie mogę rościć sobie pretensyi (nie znam nawet najlepszych dzieł artysty, wileńskich), to, co dalej skreślę, będzie tylko słabem ocenieniem Czechowicza, na podstawie dzieł jego, znajdujących się w Krakowie.

I.

Czechowicz, żyjąc w XVIII. wieku, należał doń — powiedzieć można — raczej tylko fizycznie; duchowo bowiem związany był z wielkiemi wspomnieniami końca *cinquecenta*, które przez długi jeszcze czas utrzymywały się w szkole rzymskiej i bolońskiej. Ale, jeśli stwierdzając powyższy wpływ na Czechowicza, pragnę, zanim do jego biografii przystąpię, w paru słowach naszkicować tu tło XVIII. wieku, w którym żył i tworzył, to dlatego, że na takiem tle wystąpi — zdaje mi się — wyraźniej postać Czechowicza-artysty i cała różnica, jaka między nim a jego wiekiem zachodzi. Powtórzę tu naturalnie rzeczy ogólnie znane, powyższy jednak wzgląd niech mię usprawiedliwi Rozpocznę od krótkiej charakterystyki tej sztuki, która w XVIII. w. nadawała ton — od sztuki francuskiej. Więc najprzód malarstwo. Jest ono zupełnie na usługi dworu i klas wyższych, dla nich tylko zrozumiałe; natchnienie swe czerpie z fałszywych idyl pasterskich — jest tak słodkie i grzeczne, jak jego bohaterowie, i czasem nie mniej od nich zepsute. W kolorystyce jest tak delikatne, jak ci markizi i panie w swych manierach, jest nawskróś salonowe i malujące tak dobrze to wykwintne towarzystwo, jak może żadne poprzednie malarstwo współczesnych sobie ludzi wielkiego świata z równą wyrazistością nie pochwyciło. A jak konwencyonalne, szablonowe, słodko-sielankowe jest to towarzystwo XVIII. w., tak i malarstwo — jego odbicie — jest blade, jednostajne w barwach, nieubiegające się o silniejszy kolorystyczny efekt. Blado-różowy, blado-niebieski jest jego ton prze-

ważający, a biedne, olejne farby tak świetne blaskami swymi odnosiły zwycięstwa, nie cieszą się wielką łaską mistrzów francuskich XVIII. w.; oni wolą pastele, miniatury, i na prawdę, w tych technikach przebija się wybornie cały charakter epoki peruk i harcapów. Technika, o której powiada Springer: *so vortrefflich geeignet die flüchtig zierlichen Reize der Rococodamen lebendig wiederzugeben.* Wyrazem także tego wieku jest z pewnością ceramika, te miniaturowe, porcelanowe figurki z Meissen lub Sèvres, świadczące o tem społeczeństwie w swych zwyczajach i obyczajach, miękkiem, zniewieściałem, goniącem zawsze i wszędzie za ozdobnością, wytwornością... A architektura? Buduje ona prawdziwe pieścidełka, nęcące oko; kocha się w bogatych — czy zawsze pięknych? — dekoracyach i stąd, jak malarstwo i przemysł artystyczny, wybornie odzwierciedla wiek ten, skłonny zawsze do ozdabiania wszystkiego, począwszy od figurek i ogrodów, skończywszy na literaturze, która tak dba o czystość języka — rozumie się fałszywą — że z pogardą zeń wyrzuca wszelkie wyrazy „gminne“ [1]. Sztuka ta dekoracyjna kocha się w liniach fantastycznie powyginanych i stąd z natury rzeczy sięga często po natchnienie do świata roślinnego, który jej udziela nigdy niewyczerpanych motywów, i tak architektura, jak malarstwo, chcąc nowych, żywotnych nabrać soków, musiały znowu sięgnąć tam, skąd padły na sztukę *quatrocento* ożywcze blaski odrodzenia. Ale o ile u tamtych mistrzów natura była oddaną prawdziwie, studyowaną *con amore*, o tyle w wieku *rococa* jest ona trochę sztuczną, jeśli powiedzieć można, stylizowaną. Bo gdy quatrocentyści i Holendrzy z naturą tą ciągle przestawali, malarze XVIII. w., francuscy zwłaszcza, znali z pewnością lepiej wnętrza pałaców, naturę zaś raczej ze wspomnień lub eleganckich ogrodów. Wybierają oni z natury motywa zawsze „ładne“, więc wolą malować ogrody z „lasem“ posągów, niż zielone tylko łąki lub złociste łany zboża. Lubią umieścić, choćby w oddali, świątynię grecką, a ogrody zaludnić arkadyjskiemi pasterkami, z pasterską laską lub fletem w ręku. Sztuka francuska XVIII. w.

[1] Martha, *La délicatesse dans l'art.*

panuje powszechnie — najbardziej zaś szerzy swój wpływ tam, gdzieby tego najmniej się można było spodziewać — w Niemczech. Przyjaciel Voltair'a był też gorliwym zwolennikiem sztuki francuskiej, która niepodzielnie panowała w jego rezydencyach, zwłaszcza w ochrzczonej francuskiem mianem *Sans-souci*. Jak dzieła patryarchy z Ferney znajdowały na dworze pruskim największy poklask i niemal uwielbienie, tak na polu malarstwa, wykwintne obrazy Watteau i Antoniego Pesne; a z królem na czele dwór cały tak ich wysoko cenił, że margrabia d'Argens, przyjaciel Wielkiego Fryderyka, nie wahał się powiedzieć, że: *le portrait de Pesne, placé à côté d'un Rembrandt, il l'efface.*

Przenieśmy się teraz za Alpy. Potężny wpływ barokka dał się uczuć we Włoszech jeszcze w XVIII. wieku, zwłaszcza w architekturze. W malarstwie daje się spostrzedz zwrot do natury, a z tem pozostaje w związku zwrot do Rafaelowskiej epoki. Ze szkół włoskich jednak najwięcej życia, prawdy, blasku barw w wieku tym zachowała Wenecya, która wydaje jeszcze mistrzów tej miary co Tiepolo. Szkoła ta zachowała może w większym, niż inne, stopniu, pewną indywidualną samodzielność, podczas gdy tamte, a przedewszystkiem rzymska i bolońska, kształciły się na wielkich mistrzach *cinquecenta* i w tem, zdaje mi się, leży powód, dlaczego włoskie malarstwo tak się różni od francuskiego. I dlatego zapewne Czechowicz, którego mistrzem był Włoch, Maratta, tak się różni od całego charakteru współczesnego malarstwa. A jaką była ta sztuka ówczesna w Polsce? Porównać ją mógłbym do pięknej mozajki, do której pojedyncze kamyczki sprowadzano to z Włoch, to z Francyi, to z Niemiec, a gdy czasem znajdzie się w niej skromny, swojski kamyczek, to blednie bardzo wobec świetnych, obcych blasków. „Żywioł obcy dominuje na całej linii, a wprowadzają ten żywioł obcy nietylko cudzoziemcy, ale i nasi malarze, którzy bez silniejszej indywidualności, ogólnymi prądami porwani zostali“ [1]. Reprezentują ten żywioł obcy: Bacciarelli, Grassi, Lampi, Nor-

[1] „Katalog ilustr. wystawy sztuki polskiej od r. 1764—1886“. Lwów 1894, str. XI.

blin de la Gourdaine, Kamsetzer, a wobec nich na drugi plan schodzą artyści polscy, jak Smuglewicz, jak Konicz, jak wreszcie wśród nich tak samotnie stojący naturą swego talentu — Czechowicz.

II.

Kim był Czechowicz? Przodkowie jego byli osiadłymi w Krakowie mieszczanami. Poświadczają to księgi archiwalne krakowskie, czyniące wzmiankę już w r. 1584 o jednym z członków rodziny Czechowiczów, podające jednak tę tylko ogólnikową wiadomość pod rokiem powyżej przytoczonym, że Hieronim Czechowicz był krakowskim mieszczaninem [1]. W lat kilkadziesiąt potem znajdujemy w księgach miejskich krakowskich [2] (nr. 102—526) znowu tylko bardzo szczupłe wiadomości o kilku Czechowiczach. I tak pod r. 1617 czytamy o Marcinie Czechowiczu pasamoniku, pod r. 1618 o Wojciechu Czechowiczu, „posiadaczu domu przy ulicy Mikołajskiej“ i o Jakóbie Czechowiczu. O tym ostatnim jednak niema żadnej wzmianki, czem był, czy tylko właścicielem realności, jak ów Wojciech, czy też należał do cechu jakiego, jak Marcin. A. Grabowski, który nazwiska te wynalazł, dodaje, że „wszyscy są tu (tj. w Krakowie) osiadłymi mieszczanami“. Są to jednak rzeczywiście tylko „okruszyny“, jak to już tytuł rozprawki autora zapowiada.

W kilka lat potem musiała się rodzina Czechowiczów przenieść na Kazimierz (który, jak wiadomo, stanowił wówczas osobne miasto, osobny miał magistrat), bo pod r. 1629 [3] czytamy, że Stanisław Czechowicz, „syn rajcy kazimierskiego“ [4], a więc zapewne i mieszczanina kazimierskiego, zapisany był na naukę do Stanisława Janowickiego, który w tym samym roku (1629) był mistrzem cechu krakowskiego malarzy. Wiadomem dalej o Stanisławie Czechowiczu jest tylko to, że z końcem r. 1631 [5]

---

[1] A. Grabowski, „Skarbniczka naszej archeologii“.

[2] A. Grabowski, „Okruszyny, wiadomości z dziedziny sztuki“.

[3] Wilhelm Gąsiorowski, „Cechy krakowskie“, zeszyt 1. 1860. Str. 25.

[4] Ibidem, str. 46.

[5] Ibidem, str. 25.

został wyzwolonym; czy pozostawił zaś coś po sobie, czy można z nazwiskiem jego złączyć jaki cechowy obraz, to pozostanie zapewnie nierozwiązanem, chociażby z tego powodu, że artyści cechowi nie zwykli byli kłaść podpisów na swoich utworach. Czy ten Stanisław Czechowicz jest dziadkiem Szymona (urodzonego w r. 1689), tego naturalnie dziś na pewno twierdzić nie można, lecz takie przypuszczenie ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Ale, jeśli tak szczupłe zachowały się wiadomości o rodzinie Czechowiczów, to również skromne są i te, jakie mamy o najbliższej rodzinie Szymona Czechowicza. Znane nam są tylko imiona jego rodziców „szlachetnego rodu ale ubogich“ [1]: Jan i Kunegunda [2] — czem zaś był ojciec, z jakiego domu pochodziła matka, szczegóły te są nam dziś jeszcze nie wiadome. Co do miejsca zaś urodzenia i jego dacie, ciągły zachodził spór między biografami Szymona Czechowicza, aż do r. 1850, kiedy Edward bar. Rastawiecki w swoim „Słowniku malarzy polskich“ stanowczo już podał rok i miejsce urodzenia naszego artysty [3]. Saunders [4] i Józef Maksymilian hr. Ossoliński [5] podawali za miejsce urodzenia S. Czechowicza Kraków, o roku zaś nic pew-

---

[1] Wprawdzie akta miejskie krakowskie wspominają tylko o Czechowiczach, mieszczanach, a Paprocki rodziny szlacheckiej tego nazwiska nie wymienia, przymiotnik powyższy („szlachetnego“) jednak nasuwa pytanie, czy rodzina Szymona Cz. nie była już nobilitowaną. Niema jednakowoż na to dowodu. Niesiecki np. przytacza 2 rodziny szlacheckie Czechowiczów, z których jedna z województwa rawskiego, pieczętowała się herbem Leliwa, druga ze Żmudzi, używała herbu Ostoja. Wymienia on cały szereg członków tak pierwszej, jak i drugiej rodziny, niema atoli w ich liczbie ani Jana (ojca Szymona Cz.), ani naszego artysty. Nie mając na razie dowodów nobilitacyi Szymona Cz. (lub jego ojca), nie mogę naturalnie oświadczyć się za jego szlachectwem, lub też tylko mieszczańskiem pochodzeniem.

[2] Rastawiecki, „Słownik malarzy polskich“, str. 100—101. 1850.

[3] Daty wzięte z nagrobka Czechowicza w kościele pokapucyńskim w Warszawie.

[4] *Dziennik Wileński* r. 1815. „Wiadomość o życiu i dziełach S. Czechowicza“, przez prof. Saundersa. Str. 626.

[5] „Wiadomość o życiu znakomitego malarza polskiego S. Czechowicza“ (z wyjątków rękopiśmiennych J. M. hr. Ossolińskiego). Czasopism naukowy księgozbioru publ. im. Ossolińskich r. 1828, zeszyt 1, str. 120.

nego widocznie nie wiedzieli, gdyż obaj lakonicznie wzmiankują, że Czechowicz urodził się około r. 1695. — Nie wiedzieć na jakiej podstawie zwie Czechowicza Michał Baliński[1]: „Szymon z Lipnicy Czechowicz", A. Grabowski[2] zaś nie oświadcza kategorycznie czy Kraków, czy też Wieliczka były miejscem urodzenia S. Czechowicza, dodaje jednak następnie: „w księgach kościelnych wielickich nazwisko to wyszukać się nie dało", natomiast, w „księgach miejskich krakowskich Czechowicze często są wspominani; przeto wywodowi jego z naszego miasta nie brakuje podstawy". Jeszcze w r. 1847 Rastawiecki[3], idąc za poprzednimi biografami S. Czechowicza, podaje jako datę urodzenia r. 1695, jako datę zaś jego śmierci r. 1778. Dopiero dalsze badania Rastawieckiego doprowadziły go do pozytywnego rezultatu, gdyż w wydanym w r. 1850, a więc w 3 lata później, „Słowniku malarzy polskich", podaje dokładnie nietylko lata, ale miesiące i dnie, tak urodzin jak śmierci artysty, a to na podstawie dat zebranych z nagrobka Czechowicza w kościele pokapucyńskim w Warszawie; jako miejsce zaś urodzenia Kraków. Co do ostatniego oprzeć się muszę już na Rastawieckim, nie zdoławszy niestety odszukać autentycznego źródła, z którego czerpał szanowny autor.

Urodził się więc Szymon Czechowicz w Krakowie, dnia 22 sierpnia 1689 roku. Jak wspomniałem powyżej, o rodzicach artysty szczupłe bardzo doszły nas wiadomości, o rodzeństwie zaś tylko to, że miał siostrę[4], której córka Regina[5], wyszła później za Łukasza Smuglewicza, ojca Franciszka.

Dawna stolica królów smutny wówczas przedstawiała widok. Ciągłe wojny, w jakie zawikłaną była Rzeczpospolita, oblężenia, pożary, morowe powietrze, zatarły z tego grodu wszelkie

---

[1] „Fundacya Zakonu i klasztoru OO. Kapucynów w Warszawie", str. 160; w roczniku religijnym *Alleluja*. Warszawa 1840.

[2] A. Grabowski, „Okruszyny, wiadomości z dziedziny sztuki", str. 5.

[3] „Szymon Czechowicz", przez Edwarda bar. Rastawieckiego w *Bibliotece Warszawskiej* r. 1847, tom I, str. 123.

[4] Rastawiecki, „Słownik malarzy", tom II, str. 171. 1850.

[5] „Regina z Olesińskich", Rastawiecki. Ibidem.

ślady dawnej świetności. W czasie wtargnięcia Szwedów pod Karolem Gustawem, w r. 1655, po poddaniu się Krakowa, mieszczanie zapłacić musieli wojenną kontrybucyę w wysokości 160.000 talarów imp.[1] W czasie zaś dwuletniego pobytu Szwedów (1655—1657) wypłacali nadto garnizonowi szwedzkiemu po 6.000 talarów[2] miesięcznie. Bogactwa mieszczan krakowskich stały się już tylko legendą, handel wegetował, dwór królewski, który z natury rzeczy tak się przyczyniał do podnoszenia zamożności mieszkańców, przeniósł się do Warszawy i zostały tylko pomniki mówiące o dawnej chwale, dla których czasem może odwiedzano miasto, od którego jednak poza tem stroniono jak od ruiny.

W tej atmosferze smutnej, z której jednak bił wielki majestat przeszłości, rósł Szymon Czechowicz. Wszystko usposabiało go w ówczesnym Krakowie do skupienia się, do smutku, a przedewszystkiem ta wczesna strata rodziców, którzy w dziecinnym osierocili go wieku[3]. Na wrażliwej więc duszy dziecięcej osiąść musiała pewna melancholia, wyrobić się w niej pewna łagodność, tak często ze smutkiem sprzągnięta, dwa te — obok gorącej pobożności — znamienne rysy S. Czechowicza.

Wcześnie osieroconem dzieckiem zajął się Franciszek Maksymilian Ossoliński[4], podskarbi w. koronny, początkowe dał mu wychowanie, a kiedy z dziecka zrobił się młodzieniec, wysłał go kosztem swoim do Włoch[5]. W upragnioną tę podróż wybrał się S. Czechowicz zapewne około r. 1710[6]. Jechał tam, jak tylu innych artystów, którzy w wiecznem mieście, w szkole

[1] A. Grabowski, „Kraków i jego okolice", wyd. V. z r. 1868. Str. 18.
[2] Ibidem, str. 19.
[3] Rastawiecki, „Słownik malarzy polskich", 1850. T. I, str. 101.
[4] Rastawiecki, „Słownik malarzy polskich", 1850. T. I, str. 101.
[5] Encyklopedya Orgelbranda, Warszawa.
[6] Co do tej daty zachodzić może różnica najwyżej 1 roku. Wiemy bowiem, że przebywał w Rzymie lat 30. W r. 1730 był jeszcze w Rzymie, jak to świadczy napis na obrazie Czechowicza „Wniebowzięcie N. P. Maryi" w kościele koleg. kieleckim: *Romae 1730;* dodając zatem do r. 1710 lat 30, otrzymamy r. 1740, tj. r. powrotu Cz. do Krakowa, w którym tylko krótki czas przebywał, jako ślad swego pobytu pozostawiając kilka obrazów, między nimi 4 do kościoła św. Anny, które w r. 1741 w stalach tegoż kościoła

rzymskiej szukali światła, mającego ich zaprowadzić ku wyżynom sztuki. Czy te oczekiwania się spełniły? — niestety nie; przynajmniej my dziś tego powiedzieć o tych artystach nie możemy; nie wątpiąc jednak o tem, że w przekonaniu własnem nieraz do wielkiego artyzmu dochodzili. I pod jednym względem może doszli do doskonałości: do niesłychanej wprawy technicznej, nie dorośli zaś dawnym mistrzom siłą natchnienia, które zostanie podobno na zawsze darem Bożym, niedającym się pracą dobić. A pracy tej zanadto ufano; sądzono, że studyum Rafaela, Michała-Anioła, Corregia zastąpi własny brak inwencyi i mierność talentu, że jeśli nie doprowadzi do szkoły ateńskiej i Syxtyny, to z pewnością do Farnezyny. Tylko zapominano o jednej, wielkiej rzeczy: o studyowaniu bezpośredniem natury. Studyowano ją natomiast z drugiej ręki, ze szkół rozlicznych; z całego szeregu mistrzów dawnych brano to, co uważano za najpiękniejsze. Wyrazem tych dążeń była *Academia dei Desiderosi* — Caracciów; oni rzeczywiście i szczerze pragnęli naprawić manierę, odrodzić się pod wpływem dzieł lepszych, minionych czasów. Tkwiły jednak już w tych ostatnich zarodki przyszłego upadku — *du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas* — krok ten zrobili uczniowie Caracciów i dowiedli prawdziwości słów Michała Anioła, który o swych następcach miał się wyrazić: „mój styl zrodzi mistrzów nieumiejętnych".

Wpadła mi w ręce książka z XVII. wieku: „Życiorysy malarzy, rzeźbiarzy, architektów nowożytnych" przez Piotra Bellori [1], która tłumaczy pod pewnym względem ten eklektyzm włoskich artystów XVII. wieku. Jest w niej mianowicie obok życiorysów artystów włoskich i niewłoskich, akademicki odczyt [2]

umieszczono. (L. Kosicki, „Wiadomości historyczne o kościele akad. św. Anny w Krakowie", 1833. Str. 23). Na podstawie tej ostatniej daty (1741) przypuścićby można, że Czechowicz wyjechał do Włoch w r. 1711, z uwagi jednak na czas potrzebny do wymalowania obrazów w stalach kościoła św. Anny i kilku innych, można przyjąć r. 1710. (Przebywał bowiem w Rzymie lat 30).

[1] *Le vite de' pittori, scultori ed architetti moderni scritte da Giov. Pietro Bellori* (seconda edizione, Roma 1728).

[2] *L'Idea del pittore, dello scultore e dell' architetto, scelta delle bellezze*

autora, miany w r. 1664, w akademii św. Łukasza, której prezydentem był wówczas mistrz Czechowicza — Carlo Maratta. — Autor, zastanawiając się nad upadkiem rodzimej sztuki, podaje środki, które, według niego, jedynie zdołają upadające malarstwo na lepsze skierować tory. A więc radzi przedewszystkiem mniej zwracać się do natury, bo w naturze jest wiele rzeczy brzydkich, odrażających, które przedstawione w dziele sztuki, rażą; pominięcie zaś ich przy studyowaniu natury, nie odpowiadałoby prawdzie *(senza torre la similitudine)*. Niech więc artysta idzie raczej za przykładem mistrzów greckich, którzy — jak Fidyasz np. — szukali piękna idealnego, wymarzonego w swej głowie; stąd wzbudzał zachwyt taki Zeus Fidyasza, że stał tak wysoko ponad świat otaczający artystę. Ideę dzieła sztuki w myśli wypieszczoną, niech artysta stara się ubrać w najpiękniejsze kształty, których szukać będzie musiał naturalnie nie w jednym modelu, ale z rozmaitych wybierając najwykwintniejsze, bo niepodobnem jest w ciele ludzkiem znaleźć tych wszystkich piękności, które składają się na prawdziwe dzieło sztuki. I powiada, że Tycyan idąc w myśl tej teoryi, dlatego tworzył takie arcydzieła, jak np. ową św. Magdalenę, o której Marino w zachwycie śpiewa:

Ma ceda la Natura, e ceda il vero,
A quel, che dotto Artefice ne fiuse,
Che qual' l'havea nell' alma, nel pensiero,
Tal bella e viva ancor qui la dipiuse.

Przeciwnie zaś Michel Angelo da Caravaggio: *fu troppo naturale, dipiuse i simili e il Bambaccio i pegiori.*

Z tego konkluzya taka: jeśli tak jest, jak powyższe przykłady starały się wykazać, jest warunkiem koniecznym do stworzenia dzieła sztuki prawdziwego, aby się kierować zasadami owych dawnych mistrzów, a ich naśladować, bo w ich dziełach mieści się najdoskonalszy wyraz piękna; *bisogna, che noi imitiamo li buoni pittori.* Autor zapomina tylko o tem, że ci dawni mistrze-

naturali, superiori alla Natura. Discorso di Giovanni Pietro Bellori detto nell' academia Romana di San Lucca la terza Domenica di Maggio MDCLXIV. Essendo Principe dell' Academia il Signor Carlo Maratta (ibidem, str. 3).

wzory w znacznej części przez studyowanie i obcowanie z naturą stali się tymi wielkimi — na zawsze.

Zatrzymaliśmy się nad tym odczytem dlatego, że na jego tle występuje wyraźniej mistrz Czechowicza, Carlo Maratta, który, jak wiemy, hołdował wyżej omawianym zasadom, i miał, jak Springer mówi, *einen förmlichen Raffaelcultus*, a nadto i sam Szymon Czechowicz, który w tej atmosferze artystycznej wychowany, nią się — jak się później przekonamy — po części przejął.

Kiedy Czechowicz przybył do Rzymu, Carlo Maratta był już starcem stojącym nad grobem, miał bowiem lat 79 (urodz. w r. 1625), starcem niesłychanie poważanym i dla swego talentu i dla pięknego charakteru, który, jak sądzę, na wyższy zasługuje szacunek, niż talent malarza. W czci, jaką otaczano jego talent, była przesada barokku wobec artysty, który pozostawił wiele rzeczy, ale nie wielkie, który był znakomitym restauratorem stanc Rafaela, ale z pewnością żadną wielkością. A jak go czczono — oto przykład. Wierzono wówczas w to szczerze, że jednym z największych zaszczytów przyznanych w Rzymie Łukaszowi Giordano, były — dosyć częste wizyty Carla Maratty, „który jest dobrym obserwatorem i zbiorem wszystkiego dobrego ze starożytnych i nowożytnych czasów“ [1]. Dziś może uśmiechamy się na ten rodzaj kultu, ale kiedy Czechowicz przybył do Rzymu, nie powątpiewano jeszcze o wielkich zasługach Maratty jako niepospolitego malarza, a papieże i książęta nie przestawali tych zasług odznaczać. Klemens XI. (w r. 1704) zawiesił na piersi jego za częściową, znakomitą restauracyę fresków Rafaela w Watykanie i w Farnezynie order Chrystusa i przeznaczył mu roczną pensyę w kwocie 300 skudów rzymskich. Nieustanne łaski i odznaczenia, jakiemi go zewsząd obsypywano, sprawiły, że w oczach współczesnych postać Maratty urósć musiała do niezwykłych rozmiarów, której kierownictwu bezwzględnie się poddać uważał sobie wówczas każdy młody rzymski artysta za obowiązek i za zaszczyt, cóż dopiero ten,

[1] *Le vite dei pittori* etc. da G. P. Bellori w życiorysie Lucca Giordano.

przybyły z biednej w sztuki Północy, nic jeszcze nieznający i nic nieumiejący. Bo też Maratta dziwny wywierał urok — urok, który, jak sobie dziś tłumaczę, zawdzięczał także w znacznej części osobistym swym przymiotom, który jednak wówczas z pewnością przypisywany był raczej artyście niż człowiekowi. Jako przykład jeszcze tego uroku Maratty, zacytuję tu słowa jego biografa, d'Argenville [1], świadka wszystkich jego tryumfów: „Mało książąt nowożytnych tak się odznaczyło jak Maratta — samo imię Karola Maratty jest jego pochwałą". — Pochwały te świadczyć tylko mogą o nizkim ówczesnym poziomie sztuki, nie przyczynią się zaś zapewne nigdy do wiary w jego niezwykły talent. — Oddajmy mu jednak *suum cuique:* Maratta miał dobrą wolę, chciał rzeczywiście sztukę podnieść. „Nikt, powiada d'Argenville, nie pracował tyle nad wskrzeszeniem wielkiego Rafaela i Annibala Caracci'ego, których dał zrobić posągi z marmuru, by je umieścić w kościele Rotondy". Dla Rafaela miał piękny pietyzm, freski odrestaurował sumiennie i zapewne to jego największa zasługa. Pietyzm niemniejszy miał dla dzieł sztuki starożytnej; Richardson [2] pisze, że Maratta kopiował starożytną pewną głowę przeszło 200 razy i w końcu przyznał, że rysunek jego nie osiągnie nigdy doskonałości oryginału. Świadczy to o wielkich rzeczywiście wymaganiach, jakie sobie artysta stawiał, o wzniosłem pojęciu, jakie miał o rysunku, tej podstawie wszelkiej sztuki. Robił wielkie studya nad antykami i klasycznymi włoskimi mistrzami. Zbierał [3] skwapliwie ich obrazy, kartony, a zwłaszcza rysunki, do ostatnich zaś taką miał słabość, że „aby niektóre z nich nabyć, nieraz własne obrazy oddawał" [4].

Powyższe wszystkie zalety uczyniły z Maratty dobrego i poszukiwanego nauczyciela. Miał też wielu uczniów; był dla nich uczynny, przystępny, wspomagał nieraz własną kieszenią,

---

[1] Descamps, *Vie des peintres flamands et hollandais réunie à celle des peintres italiens et français par d'Argenville.* Marseille 1843. T. IV, str. 65 i 75.

[2] Traité etc. I, str. 163.

[3] D'Argenville, str. 78.

[4] Ibidem.

w obcowaniu skromny, skrupulatny niezmiernie w nauczaniu [1]. Malarzem był nader pracowitym; pozostawił pokaźną liczbę, przeszło 250 [2] obrazów, przeważnie treści religijnej. *Al fresco* malował „Pokłon pasterzy“ w galeryi pałacu Monte Cavallo i wiele innych fresków, wreszcie brał nieraz za rylec, że wymienię jako przykład „Wypędzenie Heliodora z świątyni“, podług Rafaela [3]. Tak się przedstawia w ogólnych zarysach postać Carla Maratty, zaczerpniętych przeważnie z biografii współczesnego świadka, tylekroć tu cytowanego, d'Argenville'a. A jakie wrażenie czynią na dzisiejszym widzu jego dzieła? Niestety dwa tylko stoją mi na myśli: jeden widziany w S. Maria del Popolo, a drugi w ces. Muzeum sztuki w Wiedniu. W jednej z bocznych kaplic pełnego uroku kościoła S. Maria del Popolo, przez swe cudowne freski Pinturicchi'a i urocze grobowce Sansovin'a, wisi obraz Carla Maratty: „N. P. Marya w otoczeniu czterech Doktorów Kościoła“. N. P. Marya jak i czterej Doktorowie Kościoła, to postacie bardzo szlachetne, piękne, wdzięcznie zgrupowane, tylko że zaraz przychodzą na myśl mistrze wcześniejsi, którzy pierwej wlali w swych świętych ten szlachetny spokój i pogodę, a komponowali piękniej, bo prościej. Obraz robi wrażenie dzieła bardzo poprawnego, sumiennie wykonanego, widać w nim to staranie się autora o zbliżenie się do Rafaelowskiego piękna, które w części może i osiągnął, ale brak w nim naturalnie tego, o co zapewnie artyście chodziło, Rafaelowskiego ducha. Jak każde naśladownictwo poprawne, tak i ten obraz nie może się całkiem niepodobać, ale nie może i porywać. Czuć we wszystkiem szlachetnego eklektyka.

Nie może również zachwycić obraz drugi: „Ofiarowanie Dzieciątka w świątyni“ (ces. Muzeum sztuki w Wiedniu), ale podobać się może więcej od pierwszego, rysem jednym, zawsze za serce chwytającym, szczerością. Widzę ją w natchnionym wzroku arcykapłana Symeona, modlącego się rzeczywiście gorąco, tą modlitwą, płynącą z głębi duszy. Odpowiada jej szla-

[1] D'Argenville, str. 78.
[2] Ibidem.
[3] Bartsch, P. gr. XXI, p. 89, n. 13.

chetna postawa arcykapłana, w której niema prawie maniery; jest ona natomiast w jednej klęczącej figurze, wygiętej już zupełnie w duchu XVII. wieku. Koloryt harmonijny, rysunek poprawny, a wszystko przypomina się jak coś już dawniej widzianego u różnych mistrzów, w rozmaitych miejscach. I nie może być też inaczej; z tego, co widziałem z obrazów Maratty, wyrobiłem sobie przekonanie — może i mylne — że malarz to, pojmujący szlachetnie bardzo sztukę, starający się do jej wyżyn wzbić sumienną nad sobą pracą, mający poczucie piękna, ale że się tak wyrażę — wyrozumowanego, i stąd zimno się nam przedstawiającego. Rysownik rutynowany, ale właśnie dlatego wpadający nieraz w manierę, której uniknąć nie mógł, kto chciał malować po Rafaelu — po Rafaelowsku.

Wracam do r. 1710. Stary Maratta za pendzel rzadko już chwytał, siły swe ostatnie poświęcając swym uczniom, dla których był ojcem i przyjacielem. W roku tym wszedł w ich poczet Szymon Czechowicz. On, z natury swej głęboko pobożny, łagodny, skromny w obejściu, zrozumieć się musiał łatwo z swym mistrzem, zbliżonym do niego podobnem usposobieniem. „Maratta i Rafael Mengs — pisze Ossoliński [1] — przyjaźnią go swoją zaszczycali". „Pierwszy w początkach tej nauki był jego przewodnikiem" [2], a Saunders [3] dodaje, że Maratta „okazywał Czechowiczowi najwyższą i najstalszą przyjaźń". Nie mogę niestety bliższych tu podać szczegółów o stosunku Czechowicza do Maratty; śladu może kierownictwa artystycznego Maratty dopatrzeć się można w jednym rysunku [4]: „Ofiarowanie P. Jezusa w kościele", na którym widnieje podpis: *Le figure più svelte*, uwaga, którą — jak przypuszcza Przeździecki — uczynił sam Carlo Maratta. Ale zapewne musiał także Maratta poddawać pomysły swe Czechowiczowi, kiedy Aleksander Przeździecki opisując

[1] „Wiadomość o życiu znakomitego malarza polskiego S. Czechowicza". (Z wyjątków rękopiśmiennych J. M. hr. Ossolińskiego), Czasopism naukowy księgozbioru publ. im. Ossolińskich r. 1828. R. 1, zeszyt 1, str. 120.

[2] Ibidem.

[3] „Wiadomość o życiu i dziełach S. Czechowicza" *Dziennik Wil.* r. 1815.

[4] W Dobrowlanach, w zbiorach hr. A. Günthera — jak pisze Aleks. Przeździecki w *Ateneum*, 1842, t. II.

obraz Czechowicza „Pan Jezus w Ogrojcu“ [1], kończy słowami: „taki jest pomysł Karola Maratti“. Obie powyższe opinie A. Przeździeckiego, z których pierwsza jest hypotezą, druga wprawdzie twierdzeniem kategorycznem, nie wiem jednak na jakiej podstawie opartem, podaję z obowiązku dokładności, z wszelkiem atoli zastrzeżeniem. Największą jednak naukę czerpać musiał Czechowicz ze stanc watykańskich, świeżo przez Marattę restaurowanych, i z tych licznych arcydzieł, w jakie obfitowały rzymskie galerye. Po kolei Rafael, Michał Anioł, Corregio, Guido Renè, Sassoferato, Berettini, przemawiali do jego wyobraźni, w niej się zlewali, i tak zmieszani odezwali się po latach w niejednem dziele Czechowicza. Co jednak na duszę artysty największe wywarło wrażenie, jakie były te jego *Schul- und Wander-Jahre*, znowu nie umiem — w braku źródeł — na to odpowiedzieć, widocznie jednak szybkie musiał robić postępy, kiedy w akademii św. Łukasza kilka razy odbierał nagrody, „przyznane sądem najsławniejszych artystów, wyższości jego talentów“ [2]. Co w Rzymie malował, w ogóle stanowczo powiedzieć się nie da, będę się jednak starał o ile możności odpowiedzieć na to pytanie. Otóż do prac artysty rzymskich i to pierwszych, zaliczyć wypada obrazy: „ŚŚ. Piotr i Jan uzdrawiający kalekę“, do rzymskich już dla tego samego, że jest on kopią arrasu Rafaela tej samej treści, znajdującego się wówczas (i dzisiaj) w Watykanie, do pierwszych zaś z tego powodu, że uderza jeszcze grubym, niepoprawnym dosyć rysunkiem, słabym modelunkiem. Prawie te same wady posiada obraz drugi: „Chrystus uzdrawiający niewidomego“, będący może kopią z jakiegoś włoskiego obrazu, w każdym razie nie z arrasu Rafaela, może zaś własnym, oryginalnym utworem, pozostającym jednak widocznie pod wpływem Rafaelowskiej szkoły i samego jej mistrza. Trzeci, malowany z pewnością w Rzymie [3], to kopia z Rubensa: „Chrystus

[1] A. Przeździecki, „Galerya obrazów Posławska“, w *Ateneum* z roku 1842, tom II.

[2] I. Saunders, „Wiadomość o życiu i dziełach S. Czechowicza“ w *Dzien. Wil.* z r. 1815, t. II, str. 625.

[3] W Rzymie dlatego, że obraz ten znajdował się wówczas w wiecznem

pomiędzy faryzeuszami, z których jeden pokazuje Zbawicielowi pieniążek", znajdujący się dzisiaj w zbiorach Szkoły sztuk pięknych w Krakowie. W Rzymie również miały być malowane obrazy zdobiące dzisiaj kościół księży Pijarów w Krakowie [1]. Trafia mi to zupełnie do przekonania, gdyż powyższe obrazy zdradzają większą świeżość uczucia i prostotę w rysunku, niż późniejsze, dzieła więcej wytrawne, nie powiem, czy piękniejsze. Kościoły rzymskie: SS. Giovanni e Paolo i S. Stanislao dei Polacchi posiadały prace Czechowicza — wspomina o tem Sebastyan Ciampi [2]; ile ich jednak było, i czy przedstawiały świętych patronów wyżej wymienionych kościołów, czy też innej były treści, nie wiemy tego, gdyż tak Ciampi jak i Rastawiecki, wzmiankując o nich, nie wspominają [3] ani słowem ani o ich liczbie, ani o przedmiocie. O dwóch natomiast obrazach wiadomo na pewno, że w Rzymie były malowane; a wiadomo z dobrego źródła, bo od samego autora. Jeden z nich nawet datą opatrzony. Pierwszy, to obrazek (wys. około 1 łokcia) przedstawiający „Ukrzyżowanego Pana Jezusa", na którym widnieje podpis: *Simon Czechowicz Pol. Dom. Ossol. Pictor, Romae* [4]. Podpis ten więc stwierdza dwa fakta: że obraz był malowany w Rzymie, drugi, że widocznie Czechowicz chciał uchodzić za nadwornego malarza Ossolińskich — swych opiekunów. Drugi, jak wspomniałem, opatrzony jest datą; to „Wniebowzięcie N. P. Maryi" z podpisem *Romae 1730* [5]; obraz zakupiony przez biskupa kra-

---

mieście; w czasie zaś zapewne wojen Napoleońskich z wielu innemi dziełami sztuki powędrował do Paryża i znajdować się ma dziś w Luwrze.

[1] J. Mączyński, „Pamiątka z Krakowa", 1845. T. II, str. 347.

[2] S. Ciampi, *Viaggio in Polonia.* Firenze 1831. Str. 152.

[3] Rastawiecki, „Słownik malarzy polskich" 1850, t. I, str. 260 i w *Bibl. Warsz.* 1847, t. I.

[4] A. Grabowski, „Kraków i jego okolice", wyd. V., 1866, str. 132. Autor dodaje, że obraz ten w r. 1803 „wraz z biblioteką Józefa hr. Ossolińskiego na publicznej licytacyi sprzedanym został". Zapewne był to dar malarza, przejętego wdzięcznością dla domu Ossolińskich.

[5] *Przewodnik bibliograficzno-archeologiczny.* Warszawa 1881. Rok I, zeszyt 7, str 358—359. „Korespondencya z Kielc p. ks. W. Siarkowskiego". Autor wspomina dalej, że obraz ten odnowił w r. 1881 „restaurator obrazów

kowskiego Felicyana Szaniawskiego, za sumę 100 czerwonych złotych, który dzieło to kosztem swoim z Rzymu sprowadził [1]. Znajduje się dzisiaj w wielkim ołtarzu kościoła kolegialnego N. P. Maryi w Kielcach.

(C. d. n.)

Dr. Jerzy Kieszkowski.

---

dawnych, Kuliński". Opisu tego obrazu udzielił mi łaskawie p. dyrektor Wł. Łuszczkiewicz.

[1] Rastawiecki, *Biblioteka Warszawska* r. 1847. (Opis historyczny-statystyczny m. Kielc).

STREJK WOBEC ETYKI[1].

(Dokończenie).

IV.

Jeszcze jedna strona kwestyi pozostaje nam do omówienia.

Zbiorowe, zmową robotników wywołane zawieszenie pracy jest wywarciem ekonomicznego nacisku na pracodawcę. Groźbą strat materyalnych, jakie dotknąć go mogą skutkiem usunięcia się pracy od jego kapitałów, chcą strejkujący wymódz na nim pewne ustępstwa, do których dobrowolnie nie chciał się przychylić. Rys ten, nieodłączalny od istoty strejku, nadaje mu cechę walki. Walka ta, prowadzona dotkliwą bronią ekonomiczną, przez przedstawicieli dwóch silnych a w organizmie społecznym niezmiernie ważnych grup gospodarczych, pociąga za sobą pewne następstwa ekonomiczne i pewne niebezpieczeństwa moralne, na które etyka, jeśli chodzi o dopuszczalność strejku i jej granice, nie może nie zwrócić uwagi.

Rozpatrzmy się nieco dokładniej w naturze tej walki i w jej ekonomicznem działaniu.

Wytwarzanie dóbr materyalnych — główna i podstawnicza funkcya życia gospodarczego — dokonywa się przy współudziale dwóch niezbędnych, a nawzajem od siebie zależnych czynników: pracy ludzkiej i kapitału. Ponieważ w dzisiejszym ustroju gospodarczym dwa te czynniki produkcyi nie znajdują się zazwy-

[1] Por. zeszyt z lutego, str. 241.

czaj w tych samych rękach, ale reprezentowane są przez dwie oddzielne klasy społeczne, z których jedna rozporządza wyłącznie siłą roboczą, druga zaś jest w posiadaniu ziemi, surowców i narzędzi, przeto zależność wzajemna pracy i kapitału wytworzyła w praktyce najściślejszą obustronną zawisłość dwóch tych klas: klasy posiadającej i robotniczej. Obydwie żyją z owoców produkcyi i z niej czerpią swe dochody, żadna zaś nie jest w stanie produkować samodzielnie bez przyłożenia się drugiej. Którakolwiek z nich zatem usunie się od wytwórczego procesu, wstrzymuje tem samem produkcyę, i nietylko ubezwładnia stronę przeciwną, ale i siebie samą skazuje na zupełną bezpłodność ekonomiczną.

Tem się dzieje, że strejk pod względem ekonomicznym działa z natury swej szkodliwie dla obu stron walczących. Marnuje ich siły wytwórcze, a tem samem zamyka źródła dochodów, wywołując w ten sposób liczne i wielostronne straty. Czem większe rozmiary przybierają strejki, tem też dotkliwszem się staje to ich destrukcyjne działanie: nie trzeba dodawać, że przy dzisiejszym systemie wielkich gospodarstw jest ono w stanie wywołać nieraz bardzo silne osłabienie tak po stronie pracodawców, jak i robotników.

W Stanach Zjedn. naliczono między r. 1881—1886 przeszło 22.300 przedsiębiorstw przemysłowych, które w mniejszym lub większym stopniu dotknięte były strejkami. Z tej kolosalnej liczby znacznie większa część, bo aż 13.400 przedsiębiorstw, musiało zupełnie przerwać ruch, każde przeciętnie przez 23 dni. Łatwo sobie wyobrazić, jak olbrzymie straty pociągnąć musi za sobą wstrzymanie ruchu w tylu fabrykach. Fabrykanci Stanów Zjedn. utrzymywali, że samo tylko zerwanie stosunków z dawnymi odbiorcami, spowodowane strejkami jednego roku (1886) przedstawiało dla nich szkodę 1,148.420 dolarów. W Anglii oświadczyło 475 firm, dotkniętych strejkami w roku 1892, że utrzymanie fabryk i zakładów, zamkniętych na czas strejków, pochłonęło im sumę 165.385 f. szt. Zbiorową wartość kapitału, ubezwładnionego w tymże roku przez strejki, szacowano w Anglii na 19,000.000 f. szt.; w roku 1890 znacznie wyżej, bo aż na

32,000.000 f. szt. W Niemczech wielki strejk węglowy, rozpoczęty w maju 1889 r. w westfalskim okręgu górniczym, skutkiem samego zmniejszenia produkcyi i napływu zagranicznego węgla na rynki niemieckie, przynieść miał kopalniom 14,000.000 mk straty.

Choćby te cyfry nie były całkiem dokładne, dają one w każdym razie pewne wyobrażenie, do jakiej wysokości dochodzić mogą straty pracodawców. Zresztą i doświadczenie pouczyło już nieraz, że całe gałęzie przemysłu, kwitnące przedtem i silnie rozwinięte, dochodziły pod zabójczem działaniem walk robotniczych do zupełnej ruiny, lub ponosiły tak ciężkie ciosy, że przez długie lata nie były w stanie z pod nich się podźwignąć.

Nie mniej jednak dotkliwie odczuwa ekonomiczne skutki strejku i druga ze stron walczących. W 114 strejkach angielskich, odbytych w latach 1870—1879, strata płac robotniczych przerosła sumę 5,067.800 f. szt. W ciągu jednego tylko r. 1886 wynosiła ona we Francyi 1,337.900 fr., w Stanach Zjednoczonych 2,538.000 dol.; w Austryi w ciągu 1894 r. 873.000 złr. Jeden strejk górniczy w Anzin we Francyi w r. 1884 spowodował stratę płac w wysokości 1,135.000 fr., a głośny angielski strejk bawełniany z 1892/3 roku, pochłonął 1,400.000 f. szt. płac robotniczych.

Przytem strejki, zwłaszcza dłuższe i prowadzone z uporem, wyczerpują nieraz doszczętnie zasoby robotników tak prywatne jak i związkowe, nagromadzone oszczędnością i ofiarami wielu lat, a nierzadko wtrącają ich jeszcze w długi. Przy dopiero co wspomnianym bawełnianym strejku angielskim kasy związkowe wydały 200.000 f. szt. i długo przed końcem strejku były zupełnie wypróżnione. W czasie zeszłorocznego strejku w porcie hamburskim robotnicy po wyczerpaniu własnych zasobów i zużyciu 1,350.900 mk, które dla nich złożyła ofiarność publiczna tak warstw robotniczych, jak i innych klas społecznych, zmuszeni byli zaciągnąć pożyczkę w wysokości 262.611 mk.

Prawda, że jeśli strejkujący odniosą zwycięstwo, które im zapewnia trwałe korzyści, wówczas te straty nie idą dla nich

na marne — takie jednak zwycięstwa nie są, jak wiadomo, rzeczą częstą, ani łatwą.

Długoletnie doświadczenia zebrane we wszystkich krajach, w których istnieje odnośna statystyka, wykazało i wykazuje po dziś dzień, że liczba strejków przegranych nietylko jest bardzo wysoką, ale też często cyfrę strejków zwycięskich znacznie przewyższa. I tak w Anglii, nie wspominając już o latach dawniejszych, w których walki robotnicze przedstawiały jedno pasmo niepowodzeń, klęsk i nędzy, pokazało się, że i w latach 1870—1879 na 351 strejków, których rezultaty dało się zbadać, było tylko 71 zwycięskich; w 91 wypadkach zakończono walkę obustronnemi ustępstwami, w 189 zaś wypadkach doznali robotnicy całkowitej porażki. Liczba tych porażek jest bardzo znaczną w Anglii i w ostatnich latach. W r. 1890 liczono tam strejków przegranych 254, z udziałem 102.000 robotników; w r. 1894 było ich 219, z udziałem 150.000 robotników; w 1896 r. 346, z udziałem 67.000 robotników.

W Stanach Zjedn. na 3.900 strejków, które miały miejsce w latach 1881—1886, dało się tylko wykazać niespełna 40% strejków skutecznych; liczba robotników zwycięskich wynosiła w tym czasie okrągło 518.000, liczba zaś zwyciężonych 660.000. Po roku zaś 1886 przez następne ośm lat procent strejków przegranych w Stanach Zjednoczonych stale się zwiększał [1].

We Francyi, gdzie strejki za lat dawniejszych bywały podobno częściej skuteczne, niż w innych krajach, w latach 1890—1894 procent robotników zwycięskich wahał się między 22—34, procent zaś pokonanych między 40—52; reszta przypada na strejki zakończone kompromisem.

Gorzej bywało w Austryi. W roku 1894, od którego mamy dokładną statystykę, na 44.075 strejkujących w 159 oddzielnych strejkach, przegrało 29.724 w 77 strejkach. W samym Wiedniu, na który przypada lwia część walk robotniczych owego roku, bo aż 59 strejków i 30.649 strejkujących, było 30 strejków straconych, w których przegrało 25.260 robotników. Rok następny,

[1] *Allgemeines statistisches Archiv,* IV Jahrg., II Halbband, str. 602.

jakkolwiek znacznie pomyślniejszy, wykazuje jednak 99 strejków straconych i 7.227 pokonanych robotników. Ci ostatni skutkiem samego tylko ubytku płac, ponieśli stratę wynoszącą 145.000 złr.[1]

Porównanie strejków zwycięskich z przegranymi, które miały miejsce w Anglii, Francyi i Austryi w przeciągu ostatnich kilku lat, doprowadza do ogólniejszego jeszcze wniosku, na niekorzyść tych walk robotniczych — mianowicie wykazuje: że strejki zwycięskie, przynajmniej w tych trzech krajach, przez przeciąg dość znacznego czasu, okazały się powszechnie strejkami mniejszych rozmiarów[2].

Jeśli tu zwracamy uwagę na tak częste niepowodzenie walk robotniczych, nie chcemy przez to twierdzić, jakoby cały ruch strejkowy, w ogólności wzięty, przynosił więcej strat niż korzyści. Wymagałoby to ścisłego zestawienia tych strat i korzyści, a zadanie to jest i niewykonalne i dla celu tej pracy obojętne. Chcieliśmy tylko to jedno zaznaczyć, że ekonomiczne walki robotników z przedstawicielami kapitału, są z natury swej grą w najwyższym stopniu hazardowną i obosieczną, która w wielu tysiącach wypadków zwraca się przeciwko robotnikowi, i wtrąca go w nędzę stokroć większą, niż ta, dla której odwrócenia strejk rozpoczynał.

Twierdzenie to nabiera tem donioślejszego znaczenia, jeśli zważymy, że nieraz i zwycięskie strejki nie przynoszą robotnikowi żadnych ekonomicznych korzyści, a czasem nawet pozostawiają mu w rezultacie bardzo dotkliwe i niedające się powetować straty. Weźmy np. strejki, w których robotnicy walczą zwycięsko o podniesienie zapłaty. Jeśli taki strejk nadmiernie się przedłuża i trwa, jak nieraz bywało, kilka miesięcy, kosztuje on robotników tak wielkie sumy, że uzyskane podniesienie zapłaty nie jest w stanie strat tych pokryć, jak tylko po bardzo długim przeciągu czasu. Np. w Stanach Zjednoczonych w latach 1881—1886 naliczono 202.800 robotników, którzy o podwyższenie

[1] Przypominamy, że austryacka statystyka obejmuje tylko Przedlitawię, a i w w niej nie uwzględnia strejków górniczych ani agrarnych.

[2] Mataja, *Jahrbücher für Nationaloekonomie und Stat.*, III F., 13 Bd. 2 Heft, str. 267.

płacy walczyli z całkowitem lub przynajmniej częściowem powodzeniem. Strata ich płac miała wynosić 4,921.151 dolarów, przeciętna zaś nadwyżka płac, wywalczonych przez strejki, była tak stosunkowo nieznaczną, że dopiero po 99 dniach pracy mogli odbić poniesione straty i zacząć zbierać właściwe owoce zwycięstwa.

Tymczasem zdarza się raz po raz, że pierwej nim to nastąpi, nastaje nagła zmiana konjunktury targowej, z której korzystają pracodawcy, wprowadzając daleko nieraz idące redukcye płac. Najlepsza nawet organizacya nie potrafi zabezpieczyć robotników przed tego rodzaju ewentualnością, żadna bowiem organizacya nie jest w stanie przewidzieć biegu interesów w przyszłości, zależnego częstokroć od różnorodnych a nieobliczalnych czynników. W r. np. 1890 wskutek pomyślnej konjunktury robotnicy angielscy walczyli z powodzeniem o podwyższenie zapłaty: większość strejkujących była zwycięską. Ale po tym kulminacyjnym roku pomyślności nastało silne cofanie się interesów, a w ślad za niem zniżanie płac robotniczych. Strejki podejmowane przeciwko tej redukcyi (jak strejki górnicze w Durham) zaczęły się nieudawać; liczba robotników pokonanych była w r. 1891 większą niż zwycięskich, a straty ich obliczano na 1,500.000 f. szt. Związki robotnicze liczyły je jeszcze wyżej.

Ale postąpmy o krok dalej. Ekonomiczne następstwa strejków nie ograniczają się do samych tylko stron walczących: skutkiem wielostronnych relacyj, jakiemi sprzęgnięte jest życie gospodarcze, zwłaszcza w dzisiejszym swym rozwoju, dosięgają one i dalszych kół społecznych, narażając je nieraz na znaczne straty, bardzo przykre zawody i całkiem bezwinne cierpienia. Łatwo zrozumieć, jak szeroko i dotkliwie odczutym być musi każdy większy strejk, wybuchający w tych gałęziach produkcyi, która zaspokaja najniezbędniejsze potrzeby ludności. Dość tu wspomnieć dla przykładu strejki piekarskie lub węglowe. Jeśli te strejki trwają dłuższy czas i przybierają większe rozmiary, całym miastom a nawet okolicom może zabraknąć chleba i materyału na opał; co najmniej, ceny tych artykułów tak idą w górę, że ich nabycie przekracza możność szerokich warstw ludności, skazanej przez to na najdotkliwsze prywacye. W czasie wiel-

kiego strejku węglowego, który nawiedził Anglię w 1893 roku, a przeciągnął się do zimy, dochodziło do tego, że w wielu miejscowościach wyrywano bruki drewniane, aby zdobyć choć nieco materyału na opał. Naoczni świadkowie pisali wówczas, że dzieci ubogich rodzin w późnym jeszcze wieku wspominać będą tę ciężką jesień, w ciągu której tak zimno było w szkole i w kościele, a po domoch ich rodziców nie płonęło ognisko.

Niemniej dotkliwe następstwa pociągają za sobą strejki, nawiedzające te gałęzie produkcyi, która dostarcza materyału innym gałęziom pokrewnym, lub od niej zależnym. Strejk ceglarzy wstrzymuje łatwo ruch budowlany, strejki w kopalniach żelaza oddziaływują zabójczo na hutnictwo, większe strejki węglowe w najkrytyczniejszem położeniu postawić mogą wszystkie zakłady fabryczne i wszystkie przedsiębiorstwa komunikacyjne, obsługiwane węglem. Kiedy w r. 1871 niemiecki strejk górniczy, trwający kilka tygodni, wywołał ubytek węgla, wynoszący dziennie około 300.000 cetnarów, po pewnym czasie, skoro się wszędzie wyczerpały zapasy węglowe, zaczęły stawać nietylko liczne fabryki, ale też koleje i publiczne gazownie. Takie same następstwa wywołał strejk niemiecki z 1889 r.; podobnie bywało nieraz i w Anglii. Tak np. skutkiem wielkiego strejku węglowego, który w r. 1892 wybuchnął w Durham, przestało funkcyonować 94% wielkich pieców fabrycznych; w samym przemyśle żelaznym i stalowym 75% fabryk musiało wstrzymać ruch. A takie wstrzymanie fabryk nietylko ciężkie przynosi straty ich właścicielom, ale dotkliwie daje się we znaki i robotnikom u nich zajętym, z powodu bowiem zamknięcia przedsiębiorstw lub ograniczenia ich ruchu tracą pracę i zarobek, choć byli może dobrze płatni i z swej pozycyi zadowoleni. We Francyi w r. 1893 liczono robotników przymuszonych w ten sposób do bezrobocia 10.000. W tymże roku wielki angielski strejk węglowy wywołał tak znaczne ograniczenie ruchu na jednej z linij kolejowych, że całe tysiące personalu służbowego znalazło się nagle bez zajęcia. O tem, że szkocki strejk górniczy w r. 1894 pozbawił na jakiś czas zarobku 20.000 hutników, wspominaliśmy już wyżej. W Austryi w tym samym roku naliczono przymuszonych do

bezrobocia 4.299 robotników, rok zaś potem przeszło 2.000. Stratę płac, jaką ponieśli ci ostatni, oznacza statystyka na 35.000 złr.

Trzeba jeszcze i na to zwrócić uwagę, że przedsiębiorstwa bezpośrednio czy pośrednio zmuszone przez strejkujących do wstrzymania lub ograniczenia ruchu, nie są w stanie dotrzymać kontraktów dostawczych i uiścić na termin poczynionych u siebie zamówień. Taki zawód dotyka znowu bezwinnych odbiorców i może stać się dla nich przyczyną olbrzymich strat i zawikłań. Zeszłoroczny strejk kolejowy w Szwajcaryi, jakkolwiek trwał tylko przez dwa dni, spowodował jednak przez opóźnienie ważnych transportów znaczne dla odbiorców szkody. Z samej Luzerny miano zażądać 100.000 fr. tytułem odszkodowania.—Wogóle strejki, wybuchające w przedsiębiorstwach komunikacyjnych, pomijając już inne ich następstwa, wływają bardzo szkodliwie na handel. Portowy strejk hamburski z r. 1896/7, jakkolwiek nie wstrzymał w całości ruchu, podciął jednak bardzo silnie handel zbożowy, nie mniej jak i transport węgla, nie mówiąc już nic o handlu owoców i innych artykułów spożywczych, wstrzymanym ze szkodą tak kupców, jak ich odbiorców w czasie świąt Bożego Narodzenia. Wielu zagranicznych dostawców utraciło w tym czasie stały odbyt na rynkach niemieckich, lub w nieznacznych tylko rozmiarach zdołało go utrzymać. W przeciągu jednego miesiąca grudnia przywóz zagraniczny w porcie hamburskim mniejszy był, niż zwykle o 100.000 ton.

Wspomnieliśmy powyżej, że strejk przynosi jeszcze z sobą pewne niebezpieczeństwa moralne. Tak jest w rzeczywistości.

Rozrywając naturalny związek pracy z kapitałem, i dając odczuć tak kapitaliście, jak i robotnikowi dotkliwe tego rozerwania następstwa, rzuca strejk zarzewie moralnego rozdwojenia między dwie klasy społeczne: gdzie zaś to rozdwojenie już przedtem istniało, tam je pogłębia i zaostrza. Ukryte niechęci i niedowierzania wzajemne przeradzają się w otwarty i zawzięty antagonizm: miejsce trzeźwej rozwagi zajmuje rozdrażnienie i upór, miejsce ludzkich uczuć — zawzięty gniew i fanatyczna nienawiść. Te namiętności popychają łatwo do fałszywych i nierozważnych kroków, które silniej jeszcze drażnią stroną przeciwną. Rośnie

wzburzenie, padają obelgi i złorzeczenia, coraz śmielej odzywają się groźby, a na wypadek niepowodzenia budzi się chęć odwetu i żądza zemsty. Nastrój ten stać się może bardzo groźnym i niebezpiecznym zwłaszcza wśród większych mas robotniczych.

Wiadomo, że nauki filozoficzno-prawne wiele się zajmowały w ostatnich czasach zbiorową psychologią tłumów, i doszły między innymi do wniosku, że „tłum jako całość spada zawsze poniżej tego poziomu, na jakim stoją jednostki, w skład jego wchodzące“ [1]. Zwłaszcza gdy ponad tłumem stanie namiętny przywódca i rozbudzi nadmiernie uczucia kosztem rozumu, wówczas każdy impuls, dany tej masie ludzkiej, nietylko przyjmowany bywa szybko, bez wszelkiej krytyki, ale też działanie jego, skutkiem wzajemnego roznamiętniania się tłumu, nabiera coraz większej intenzywności, wzmaga się — jak mówi Tarde — pewnym rodzajem progresyi matematycznej. „Co u pierwszego sprawcy poruszenia — u tego np., co rzucił na ślepo podejrzenie przeciwko pewnej kategoryi obywateli — było tylko umiarkowanem pragnieniem, lub chwiejnem mniemaniem, to w masie wzburzonej, w którą padło to ziarno, staje się prędko namiętnością i przekonaniem, nienawiścią i fanatyzmem“ [2]. Zaciera się poczucie niegodziwości pewnych środków, nie uderza nawet uwagi ich bezcelowość, szał bowiem i uniesienie, które ogarnęło wszystkich, zaciemnia rozum, przygłusza sumienie i chociaż nie uniemożliwia, to jednak utrudnia refleksyę.

Jeśli pod wpływem tych warunków psychicznych popełniał nieraz zbrodnie tłum, przypadkowo nawet zebrany, o ileż łatwiej stać się to może w tłumie strejkującym, który wytwarza się świadomie i celowo, gromadzi się często, rozdrażniony jest silnie, a składa się z jednostek stwardniałych w jarzmie ciężkiej pracy, miotanych uczuciem doznanej krzywdy, nieraz i głodu, wystawionych na wszystkie pokusy i prywacye długo nieraz trwającego bezrobocia. Skoro na zebraniach tych ludzi poczną się odzywać gwałtowne mowy o „krwi robotniczej, którą leją kaci“,

---

[1] Br. Łoziński, *Tłum*, str. 49.

[2] G. Tarde, *Revue des deux mondes*, 1893, 15 Novembre, pag. 353.

skoro niesumienna agitacya zacznie im mówić o dniu odwetu i nauczy śpiewać tak krwawe pieśni, jak owa z 1844 roku:

Ihr Schurken all, ihr Satansbrut,
Ihr höllischen Dämone!
Ihr fresst der Armen Hab' und Gut,
Und Fluch wird Euch zum Lohne —

wtedy najmniejsza iskierka wystarcza, aby spowodować gwałtowny wybuch, nieoszczędzający nikogo i niczego. Do jakich zbrodni dochodziły w takich chwilach tłumy strejkujące, o tem poucza historya ruchu robotniczego, i to nietylko z pierwszych dziesiątków stulecia. Płonące fabryki i prywatne mieszkania pracodawców, a w nich i wkoło nich tańcujące pośród ogni i dymów zastępy robotnicze, podniecane trunkiem i dzikim śpiewem, widziano nietylko przed laty w Manchester, ale i za świeżej jeszcze pamięci w Belgii. Żadnego prawie kraju nie oszczędziły te burze. Nawet w dzisiejszej Anglii, zwłaszcza w południowej Walii i w Yorkshire, dochodziło przed paru laty podczas wielkiego strejku węglowego do takich ekscesów, o których mówiono, że przypominają żywcem sceny z *Germinal'a*. A cóż mówić dopiero o Stanach Zjednoczonych, gdzie w ostatnich latach dominującą rolę przy strejkach odgrywał rewolwer i dynamit, gdzie tłumy robotników zorganizowane w formalne armie, z dowódcami na koniach i z dziką muzyką przeciągały przez kraj, zrywając szyny kolejowe, paląc fabryki i wysadzając w powietrze mosty. „Działo się to — powiada jeden z sprawozdawców — w kraju wolności, w lecie 1894 r., kiedy w walce pracy i kapitału moralność zgoła żadnego, a władza państwowa ledwo jakieś miała znaczenie“ [1].

Inne, bliższe nam tego rodzaju zajścia, o których tu się nie chcemy rozpisywać, mamy jeszcze wszyscy w świeżej pamięci.

Cóż o tem wszystkiem etyka?

Etyka musi zaznaczyć na pierwszem miejscu, że cała ta walka ekonomiczna, wraz ze wszystkiemi jej niebezpieczeństwami i następstwami, jest czemś gwałtownem, anormalnem i złem.

[1] Sartorius von Waltershausen, *Handw. der Staatswiss.* 1. Supl.-Bd., str. 419—420.

Złem, nie zawsze wprawdzie moralnem, ale co najmniej fizycznem i społecznem, dochodzącem nieraz do bardzo znacznych rozmiarów, a przytem mniej lub więcej blizką okazyą zła moralnego. Ze stanowiska prawa przyrodzonego jasnem jest, że tego rodzaju środek, pociągający za sobą tak znaczną nieraz sumę złego, nie może być ani pożądanym, ani też łatwo dopuszczonym — co najwyżej, usprawiedliwić go można z tytułu konieczności, w pewnych wyjątkowych położeniach i pod pewnymi warunkami.

Przez konieczność, rozumiemy tu brak wszelkich innych środków do osiągnięcia słusznych i niewątpliwych praw. Jak długo istnieje możność dojścia do tych praw na innej drodze, tak długo strejk jest tem samem niedopuszczalny. Jest on z rodzaju tych środków, które etyka obejmuje pod nazwą: *malum necessarium* — wtedy więc tylko usprawiedliwionym być może, kiedy jest środkiem absolutnie jedynym. Z tego wynika i to, że powinien on być środkiem ostatecznym. Robotnicy pokrzywdzeni czy uszczupleni w swych prawach, mają obowiązek próbować najprzód wszystkich sposobów pokojowego załatwienia nieporozumień, i dopiero wówczas, gdy te sposoby zawiodą lub okażą się nie do użycia, wolno im chwycić się dotkliwej i niebezpiecznej walki ekonomicznej [1].

Że przy dzisiejszych stosunkach gospodarczych takie wypadki konieczności zdarzyć się, niestety, mogą — sami przyznaliśmy powyżej: błędem jednak byłoby mniemać, że wśród tych tysięcy strejków, które miewamy rok rocznie, da się każdy taką koniecznością usprawiedliwić. W wielu razach możliwem jest pokojowe wyrównanie różnic między robotnikami a pracodawcą,

---

[1] „Es möge... hier für alle, auch für die, an sich berechtigten Arbeitseinstellungen, bemerkt sein: Wegen der eben genannten Gefahren und wegen der weitgehenden und schweren Folgen, von denen ganze Schichten der menschlichen Gesellschaft können ergriffen werden, würde es durchgängig unerlaubt sein, ja zu einem socialen Vergehen werden, wenn der Verwirklichung einer derartigen Arbeitseinstellung nicht ein ernstlicher Versuch der Arbeiter vorausginge, durch Bitten oder Drohungen ihre berechtigten Forderungen zu erreichen. Der Strike soll und muss eben das letzte Zwangsmittel bleiben". Lehmkuhl, *Theol.-prakt. Quartal-Schrift*, XXII Jg., str. 838.

czego dowodem choćby sądy rozjemcze i inne instytucye pokrewne, które potrafiły już zażegnać niejedną burzę. Zdarza się atoli raz po raz, że upór i namiętność jednej lub drugiej ze stron poróżnionych odrzuca wszelkie formy porozumienia, lub nawet zrywa nawiązaną już nić pokojowej akcyi.

W zeszłym np. roku odbył się w Szwajcaryi głośny strejk służby kolejowej — pierwszy tego rodzaju na europejskim kontynencie. Wiele pisano i mówiono o tym strejku, a ze względu na to, że walczył o słuszną sprawę i obył się bez zaburzeń, nazywano go powszechnie „wzorowym". A jednak inicyatorowie tego strejku nie są wolni od poważnego zarzutu. Początkowo wprowadzili sprawę na dobrą drogę. Wniesiono zażalenie robotników przeciw dyrekcyi, czego następstwem było wydelegowanie z ramienia rządu komisyi śledczej. Komisya ta, złożona z ludzi ruchowi robotniczemu szczerze przychylnych, zabierała się właśnie do rozpatrzenia sprawy, kiedy wtem przywódcy robotników zmienili nagle front, i nie czekając na rezultaty śledztwa doprowadzili do wybuchu strejku. Szczęściem trwał on dwa dni tylko i skończył się dla robotników zwycięsko. Całkiem słusznie pisało jedno z poważnych pism niemieckich, że „kolejarze szwajcarscy walczyli o słuszne swe prawa; wywalczyli je jednak na nieprawnej drodze" [1].

Podobny zarzut podnieść trzeba nieraz i przeciw pracodawcom. Żeby wspomnieć fakt świeży, w zeszłorocznym strejku hamburskim odrzucili oni z całą bezwzględnością ugodowe propozycye robotników, a jak stwierdzają głosy dobrze poinformowane, odrzucili je bez słusznego powodu [2].

Na drugiem miejscu domaga się etyka, aby powody, dla których strejk ma być podjętym, były odpowiednio doniosłe, tj. proporcyonalne do natury i rozmiarów tych strat i cierpień różnorodnych, jakie ze zbiorowego zawieszenia pracy naturalnem następstwem rzeczy mogą wyniknąć. Jakkolwiek robotnicy do wywołania tych strat nie przykładają się ani czynnie, ani

---

[1] *Hist.-pol. Blätter,* Jahrg. 1897, Erster Bd., str. 751.

[2] Tönnies, *Archiv für soziale Gesetzgebung* etc., x Jahrg., str. 698 i nast.

bezpośrednio, ale raczej negatywnie i przy współudziale długiego nieraz szeregu czynników pośrednich, mimo to jednak zaprzeczyć się nie da, że między ich strejkiem a temi stratami istnieje bądź co bądź przyczynowy związek. W razie gdyby rozpoczęli strejk bez słusznej i dostatecznej racyi, związek ten wystarczyłby, aby ich uczynić za te następstwa odpowiedzialnymi, przynajmniej o tyle, o ile je przewidzieli. Oznaczenie dokładnej proporcyi między rozmiarami tych następstw a doniosłością powodów, które w danym wypadku za strejkiem przemawiają, nie zawsze jest rzeczą łatwą: wiele jednak światła przynieść tu mogą znane prawidła etyczne, dotyczące kolizyi praw. Wedle tych prawideł, w razie zbiegu dwu praw ludzkich, którym równocześnie nie może stać się zadosyć, przeważa i utrzymuje się to prawo, które się odnosi do dóbr wyższego rzędu; które odpowiada obowiązkom bezwzględnym, lub do bezwzględnych bardziej zbliżonym; którego rozciągłość jest szerszą i powszechniejszą; za którem przemawia większa konieczność, lub bardziej nagląca potrzeba. Opierając się na tych zasadach, zdaniem naszem niewątpliwych, dojść się musi do wniosku, że są pewne kategorye strejków, których ujemne następstwa w żadnej nie zostają proporcyi do powodów, dla których się te strejki rozpoczyna. Czy starcia, do jakich czasem dochodzi między pracodawcą a jednym z robotników, kończące się wydaleniem tego ostatniego, mogą być dla jego towarzyszy dostateczną racyą do proklamowania strejku w imię pięknego zresztą hasła solidarności — o tem możnaby jeszcze dysputować. Jeśli jednak przypomnimy sobie tę powódź strejków, jaka szerzyła się niedawno temu pod hasłem święcenia 1-go maja; jeśli zwrócimy uwagę na fakt, że w samej Austryi w jednym roku 1894 strejkowało w tym celu 15.670 robotników, z tych zaś 10.690 całkiem bezskutecznie; że przy tych strejkach, pomijając już inne ich następstwa, nie obeszło się bez gwałtów i zaburzeń, a nawet bez krwi przelanej — to godzi się zapytać, czy nie jest największą lekkomyślnością i zupełnem zatraceniem miary etycznej, dla celów tak błahych podejmować tak zaciętą, tak dotkliwą i obosieczną walkę ekonomiczną, która nietylko zaognia klasowe

antagonizmy, ale sprowadzić może tak na strony walczące, jak na dalsze koła społeczne ciężkie i niezasłużone straty?! Trudno doprawdy zrozumieć, które z ludzkich praw robotnika doznałoby uszczerbku, gdyby w dniu 1-go maja pozostał przy pracy, a obchody majowe, jeśli już koniecznie być muszą, urządzał, dajmy na to, w jakąś niedzielę?

Są atoli inne rodzaje strejków, których ujemne następstwa, zestawione z przeciwwagą powodów, skłaniających do strejkowania, przemawiają stanowczo na korzyść tych ostatnich. Pomocnikowi piekarskiemu lub szwaczce, zmuszanym twardą koniecznością do ciężkiej i zabójczej pracy, trwającej nieraz po 18 godzin dziennie, a przynoszącej taką zapłatę, że ledwie starczy na odpędzenie głodu, skutkiem czego piekarczyk powiększa swe dochody kradzieżą a szwaczka prostytucyą, nikt z nas nie odmówiłby prawa do strejku, dla tego, że strejk piekarzy narazi ludność na dotkliwy brak chleba, przez strejk zaś szwaczek jakiś wielki magazyn konfekcyjny i jego odbiorcy znajdą się chwilowo w dość kłopotliwem położeniu. Przypuściwszy, jak to bywa najczęściej, że ci ludzie nie mają prócz strejku żadnego innego sposobu poprawienia swej doli, czyż podobna od nich żądać, aby pracując dalej w dawnych warunkach, znosili sami najcięższą nędzę i wszystkie z nią połączone niebezpieczeństwa moralne, dla uchylenia od drugich możliwej szkody materyalnej, na którą zresztą, jak już mówiliśmy, tylko negatywnie i dość odlegle wpływają.

Ale mówią nam, że interes prywatny ustąpić powinien publicznemu. Bez kwestyi — tylko zasady tej nie trzeba błędnie rozumieć. Nasamprzód bowiem o tyle tylko jest ona słuszną, o ile się odnosi do dóbr równorzędnych: spaczeniem rzeczy byłoby twierdzić, że interes materyalny pewnej grupy ludzi, lub całego nawet społeczeństwa jest w stanie przeważyć, sam przez się, prawo jednostki do życia, lub do dóbr związanych z moralnością. Powtóre, jeśli zastosujemy tę zasadę do dóbr równorzędnych, jakimże prawem szkody i cierpienia osób, dotkniętych ekonomicznymi skutkami strejku, uchodzić mają za sprawę publiczną, cierpienia zaś i nędza robotników strejkują-

cych — za rzecz prywatną? Sprawa robotników, domagających się ludzkich warunków bytu, jest przecież sprawą całej klasy obywateli, klasy, która liczebnie jest największą, przytem zaś niezmiernie ważną dla całego organizmu społecznego, ile że stwarza swą pracą niezbędne podstawy materyalne szczęścia i dobrobytu wszystkich innych klas. Naprawa losu robotników i troska o ich możliwą pomyślność leży nietylko w ich własnym interesie, ale i w publicznym: „Quae cura, tantum abest, ut noceat cuiquam, ut potius profutura sit universis; quia non esse omnibus modis eos miseros, a quibus tam necessaria bona proficiscuntur, prorsus interest reipublicae“ [1].

Nie mniej jednak i to jest pewnem, że robotnikowi nawet wówczas, kiedy ma dostateczne powody do rozpoczęcia strejku i kiedy ten środek samoobrony czy samopomocy wydaje mu się jedynym, strejkować mimo to nie wolno, jeśli nie ma rozumnych szans powodzenia. Warunek ten stawia etyka nietylko ze względu na możliwe straty pracodawcy lub dalszych kół, od jego przedsiębiorstwa zależnych, ale też ze względu na interesa robotnicze. Marnowanie własnych zasobów i narażanie się na niebezpieczeństwo większej jeszcze nędzy nie jest rzeczą moralnie obojętną, zwłaszcza tam, gdzie obok obowiązków ściśle osobistych istnieją szersze obowiązki już to względem rodziny, już to względem licznych zastępów współtowarzyszy. Póki zatem organizacya robotnicza nie jest dość silną i karną, póki na przetrzymanie bezrobocia nie mają robotnicy dostatecznych funduszów, póki wreszcie nie nadejdzie chwila ze względu na stosunki targowe dla walki ekonomicznej korzystna, tak długo rozpoczynanie strejku, choćby za nim przemawiały wszystkie inne względy, byłoby lekkomyślnością, godną potępienia nietylko z ekonomicznego, ale i z moralnego stanowiska. Nieliczenie się z tym względem stawało się już powodem, że robotnicy do strejków z góry skazanych na przegraną, pozwalali się wciągać niesumiennym agitatorom, dążącym jedynie do tego, aby o parę setek powiększyć szeregi zrujnowanego i zrozpaczonego proletaryatu

[1] Encyklika: *Rerum novarum.*

i wywołać w masach gwałtowne wrzenie — wodę na młyn rewolucyjnej propagandy. Bywało i to, że robotnicy wpadali w sidła niesumiennych pracodawców, którzy pokątnemi machinacyami sami ich popychali do strejku, aby po jego wybuchu mieć pretekst do podniesienia cen towarów, których chwilowo mieli znaczne zapasy, a po odniesieniu łatwego nad robotnikami zwycięstwa obniżyć jeszcze ich zapłaty.

Ta bezgraniczna i chorobliwa lekkomyślność, upatrująca w strejku uniwersalne lekarstwo na wszystkie cierpienia, i gotowa go inscenizować bez rozwagi, na każde zawołanie, na pierwsze lepsze hasło, wcale nie łagodnieje wśród warstw roboczych, przynajmniej w krajach mniej wyrobionych ekonomicznie. Zaznaczają to z naciskiem, niepodejrzane w tym względzie o przesadę, same pisma i komisye socyalistyczne. Między innemi wiedeńska *Arbeiterzeitung* tak się wyraża o ruchu strejkowym w Austryi w ciągu roku 1896:

„Wiele organizacyj, pełnych nadziei, skutkiem nierozważnych, bez obrachunku podjętych strejków, poniosło ciężkie straty, jeśli nie popadło w ruinę... Ruch strejkowy o płacę przyniósł znacznie więcej strat, niż korzyści. Ci z robotników, którzy sobie wystawiają, że sam zapał starczy na to, aby całymi tygodniami opierać się przedsiębiorcom, skupiającym się w coraz silniejszych koalicyach, są niepraktycznymi ideologami. Przeciw grasującej po Austryi manii strejkowej musi się energicznie wystąpić, jeżeli nie ma postępować dalej dzieło zniszczenia organizacyj zawodowych, stworzone tak wielkiemi ofiarami pieniędzy, czasu i pracy“ [1].

Równie surowy sąd wydał rok przedtem kongres austryackich robotniczych związków zawodowych, zebrany we Wiedniu:

„Konieczną — powiada — i naglącą jest potrzebą raz koniec położyć bezcelowości i bezplanowości strejków... jeśli nie chcemy, aby w przyszłości nietylko większa część tych walk, mimo poniesionych ofiar, szła na marne, ale też powstało wielkie niebezpieczeństwo dla organizacyi, z takim trudem wzniesionej...

[1] *Arbeiterzeitung*, 1 Jänner 1897, str. 7.

Z liczby straconych strejków, wielu nie należało rozpoczynać inne znów mogły się zakończyć zwycięstwem robotników... Sprawa lepiejby stała, gdyby niektóre strejki prowadzone były z większem liczeniem się, a z mniejszym entuzyazmem... Przedewszystkiem fundusz strejkowy, potem zezwolenie organizacyi, wreszcie dopiero strejk".

Do wyrażonych tu poglądów nic z naszej strony nie potrzebujemy dodawać.

Można się czasem spotkać ze zdaniem, że etyka nie powinna dopuszczać strejku, ze względu na występki i zbrodnie, jakie z nim nieraz się łączą, a których on jest podnietą i bardzo blizką okazyą.

Tego wniosku w całej jego rozciągłości aprobować nie możemy. Przecież we wojnie bywają nieraz popełniane niemałe zbrodnie i występki, w naturze zaś towarzyszących jej okoliczności mieszczą się podniety ludzkich namiętności, silniejsze chyba niż w strejku — mimo to jednak etyka nie potępia wojny w zasadzie. Dlaczego? Dlatego, że zło ściśle moralne, które z wojną niejednokrotnie się łączy, a którego ona bywa okazyą, nie wynika z jej istoty z nieuniknioną koniecznością; okazya do złego może być złagodzoną, zło moralne ominiętem. W wiele większym stopniu może to mieć miejsce i przy strejku. Ani osobista nienawiść ku przedsiębiorcom, ani dzika żądza odwetu i zemsty, ani wreszcie zaburzenia porządku publicznego lub napadania na osoby czy mienie przeciwników, nie wchodzą w jego istotę, nie są nawet okolicznością dla strejkujących pożądaną, lub ułatwiającą im zwycięstwo. A nie można przecież powiedzieć, żeby możliwość strejków spokojnych i oględnych była tylko teoretyczną. Prawda, że sporadyczne ekscesy zdarzają się często, ale za nie odpowiadają jednostki; masowe zaś występki i zbrodnie, za które odpowiada całość i jej przewódcy, wcale nie są powszechną regułą. Strejkom gwałtownym i dzikim, o których mówiliśmy wyżej, przeciwstawić można poważną liczbę strejków, żadnym nie zakłóconych wybuchem, nawet wówczas, gdy w tych strejkach brały udział tysiące. Nie ulega też wątpliwości, że bezpo-

średnią okazyą wielu gwałtów i zaburzeń, jakich robotnicy tłumnie się dopuszczali, były krzyczące nadużycia i butne prowokacye pracodawców, gdzieindziej znowu zbyt bezwzględna i drażniąca taktyka władz, nieoględne zachowanie się wojska czy policyi. Strzelanie do tłumów jest to środek, który popchnąć może do bardzo gwałtownych kroków najbardziej nawet pokojowo usposobione jednostki.

Mimo to jednak przyznać trzeba, że w wielu razach schodzą się przy strejkach tego rodzaju okoliczności, które wywołać mogą groźne niebezpieczeństwo zaburzeń i innych nieodłączalnych od tego występków. Jest w tem nowy powód, aby z tak niebezpiecznym środkiem obchodzić się najostrożniej, z koniecznością jego użycia liczyć się najsumienniej i dążyć wszelkiemi siłami do jego ograniczenia. A jeśli, mimo tych wszystkich zastrzeżeń, użytym on niekiedy być musi, wtedy obowiązkiem się staje tak uczestników strejku jak i jego kierowników, nie zaostrzać tych niebezpieczeństw moralnych, które już leżą w samej naturze rzeczy, ale je łagodzić; nie podkładać ognia pod wybuchowy materyał, ale go jak najdalej odsuwać. Trzeźwa rozwaga i badanie targowych stosunków, do których koniecznie przystosować się musi akcya robotnicza, jeśli niema być chybioną, zastąpić powinny miejsce krzykliwych zebrań, podniecających a pustych demonstracyj i tych gwałtownych filipik, w których najsilniejszemi dawkami podnieca się namiętności słuchaczy, na sądny dzień ludu wzywa się wszystkie rządy i trony, a całe społeczeństwo, o ile nie chodzi w robotniczej bluzie, wystawia się jako jedną bandę wyzyskiwaczy, tuczących się potem i krwią warstw pracujących.

Niedługo po wydaniu encykliki *Rerum novarum* poczęły odzywać się głosy, przeważnie w Niemczech, że Leon XIII. zasadniczo potępił strejk, jako źródło szkód i zaburzeń publicznych. Pogląd ten utrzymuje się dotąd, nawet w dziełach poważnych: świeżo między innymi powtarza go Herkner, i opiera na nim twierdzenie, że stanowisko katolickiej prasy niemieckiej, która pewne strejki brała w obronę, nie ze wszystkiem jest zgodne

ze stanowiskiem papieża[1]. Jest w tem proste nieporozumienie, spowodowane, zdaje nam się, niedokładnościami oficyalnego przekładu encykliki, do którego w Niemczech częściej widać zaglądano, niż do oryginału. Papież nie mówi, jak chce przekład, że obowiązkiem państwa jest tłumienie strejków i użycie przeciwko nim represaliów *(dieses Vorgehen... fordert die öffentliche Gewalt auf, Gegenwehr zu ergreifen):* zaznacza on tylko, że strejk jest dotkliwą chorobą społeczną, którą leczyć—jest obowiązkiem publicznym *(cui quidem incommodo usitato et gravi medendum publice).* W tych słowach niepodobna się dopatrzeć potępienia strejku w zasadzie—podnosi w nich tylko Leon XIII. ten ujemny rys walki robotniczej, o którym mówiliśmy wyżej.

Wogóle encyklika *Rerum novarum* nie traktuje kwestyi strejku ani wyczerpująco ani zasadniczo, z tych jednak miejsc, w których dotyka jej mimochodem, widać niedwuznacznie, że Leon XIII. nie jest w tym przedmiocie zwolennikiem bezpośredniej i daleko idącej ingerencyi państwowej. W razie gwałtów i zaburzeń porządku publicznego przyznaje oczywiście państwu prawo i obowiązek wkroczenia z całą powagą, ale o tyle tylko, o ile wymaga rodzaj niebezpieczeństw i doraźna potrzeba. Poza temi wypadkami państwo starać się powinno o uleczenie stosunków gospodarczych, ku czemu wydaje się papieżowi najbardziej skuteczną i zdrową ta metoda, która polega na akcyi prewencyjnej, uprzedzającej zło i zamykającej jego źródła. Przedewszystkiem radzi, aby na drodze ustawodawczej starały się rządy usunąć wszystkie niewłaściwości, jakie ciążą na dzisiejszych stosunkach robotników z pracodawcami, a przy których trwaniu nieuniknionymi musiałyby być dalsze konflikty.

Taką jest w całości myśl papieża[2].

---

[1] Dr. Heinrich Herkner, *Die Arbeiterfrage.* 2 Aufl. (1897). Str. 380—381.

[2] Dwa ustępy encykliki, w których jest mowa o strejku, przytaczamy tu dosłownie. Oto pierwszy i najważniejszy:

„Longinquior vel operosior labos, atque opinatio curtae mercedis, caussam non raro dant artificibus, quamobrem opere se solvant ex composito, otioque dedant voluntario. Cui quidem incommodo usitato et gravi medendum publice, quia genus istud cessationis non heros dumtaxat atque opifices ipsos afficit damno, sed mercaturis obest, reique publicae utilita-

V.

Rezultat, do jakiegośmy doszli w poprzednim rozdziale, był ten, że etyka, jakkolwiek nie odrzuca strejku w zasadzie, w gruncie rzeczy uważa go jednak za środek gwałtowny i anormalny, którego użycie li tylko z konieczności usprawiedliwionem być może. To stanowisko etyki znajduje uzasadnienie nie tylko w stratach ekonomicznych strejku i w jego niebezpieczeństwach moralnych, o których dotychczas prawie wyłącznie mówiliśmy — ma ono jeszcze inne, wiele głębsze podstawy.

Zawzięta walka dwóch klas społecznych, która w dzisiejszej swej ciągłości i rozpowszechnieniu przybiera coraz bardziej charakter jakiegoś stałego i rozstrzygającego o wszystkiem czynnika, stając się przez to jakby normalnym regulatorem stosunków między pracodawcą a robotnikiem — taka walka w samem swem pojęciu jest czemś sprzecznem z naturą rzeczy i z temi prawami przyrodzonemi, wedle których życie rozwijać się winno.

Są co prawda pewne szkoły i partye, które tej sprzeczności nie chcą dostrzedz, czy może nie umieją. W szeregu pojęć filozoficznych, których pierwsze ogniwa sięgają w wiek XVI. i XVII., a które nazywamy zwykle nowożytnemi, pojawiały się raz po raz zdania, upatrujące w walce ludzi z ludźmi najwyższe i odwieczne prawo natury. Społeczna teorya Hobbes'a, streszczająca się w słowach: *bellum omnium contra omnes;* Kantowskie: *Die Natur will Zwietracht;* wreszcie z pola ekonomii klasycznej zapo-

---

tibus; cumque haud procul esse a vi turbisque soleat, saepenumero tranquillitatem publicam in discrimen adducit. Qua in re illud magis efficax ac salubre, antevertere auctoritate legum, malumque ne erumpere possit, prohibere, amotis mature caussis, unde dominorum atque operariorum conflictus videatur exstiturus".

Drugi ustęp brzmi tak:

„Eis qui imperant, videndum, ut communitatem, eiusque partes tueantur... Quamobrem si quando fiat, ut quippiam turbarum impendeat ob secessionem opificum, aut intermissas ex composito operas... plane adhibenda, certos intra fines, vis et auctoritas legum. Quos fines eadem, quae legum poscit opem, caussa determinat: videlicet, non plura suscipienda legibus, nec ultra progrediendum, quam incommodorum sanatio, vel periculi depulsio requirat".

życzona i uogólniona przez Darwina „walka o byt“ — wszystko to są różne strony tego samego poglądu, wedle którego ścierania się z sobą tak osobników ludzkich, jak i zbiorowisk, jest nietylko normalnym stanem życia, ale też źródłem i pierwiastkiem wszelkiego rozwoju. Świeżo pisarz, tak z wielu względów wybitny jak Sombart, dowodzi z całą siłą przekonania, że walki ludzkie wogóle, w szczególności zaś walki klas, były zawsze dźwignią kultury i naturalnym czynnikiem postępu; że wszystko bez wyjątku, co tylko wielkiego dokonało się w dziejach, w nich miało źródło i racyę ostateczną; zdaniem jego, na wszystkich polach życia to samo panuje prawo: πόλεμος πατὴρ πάντων [1].

Ale czy te poglądy są słuszne? Stanowczo — nie!

Nietylko naturalne poczucie ludzkie, ale i rozum burzyć się musi przeciw teoryi, która uogólniając jedną grupę zjawisk życiowych, z pominięciem wszystkich innych, wysnuwa stąd ogólne prawa, i zadając gwałt naturze, robi z całości życia jakiś zachłanny i elementarny proces pożerania jednych przez drugich. Wszak życie i postęp to pojęcia na wskróś pozytywne, równoznaczne z tworzeniem i potęgowaniem bytu, wymagające skupiania sił, mnożenia umysłowych, moralnych i materyalnych zasobów — walka zaś to pojęcie na wskróś negatywne: ona rozdziela i osłabia, łamie i druzgoce; nie budowanie jej celem bezpośrednim, ale niszczenie; nie życie, ale śmierć. — Mówią nam na to, że walka jest przecie nieraz niezbędnym środkiem do osiągnięcia celów dodatnich i pozytywnych. Wcale temu nie przeczymy — zwracamy tylko uwagę, że nawet wówczas nie jest ona niczem więcej, jak uprzątnieniem przeszkód, które tym celom stoją na zawadzie — co najwyżej otwiera do nich drogę, ale ich samych nie zdobywa, nawet nie dosięga. Między jej naturą a tymi celami żadnej po prostu niema proporcyi. Inne siły tworzą wielkie dzieła i popychają świat naprzód. „Jakkolwiek zwolennicy ewolucyi — powiada równie pięknie jak głęboko, znany ekonomista Gide — odrzucamy teoryę Darwina, uważając, że głównym czynnikiem ewolucyi nie jest współzawodnictwo, które

[1] *Socialismus und sociale Bewegung*, str. 121—123.

niszczy życie, ale współdziałanie, które je podtrzymuje; nie wojna, ale miłość“ [1].

Jeśli gdzie, to przedewszystkiem na polu ekonomicznem, narzuca się to prawo naturalne z całą siłą. „Byłoby najbardziej zasadniczym błędem — powiada Leon XIII. — wyobrażać sobie, iż sama natura przeznaczyła klasę kapitalistów i proletaryat do ścierania się z sobą w zaciekłej walce. Takie pojęcie rzeczy sprzeciwia się rozumowi i prawdzie. Przeciwnie, prawdą niezawodną jest, że podobnie jak w ludzkim organizmie dostrajają się do siebie różnorodne członki, wytwarzając tę zgodność stosunków, którą zowiemy symetryą, tak samo i w społeczeństwie chciała natura, aby dwie te klasy zgodnie się dostosowywały do siebie i odpowiadały sobie nawzajem z harmonijną równowagą. Jedna bezwzględnie potrzebuje drugiej, ani bowiem kapitał bez pracy, ani praca bez kapitału istnieć nie może“ [1].

W ostatnich słowach sięgnął papież ze zwykłą sobie ścisłością myśli do samego dna rzeczy.

Jeżeli pracę, w znaczeniu ekonomicznem, określamy zazwyczaj jako działalność człowieka, skierowaną do produkcyi dóbr materyalnych, to pamiętać należy, że czynność ta, ściśle wzięta, nie jest i być nie może wytwarzaniem dóbr nowych, ale tylko przetwarzaniem istniejących. Człowiek w otaczającym go świecie ciał i sił materyalnych może jedynie wywołać pewne zmiany, absolutnie jednak przechodzi granice jego możności wytworzenie choćby najmniejszej ilości siły, choćby jednego atomu materyi. Za tem idzie, że wszelka jego praca wytwórcza, bez da-

---

[1] K. Gide, na odczycie w Genewie w r. 1890. Por. dr. Z. Daszyńska: *Najnowsze kierunki w nauce gospodarczej.* Warszawa 1896, str. 104.

[2] „Est illud in caussa, de qua agimus, capitale malum, opinione fingere unum ordinem sua sponte infensum alteri, quasi locupletes et proletarios ad digladiandum inter se pertinaci duello natura comparaverit. Quod adeo a ratione abhorret et a veritate, ut contra verissimum sit, quomodo in corpore diversa inter se membra conveniunt, unde illud existit temperamentum habitudinis, quam symmetriam recte dixeris, eodem modo naturam in civitate praecepisse, ut geminae illae classes congruant inter se concorditer, sibique converienter ud aequilibritatem respondeant. Omnino altera alterius indiget: non res sine opera nec sine re potest opera consistere“. Encykl. *Rerum novarum.*

nych sobie skądinąd dóbr materyalnych, byłały nietylko bezpłodną i bezcelową, ale wprost niemożliwą.

Ale obok dóbr materyalnych potrzebnem jest jeszcze, jeśli już nie dla absolutnej możliwości, to przynajmniej dla ułatwienia i większej wydatności pracy ludzkiej, pośredniczące między nią a przedmiotem narzędzie. Bez niego musiałaby się ona obracać w niezmiernie ciasnym zakresie, a osiągnięte rezultaty nie odpowiadałyby ani włożonemu w proces wytwórczy wysiłkowi, ani nawet potrzebom.

Już zaś dobra materyalne, o ile wchodzą w proces wytwórczy, i pomocnicze w tym procesie narzędzia, niczem innem nie są, jak właśnie kapitałem w znaczeniu ekonomicznem. Rozliczne i różnorodne formy, jakie on przybiera w dzisiejszym gospodarczym rozwoju, wyszły wszystkie z tych dwóch najprostszych pojęć zasadniczych i do nich się sprowadzają.

Tak więc ekonomiczna praca człowieka zależną jest w swej istocie od kapitału i bez niego nie da się nawet pomyśleć.

Ale i kapitał, wzięty sam sobie, nie posiada tej tajemniczej zdolności samodzielnego rozradzania się, jaką mu przypisywali niektórzy przedstawiciele szkoły klasycznej. Sam przez się jest on zupełnie martwym i żadnego nie jest w stanie przynieść owocu bez przyłożenia się pracy. Bez niej ziemia dzikie tylko wydawałaby plony, wszystkie ukryte w jej łonie skarby żadnejby zgoła nie przynosiły korzyści, narzędzia zaś i maszyny nie mogłyby ani istnieć, ani celowo funkcyonować. Dopiero ręka człowieka, opanowując siły przyrody, kierując narzędziem i maszyną, wywołując w materyi różnorodne przemiany wciąga kapitał w proces produkcyjny, nadaje mu płodność i życie i wydobywa z wnętrza jego ten rezultat, który się tam potencyonalnie ukrywał.

Ta zupełna niepłodność kapitału bez przyłożenia się pracy, i nawzajem bezpłodność pracy przy braku kapitału, jakkolwiek sprowadzona do tej prostej formuły, w jakiej ją podaliśmy, wydaje się w swej oczywistości czemś, niemal banalnem, jest jednak faktem nader doniosłym ze względu na ogólne wnioski i prawa, jakie z niego wypływają. Etyce między innymi służy

on za punkt wyjścia w określeniu moralnego stosunku, w jakim względem siebie zostawać winny klasy społeczne, współdziałające przy produkcyi. Wnioskuje ona całkiem słusznie, że skoro naturalne przeznaczenie, niedające się obejść ani przeinaczyć, sprzęgło dwa niezbędne czynniki produkcyi tak silnym węzłem zależności fizycznej, iż się bez siebie obejść nie mogą i są zmuszone wzajemnie się podtrzymywać, dopełniać i warunkować — wskazało tem samem, że obopólny interes dwóch klas społecznych, które przy produkcyi kapitał i pracę reprezentują, leżeć musi w zgodnem i harmonijnem współdziałaniu i w popieraniu się wzajemnem. Rozkwit i powodzenie jednej strony powinno być warunkiem i miarą powodzenia drugiej.

W tak sformułowanym stosunku widzi etyka naturalne i normalne prawo życia gospodarczego.

Prawo to, jak wszystkie wogóle prawa moralne, naruszone być może złą wolą ludzką. Dzieje się to tem łatwiej, że ujarzmienie jednej klasy gospodarczej przez drugą, chociaż pociąga za sobą bardzo ujemne następstwa, nie ujawnia się jednak w tym szkodliwym charakterze ani od razu, ani na całej linii; owszem do czasu przynosić ono może stronie ujarzmiającej dość znaczne zyski materyalne. Zbyt to silna ponęta, aby przy danej okazyi uledz jej nie miał ciasny i krótkowidzący egoizm ludzki. Ulega jej też raz po raz, zwłaszcza wówczas, kiedy nowe stosunki ekonomiczne dają mu wyjątkową siłę, a prawodawstwo otworzy mu szranki do wszystkich nadużyć. W takich chwilach bywa i to, że nauki społeczne, które zbyt często, niestety, schodzą z gruntu niezmiennych prawd, aby się dostosować do zmiennych warunków chwili, wysilają się na konstruowanie teoryj, usprawiedliwiających przewagę jednej klasy nad drugą i idący za tem system wyzysku.

Taki jednak stan anormalny nie może trwać długo. Zyski, jakie on przynosi, rozciągają się na bardzo nieliczne koła, a nawet dla nich są tylko chwilowe i więcej pozorne niż rzeczywiste. Prędzej czy później mszczą się one na samej stronie wyzyskującej, a więcej jeszcze na gospodarstwie publicznem i na całym społecznym organizmie, dowodząc dotkliwą wymową faktów, że

praw natury nie można gwałcić bezkarnie. — I wtedy to znowu umysły zaczynają zwracać się stopniowo w stronę tych praw, niedawno jeszcze nieuznawanych, lub dumnie ignorowanych.

Zdaje się, że taką chwilę — jak to ogólnikowo zaznaczyliśmy na samym wstępie tej pracy — przechodzimy obecnie. Dotykając tylko tych rzeczy, które nas tu bezpośrednio obchodzą, warto zaznaczyć, że po dość długim okresie, w którym za pewnik ekonomiczny uchodziło zdanie, iż między interesami pracodawcy a robotnika istnieje naturalna, niedająca się wyrównać sprzeczność, dochodzimy dzisiaj, pod wpływem wielu odczutych ciosów i przebytych doświadczeń, do poglądu, że te interesa, wzięte szerzej i głębiej, są w gruncie rzeczy wspólne. Dążność do stworzenia dla warstw roboczych pomyślnych warunków bytu, głębsze umysły nietylko już przestały uważać za rzecz zgubną dla wytwórczości, prawie równoznaczną z ruiną przemysłu, ale zaczynają nawet dowodzić, że zapewnia ona przemysłowi trwałe podstawy, że jest jedną z gwarancyj jego rozwoju. I nie same tylko względy dobra publicznego doprowadzają do tego wniosku — owszem szerzy się przekonanie, oparte na doświadczeniach, że na tej drodze nie doznają uszczerbku, ale raczej poparcia, prywatne nawet interesa kapitalistów. Jeśli do niedawna obowiązującym był pogląd, iż wysokość dochodów kapitalisty zostaje w prostym stosunku do długości dnia roboczego, a w odwrotnym do wysokości zapłaty robotnika, to dzisiaj przyznaje się głośno, że ten pogląd był sobie jedną z tych mechanicznych formułek, do których równie charakterystyczną, jak nieuzasadnioną predylekcyę żywiła zawsze szkoła liberalna. Dziś utrzymujemy wszyscy, całkiem zgodnie z teologią moralną i z starą nauką prawa przyrodzonego, że praca ludzka nie jest siłą mechaniczną, funkcyonującą stale i jednakowo, ale siłą żywą, nieodłączną od osoby robotnika, a zatem działającą lepiej lub gorzej, wedle fizycznych, psychicznych i moralnych warunków, w jakich się robotnik znajduje. Doświadczalnie stwierdzono, rzecz skądinąd już oczywistą, że robotnik dobrze się odżywiający, pogodny, wypoczęty i zadowolony pracuje intenzywniej, a zatem więcej i lepiej, niż obdarty, fizycznie i moralnie złamany, a w do-

datku wiecznie głodny nędzarz; skutkiem czego pozorne straty, wynikłe z podwyższenia płacy i skrócenia dnia roboczego, wracają się pracodawcy sowicie na ilości i jakości produktów [1]. — Nadto podnosi się i tę okoliczność, że robotnik dobrze płacony korzystnym się staje dla pracodawcy nietylko jako wytwórca, ale i jako spożywca. Stanowi on najliczniejszą grupę odbiorców, których mniejsza lub większa zdolność konsumcyjna zależy wyłącznie od wysokości zapłaty. Tam gdzie ta zapłata jest należytą, pracodawca stwarza dla siebie szeroki, lokalny rynek zbytu, pewniejszy i korzystniejszy niż rynki dalsze, zwłaszcza zagraniczne. — Dostrzeżono i to, że dobra płaca i inne pomyślne dla robotników warunki pracy zapewniają kapitaliście — rzecz niezmiernie cenną wśród chwiejności dzisiejszych stosunków — pewność egzystencyi i niezależność od wypadków. Z jednej strony nizkie płace ściągnąć mogą w jego sąsiedztwo nowych przedsiębiorców, a wraz z nimi niebezpieczną dla niego konkurencyę, z drugiej strony mogą po pewnym czasie zrazić do niego ludność roboczą i spowodować jej emigracyę do innych gospodarstw, ogołacając go zupełnie z robotników [2].

I nie trzeba sądzić, że tylko ekonomiczni teoretycy dają przedsiębiorcom tego rodzaju nauki — daje im je i własne doświadczenie. Szerzej patrzący i więcej wyrobieni kapitaliści przyznali już nieraz, że korzystne dla robotników warunki pracy nietylko nie osłabiają przedsiębiorstw, ale je owszem podnoszą — podobnie jak znowu najbardziej wykształceni robotnicy angielscy stwierdzają ze swej strony, że dobry stan kapitału

---

[1] Przytaczamy tu jeden z najświeższych przykładów. Kaukaskie naftowe towarzystwo akcyjne (Bekendorf i Sp.) w Baku wprowadziło niedawno temu 10-cio godzinny czas pracy, w miejsce dawnego 12-godzinnego. Zrobiono to na próbę. Skutki korzystne dla przedsiębiorstwa przewyższyły wszelkie oczekiwania. Liczba eksplozyj zmniejszyła się do tego stopnia, że firma poszła jeszcze dalej i zaprowadziła 8-godzinny czas pracy, a nadto co ośm dni dała robotnikom jeden dzień całkiem wolny. Wcale przytem nie obniżono im zapłaty.

[2] Czerkawski, *Wielkie gospodarstwa*, str. 138—139; Daszyńska, *Zasady ekonomii*, str. 308—310; Giżycki, *Vorlesungen über sociale Ethik*, str. 36—40.

i powodzenie pracodawców leży w interesie samych warstw roboczych — zdarzało się nawet, że pod wpływem tego zdrowego na rzecz poglądu, rezygnowali z niektórych, bardzo dla robotnika ponętnych postulatów (np. z żądania ośmiogodzinnego dnia roboczego), aby nie zaszkodzić na razie interesom przemysłu i nie osłabić go wobec zagranicznej konkurencyi [1].

Gdyby te poglądy, tak zdrowe i tak zgodne z prawem natury, stały się przekonaniem szerokich kół gospodarczych, zapanowałby bez wątpienia w społeczeństwie pokój socyalny, a walka stałaby się tem, czem zawsze być powinna — ostatecznym środkiem przymusowym, zachowanym na wyjątkowe wypadki konieczności. Ale tak nie jest. Ciasny egoizm ludzki zamyka oczy na wielkie prawdy, skutkiem czego w nieznacznym tylko stopniu zdobywają one uznanie w życiu i praktyce. Nietylko nie przeniknęły jeszcze do głębi przekonań szerszych kół gospodarczych, ale bywają zaprzeczane i zwalczane namiętnie. Rzesze krótkowidzących kapitalistów prowadzą po dawnemu dzieło wyzysku, nie przypuszczając nawet w swem zasklepieniu, jak dla nich samych korzystnem być może polepszenie bytu warstw pracujących — z drugiej znów strony mało wykształcony a nieraz i niesumienny robotnik w wielu nieoględnych i gorączkowych walkach, staczanych dla błahych, lub niemożliwych do przeprowadzenia celów, osłabia ciągle tak siebie jak i kapitał, którego siła jest przecie warunkiem siły jego własnej, zarówno jak i pomyślności całej produkcyi.

Jeśli te anormalne stosunki chce się usunąć i zażegnać grozę położenia, koniecznem jest szerzenie zasad etycznych. Trzeba zapewnić im znaczenie i posłuch w praktyce, i w ten sposób umoralnić całą dziedzinę życia ekonomicznego. Bez tego moralnego czynnika, którego działanie sięga najgłębiej, bo dociera aż do korzeni złego, wszelka inna akcya byłaby tylko połowiczną. Nawet łączność i organizacya, którą dziś wszyscy mamy na ustach, jeśli ma być czynnikiem trwałego odrodzenia, dokonywać się

---

[1] Schultze-Gäwernitz, w Schmollera: *Jahrbuch für Gesetzgebung* etc. XIII. Jahrg., 3 Heft, str. 154.

winna nietylko pod ekonomicznemi, ale i pod etycznemi hasłami. Wszak asocyacya, sama przez się, powiększa tylko ilościowo siły — pod względem jakości nie zmienia ich. Koalicye wywołują kontr-koalicye, a jeśli nie są ożywione moralnemi przekonaniami, niebezpieczeństwa walki bynajmniej nie łagodzą, owszem czynią je tem groźniejszem, im większe i silniejsze skupiają po obu stronach zastępy.

Dopiero wówczas kiedy u dołu staną silne i liczne związki, oparte na zasadach prawa przyrodzonego, a równocześnie u góry w duchu tych samych zasad powołane zostaną do życia odpowiedne ustawy i normy prawne; kiedy państwo w razie naruszania tych praw zacznie wkraczać całą swą powagą i zmuszać do posłuchu niesumienne jednostki, w innych zaś wypadkach na drodze sprężystej interwencyi łagodzić różnice i nieporozumienia — powiedzieć będzie można, że reforma społeczna weszła na zdrowe i właściwe tory.

Czy w tem wielkiem dziele reformy, niemożliwem — jak widzieliśmy — do przeprowa dzenia bez współdziałania sił moralnych, rozumną byłoby rzeczą nie oglądać się na pomoc Kościoła i religii, która jest nietylko potężną dźwignią moralności, ale jedyną jej podstawą — na to odpowiedzieć nie trudno. Wszystkie głębsze badania dziejowe wykazują dowodnie, że ile razy w czasie wielkich przesileń społecznych nie budowano na tym kamieniu węgielnym, który położony został przed 19 wiekami tyle razy budowano na piasku.

Ks. Wł. Piątkiewicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Wyobrażenia i pojęcia. Napisał *dr. Kazimierz Twardowski,* profesor filozofii w uniwersytecie lwowskim. Lwów 1898. (W 8-ce, str. 152).

Są rzeczy, które z wielką łatwością możemy sobie wyobrazić, są i takie, których nawet z trudnością wyobrazić sobie nie jesteśmy w stanie, które tylko pojąć się dadzą. Nawiązując do tego znanego faktu, autor uzasadnia na wstępie swoją terminologię. Przez wyobrażenie rozumie tylko to, co Niemcy nazywają *anschauliche Vorstellung,* a co u Anglików i narodów romańskich zowie się *imago, image.* Po uwagach terminologicznych, prof. Twardowski przystępuje do samej rzeczy. Więc nasamprzód, co to jest wyobrażenie? Jedni określają wyobrażenie jako odtworzone lub odnowione wrażenie, inni jako odnowione, odtworzone spostrzeżenie, jeszcze inni pojmują wyobrażenie jako syntezę wrażeń zmysłowych. Dwa pierwsze określenia nie podobają się autorowi, trzeciej definicyi przypisuje pierwszeństwo, ponieważ „w niczem nie sprzeciwia się uznanym faktom psychologicznym, a nadto jednoczy w grupę naturalną trzy szeregi zjawisk duchowych o wspólnych cechach istotnych (wyobrażenia spostrzegawcze, odtwórcze, wytwórcze)“ (§ 4, str. 25). Różnica zatem między wyobrażeniami a wrażeniami polega na tem, „że wyobrażenia są całością złożoną z pierwiastków, a wrażenia są tymi pierwiastkami“. Na czem atoli owa całość, owa synteza się zasadza, na to pytanie psychologia dotąd nie zdołała i prawdopodobnie nigdy nie zdoła dać odpowiedzi (str. 24). Atoli i ostatnie określenie nie zadowala autora pod każdym względem, wydaje mu się ono

za ciasne, gdyż obejmuje tylko wyobrażenia zmysłowe a pomija wyobrażenia przedmiotów psychicznych, które z wrażeń zmysłowych się nie składają (§ 5). Jednakowoż i tej klasie wyobrażeń „przysługuje cecha, znamionująca w pierwszym rzędzie wyobrażenia przedmiotów fizycznych“ (§ 6, str. 35). Jak wyobrażenia zmysłowe są połączeniem w jedną całość szeregu prostych czynników, wrażeń zmysłowych, podobnie i wyobrażenia przedmiotów psychicznych są zespoleniem w całość prostych czynników, odpowiadających składnikom tych przedmiotów (str. 36). Na ścisłości spojenia czynników, wchodzących w skład wyobrażenia, polega konkretność wyobrażenia (§ 6). Poglądowość wyobrażeń to ich konkretność, jeno z innego punktu widziana (§ 7), ogólnikowość wreszcie wyobrażeń jest to właściwość, „dzięki której każde wyobrażenie uwydatnia jedne cechy wyobrażonego przedmiotu wyraźniej, inne mniej wyraźnie“ (§ 8). Ogólnikowe jest każde wyobrażenie, niektóre z nich odznaczają się jeszcze tem, że w nich „usuwają się z pod uwagi cechy osobnicze wyobrażonego przedmiotu“; takie wyobrażenia „trzeba koniecznie uznać za ogólne“, i co za tem idzie, trzeba wyobrażenia podzielić na ogólne i jednostkowe (§ 9).

Przejdźmy teraz za autorem do pojęć. Kiedy chcemy przedmiot jaki sobie przedstawić, usiłujemy uskutecznić to prawie zawsze przy pomocy wyobrażenia wytwórczego. Składają się na takie wyobrażenie następujące czynniki: 1) Wyobrażenie jakiegoś przedmiotu podobnego do tego, który mamy sobie wyobrazić; 2) akt umysłowy, przypisujący przedmiotowi wyobrażanemu przynajmniej jedną cechę, której nie posiada; 3) połączenie tej cechy z cechami przedmiotu pierwotnie wyobrażonego w konkretną całość (§ 11). Nie zawsze jednak jesteśmy w stanie wyobrazić sobie to, co słyszymy lub czytamy. „Chociaż bowiem wiemy, jakie cechy posiada przedmiot, który chcemy sobie wyobrazić, połączenie tych cech w konkretną całość okazuje się niemożebnem. Wtedy opisany powyżej proces urabiania wyobrażeń wytwórczych pozostaje niedokończonym; w umyśle istnieć będą jego pierwsze dwa czynniki, braknie zaś trzeciego. Taki stan umysłowy da się scharakteryzować jako niedoszłe wyobrażenie wytwórcze, a stanowi on właśnie to, co nazywamy pojęciem“ (str. 66). Z takiego wprowadzenia wynika bezpośrednio, „że w skład pojęcia wchodzi po pierwsze: wyobrażenie przedmiotu pewnego, po drugie: wyobrażenie sądu, orzekającego o tem przedmiocie cechę, której przedmiot wyobrażony nie posiada“ (str. 74). Autor może ostatecznie określić pojęcie w następujący sposób: „Pojęciem nazywamy takie przedstawienie sobie przedmiotu,

które się składa z wyobrażenia przedmiotu podobnego, oraz z jednego lub kilku sądów wyobrażonych, odnoszących się do wyobrażonego przedmiotu“ (str. 75).

Dalsze paragrafy (§ 12—17) to tylko uzasadnienie tej definicyi, powiedzmy dokładniej, pokazanie, że powyższe określenie da się dopasować i zastosować do wszelkich głównych rodzajów pojęć, że się nie sprzeciwia innym najrozmaitszym, nieraz wprost sobie przeciwnym definicyom, lecz że je godzi i jednoczy ze sobą.

Staraliśmy się podać w krótkości główny bieg myśli autora, zasadniczą osnowę książki. Jak już z samego streszczenia widać, a co o wiele dobitniej pokazuje się w ciągu lektury dziełka, autor obraca się na terenie dobrze sobie znanym, przedstawia czytelnikowi materyał dokładnie przerobiony i przyswojony, a przedstawia go zwięźle, jasno, z precyzyą. Podziwiać należy przedewszystkiem wielką subtelność i wysoce analityczny umysł autora, co z odważną pewnością i ufną śmiałością zabiera się do najdelikatniejszych i najtrudniejszych wiwisekcyj psychicznych, który atoli nie zadowala się samym tylko rozbiorem i rozćwiertowaniem, ale chciałby jednocześnie zajrzeć do najtajniejszych głębin i przepaści umysłowych, a w najdalszych ich kryjówkach i zaułkach jasne zaświecić pochodnie. Trudno też wymagać od takiego umysłu, by pojmował rzeczy tak, jak je ktoś pojmuje, by je tłumaczył w taki sposób, w jaki inni tłumaczą. Z drugiej jednak strony umysł tego rodzaju nie będzie rościł sobie pretensyi, ażeby inni na jego zapatrywania, zdania i tłumaczenia bez zastrzeżeń i w milczeniu godzić się mieli.

My z swojej strony zastrzeżeń do zrobienia mielibyśmy sporo; poprzestać jednak musimy na kilku tylko ogólniejszych uwagach, bo na krytykę dziełka filozoficznego, a tak treściwego, jak nasze, potrzebaby co najmniej książki tej samej co ono objętości.

Ciekawy objaw da się zauważyć w najnowszych prądach psychologicznych. Już tylko pomiędzy przyrodnikami, co naprawdę psychologii może nigdy nie studyowali w życiu, można natrafić na starannie pielęgnowane pragnienie, by wszelkie zjawiska psychiczne sprowadzić do procesów fizyko-chemicznych; u psychologów fachowych napotkamy najczęściej zrzucenie więzów i pęt surowego materyalizmu i pozytywizmu, zaznaczają oni już coraz częściej i coraz bardziej stanowczo zasadniczą różnicę między zjawiskami fizycznemi a psychicznemi i nie marzą wcale o tem, by ostatnie tłumaczyć przez pierwsze. A jednak u tych samych psychologów poza tem orzeczeniem znajdziemy jakąś

spontaneiczną dążność do wytłumaczenia wszystkich zjawisk psychicznych nawet najdoskonalszych i najbardziej skomplikowanych na sposób fizyczny i chemiczny, nawet czysto mechaniczny. Jarzmo przed chwilką energicznie odrzucone, wciąga się znowu na własne barki. Wprowadza się jakieś atomy, czy drobiny, czy elementy psychiczne, w postaci prostych wrażeń i uczuć niezłożonych, i sądzi się, że ułożone rozmaicie i ugrupowane kupki, snopki, wiązki tych czynników wystarczą na wytworzenie i wytłumaczenie wszystkich najszczytniejszych nawet objawów inteligencyi i woli. Mógł ongi tak sądzić Condilac ze swoją statuą sławetną, mogła później szkoła asocyacyonistów, mógł za nią takie powiedzenia w najrozmaitszy sposób Taine rozwałkowywać i z nich nawet ciekawą, choć wielce szkodliwą książkę dwutomową ułożyć — dzisiaj takie powiedzenie u Wundta w najnowszym jego zarysie psychologii uważać chyba należy za pamiątkową spuściznę pozytywizmu, u młodszych filozofów za pozostałości szczątkowe, świadczące, że i na polu umysłowem bardzo znaczny wpływ wywierają: i przyzwyczajenie i środowisko, i dziedziczenie. Czy i u naszego autora niema przypadkiem tego rodzaju pozostałości szczątkowych, odziedziczonych po psychologii asocyacyjnej, zwłaszcza po atrakcyjnym dla wielu i zawsze suggestywnym Tain'ie? Takie przynajmniej w ciągu czytania odebraliśmy wrażenie.

Bardzo to ładnie wygląda: wyobrażenia sprowadzić do wrażeń, pojęcia do wyobrażeń — lecz czy to wszystko prawdziwe? A przecież dotychczas jeszcze na pierwszem miejscu o prawdę powinno chodzić filozofii. W najwyższym stopniu niefortunnem zdaje się nam samo wprowadzenie pojęcia i jego pierwsze określenie: „niedoszłe wyobrażenie wytwórcze". Wszak przez to samo autor miasto podnieść zasadniczą różnicę między wyobrażeniem a pojęciem, prawie zupełnie ją zatarł, co więcej, uznając pojęcie za twór niejako mniej doskonały od wyobrażenia, strasznie je zdegradował a znaczenie jego obniżył. Czyż nie lepiej było wziąść za punkt wyjścia chociażby oklepany i banalny prawdziwie przykład trójkąta, na nim pokazać różnicę, bijącą formalnie w oczy, między wyobrażeniem a pojęciem trójkąta, następnie dopiero poddać całą rzecz głębszej analizie i wyświecić dokładnie a szczegółowo, w czem ta istotna różnica polega. Byłoby to zapewne mniej nowożytnie, lecz może za to bardziej z prawdą zgodnie. Dlatego też za szkodę uważamy niemałą, że autor w swej pracy nie uwzględnił zapatrywań filozofów spirytualistycznych, nie mówimy już, wybitnych neoscholastyków, po łacinie piszących, ale niemieckich i zwłaszcza fran-

cuskich, takich, jak Gardair, Peillaube, Piat, Domet de Vorges, Mercier, Farges, kiedy wszyscy mniej lub więcej tą kwestyą się zajmowali, niektórzy dzieła niepośledniej wartości w tej mierze napisali. Czyżby autorowi nieznaną była nawet praca Fonsegrive'a w *Revue philosophique* (t. 41, r. 1896) o tym przedmiocie, w wielkiej części na owych dziełach oparta? Z tych prac byłby się autor dowodnie przekonał, że bardzo niesłuszny i krzywdzący czyni zarzut psychologii dawniejszej, jakoby się dokładniejszą analizą tych rzeczy nie zajmowała, że owszem temi kwestyami interesowała się więcej może od nowożytnej psychologii i że je lepiej, jeśli nie rozwiązała, to przynajmniej usiłowała rozwiązać. Naprawdę zawiele jeszcze przyznajemy psychologii współczesnej. Ona nie dorosła jeszcze do pojęć — ona cała pogrążona we wrażeniach, spostrzeżeniach, wyobrażeniach; postąpić o krok wyżej to nad jej siły, tam są wyżyny czysto umysłowe, a ona na nich znaleźć się nie umie, gotowa tam zawrotu głowy dostać, w przepaść runąć i kark skręcić, I nie uprzedzenie z nas mówi do nowszej psychologii i filozofii, ale miłość prawdy i miłość samej filozofii dzisiejszej słowa te nam dyktuje. Wszak sam Ribot, niezaprzeczenie najlepszy może znawca psychologii współczesnej, jednocześnie jeden z jej pierwszorzędnych koryfeuszów, nie wahał się przed kilku laty powiedzieć, że dla psychologii nowożytnej teren pojęć to *terra incognita* (*Revue phil.*, t. 32, p. 377). Prawda, że po tem powiedzeniu Ribot sam wyprawił się na zbadanie tej ziemi — lecz czy sposób jego nie już rozwiązania ale postawienia kwestyi jest ze wszech miar godzien pochwały, o tem dałoby się wiele za i przeciw powiedzieć.

Zdaje się nam dalej, że potrzeba wyróżnić pojęcia pierwotne, które mieć musimy przed pierwszymi sądami, od pojęć późniejszych, które wyrabiamy sobie pracą wielu lat, nieraz przez życie całe. Naszem bowiem zdaniem, sąd prawdziwy, chociażby tylko, jak chce autor, wyobrażony, jest niemożliwy bez pojęć. I z tej racyi wprowadzenie sądu w określenie pojęcia wogóle wydaje się nam niezupełnie uzasadnionem.

Nie przekonywa nas również wprowadzenie wyobrażeń ogólnych. Co z natury swej jest zasadniczo konkretnem w zwyczajnem tego słowa znaczeniu, może być jednocześnie prawdziwie ogólnem? Czy jakikolwiek obraz, nawet bohomaz psa, kota, zająca, choćby najbardziej ogólnikowy, można, ściśle rzecz biorąc, nazwać ogólnym? Mamy dotychczas to przekonanie, że wyobrażenia mogą być mniej lub więcej ogólnikowe, co Niemcy mogą z konieczności nazywać *Allgemeinbilder*, An-

glicy *generic images* — lecz że ogólnemi w prawdziwem i właściwem tego słowa znaczeniu mogą być tylko pojęcia. Zresztą, absolutnie rzecz biorąc, mogłaby na tym punkcie zachodzić tylko prosta *lis de verbo*.

Na tem poprzestajemy. Na zakończenie zwracamy jeszcze uwagę na trochę zanadto wpadający w oko *lapsus calami:* str. 130, „wyrazy mowy odnoszą się po największej części do wyobrażeń ogólnych", zaś na str. 133 „olbrzymia większość wyrazów mowy odnosi się do pojęć ogólnych".

J. Nuckowski.

Janów Biskupi czyli Podlaski. Z dawnych i współczesnych źródeł napisał *P. I. K. Podlasiak.* Kraków 1897.

Rzecz napisana bez literackiej pretensyi, a wielce szacowna i zajmująca. Ma przytem i dlatego niepoślednią wartość, że na takich to monografiach opiera się budowa historyi. Wiadomo, że Janów przez czas dłuższy był jedną z rezydencyj biskupów łuckich, którzy tu radzi przebywali. Zaczem autor, nakreśliwszy pobieżnie dzieje tych stron pod względem historycznych wypadków, przystępuje do założenia Janowa przez biskupa łuckiego, Jana Łosowicza, kreśląc następnie dzieje poszczególnych pasterzy tej dyecezyi, którzy często przebywali w ulubionej rezydencyi i rządami swymi tak miasteczko, jak i całą okolicę podnosili i cywilizowali. A jak znakomici bywali to pasterze, poznajemy z samego wyliczenia nazwisk, przypominających najświetniejszą epokę, najznakomitszych członków episkopatu polskiego. Na tej stolicy zasiadali z kolei Paweł Algimunt, książe Holszański, Waleryan Protaszewicz, Bernard Maciejowski, Jędrzej Lipski, Gębicki, Wydżga, Prażmowski, Kobielski, Załuski, Naruszewicz i innych wielu, których nazwiska związane są z dziejami Rzeczypospolitej, dyecezyi i biskupiego Janowa. W czasie rozterki religijnej niejeden z tutejszych pasterzy był istnym młotem na heretyków, wszyscy ojcowskie dla świętej Unii mieli serce, dbając o przysporzenie i uczczenie jej patronów, takich, jak Andrzej Bobola i Józafat Kuncewicz. Prawie wszyscy ci biskupi znakomitymi byli ludźmi, zaledwie jeden czy drugi słabszego znalazł się ducha. Niektórzy z nich głównie się poświęcali zwalczaniu herezyi, nawracaniu dyssydentów, inni kulturalne położyli tu zasługi fundacyami naukowemi, budową gmachów i umiejętnym zarządem powierzonej sobie cząstki winnicy Pańskiej, inni jeszcze próbowali nawrócenia Żydów. Stąd dziwny tu znajdujemy przykład biskupa Kobielskiego, który raz po raz sam w synagodze miewał kazania, i to w główniej-

sze święta starozakonne, aby opornych Żydów zjednać dla prawdy chrześcijańskiej, a tą myślą powodowany, w szabat delegował młodych kapłanów a nawet seminarzystów, aby tamże wykładali zasady wiary świętej wobec izraelskiej rzeszy, którą tym sposobem istotnie zdobywał. Ale jeśli ów biskup apostolskie miał serce dla osiadłych w jego dyecezyi Żydów, mniej wytłumaczoną jest słabość innych rządców Janowa, którzy staropolskim obyczajem hypotekowali na żydowskich domach i oddawali w zastaw Żydom sumy nawet kościelne i pobożne zapisy, które powoli topniały w rękach nierzetelnych wierzycieli i na niezmierne szwanki naraziły fundusze tej dyecezyi. Tragicznie brzmi opowieść o starości Naruszewicza, zgnębionego najczarniejszym smutkiem podczas smutnych kolei ojczystych, który tu zachował pamięć wielkiego pracownika i świątobliwego męża, przedwcześnie strawionego dziwną, niewytłumaczoną dostatecznie tęsknotą. Okrom drukowanych dzieł, zostawił on po sobie 360 grubych tomów rękopiśmiennych, zawierających pilnie przez się gromadzone materyały do historyi polskiej. Ostatni miał to być biskup przedrozbiorowy. Tu autor kreśli ówczesny stan Janowa: liczne jego kościoły i klasztory, cechy, bractwa, opisuje sąsiednią akademię w Białej, wszystko, co zniknąć miało w ciągu bieżącego stulecia. Niebawem *avita fraus* rosyjska rozpoczęła ów szereg przykrawania dyecezyj polskich wedle własnej dogodności i widoków, znoszenia jednych, erygowania drugich, aby je też niebawem kasować, a przyzwolenia Rzymu wytargowywać bądź złudnemi obietnicami, bądź groźbą większego złego. Gdy tak w r. 1818 powstawała dyecezya podlaska, od łuckiej oddzielona, któż mógł przewidzieć, iż zaledwie trzech biskupów rządzić nią będzie i że wymagania schyzmy obalą tę stolicę, jak ich tyle innych obaliły. Tu zajmująca książka Podlasiaka nabiera coraz większego i boleśniejszego znaczenia. Opisuje on nam z kolei krótkie rządy biskupa Lewińskiego. Dalej walki Bożego żołnierza, Gutkowskiego, nareszcie bolesne dzieje pasterzowania O. Benjamina Szymańskiego. Z tych trzech biskupów dwaj ostatni zostali wywiezieni i nie złożyli swych kości w tej katedrze janowskiej. W książce Podlasiaka bliżej poznajemy zmienne koleje życia Gutkowskiego, szlachcica z Płockiego, później zakonnika w dominikańskim klasztorze, następnie kapelana pułkowego w czasie wojen napoleońskich: wzięty jako jeniec wojenny w r. 1812 i zesłany do Kaługi, został zagadkowo polubiony następnie przez wielkiego księcia Konstantego, który go też przeforsował na biskupstwo podlaskie. Piętnastoletnie rządy Gutkowskiego przypadły na systematyczną zawziętość

Rosyi, przeprowadzającej z nieubłaganą metodą za pomocą z góry obmyślanych środków rosnący ucisk, bodaj zamierzoną zagładę katolicyzmu obu obrzędów, przedewszystkiem zaś Unii. Przytoczone tu *in extenso* dokumenta pozwalają ocenić roztropną mądrość i niezłomną czujność dzielnego biskupa, broniącego każdej piędzi powierzonej sobie winnicy, każdej zagrożonej swobody i przywileju Kościoła i wolności sumień swych owieczek. Jest coś wspaniałego w tej nierównej walce mężnego a dobrego pasterza z rządem rosyjskim. Spór ten trwa lat piętnaście, oceniony jak przynależy przez Stolicę Apostolską, przez świat chrześcijański, rozpoznający w ks. Gutkowskim wzór biskupa i Chrystusowego żołnierza. Wywiezienie jego do Osieran w kwietniu 1840 r. opowiedziane tu jest z dramatyczną prostotą i grozą.

Z wstąpieniem na stolicę janowską O. Benjamina Szymańskiego, opowiadanie Podlasiaka jeszcze się mroczy bardziej ponurymi odgłosami najsmutniejszej w dziejach naszych epoki, ale zarazem nabiera ono doniosłości i znaczenia osobistego świadectwa autora i zapamiętanych z młodości wrażeń. Ważny to przyczynek do bolesnej historyi 1863 roku. Niema bodaj rodziny w kraju, gdzieby pamięć świątobliwego Kapucyna nie była uczczoną i związaną z najdroższemi domowemi pamiątkami. Chrzcił on dzieci, wiązał stułą ręce, przygotowywał dziatwę do pierwszej Komunii, umierających sposobił na przejście ostatnie i grzebał umarłych. To też wyniesienie jego na stolicę janowską powszechną wywołało radość w kraju, a opisane tu uroczystości kościelne, jak przeprowadzenie relikwij męczeńskich św. Wiktora z Warszawy do Janowa, uwydatniają bujne życie religijne, tkwiące w ludzie polskim. Ileż to jeszcze zakonów garnęło się dokoła biskupa Benjamina, ile dawnych fundacyj rozkwitało w dyecezyi, ile pięknych owoców czynności biskupiej dojrzewało, długie i obfite zapowiadając plony. Idąca burza wszystko zmieść miała. Nikt snać nie był w stanie odwrócić klęski, opanować sytuacyi, zażegnać katastrofy. Powtarzano do syta, iż arcybiskup warszawski nie był mężem chwili, nie potrafił dać sobie rady z podwójną tyranią ulicy i rządu, że posiadł raczej cnotę męczennika, aniżeli hart bojownika, i prostotę gołębia bez wężowej roztropności. Ale to zdanie o ks. Felińskim chyba wypadałoby rozszerzyć do wszystkich ówczesnych biskupów polskiego Kościoła. Bo i dyplomatyczna ciętość ks. Konstantego Łubieńskiego, i rozumna odwaga ks. Popiela, i zakonna powaga a ogólny mir, którego zażywał ks. Benjamin, do jednakiego doprowadziły końca. Ks. Szymański wy-

wieziony ostatecznie do Łomży, tamże niebawem życia dokonał, złamany walką i goryczami przejść ostatnich

A jednocześnie z jego usunięciem z biskupiej stolicy posypały się zamachy na zniesioną wkrótce samowolnie przez rząd rosyjski dyecezyę, przyłączoną odtąd do lubelskiej, aby się pozbyć biskupiego strażnika na pograniczach Unii. Odtąd kronikarz zapisuje coraz boleśniejsze dzieje upadku byłej dyecezyi i biskupiego Janowa. W miejscu sług Bożych stadnina cesarska i powiatowy zarząd starodawne zapełnia mury. Wszystko dokoła niszczeje, dawny dobrobyt upada, mnożą się w nieskończoność szynki żydowskie, wszystko co podnosiło duszę i pracę ludzką, zniknęło z tych okolic; propaganda prawosławna jedynie zakwita i usiłuje rozszerzyć swe zagony właściwym sobie rodzajem apostolstwa. Samże archirej Joannicyusz, zaproszony tu przez głośnego Gromekę na rzekomą uroczystość zjednoczenia i przyłączenia Unitów do urzędowego Kościoła, z wstrętem i upokorzeniem widocznem uczestniczył w święcie, w którem przymus i wódka zbyt widoczną grały rolę. Autor opowiada tragiczne dzieje prześladowania Unii, rozpanoszenia schyzmy, kasującej łacińskie nawet parafie okoliczne, by pozbawić wszelkiego oparcia mężnych Unitów; ośmnaście już takich parafij zniknęło, a same ich miana ileż do nas mówią głosem krwi męczeńskiej: Łosin, Pratulin, Łomary, Paprotna, Leśna, Kodeń, wszystko to stacye krzyżowej drogi męczenników unickich, amfiteatr, gdzie ginęli z modlitwą na ustach. Koniec ten kroniki janowskiej wywołuje wielkie wrażenie, żeby tylko wspomnieć epizod o katowaniu kilkunastu mieszczan janowskich, Unitów, przed katedrą, w której się właśnie odprawiały nieszpory. Jęk skatowanych pod kościołem, płacz modlących się w kościele, tworzyły podwójny chór dwóch obrządków, zjednoczonych jednaką wiarą, cierpieniem i bratnią miłością. Ból i skargi niebitych zagłuszały głos męczenników, znoszących cierpliwie chwalebne za Chrystusa rany. Takich nieszporów daleko szukać.

Ostatnie rozdziały przejmują do żywego odgłosami cierpień i wyznawstwa unickiego ludu, opisem upadku drogich miejscowych zabytków i pamiątek, z umysłu niszczonych. Ale te usiłowania jakkolwiek zewnętrznie, wydają się być uwieńczone zwycięstwem, nie przełamały dotąd oporu, nie wypleniły wiary Podlasia. Zajmująca ta i ciekawa książka kończy się zapewnieniem, iż „Janów nie upada na duchu i żywi nadzieję, że Kościół i wolność narodu pierwej powróci w te strony, zanim lud zmożony przemocą na duchu swoim upadnie".

M.

Nurty. Ogniwa dramatyczne. *Cezary Jellenta.* Kraków 1896.

Ciekawy jestem, jakie odniósłby p. Jellenta wrażenie, gdyby znalazł się w towarzystwie osób, mówiących językiem „Nurtów". Więc usłyszałby najpierw, jak poeta Stefan prowadzi rozmowę z literatką panną Delą naprzykład, w te słowa:

Możeby warto było tak się zdestylować,
Jak fakiry indyjskie, na czysty alembik
Ducha, żeby go potem Nirwana wypiła
Na jeden półkwaterek?...

DELA.

Szkoda tylko, żeś całkiem pominął przyprawy,
Kto wie, czy one właśnie filtrów twego ducha
Nie psują i miast czyścić, nie karmią go mułem
Babilońskich odpadków...

Dajmy teraz głos ojcu p. Deli, p. Bielskiemu. Poczciwy staruszek chcąc swą córkę przekonać, tak do niej argumentuje:

Nie, Delo, nie odepchniesz ojca,
Którego honor domu od twego zależy,
Jam stał swych zasad zmienił gwoli tobie w madę
Pobłażliwości...

Prócz alembików, mady i babilońskich odpadków inne także ingredyencye chemiczne dostarczyć mogą momentu do porównań. Czerpie więc z tej obfitości natury rozmawiające towarzystwo pełnemi garściami. I tak naprzykład, Irena, żona poety Stefana, niechęć swą do krytyków literackich taką cieniuje czułością:

To ośle kopyta,
Których dotknięcie ma coś w sobie gnojowego
I we mnie samej wszystkie przewraca wnętrzności...

Takim jest język „Nurtów" nie na jednej, lub kilkunastu kartkach, ale w całej książce, w każdem zdaniu; tropy i porównania nerwowe i dosadne, lecą na czytelnika gradem ze wszystkich zakątków dramatu. Pierwsze wrażenie, jakie z tej książki odnosi się jest przesada i przeładowanie skrajnej dekoracyi stylowej.

Drugie wrażenie jest to, jakby widziało się olbrzymie rusztowanie, przygotowane do postawienia wielkiego gmachu, mury jednak, rusztowaniem otoczone, nie postąpiły wysoko. Chciał widocznie autor stworzyć wielką rzecz o schyłku wieku, w którą weszłyby i dalekie odgłosy demokracyi i nadwiedza Nietzschego i kwiaty zła Baudelair'a, indywidualizm Ibsena, nerwy, hypnotyzm, haszysz. Na tem tle rysuje

się dusza poety-dekadenta, który nie wie, czego ma szukać w życiu i, w którego sercu żadna już iskra nie świeci:

... stos żuzli noszę i sam wkrótce żuzlem
Już tylko będę — czarnym.

Pomysł sam bardzo dobry, szeroki, ale niewykonany, lub raczej niedociągnięty do swojej wysokości. Autor dużo pracował nad dekoracyą w stylu i sytuacyach i dlatego, pomijając zbytnie przeładowanie przenośniami, można się w tym poemacie spotkać z niejednym ustępem dobrym i pod względem oryginalności i wykonania. Ustępy jednak takie mogą stanowić tylko jakąś podrzędną ozdóbkę całości. Całość nie udała się dlatego, że w te ramy nie włożył autor duszy, że idee, które porusza, nie wypłynęły mu z serca i z przekonania, ale z pamięci i wyobraźni, drogą reminiscencyi literackiej.

Ks. J. Pawelski.

Wyniki badań przyrodniczych, ogłoszonych w wydawnictwach Akademii Umiejętności z lat 1893 - 1896 [1].

III.

E. Wołoszczak: „Sprawozdanie z wycieczek botanicznych w Karpaty stryjskie i samborskie". — Tenże: „O roślinności Karpat między górnym biegiem Sanu i Osławą". — Tenże: „Zapiski botaniczne z Karpat sądeckich". — Tenże: „Z granicy flory zachodnio i wschodnio-karpackiej". — J. Zubrzycki: „Flora Pienin. Rośliny naczyniowe". — Br. Gustawicz: „Dodatek do flory pienińskiej". — J. Paczoski: „O nowych i rzadszych roślinach flory litewskiej". — Ign. Szyszyłowicz: *Pugillus plantarum novarum Americae centralis et meridionalis.* — Tenże: *Diagnoses plantarum novarum a cl. d. Const. Jelski in Peruvia lectarum. Pars prima.* — M. Raciborski: *Pythium dictyosporum.* Nieznany pasorzyt skrętnicy *(Spirogyra).* — E. Janczewski: *„Cladosporium herbarum* i jego najpospolitsze na zbożu towarzysze". — R. Gutwiński: „Materyały do flory glonów Galicyi. Cz. III." — Tenże: „Glony stawów na Zbruczu". — Tenże: „Flora glonów okolic Tarnopola". — Tenże: *Prodromus florae algarum Galiciensis.* — B. Eichler i M. Raciborski: „Nowe gatunki zielenic". — B. Eichler et R. Gutwiński: *De nonnullis speciebus algarum novarum.*

Florystyczne badania kraju naszego zapisały się dobrze — rzecz biorąc wogóle — w powyższych latach. Rośliny jawnokwiatowe *(Phanerogamae)* mają u nas najwięcej zwolenników, to też prace do nich się odnoszące są najliczniejsze i od nich zaczynamy.

[1] *Przegląd Powszechny,* t. LIV, str. 435 i t. LV, str. 279.

Prof. E. Wołoszczak [1] zbadał roślinność pasma Paraszki, najwyższego pasma gór Skolskich, pogranicza stryjskiego, samborskiego oraz obszarów biegu Dniestru po Strzyłki, Stryja od Jawory po źródła, Oporu od Skolego do granicy, biegu Hołowczanki, Smorzanki, Orawy, Jasienicy i Rzeczki, a także roślinność węgierskiego trzonu Borżawy. Skonstatował on, że źródła Sanu nie stanowią granicy między florą wschodnio i zachodnio-karpacką, mimo że *Arnica* zanika na wschód za Sanem, i wyróżnił dwa typy roślinności na obszarze stryjsko-samborskim, tj. typ graniczny, zajmujący pogranicze stryjsko-samborskie i przemyskie, i typ skolski. W dalszym ciągu swych poszukiwań rozpoznał florę terenu, rozciągającego się od górnego Sanu na zachód do doliny Osławy, od równoleżnika Lisko aż do granicy węgierskiej [2] i podzielił ją na trzy typy: osławski odznaczający się nielicznymi gatunkami pospolitymi, drugi posiadający charakter wybitnie przedalpejski (połoniny: Wetlińską i Caryńską oraz góry graniczne od Rawki do Jaślisk zajmujący) i trzeci różny od typu osławskiego bogatszą roślinnością, mającą wyższy pionowy zasięg.

Tensam niezmordowany badacz flory Karpat rozciągnął poszukiwania dalej na zachód [3], na pasmo od Popradu po prawy brzeg Dunajca, które nazwał „pasmem Radziowej", na pogranicze wapienne tego samego kierunku, na Pieniny po Czorsztyn, wapienne skały Spiskie koło Haligowiec, przezwane przez niego „Aksamitką", a wreszcie na górski trzon, Luboń aż po lewy brzeg Dunajca blizko Krościenka. Flora gór piaskowcowych — jako podobna wszędzie — nie nastręczyła i tutaj szczególniejszych danych. Pasmo Radziowej z powodu niższej temperatury (w połowie maja pokryta jest śniegiem od 950 *m* w górę) i silniejszych opadów atmosferycznych wykazuje, w porównaniu z Luboniem, niżej leżące stanowiska roślin, które w innych miejscowościach na znacznie wyższych stanowiskach rosną czyli mają wyższy pionowy zasięg *(Geum montanum, Senecio cordifolius)*. Pieniny — tylko przy wyłomie Dunajca po Nową są najbogatsze w gatunki. Do nich najbardziej podobna jest pod względem flory Aksamitka, nieprzedstawiająca

---

[1] E. Wołoszczak, „Sprawozdanie z wycieczek botanicznych w Karpaty stryjskie i samborskie". Spraw. Kom. fiz. Akad. Um., tom XXVIII, str. 49—85. Kraków 1893.

[2] Tenże, „O roślinności Karpat między górnym biegiem Sanu i Osławą". Ibidem, t. XXIX, str. 39—69. Kraków 1894.

[3] Tenże, „Zapiski botaniczne z Karpat sądeckich". Ibidem, t. XXX, str. 174—206. Kraków 1895.

zresztą nic szczególnego, tak samo, jak i pogranicze wapienne od Szafranówki po Wysoką. Na Wysokiej rośliny takie, jak: *Aconitum moldavicum, Sedum carpathicum, Mulgedium alpinum*... zmieniają poniekąd charakter jej flory wapiennej, bo roślin tych w Pieninach wcale się nie spotyka.

Wreszcie ustalił prof. E. Wołoszczak granice dla flory karpackiej wschodniej i zachodniej przez zbadanie roślinności między wyłomem Popradu a doliną Osławy, którą biegnie kolej do Łupkowa [1]. Ze strony węgierskiej uznał rzekę Toplę aż po Tarnó, dalej potok płynący przez Hoboltov, Pietrowę i Frickę, a z galicyjskiej strony rzekę Biała za granicę roślinności zachodnio-karpackiej, podczas gdy przełęcz łupkowska stanowi granicę flory wschodnio-karpackiej. Obszar między tak pociągniętemi liniami stanowiłby, według spostrzeżeń tego autora, okręg roślinności przejściowy. Że jednak rozmieszczenie pewnych roślin charakterystycznych (jak: *Dianthus deltoideus, Sherardia arvensis, Filago germanica* i *Galium rotundifolium)* w tym obszarze nadaje mu cechy obszaru zachodnio-karpackiego, przeto ostatecznie linia idąca przez łupkowską przełęcz, Osławicę i Wisłok, jest granicą między obiema florami Karpat, a góry Rzepedź i Bukowicę dołącza autor do zachodniego terenu.

Pieniny między Czorsztynem a Szczawnicami zbadał p. J. Zubrzycki i wykrył 546 gatunków roślin [2], z których atoli 17 gatunków wymagać mają potwierdzenia, jako nastręczające niejakie wątpliwości [3]. Całe zaś pasmo Pienin liczy 752 gatunki roślin naczyniowych [3].

Z badań flory pozakrajowej zaznaczyć wypada:

Odkrycie przez p. J. Paczoskiego pewnej ilości roślin (bądź całkiem nieznanych dotąd we florze Litwy, bądź znanych tylko w niektórych guberniach litewskich) na Polesiu a częścią także w mohilowskiej gubernii na pograniczu z mińską [4].

Wzbogacenie flory amerykańskiej czterema nowymi gatunkami

---

[1] Tenże, „Z granicy flory zachodnio i wschodnio-karpackiej". Ibidem, t. XXXI, str. 119—159. Kraków 1896.

[2] J. Zubrzycki, „Flora Pienin. Rośliny naczyniowe". Ibidem, t. XXIX, str. 70—95. Kraków 1894.

[3] Porównaj Br. Gustawicz, „Dodatek do flory pienińskiej". Ibidem, tom XXIX, str. 96—107. Kraków 1894.

[4] J. Paczoski, „O nowych i rzadszych roślinach flory litewskiej". Ibid., t. XXXI, str. 220—250. Kraków 1896.

i jedną nową odmianą w zakresie 5 rodzajów [1], których okazy przechowuje Muzeum dworskie dla nauk przyrodniczych w Wiedniu, a wreszcie odkrycie i opisanie 23 gatunków roślin jawnokwiatowych i 14 gatunków wątrobowców *(Hepaticae, Lebermoose)* [2] w materyale zielnikowym, zebranym przez ś. p. Konstantego Jelskiego w Peruwii w departamencie Cajamarca (Tambillo i Cutervo) w l. 1870—1880, a darowanym Uniwersytetowi Jagiellońskiemu.

Flora mikroskopijna jest w kraju naszym zanadto po macoszemu traktowana. Snać żmudne badania wymagające mikroskopu, rozległa, wszechświatowa literatura, nieodzowna do przedsiębrania badań na polu tej drobnowidzowej roślinności nie nęcą badaczów, choć plon bogaty daje ta niwa, choć rezultaty nie są często bez wpływu na pracę rolnika! — Że taka obojętność dostaje się w udziale tej drobniutkiej florze, tego wymownym dowodem dwie tylko prace w tym okresie czasu poświęcone grzybom, a mianowicie:

Pan M. Raciborski [3] odkrył i opisał nowego pasorzyta z grupy pleśniaków *(Phycomycetes)*, którego nazwał *Pythium dictyosporum* od oospor (siemion) pokrytych nabłonkiem *(exosporium)* siatkowato zgrubiałym. Grzyb ten toczy żywe, zielone komórki glonu (wodorostu) z rodzaju skrętnicy *(Spirogyra nitida)* przebijając poprzeczne ściauki jej ciała i zapełniając sobą całe wnętrze żywicielki. Pasorzyta tego zbadał też autor i pod względem historyi rozwoju. Polega on na tworzeniu zarodni zewnątrz żywicielki, wydających mało (1—4) ruchliwych zarodników, dwurzęskowych pływek, przeszczepiających pasorzyta na żywe skrętnice. Zarodniki te, pływki, przez ruch rzęs poruszają się w wodzie przez 7 blizko minut, poczem osiadłszy na żywej skrętnicy spoczywają pół do całej godziny i kiełkują, wdrążając się w jej ciało cienkiemi strzępkami, jakie wydają. — Oprócz tego bezpłciowego rozwoju, tworzy *Pythium* drogą płciową siemiona *(oosporae)*, które spoczywają przez przeciąg mniej więcej $18^1/_2$ tygodni, a potem kiełkując tworzą zarodnie zawierające po cztery pływki.

Substratu do badań nad *Cladosporium herbarum*, jedną z najpo-

---

[1] Ign. Szyszyłowicz, *Pugillus plantarum novarum Americae centralis et meridionalis.* Rozpr. Wydz. mat.-przyr. Akad. Um., t. XXVII, str. 139—142. Kraków 1895.

[2] Tenże, *Diagnoses plantarum novarum a cl. d. Const. Jelski in Peruvia lectarum. Pars prima.* Ibidem, tom XXIX, str. 215—239. Kraków 1895.

[3] M. Raciborski, *Pythium dictyosporum.* Nieznany pasorzyt skrętnicy. *(Spirogyra).* Z 1 tablicą. Ibidem, t. XXIV, str. 25—33. Kraków 1893.

spolitszych pleśni, dostarczyło prof. E. Janczewskiemu [1] żyto chore, z pustymi prawie kłosami, które otrzymał z Brześcian pod Samborem w czerwcu 1892, oraz żyto i pszenica chore na Żmudzi, koło Krakowa w l. 1892 i 1893 i koło Nowego Sącza. Przez ścisłe, kilkoletnie badania autor rozstrzygnął w zupełności: *a)* Kwestyę pasorzytyzmu *Cladosporium*. Grzyb ten, widoczny czasem dla oka nie uzbrojonego — jako szare smugi na pochwach i blaszkach liści, na częściach źdźbła obnażonych (ponad pochwami liści), na plewach zaś i plewkach kłosów — przy pomocy lupy — jako podłużne szeregi czarnych pędzelków, nie jest pasorzytem, choć za takiego powszechnie uchodzi. Nie jest — bo nie zaraża całkiem zdrowych i silnych roślin, lecz rośliny dogorywające lub chorobliwe skutkiem niekorzystnych warunków wegetacyi, jak wskutek zbytniej wilgoci, przymrozków lub niepogody w czasie kwitnienia, albo wskutek innych pasorzytów roślinnych lub zwierzęcych. — *b)* Sprawę wielopostaciowości *(Polymorphismus)* tego grzybka, wykazując cały szereg odmian, nie przechodzących jedna w drugą (nigdy nie przeobrażają się w siebie w hodowlach czystych *Cladosporium*, *Hermodendron* i *Dermatium*, jak to mylnie twierdzili Laurent i Constantin), i wyhodował z przetrwalników *(sclerotae)* wyższą, nieznaną dotąd formę owocowania tego grzybka, którą nazwał *Sphaerella Tulasnei*. Wreszcie zbadał towarzyszów *Cladosporium* na zbożu, a mianowicie: *Leptosphaeria tritici* Pass., *Phoma secalinum* Jancz., dotąd całkiem nieznany a więc nowy dla nauki gatunek i *Septoria graminis* Desm., które żyją wewnątrz tkanek słomy zbóż naszych.

Drobnowidzowa flora wód krajowych nie więcej też ma adeptów. W czasie, który tutaj mamy na względzie, tylko piszący te słowa zajmował się badaniem krajowych glonów, wodorostów *(Algae)*. Uzupełnił on badania przedsiębrane od 1890—1892 r. w okolicach Śniatyna i Lwowa [2], Podwołoczysk [3] i Tarnopola wraz z Trembowlą [4]. Wykrył i opisał 10 gatunków, 22 odmian i kilkanaście form glonów nowych dla nauki algologii, wogóle, a nadto uzupełnił obraz flory tych oko-

---

[1] E. Janczewski, „*Cladosporium herbarum* i jego najpospolitsze na zbożu towarzysze". Z 4 tablicami. Ibidem, tom XXVII, str. 143—187. Kraków 1895.

[2] R. Gutwiński, „Materyały do flory glonów Galicyi". Cz. III., z 1 tab. Spraw. Kom. fiz. Akad. Um., t. XXVIII, str. 104—166. Kraków 1893.

[3] Tenże, „Glony stawów na Zbruczu". Ibidem, t. XXIX, str. 23—38. Kraków 1894.

[4] Tenże, „Flora glonów okolic Tarnopola". Z 3 tabl. Ibidem, t. XXX, str. 45—173. Kraków 1895.

lic, nakreślony dawniej na podstawie poszukiwań z lat 1881—1889 [1]. Prócz tego zebrał dotychczas nagromadzone wiadomości o tej mikroskopijnej florze w jedną całość [2]. Z tego okazało się, że badania nad rozsiedleniem glonów w Galicyi sięgają niedalekiej przeszłości, bo — pomijając króciuchną wzmiankę przypadającą na rok 1840 (Łobarzewski w czasopiśmie *Linnea*) — sięgają lat: 1863 (Schliephacke, w Rabenhorsta, *Flora algar. aquae dulc....*) i 1867 (Schumann), a podjęte zostały na nowo i prowadzone systematycznie od r. 1881 przez p. M. Raciborskiego i autora niniejszych „Wyników...“ Objęły już liczne wprawdzie, po całym niemal kraju rozrzucone punkta, lecz całość wymaga jeszcze wiele czasu i licznych poszukiwań. Z badań zaś dotychczasowych wynika, że do 1895 r. rozpoznano 1057 gatunków glonów, tak iż pod tym względem kraj nasz prześciga Bawaryę, Tyrol, Śląsk i Czechy, ale ustępuje pierwszeństwa Niemcom. Jakkolwiek niewystarczające są dane, uzyskane do wspomnianego roku, mimo to we florze glonów naszych wyróżnił autor dwie formacye, tj. górską i mieszaną. Pierwszą charakteryzują glony w miejscowościach pagórkowatych i nizinnych nie odszukane, drugą gatunki wspólne górskim, pagórkowatym i nizinnym okolicom kraju. Wogóle flora ta kraju naszego najbardziej spokrewniona jest z florą Śląska, Czech, Bawaryi i okolic nadreńskich, choć znaczna ilość nowych gatunków wyciska na niej wybitne piętno odrębności.

Poza krajem badał p. B. Eichler glony okolic Międzyrzecza w gub. siedleckiej i podał łącznie z p. M. Raciborskim [3] i piszącym te słowa [4] opisy oraz ryciny 24 gatunków, 27 odmian i kilkunastu form po raz pierwszy wogóle odkrytych.

Roman Gutwiński.

---

[1] Sprawozd. Kom. fizyogr. t. XVIII, XXV i XXVII.

[2] Tenże, *Prodromus florae algarum Galiciensis.* Rozpr. Wydz. mat.-przyr. Akad. Um., t. XXVIII, str. 274—440. Kraków 1895.

[3] B. Eichler i M. Raciborski, „Nowe gatunki zielenic“. Z 1 tablicą. Ibidem, t. XXVI, str. 116—126. Kraków 1893.

[4] B. Eichler et R. Gutwiński, *De nonnullis speciebus algarum novarum.* Z 2 tablicami. Ibidem, tom XXVIII, str. 162—178. Kraków 1895.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Die Malereien der Sacramentscapellen in der Katakombe des hl. Callistus. Von *Joseph Wilpert.* Mit 17 Illustrationen. Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1897. (W 8ce, str. X. i 48).

Mamy przed sobą rozprawę niewielką rozmiarami, ale bardzo ważną dla swej treści, bo omawiającą malowidła, na które od dawna powołują się w swych wykładach nauczyciele dogmatyki, i które więcej i mniej uczeni przewodnicy po katakumbach pokazują i objaśniają co roku tysiącom pielgrzymów rzymskich.

Kaplice sakramentów, którym Wilpert poświęcił obecną monografię, znajdują się wszystkie, w liczbie pięciu a względnie sześciu, w najbliższem sąsiedztwie krypty papieskiej i kaplicy św. Cecylii, w galeryi, która ciągnie się pod ziemią wzdłuż drogi, łączącej gościniec apijski z ardeatyńskim. W czasie prześladowania Dyoklecyana zasypane ziemią, uszły przez długie wieki zniszczenia, aż dopiero w przeszłem stuleciu fosorzy Boldettiego otworzyli ich groby, wykute dwoma rzędami w ścianach bocznych oraz naprzeciw wejścia i wynieśli z nich zwłoki i napisy tak, że dziś niepodobna oznaczyć, kto w tych izbach był pochowany. Między archeologami naszych czasów było dość powszechne mniemanie, że służyły one za miejsce spoczynku dla kapłanów i fosorów, przeciw czemu jednak przemawia ta okoliczność, iż pomiędzy znalezionemi tu resztkami tablic grobowych niemasz ani jednej, któraby wymieniała osobę duchowną lub grabarza. De Rossi oznaczył je dla lepszego przeglądu literami A^1 A^2 A^3 A^4 A^5 A^6 i sądził, że najpierw, tj. z końcem II. wieku wybudowano i udekorowano kryptę A^2 i A^3, a potem w odwrotnym porządku izby A^6, A^5, A^4 w początkach wieku III. Powszechnie przyjęto też komentarz Rossiego [1] do kompozycyj, umieszczonych w pięciu izbach (w kaplicy A^1 odpadła dekoracya z tynkiem) na polach między i nad niszami grobowemi oraz na suficie. Trudność sprawiała tylko scena, wymalowana w krypcie A^3 na ścianie, w której znajduje się wejście do kaplicy, a przedstawiająca mężczyznę bez brody, ubranego w sam tylko płaszcz, jaki nosili filozofowie pogańscy. Siedzi on na skale i trzyma w rękach rozwinięty zwój pisma, podczas gdy pod nim stojąca osoba czerpie wiadrem wodę ze studni. Zdaniem Rossiego, mężczyzna czytający w zwoju, miał być

[1] *Roma sotterranea,* t. II, r. XII, tabl. XI—XVII.

identyczny z osobą, która w kaplicy A^2 siedzi również na skale po prawej stronie sceny chrztu i czyni prawicą giest, wyrażający, że przemawia. Jedna zaś i druga postać miała przedstawiać chrześcijańskiego doktora, wykładającego wiernym głębokie i mistyczne znaczenie Pisma św., symbolizowanego przez studnię, a specyalnie w tym przypadku może samego papieża Kaliksta, który kierował rzekomo dekoracyą tychże kaplic.

Co innego widzieli inni archeologowie w tych scenach. Zdaniem Wiktora Schultzego, mężczyzna siedzący ze zwojem w ręce, ma być właścicielem krypty, który kierował budową grobowca wedle ściśle określonego planu, wyrysowanego na zwoju. Osoba zaś przy studni niema według Schultzego żadnego znaczenia symbolicznego, ale spełnia po prostu realną funkcyę życia codziennego. Wiktor de Buck T. J. sądził, że cała dekoracya kaplic sakramentów jest ilustracyą lekcyj Pisma św. Starego Zakonu, odczytywanych w dawnym Kościele podczas udzielania chrztu i komunii a identycznych z lekcyami, które dziś jeszcze czyta się w Wielką Sobotę. W szczególności zaś scena, przedstawiająca mężczyznę ze zwojem w rękach i druga przy studni, zdaje się być przejęta z proroctwa piątego [1] tak, że osobie, czerpiącej wodę można włożyć w usta słowa: *omnes sitientes venite ad aquas,* a nauczycielowi zachętę: *inclinate aurem vestram et venite ad me.*

Otóż aby znaczenie tej kompozycyi ostatecznie określić, poddał Wilpert całą dekoracyę kaplic dokładnej rewizyi i doszedł przy tem do rezultatów, które wyznaję otwarcie, odpychają w pierwszej chwili swą nowością, bo druzgocą niejedno dawniejsze objaśnienie i rozumienie malowideł, głęboko w duszy zakorzenione, ale z drugiej strony podbijają ostatecznie czytelnika siłą faktów i trzeźwej argumentacyi. Skonstatowawszy, że malarze ubierają w kaplicy A^2 i A^3 wyłącznie postacie świętych, tj. Chrystusa i Mojżesza w sam tylko płaszcz filozofów, podczas gdy kapłan w scenie chrztu nosi tunikę i płaszcz a zwyczajni wierni samą tylko tunikę, dochodzi Wilpert do konkluzyi, że kompozycya w kaplicy A^3 przedstawia Chrystusa ze Samarytanką przy studni Jakóbowej, mężczyzna zaś w izbie A^2, Zbawiciela, który wydaje wyrok nad zmarłym. Odkrywszy dalej w kaplicy A^3 na ścianie lewej w scenie chrztu gołębia unoszącego się nad osobą chrzczoną, wykazał, iż mamy tu przed sobą chrzest Chrystusa w Jordanie, nie zaś, jak dotychczas mniemano, realny obraz chrztu zwykłego chrześci-

[1] Izaj. 54 i 55.

janina. Wszyscy przywykliśmy dalej widzieć w mężczyźnie stojącym obok trójnoga, na ścianie naprzeciw wejścia, kapłana konsekratora. Tymczasem przedstawia on, według Wilperta, Chrystusa, który dokonywa cudu rozmnożenia chleba i ryb, na stole, symbolizującym ołtarz chrześcijański. Kapłan bowiem w scenie chrztu ubrany jest w płaszcz i tunikę, podczas gdy konsekrator przy trójnogu ma na sobie tylko płaszcz a więc strój Chrystusa w scenie przy studni.

Prócz tych i innych kompozycyj kaplic sakramentów precyzuje Wilpert jeszcze w ostatniej swej publikacyi znaczenie trzech innych scen z katakumby św. Kaliksta. Odsunąwszy cement, który zakrywał część fresku z III. wieku, uważanego za przedstawienie cesarza, wydającego wyrok na męczenników, przekonał się, że cesarz jest właściwie Mojżeszem, wyprowadzającym laską wodę ze skały na puszczy. W następstwie tego także scena na ścianie przeciwległej, którą tłumaczono powszechnie jako przesłuchanie przez cesarza jednego albo dwóch męczenników, nie przedstawia obrazka z dziejów męczeństwa, ale zasądzenie dwóch starców przez Daniela i uwolnienie Zuzanny. Kiedy się wie, ile kłopotu sprawiała archeologom ta kompozycya rzekomo męczeńska, jedyna w swoim rodzaju i tak przeciwna tradycyi artystycznej pierwotnego Kościoła, a teraz słyszy się takie jej wytłumaczenie proste i łatwe, to mimowoli przychodzi na myśl opowiadanie o jaju Kolumba. Dobry i dostrajający się do myśli, która górowała nad całą sztuką sepulkralną pierwszych wieków, jest też komentarz autora (str. 37—46) do przepięknej kompozycyi w krypcie owczej *(cripta delle pecorelle)*, zdobiącej lunetę arkosolu ale zniszczonej niestety w górnej części przez wykutą później prostokątną niszę grobową. Dobry Pasterz, z owieczką na ramionach, stoi tu w pośrodku swych owiec, z których jedna się pasie, druga podnosi oczy ku Pasterzowi, trzy inne także zwróciły się ku Niemu, a jedna patrzy w stronę przeciwną. Cztery owce, znajdujące się w krańcu kompozycyi, oddzielają od reszty dwaj mężczyźni, chwytający z pośpiechem w dłonie wodę, która obficie spływa ze skały. Tło obrazu stanowią dwa drzewa, po jednem z każdego boku Dobrego Pasterza. Według Rossiego, mężczyźni mają przedstawiać dwóch apostołów, spełniających mandat Chrystusa: „idąc tedy nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha świętego“, i zapraszających owce do chrztu oraz do źródeł mistycznej wody czyli Ewangelii. Z nich jedna posłuszna jest temu wezwaniu, inna ucieka przed niem, trzecia przysłuchuje się uważnie, inna wreszcie pochyliła głowę ku ziemi i szuka pokarmu ziemskiego.

Malarz zszeregował tedy w jednym obrazie cztery kategorye owiec symbolicznych: 1) chrześcijan, którzy zawsze Chrystusowi byli wiernymi; 2) grzeszników nawróconych, których Chrystus odnosi na ramionach do owczarni; 3) pogan, którzy przyjmują chrzest z ręki apostołów; 4) niewiernych, którzy Ewangelię odtrącają.

Zdaniem zaś Wilperta scena ta ma to samo symboliczne znaczenie, co wszystkie inne podobne obrazy Dobrego Pasterza z owieczką na ramionach, a które wskazują i odsłaniają nam modlitwę starej liturgii pogrzebowej. Opiewają one: „Błagamy Boga, aby zmarłego, którego Dobry Pasterz przyniósł na ramionach, przyjął do towarzystwa Świętych". Albo inna: „Spełniając obowiązek grzebania zmarłego wedle tradycyi naszych przodków w wierze, prosimy usilnie Boga, dla którego wszystko żyje, aby przez nas grzebane w niemocy ciało swoją mocą wskrzesił na życie ze Świętymi i domieścił duszę w szeregi Świętych i wierzących. Oby Bóg przy sądzie był miłosiernym dla zmarłego, którego przecież śmiercią swoją odkupił, od winy uwolnił i z Ojcem pojednał. Oby się teraz okazał Dobrym Pasterzem i odniósł go na swych ramionach (do owczarni)! Niech go przyjmie do orszaku Króla i dopuści do uczestnictwa w wiecznie trwających radościach i do towarzystwa Świętych". Według tej modlitwy, owca, którą Dobry Pasterz niesie na ramionach, symbolem jest zmarłego, dopuszczonego do szczęścia niebieskiego. Niema też żadnego powodu, aby owce dzielić na kilka kategoryj, bo wszystkie tworzą jedną owczarnię, a różna ich poza jest zwykłym motywem artystycznym, który wraca także w innych tego rodzaju kompozycyach. Woda, pod którą mężczyźni podstawiają dłonie, nie jest wodą chrzcielną, ale symbolem szczęścia wiecznego, jak to czytamy w Księdze Objawienia (7, 13) i w Aktach męczeńskich św. Perpetui i Felicyty. Kompozycya nasza byłaby tedy *pendent* do owych obrazów Dobrego Pasterza, na których obok albo poza owcami stoją Święci w postaci tak zwanych Orantów.

I to jeszcze podnieść należy, że Wilpert podaje w wątpliwość, i to nie bez racyi, nawet trafność samej nazwy kaplic sakramentów dlatego, że chrzest i eucharystyę znajdujemy przedstawione razem także w innych kryptach, któreby w takim razie powinny otrzymać to samo miano.

Do tych wszystkich zaś rezultatów, tak dla archeologów niespodziewanych, doszedł czcigodny autor znowu na podstawie gruntownej znajomości całej sztuki katakumbowej i dzięki tej orlej bystrości oka, która pozwoliła mu dostrzedz w kompozycyach szczegóły, jakie uszły

uwagi nawet Rossiego. Czuje Wilpert dobrze odpowiedzialność, jaką bierze na siebie za wystąpienie z temi korekturami. „Żal mi, pisze w przedmowie, że musiałem w kilku kwestyach uczynić poprawki do dzieł tego, który był mi nietylko nauczycielem, ale, co więcej znaczy, ojcowskim przyjacielem. Niemniej mam przekonanie, że te sprostowania odpowiadają intencyom niezapomnianego mistrza, który we wszystkiem szukał tylko prawdy i którego całe życie upłynęło na służbie prawdy". Tego zdania i my jesteśmy, tem więcej, że komentarz Wilperta nie niszczy zasadniczych poglądów egzegezy Rossiego, i freski kaplic sakramentów nadal uchodzić będą za najcenniejsze ikonograficzne świadectwo, ilustrujące katolicką naukę o chrzcie i eucharystyi, jako prawdziwej ofierze i uczcie ofiarnej.

Wartość monografii, którą autor dedykował akademii w Monasterze na podziękę za nadany mu przed kilku laty stopień doktora teologii *honoris causa*, podnosi jeszcze kilkanaście bardzo wiernych reprodukcyj malowideł kaplic sakramentów, fresku w krypcie owczej i sceny zasądzenia Zuzanny. Z radością witamy także zapowiedź większego dzieła: „O malowidłach katakumb rzymskich", które ma tworzyć drugą część czwartego tomu *Roma sotterranea* i wyjść równocześnie jako osobne wydanie obok włoskiego w języku niemieckim.

Ks. J. Bilczewski.

Pierre le Grand. L'education. L'homme. L'oeuvre. D'après des documents nouveaux. *K. Waliszewski.* I vol. Paris 1897. (W 4-ce, str. 633).

Wypadłoby chyba cały tom napisać, chcąc podać dokładne sprawozdania z cennego dzieła p. Waliszewskiego. Niezmordowany pracownik, któremu, nie licząc jego francuskich utworów, zawdzięczamy ogromne masy dokumentów, dotyczących historyi polskiej, za jakie niepodobna mu dosyć dziękować, nagromadził i tutaj tak wielką ilość farb i szczegółów, że aż się w głowie kręci, chcąc się zblizka obrazowi przyglądać. Trzeba już przestać czytać i oddalić się nieco, aby módz całość ogarnąć. Wtedy jednak występuje ona jaskrawo: na tle ciemności i krwawych plam widzimy postać nadnaturalnych rozmiarów, szamocącą się w pogoni za iskierkami światła, połyskującemi od strony Zachodu. Twarz jest ludzka, ale ruchy przedpotopowego zwierza, a myśl potężna, lecz chaotyczna, nie prowadząca woli, ale przez nią pchana, świadoma celu, ale nie drogi, na wszystkie strony łamiąc na oślep lub przesadzając zapory. Chcąc zaś rozpoznać dzieło olbrzyma,

trzeba się bardziej jeszcze oddalić, zblizka bowiem wzrok jest zbytnio rażony widokiem okrucieństw, potwornych śmieszności, orgii namiętności w niektórych kierunkach, obok heroicznego zaparcia w innych, ustawicznego aż do chorobliwości wysiłku pracy i ruchu, bezwzględności dla siebie i drugich.

P. Waliszewski podzielił księgę swoją na trzy wielkie działy; z tych drugi *L'homme* jest najbogatszym w szczegóły, a najciekawszym może trzeci, zatytułowany *L'oeuvre* (dzieło). Kreśląc nie tyle polityczne dzieje, co życiorys i charakterystykę Piotra Wielkiego, autor miał, zda się, na celu zaprowadzenie w opinii ogółu równowagi pomiędzy dwoma skrajnemi ostatecznościami: bezwzględnym podziwem, apoteozującym nawet występki cara, wmawiającym ideę polityczną w najbezmyślniejsze jego wybryki — a słowianofilską, zwłaszcza za czasów Aleksandra III., powstałą reakcyę, piętnującą cywilizacyjne prace Piotra, jako dzieło zniszczenia, zdeptanie przyrodzonych cnót starej, „świętej" Rosyi. W istocie, jak słusznie wykazuje autor, oba mniemania są przesadą: dzieło oświaty zaczęte było od dawna. Wprawdzie starożytną, z Bizancyum czerpaną, cywilizacyę Kijowa i Nowogrodu zmiotła nawała mongolska, roznosząc w zamian po olbrzymiej przestrzeni kraju ciężki osad własnych obyczajów i pojęć, gdy po dwóch wiekach zalew ostatecznie odpłynął, a samodzielne życie poczęło rozbudzać się w oswobodzonej ziemi, poczęły wraz z niem kiełkować ziarna zrazu rzadkie, potem coraz gęściej z sąsiedniej Polski i Niemiec wiatrem zachodnim przywiane. Rozwijały się bardzo powoli, bo też namuł tatarski był gruby i przylegający z dziwną, sobie tylko właściwą potęgą. Dziś jeszcze siłę jego oglądać możemy w Chinach: tu Mongołowie niby zchińszczeli — a przecież wyżsi cywilizacyą Chińczycy musieli pomimo kilkakrotnego krwawego oporu, zachować tatarską architekturę, tatarski strój i słusznie znienawidzone golenie głów. Dziś jeszcze bywają bici w podeszwy tatarską modą... A przecież Chińczycy byli umysłowo i materyalnie silniejsi od ówczesnych Moskali. Tym ostatnim tem trudniej było się wygrzebać, że tylko jedną stroną dotykali cywilizowanego świata: mieli więc okno, ale nie mieli przewiewu. Dopiero za Iwana Groźnego zaczyna na dobre świtać na horyzoncie ich nieba. Oszalały despota w chwilach trzeźwiejszych zajmuje się dobrobytem ludu, sprowadza rzemieślników z Zachodu, sprowadza nawet artystów, których następnie każe oślepiać, by dzieł u niego stworzonych gdzieindziej powtarzać nie mogli. Same wojny z Polską, sprowadzające na Moskwę zastępy polskich, niemieckich i węgierskich żołnierzy, zostawiały za sobą zasób

nowych pojęć i świeżego powietrza. Coraz to więcej wchodzi go za czasów Borysa, Szujskiego i Samozwańców. Tu już najemni Francuzi, Szkoci i Niemcy walczą w moskiewskich szeregach; walczą też w Moskwie Szwedzi, których wpływ odtąd już bezustannie odczuć się daje. Długą sukcesyjną burzą wstrząśniona Moskwa powstaje zeń rzeźwiejsza. Zerwanie spójni z patryarchatem carogrodzkim niszczy ostatni węzeł, łączący ją ze Wschodem, pozostaje zatem samoistna, jeszcze zamknięta w sobie. Pierwsi Romanowowie jednak, zmuszeni do odbudowania zburzonego rewolucyami gmachu, używają doń coraz więcej cudzoziemskiego materyału i robotników obcych. W wojsku, nad którem i Michał i Aleksy gorliwie pracują, wszyscy żołnierze są wprawdzie krajowcami ale oficerowie ich są w znacznej części przybyszami z Zachodu. O ile zaś obecność ich jest pożądaną, świadczy najlepiej fakt, iż raz do służby wpisani pozostają w niej jakoby w niewoli, nieraz napróżno wzdychając do lekkomyślnie porzuconej ojczyzny. Sam „święty“ gród dla nich zamknięty, ale u wrót jego wzrasta szybko europejskie przedmieście, zwane Niemiecką Słobodą, pełne zrazu Niemców, potem Anglików, Holendrów, a w końcu protestantów francuskich. Co więcej, między samymi Moskalami znajdują się już tu i ówdzie Europejczycy, jak np. Naszczokin, zarówno wódz i dyplomata, używany do traktowania najważniejszych spraw z Polską i Szwecyą, Artamon Matwiejew, ożeniony z Angielką Hamiltonówną, prowadzący dom otwarty po zachodniemu, posiadający bibliotekę, gabinet fizyki i laboratorym chemiczne, i piękną wychowankę, Natalię Naryszkin, żonę cara Aleksego. Wasyli Galicyn, wielkorządca monarchii za rządów carówny Zofii, był lichym wodzem, ale bardzo światłym człowiekiem, czytającym po łacinie, po niemiecku, po polsku, budującym pałace i dwory. Carówna Zofia pisywała komedye, a samo jej dojście do władzy, świadczy jak wielki wyłom już się był dokonał w starym „domostroju“ moskiewskim, skazującym kobiety na życie więzienne (w mniemaniu prawodawcy klasztorne), tem ściślejsze, im poziom ich stanowiska był wyższy. Wprawdzie były to wszystko wyjątki, coraz liczniejsze, ale zawsze wyjątki: ogół zaś pozostawał bez szkół, bez życia politycznego, bez ruchu towarzyskiego i społecznego. Każdy żył zamknięty w kółku rodzinnem, nieświadom, co się działo o miedzę, znając na świecie jedną tylko rozkosz: gorzałkę.

Piotr był synem wychowanej po europejsku Natalii Naryszkin. Rewolucye pałacowe, wstrząsające tronem po śmierci starszego brata jego Fiedora, wygnały go z zaklętych murów Kremlu do Preobrażeń-

skiego, na swobodę, i szeroki świat; stąd dostał się do Niemieckiej Słobody, gdzie chciwie zaczerpnięte wrażenia pozostawiły w nim na całe życie głębokie ślady. Zastał tam stek emigrantów z różnych stron i różnych sfer, zagnanych tu różnemi zrządzeniami losu; ludzi po większej części wykolejonych, niezłych wprawdzie, ale niewykwintnych, pocieszających się na wygnaniu wesołą hulanką. Towarzystwo dam przypominało *Die lustigen Weiber von Windsor*. Tutaj właściwie odbyło się bez nauki pierwsze i jedyne wychowanie Piotra; tu pochwytał luźne wiadomości wszelkiego rodzaju a otrzaskał się z różnorodnością wiary: wszystkie bowiem sekty miały w Słobodzie swych adherentów i swoje kaplice — jedynie katolicyzm był wykluczonym z urzędu. Tu również zawiązał stosunki przyjaźni, jak np. ze Szkotem, Patrykiem Gordon, który przeszedłszy ze służby szwedzkiej w polską, potem znów przeszedłszy do Szwedów i znów do Polaków (przez co zawdzięczamy mu opis kampanii cudnowskiej), nakoniec oparł się w wojsku rosyjskiem, skąd, jak wiemy, niełatwo się było wydostać. Drugim był Szwajcar, Francis Lefort, zrazu przybłęda bez grosza, marzący na samym wstępie o ucieczce z Moskwy, ale przytrzymany siłą konieczności i powoli wyrosły na rodzaj magnata. Jego dom służył młodemu carowi za punkt oparcia w Niemieckiej Słobodzie; tu nieraz odbywały się tańce i pijatyki do rana; Lefort jednak musiał umieć zachować pewien stopień osobistej godności, skoro raz później sam jeden prawie śmiał odmówić carowi, gdy ten kazał mu za własnym przykładem ścinać głowy strzelców przywiązanych rzędem wzdłuż długiego pnia drzewa.

Ale czas się zatrzymać. Charakterystyka poszczególnych osób zawiodłaby nas zbyt daleko. Dość że Piotr W. przychodząc do dzieła, znalazł je rozpoczęte, już Rosya poczęła była zwolna kroczyć po drodze oświaty, gdy jego niecierpliwa ręka chwyciwszy lejce zaprzęgu, pchnęła go nagle ze stępa w cwał. P. Waliszewski widzi w nim organizm potężny, pełen niewyrobionych, niekształtnych sił, szukających ustawicznie ujścia na zewnątrz, coś jakoby uosobienie całej ówczesnej Moskwy. Tylko że ówczesna Moskwa, bogata w zasoby żywotne, zaskarbione podczas długiego snu tatarskiej niewoli, była jeszcze leniwa i ciężka, podczas gdy w przedstawicielu jej wszystko było w chaotycznym stanie fermentu, każda kropla krwi burzyła się, każdy nerw naciągnięty nad miarę, poruszał się ustawicznem drganiem. Na stan nerwowy Piotra, kładzie p. Waliszewski silny nacisk: z widoku krwawych scen, na które patrzał w dzieciństwie, został w muszkułach jego twarzy i szyi konwulsyjny ruch, przekręcający mu głowę niemal do pleców, w pó-

źniejszym zaś wieku cierpiał na gwałtowne ataki połączone z bólem głowy, doprowadzającym go do chwilowego szaleństwa. Wtedy jedna Katarzyna śmiała doń przystępować i głaszcząc jak chore dziecko, utulała go do snu. Krom tego jednak organizm fizyczny był dość zdrowym, aby przez długie lata wytrzymać każdodniowe zmęczenie, pod którem byłoby padło dziesięć dromaderów. Co do strony moralnej, p. Waliszewski przypuszcza, że Piotr nie był pozbawiony sumienia, ale że zmysł służący ludziom do rozeznania złego od dobrego, skrystalizował się w nim w jeden punkt wybitny: wszystko co było pożytecznem dla państwa — było dobrem, co mu szkodziło — było złem. Co dla tego celu było obojętnem — nie zasługiwało na najmniejszy wzgląd. W zasadzie tej leży psychologiczne wytłumaczenie całego panowania reformatora Rosyi. On sam uważał się za pierwszego sługę kraju, odpowiedzialnego za jego postęp i świetność a zarazem uprawnionego do użycia w tym celu wszelkich sposobów, jakie mu nasunie własna myśl lub podszept cudzy. Tak więc, gdy u wstępu rządów nieszczęśliwa kampania przeciw Turkom i utrata Azowa przekonały go o złym duchu i złym stanie rosyjskiej armii, a nadto o konieczności stawienia floty, postanowił natychmiast poszukać za granicą lekarstwa. Wtedy to nastąpiła owa sławna pierwsza podróż, w ciągu której Leibnitz [1], zdumiony polotem jego myśli, porównywał go z Kam-Amalogdo-Hanem spółczesnym cesarzem Chin i Jasok-Adżam-Nugbadem, królem Abissynii, o których również mówiono, że jakieś wielkie żywią zamiary. Dziś podróż cara i jego pobyt w Hollandyi legendarne przybrały rozmiary: naówczas mało kto się nią zajmował, chyba na to, aby kląć na wpółdzikich, brudnych a mało płacących gości. Nawet w czasie drugiej w r. 1717 dokonanej podróży, musiano do szczętu restaurować każde po przejeździe cara zanieczyszczone mieszkanie a nie dziw, że nawet wtedy imię jego nie stało na spisach europejskich monarchów. W Zaandam Piotr W. bawił wszystkiego — tydzień. Nie przeszkodziło mu to wszystko obejrzeć po drodze, do każdej roboty, potrzebnej czy nie potrzebnej, przyłożyć rękę, włazić wszędzie, nawet do prosektoryum, gdzie widząc wstręt wzbudzony u jego dworzan widokiem ćwiertowanych nieboszczyków, zmusił ich kolejno do kąsania pełnymi zębami trupiego ciała. Podobnie później wlewał butelkę octu w gardło jednego

[1] Leibnitz był pochodzenia polskiego i nazywał się istotnie Lubieniecki. Za życia sam się tem chwalił, choć mu nie wszyscy wierzyli. Dziś Lubienieccy przyznają się do pokrewieństwa.

ze swych urzędników, wzbraniającego się od nowego dlań i niezdrowego przysmaku.

Za powrotem do Rosyi skorzystał z objawów buntu w korpusie strzelców, aby ich się pozbyć: kraj potrzebował nowego wojska, trzeba więc było stare usunąć, a na to najkrótszym sposobem była śmierć. Zaczęły się tedy egzekucye, a raczej rzeź, gdzie po kilkaset ludzi dziennie szło na szubienicę albo pod topór — że zaś Piotr każdego musiał próbować rzemiosła, więc teraz i topora się chwycił... Po rzezi strzelców wojsko istnieć przestało i Piotr począł nad stworzeniem nowych hufców pracować. Pracował, jak zawsze, gorączkowo i gwałtownymi środkami; szło mu jednak oporem, bo żołnierze uciekali masami. Wziął się tedy na sposób znaczenia ich jak bydło: każdemu w dzień asenterunku tatuowano niebieski krzyżyk na ręce. Równocześnie wydawał pełne troskliwości rozporządzenia, aby im wśród marszu nie brakło odzienia, ni jadła — był to bowiem kosztowny dla państwa inwentarz, teraz zwłaszcza, gdy poczynająca się wojna szwedzka zapowiadała długi ciąg dalszych zapasów. W istocie miała ona trwać długo i nie licząc materyału ludzkiego, który przecież nie mógł być lepiej użytym, miała wyciągnąć z Rosyi sporo materyalnych zasobów. Piotr, który większą część bogactw ojcowskich oddał był państwu w ofierze, a sam, nie chcąc przyczyniać kosztów, chodził w łatanych butach i żywił się kaszą, kwasem i wódką, nie wahał się na cele wojenne olbrzymich poświęcać sum. Dla osiągnięcia ich nakładał olbrzymie podatki, a ustanowiwszy nowy pobór pogłówny od każdej „duszy“ tj. niewolnego chłopa, nie wahał się znieść różnicy istniejącej dotąd między wolnym kmieciem a rabem, aby osiągnąć tem większą liczbę opodatkowanych „dusz“. Równoczesne zabiegi około podniesienia materyalnego bogactwa kraju, zmuszanie ludzi do zarobkowania, zachęty do poszukiwania w ziemi drzemiących skarbów, ogłoszeniem każdego znalazcy właścicielem bądź jakiego kruszcu odkrytego na bądź czyim gruncie [1] — wszystkie miały na celu nie dobrobyt mieszkańców, ale umożliwienie wyciskania z nich większych danin dla państwa. Cel był tem widoczniejszy, że oprócz kruszców rząd ściągał dla siebie monopol wszelkiego możliwego handlu, sam car posiadał liczne młyny, sprowadzał tytoń ku wielkiemu zgorszeniu zacofanych, wyrabiał i sprzedawał perkale — na wpół darmo, bo ich nikt nosić nie chciał.

---

[1] Prawo takie było chyba unikatem w Europie. W Polsce wszelkie kruszce prócz żelaza liczone były do t. zw. regaliów.

Że zaś wszystko u Piotra musiało iść przyspieszonem tempem, a dawna maszyna rządowa funkcyonowała mu zbyt leniwo a niedość powolnie, zmienił od razu cały system administracyi, zaprowadzając podział na gubernie, których zarządcy, ludzie jemu oddani, bezpośrednio już zależeli od niego. W ten sposób rząd skupiał się wyłącznie w osobie cara a pieniądze, o które głównie chodziło — zawsze dla celów wojennych — miały o tyle mniej się ulotnić, o ile przez mniej liczne przechodziły ręce. Piotr jednak zbyt często zmuszany jazdami i wojną do wyręczania się przez drugich, ujrzał wkrótce konieczność ustanowienia senatu, mającego niby zastąpić dawną „Dumę“ bojarów, co więcej — do ustopniowania na „czyny“ całej hierarchii urzędników cywilnych i wojskowych. Wszelako zdarzało się, że przy nagłej zmianie administracyi ustanawiano niejeden urząd, niejedną kancelaryę, nie skasowawszy jeszcze starej, skąd tysiączne wypływały zamięszania, nie licząc już trudności przy obsadzeniu podwójnych posad. Piotrowi przedewszystkiem było brak ludzi: brak w wyższych stopniach wojskowych, brak w nowokreowanej flocie, w urzędach, w fabrykach, w rzemiosłach. Główną zatem przez pewien czas myślą jego stało się zakładanie szkół. Niecierpliwy jednak i nieco dziecinny w tem jak w wielu innych wypadkach, zaczął dzieło od góry zamiast od dołu. Zakładał szkoły wyższe, dla ludzi nieumiejących czytać, sprowadzał z zagranicy profesorów, którym przychodziło wykładać przed pustemi ławkami. Słowem, tworzył ramy tam, gdzie jeszcze nie było obrazu. W braku innych uczniów, spędzano gwałtem synów diaków; synów szlacheckich — zawsze przemocą — wysyłano dla nauk za granicę, poczem niejeden, jeśli za powrotem nie odpowiedział wymaganiom cara, pokutował przez długie lata, skazany na funkcye nadwornego błazna. Błaznów tych było pełno; jedni grubymi żarty podnosili wesołość karczemnej drużyny, wśród której Piotr lubił przebywać; drudzy służyli za szpiegów. Szpiegostwo bowiem i denuncyacye były obok knuta główną sprężyną rządów Piotrowych. Człowieka pochwyconego za lada donosem, brano na konfesatę a potem przybrawszy mu głowę w płócienny kaptur, wodzono wylęknionego po mieście, aby wskazywał wspólników. Nie dziw, że żaden pożar nie wzbudzał takiego popłochu, jak ukazanie się podobnego straszydła: „Język! język!“ — wołano z przerażeniem, i wkrótce ulice stawały pustkami. U Piotra nie było stopniowania kary według ciężkości zbrodni — knut, pal i topór jedyne stanowiły odmiany. Jeżeli już zachodziła jaka różnica w sądzie, to zawsze według szkody, jaką wina mogła państwu przysporzyć. Szkodę

zaś tę widział, choćby w wadliwem wykonaniu rzemiosła, lub niezrozumieniu otrzymanego rozkazu. „Car blizko — śmierć blizko“ — szeptano z trwogą. Wyższa szlachta usuwała się o ile mogła, od dworu, gdzie ją zastępowali ludzie pozbierani tu i owdzie. Toż między Rurykowiczem Romodanowskim a Szeremetiewem panoszył się dawny piekarczyk Menczykow, a dalej nieco, pomimo nienawiści cara do „jewrejów“, widniała postać wzbogaconego litewskiego Żyda, Szafirowa. Cóż to mogło szkodzić Piotrowi? Toż jemu najraźniej było w stroju holenderskiego majtka, w szynku, wśród otoczenia obcych szyprów i sterników; w dzień Wielkanocy w r. 1701 zastano go w towarzystwie prostego żołnierza, dwóch „dienszczyków“ i chłopa, któremu na ten raz wolno było się upić. A Katarzyna, owa pseudo-żona, poślubiona za życia zamkniętej w klasztorze Eudoksyi, czyż nie zachowała na tronie swego gminnego obejścia? A jednak Piotr ją kochał prawdziwie i ona jedna zdołała mnogie ofiary wydrzeć od śmierci, zachowując na dzikim umyśle wpływ łagodzący, do chwili, w której wyszło na jaw, że się kazała uratowanym opłacać! Innych jej grzechów car widzieć nie chciał, a gdy przyszła na stół sprawa Williama Mors'a, ukarał go za poboczne winy, aby módz o głównej zamilczeć. O jego własnych obyczajach podaje p. Waliszewski obfite szczegóły, o których tu nawet lepiej nie wspomnieć; chyba na to, aby przestrzedz rodziców, iż książka nie jest w całości zdrowem dla młodzieży czytaniem. Piotr pozwalał sobie na wszystkie wybryki, wobec których milczało jego sztuczne sumienie, to jest „racya stanu“, nie zważając, że jako monarcha miał jeszcze mniej prawa demoralizować swój lud przykładem, niż topić w nadbałtyckich błotach kilkadziesiąt tysięcy robotników, użytych do budowania nowej stolicy. Tu bowiem racya stanu przemawiała głośniej do wybujałej fantazyi cara. Długi północny bój zaczęty sromotną porażką pod Narwą, a uwieńczony tryumfem połtawskim, przyniósł był swoje owoce: brzegi Bałtyku. Założenie Petersburga, ściągnęło ku nim a z nimi ku Zachodowi, ku Europie nietylko handel Rosyi, ale i myśl społeczeństwa, w którem Piotr siłą ukazów coraz to nowe czynił wyłomy, nakazując przymusowe towarzyskie zabawy, wydobywając na jaw kobietę z niewoli teremu. Był jeszcze inny cel: oddalenie od starej Moskwy, przedstawiającej dawne pojęcia, Moskwy, stolicy nietylko cara ale i równego mu niemal władzą patryarchy. Bywały chwile w dziejach, gdzie przewaga moralna brała górę nad materyalną; do śmierci Aleksego istniał zwyczaj, że raz w rok podczas uroczystej procesyi car idący pieszo konia patryarchy prowadził. Piotr nie był zarozumiałym: zaledwie spo-

strzegł że zbłądził — a zdarzało się często, bo działał zbyt szybko — wnet odwoływał rozkaz i innej drogi próbował. Zdanie drugich, mianowicie cudzoziemców, ważyło u niego wiele; był jednak nadto z zasady i usposobienia do szpiku kości despotą, aby znieść obok siebie władzę niezależną od swojej. Zniesienie patryarchatu było atoli przedsięwzięciem nie lada: trzeba doń było przyzwyczaić myśl ludu, podkopując powagę dostojeństwa — śmiesznością. Maszkarady publiczne, farsy wszelkiego rodzaju były codzienną prawie rozrywką cara. Toż z urządzanych na zabawę turniei między hufcami rzekomego króla polskiego i króla Presburga (pytanie czy Piotr nie miał tu na myśli wyśmianie cesarza), książe Romodanowski, grający rolę tego ostatniego, zachował przez długie lata tytuł królewski z odpowiednim dworem, odbierał od cara raporta wśród ważnych nawet wypadków, odpowiadał nań jak monarcha do poddanego, wzywał przed siebie i gromił rzekomego „Piotra Michajłowa“, gdy mu się ten w przejeździe nie ukłonił dość nizko. A był to człowiek poważny, dumny i twardy, ale o cudo! uczciwy — tem dziwniejsza, że się umiał nagiąć do tak przeciągłej komedyi. Innym zupełnie typem był Zotow, dawny ochmistrz Piotra, a teraz główny jego błazen. Ten nadał się znakomicie do odegrania wstrętnej roli osoby duchownej, którą niekiedy zwano patryarchą, to znów wyśmiewając niby Rzym, darzono tytułem: „kneź-papa“. Otoczony gronem niby kardynałów, wyprawiał z urzędu orgie pijackie lub — w zamian dawnej prawdziwej procesyi — figurował w ohydnym pochodzie, któremu car, przebrany za majtka, wybijał takt na bębnie, a w którym najmniej wstrętny zapewne przedstawiały widok wieprze zaprzężone do wozów. Zotow był już starcem, gdy go car postanowił publicznie ożenić; miał synów dorosłych, zajmujących wysokie stopnie wojskowe; próżnemi jednak były ich błagania, aby siwiznie ojca tej ostatniej hańby oszczędzić. Piotr obrał na oblubienicę 60-letnią damę szlachetnego rodu, i biedny „kneź-papa“ musiał rad nie rad się zgodzić. Gody odbyły się wpośród potwornej maszkarady ku wielkiej zabawie cara i nawpół pijanego motłochu. Dni patryarchatu były policzone...

Wpośród tego nawału zmian, były i rzeczy bardzo dobre, jak założenie 60 szpitali i domów przytułku przy cerkwiach; że zdarzały się nawet ukazy, łagodzące surowość prawa — to pewna. Nie można jednak było żądać, aby społeczeństwo przyjęło wdzięcznie rozporządzenia nałożone ze stryczkiem w jednym ręku, a knutem w drugim. Nie dziw, że w całym ludzie wrzała głęboka niechęć, że jedni mienili Piotra anty-

chrystem, drudzy zamienionym przez Niemców w kolebce podrzutkiem, że niejedna ustawa rozbiła się o bierny opór, że w łonie kleru obok postępowego władyki Prokopowicza podniosły się z różnych stron głosy gromiące nowy porządek. Opozycya ta znalazła swój punkt oparcia w carewiczu Aleksym, synu wygnanej Eudoksyi. Aleksy nie zbuntował się nigdy, ani nawet posunął do spisku; od młodości rozpity, był może zbyt leniwym ku temu. W dziwnem przeciwieństwie do ojca (co zresztą nierzadko się zdarza) syn Piotra z natury miał wstręt do czynu, a niechęć ta zwiększała się w miarę, jak czyny cara przybierały coraz bardziej dlań antypatyczny kierunek. Piotr, jak wiemy, mienił się pierwszym sługą państwa, do służby tej zaprzągł poniewoli wszystkich poddanych i nie pojmował następcy tronu, który służyć nie chciał. Stąd obustronne rozgoryczenie, zakończone znanemi dziejami ucieczki, komedyą przebaczenia, powrotem, nowemi podejrzeniami, badaniem pod knutem i śmiercią. P. Waliszewski przytacza wszystkie wersye o zgonie Aleksego i konkluduje, mówiąc, że zginął „zamordowany“ przez ojca. Tym razem Piotr nie mógł się nawet racyą stanu istotnie tłumaczyć: komuż bowiem po sobie zostawił tron? Człowiek ten, którego życie było długim aktem niemal nadludzkiej woli, który nie oszczędzając nikogo nie oszczędzał i siebie, nie miał odwagi napisania testamentu przed zgonem. Ten testament, który w r. 1836 w pamiętnikach problematycznego Chevalier d'Eon ogłosił Francuz Gaillardet, jest, zdaniem p. Waliszewskiego, wierutnem kłamstwem. Skutkiem tego było całe niemal stulecie walk pałacowych, opóźniających znów Rosyę na drodze postępu. Jako testament Piotra zostało jego dzieło: nowe formy, nowe ramy, które na lud swój nałożył, a które zrazu puste, dopiero z biegiem czasu napełnić się miały. Czy się przyczynił do podniesienia kraju, czy przeciwnie zbyt nagłem pchnięciem wykoleił go z normalnego toru? Nad tem po dziś dzień sprzeczają się w Rosyi. P. Waliszewski skłania się raczej ku pierwszemu zdaniu, przyznając wszakże, że wywrócenie brutalną dłonią wszystkiego, co stara Moskwa miała za święte, rzuciło w masy pierwszy ale pewny zaród nihilizmu. Nie twierdzi również, aby dzieło reformy ze wszech miar było udane... Niektóre krytyki francuskie zarzucają p. Waliszewskiemu, iż pomimo usiłowanej bezstronności, przypomina sobie chwilami, że jest Polakiem, a wtedy staje się w sądach zawistnym i niesprawiedliwym. Zdanie takie mógł wypowiedzieć tylko serwilizm francuski, nieumiejący dziś mówić o Rosyi inaczej, jak na kolanach. Nam się zdaje przeciwnie, że wszelkie stosunki Piotra W. z Polską traktowane są chłodno i objektywnie, że

każdy dobry rys w charakterze Piotra podniesiony sumiennie, a błędy choć je głośno wytyka, bodaj czy nie zanadto trochę wytłumaczone ogniem temperamentu, wpływem wychowania bez zasad moralnych, skrzywionem ale silnem poczuciem obowiązku, a wreszcie i zwłaszcza dziedzictwem wszelkich właściwości narodu, który go zrodził. Co do tego narodu, zadziwiło nas tylko jedno: surowy sąd wydany o wojsku moskiewskiem z przed czasów Piotra, a mianowicie uczyniony mu zarzut tchórzostwa. Ten wydaje nam się absolutnie niesłusznym, chyba że w ostatnich dziesiątkach XVII. w. nastąpiła taka zmiana na gorsze. Same wojny z Polską, heroiczna obrona Połocka i Pskowa, krwawe pola Cudnowa, Basi i Lachowic świadczą, jak ci ludzie umieli umierać. Piechoty również Piotr W. nie stworzył, gdyż wielka jej liczba w armii moskiewskiej trudną do zwalczenia Czarnieckiemu i Sapiesze w r. 1660 przedstawiała przewagę. Podobnie t. zw. „czosnki“ czyli ruchome drewniane szańczyki, stawiane przed piechotą wśród boju (Moskale bowiem zawsze lepiej się bili w szrankach, niż w otwartem polu) nie były wynalazkiem Piotra gdyż je już Pasek opisuje dokładnie.

P. Waliszewski nazywa Piotra W. *le grand myope*, chcąc przez to powiedzieć, że prześlepiał rzeczy blizkie dla celów dalekich. Zwie go też „ludzkim mastodontem“, a miano to zda się lepiej przywierać do „szerokiej natury“ północnego mocarza, niż zwykłe porównanie wielkich mężów do lwów, orłów lub sępów. Styl p. Waliszewskiego jest barwny, może aż do zbytku. Sąd obmyślany głęboko, a treść tak niesłychanie obfita, że powtarzamy: trzebaby nowy tom napisać, aby zeń choć pobieżne sprawozdanie nakreślić.

T. W.

Luthers Lebensende. Eine kritische Untersuchung von *Dr. Nikolaus Paulus*. Freiburg im Breisgau 1898. (W 8ce, str. VIII. i 100). Erläuterungen u. Ergänzungen zu Janssen's Geschichte des deutschen Volkes. Herausgegeben von *Ludwig Pastor*. I. Band, 1 Heft.

Przed ośmiu czy dziesięciu laty wystąpił w Niemczech dr. Majunke, były redaktor *Germanii*, ze śmiałem twierdzeniem, że Luter zakończył swe życie samobójstwem. Wywiązała się stąd gorąca polemika, która i dziś jeszcze nie zupełnie ucichła, nie wyświecono bowiem dotychczas spornej kwestyi należycie i odpowiednio do wymagań ścisłej nauki. Spełnić to zadanie stara się profesor monachijski, dr. Paulus, w ogłoszonej świeżo monografii, której tytuł podaliśmy w nagłówku. Autor, znany chlubnie z kilku niepoślednich prac historycznych, a ce-

niony wysoko przez Janssena, zestawia w tem studyum wszystkie znane dotychczas relacye źródłowe o śmierci Lutra, pomnażając i uzupełniając je jeszcze kilku nowemi, które udało mu się odkryć, a roztrząsając sumiennie i bezstronnie ich wartość, dowodzi w sposób, który pod względem ścisłości naukowej, jak sądzimy, nic nie pozostawia do życzenia, że podanie o samobójstwie Lutra należy „między bajki włożyć". Dla wyjaśnienia początku tej legendy, na której dr. Majunke oparł swe twierdzenie, a zarazem dla jaskrawszego oświetlenia jej wartości jako świadectwa historycznego, autor nie zajmuje się nią w oderwaniu od historyi współczesnej, jak to w innych pracach, poświęconych tej samej kwestyi, dotąd czyniono, lecz rozbiera ją w związku z różnemi wieściami, krążącemi wówczas o śmierci innych wybitniejszych osobistości XVI. stulecia. Panował bowiem w owych czasach zarówno u katolików, jak u protestantów zwyczaj opowiadania o śmierci przeciwników religijnych wszelkiego rodzaju „okropności". Z tego względu monografia d-ra Paulusa jest także znakomitym przyczynkiem do historyi obyczajów XVI. wieku.

Ton spokojny, daleki od wszelkich zgryźliwych wycieczek przeciw inaczej myślącym, przedmiotowość i gruntowność w dochodzeniu ze źródeł istotnej prawdy, jasna i prosta interpretacya świadectw źródłowych — oto główne zalety tej pracy, przeznaczonej nietylko dla kół fachowych historyków, ale i dla szerszej publiczności czytającej. A i wynik jej wielce ciekawy, dla protestantów niektórych odcieni zapewne niespodziewany, skoro autor jest szczerym katolikiem i zalicza się do tak bardzo przez protestantów znienawidzonej i okrzyczanej szkoły historycznej Janssena.

Rzecz cała podzielona jest na trzy części. W pierwszej przytacza i omawia autor szereg charakterystycznych relacyj o śmierci różnych osób, które obiegały w XVI. i XVII. stuleciu w przeciwnych tym osobom obozach religijnych (str. 1—55). W drugiej roztrząsa świadectwa, przemawiające pozornie za śmiercią samobójczą Lutra i wykazuje ich bezwartościowość (56—66). Przedmiotem zaś trzeciej części są świadectwa katolików i protestantów, przemawiające przeciw temu przypuszczeniu (67—96). Nie mogąc się tu szeroko rozpisywać nad treścią tej zajmującej broszury, chcemy przynajmniej podać główne jej wyniki.

Jak już wyżej powiedzieliśmy, szerzenie zmyślonych niekorzystnych wieści o zgonie ludzi przeciwnego obozu religijnego było w XVI. w. na porządku dziennym. Cała pierwsza część pracy d-ra Paulusa po-

święcona jest oświetleniu tego szkaradnego zwyczaju konkretnymi faktami. Nic przeto dziwnego, że i z Lutrem nie zrobiono wyjątku. Zaraz bowiem po jego zejściu chodziły w kołach katolickich pogłoski, jakoby herezyarcha powiesił się na słupku narożnym łóżka *(Bettstollen)*. Żaden atoli katolicki pisarz Niemiec przez cały wiek XVI. nie śmiał wziąść na siebie odpowiedzialności za te pogłoski, żaden nie śmiał ręczyć za ich prawdziwość. Jest to niewątpliwie fakt bardzo znaczący. Dopiero Tomasz Bosius, Oratoryanin włoski, pierwszy w wydanem przez siebie w r. 1591 dziele *De signis Ecclesiae* przytacza podanie o samobójstwie Lutra, opiera się jednak tylko na słuchu *(audivi)*, nie badając wcale ani źródła pierwotnego, ani wogóle wiarogodności tego podania. Później Franciszkanin Henryk Sedulius, w piśmie ogłoszonem w r. 1606, przytacza owe mniemane „rewelacye" rzekomego sługi Lutra, które są jedyną podstawą wywodów d-ra Majunkego. Lecz „rewelacye" te przy bliższem rozpatrzeniu nie wytrzymują krytyki; jest to fałszerstwo, na którem nie poznał się łatwowierny Sedulius.

O rzeczywistym przebiegu ostatnich chwil życia niemieckiego reformatora i o rodzaju jego śmierci daje nam dokładne i szczegółowe wiadomości niepodejrzane sprawozdanie Jana Landau, aptekarza katolickiego z Eisleben, którego zawezwano do łoża umierającego Lutra. Oto w streszczeniu słowa Landau'a:

We środę dnia 17 lutego 1546 r., Luter, siedząc przy kolacyi, na której sobie dobrze zajadał i popijał, był bardzo wesół i rozweselał obecnych opowiadaniem różnych facecyj. Około godziny 8-ej począł się skarżyć, że czuje się trochę źle. Po północy zawezwano nagle do jego łoża dwóch lekarzy, z których jeden był doktorem, drugi magistrem. Gdy nadeszli, nie zastali już bicia pulsu, napisali jednak receptę. Luter wprawdzie przyszedł znowu do siebie, ale niezadługo skonał, około godziny $2^3/_4$ rano. Tymczasem za nadejściem chwili przesilenia lekarze posłali byli po aptekarza, aby za pomocą lewatywy jeszcze Lutra ocucić. Aptekarz przyszedł już po zgonie Lutra i choć jeszcze na trupie dokonywał operacyi, operacya już była bezskuteczną. Potem obydwaj doktorzy spierali się o rodzaj śmierci. Doktor twierdził, że to był rodzaj apopleksyi, dowodziło tego bowiem wykrzywienie twarzy tudzież zczernienie całej prawej strony. Magister zaś, który nie chciał przypuścić, „by tak świątobliwego męża miała dotknąć ręka Boska apopleksyą", utrzymywał, że przyczyną śmierci był katar dławiący, który spowodował uduszenie się nieboszczyka. Cucono potem jeszcze zmarłego,

to nacierając ciało wodą pachnącą, to innymi sposobami — ale wszystkie te usiłowania okazały się bezskutecznemi.

Relacya ta zaleca się wielką trzeźwością i dokładnością w przedstawieniu rzeczy i podaje szczegóły, o których mógł wiedzieć tylko świadek naoczny. Istnieją prócz tego jeszcze zeznania innych osób, które były obecne przy śmierci Lutra. Potwierdzają one i uzupełniają opowiadanie aptekarza. Wszystkie zaś wątpliwości, które podniesiono co do ich prawdomowności, nie są uzasadnione, jak tego autor szczegółowo dowodzi. W żadnej też z tych relacyj nic takiego doczytać się nie można, coby mogło dać podstawę do przypuszczenia, iżby Luter sam sobie miał odebrać życie. Owszem, wszystkie zeznania świadków, zarówno katolickich jak protestanckich w tem się zgadzają, że Luter zmarł śmiercią wprawdzie nagłą, ale naturalną. Wykazuje też autor w sposób zupełnie przekonywający, że gdyby Luter naprawdę był skończył samobójstwem, to ani słudzy jego ani predykanci nie byliby potrafili zataić tak strasznego wypadku, chociażby tego najbardziej byli chcieli. Wobec takich danych trzeba się więc zgodzić na ostateczną konkluzyę autora, że opowieść rzekomego kamerdynera Lutra, według której reformator miał zginąć śmiercią samobójczą, należy odrzucić jako baśń zmyśloną. Tej konkluzyi też będzie musiał niezawodnie przyznać słuszność każdy, kto z uwagą przeczyta starannie napisane studyum d-ra Paulusa.

Herman Libiński.

Un apôtre de la charité aux XIX. siècle. *L'abbé Didelot.* Paris. 1897. (Str. 126)

Mała książeczka, ale pokrzepiająca, bo kreśli nam obraz prostego a gorliwego poświęcenia dla bliźnich, jakiego nam dziś na te ciężkie czasy potrzeba. Ks. Didelot był sobie przez 25 lat kapelanem wojskowym, następnie, po skasowaniu tej instytucyi w armii francuskiej, kapelanem więźniów przez lat 30. To długie a proste życie, opowiedziane jest w sposób barwny, budujący, a zarazem zabawny; zaznaczone są przykłady pokory, pokuty, pobożności, a zwłaszcza miłosierdzia, jakie ten zacny kapłan nieustannie dawał; wplecione są między tem rozmaite anegdoty, historyjki. Nietylko autor mówi, ale raz po raz mówią żołnierze, oficerzy, dozorcy więzień, zbrodniarze, każdy pod swoim kątem; ot np. stary wiarus z pod Sebastopola, wśród procesyi Bożego Ciała, którą ks. Didelot dla żołnierzy urządził, rozpłakał się. „Ha, — powiada — przepadło, płaczę jak dziewczyna! A co to mówią,

że chcą Pana Boga skasować?! Głuptasy! Co dadzą na Jego miejsce?“ Czy to nie wyborne, i ktoby lepiej potrafił powiedzieć?

I to się wreszcie mile czyta, że ks. Didelot miał szczególną cześć dla swojej matki, i wychowaniu, jakie od niej otrzymał, przypisywał wszystko, co miał dobrego.

X. T. J.

L'évangile et le temps présent, par *l'abbé Elie Perrin*. Paris, 1897.

Wychodzą raz po raz we Francyi książeczki o życiu religijnem, które mają smak do lukrecyi podobny i te na nieszczęście znajdują się najczęściej na półkach naszych księgarzy i w rękach naszych pobożnych osób. Stąd błędne mniemanie, że tylko takie we Francyi wychodzą.

Książka, na którą zwracamy uwagę, wcale tego smaku niema.

Autor chce, żeby czytający go katolicy lepiej poznali Ewangelię, żeby zrozumieli jej stosunek do dzisiejszych potrzeb, zagadnień i obowiązków, tłumaczy im więc Ewangelię, a właściwie mówiąc pojedyncze jej ustępy, które Kościół na każdą niedzielę czyta i w świetle ich roztrząsa po kolei różne żywotne kwestye, które mogą chrześcijanina obchodzić.

Książka ta może też służyć na niedzielne czytanie duchowne w katolickich rodzinach. Styl żywy, nauka teologiczna gruntowna, aktualność budzi interes.

X. T. J.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

W sprawie samorządu Kościoła katolickiego na Węgrzech. II. [1]

Ojciec święty, przyjmując dnia 31 marca r. b. pielgrzymów węgierskich, w przemówieniu do nich powiedział między innemi co następuje: „Jakkolwiek ubolewamy, że sprawy rządowe u was zeszły obecnie do stanu mniej pomyślnego, pokładamy jednak wiele nadziei w odziedziczonej wierności Węgrów i żywimy całą otuchę, że dawna sława i szczęśliwa nazwa Królestwa Maryańskiego chwalebnie ostoi się aż do końca. Powaga biskupów niechaj wam będzie świętą; albowiem ustanowieni są przez Ducha św., aby rządzili Kościołem i aby prowadzili wiernych ku zbawieniu“. W przemówieniu Ojca świętego uderza brak choćby najmniejszej tylko wzmianki o tak zwanym „katolickim kongresie autonomicznym“; ale na Węgrzech odgadnie to każdy, szczególnie członkowie „kongresu“, a między nimi najwięcej biskupi, że dwa powyższe ustępy nie o czem innem, jeno o „kongresie“ mówią. Krytyka teraźniejszych rządów węgierskich nie jest tu rzeczą główną; stanowi ona tylko ciemne tło, na którem tem plastyczniej uwydatnia się owa wielka przestroga, za-

[1] Zob. *Przegląd Powszechny*, grudzień 1897, t. LVI, str. 443 i nast.

warta w słowach Pisma św., że biskupi są posłańcami Ducha św., aby rządzili Kościołem i aby prowadzili wiernych. Przy prostocie jest tu potęga, a mianowicie jest tu gromka krytyka stanowiska, które przynajmniej część duchownych członków kongresu zajęła. Wprost nie mógł Ojciec św. wspomnieć o kongresie, choć przeznaczeniem jego jest stworzyć wielki przełom w życiu kościelnem na Węgrzech, choć ma on już historyę pięćdziesięcioletnią, choć on po dłuższej przerwie od lat pięciu na nowo utrzymuje w natężeniu uwagę katolików, heretyków i nawet Żydów, wszystkich kół politycznych i niepolitycznych na Węgrzech, choć on nawet daleko poza Węgrami zaniepokaja umysły katolickie, a wzbudza tryumfalne nadzieje w protestantach i w lożach masońskich. Nie mógł Ojciec św. wprost wspomnieć o „kongresie“, który, acz wiele sprawia mu zmartwienia serdecznego i zgryzoty, od owej chwili, gdy większość względna (nie absolutna) episkopatu węgierskiego na przesłaną z Rzymu instrukcyę odpowiedziała prośbą o przesłanie nowej instrukcyi.

O fakcie tym wspomnieliśmy w przeszłym artykule; uzupełniając dziś tę wzmiankę, nadmieniamy, że — jak nietrudno było przewidzieć — Stolica apostolska nie uznała potrzeby wydania nowej instrukcyi.

Natomiast z całą gotowością do usług spotkała się owa większość episkopatu u ministra spraw duchownych, p. Wlassicsa, kiedy na tej samej konferencyi (w listopadzie przed zebraniem się kongresu), na której postanowiła poprosić Stolicę apostolską o zmienienie instrukcyi, uchwaliła poprosić także p. Wlassicsa o instrukcyę rządową. Szkoda tylko, że usługa tego pana okazała się taką, iż poprostu popłoch zapanował między członkami kongresu, wszystkim katolikom węgierskim włosy zjeżyły się na głowie, a poza Węgrami odezwały się głosy wielkiego oburzenia.

Autonomiczny kongres katolicki, gdyby należycie pojmował ideę samorządu kościelnego i własne zadanie w myśl definicyi biskupa siedmiogrodzkiego, ks. Majlatha, według którego „pojęcie autonomii nie może być inne, jak tylko takie, żeby Kościół katolicki sam zawiadował swojemi sprawami z wyłą-

czeniem wszelkich żywiołów obcych“ — powinien był zasadniczo i w praktyce najzupełniej ignorować cały rząd świecki, szczególnie też p. Wlassicsa, a w stosunkach swych z królem posługiwać się pośrednictwem osobnego ablegata królewskiego, mianowanego z grona dostojników, znanych z usposobienia szczerze katolickiego. Dnia 10 lipca r. z. siedmiogrodzki *status* katolicki (istniejący już 200 lat) na wniosek ks. biskupa Majlatha uchwalił (przeciwko obecnemu Juliuszowi Györffemu, byłemu członkowi loży masońskiej), że mason nie może być członkiem zgromadzenia statusowego, ani też członkiem kościelnej rady dyrekcyjnej. Pan minister Wlassics zaś jest notorycznie członkiem loży, a więc nietylko jako członek rządu, lecz także jako mason jest wcale niekwalifikowany do wchodzenia w jakiekolwiek stosunki z autonomicznym kongresem katolickim, a tem mniej zdatny do wydania dla niego instrukcyi.

Sprawę tę instrukcyi rządowej trzeba nam kilkoma słowy objaśnić. Już niewłaściwym sposobem teraźniejszy „kongres katolicki“ dał sobie przez rząd narzucić jako przedmiot obrad projekt statutu organizacyjnego, który wypracowany został przez „kongres“ roku 1870/71. Statut ów, choć w jednej części swej jest wielce niebezpieczny Kościołowi, bo dąży do odjęcia mu charakteru episkopalnego, jednak w swej drugiej części dąży do wyzwolenia Kościoła z pod wpływu rządowego, i właśnie dlatego nie podobał się ani rządowi z r. 1871, ani nie podoba się teraźniejszemu. Na zmienieniu tej właśnie części drugiej poprzestać ma „kongres“ teraźniejszy. Jest to niewłaściwość z potrójnego względu: 1) narzucenie substratu obrad przez rząd sprzeciwia się samemu pojęciu autonomii i nie jest praktykowane względem kalwinów, lutrów i t. d.; 2) kongres jest ciałem stworzonem najzupełniej na obraz i podobieństwo parlamentu, w żadnym zaś parlamencie rezolucye i projekty sesyi poprzedniej co do spraw niezałatwionych nie mają najmniejszego znaczenia; sprawa niezałatwiona musi być traktowana jako zupełnie nowa, a nie jako po części już dojrzała; 3) kongres teraźniejszy ma sprawę z wcale innem położeniem rzeczy, niż kongres roku 1870/71 i nawet wyraźnie zwołany jest w celu zapobieżenia nie-

bezpieczeństwom zagrażającym Kościołowi z ustaw kościelno-politycznych z r. 1894 i 1895, a więc i z tego względu projekt statutu organizacyjnego z przed lat blizko trzydziestu jest przestarzały i nieprzydatny.

Niestety część duchownych członków kongresu nietylko poddała się dyktatowi rządowemu wogóle, lecz w potulności względem rządu posunęła się jeszcze dalej przez to, że uchwaliła poprosić ministra spraw duchownych o instrukcyę dla kongresu, w których szczegółach i w jakim duchu zmienić projekt z r. 1871.

Pan Wlassics pospieszył z odpowiedzią i przesłał ją na ręce kardynała księcia-prymasa Vaszarego w formie memoryału drukowanego, przeznaczonego dla członków kongresu. Przypatrzmy się jego treści. Pan Wlassics oświadcza najprzód, że rząd pojmuje przyszły stosunek państwa do Kościoła nie ze stanowiska józefinistycznego, ani też wedle zasady rozbratu między państwem a Kościołem. Z tego negatywnego określenia poglądu na autonomię kościelną, którą „kongres“ ma zorganizować, możnaby wysnuć pozytywny wniosek, że rząd zamyśla pozostawić Kościołowi najzupełniejszą wolność, nie troszczyć się bynajmniej o jego sprawy, ani duchowe, ani materyalne, a jednak otoczyć Kościół swoją opieką, użyczając mu w razie potrzeby pomocy „ramienia świeckiego“. Taka konkluzya, a nawet jeszcze nieco rozleglejsza, znajduje potwierdzenie w następnych zaraz słowach memoryału, w których p. Wlassics mówi, że ów pogląd rządu na przyszłą autonomię Kościoła katolickiego wypływa z „uznania równouprawnienia Kościołów historycznych“. Przez „Kościoły historyczne“ rozumie się np. także zbory, kalwiński i luterski; tym zaś użycza rząd węgierski, właściwie państwo, wszelkiej opieki nawet w duchu obowiązkowego wspierania finansowego. A więc historyczny *per eminentiam* Kościół katolicki powinien co najmniej cieszyć się tymi samymi przywilejami, co zbory kalwińskie i luterskie. Zważywszy choć tylko na to, że Kościół katolicki był twórcą państwa węgierskiego, trzeba takie zrównanie go ze zborami heretyckimi uważać zasadniczo za wielką jeszcze krzywdę, ale ze względu na faktyczny stan rzeczy, pogarszający się od czasów Józefa II.

prawie od roku do roku, możnaby ostatecznie zgodzić się na tę krzywdę, byleby tylko owo zrównanie Kościoła z sektami było na przyszłość stałą, niewzruszoną i rzeczywistą podstawą stosunków między Kościołem a państwem. Ale wedle memoryału p. Wlassicsa ten niepospolicie skromny ideał staje się poprostu mrzonką!

Miara praw materyalnych istotnych i rzeczywistych Kościoła katolickiego musi być ograniczona z rozmaitych względów. Zawisła ona, wedle p. Wlassicsa, przedewszystkiem od warunku „całości i udzielności państwa". A więc Kościół, który stworzył państwo węgierskie i jego prawo polityczne, który przez blizko dziewięć wieków był Kościołem panującym i właśnie dlatego, że na całą przyszłość spodziewał się pozostać panującym, odstąpił królowi apostolskiemu wielką część praw swoich — ten Kościół nagle stał się niebezpiecznym dla całości i udzielności państwa węgierskiego! Oczywiście coś się zmieniło: albo Kościół, albo państwo. Zaiste, zmieniło się!... A niech p. Wlassics sam powie, czy Kościół wywołuje rewolucyę przeciw państwu, czy państwo przeciw Kościołowi! Niech powie p. Wlassics, czy on sam nie jest sprawcą rewolucyi antykościelnej!... Po drugie, miara autonomicznych praw Kościoła zawisła od „stanowiska, jakie królowi apostolskiemu względem Kościoła nadaje węgierskie prawo polityczne". W zdaniu tem, jak w poprzedniem, znowu wszystko przewrócone do góry nogami. Któż w r. 1000 stworzył „króla apostolskiego"? Stworzyłoli go węgierskie prawo polityczne, czy stworzył go papież Sylwester II.? A w r. 1758 któż wznowił ten tytuł dla Maryi Teresy, czy węgierskie prawo polityczne, czy też papież Klemens XIII.? Węgierskie prawo polityczne nigdy też nie nadawało królowi apostolskiemu praw żadnych względem Kościoła, prawa te nadał mu sam Kościół, a węgierskie prawo polityczne stosowało się do praw i obowiązków, powiązanych z tytułem króla apostolskiego. O ile tyczy się króla apostolskiego, nie jest ono bynajmniej źródłem praw jego, lecz raczej ich emanacyą. P. Wlassics w szowinistycznej zarozumiałości madyarskiej i w wrogich Kościołowi zamysłach gmatwa pojęcia o źródle a emanacyi i chce, żeby źródło stoso-

wało się do emanacyi, nie emanacya do źródła. Trzeci Wlassicsowy warunek autonomicznych praw Kościoła, którym są „wymagania polityki narodowej“. Ten dopiero warunek wszystko nam jasno tłumaczy; ten warunek jaskrawo nam objaśnia wymienioną na pierwszem miejscu „całość i udzielność państwa“. Albowiem w żydowsko-masońskiej szowinistycznej polityce madyarskiej niema miejsca ani dla praw ludów n i e madyarskich, ani dla praw Kościoła katolickiego; co więcej, niema miejsca dla Kościoła r z y m s k o-katolickiego wogóle, ani też dla Cerkwi w jedności z Rzymem pozostających.

Aktualny stan prawny co do stosunków między Kościołem, królem apostolskim a państwem węgierskiem przedstawia się mniej więcej w ten sposób: Instytucya znana pod nazwą „króla apostolskiego“, z którą powiązane były wielkie prawa, ale i wielkie obowiązki względem Kościoła, miała sens, znaczenie i racyę bytu jedynie w państwie katolickiem; a mianowicie naczelnym obowiązkiem króla apostolskiego było podtrzymywać katolicki charakter państwa. Odkąd rządy rewolucyjne (artykułem XX. z r. 1848) odjęły państwu ten charakter, instytucya rzeczona upadła sama przez się, Kościół najzupełniej odzyskał prawa swe, które aż pod ów czas były przeniesione na króla apostolskiego, i mógł rządzić się najzupełniej autonomicznie. Jeżeli po artykule XX. z r. 1848 ktoskolwiek mógłby był jeszcze oddawać się jakowymś wątpliwościom, chociaż sekty heretyckie, zrównane z Kościołem, zorganizowały się rzeczywiście całkiem niezawiśle od króla, od rządu, od państwa, to wszelkie już wątpliwości ustać musiały po r. 1895, gdy rządy kalwińsko-żydowsko-masońskie nadały państwu znamię zupełnie bezwyznaniowe. Stosunek Kościoła do państwa węgierskiego, praw kościelnych, do węgierskiego prawa politycznego, jest przeto od r. 1848, a więcej jeszcze od r. 1895 właściwie taki, że, jak węgierskie prawo polityczne w rewolucyjnym i masońskim rozwoju swym nie troszczyło się ani o obowiązki króla apostolskiego, ani o prawa Kościoła, tak Kościół n i e p o t r z e b u j e troszczyć się już ani o króla, ani o węgierskie prawo polityczne; słowem, jest to sto-

sunek najzupełniej równający się maksymie amerykańskiej: wolny Kościół w wolnem państwie.

Widocznie mylnem jest zdanie korespondenta *Ruchu Katolickiego*, że „pomimo zmienionych warunków... autonomia Kościoła katolickiego musi poprzestać na skromniejszym o wiele zakresie niezawisłości od władzy świeckiej, aniżeli autonomia innych wyznań". Szanowny autor artykułu w *Ruchu* wywodzi to położenie przymusowe, tę konieczność zawisłości od władzy świeckiej (tj. wedle jego rozumienia, od rządu) z przywyknienia katolików węgierskich do upatrywania w królu najwyższego patrona Kościoła. Otóż prawda, że Stolica apostolska liczy się z przywyknieniem ludu do dziewięciowiekowej instytucyi, ale nieprawda, iżby dla Stolicy apostolskiej zachodził jakiśkolwiek przymus, tudzież iżby musiała zawiadowstwo spraw kościelnych uczynić zawisłem od rządu węgierskiego. Stolica apostolska, sama będąc piastunką najwyższej powagi i zarazem wszelkiej powagi najgorliwszą orędowniczką, pragnie podtrzymać powagę króla węgierskiego wobec jego poddanych katolickich, wobec całych Węgier, a szczególnie wobec jego własnego rządu i przeciw jego własnemu rządowi; dla tego Stolica apostolska, mimo że król węgierski *de iure* przestał być królem apostolskim (co już sam prosty lud węgierski czuje), nie myśli odjąć mu *de facto* praw i tytułu, a woli, dopóki można, rządzić się co do faktycznego stanu rzeczy zasadą: *tolerari posse;* ale w chwili, gdy sprawa stanie na ostrzu decyzyi ostatecznej, gdy tej zasady oportunistycznej zastosować już nie będzie można, wtedy pokaże się, że Stolica apostolska nie zna przymusu i że nie wpuści do owczarni wilka w postaci rządu węgierskiego.

A tak Stolica apostolska i rząd węgierski, acz bynajmniej nie jedną drogą, schodzą się na punkcie podtrzymania dziewięciowiekowej instytucyi; ale na to tylko, aby natychmiast znowu rozejść się co do kwestyi, w jakiej podtrzymać ją formie i w jakim celu. Pod względem formy Stolica apostolska chce, żeby król apostolski wykonywał prawa swe osobiście, nie przenosząc ich pod jakimbądź pozorem na osoby trzecie, lub na instytucye niepowołane, a tem mniej na osoby lub instytucye wręcz wrogie

Kościołowi. Wypływa to z natury rzeczy i stwierdzają to dokumenty historyczne. Wedle reskryptu króla Macieja II. z dnia 29 kwietnia r. 1616, nawet palatyn węgierski, ten najpełnomocniejszy namiestnik króla, nie mógł wykonywać praw króla apostolskiego, a skoro tak, więc też nie może wykonywać ich żaden minister. Pod względem zaś celu, Stolica apostolska chce wyzwolić króla apostolskiego, ale zarazem i sam Kościół z pod wpływu prawa politycznego, które przy zmienności swej i po części jawnie rewolucyjnym charakterze swym otworzyło rządowi drogę do coraz większych uzurpacyj w dziedzinie kościelnej. Otóż to właśnie punkt kardynalny!

P. Wlassics bowiem w memoryale swym wyraźnie naznacza, że „królowi apostolskiemu i r z ą d o w i odpowiedzialnemu nadal także pozostawić się musi kierownictwo w sprawach kościelnych“, a do przyszłej „autonomii“ należeć będzie *votum consultativum* w sprawie nominacyj (prymasa, biskupów i t. d.) i jakieś oskrobki kontroli nad użyciem mienia kościelnego; „właściwem zaś zadaniem autonomii będzie skuteczniejsze pielęgnowanie wewnętrznego życia kościelnego“. Tak więc p. Wlassics wyobraża sobie samorząd Kościoła katolickiego; a trzeba nie zapominać o tem, że „autonomia katolicka“ w Węgrzech bynajmniej nie oznacza samorządu kościelnego w właściwem tego wyrazu znaczeniu. Albowiem autonomia ta jest organizacyą katolików stanu i duchownego i świeckiego, bez różnicy, tak, że stan duchowny każdej chwili może być przegłosowany przez stan świecki. To też owo pozornie tak pięknie brzmiące „skuteczniejsze pielęgnowanie wewnętrznego życia kościelnego“ stanowi największe niebezpieczeństwo, bo oznacza ono nic innego, tylko wzniecaną i podsycaną przez organa rządowe agitacyę między żywiołem świeckim przeciw duchowieństwu i Kościołowi.

Sens więc memoryału p. Wlassicsa jest w krótkich słowach następujący: Teraźniejszy „kongres katolicki“ jest tylko dalszym ciągiem kongresu z r. 1870/71, który miał i chciał wytworzyć węgierski Kościół narodowy, ale nie zdobył się na tyle odwagi, bo grunt nie był jeszcze dostatecznie przygotowany. Od r. 1876 atoli, odkąd Koloman Tisza skalwinizował i zmasonił cały orga-

nizm państwowy, dzieło wewnętrznego przeobrażenia Węgier postąpiło aż do ustaw kościelno-politycznych z r. 1894 i 1895. Tryumf nowej idei państwa węgierskiego, tryumf żydowsko-masońskiego szowinizmu madyarskiego byłby jednak niezupełny, gdyby uzurpacye dokonane przez rządy pod firmą króla apostolskiego w dziedzinie Kościoła katolickiego nie zostały uznane i aprobowane przez samychże katolików i gdyby sami katolicy nie uznali *pro futuro* także omnipotencyi rządowej, sięgającej dowolnie nawet ponad te uzurpacye już dokonane. Na tem właśnie polega zadanie kongresu teraźniejszego. Jeżeli kongres spełni je, dostanie się mu nagroda w formie owych oskrobków praw autonomicznych; jeżeliby zaś nie spełnił — wtedy *quos ego!* Tak jest, p. Wlassics wyraźnie grozi; memoryał jego kończy się słowami następującemi: „Byłaby to rzecz fatalna dla sprawy autonomii, ale i dla pokoju wyznaniowego, gdyby kongres, nie zadawalając się kompetencyą, określoną przez rząd, a żądając szerszego zakresu kompetencyi, przeszkodził zrealizowaniu autonomii takiej, jaką w tamtych warunkach osięgnąć może".

Taka jest uproszona przez część episkopatu instrukcya p. Wlassicsa. Kardynał książe-prymas Vaszary rozdał ją między członków kongresu, a wrażenie, jakie ona wywarła, opisuje jeden z nich w wiedeńskim *Vaterlandzie* jak następuje:

„Konsternacya, by nie powiedzieć, otrzeźwienie, jest powszechne. Zaraz pierwsze wrażenie było to, że więc na teraz trzeba porzucić wszelką myśl o uporządkowaniu spraw katolickich, nietylko z powodu szorstkiego odmówienia wszelkiego wpływu co do czynności dotychczas już wciągniętych do urzędowego zakresu ministra spraw duchownych, lecz głównie z powodu oczywistego zamysłu ministra, żeby z „autonomii" uczynić sobie organ rządowy kosztem Kościoła i hierarchii, żeby Kościół, ile tylko się da, zdekatolizować. I tak uderza nas zadziwiająco wskazówka, żeby plebanię i szkołę gminną (katolicką) wydać wpływowi świeckiemu; żeby po dekanatach i dyecezyach kierownictwo tych interesów kościelnych wydać w ręce reprezentacyi świeckiej, urządzonej w duchu prawdziwie kalwińskim; żeby nawet beneficya uczynić przedmiotem taksacyj-

nego obciążenia i może weksacyjnego nadzorowania przez te konwenty świeckie. Sprzeczność z królewskiem pismem odręcznem [1] jest tu widoczna, bo przepisuje ono poszanowanie hierarchicznego urządzenia Kościoła. A nadto dziwi nas, że właśnie co do spraw li kościelnych, jak np. co do obsadzenia wyższych dostojeństw kościelnych, minister w sprzeczności z zgodnie zamanifestowanym poglądem episkopatu przemawia za prezentowaniem kandydatów przez żywioł świecki. Niejednego katolika strach ogarnia na myśl, że w przyszłości mógłby przyjść do skutku kongres na podstawie wyborów dokonanych pod wpływem ministeryalnym wedle znanego receptu Banffy'ego — kongres liberalno-katolickich masonów, który dałby się użyć przeciw Kościołowi".

Sam *Vaterland*, który nieśmiało, a nawet z niejaką przychylnością traktował sprawę „kongresu autonomicznego", dopiero po memoryale p. Wlassicsa doszedł do przekonania, które myśmy wypowiedzieli w grudniowym zeszycie *Przeglądu*, że Kościół, który przez blizko dziewięć wieków był panującym, ma teraz być poniżony gorzej od ostatniej sekty heretyckiej. *Vaterland* wybuchnął wielkim gniewem na „brutalne, bezczelne ograbienie Kościoła z praw najnaturalniejszych", ale wciąż jeszcze sympatyzuje z kongresem i nie widzi całego niebezpieczeństwa. My powtarzamy o kongresie, cośmy już powiedzieli, że jest to dziecko rewolucyi politycznej, a dąży do rewolucyi kościelnej; całość niebezpieczeństwa zaś widzimy w kościółku narodowym, w cezaropapizmie konstytucyjnym, w którym prymas węgierski ma być naczelnym dostojnikiem od parady, a prawdziwą głową jakiś Tisza, Weckerle, Banffy lub Wlassics pod firmą „króla apostolskiego", króla *qui règne et ne gouverne pas*.

Pod pierwszem wrażeniem owej instrukcyi p. Wlassicsa komisya kongresowa, która ma wygotować substrat dla obrad

---

[1] Korespondent *Vaterlandu* (członek kongresu) ma tu na myśli reskrypt królewski z dnia 29 listopada 1895 r., zapowiadający zwołanie nowego kongresu.

plenarnych, chociaż była zgromadzona na posiedzenie, posiedzenia nie odbyła; tak piorunny skutek wywarł memoryał. Dopiero w kilka tygodni później zgromadziła się na nowo i wybrała z swego grona komisyę ściślejszą (złożoną z dziewięciu członków) do roztrząśnięcia memoryału. O pracach tej komisyi ściślejszej nic zgoła nie słychać.

Zanotujmy jeszcze ciekawą wiadomość, która rzuca światło na dzisiejszy stan rzeczy na Węgrzech pod względem życia religijnego i kościelnego, a więc też daje nam niejakie pojęcie o atmosferze, wśród jakiej kongres „pracuje“.

W *Vaterlandzie* z dnia 30 marca czytamy: „Zasadą pod względem polityki na ambonie jest na Węgrzech to, że, jeżeli ta polityka jest przestrogą w obronie Kościoła i religii, wtedy uznaje się ją za zbrodnię stanu; jeżeli zaś jest w duchu polityki rządowej, wtedy można nawet wyprawiać kościelne demonstracye rewolucyjne i otrzymuje się za to wysokie ordery“. Ostatnie te słowa są wymierzone przeciwko biskupowi koszyckiemu, ks. Zygm. Rubicsowi, który na wniosek prezesa gabinetu, bar. Banffy'ego otrzymał order korony żelaznej pierwszej klasy. Wiadomość powyższa w tej formie jest jednak niezupełna; albowiem król węgierski, chcąc zrównoważyć moralnie jedną odznakę drugą, wyniósł czcigodnego biskupa wesprymskiego, ks. Horniga, jeszcze wyżej, mianując go *motu proprio*, bez wniosku Banffy'ego, rzeczywistym tajnym radcą.

Józef Glinkiewicz.

Wyprawa Sven Hedin'a.

Czytelnicy nasi, świeżo za Nansenem wiedzeni przez lody i noc ku północnym kresom, nie domyślają się może, iż jednocześnie inny Skandynawczyk, o niemniejszej odwadze i dzielności, ucierał się ze skwarem pustynnym i orkanami piasku, w najgorętszej strefie Azyi środkowej. Ta sama żądza zwalczenia sił przyrody i zbadania jej tajemnic, która Norwegczyka Nansena zniewoliła do podjęcia uciążliwej podbiegunowej wyprawy, wzbudziła i w Szwedzie Sven Hedinie, podobną chęć wtargnięcia do zamkniętej kotliny wnętrza Azyi, gdzie

niemniej zagadek geograficznych drażni ciekawość uczonego świata. Owe dwustronne wyprawy stwierdzają jednako dziwny hart, dziwną wytrzymałość tych Skandynawców, zdolnych znieść na przemian największe mrozy i najdotkliwsze upalenia, a zarazem dowodzą i gotowej ofiarności tak samego króla Oskara jak i jego poddanych, dostarczających stale obfitych środków materyalnych pionierom wiedzy i rycerzom nauki.

Młodziutki Sven Hedin, zmierzywszy własne siły w próbnej po Persyi i Kaszgaryi wędrówce, puścił się z początkiem r. 1894 na czele nielicznej karawany na podbój Pamiru, t. zw. Dachu świata, węzła całego systematu wyżyn Azyi, rozbiegających się stąd w różne strony. Cel to mnóstwa wypraw naukowych w naszym wieku, zwłaszcza rosyjskich; zabiegali tu i ks. Henryk Orleański, i Anglik Shaw, i Niemiec Schlagintweit. Inna atoli ciekawość rwała Sven Hedina: nietyle mu chodziło o poznanie gór Pamiru, ile o zbadanie basenu Turkestanu chińskiego, tworzącego istną miednicę, okoloną pasmem niedostępnych wyżyn, mianowicie zaś nęciło go przebieżenie piaszczystej ławicy, szerokiej na 300 kilometrów, a rozciągającej się między rzekami Yarkand Darią i Khotan Darią, które zlawszy się w wspólnym korycie Tarimu, uchodzą do wędrownego jeziora Lob-Noru. Przestrzeń tę, zwaną puszczą Takla-Makan, żadna ludzka stopa nie śmiała dotąd przebyć, pierwszy Sven Hedin postanowił zbadać tajniki tej wydziedziczonej krainy. Zabrawszy tedy z sobą czterech zaledwie ludzi, ośm wielbłądów i zaprowiantowanie na dni dwadzieścia, Sven Hedin wyruszył z Merket dnia 10 kwietnia 1895 r. W dwanaście dni później, karawana wkraczała w właściwą strefę pustynną. Krajowcy zapewniali, iż Khotan Daria znajdować się musi o jakie pięć dni drogi. Sven Hedin nie mniej rozkazał zabrać wody jak na dni dziesięć, nie sprawdził atoli, czy go usłuchano, a tymczasem lekkomyślni krajowcy zaledwie się na dni cztery zaopatrzyli, gotując tem zagładę bodaj całej karawany. Szczegóły owej strasznej wędrówki czerpiemy ze sprawozdania samegoż szwedzkiego podróżnika, który świeżo w różnych stolicach Europy witany przez Towarzystwa geograficzne, święcił niebywałe tryumfy w Londynie, Paryżu i Wiedniu.

Dnia 22 kwietnia Sven Hedin wstąpił w zakres morza piasku, tworzącego pustynię Takla-Makan. Przed nim rozciągała się ławica, falująca wydmami piaszczystemi, podnoszącemi się niekiedy do wysokości trzydziestu metrów. Upał tymczasem się wzmagał: termometr znaczył 33 stopnie w cieniu, 82 na słońcu. Wszelkie ślady życia nie-

bawem zniknęły, żadna nawet ćma się nie pojawiała dokoła roznieconych wieczorem ogni obozowiska. W pierwszym zaraz dniu podróży pustynnej, zerwał się szalony wicher, miotający tumanami piasku, który napełniał oczy, uszy, nos, odzież całą wędrowców. Woda rozgrzana do 30 stopni, nie przynosiła żadnego ochłodzenia, wywoływała zaledwie silne poty, które chwilową sprowadzały ulgę. Znane z wytrzymałości „okręty pustyni", dzielne wielbłądy, tym razem zawiodły. Jeden po drugim się potykał, upadał i ginął. W dniu 25 kwietnia wydmy urosły na wysokość 60 metrów! W dwa dni później, nie widząc kresu podróży ni żadnej przed sobą zmiany w pustynnej drodze, krajowcy zaczęli mniemać, iż padli ofiarą czarów, i że zginąć im niepowrotnie trzeba. Dnia 28 kwietnia, nie pozostało jak dwa litry wody w zapasie! A jednak jeszcze nazajutrz udało się ujść 23 kilometry naprzód, zwykłą miarę każdodniowej podróży. Z dniem 1 maja, położenie zdawało się być rozpaczliwem. Ludzie karawany chodzili jak błędni, wołając: Wody! wody! Zabito ostatnią owcę zabraną w drogę; krajowcy rzucili się na obmierzły płyn, zawarty w jej pęcherzu, pijąc łakomie, acz odrazu przyszło zwracać ów wstrętny napój. Widząc, iż tu chodzi o śmierć lub życie, Sven Hedin postanawia rzucić podróżne przybory, apteczkę, fotografie, zostawić niezdolnych do dalszej drogi towarzyszów, którzy zresztą leżeli już jak martwi, i z dwoma silniejszymi szukać ratunku, zabierając z sobą kilka puszek konserw, broń, dzienniczek podróży, rysunki, zbiory roślin i minerałów. Ledwie postąpili kilka kilometrów naprzód, padł znów jeden człowiek, strasznemi miotany konwulsyami. Zostawiono go wraz z dwoma wielbłądami, które dotąd ocalały, a Sven Hedin w towarzystwie jednego już tylko Kasima, puścił się ku wschodowi, rwany naprzód nadzieją wody! Tymczasem krzepił się kilku kroplami chińskiego spirytusu, na którym dotąd gotowali jedzenie.

Wydmy piaskowe tworzyły tu istne labirynty, wśród których wędrowcy z trudnością się przebijali, dla strasznego upału w nocy tylko posuwając się naprzód, a we dnie zagrzebując się po szyję w piasku szukając ochłody na łonie ziemi. Tak już byli wyczerpani i słabi, że wlekli się raczej, aniżeli chodzili. Nareszcie ze wschodem słońca dnia 3 maja Kasim dostrzegł w oddali pasmo jakoby zielonej roślinności. Zrywają się, biegną, stają niebawem wobec kilku topoli balsamicznych, próbują kopać u ich stóp, w nadziei, że ożywcze znajdą źródło. Daremnie! Już nie mają nawet siły podnieść łopaty, nie widzą żadnego śladu jakiejbądź wilgoci. Trzeba iść dalej, wlec się dalej, aby znaleźć

wodę, której brak niemal już tygodniowy, sprawia im rosnące a nieznośne katusze. Idą teraz wśród coraz gęstszych krzewów, dochodzą w dniu 5 maja do jaru, ocienionego bujnemi topolami, ale i tu, niestety! napróżno szukają strumyczka lub źródła! Kasim straszliwie wygląda, sine ma wargi, język owrzodziały, ciągłe nim wstrząsają wymioty. Nareszcie mdleje, niezdolny posunąć się dalej, nawet w cieniu istnego teraz lasu. Wytrzymalszy od tubylców, nawet od samychże wielbłądów, dzielny Szwed, postanawia ostatnim wysiłkiem ocalić siebie i towarzysza. Zostawia go za sobą, idzie wciąż w kierunku wschodnim, przekonany, że wkroczył w wyschnięte łożysko Khotan Daryi, że musi niebawem spotkać głębsze stawiszcza, znaczące jedynie o tej porze bieg rzeki. Otóż i dzika kaczka przed nim się zrywa, przesłanka dobrej wieści. Jakoż po kilku godzinach istnych męczarni kończą się jego katusze, pochyla się nad zwierciadłem długiego na 40 metrów jeziora, pije do syta z świeżej, czystej wody, napełnia nią obuwie, spieszy ochłodzić towarzysza, zbyt jednak osłabionego, aby się od razu podnieść i w dalszą puścić drogę. Sven Hedin wybiera się tedy sam jeden wzdłuż odnalezionego wybrzeża, błąka się przez trzy dni o głodzie, boso, zabierając w butach zapas wody, żywiąc się liśćmi topoli lub żabami. Dzień 8 maja stawia nareszcie kres jego męce, spotyka pasterzy, którzy go przychylnie witają i podejmują gościnnie. Tam spocząwszy przez kilka dni, widzi z radością nadchodzącego Kasima, z zdumieniem zaś wita drugiego krajowca, którego był zostawił przy wielbłądach, a który dowlókł się podobnież do łożyska rzeki, ochładzając się płynem, kapiącym z kory naciętych topoli.

Wobec strasznego znużenia, oraz utraty meteorologicznych narzędzi, Sven Hedin postanowił wrócić do Kaszgaru, skąd w grudniu 1895 r. nową podejmował wyprawę, tym razem do krainy na wschód od Khotanu leżącej. Miejscowe podania świadczyły jednozgodnie o pomyślniejszych niegdyś warunkach tej spalonej okolicy. Mniemano, iż orkan piaszczysty na podobieństwo lawy Wezuwiusza, nagle zasypał kwitnące niegdyś strefy, natychmiastową sprowadzając zagładę dawnej cywilizacyi i życia. Legenda opiewała, iż całe miasta w ten sposób zginęły, wraz z ludźmi i skarbami. Sven Hedin spotkał wprawdzie po drodze niektóre zwaliska, te wszelako nosiły dowód stopniowego zniszczenia, nie zaś doraźnej klęski.

Przedewszystkiem odważny Szwed pragnął sporządzić mapę tej niedostępnej krainy, ulegającej ciągłym topograficznym odmianom, skutkiem wytwarzania się ławic piaskowych, zagradzających raz po raz

bieg rzek miejscowych, które wciąż zmieniają łożyska, by okrążyć coraz to nowe wydmy. Samże nawet zbiornik wód tej kotliny, Lob-Nor, jest sobie wędrownem jeziorem, zmieniającem wciąż, na przestrzeni stu kilometrów, i miejsca i kształty. Sporządzone przez Bonvalota i Przewalskiego mapy Lob-Noru, już w r. 1896 bynajmniej nie odpowiadały jego kapryśnym rozmiarom. Udało się Sven Hedinowi odtworzyć kształty zmiennego jeziora, począwszy od XVIII. wieku aż po dni nasze, seryą map, ogłoszonych świeżo w gotajskich geograficznych *Mittheilungen*.

Sven Hedin stwierdził dowodnie stopniowe wysychanie łona Azyi, cofanie się granic życia i wilgoci, pod niszczącem tchnieniem „czarnych orkanów", czyli wichrów północno-wschodnich, które, miotając piaskiem, stopniowo zasypują ślady wielkiego basenu uralo-kaspijskiego tworzącego środek azyatyckiego kontynentu. Ludzka tu ręka nie przyspieszyła dzieła zagłady, nie zmieniła wycięciem lasów klimatycznych warunków wnętrza najstarszej części świata. Wielowiekowe to dzieło zniszczenia, rozpoczęte przed tysiącami lat, a posuwające nieubłaganie swe zagony, pod wpływem strasznego powietrznego prądu, który zrywające się we wschodniej Syberyi tumany piasku, miecie aż ku afrykańskim pustkowiom. Próżnymi byłyby ludzkie wysiłki, by wstrzymać powiew śmierci i przeszkodzić wysychaniu łona Azyi! Nie leży to w mocy człowieka, aby wrócić żyzność skazanym na zniszczenie przestrzeniom!

Zdawałoby się, iż doświadczenia tak przykrej wyprawy w głąb Turkestanu zniechęcić powinny były śmiałego podróżnika. Tymczasem na wzór Nansena, który powróciwszy od północnego bieguna, ku południowemu już chciwem spogląda okiem, i Sven Hedin nie długich zażył wczasów. Tylko, że zmierzywszy się z spiekotą piaszczystych wydm i równin, teraz zapragnął borykać się z lodowatem zimnem płaskowzgórzy Tybetu. W czerwcu 1896 r. wybrał się w góry Arka-Tagh przez dwa miesiące nie spotykając na szczytach dochodzących do 5.000 m. nad powierzchnią morza, ani jednej ludzkiej istoty. Natomiast często znachodził na tych niemal martwych wyżynach znaczne gromady dzikich osłów i yack'ów, którym do wyżywienia starczyła chuda roślinność jałowej niemal strefy. Snać niedostatek paszy i ostrość klimatu mniej przeszkadzają rozmnożeniu się fauny miejscowej, aniżeli obecność człowieka i jego myśliwskie zakusy.

Sven Hedin na tych płaskowzgórzach rozpoznał do trzydziestu trzech słonych jezior o poważnych rozmiarach, skoro największe z nich

wymagało czterodniowej podróży pieszej, ażeby zmierzyć długość wybrzeża. Dwojakie na tych szczytach przychodzi znosić katusze: podczas gdy słońce z jednej strony dotkliwie przypieka, z drugiej wiatr zimny mrozi kości do szpiku. Ale nic nie zdołało wystudzić zapału Sven Hedina, który przebywszy jeszcze pustynię Alaszan na południe od puszczy Gobi, stanął w Pekingu dnia 3 marca 1897 r., stamtąd jeszcze nowej i trudniejszej próbując drogi powrotnej na przełaj przez Mongolię i Sybir.

Zarówno wytrwały i zapalony jak Nansen, Sven Hedin ma jeszcze jedną wspólną z nim cechę. Ludzie ci gotowi na wszelkie wystawić się niebezpieczeństwa, wszelkie ponosić ofiary, dla rozszerzenia granic ludzkiej wiedzy, nigdy nie oddychają niebem, zaprzątnieni wyłącznie podbojem ziemi. Najcięższe próby nie zdolne są wyrwać z ich duszy przyrodzonego okrzyku: Abba! Ojcze! Najwspanialsze widoki przyrody nie unoszą ich myśli od stworzenia do Stworzyciela; najgroźniejsze niebezpieczeństwa nie uginają hardego kolana przed wyższą Mocą, która jedna ocalić ich może. To odchrześcijanienie dusz, godnych posiąść prawdę i zdolnych za nią życie położyć, smutne zaiste sprawia wrażenie, a da się chyba wytłumaczyć zimnym powiewem reformacyi, która północne plemiona stopniowo do racyonalizmu doprowadziła, i gorzej od czarnych orkanów azyatyckich, wysuszyła dusze, wypleniła z nich religijne pierwiastki. Ale jeśli po upływie wieków, odzywa się atawizm Wikingów, wywodzący ich potomków na pokojowe podboje wiedzy, ufać należy, że i dziedzictwo wiary zbudzi się w synach ziemi, która wydała śś. Olawa i Eryka, śś. Brygidę i Katarzynę i tylu wspólnych patronów Korony polskiej, zarazem i szwedzkiej. Wszelki trud zwykł uskrzydlać ducha.

M.

Ze świata literatury.

Sully Prudhomme o poezyi. — Dusza francuska. — Poprzednik romantyki.

Piękno i sztuka, choć są dla umysłu człowieka rzeczą starą jak czas, a blizką jak przestrzeń, pozostały jednak dlań aż dotąd niezupełnie rozwiązaną zagadką. Każda epoka tworzy dla siebie nowe o pięknie określenia i pojęcia, które razem ze znikającą epoką ustępują z widowni nowym formułom idącego pokolenia. Refleksye i rozumowania estetyczne są to wyprawy podbiegunowe, z których żadna jednak

dotąd na biegunie nie stanęła. Pomiędzy te jednak, które się najbardziej do prawdy zbliżyły, należy policzyć rozprawę, o której mówić chcemy.

Kilka miesięcy temu pojawiła się w jednym z francuskich miesięczników, krótka, pięciokartkowa rozprawa: „Co to jest poezya“ [1]. Autorem jest Sully Prudhomme, poeta wybitny, ustawicznie rozumujący i analizujący w poezyi i siebie samego i wszystko, co około siebie widzi. Tej refleksyi i jakiejś scientyficznej erudycyi jest czasem w poezyi jego za wiele, a choć poezya za wiele rozumu i nauki nie lubi, to jednak refleksye Prudhomm'a są wogóle tak szlachetne i wytworne, że mu łatwo ten nadmiar przebaczyć można.

Już sam punkt wyjścia wspomnianej rozprawy jest interesujący. Wobec powszechnego zamętu pojęć, jaki dzisiaj w sprawach sztuki istnieje, wobec rozmaitych szkół i kierunków nowych, zakreślających poezyi nowe drogi, widzi się poeta zmuszonym do przypatrzenia się bliższego istocie tej sztuki, której dotąd oddawał się z instynktu i z potrzeby serca. Zwłaszcza teorye, stawiające poezyi za wyłączny cel piękną formę, zaniepokoiły Prudhomm'a i włożyły mu pióro do ręki. „Czyż poezya nie jest niczem innem, jak tylko mową wierszy dobrze wytłoczonych?...“ Czyż piękność wiersza, pyta dalej poeta, polega tylko na niewadliwej, zgrabnej, czy ciekawej budowie, a nie raczej na czemś wzniosłem i niezmiennem, co forma od myśli pożycza? Czyż nie mogłoby istnieć między poetami, prócz pokrewieństwa w zdolności wierszowania, jakieś głębokie pokrewieństwo moralne, sprawiające, że ten jest większym poetą, który w wyższym stopniu przedstawia cechy, wywyższające rodzaj ludzki nad inne ziemskie rodzaje?

Już w tych ostatnich słowach zaznaczoną jest lekko przewodnia idea Prudhomm'a. Jest to ta sama idea estetycznej aspiracyi, na której niejeden wiersz tego poety jest osnuty i, którą już poprzednio w filozoficznym artykule o Paskalu dość szeroko rozwinął. W samej tej rozprawie, o której mówimy, idea ta nie jest przejrzyście rozwiniętą, bo cała rozprawa jest nieprzejrzysta i wymęczona, i dlatego rozwinięcie przewodniej tej myśli uzupełniamy z poprzedniej pracy autora.

Aspiracya estetyczna Prudhomm'a jest to estetyczne uczucie, jakie w naszej duszy wywołuje piękno, istniejące w naturze, w sztuce, w dziedzinie moralnej. Jest to uczucie dziwne, nieokreślone, złączone

---

[1] *Revue des deux mondes.* 1 Octobre 1897. *Qu'est-ce que la poèsie?* par M. Sully Prudhomme.

z marzeniem, a powstające przed sądem rozumu, tak, że rozum dopiero po powstaniu uczucia o przyczynę jego pyta. A jednak nie jest to uczucie dowolne. „Mglista idea, mówi Prudhomme, którą to uczucie zawiera, nie jest żadnem sztucznem zestawieniem elementów, czerpanych z otoczenia, wśród którego żyjemy; przeciwnie co nas wzrusza wówczas, to jest właśnie to, co jest dla nas obcem i lepszem od wszelkiej ziemskiej istności... Ten ideał, jak go dziś nazywają, nie przedstawia się nam jako fikcya naszego umysłu, ale przeciwnie, podbija nas, zachwyca nas, i jest z naszej strony jakaś bierność w tem zachwyceniu: ulegamy w niem tajemniczemu działaniu na nas czegoś, co nie należy do naszego środowiska ziemskiego, i czego my żadnym zmysłem nie dosięgając, w żaden sposób wyobrazić sobie nie możemy. Stąd ten charakter mglisty i nieokreślony tego przedmiotu aspiracyi estetycznej. Czujemy tylko, że ten przedmiot nie jest prostym faktem, ale jest czemś stałem, zwiastującem o jakiemś szczęściu, obecnie niedoścignionem, niemożliwem, ale podanem z bardzo daleka do osiągnięcia; a jedynie w ekstazie kontemplatywnej wchodzi człowiek w zetknięcie z tym przedmiotem najwyższego upragnienia...“ I choć Prudhomme jest człowiekiem niewierzącym, w dalszym jednak ciągu rozumowania dochodzi do wniosku, że ta sama istota, która jest odległym przedmiotem aspiracyi estetycznej jest też przedmiotem religii.

Ta idea aspiracyi estetycznej, w swojej ostatniej przyczynie pojętej, jest ideą podstawniczą rozprawy o poezyi. Rozumowanie, którego Prudhomme nie stawia, ale którego domyśleć się trzeba, jest to, że, jeżeli piękno natury, prawdziwej sztuki, lub piękno moralne wywołuje w nas zawsze tego rodzaju aspiracyę, to aspiracya taka jest istotą poezyi i racyą jej bytu. Mogą istnieć poeci, którzy stawiają sobie za cel jedynie zachwyt zmysłowy, wypływający z artystycznej formy, ale tacy poeci nie mają prawa stawiać swoich dążeń, jako absolutne kryteryum sztuki. Poeta prawdziwy powinien tę artystyczną formę wyzyskać na korzyść serca, powinien za pomocą jej wzbudzić aspiracyę ku niedostępnemu i niewypowiedzianemu szczęściu. To szczęście, mówi Prudhomme, które na ziemi tylko możemy przeczuwać, jest usymbolizowane pod formą każdej sztuki i dlatego szczęścia, które wspólnie symbolizują, nazywają się one pięknemi.

W dalszym ciągu rozprawy potrąca autor wiele jeszcze prześlicznych idei o stosunku poezyi do innych sztuk pod względem tej estetycznej aspiracyi. Poezya ma daleko większy obowiązek wzbudzania tej aspiracyi, niż inne sztuki, bo ma po temu potężniejszy środek,

jakim jest mowa. Nie może wprawdzie poezya oddać ściśle określonych, indywidualnych odcieni, jak czyni to malarstwo, bo słownictwo jest paletą kolorów niezmiennych, które obok siebie leżą i w odcienie mieszać się nie dadzą, ale za to, jakąż wyższość ma nad malarstwem i innemi sztukami przez uogólnienia i abstrakcye pojęć, przez bezpośrednie wkroczenie rozumu za pomocą słowa. Rozum ten nie wytrąca wcale duszy z głębi satysfakcyi estetycznej, lecz owszem, pozostawiając ją w odczuciu piękna, określa dla serca dokładniej przedmiot kontemplacyi i głębokością przyczyny usprawiedliwia wewnętrzne wzruszenie. Pomijamy już inne refleksye autora, jak o stosunku poezyi do muzyki, lub jak wedle tej normy aspiracyi estetycznej urządza on klasyfikacyę rozmaitych rodzajów poezyi. Są to już dalsze cieniowania tej ogólnej idei, którąśmy zaznaczyli. Ideę tę jeszcze raz reasumuje przy końcu rozprawy Prudhomme, dodając, że do stworzenia poezyi właściwej niezbędną jest piękność przedmiotu, bo ona tylko ma moc wzbudzenia aspiracyi.

* * *

Kiedy dawniej Francuz, mówiąc o charakterze swego narodu, używał takich wyrażeń, jak: *le génie national...*, *le caractère français*, lub nawet *l'esprit gaulois*, dziś w literaturze francuskiej spotkać się można najczęściej z sentymentalnem *l'âme française*. O tej duszy francuskiej wypowiedział mowę z początkiem bieżącego roku szkolnego, na niderlandzkim uniwersytecie w Groningen, rektor uniwersytetu, dr. A. G. van Hamel [1]. Celem mowy było, ażeby w języku i literaturze francuskiej wynaleźć znamiona, charakteryzujące istotę francuskiej duszy.

Nic łatwiejszego w podobnem studyum, jak subjektywne wnioski i twierdzenia, a jednak zaprzeczyć trudno, że tego rodzaju prace psychologiczne znajdują swoje uzasadnienie w samej istocie literatury i mowy ludzkiej. Co do literatury jest rzecz widoczna, bo czemżeż jest literatura jakiegoś narodu, jak nie najczystszym wypływem jego duszy? Wszystkie myśli, uczucia i wrażenia, jakie naród odczuwa, wszystkie dążności i zawody, porywy i zachwyty, jakie przechodzi, krystalizują się najjaśniej i najcałkowiciej w słowie pisanem; wyraża się więc w literaturze i charakter ogólnej duszy narodu i jej istotne znamiona. Tru-

[1] Mowę tę podała monachijska *Beilage zur allgemeinen Zeitung* z 11 stycznia: *Das Suchen nach l'âme française in der Literatur und Sprache Frankreichs.*

dniej byłoby zrozumieć, jak w języku ten charakter jest widoczny. Potrzeba naturalnie głębszej znajomości danego języka i pewnego filologicznego sprytu, aby módz duszę narodu w materyalnej mowie obserwować, ale nie może ulegać wątpliwości, że obserwować ją tam można. Każdy język ma swój właściwy układ słów, właściwą sobie składnię, odrębną akcentuacyę, szczególną skłonność do częstszego używania pewnych czasów i trybów. A potem cała przeszłość historyczna języka, wykazująca cały szereg zmian fonetycznych, zanikanie pewnych wyrazów, a przybywanie nowych, lub podsuwanie innych znaczeń wyrazom, tak, jak jest wynikiem duchowej ewolucyi narodu, tak do zrozumienia tego ducha przyczynić się może. Zwłaszcza, w stojącem już na pograniczu filologii i literatury, narodowem muzeum porównań, przenośni, zwrotów i ozdób stylowych, tak w każdym języku odrębnych, możnaby znaleźć niejeden szczegół, rzucający jakieś światło na tę psychologiczną kwestyę.

Studyum więc bardzo ciekawe i cenne, ale zarazem, jak już zaznaczyliśmy, i niebezpieczne — zwłaszcza, jeżeli traktuje się rzecz urywkowo, jeżeli bierze się tylko jeden, drugi szczegół i na nim buduje się całe rozumowanie. Trzebaby do takiego studyum objąć bardzo wielką ilość szczegółów, i to różnorodnych; możnaby nawet pod tym kątem narodowej duszy, przejawiającej się w literaturze i mowie, całą literaturę jakiegoś narodu traktować. Ta dusza narodu ma w sobie tyle odcieni, tyle w historyi przechodzi ewolucyj, nieraz przeinacza się i zmienia całkowicie — co naprzykład, u nas po 1863 roku zdaje się mieć miejsce — że opieranie tej kwestyi na jednym, drugim szczególe, z natury rzeczy, musi stworzyć rzecz słabą.

Zdaje nam się, że pod tym względem szwankuje odczyt d-ra van Hamel'a, mimo wielkiej erudycyi, z jaką swój pogląd uzasadnia. Autor szuka najpierw tej duszy w literaturze, a rozumowanie jego jest to: W rodzaju, który w początkach literackiego rozwoju na narodowym gruncie powstał, który natychmiast reprezentowany był przez wielką ilość poetów, a przez szerokie koła z uznaniem przyjęty, którego główna cecha, mimo wszelkich zmian smaku i społecznych stosunków, w dalszym biegu historyi znowu chwilami się pojawia — w takim dziale francuskiej literatury poszukiwać można francuskiej duszy. Już zaś takim rodzajem jest średniowieczna epopea narodowa.

Ta dusza Francyi, o ile ona w średniowiecznej epopei pojawia się, jest trafnie przez autora scharakteryzowaną. Z tych pieśni rycerskich przebija rzeczywiście, jak to zaznacza autor: wysokie samopo-

czucie narodowe, zjednoczone z idealizmem, który daleko poza poziom narodowej ambicyi się wznosi. Lecz najpierw, czy jest ta charakterystyka całkowitą, czy w średniowiecznej, francuskiej duszy innych rysów nie było. Takie charakteryzowanie jednym rysem na przymiot precyzyi, ale nie zawsze jest szczęśliwe. Świeżo mieliśmy tego przykład na Brunetièr'ze, który literaturę francuską scharakteryzował jednem słowem, jako literaturę społeczną, angielską jako indywidualistyczną, niemiecką jako filozoficzną, włoską jąko artystyczną, a hiszpańskiej dał nazwę rycerskiej. Naturalnie, że na dnie takich uogólnień jakaś cząstka prawdy leżeć może.

A dalej, jakżeż za podstawę psychologicznego studyum o duszy francuskiej można brać taki rodzaj poezyi, który ze średniowieczem się kończy, bo na polu epopei narodowej już nie posiada literatura francuska poza średniowieczem żadnych wybitniejszych objawów. Ten zarzut, odpowiada sobie sam autor, jest małoznaczny, bo poezya epiczna jest od różnych okoliczności zależną i jest zazwyczaj formą poetyczną krótkiego tylko przeciągu czasu. Bardzo słusznie, ale wtedy nie trzeba było epopei narodowej brać za punkt wyjścia swego rozumowania.

Jako moment, charakteryzujący francuską duszę w mowie, uważa autor akcent na ostatniej zgłosce. Jaką myśl wyraża to akcentowanie końcówek, nie wie van Hamel. Może, dodaje ze słusznem powątpiewaniem, można w tem upatrywać prędkie myślenie, delikatny smak, szybką zdolność wyrażenia się...

W ten sposób został p. van Hamel w sferze małych ogólników, i dlatego zwracamy uwagę na tę pracę raczej ze względu na jej rodzaj, niż na rezultat. Rysowała się przed nim droga inna, o której w rozprawie wspomina, i szkoda, że nią nie poszedł, bo byłby w każdym razie natrafił na niej na bardziej szczegółową charakterystykę. Dla takich psychologicznych studyów bardzo są dobre te epoki, w których literatura przechodzi moment krytyczny, gdzie styka się z innemi literaturami. Ze sposobu zachowania się literatury narodowej wobec tych innych literatur, z tego co sobie od nich przywłaszcza, a co odrzuca, zwłaszcza ze sposobu przywłaszczenia, wnosić można słusznie o pewnych rysach charakteru narodowego. Ze sposobu, w jaki Corneille przywłaszczył literaturze francuskiej hiszpańskiego Cyda, lub Molière Don Juana, co z oryginału zagranicznego odrzucił, a co z wyobraźni francuskiej dodał, możnaby dużo o charakterze francuskim się pouczyć.

* * *

Do historyi początków romantyzmu przybył nowy szczegół, świadczący, że potrzebę reformy literackiej już dużo wcześniej odczuwano, aniżeli to podręczniki wskazują. Kilkadziesiąt lat przed działalnością Herdera, kiedy jeszcze w całej Europie uważano francuskie wzory za wymarzony ideał artystycznej doskonałości, głosił już pokrewne z romantyzmem teorye, Włoch, Juliusz Cezar Becelli. Osobistość dotychczas mało znana tak, że nawet w wielu włoskich historyach literatury niema o nim wzmianki. Poświęca mu kilka wierszy Lombardi, a dokładniejszą notatkę Mazzuchelli. Dopiero w ostatnich czasach zwrócono na tego „poprzednika romantyzmu“ baczniejszą uwagę [1].

Becelli, urodzony w 1683 r. w Weronie, był jakimś rodzajem adjutanta przy Scypionie Maffei. Dzieło „o nowej poezyi“ [2], o którem mówimy, wydał w 1732 r. Dlaczego o książce tej zapomniano zupełnie, niewiadomo. Prawdopodobnie dlatego, że była nad swój wiek i prawie wieku po jej ukazaniu się trzeba było, zanim romantyzm do Włoch przedostał się z Niemiec i Francyi. Wtedy dopiero pragnienia Becellego urzeczywistnił we włoskiej literaturze Manzoni.

Już przed Becellim odzywały się we Włoszech głosy przeciw niewolniczemu poddawaniu się pod prawidła arystotelesowskiej poetyki. W tym duchu pisał Montani w swoich *Considerazioni* (1709), a wyraźniej jeszcze Gravina, ale żaden z nich nie zbliżył się tak bardzo do stanowiska późniejszych inicyatorów romantyzmu, jak Becelli.

„My mamy — pisze w jednem miejscu Becelli — inne zwyczaje, inne zapatrywania, inne urządzenia państwowe, jak starzy. Brak naszym czasom wielkich zbrodni i przymiotów starożytnego świata i dlatego nudzi się nasz lud na starożytnych tragedyach, a interesują się niemi tylko uczeni...“ „W obecnej chwili mogą się tylko takie utwory podobać, które nasze obyczaje, prawa i zwyczaje przedstawiają, których temat wzięty jest z blizkiej nam historyi. Grekom podobał się najbardziej Homer, Rzymianom Wirgili i dlatego też największą wartość dla nas ma „Boska Komedya“ Dantego. Z tej samej przyczyny podobają nam się pieśni rycerskie i dzisiejsza liryka, tak od starożytnej odmienna. Castelvetro gani Ariosta, że jego „Orland szalony“ nie jest epopeą

[1] *Giornale storico della litteratura italiana.* Emilio Bertana. 1895.

Beilage zur allgemeinen Zeitung. München 1898. 12 Januar. *Ein Romantiker in der Perrückenzeit.* Dr. M. Landau.

[2] *Della novella poesia cioè del vero genere e particolari bellezze della poesia italiana.* Libri tre. Verona 1732.

według reguł Arystotelesa. Dlaczegóż musi on się tym prawidłom poddawać? Stagiryta jest bardzo jednostronnym, bo znał tylko grecką poezyę, a nie znał hebrajskiej, ani jakiejkolwiek innej".

Co do narodowego więc pierwiastku w poezyi stoi Becelli całkowicie na stanowisku romantyki. Dlatego też zwraca się on ku urządzeniom i zwyczajom średniowiecza, o ile one były czynnikiem, mającym najbliższą łączność z ukształtowaniem się swojej narodowości, i wskazuje je poetom jako obfite źródło natchnienia. Dlatego też także prócz pewnych zasad ogólnych, tyczących się powszechnej literatury, afirmuje prawo odrębności literatur narodowych, wypływające z charakteru narodowego i krajowych zwyczajów.

Innych punktów stycznych Becelli z romantykami nie ma i dlatego można go nazwać tylko poprzednikiem romantyki.

Ks. J. Pawelski.

Od Redakcyi.

Z przyczyn niespodziewanych nie będziemy dalej drukować cennego artykułu Wielkopolanina: „Walka narodowościowa na kresach zachodnich". Praca ta jednak wraz z pierwszą częścią, która drukowaną była w *Przeglądzie* pod tytułem: „Walka rasowo-ekonomiczna w Poznańskiem", wyjdzie niebawem w całości w osobnej broszurze.

Druk ukończono 30 kwietnia 1898 r.

Lombroso w świetle nauki przyrodniczo-lekarskiej.

O Lombrosie i jego dziełach powiedział słusznie jeden z nowoczesnych uczonych [1], że są zawsze interesujące, zwłaszcza tam, gdzie żadną miarą z niemi zgodzić się nie możemy. — Charakterystyczne to zdanie trafnie bardzo określa prace, które dla samej swej treści, jeśli nie ponętnemi, to zaciekawiającemi były i są dotąd nietylko dla uczonych, ale i dla ogółu czytelków. Badania nad stosunkiem, istniejącym między zmianami fizycznemi a cechami psychicznemi człowieka, między kształtami ciała lub jego organów a czynnościami tych organów, między prawami rozwoju, wreszcie i dziedziczności a aktami woli, są przecież z natury rzeczy sprawami interesującemi, a cóż dopiero mówić, gdy badania te dotyczą ludzi wyjątkowych, anormalnych, fenomenalnych, chorych lub obłąkanych, zbrodniarzy lub przestępców? Czyż o prawach dyscypliny, o odpowiedzialności czynów, o zasadach wolnej woli nie chętnie każdy coś pomówić lub dowiedzieć się pragnie, tembardziej gdy nadarza się sposobność zapoznania się ze zdobyczami naukowemi antropometryi, embryologii i psychiatryi? Czy wreszcie same tytuły niektórych rozdziałów z prac Lombrosy jak np. „przestępstwa roślin i zwierząt“ lub „waryat moralny i zbrodniarz urodzony“ lub „siła nieprzeparta zbrodni“, lub szereg podobnych, nie nęcą

[1] Debievre.

same przez się i nie zaciekawiają? Nic też dziwnego, że wśród wszystkich prac z podobnej dziedziny, utwory Lombrosy dużo narobiły rumoru, że przez pewien dość długi czas zajęła się niemi i nauka i krytyka, i uczeni i publiczność, i piśmiennictwo fachowe i publicystyka ogólna. Spojrzyjmy dla przykładu na pierwsze lata po pojawieniu się prac Lombrosy. Ile to ksiąg poświęconych badaniom kryminologicznym, ile kongresów psychiatrycznych, przepełnionych referatami o poczytności i dziedziczności zbrodni i geniuszu, ilu uczonych, kruszących kopie za szkołą włoską lub tezami jej zwolenników; a wśród dziwnego chwilowego szału nawet czasem chyba sami uczeni nie czują drobiazgowości, jaka tchnie z ich prac i jednostronności szerokich wniosków, zbudowanych tak często na prawdziwych, lecz subtelnych i przypadkowych szczegółach. Wystarczy może, jeśli dla przykładu przypomnę, jak Valenti bada kształt kości nosowej; Ardu, stosunek wagi czaszki do wagi szczęki; Ottolenghi, pole widzenia; Gradenigo, muszlę uszną; Cristiani, włosy, a Cairara nawet oddalenie palca dużego u nogi od innych palców — jak z tych subtelnych szczegółów układają się tabele statystyczne, a na danych statystycznych budują się teorye daleko idące, mające w gruncie rzeczy coś prawdziwego *au fond des choses*, a mimo to przewracające dotychczasowy porządek rzeczy. Każdemu laikowi, a nawet uczonemu, czytającemu te prace, nie może jakoś trafić do przekonania bezwzględna pewność, z jaką autorowie sądzą z barwy włosów lub wielkości nosa o cechach charakteru, a tembardziej o tak ważnych kwestyach, jak poczytalność i odpowiedzialność za czyny. A mimo to prace te czyta się z zapałem, mimo to literatura odnośna rośnie, badania odnośne powtarzają się coraz częściej, zapełniając specyalnie w tym celu powstałe pisma i archiwa. Publiczność, ciekawa zawsze, a zwykle pozbawiona głębszego naukowego krytycyzmu, chwyta w lot, co wiatr nieraz przyniesie, rozczytuje się i rozpatruje, nie rozumie nieraz, a mimo to polemizuje i sama tworzy, odrzuca na bok ze wstrętu lub nudów, i znów z ciekawości bierze do ręki, i w ten sposób kwestya czysto naukowa stała się *question du jour*. — W atmosferze tak przepełnionej elek-

trycznością trudno po prostu było zwalczyć od razu błędy trzeźwą krytyką lub wyrwać czytelnikom z rąk zgubną nieraz w skutkach lekturę kryminologicznych dzieł, dlatego przedewszystkiem, iż nęciły formą, treścią i ilustracyami, iż opierały się na badaniach wszechstronnych, i dotykały kwestyj ciekawych a nieraz wprost pikantnych. Stąd też mało stosunkowo publiczność wiedziała o frenologii Galla, o badaniach Griesingera nad poczytalnością, a może nawet o zapatrywaniach Kanta lub Lutra na wolną wolę, lecz Lombrosę przeczytać lub przynajmniej poznać w zarysie musiała; przeglądnąć z ciekawością rysunki ilustrujące antropometryę i fizyognomikę przestępców, a bodaj wreszcie czy nie odgadywać dla zabawy z rysów charakteru i winy typów. Jednem słowem Lombroso był w umysłach i na ustach, a choć nie można go nazwać ani jedynym reprezentantem, ani wyłącznym twórcą nowoczesnej włoskiej szkoły kryminologicznej, to jednakże w tem nazwisku, otoczonem chwilowo jakąś apoteozą bohaterskiej walki za dobrą sprawę i krzywdy ludzkości, skoncentrowało się wszystko, co się odnosiło do całokształtu spraw poruszonych przez nowoczesną kryminologię i psychiatryę. Do spopularyzowania nazwiska przyczyniły się nadto niebacznie nieraz rozrzucane tłumaczenia, które wcale w swej treści nie miały zamiaru być *edition du dauphin,* lecz traktowały z wyrafinowaną drobnostkowością o przestępstwach wprost wstrętnych. Jednem słowem czytano Lombrosę z podobną ciekawością, z jaką się idzie patrzeć na szubienicę lub gilotynę, szukano w nim rozdrażnienia nerwów przeważnie, może czasem oryginalnego *passe-temps,* a najrzadziej z pewnością wśród przeciętnej publiki prawdziwie poważnej naukowej korzyści.

I długiego stosunkowo trzeba było czasu, zanim trzeźwa krytyka oddzieliła w pracach Lombrosy fakta naukowe od osobistych wniosków i ścisłe spostrzeżenia od przesadnych rozumowań. Dziś nauki przyrodniczo-lekarskie, a wysunę naprzód ten ogólnik, który szczegółowo rozpatrzymy poniżej, potępiły stanowczo przez usta większości uczonych chęć reformowania psychiatryi i jurysprudencyi na tle generalizowanych wniosków i zwodni-

czej statystyki, nie krytykując jednak samej metodyki obserwacyi. To znaczy, mówiąc innemi słowy, że na piedestale dotychczasowej powagi pozostały anatomia z fizyologią, antropologia z frenologią, a nawet fizyognomika z grafologią, jeśli te dwa ostatnie działy można traktować tą miarą i jeśli wogóle im przysługuje prawny tytuł nauk specyalnych; protestują jednak nauki przyrodniczo-lekarskie, aby wszystkie te gałęzie wiedzy dowolnie zaprządz się dały do rydwanu nowoczesnej kryminologii socyalnej, któryby miał przejechać po gruzach dotychczasowej nauki, i świat zacofany zreformować wedle praw natury. Jak ten protest brzmi w ogólnych zarysach, i jak przez pryzmat nauk przyrodniczo-lekarskich patrzeć się należy dziś na dzieło Lombrosy, pomówić właśnie chcemy; dalecy jednak jesteśmy, w czem się z góry zastrzegamy, od tego, aby wkraczać na tem miejscu w rozumowania filozoficzne, w teorye prawnicze lub w dziedzinę etyki i psychologii, również zmuszeni jesteśmy pominąć badania embryologiczne i cały dział kryminologii kobiecej, z powodów łatwo zrozumiałych; ścieśnieni zatem ramami konwenansu i granicami dobrowolnie zakreślonego horyzontu przyrodniczego, trzymać się będziemy jednego tylko kąta widzenia, pod którym rozpatrzymy kryminologiczną antropologię, frenologię, kraniologię, fizyognomikę a nawet zoologię oraz ich stosunek do medycyny. Kąt ten widzenia nie każdemu znany, a z pewnością wśród przeciętnej publiczności mniej dostępny, niż inne stanowiska krytyki; tem też większy dzisiaj, po epoce chwilowego szału, spada obowiązek na publicystykę, przytoczenia w świetle badań przyrodniczo-lekarskich, co w teoryach Lombrosy i jego zwolenników jest prawdziwego, a co naciągniętego, co wynikiem żmudnej obserwacyi, a co przesadzonym wnioskiem, co pewnikiem antropologicznym, a co tworem wyobraźni. Z drugiej strony krytyczna publicystyka osłonić musi przed oczyma czytelników samą powagę nauki, aby niezgadzający się z wywodami Lombrosy kamieniem nie chcieli rzucać niebacznie na całą antropologię i psychiatryę, lub nawet medycynę i jurysprudencyę, bo wszak wedle starego przysłowia niedaleko z domu pod rynnę i łatwo z jednej ostateczności w drugą popaść można. Wytknię-

cie możliwie treściwe i przystępne, a mimo to jak najbardziej oparte na ścisłych podstawach, w świetle poważnych badań nowoczesnych, obu tych granic, będzie też przedmiotem niniejszej pogadanki.

Nie ulega żadnej wątpliwości, iż istnieje jakiś związek tajemny między fizyognomią a charakterem, iż myśl odczytać można nieraz z wyrazu twarzy, i że oczy, jak to powiadamy, są zwierciadłem duszy. Wiedzą o tem dobrze ludzie, obdarzeni bystrym zmysłem spostrzegawczym, gdy nie mogąc, jak się to powiada, do kogoś się przekonać, usprawiedliwiają się zdaniem: tak mu źle z oczu patrzy, że ufać mu nie potrafię; wiedzą o tem przedewszystkiem kobiety, wrażliwe i drażliwe niejednokrotnie nad miarę, a sądzące o zaletach duszy tak często z zewnętrznego pozoru. Wie o tem wreszcie cała opinia publiczna, pozostawiająca nam w formie niejednego przysłowia dowody podobnych poglądów. Pozwolę sobie w tym ostatnim względzie przytoczyć kilka przykładów, zaczerpniętych z samychże dzieł Lombrosy, a wskazujących, że we wszystkich prawie językach i narzeczach przechowały się ślady świadomości o związku psychiki z fizyognomiką. Jeszcze starożytni Rzymianie po rysach twarzy rozpoznawali zbrodnię, mawiając *a vultu vitium*, a stare przysłowie francuskie *au vis le vice* lub toskańskie: *il ciuffo è nel ceffo*, mniej więcej tę samą myśl wyrażają. Ogólniki te nie są wcale rażące, ale przywiązywanie wielkiej wagi do zarostu, cery lub kształtu nosa, jest rzeczywiście ciekawem, tem bardziej że się tak często powtarza u różnych ludów. I tak Sycylijczyk ostrzega przed bladą twarzą, twierdząc, „iż twarz bez rumieńca — albo obłudnik albo zdrajca *(faccia senza culuri, o fintu o traduturi);* Wenecyanim przed kobietą ze zarostem, którą z daleka omijać trzeba *(femina barbuta da lontan ce mejo la saluta);* Piemontczyk przed nosem zadartym, mającym być gorszym od burzy *(naso che guarda in testa e peggior della tempesta);* Polak wreszcie przed zezowatym i kuternogą, o których powiada w swojem starem przysłowiu, że „jeśli z nich co dobrego, to wielka łaska Boga". Każde dziecko przyzna jednak, że wyrządzonoby niejednemu uczciwemu człowiekowi wielką krzywdę, gdyby chciano ułożyć

kodeks moralny na podstawie takich danych. A jednak Lombroso i fizyognomiści taki kodeks ułożyli i to dla zbrodniarzy, złodziei, oszustów, bankrutów, podpalaczy, rzezimieszków i rabusiów, wyszukując dla każdego z wyliczonych rodzajów pewne cechy, powtarzające się z zadziwiającą regularnością i prawidłowością, tak że z ich sumy, prawdziwe możnaby według nich ułożyć typy. Cechy te u ludzi uczciwych, których Lombroso badał około 800, mają się także gdzieniegdzie znajdować, ale „prawie nigdy", że użyję jego własnych słów „nie są zgrupowane w ten sposób, żeby tworzyły typ zbrodniczy". Chociaż statystyka Lombrosy, na której opiera swoje wywody, jest stosunkowo znaczną, chociaż pomiary antropometryczno-fizyognomiczne, o których obecnie mówimy, przeprowadzone zostały na 4.329 osobach, chociaż załączone do prac fotografie są wreszcie ilustracyą hypotez, przemawiającą nieraz bardzo do przekonania, to jednakże spotkać się musiały te teorye i spotkały *de facto* z niejednym poważnym zarzutem. O prawdziwości ostatecznych wniosków Lombrosy pomówimy na innem miejscu, przy ogólnem *résumé*, a tu tylko dotkniemy przelotnie krytyki samej fizyognomiki.

Posłuchajmy tedy nasamprzód głosu uczonych. Wśród przeróżnych zapatrywań, na różne przechylających się strony, góruje dziś w nauce poważny głos ostrzeżenia przed absolutyzmem bezwzględnym, jaki na przekonania narzucić chciała kryminologiczna fizyognomika. Typowe cechy zbrodniarzy, cytowane przez zwolenników Lombrosy, nie są według Näcke'go wcale regułą; z wielkim sceptycyzmem należy się przypatrywać jego ilustracyom, a tem bardziej jeszcze zbiorowym fotografiom Ellis'a; do największej zaś ostrożności i baczności nawołuje co wspomniany uczony w sprawie stosowania reguł dziedziczności i praw atawizmu do kryminologicznej fizyognomiki. Przeciw istnieniu naukowych, anatomicznych podstaw, zwraca się również Debievre, a Wiedersheim nazywa wywody Lombrosy badaniami, opartemi przeważnie na przypadkowym zbiegu okoliczności. Najracyonalniej może odzywa się w tym względzie De Sarlo, twierdząc, iż krzywe graficzne, które wyrażają prze-

bieg anomalij psychicznych i fizycznych nie przebiegają równolegle; popularyzując to zdanie, wytłumaczylibyśmy go w ten sposób, że zmiany postaciowe nie są koniecznie wyrazem zmian usposobienia, lecz raczej, że zboczenia fizyczne są często wskazówką anomalij psychicznych. Przyzna czytelnik bezstronny, że ostatnie to zdanie przyjmie każdy bez zastrzeżenia; salwowaną jest fizyognomika, słusznie używająca podobnych wyrażeń, jak „wzrok okrutny, srogi wyraz twarzy, lisie spojrzenie“ i t. p.; salwowaną również psychologia, niemogąca przecież zgodzić się na to, aby o przymiotach duszy i serca, o cechach charakteru i woli, o złych i dobrych instynktach sądzić bezwzględnie na podstawie zewnętrznego wejrzenia. Oczywiście, że nie brak zwolenników Lombrosy i nie mało istnieje ludzi zapalonych, którzy w kilku własnych obserwacyach chcieli widzieć definitywne potwierdzenie wywodów szkoły włoskiej; wszak Tarnowska twierdziła, że teorya Lombrosy musi być prawdziwą, skoro cechy jego typów udało się znaleźć także na 25 Rosyankach, a Dalage przyklaskuje chwili, w której Francya potrafiła na własnym materyale ocenić słuszność rzuconej przez Włochów myśli. Podobnych zdań dużo przytoczyćby można, i w bezstronnej krytyce podkreślonem być musi, że takowe istnieją; przewaga poważnych głosów naukowych, odzywających się *ex cathedra* lub przemawiających do szerszych warstw pismem i drukiem, ostrzega jednak, jak powiedzieliśmy, przed bezwzględnem przyjęciem praw Lombrosy i jego zwolenników. Nauka nie wytrąca z ręki antropologów i kryminologów pióra i cyrkla; nie zabrania tym, co z urzędu mają do czynienia z przestępcami, aby szukali dla siebie danych w ciekawych zbiorach fotograficznych „kryminalnego albumu niemieckiego“ lub amerykańskiej *Police Gazette*; nie odmawia wreszcie racyi bytu i słuszności trzeźwym niejednokrotnie spostrzeżeniom fizyognomicznym nietylko uczonych, ale nawet każdego z nas; nauka w całej swej powadze ostrzega tylko przed niebezpieczeństwem wyłącznego opierania się na pięknej, lecz nieraz ślizkiej statystyce, oraz przed łatwością niebacznego tworzenia i narzucania innym naciągniętych częstokroć dogmatów naukowych.

Na zakończenie tego rozdziału jeszcze uwag kilka. „*Meinetwegen* — powiada Niemiec — że prace Lombrosy nie zawsze przemawiają do przekonania; w każdym razie to człowiek genialny i spostrzegawczy, a jego rzeczy interesują mnie i nie dziwię się, że interesować mogą“. W tej też kwestyi słówko odpowiedzi. Nie dziwię się wcale, iż fizyognomika, a zwłaszcza kryminalna, zaciekawiać może, zwłaszcza młodocianych czytelników, lecz w tem też właśnie leży jej niebezpieczeństwo. Oczywiście według Lombrosy, zbrodniarz, będąc przestępcą od urodzenia, nie może chyba zgorszyć się lekturą; wniósł on w świat z chwilą urodzenia nos krzywy i czoło asymetryczne. a z tem razem popęd nieprzeparty do zbrodni, którą i tak wykonać musi i wykona. Dla każdego jednak z tych, którzy nie wierzą *à la lettre* paradoksalnemu przysłowiu, iż „dobrego szynk nie zepsuje, a złego Kościół nie naprawi“, sprawa doboru lektury nie będzie chyba tak obojętną. Jeżeli już fizyognomika jest tak interesującą, to niech czytelnicy nasi, a zwłaszcza młodzi, bo o nich tu głównie chodzi, wiedzą coś o oku, które według Krasińskiego „rzuca strzałę światła w nieskończoność“, o rysach twarzy Göthego, które Odyniec wraz z Mickiewiczem przyrównali do „powagi Jowisza“, lub o smętnem spojrzeniu Maryi Malczewskiego, o którem mówi poeta, że

> ... wzniosła w górę oczy z tym tkliwym wyrazem,
> W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem.

Zresztą i Włochy same, ojczyzna Lombrosy, mają tyle piękna i czaru, że dla nikogo nie braknie zdrowego pokarmu duchowego; zestawmy tylko z jednej strony albumy kryminologiczne z fotografiami przestępców, a z drugiej piękne oblicza Madonn Rafaelowskich, a bez przesady i wahania odpowiedzieć będziemy mogli, na oglądanie czego warto więcej czasu poświęcić, co bardziej zainteresować winno umysł i oko, co wyobraźnię pobudzi, zmysły zadowolni i ducha podniesie.

Niema może w dziełach Lombrosy bardziej ciekawego rozdziału nad rzecz, traktującą o przestępstwach roślin i zwierząt. Z wytrwałością śledzi autor objawy przeróżnych zbrodni, z pewnością bezwzględną tłumaczy ich przyczynę i z apodyktyczną

bezwzględnością narzuca nam swoje wnioski. O ile, przyznam się co do siebie samego, z przyjemnością prawdziwą czytuję zawsze to, co np. Brehm opowiada w sposób malowniczy, o zwyczajach i obyczajach różnych gatunków i ras w swojem pięknem dziele *Das Thierleben*, o tyle przykre odnoszę wrażenie, ilekroć o tych samych faktach przemawia Lombroso. Jak o jednej i tej samej sprawie politycznej dzienniki różnej barwy przemawiać mogą w sposób wręcz odmienny, a dla swoich celów nawet naciągnąć niektóre szczegóły, nie zmieniając samej istoty rzeczy, tak też o znanych nawet każdemu zjawiskach życia roślinnego i zwierzęcego zwolennicy szkoły włoskiej opowiadają z przesadzoną emfazą i biją co chwilę na alarm, że powinna być przeprowadzona parallela między kryminologią tworów niższych a prawami dyscyplinarnemi człowieka. Są rośliny, które, jak wiadomo, za pomocą macków chwytają owady pewnej wielkości, ubezwładniają je i trawią za pomocą soku wydzielanego przez gruczoły, w miąższu liści ukryte. Fakt ciekawy oczywiście, lecz co z niego robi Lombroso? Ponieważ rośliny takie pożerają dość dużo owadów, ponieważ wybierają duże osobniki, ponieważ je nęcą zapachem, przeto Lombroso zaraz znajduje w tem głębszą myśl. Tak jak opisane zjawiska, powiada, są prawem natury, a nie premedytacyą, zasadzką, zbrodnią z chciwości, tak też w kryminologii ludzkiej istnieją prawa naturalne, wrodzone i dziedziczne, które pchają siłą nieprzepartą do przestępstwa. Nie jest to dosłowny cytat z jego dzieła, lecz streszczenie powtarzających się ciągle w niem myśli, z poza których jak z za parawanu wyłania się co chwilę wniosek, iż karać nie można zbrodni, która jest prawem natury. Ciekawe są szczegóły, które na każdym kroku Lombroso przytacza, interesującym nawet w wysokim stopniu czasem podział zbrodni zwierzęcych na przeróżne kategorye, żywcem z faktów codziennych zaczerpnięte spostrzeżenia; na daleko idące wnioski, z tych spostrzeżeń wyciągnięte, zgodzić się jednak trudno. Lombroso np. przytacza fakta, iż dawniej trybunały i sądy kościelne karały klątwą przestępstwa zwierząt; jest to widocznie pomięszanie klątwy z zaklinaniami, które są jedną z form modlitw kościelnych. Zdaje się to być

naciągniętem w celu ośmieszania spraw i praw, stojących na zawadzie wnioskom Lombrosy. Ze wszystkich tych wywodów nie można jeszcze ze względów czysto prawniczych wyciągać wniosku, że zbrodniarz tak samo m u s i wykonać zbrodnię, jak szarańcza pustoszyć, że zbrodni tak samo nie powstrzyma kara, jak szarańczy zaklinanie, że, krótko mówiąc, jurysprudencya jest niejednokrotnie wobec wrodzonej konieczności przestępstwa poprostu nonsensem. Zresztą tłumaczenie przyczyn zbrodni zwierzęcych jest niejednokrotnie u Lombrosy wprost dowolnem, a przez to oczywiście cierpią na tem i wnioski; gdzie mybyśmy widzieli walkę o byt, instynkt samozachowawczy, konieczność obrony, znajduje uczony włoski wszędzie jakkieś dziwne wyjątki, dziwne prawa, i ze śmiałością bezwzględną przeskakuje od razu do życia ludzkiego; kotka zagryzła swe kocięta, a Lombroso pyta, czy u człowieka coś podobnego nie nazwanoby „obłędem moralnym"; mrówka amazonka utnie szczypcami głowę czarno-popielatej robotnicy, a Lombroso widzi już w tem analogię z matroną rzymską, która zabija niewolnicę; małpa w niecierpliwości pobije rodzeństwo, a Lombroso z uśmiechem cynicznym zapytuje, czy my tak samo nie postępujemy względem naszych dzieci, kiedy niby to nam chodzi o represyę prawną, a właściwie, karząc je, szukamy zwykle pretekstu, aby usprawiedliwić nasze uniesienie. Jest zapewne coś prawdy na dnie tego wszystkiego; proste zwyczaje zwierząt mogą nieraz być przedmiotem głębszej refleksyi, a nawet i zastanowienia się nad naszymi uczynkami i popędami; przyzna jednak każdy bezstronnie, że na ciekawe tory zeszłaby cała jurysprudencya, pedagogika i etyka, gdybyśmy chcieli oprzeć zasady prawne i wychowawcze na przykładach, zaczerpniętych z życia zwierzęcego, lub na daleko idących wnioskach Lombrosy i gdybyśmy wedle przytoczonych wskazówek nie karali dzieci, zbrodniarzy od urodzenia. Nie wynika z tego bynajmniej, abyśmy się wyśmiewali z uczonych, obserwujących życie zwierząt: chętny posłuch damy zawsze Buffon'owi, gdy nam opowiada o inteligencyi ptaków, lub Clairville'owi, hodującemu drobne owady; bez znużenia towarzyszyć będziemy Washingtonowi Irwingowi po obszernych preryach, lub Magendiemu na wybrzeżach Ame-

ryki: z zapałem wreszcie przerzucać będziemy karty słynnego dzieła *Homes without hands*, w którem słynny naturalista John Wood z skrupulatnością naturalisty, lecz zarazem z pociągającą delikatnością formy opisuje zwyczaje budowniczych przyrody. Na każdy fakt, jak powiedzieliśmy wyżej, przez różne można patrzeć kąty widzenia, a księgę natury, otwartą dla wszystkich, lecz nie dla wszystkich może zrozumiałą, przyjemniej i utylitarniej przeglądać z takimi naturalistami, jakim był np. ostatni z powyżej wymienionych, o którym powiada Hippolyte Lucas: „Sa propre sympathie attire celle du lecteur, et l'enveloppe dans le lieu, qui existe entre tous les êtres de l'univers; ...c'est la chaîne, suspendue entre le ciel et la terre, au bout de laquelle on rencontre la divinité".

Opowiadają kroniki, że gdy mocarstwa chciały oddać Grecyi ziemię Epiru, posłowie albańscy odwiedzali gabinety dyplomatyczne z prośbą, aby tego nie czyniono, gdyż nigdy zgoda nie zapanuje między Grekami, którzy są „brochycephalami", a Albańczykami, którzy są „dolichocephalami". Znakomity ten dowcip który, jeśli nie jest prawdziwy, to w każdym razie znakomicie ułożony, rzuca odrębne światło na kraniometryczne teorye Lombrosy. Oczywiście nikt dzisiaj nie zaprzecza, że na polu nauki ogromne zasługi położyła antropologia, nikt nie wyśmieje się z noża sekcyjnego, szukającego zmian pośmiertnych w mózgu, bez względu nawet na to, czy w każdym danym wypadku je odnajdzie, lecz chęć wytworzenia z pomiarów czaszki i mózgu typów kryminologicznych, tak jak to uczynił Lombroso, z krytyką spotkać się musi. Autor ten poszedł nawet dalej, bo, jak we wszystkich swoich badaniach wogóle, postawił wniosek, że ludzie, rodzący się z taką a taką czaszką lub takim a takim mózgiem, zbrodniarzami koniecznie wedle praw natury być muszą Doprowadziłoby nas to w końcu do tego, że, jak dowcipnie się wyraża Fouillée, czaszki długie walczyćby musiały na śmierć według praw natury z czaszkami krótkiemi, a za lat parę zarzynać się będą ludy o to, że mają parę stopni mniej lub więcej w kącie nachylenia pojedynczych kości czaszkowych. Dalecy jesteśmy od krytykowania Lombrosy w sposób dowcipny może,

lecz bądź co bądź nie naukowy; ciekawych odsyłamy do znakomitych dzieł: *La psychologie des peuples et la lutte des races*, sami zaś pragniemy rzucić na papier parę uwag w odrębnym nieco kierunku, a mianowicie w duchu, że się tak wyrażę, eklektycznym, mającym na celu wybrać z pośród teoryj naukowych te, co mają racyę bytu, przesunąć je przed oczyma czytelników i podkreślić różnice, istniejące między zdobyczami wiedzy a teoryami fantastycznemi lub naciągnętemi.

Pierwszym, który zwrócił uwagę na kształty czaszki i mózgu był Gall. Znakomity ten anatom wymyślił tę teoryę o czynnościach mózgowych, na mocy której organ ten składa się z różnych części i wydatności, będących siedzibą rozmaitych funkcyj organicznych; jeszcze za życia można, według niego, z charakteru i wielkości tych wypukleń mózgowych i odbijających się na czaszce kształtów, wnioskować o charakterze człowieka. Wnioski Galla idą tak daleko, że człowiek, który z pewnemi wypukleniami na świat przychodzi, nie jest winnym czynów popełnionych w ciągu życia, nie może być do odpowiedzialności pociągnięty, i nie powinien podlegać karze. Z nauki Galla, który pierwszy niejako zwrócił uwagę na potrzebę badania kształtów części poszczególnych czaszki i mózgu, wyrosły dwie gałęzie, które w ciągu lat odchylały się zupełnie od siebie. Jedna z nich to obóz badaczy, którzy jak Lombroso, zajęli się wyłącznie oznaczaniem popędów i instynktów na mocy badań frenologicznych i kraniologicznych, nieraz bardzo subtelnych, lecz zawsze wnioskami śmiałymi i przesadnymi, nie mogącymi znaleźć wielu zwolenników w poważnym świecie naukowym. Druga gałąź, to obóz uczonych, którzy krytycznie i ściśle przedmiotowo zwracać zaczęli uwagę na związek istniejący między czynnościami i uszkodzeniami pewnych płatów mózgu, a obwodowemi zjawiskami ruchu i czucia. Pierwszy obóz narobił dużo rumoru i chwilowego hałasu, lecz w końcu zapatrywania jego są, według zdania niemieckich uczonych, *wiederlegt;* drugi obóz wystawił prawdziwy pomnik w postaci szybko rozwijającej się i świetnymi rezultatami uwieńczonej nauki o lokalizacyi czynności mózgowych.

Jeżeli wyraźnie podkreśliliśmy tutaj różnice zapatrywań

tych dwóch obozów, które na jednym niejako wykarmiły się gruncie, to uczyniliśmy to dlatego, aby naukowe spostrzeżenia oddzielić murem od frenologicznych wniosków Lombrosy. Wolno zapatrywać się sceptycznie na te ostatnie, nie wolno jednak rzucać kamienia na te zdobycze wiedzy, które nie mają nic wspólnego z fantastycznemi częstokroć pracami szkoły włoskiej. Ale mimo to tak się nieraz dzieje, łatwo odnaleźć tego przyczynę. Gdy tajemnicza nauka Galla, nie znalazła poklasku, a Napoleon I. miał się nawet o niej wyrazić, że nie można karać złodzieja, którego Pan Bóg obdarzył organem złodziejstwa, wszystko, co tylko rozpoczęto pracować w tym kierunku, zostało już z góry zdyskredytowane, że dla przykładu wymienię tylko znakomite badania Bouilland'a. Z podobną reakcyą spotkać się może i do dziś dnia nauka o lokalizacyi, gdy krytykować ją zaczną tacy, co nie rozumieją subtelnej różnicy między ścisłością naukową obserwowanych trzeźwo faktów, a między teoretycznem wnioskowaniem, dowolnem nieraz, choćby było opartem na prawdziwych faktach. Nauce o lokalizacyi chodzi właśnie o fakta, kryminologia włoska opiera się zaś na wnioskach z faktów. To też pierwszą czci świat uczony i chełpi się, jako najświeższą zdobyczą; drugą odpiera psychologia, etyka i psychiatrya. Rysunki, przedstawiające pola ruchowe i czuciowe kory mózgowej oraz tablica Munka i Ferriera zdobią ściany naukowych zakładów i pierwszorzędnych zbiorów; rysunki czaszek i mózgów *à la* Lombroso, walają się po kątach w przeważnej większości uniwersytetów, lub są zachowane jako historyczne *curiosa,* choć przeszłość ich jest przecież tak niedawną. Są oczywiście jednak jeszcze sporadyczni zwolennicy, którzy trwają w uporze, a nawet sam naocznie widziałem, jak te same tablice kryminologiczne w jednym z zakładów naukowych wiedeńskich okryte były kurzem zapomnienia, podczas gdy w drugim czaszki morderców z ciekawością przypatrywały się z poza starannej, szklanej oprawy snującym się po salach zastępom chorych nerwowych i umysłowych. Dla laika oczywiście i jedne i drugie rysunki na pierwszy rzut oka nie przedstawiają różnicy, i jedna i druga nauka nie zawiera odcieni; trzeźwej też krytyki jest

rzeczą wobec szerszej publiczności zarysować wyraźnie punkta graniczne między rzeczywistością i fantazyą, między teoryą i naukową prawdą.

O fizyognomice i jej stosunku do psychologii, o wnioskach Lombrosy, wyciągniętych z obserwacyi życia zwierząt, ludów dzikich, chorych lub wreszcie zbrodniarzy, prędzej każdy sobie potrafi wyrobić bez pomocy sąd własny, niż o wartości prac kraniometrycznych i frenologicznych. Mózg ludzki, owa siedziba funkcyj, zawiadujących czynnościami ustroju, i czaszka ludzka, zawierająca w swoich jamach i zaułkach najważniejszy z organów ciała, były i są zawsze przedmiotem naukowych sporów; tyle razy kruszono kopie o mniej lub więcej doniosłe sprawy z tej dziedziny, że przeciętny czytelnik nieraz sam nie wie, do którego obozu ma się przerzucić, i chwyta się zazwyczaj najskrajniejszych środków; albo przyjmuje zdobycze materyalistycznego determinizmu, oczywiście wraz z negacyą zasad psychologii, albo wpadając ze Scylli w Charybdę, zaprzecza racyi bytu wszelkim badaniom naukowym, przeprowadzonym przez lekarzy i naturalistów. Ci nieliczni, którzy trzymają się w życiu zasady *medium tenere beati*, zwykle nie mogą dać sobie rady w pogodzeniu teoryj sprzecznych i zawiłych i zaskorupiają się przez to w podejrzliwy sceptycyzm; tych oczywiście najbardziej żal, tym też najprędzej przyjść trzeba w pomoc z radą lub wskazówką; zapaleńcy zaś naukowi, tak jak i porywcze charaktery w życiu codziennem, sami zwykle wyleczają się z przesadnej skrajności lub w razie uporu giną częstokroć z tej samej broni, którą walczyli. Mając na oku, jak powiedzieliśmy, głównie tych, którzy z dobrą wiarą zwracają się i na prawo i na lewo, lecz sami nie wiedzą, gdzie posłuch mają dać, przemówić postaramy się do nich przez usta samychże uczonych, i to zarówno jednych jak i drugich, a zdrowe myśli, którym bez wahania przyklasnąć można, same na wierzch wypłyną z pośród naukowych sporów bez interwencyi piszącego te słowa.

(Dok. nast.).

Dr. J. Zanietowski.

MALARZ CZECHOWICZ.

Studyum na podstawie dzieł jego krakowskich.

(Ciąg dalszy).

O stosunkach materyalnych, w jakich Czechowicz znajdował się w Rzymie, nie mamy dokładnych danych; że nie musiały one być świetne, dowodzi fakt, które odsłoniły nieocenione archiwa książąt Czartoryskich w Krakowie. W r. 1734 umiera malarz Mock[1], pobierający pensyę od Augusta III. Zjawia się zaraz o pensyę kilkunastu kandydatów, wśród nich S. Czechowicz, któremu, ze względu na pobyt w Rzymie, trudniej było się starać o nią, niż wielu z pomiędzy jego rywali. Trzeba więc było rozejrzeć się za protektorem i to wpływowym. Znalazł go Czechowicz w biskupie krakowskim, Janie Aleksandrze Lipskim, (kardynałem został dopiero 20 grudnia r. 1737) który nie wątpliwie już dawniej otaczać musiał malarza swą opieką, jeśli tenże w tej delikatnej sprawie do niego śmie się udawać. W sierpniu r. 1734[2] pisze tedy Lipski do hr. Brühla, bawiącego wówczas w Elsterwerde, polecając mu protegowanego swego Czechowicza. Sprawa jednak nie była tak łatwą do załatwienia.

[1] Nagler, *Neues allg. Künstlerlex.* 1840. Str. 333.: „Johann Samuel Mock stand im Dienste August's Königs v. Polen. 1731 erhielt den Titel eines Oberhofmalers".

[2] Archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie. Akta za Augusta III. 1734—1742. Nr. 584. (List hr. Brühla do biskupa krak. Jana Al. Lipskiego w sprawie S. Czechowicza. Stronic dwie).

Starających się o pensyę było kilkunastu, i zapewne tyluż wpływowych mniej lub więcej protektorów; wszystko więc, co hrabia Brühl w wypadku tym mógł zrobić, to przyrzec biskupowi, że Czechowicza umieści na liście, i zapewnić go, że wszystkich sił swych użyje, aby protegowany biskupi zwycięsko wyszedł z walki. Jak się sprawa skończyła, kto był szczęśliwym wybranym, w braku podobnych, jak list hr. Brühla, źródeł, nie wiadomo; tyle tylko widoczne, że otoczenie Augusta III. daleko życzliwiej spoglądało na Czechowicza, niż późniejsze Stanisława Augusta. Pobyt w Rzymie był dla Czechowicza szkołą nietylko dla jego talentu, ale i dla jego charakteru; była to bowiem natura wzniośle pojmująca swe powołanie, chętnie skupiająca się w sobie, unikająca zgiełku świata.

„Z takiemi skłonnościami nie mógł być uczestnikiem towarzystw wielkiego świata; jakoż imię jego wcale tam znane nie było. Skromne wejrzenie i postawa nie mogły go zalecać tym, których cała zaleta, iż nigdy nie myślą“ [1]. A cechowała go przedewszystkiem głęboka „religijność i czystość obyczajów“ [2], która „obudzała jego czułość na powaby przyrodzenia i prowadziła go do zastanowienia się nad prawdziwą pięknością“ [3]. Opierając się na tych rysach jego charakteru, powiedzieć można, że Czechowicz pobyt swój w Rzymie poświęcał tylko pracy nad sobą i kontemplacyi arcydzieł sztuki, zarówno pogańskich, jak i chrześcijańskich. Zdaje mi się, że go widzę trawiącego całe godziny w niemym podziwie nad stanzami watykańskiemi, nad „lasem posągów“, zaludniających galerye papieskie. To nieustanne wytężenie sił fizycznych i umysłowych, a może i klimat Rzymu podkopały jego zdrowie tak, że widział się zmuszonym powrócić do kraju dla wzmocnienia sił swoich i spoczynku ducha. W r. 1740 [4], tj. po 30-letnim w Rzymie pobycie powraca do

[1] Saunders, „Wiadom. o życiu i dziełach S. Czechowicza“. *Dziennik Wil.* 1815, t. II.

[2] Ibidem. [3] Ibidem.

[4] Saunders pisze („Wiadom. o życiu i dziełach S. Cz.“ w *Dzienniku Wil.* z r. 1815, t. II, str. 627), że Czechowicz w 33 roku życia powrócił do Polski, zatem w r. 1722 (ur. 1689), co jest fałszywe, gdyż jeszcze w r. 1730 był Czechowicz w Rzymie, czego dowodem napis: *Romae 1730.* na obrazie

kraju. Udał się najprzód do „rodzinnego miasta Krakowa“; cytuję te lakoniczne słowa Rastawieckiego („Słownik malarzy polskich“), do których niestety niewiele mogę szczegółów dorzucić. Kiedy Czechowicz powrócił do podwawelskiego grodu, kościół św. Anny, pod który kamień węgielny położył Jan Małachowski, biskup krakowski, w roku urodzenia Czechowicza 1689 [1], przystrajał ciągle jeszcze swe wnętrze. Czechowiczowi powierzono wykonanie czterech obrazów *(tonda)* do stal kościoła, które też w r. 1741 [2] umieszczono na właściwem miejscu. Przedstawiają one sceny z życia św. Joachima i Anny, a kosztowały zamawiających bardzo niewiele, artysta bowiem otrzymał za nie 24 dukatów czyli 432 złp. [3]. W Krakowie zapewne namalował wówczas Czechowicz wielki obraz do wielkiego ołtarza kościoła św. Piotra (na temat słów Chrystusa do św. Piotra: „I Tobie dam klucze królestwa niebieskiego“). Obraz ten niestety, jak prof. Stattler [4] mówi: „jako spłowiały komnat naszych adamaszek zastąpiliśmy nowym, jaskrawym“ i [5] „ten najcelniejszy z płodów Czechowicza uważaliśmy za prostą zużytą szmatę płótna, którą w kawały potargawszy jako bezużyteczne, zbutwiałe śmieci, jakoby własność prywatną, nie zdawszy z tego rachunku nikomu, z prawa bytu haniebnieśmy sami wytrącili“. Pozostał tylko szkic do tego zniszczonego dziś obrazu, (znaj-

w kościele koleg. w Kielcach. Do zdania Saundersa przychyla się Rastawiecki w *Bibl. Warsz.* z r. 1847, w „Słowniku malarzy polskich“, jednak w trzy lata potem (tj. 1850) pisze, że Czechowicz lat 30 przebywał w Rzymie. Gdy zaś wiemy, że jeszcze w r. 1730 był w Rzymie, a dopiero w r. 1741 malował obrazy dla kościoła św. Anny w Krakowie (L. Kosicki, „Wiadomość hist. o kościele akadem. św. Anny w Krakowie“ 1833, str. 23), powrót więc jego przypada mniej więcej na rok 1740.

[1] A. Grabowski, „Kraków i jego okolice“, wyd. V. Kraków 1866. Str. 165.

[2] Ludwik Kosicki, „Wiadomość historyczna o kościele akademickim św. Anny w Krakowie“, Kraków 1833, str. 23.

[3] Ibidem.

[4] Prof. W. K. Stattler, „Stanowisko artystyczne S. Czechowicza według obrazu wielkiego ołtarza św. Piotra w Krakowie“ w „Roczniku Towarzystwa Naukowego z Uniwersytetem złączonego“, r. 1849, t. IV. (ogólnego zbioru t. XIX.), str. 274 i nast.

[5] Ibidem.

dujący się w zbiorach Szkoły sztuk pięknych krakowskiej), na podstawie którego Stattler kreśli swe wrażenia. Oprócz powyższych płócien z pewnością z czasu pobytu tego Czechowicza w Krakowie pochodzi śliczny obraz: „Cud św. Jana Kantego“, dziś umieszczony w jednej z bocznych kaplic kościoła św. Floryana.

W Krakowie zapewnie także powstał ten przepyszny portret Jana Aleksandra Lipskiego, biskupa krakowskiego i kardynała z r. 1737; gdzie się dzisiaj podziewa ten portret, nie wiem; wogóle zaś nie wspominają o nim wcale biografowie i krytycy Czechowicza. Sąd zaś mój opieram na reprodukcyi sztychu Myliusa, odtwarzającego ten portret, który, zdaje mi się, musi niezmiernie trafnie oddawać rysy i charakter kardynała Lipskiego[1]. Tutaj wreszcie powstał obraz „Św. Anny Samotrzeciej“, malowany na zamówienie Bractwa św. Anny (zał. 1741), obraz, przez Rastawieckiego Stachowiczowi przypisywany, którego jednak autorstwo bez wątpienia należy się Czechowiczowi, jak to w analizie obrazu starać się będę udowodnić.

Pobyt w Krakowie Czechowicza był krótki i dziwić się temu nie można z bardzo zrozumiałych przyczyn. Stolica dawna, wówczas opustoszała, bez ruchu już artystycznego, i wogóle

[1] Podaję cały podpis umieszczony pod ryciną:

IOANNES Herb ALEXANDER
S. R. E. PRESBYTER . CARDINALIS LIPSKI
EPISCOPUS CRACO . VIENSIS DUX SE
VERIAE CREAT. A. SS. . M C. D. N. CLEMENTE
PAPA XII DIE XX DECEM . BRIS MDCCXXXVII

Peint par S. Czechowicz. Gravé par I. F. Mylius Grav. du Roy à Warsovie. Dedié a Son Altesse Eminentissime par Son très humble et très obeissant serviteur I. F. Mylius.

W tym samym mniej więcej czasie malował Czechowicz portrety: Jana Ferdynanda Sapiehy i Sebastyana Dembowskiego biskupa, które również rytował Mylius, pierwszy w r. 1741, drugi w r. 1743. (Heineken, *Dictionnaire des artistes, dont nous avons les estampes avec une notice détaillée de leurs ouvrages gravés,* Lipsk 1790, t. IV.

większego handlowego, nie mogła pociągnąć ku sobie artysty, wracającego z centrum ruchu i cywilizacyi, nie otwierała żadnego pola dla jego artystycznej działalności. Dwór był w Warszawie, koło niego skupiało się wszystko, co godnością swego urzędu lub talentem przodowało w narodzie; rzecz wogóle zupełnie naturalna, tem naturalniejsza w wieku, który cel niemal życia zasadzał w rozrywkach wszelkiego rodzaju, a tych źródło ze dworu głównie płynęło. Nic też dziwnego, że Czechowicz po sumiennych studyach rzymskich, czując się już na siłach, wolał się przenieść do nowej stolicy, do Warszawy, skupiającej w sobie cały prawie artystyczny ruch w Polsce. Czy przed ostatecznem przeniesieniem się do Warszawy, czy też już z Warszawy zrobił Czechowicz wycieczkę do Podhorzec, tego stanowczo stwierdzić nie możemy; w każdym razie musiała ona nastąpić przed r. 1767 [1], gdyż sam właściciel Podhorzec, hetman w. kor. i kasztelan krakowski, Wacław Rzewuski do tego tylko roku w zamku podhoreckim przemieszkiwał. Czechowicz wykonał tam i pozostawił ogromną liczbę obrazów, bo 107 [2], między niemi śliczną głowę św. Franciszka [3]. Nie mogę podać roku, w którym Czechowicz osiadł na stałe w Warszawie; to tylko jest pewnem, że w r. 1750 [4] w Warszawie już mieszkał wraz ze swą siostrzenicą Reginą [5] (z Olesińskich) i z jej mężem, Łukaszem Smuglewiczem, w rynku Starego Miasta w domu (nr. 59) pisarza Tomasza Czempińskiego [6]. W kółku tem rodzinnem żył Czechowicz prawie wyłącznie. Król, chociaż sztuk pięknych miłośnik, do siebie go nie wzywał, jak nie wzywał i Plerscha, Kuntzego, Albertrandiego; stąd dziwnem się dosyć wydaje, że zwrócił uwagę swą na artystę, z pewnością od powyższych stojącego niżej, na

[1] Rastawiecki, „Słownik malarzy polskich“, r. 1850. (S. Czechowicz t. I, str. 284).

[2] W. Gerson, „S. Czechowicz, malarz“ w *Przewodniku bibliogr.-archeologicznym* z r. 1881, zeszyt 6, str. 285—6.

[3] Rastawiecki, „Słownik malarzy polskich“.

[4] Rastawiecki, *Bibl. Warsz.*, 1847, t. I, str. 123 i nast.

[5] Rastawiecki, „Słownik malarzy polskich, t. II, str. 171.

[6] Łukasz Gołębiowski, „Opisanie Warszawy“, r. 1827, stt. 175.

Łukasza Smuglewicza, którego zamianował nawet nadwornym malarzem.

W tem odosobnieniu od świata, od dworu, w ciszy domowego ogniska wyrabiał się talent Czechowicza, naturą swoją również odosobniony. I kto wie, czy właśnie to oddzielenie się od świata artysty nie wpłynęło w znacznej części na to pogłębienie uczucia religijnego, wyłaniającego się z jego obrazów. Jeśli jednak zrywał chętnie stosunki z warszawskim światem, nie zrywał ich z Krakowem. Wiemy to z częstych listów, jakie odbierał od krakowskiego malarża, Andrzeja Radwańskiego, który w dzienniku swoim często notuje: „pisałem dziś do p. Czechowicza do Warszawy“ [1]. Radwański był to malarz mierny; malował obrazy religijne, chorągwie, podejmował się nadto nieraz malowania kościołów, jak w Strzałkowie, Pilicy [2], dekorował kaplicę św. Antoniego w Maryackim krakowskim kościele [3]. Ale o ile był malarzem dość pospolitym, o tyle stał wyżej wykształceniem swojem od całego szeregu artystów mu współczesnych. Sztukę kochał na prawdę, miał o niej wysokie pojęcie, zamierzał skreślić jej zalety w małych rozprawkach, z których pozostały ogólne tylko i niewykończone zarysy. Oto kilka tytułów tychże [4]: „Przyjacielska rozmowa Industryi z Picturą przy obecności najj. Pani, Prawdy“, „Rozmowa Filozofii z Picturą“, „Rozmowa Pallady z Picturą“; szumne tytuły, zupełnie w duchu epoki, a odpowiada im przesadny panegiryzm treści. Usiłuje bowiem autor w rozprawkach swych wykazać, że malarstwo jest matką wielu umiejętności, jak: „Arytmetyki, Muzyki, Poetyki, Medycyny i... nauki Prawa“. Jakkolwiekbądź, uznać należy tę dla sztuki miłość, która była natchnieniem prac powyższych. Grabowski, z którego szczegóły te zaczerpnąłem, („Ojczyste spominki“, 1845, t. I, str. 225 i nast.) zaznacza, że „w chęci zebrania większego jeszcze zapasu stosownych wiadomości do przedsięwzięcia tego, projektował Radwański wezwać i innych

[1] A. Grabowski, „Ojczyste spominki“, 1845, t. I, str. 255 i nast.
[2] Ibidem. [3] Ibidem.
[4] Ibidem.

mistrzów tej sztuki rodzajem ogólnego listu". Bardzo więc być może, że listy, pisane do Czechowicza, ten cel miały na oku.

Przychodzimy do czasów Stanisława Augusta. Nie będę się rozwodził nad stanem sztuki pod panowaniem tego najwytworniejszego z królów polskich, zaznaczyłem to bowiem wyżej: teraz zaś wspomnę tylko dla związku, że w rozkosznym łazienkowskim pałacu te same panowały gusta, co w całej cywilizowanej, ówczesnej Europie. Więc wytworna elegancya, połączona nie rzadko z zachodnią swobodą obyczajową, a z świata sztuki ta, która była tych upodobań najlepszym wyrazem. Któż zaś mógł ją reprezentować lepiej, jak nie ci liczni, pod opiekuńczymi skrzydłami króla-mecenasa w Warszawie osiedleni cudzoziemcy artyści: Bacciarelli, Lampi, Grassi, Canaletto, Norblin i wielu innych, bądź stale, bądź czasowo na dworze królewskim przebywających. Pierwiastek religijny nie miał sympatyi w sztuce, tych, którzy byli jego przedstawicielami, nie odznaczyła królewska łaska. Należał do nich Czechowicz. Rastawiecki [1] pisze, że podobno nigdy nie przestąpił on progów królewskich. Wiadomo, że Stanisław August przesiąkł zanadto otaczającą go atmosferą; dziwić się jednak należy, że się na Czechowiczu (do którego sympatyi mógł nie mieć) jako na dobrym malarzu nie poznał, nie uznał go za takiego, on, rozumiejący się przecież na sztuce [2]. W braku królewskiej protekcyi opiekowali się Czechowiczem

[1] Rastawiecki, *Bibl. Warsz.*, r. 1847, t. I, str. 125.

[2] Prof. W. Gerson w swym artykule „S. Czechowicz" (*Przewodnik bibliogr.-archeolog.*, Warszawa 1881, rocznik I, zeszyt 6, str. 284) twierdzi, że Czechowicz St. Augustowi nie „mógł być znanym, ponieważ warszawska jego działalność już się była skończyła, ponieważ zasługa jego dla sztuki polskiej, którą Rastawiecki podnosi, przypada między lata 1750—1760, zatem przed wstąpieniem na tron Poniatowskiego". Pierwsze zaś lata St. Augusta przepędził w Podhorcach, w ciągu zaś panowania St. Augusta jeździł po rozmaitych klasztorach, wykonując dla nich obrazy". Wszystkie te względy po części tylko, według mego zdania, usprawiedliwiają St. Augusta, mówię, w części, gdyż kto jak Czechowicz wykonał już tyle dzieł dobrych, czasem bardzo niepospolitych, ten znanym być musiał i mógł zasłużyć sobie na łaskę królewską. Że to się nie stało, to oprócz powodów przez Gersona przytoczonych i te drugie, zdaje mi się, które starałem się wykazać, przyczyniły się do tej dziwnej króla obojętności.

nasi możni panowie. Widzieliśmy już jaką opiekę rozciągał nad naszym artystą Ossoliński; jak oceniali talent jego biskup krakowski Szaniawski i Lipski, kardynał. Poznali się, jak zaznaczyłem powyżej, na jego zdolnościach w. kanclerz litewski, Jan Ferdynand Sapieha i biskup kijowski, Sebastyan Dembowski, każąc się portretować; wreszcie przychodzi mi zwrócić uwagę na szczególniejsze względy, jakie okazywał Czechowiczowi książe Hieronim Radziwiłł, (przyrodni brat księcia Karola „Panie Kochanku„) który, „chcąc się dać malować i w tym celu sprowadzając go do Ołyki, rezydencyi swojej, wysłał po niego pojazd i kuchnię“ [1]. Opiekunów wiernych, stałych miał Czechowicz w zarządach kościołów i po klasztorach, które widziały w nim artystę malującego obrazy religijne — rzeczywiście religią natchnione. One to, rozsiane po szerokim obszarze ziem polskich, uczyniły zeń „popularnego artystę, przemawiającego swą szczerością do serc prostych. W Lubartowie i w Zakroczymiu, w wileńskiej katedrze i w kościele św. Katarzyny, w katedrze mińskiej pracowita jego ręka liczne pozostawiła dzieła. Czy na miejscu je wykonywał, nie wiem; wiadomo tylko, że w r. 1770 [2] jeździł do Połocka, dokąd go wezwał rektor OO. Jezuitów, ks. Czerniewicz [3] dla przyozdobienia kościoła i klasztoru. Przebywał tam dwa lata. — Ale pracował nietylko dla siebie. Chcąc przyjść z pomocą młodym adeptom sztuki, założył dla nich, pierwszy w Polsce, formalną szkołę malarską [4], którą własnym wyposażył kosztem. Zgromadził w niej kolekcye rycin, odlewy gipsowe z klasycznych posągów, z wielkim nakładem z Rzymu sprowadzone, i tak urządzoną szkołę otworzył do bezpłatnego użytku swym uczniom, z których nawet kilku ubogich własnym kosztem utrzymywał [5]. Była to — pisze Rastawiecki — pierwsza w Polsce szkoła

---

[1] „Kalendarz domowy warszawski“ A. Gałęzowskiego na rok 1832 str. 26. Gdzie się portret ów znajduje i kiedy był malowany, nie czynią pod tym względem żadnej wzmianki biografowie Czechowicza.

[2] Rastawiecki, „Słownik malarzy polskich“, 1850.

[3] Ibidem.

[4] Ibidem, str. 103—104.

[5] Ibidem.

malarska; przyczyniła się ona wielce do zamiłowania w sztuce i stała się wzorem dla późniejszej, przez Stanisława Augusta założonej malarni królewskiej. Do liczby uczniów Czechowicza należał i Franciszek Smuglewicz, który w 17-tym roku życia kształcił się pod Czechowiczem, jednak tylko rok jeden, gdyż już w r. 1763 wyjechał do Rzymu; uczniem też Czechowicza był B. Gołębiowski [1], malarz portretów i obrazów kościelnych. W jakim zaś pozostawał Czechowicz stosunku z Antonim Albertrandim, czy był jego mistrzem, czy też tylko przyjacielem, na to pewnych nie mamy dowodów, ale żyć musiał z nim dość blizko, kiedy na jednym szkicu rysunkowym, „Św. Jan Chrzciciel nauczający na pustyni“ podpisany jest: „R. (rysował) Albertrandi, correxit Czechowicz“ [2]. Zdaje mi się, że jak w wyborze tematów, które zawsze prawie były religijne, kierowała nim głęboka jego pobożność, tak w założeniu tej szkoły, kto wie, czy nie uczucie miłości chrześcijańskiej było tu główną pobudką. Była bodźcem także bez wątpienia i miłość sztuki, ale nie pomylę się może, twierdząc, że ta pierwsza w założeniu tej szkoły główną grała rolę. Tak oddany był Czechowicz sztuce i zatopiony w pobożności, że bezżenne życie prowadzić postanowił i rzeczywiście w niem wytrwał [3]. A co dziwnie odbija od tła wieku, to że nie dotknął nigdy światowego tematu; portretów malował niewiele i niechętnie, żył bo ciągle w świecie idealnego Piękna z Dobrem zbratanego. Zdaje się, że na usilne tylko ze strony przyjaciół nalegania na kilka dni przed śmiercią nakreślił swój portret [4]. Umarł jako tercyarz zakonu OO. Kapucynów

[1] Ibidem.

[2] Aleks. Przeździecki, „Wiadomość o szkicach Czechowicza“ w *Atheneum*, piśmie zbiorowem Kraszewskiego. Wilno 1842, t. II. Szkic przytoczony znajduje się — jak pisze Przeździecki — w Dobrowlanach u hr. A. Günthera; czy i dzisiaj — nie wiadomo mi.

[3] Rastawiecki, „S. Czechowicz“ w *Bibl. Warsz.* 1847, t. I, str. 124.

[4] Był najprzód (na płótnie malow.) w posiadaniu prof. Saundersa, jak tenże sam o tem wspomina w „Wiadomości o życiu i dziełach S. Czechowicza (w *Dzienniku Wileń.* 1815). Po śmierci Saundersa przechodził przez różne ręce, aż godne siebie znalazł miejsce w pięknej galeryi obrazów w Posławach u hr. Konst. Tyzenhauza (Aleks. Przeździecki, „Wiadomości o szkicach Czechowicza“ w *Atheneum*, Wilno 1842, t. II).

warszawskich, 21 lipca 1775 r.[1]. Grób[2] jego znajduje się w podziemiach[3] kościoła OO. Kapucynów warszawskich. W kościele zaś (w prawej bocznej nawie, niedaleko drzwi głównych) nad łukiem okrągłym przejścia uczcili pamięć Czechowicza „ziomkowie“[4], w kilkadziesiąt lat po jego śmierci, skromnym, ale wytwornym pomnikiem. Otacza go prosty, ciosowy renesansowy kartusz, podparty po rogach dwoma konsolami, w środku zaś skrzydlatą główką anielską. Wierzch jego wieńczy akroter, złożony z dwóch esownic i odwróconego liścia akantu, z którego krzyż wyrasta. Ramy te zamykają jakby dwie, wewnętrzne części nagrobka; w dolnej, wykonanej również z ciosu, dwa *putti*; jeden z paletą i pendzlem w ręku, a gwiazdką na czole, mówi o malarzu, drugi, z książką do modlitwy i różańcem, z płomykiem na głowie drgającym, jest obrazem głębokich religijnych zasad malarza-tercyarza. Stoją tu one na straży wieńca laurowego (kamiennego), ujmującego na miedzi malowany portret Czechowicza. W części górnej, niczem od dolnej nieoddzielonej, mieści się czarna marmurowa tablica z następującym, złotemi głoskami wyrytym napisem:

SZYMONOWI CZECHOWICZOWI
ZNAKOMITEMU MALARZOWI POLSKIEMU
ZIOMKOWIE
UR. D. 21 SIERPNIA 1689 † D. 21 LIPCA 1775
SPOCZYWA W GROBACH TEGO KOŚCIOŁA.

Całość pomnika sprawia bardzo dodatnie wrażenie spokojem linij, o prostym, ale szlachetnym rysunku. *Putti* są bardzo pięk-

[1] Data wzięta z nagrobka Czechowicza w kościele OO. Kapucynów (dziś pokapucyńskim) w Warszawie.

[2] Michał Baliński, „Fundacya zakonu i klasztoru OO. Kapucynów w Warszawie“ w czasopismie *Alleluja*, Warszawa 1842, str. 160.

[3] W czasie pobytu mego w Warszawie (październik 1897) szukałem grobu tego w podziemiach kościoła pokapucyńskiego: śladu jego jednak nigdzie nie zdołałem odszukać. Przypuszczam, że Czechowicz, jako tercyarz nie został pochowany w głównej krypcie, przepełnionej tablicami różnych znakomitych rodów polskich, lecz razem z innymi braćmi zakonnymi w dalszej, skromniejszej części podziemia, dzisiaj niestety niedostępnej, bo zasypanej.

[4] Z napisu na nagrobku Czechowicza w Warszawie.

nie modelowane, pełne wdzięku dziecęcego i wytworne w ruchu. Szczegóły wszystkie bardzo starannie wykończone; jednem słowem, dzieło to niezwykłego artysty — może i Włocha. Rzecz, sądząc ze stylu, z drugiej połowy naszego wieku. Portret zaś (na miedzi) Czechowicza, dziś zębem czasu dość zniszczony, mimo to jeszcze bardzo ładny, o delikatnym modelunku i subtelnym kolorycie. Sądzę, że to może kopia z autoportretu.

Spuścizna [1] po Czechowiczu, z obrazów i szkiców złożona, przeszła do rodziny Smuglewiczów. „Po śmierci dopiero A. (?) Smuglewicza“ [2] w obce dostała się ręce. Każdy ze szkiców nosi napis: „Invenit Czechowicz, A. S.“ (A. Smuglewicz) i numer zbioru Smuglewicza [3]. Wiele z nich, należących spadkiem do Smuglewiczów, przeszło do zbiorów hr. Adama Günthera w Dobrowlanach i hr. Konstantego Tyzenhauza w Posławach [4]. Gdzie się zaś dzisiaj znajdują, nie wiem.

III.

Czechowicz, jako człowiek, należał do rzadkich wyjątków nietylko w Polsce, ale i w Europie XVIII. wieku. Bo w wieku, który się przeważnie rządził li tylko rozumem czystym, kierownikiem Czechowicza był rozum, oparty na wierze. Ta jego głęboka wiara i pobożność, to rysy jego najwybitniejsze, tło jego charakteru, a z nimi wiązała się miłość bliźniego, uczynność, niezwykła w obejściu delikatność i to idealne pojęcie sztuki, którą chociaż naprawdę kochał, nie uważał jej jednak za cel, lecz za środek do celów wyższych. Jako Polak odziedziczył po

---

[1] Co do ogólnej jego artystycznej spuścizny, to przedstawia się ona w następujących cyfrach: „Obrazów wykonanych w Polsce po powrocie z Rzymu cyfra przechodzi 270, a na same Podhorce połowa prawie tej liczby: 107. W Połocku wykonał obrazów 30, z dawniejszych Wilno posiada u św. Katarzyny 13, u PP. Wizytek 7, Lubartów 10, Karmelici w Warszawie 4“. (W. Gerson, „S. Czechowicz, malarz“ w *Przewodniku bibl-archeologicznym* z r. 1881, zeszyt 6, str. 286).

[2] A. Przeździecki. „Wiadomość o szkicach Cz.“ w *Atheneum*, Wilno 1842, t. II.

[3] Ibidem.

[4] Ibidem.

praojcach do wiary św. przywiązanie, utrwalił je ten kilkudziesięcioletni pobyt w stolicy chrześcijaństwa, wyrobił w nim silne przekonania, które później z łatwością oprzeć się mogły zgubnym nieraz wpływom otoczenia. Stałość ta to jego charakter, największa osobista zasługa. Nie będzie, zdaje mi się, przesadnem porównanie, że przypominał on pod niejednym względem tego błogosławionego mnicha włoskiego *trecenta.* U obu bowiem ta sama wiara, podobne idealne zapatrywanie się na sztukę, tylko że Fra Angelico, żyjąc w klasztorze, ułatwione miał zadanie, Czechowicz zaś liczne miał wśród świata do przezwyciężenia przeszkody, które jednak usunął, i chociaż zakonnikiem nie był, żył niemal po klasztornemu. Zestawiłem dwóch tych artystów z tem jednak zastrzeżeniem, że znajdując w nich pewne podobieństwa charakteru, nie myślę wcale o analogii w ich artystycznych spuściznach, bo dzieli je przecież nieprzebyta przepaść — duch i piętno wieków, które ich wychowały.

IV.

Krakowskie Czechowicza dzieła.

Zaznaczyłem już na początku tej pracy, że będę się starał ocenić Szymona Czechowicza na podstawie dzieł tegoż artysty znajdujących się w kościołach i w zbiorach krakowskich. Zasłużyłby zapewnie Czechowicz na to, żeby kto chce pisać o nim, najprzód zbadał wszystkie jego dzieła. Zauważyć jednak wypada, że tych dzieł jest bardzo wiele, rozrzuconych po całej Polsce. Najlepsze podobno — jak wspomniałem — są w Wilnie. To wszystko prawda; piszącemu jednak nie udało się dotychczas zbadać innych, jak tylko krakowskie, dlatego też nie mam pretensyi wypowiedzenia ostatniego słowa o malarskiej twórczości Czechowicza; spodziewam się jednak, że dokładne zbadanie krakowskich będzie przynajmniej pożytecznym do tego przyczynkiem.

W opisie obrazów krakowskich Czechowicza, trzymać się będę, o ile się da, porządku, w jakim one powstawały, opierając się już to na autentycznych zupełnie źródłach, już to na hypotezach, które w wypadku tym zastąpić muszą wszelkie dane.

Zaczynam więc od obrazów malowanych z pewnością,

zwłaszcza pierwszy, w Rzymie: „Św. Piotr i Jan uzdrawiający kalekę“ i „Chrystus uzdrawiający niewidomego“. Opisując pierwszy[1] z powyższych obrazów przed wysłaniem go na wystawę ostatnią lwowską, odczuwałem w nim bezpośredni wpływ Rafaela; przypomniały mi się różne Rafaelowskie postacie, jak np. tej kobiety, wydającej okrzyk przestrachu na widok pożaru, *Incendio del Borgo*, lub tej drugiej z tego samego fresku, prowadzącej dziecko na stopnie gorejącego pałacu.

Nie przyszedł mi zaś na myśl arras Rafaela „Św. Piotr i Jan uzdrawiający kalekę“ z watykańskiego muzeum, którego obraz ten Czechowicza niemal, że wierną jest kopią. Zwróciła dopiero na to moją uwagę notatka katalogu[2] wystawy lwowskiej, umieszczona pod krótkim opisem obrazu. Wziąłem więc do ręki reprodukcyę[3] arrasu powyższego i porównanie jej z obrazem Czechowicza wykazało wyraźnie, że jest on tylko wierną kopią Rafaelowskiego tapetu. Jest kopią, przyznaję, lecz tylko kompozycyi, bo nieoddającą ani szerokości pendzla, ani rysunku, ani pełnego szlachetności stylu Rafaelowskiego, niema w niej także tego muzycznego nastroju Urbinaty; ale gdy się zważy, że kopię zrobił artysta, jeszcze w latach studyów rzymskich, a jak z rysunku i słabej jeszcze techniki widać, może kopia ta była jednem z pierwszych dzieł jego malarskich, to nie można Czechowicza za nią zbyt ostro krytykować i ciężkich zarzutów mu czynić. Usprawiedliwia nadto artystę — w tym wypadku — okoliczność ta, że kopia to nie z kartonu tej samej treści, (bo ten znajdował się w Hanystoncourt, dziś w South-Kensington Muzeum) lecz z arrasu, którego sama technika nie mogła uwydatnić dobrze modelunku. Dla łatwiejszej kontroli podaję tu dokładny opis obrazu, raczej kopii Czechowicza.

Rzecz dzieje się na tle wspaniałego portyku, z prawej strony otwartego na stoki pagórka, tonącego w czerwonym

---

[1] Obraz olejny, na płótnie, wys. 82 cm., szer. 60 cm. Własność p. Przemysława Kotarskiego w Krakowie. Był na wystawie lwowskiej.

[2] Str. 1.

[3] Reprodukcya, o której mowa, pochodzi z dzieła E. Müntza, *Raphaël sa vie, son oeuvre et son temps.* 1886.

zmierzchu. Sufit portyku podpierają bogato w płaskorzeźby zdobne spiralne kolumny, wspomnienie zapewne przepysznych spiralnych kolumn Berniniego, dźwigających baldachim nad grobem św. Piotra. W środku portyku, w głębi którego wznosi się ołtarz oświetlony trzema lampkami, św. Piotr, podniósłszy prawicę, siedzącego przed nim kalekę ze skrzyżowanemi nogami uzdrawia w imię Chrystusa. Po lewej księcia apostołów stoi św. Jan, wskazujący na kalekę. Ze strony lewej drugi kaleka na klęczkach zbliża się ku apostołom, za nim zaś młoda kobieta dziecko karmiąca wzrok jakiś pełny smutku i rezygnacyi zwraca ku apostołom cud czyniącym. Pendant jakby do niej tworzy młoda dziewczyna, kosz z ptactwem na głowie niosąca i prowadząca za rękę nagie dziecko, przez którego ramię zwieszają się na drążku dwa gołąbki. Tuż koło kaleki, przez apostołów uzdrawianego, stanął za kolumną drugi nagi chłopiec w profilu zwrócony ku faryzeuszom, z głębi portyku przyglądającym się cudowi. Tło obrazu zapełniają, jak się zdaje, uczeni narodu i lud ciekawy. Kopia to więc wierna z wyjątkiem może drugiego nagiego chłopca, w którym, o ile obraz pamiętam, zachodzą pewne, nieznaczne waryanty. Rysunek dosyć słaby, modelunek również, a ton cały obrazu jakoś dziwnie czerwony: wszystko wady w znacznej części tłómaczące się techniką arrasu, który Czechowiczowi za wzór służył.

Do rzymskiej twórczości Czechowicza należy też drugi obraz: „Chrystus uzdrawiający niewidomego“ [1]. Na tle pełnego powietrza krajobrazu, oświetlonego zachodzącem słońcem, wznoszą się rozmaite budynki, przybierające raz kształt wież obronnych, to znowu piramid, to pałacyków barokowych; to na dalszym planie. Bezpośrednie zaś tło dla lewej strony obrazu tworzy nyża monumentalnego jakiegoś gmachu, ze strony zaś prawej biegnie marmurowa balustrada, z poza której rozciąga się widok na owe wyżej opisane budowle. Na tle tem pełnem światowego jakiegoś uroku, przypominającego fantastyczny, ówczesny gust, zamiast odpowiedniej do tła takiego sielanki, rozgrywa się

[1] Olejny, na płótnie, wys. 82 cm., szer. 60 cm. Własność p. P. Kotarskiego w Krakowie. Był na wystawie lwowskiej.

wzniosła swą powagą i świętością scena: Chrystus uzdrawia niewidomego. Przed Zbawicielem trzymającym w palcach grudkę ziemi klęczy niewidomy, prześliczny młodzieniec, typ prawdziwy Włocha, ręce złożywszy jakby do modlitwy. Ubiór jego stanowi krótka tunika, przez ramię przewieszona torba i kij podróżny. Przypomina on bardzo tych św. Janów Chrzcicieli włoskich, a jeśli się nie mylę, w bliskiem pokrewieństwie pozostaje z tymże świętym Rafaela (czy Sebastyana del Piombo) z trybuny florenckiej. Scenie tej przypatruje się *bambino,* również bardzo ładne, i znowu przychodzi mi tu stwierdzić potężny wpływ Rafaela, naśladownictwo, chociaż bynajmniej nie ślepe, tych *puttów* czy z Madonny Sykstyńskiej, czy z del Foligno. Po lewej stronie obrazu pięciu apostołów. Obraz wogóle w kolorycie trochę ciemny, mający jednak tu i ówdzie żywsze barwy i światła, rysunek od poprzedniego obrazu poprawniejszy, zestawienie barw harmonijne, traktowanie natomiast draperyi trochę ciężkie, sztywne. Maniery, jak zwykle u Czechowicza, i tu nie wiele, z wyjątkiem może dwóch apostołów, których ruchy zdają się być na efekt obliczone. Malowany szeroko i z pewnem zacięciem artystycznem, z uczuciem wierzącego chrześcijanina. Chociaż obraz [1] omawiany stoi znacznie niżej od dzieł Czechowicza w Krakowie malowanych i pod względem rysunku jak i kolorytu, uważam go jednak za dzieło Czechowicza, pomimo, że w pierwszej chwili budzić się mogą poważne wątpliwości. A to z tego przedewszystkiem powodu, że jak w innych, tak i w niniejszym obrazie, jest ta sama prawda i szczerość uczuć, że nadto w tym, więcej niż w innych, znać ten świeży, bezpośredni wpływ Rzymu i szkoły Rafaelowskiej. Słabe zaś stosunkowo wykonanie, przypisać — zdaje mi się —

[1] Uwaga „Katalogu ilustr." wystawy lwowskiej (od r. 1764—1886) str. 2, umieszczona pod opisem powyższego obrazu zaznacza, że „obraz ten jest kopią z włoskiego obrazu", co bardzo być może, zważywszy, że Czechowicz wiele kopiował, jak np. ów arras Rafaela, dalej Madonny tegoż dla Podhorzec (Rastawiecki, „Słownik"). Nie umiejąc jednak na razie wskazać oryginału, z którego Czechowicz kopiował obraz powyższy, przypisuję mu tylko wpływy, zwłaszcza Rafaelowskie, nie mogę go zaś uważać stanowczo za kopię. Z arrasów Rafaela kopią nie jest z tej prostej przyczyny, że niema arrasu rafaelowskiego o treści powyżej podanej.

należy niewyrobieniu artystycznemu, inaczej mówiąc, że obraz ten zaliczyć trzeba do pierwszych prac Czechowicza. Bez wątpienia w Rzymie również powstała kopia Czechowicza z Rubensa: „Chrystus pomiędzy faryzeuszami“, z których jeden pokazuje Zbawicielowi pieniążek. (W zbiorach krak. szkoły sztuk pięknych). Obrazek to niewielki, malowany z pewnością w Rzymie, (dla powodów powyżej przytoczonych) kopiowany — jak sądzę — przez Czechowicza, dla świetnego kolorytu Rubensa, zresztą dla rysunkowej wprawy. Ale kopia, podobnie jak pierwsza, pojęta znowu przez artystę „po swojemu“, chcę przez to powiedzieć, że i tutaj modelunek jest dosyć niestaranny, z pewnością nie zaokrąglony, tak jak u Rubensa.

Z kolei przechodzę do obrazów, mieszczących się dzisiaj w dwóch bocznych nawach kościoła Przemienienia Pańskiego ks. Pijarów, które — jak pisze Józef Mączyński [1] — w Rzymie były wykonane. Jest ich pięć, z tych trzy: „Opieka N. P. Maryi“, „Zdjęcie z krzyża“ i „Św. Antoni Padewski“, umieszczone są w ołtarzach bocznej, lewej nawy, dwa zaś: „Św. Jan Nepomucen“ i „Św. Rodzina“ w prawej nawie bocznej.

„Opieka N. P. Maryi“ (nad miastem Krakowem). Miasto Kraków pogrążone w cieniach nocy; wśród nich strzelają ku niebu kościelne wieże tego „małego Rzymu“, więc wysmukła gotycka kościoła Maryackiego, barokowa ratusza, i inne wieże i gmachy. W powietrzu zupełna cisza; wszystko spoczywa. I spokój panuje wszędzie, bo nad miastem rozpostarła swą opiekę „Królowa Korony polskiej“, mająca w mieście tem tylu gorących czcicieli. Wszak ku Jej czci kwitnęły w niem od dawna Sodalicye Maryańskie, wszak z Jej imieniem na ustach, „Boga-Rodzico Dziewico“, tyle razy wyruszały z tego grodu zbrojne

[1] J. Mączyński, „Pamiątka z Krakowa“, Kraków 1845. T. II, str. 347. Bardzo być może, że obrazy te fundował biskup krak. Szaniawski, prawdziwy dobrodziej kościołów, który w r. 1730, sprowadził z Rzymu swym kosztem obraz Czechowicza „Wniebowzięcie N. P. M.“ do kolegiaty kieleckiej. A prawdopodobną fundacya ta dlatego być może, że tenże biskup Szaniawski w r. 1729, konsekrując kościół ks. Pijarów, „przyłożył się do ozdoby tegoż kościoła znacznemi jałmużnami“ (Ks. P. Pruszcz, „Klejnoty stoł. m. Krakowa“, wyd. z r. 1861, str. 44.

zastępy, z Jej imieniem związane były tutaj liczne kościoły, kaplice, ołtarze, więc nie dziw, że się miastem tem Matka Boża opiekuje — we dnie i w nocy zawisła na obłokach. Obok niej siedzący Chrystus Pan, w białej szacie, lewe swe ramię sparł na kuli ziemskiej, którą podtrzymuje aniołek. U stóp Chrystusa i N. P. Maryi trzy anioły; jeden z nich klęczy i zdaje się prosić Matkę Bożą o opiekę nad miastem. Drugi, małe dzieciątko, trzyma tarczę z herbem Krakowa, trzeci, jego rówieśnik, rączki błagalnie do góry wznosi, jakby się łączył z prośbą pierwszego anioła. Oto treść obrazu. Postać Chrystusa bardzo szlachetna, uderzająca zupełnym prawie brakiem maniery. N. P. Marya natomiast, której głowę otacza zasłona mniej piękna, przypominająca typy Gwido Reniego („Wniebowzięcie“ z Pinakoteki monachijskiej), zwłaszcza zaś Madonny o łagodnym wyrazie twarzy Sassoferrat'a („Madonna z Dzieciątkiem“, Madryt, Prado). Na pierwszym z aniołków widoczny wpływ Maratty; wygięcie ciała, typ twarzy, pewna słodycz przypominają bardzo mistrza Czechowicza. Wrażenie kolorystyczne bardzo miłe; biała szata Chrystusa Pana, czerwona N. P. Maryi, żółta anioła modlącego się, zlewają się w harmonijną, piękną całość. Do zarzucenia miałbym tylko trochę za czerwoną karnacyę dwóch małych *putti*. W traktowaniu fałdów, malowanych szeroko, znać wpływ szkoły bolońskiej, a także Maratty. Rysunek poprawny; to samo powtórzyć można o światłocieniu. Słowem, maniery[1] bardzo niewiele, wiele natomiast prawdziwego uczucia religijnego i estetycznego zmysłu.

Obok wisi: „Zdjęcie z krzyża“. Na tle ciemnego górzystego krajobrazu Golgoty odgrywa się ta bolesna scena. Na kolanach N. P. Maryi spoczywa Chrystus Pan, prawie twarzą do widza

[1] Gdy mówię o braku „maniery“ u Czechowicza, mam oczywiście na myśli najbardziej ujemne znaczenie tego słowa, teatralność, zmanierowanie. Manierę bowiem swoją Czechowicz miał, tj. systematyczne powtarzanie pewnych ruchów, gestów, wyrazów twarzy, będące wynikiem niestudyowania bezpośredniego natury, czem głównie wiek Czechowicza zawinił. W tem więc tylko ostatniem znaczeniu, mówiąc o Czechowiczu, wyrażenia tego „maniera“ w pracy niniejszej używam.

zwrócony. Głowa Jego, na której maluje się święty spokój, opadła, prawa ręka zwieszona ku ziemi. N. P. Marya wzniosła ku niebu wzrok pełen boleści. Zdaje mi się, że Czechowicz, malując tę grupę, w pamięci miał *Pietà* Michała Anioła, tak żywo zgrupowanie i układ ciała Chrystusa przypomina nieśmiertelne dzieło z bazyliki św. Piotra[1]. Kto wie, czy nawet karnacya ciała Chrystusowego, delikatna, biała, przejrzysta, nie jest wspomnieniem marmurowego, białego blasku? Rzucam ostatnią tę uwagę tak, jak mi ona na myśl przyszła; jeżeli jest nietrafną, niech ją usprawiedliwi szczerość, z jaką ją wypowiadam. Ale wracam do opisu: Po prawicy N. P. Maryi stoi św. Jan Ewangelista, smutny, ze schyloną głową. O ile wyraz umiłowanego ucznia Pańskiego chwyta za serce, o tyle podobać się nie może traktowanie jego sukni, sztywne, tekturowe. Po stronie lewej klęczy w żółtej o pięknym tonie sukni, o jasnych włosach, św. Marya Magdalena; ręce z boleści załamując, ale ruchem trochę zmanierowanym, który jednak bardzo nie razi w pięknej całości. Z jej boleścią łączy się piękny starzec, obok niej stojący, Józef z Arymatei. Jak w poprzednim obrazie, tak i w tym, barwy harmonijnie się z sobą zlewają, mają żywość, w której jest przytem delikatne odczucie harmonii, rysunek poprawny i piękny, zwłaszcza ciała Chrystusowego. Światłocień zaś tak umiejętnie rozmieszczony, iż każe przypuszczać, że i Correggia znał dobrze Czechowicz.

Trzeci pijarski obraz to „Wizya św. Antoniego“. Jest on wyrazem przedewszystkiem głębokiej wiary, ożywiającej Czechowicza. Maluje się ona w prawdziwie natchnionem obliczu świętego, któremu w jego religijnej ekstazie ukazuje się Dzieciątko Jezus z lilią w rączce, w otoczeniu chóru aniołków. Z drużyny aniołków, otaczających Dzieciątko, dwa zleciały na ziemię i usiadły u stóp świętego cudotwórcy. Jeden z nich złożył do modlitwy rączki i wzrok utkwił w Dzieciątku Jezus, jakby się łączył z modlitwą świętego. Drugi — jak widać — czem innem

[1] Na reminiscencyę tę zwrócił uwagę dr. Jerzy hr. Mycielski w swojem „Malarstwie w Polsce od r. 1764—1887“, str. 93. (*Przegląd Polski* z stycznia 1895 r.).

zajęty; wziął bowiem książeczkę do ręki i czyta ją z wielką ciekawością. Bardzo jest ładny w tej swojej zadumie, z czego przypomina anioły Rafaelowskie z „Madonny di San Sisto“ lub „Madonny del Foligno“; jak on także umieszczone u dołu w środku obrazu. Jest ten drugi *putto* piękniejszy od swego modlącego się towarzysza, który razi nadto złem skręceniem twarzy, ku Dzieciątku zwróconej. Podobać się również nie może ruch lewej ręki św. Antoniego, zbyt zmanierowany. Rozumiem artystę, że pragnął ruchem tym wyrazić tę wielką radość, z jaką święty wita Chrystusa, ale ruch ten niestety nie jest dobrym jej tłumaczem, wskutek czego wrażenia pożądanego nie wywołuje, a przeciwnie jest pozą trochę, jest manierą. Pięknem jest natomiast oświetlenie głowy świętego, jak również jako koloryt, ogólny ton obrazu.

Obraz następny w „Słowniku malarzy polskich“ Rastawieckiego zatytułowany jest: „Św. Anna“. Zdaje mi się, że tytuł ten nie jest odpowiedni, gdyż obraz nie przedstawia samej św. Anny, lecz i N. Pannę Maryę z Dzieciątkiem i św. Józefa, więc „Św. Rodzinę“.

Żaden jednak z obrazów krakowskich Czechowicza nie sprawia wrażenia rzeczy tak włoskiej albo duchem włoskim tak przejętej, jak właśnie obraz „Św. Rodzina“. To, co przedewszystkiem w oczy się rzuca, to koloryt nadzwyczaj ciepły, w tonach żywych, ale dobranych z wielką estetyczną miarą, budzących we mnie wspomnienie dzieł mistrzów toskańskich, a może weneckich, oblany wesołem, italskiem słońcem. Według mego zdania jest to pod względem kolorystycznym, a powiedziałbym, i rysunkowym, jeżeli nie najlepszy, to do najlepszych krakowskich dzieł Czechowicza należący obraz. Barwy: różowa, granatowa i żółtawa (sukni N. P. Maryi), zielona, czerwona i biała (św. Anny), jasno-żółta (św. Józefa) w pogodnej z sobą na tym obrazie żyją zgodzie i oko widza pociągają od razu swym blaskiem ku sobie. Zacząłem od kolorytu, nie od treści obrazu: może to dziwnie wygląda, ale nie chciałbym na końcu z tego sprawy zdawać, co najwięcej uderza, co się najwięcej podoba. Lecz właśnie dla tego pełnego blasku i harmonii

kolorytu, a jak się zaraz pokaże, i dla całej kompozycyi, wyróżniających obraz ten od innych dzieł krakowskich Czechowicza, zachodzi pytanie, czy to nie kopia z jakiego lepszego obrazu włoskiego, czy nie kopia np. Maratty. Zwrócił moją uwagę na tę możliwość p. dyr. Wł. Łuszczkiewicz. A kompozycya obrazu taka: Pod cieniem drzewa spoczywa św. Rodzina; dzień pogodny, niebo zdaje się uśmiechać i zapraszać do rozkosznego, *dolce far niente*. N. P. Marya piastuje Dzieciątko, ku któremu wyciąga ręce św. Anna, o szlachetnym i pięknym profilu. W tej rodzinnej radości zdaje się nie brać udziału św. Józef, który usiadł na uboczu, zamyślony nad przeczytanym przed chwilą z księgi ustępem. Spostrzegł to widocznie anioł, za Oblubieńcem stojący, bo z lekka się nachylił ku niemu, jakby mu chciał zwrócić uwagę na Dzieciątko i Matkę Bożą. Bardzo to ładny skrzydlaty młodzieniec, o piękności jednak dziwnie nieświętej, lecz raczej wykwintnej damy, przypominającej może kobiety z Betsabe Marattu. Drugi natomiast anioł ręce do modlitwy złożył i z rozrzewnieniem spogląda na św. Rodzinę. Za św. Anną wychyla się postać męska (św. Joachim?), w górze zaś bujają dwa aniołki.

Otóż N. P. Marya przypomina niezmiernie, raczej jest niemal kopią Madonny Maratty z jego „Św. Rodziny“ w ces. muzeum sztuki w Wiedniu. Ten sam łagodny i spokojny wyraz twarzy, ten sam szlachetny owal, podobnie rozdzielone włosy na czole, tak samo oczy spuszczone na Dzieciątko, ten wreszcie o pięknych liniach, prosty nos. A nadto, co u Czechowicza nie częste, bardzo staranny modelunek, zaokrąglony tak miękko, jak u Maratty. Biorąc to wszystko pod uwagę, przypuścić można, że obraz ten jest kopią jakiejś „Św. Rodziny“ Maratty[1], a jeśli nie, to w każdym razie wynikiem najbezpośredniejszego wpływu tegoż, jak żaden krakowski obraz Czechowicza. Miałbym do zarzucenia artyście rzecz jedną: zmanierowany ruch anioła, zwró-

[1] Mimo usilnych starań nie udało mi się dostać reprodukcyj innych „Św. Rodzin“ Maratty; w porównaniu obrazu Czechowicza z „Św. Rodziną“ z muzeum wied. opieram się na fotografii *in folio* I. Löwy'ego w Wiedniu.

conego do św. Józefa, i ten dziwnie światowy jego wyraz, który sam w sobie bardzo piękny, w scenie religijnej trochę razi.

Mówiąc o „Św. Rodzinie“ Czechowicza, wspomnieć na tem miejscu muszę o identycznym obrazie, który wpadł mi w oko w kościele OO. Franciszkanów. Zdobi on jeden z bocznych ołtarzy, tuż przy chórze[1]. Tło jego stanowią z dwóch stron ściany jakiegoś gmachu; za nimi na tle pogodnego nieba rysuje się. drzewo. N. P. Marya najzupełniej podobna do Madonny z kościoła Pijarów, a zatem i do Maratty; piastuje Dzieciątko, które nachyla się do uśmiechniętej doń św. Anny. Obok usiadł św. Józef, trzymając księgę w prawej ręce, lewą zaś podniósł do góry. Za nim dwa anioły modlą się w skupieniu. Są oni mniej piękni od swoich towarzyszy z pijarskiego obrazu, ale więcej skupieni. Kompozycya więc zupełnie ta sama, co w obrazie z kościoła ks. Pijarów, z tymi tylko waryantami, że w obrazie franciszkańskim N. P. Marya lewą ręką ujęła za rożek pieluszek, którego to gestu niema na pierwszym obrazie. Co do św. Józefa zaś, nie podnosi on ręki do góry na obrazie u ks. Pijarów, jak to czyni na drugim obrazie. Jak już wspomniałem, są też pewne waryanty w aniołach. Nie mówię już o zmianach kolorystycznych, bo to rzecz zupełnie naturalna, że artysta nie chciał się powtarzać. Rysunek bardzo poprawny, śliczny zwłaszcza koloryt, przypominający zupełnie obraz z kościoła ks. Pijarów. Modelunek bardzo piękny, życiem zaś niezwykłem tryskają szlachetne ręce św. Józefa. Jeśli więc obraz Czechowicza w kościele pijarskim jest wierną kopią z Maratty, jest nią także i ten, o którym obecnie mowa, gdyż jest *alter ego* obrazu z kościoła ks. Pijarów. Jeśli zaś nie jest, jak i pierwszy, to w każdym razie znowu jest silną bardzo reminiscencyą z Maratty[2].

Najsłabszy zdaniem mojem, z obrazów pijarskich to „Św. Jan

---

[1] Braciszek, oprowadzający mię, opowiadał mi, że obraz ten kupionym został w r. 1864 od OO. Karmelitów Bosych krakowskich. Obraz ten nie jest nigdzie wymieniony, nawet u Rastawieckiego.

[2] Powtarzam, że stwierdzić nie mogłem, czy obrazy powyższe są wiernemi kopiami z Maratty, z powodu braku reprodukcyj i opisów, za któremi daremne czyniłem starania.

Nepomucen". Święty wzrok wzniósł do Nieba, które przez jednego z skrzydlatych swych posłańców obdarza go za życia koroną męczeńską. Jak w wizyi św. Antoniego, tak i tutaj, trzy anioły zleciały na ziemię. Z nich jeden, dorodny młodzieniec, z powitaniem i hołdem przybył do świętego, w ręce trzymając klucze bram niebieskich, jakby zapraszał św. Jana do otworzenia ich sobie. Obok św. Męczennika usiadły na obłoku dwa aniołki; jeden z nich bardzo przypomina św. Jana Chrzciciela ze „Św. Rodziny" Maratty w ces. muzeum w Wiedniu. U stóp świętego Ewangelia i gałązka lilii. Na dalszym zaś planie (w drobnych figurkach) przedstawiony akt, który był przyczyną pośrednią tego tryumfu św. Jana: spowiedź królowej przed świętym, do których zbliża się Wacław III., żądny sekretu spowiedzi. Jak już wspomniałem obraz znacznie od poprzednich słabszy. Rysunek np. anioła z kluczami wiele pozostawia do życzenia, koloryt szary, zimny, znać w traktowaniu figur pewną pobieżność. Oprócz tych niedostatków artysty, są inne, przykrzejsze jeszcze wrażenie sprawiające: uszkodzenia przez czas i ludzi. Przez czas, widoczne w kilku miejscach dziury, przez ludzi ten niepotrzebny dodatek, jakim jest bronzowy nimbus z pięciu gwiazdkami, otaczający głowę świętego[1]

(Dok. nast.).

Dr. Jerzy Kieszkowski.

[1] Obrazy: „Opieka N. P. Maryi", „Zdjęcie z krzyża", „Św. Antoni" wymagałyby również, jak i powyższy, koniecznej restauracyi, przynajmniej odczyszczenia. Najmniej jeszcze potrzebuje go obraz „Święta Rodzina".

ORGANIZACYA MIŁOSIERDZIA.

Po ukończeniu wielotomowych dziejów rodziny, na której głośny pisarz francuski dokonywał szorstką ręką sekcyi, uwydatniającej niższe tylko pierwiastki ludzkiej istoty, zabrał się Zola z kolei do walki z podstawniczemi cnotami religii katolickiej. Pod pozorem monografii trzech miast, trzech środowisk, skupiających i przyciągających tłumy, pod tytułem *Les trois villes*, uderzył taranem w trzy tak zwane cnoty teologiczne. W *Lourdes* opisał rzekomo bankructwo wiary, w *Rome* porażkę nadziei, w *Paris* usiłował streścić pogrom miłości, to jest miłości w chrześcijańskiem znaczeniu wyrazu *caritas*, a więc wszystkich litośnych uczuć i zabiegów miłosierdzia. Ten bądź co bądź cięty psycholog odgadł, że długie wieki wiary wycisnęły na duszy francuskiej piętno niezmazalne, przejawiające się przedewszystkiem w dziełach miłosierdzia chrześcijańskiego. Chcąc tedy zatrzeć przeszłość i wyrwać z serc jej spadek, przedewszystkiem wypada targnąć się na tę *caritas*, która stanowi najszlachetniejszą cząstkę francuskiego charakteru. Na filantropię, na altruizm gotów się zgodzić i zdobyć Zola, byle już raz zginęło miłosierdzie w chrześcijańskiem pojęciu. Z niem się tedy uciera w ostatniej książce.

Ale darmo płodny i jaskrawy pisarz zrywa się do walki z miłosierdziem, darmo próbuje opiewać rzekome jego bankructwo, kwiat to specyficznie rosnący na gruncie francuskim i po długie wieki wszystkie narody szukać nie przestaną naj-

lepszych wzorów służenia i umiłowania bliźniego w ojczyźnie św. Wincentego à Paulo, Sióstr Miłosierdzia i Siostrzyczek ubogich. Zrywają się burze, zmieniają kształty rządów, kruszą się berła i walą trony, sama wiara wystawiona na szwank pod naciskiem bezbożności... jedna miłość trwa i okupuje wszystkie błędy i winy Francyi, aby w końcu przyspieszyć jej upamiętanie i nawrócenie. Nawykliśmy już oglądać się na płynące z Francyi przykłady, ilekroć wkraczamy w dziedzinę czynnego, praktycznego miłosierdzia. I oto dziś radzibyśmy czytelnika zapoznać z dziełem, które dla nas ma osobne znaczenie, osobnym a piekącym odpowiada potrzebom i wyraźnemu niedostatkowi.

Słyszeć nam często przychodzi utyskiwania nad jałowością usiłowań, aby w czemkolwiek złagodzić rosnącą dokoła nas nędzę. Nie brak ludzi dobrej woli, nie brak i środków. A jednak na tę wielką sumę usiłowań i pieniędzy, skutki wydają się zbyt małe, nieproporcyonalne i nieodpowiadające kapitałowi poniesionych trudów i złożonych ofiar. Musi tedy tkwić jaka pierworodna wada w organizacyi naszego miłosierdzia, musi istnieć jakaś niedopatrzona szczelina, którą uchodzi fala jałmużn, ginąc jakoby w nowej kadzi Danaid, a nie umniejszając ani ludzkiej dokoła niedoli, ani przyrostu pauperyzmu, tej plagi naszych czasów, a plagi specyalnie krakowskiej.

To samo pytanie postawili sobie przed kilkoma laty i jałmużnicy paryscy. Zastanawiało ich z jednej strony olbrzymie uposażenie niektórych dzieł lub instytucyj miłosiernych, takiej np. *Assistance publique*, rozporządzającej blizko 50 milionami franków, z drugiej zaś nieustanny wzrost strasznej nędzy, przykłady bolesnego opuszczenia, bezmiernych cierpień, nędz wyjątkowych, samobójstw całych rodzin, nieporatowanych na czas, niedźwigniętych w porę. A więc i tam jakaś wadliwość musiała udaremniać tak jednak gęsto osnutą sieć dobroczynności i czujności miłosierdzia. Przedewszystkiem podjął tę sprawę p. Leon Lefébure i jął ściśle badać ustrój ogólny wszystkich dzieł oddanych miłości bliźniego, tak we Francyi, jak za granicą. Niebawem spostrzegł, ile dobrego i lepszego dałoby się zrobić, gdyby istniał jakiś węzeł, łączący rozbiegłe promienie działalności mi-

łosiernej, gdyby sprządz i skupić w jednem ognisku rozstrzelone usiłowania, gdyby o sobie wiedzieć i na siebie nawzajem módz rachować, gdyby zbadaniem dokładnem potrzeb, można oszczędzić grosz, wyłudzony przez fałszywych biednych, na korzyść prawdziwych ubogich. Po wstrząśnieniach rewolucyjnych, które podstawiły rozbujały indywidualizm w miejsce średniowiecznych związków, bractw i cechów, dziś znaczy się powrót do odbieżonych typów braterstwa, spółek i spójni ludzkich trudów i zabiegów. Syndykaty, działające tak korzystnie i skutecznie w zakresie przemysłu i rolnictwa, dostarczają i miłosierdziu praktycznych wskazówek, uczą, w jakim kierunku należałoby się rozwijać i naprawiać zasadnicze wadliwości organizacyi. Zaczem zebrawszy potrzebny zapas informacyj, przedstawił p. Lefébure owoc swych doświadczeń i rozmyślań, zwołanej przez się garstce ludzi dobrej woli, wyjaśniając zarazem potrzebę założenia biura centralnego dzieł miłosierdzia, któreby pozwoliło spotęgować działanie wszystkich naraz związków i zakładów dobroczynnych; biura informacyjnego, któreby raz położyło tamę wyzyskiwaniu bogatszych przez niegodnych wsparcia żebraków, lub trwonienia doraźnych jałmużn przez nieznających prawdziwej nędzy dobroczyńców. Myśl ta stała się przewodniem tętnem jego życia, naczelnem zajęciem i dążnością. Pismem i słowem tłumaczył nieustannie, iż całkiem niepodobna skutecznie umniejszyć nędzy, ani też położyć tamy żebractwu, dopóki trwać będzie zwyczaj dawania na oślep każdemu, co rękę wyciągnie. Zasadą p. Lefébure jest stawić nieszczęśliwych w takiem położeniu, aby się obyć mogli bez zasiłku codziennej jałmużny. I oto powstało dzieło wielkie, które z gorczycznego ziarnka wyrosło do rozmiarów wielkiego drzewa, dzieło, czerpiące swą skuteczność z doskonałego zorganizowania niesionej i otrzymywanej pomocy.

„Współdziałać z Opatrznością na ziemi“ — oto odpowiedź, którą na sprzeczne skargi ubogich i bogatych znajdujemy w rocznikach centralnego biura dzieł miłosierdzia, założonego w drugiej połowie 1889 r. w Paryżu. Zasłyszawszy o jego nadzwyczaj skutecznej działalności, udaliśmy się wprost do p. Lefébure z prośbą o przysłanie nam potrzebnych informacyj o kierowanem przezeń

dziele. Nie długo na odpowiedź przyszło nam czekać; z nadesłanych druków i sprawozdań aż nadto dobrze zdać sobie sprawę możemy z ustroju i czynności tego środowiska i węzła sieci dzieł dobroczynnych we Francyi.

Centralne biuro zakreśliło sobie siedmiorakie cele, a mianowicie: podwójna ankieta, przeprowadzona z jednej strony wśród istniejących dzieł miłosierdzia, z drugiej wśród ubogich, godnych lub niegodnych wsparcia, pomoc w nagłych udzielana razach, dostarczenie zarobku, zajęcia i posady, odstawianie ubogich na prowincyę do miejsca ich rodzinnego, gotowe poparcie udzielane wszystkim innym dobrym dziełom, oto poszczególne sekcye tego ministerstwa dobroczynności, które sobie już zjednało uznanie samegoż nieprzychylnego chrześcijańskim stowarzyszeniom rządu. *Reconnu d'utilité publique*, oto tytuł, pozwalający odtąd centralnemu biuru przyjmować poczynione sobie zapisy, udzielający mu poniekąd indywidualnego życia i przywilejów osobistych.

Najlepiej ocenimy działalność tej tak błogiej instytucyi, czerpiąc pełnemi rękami z roczników łaskawie nam nadesłanych. Właściwie biuro, po zachodach przygotowawczych, zaczęło dopiero na dobre działać z końcem roku 1890 pod przewodnictwem margr. de Vogüé, który zaraz na wstępie oświadczał, iż nie należy zamykać oczu na idące nawałności. „Istnieje bowiem kwestya socyalna, grozi niebezpieczeństwo społeczne, jedynym zaś środkiem zażegnania burzy jest ścisłe wypełnienie powinności społecznych, które są tylko zastosowaniem obowiązków chrześcijańskich do potrzeb chwili obecnej". To też godłem nowo powstałego dzieła, pieczęcią biura centralnego są dłonie splecione w uścisku bratnim, z wymownym napisem: *Vinculum pacis.*

W jednej z pierwszych przemów założyciela, sekretarza i duszy Biura centralnego, p. Lefébure, znajdujemy wytłumaczenie potrzeby dzieła, które nie w samej tylko Francyi okazało się być koniecznem. Mowca zastanawiał się nad powodami udaremniającemi często działanie miłosierdzia, niezdolnego wstrzymać przyrostu nędzy, mimo coraz to obfitszych jałmużn. Tu występują i materyalne przyczyny. „W naszych nowoczesnych mia-

stach, pogłębia się przepaść dzieląca możnych od maluczkich". Ubogi do pewnego stopnia przestał za dni naszych być bliźnim, blizkim. Życie pogłębia rozłączenie warstw, oddalenie jednych od drugich. Dzielnice osobne spychają biednych w jakieś odległe Ghetta, na przedmieścia odrębne od siedzib zamożnych. „Przykazanie wzajemnej miłości i pomocy mniej znajduje okazyi bezpośredniego zastosowania i posługi bratniej. Nędza już tylko zachodzi drogę szczęśliwym na ulicach lub gościńcach". I stąd wypływa wspomniane już okradanie ubogich przez żebraków, stąd wszystkie wadliwości źle obmyślanego miłosierdzia, brak jednolitości i wspólności, rozproszenie sił i środków, partykularyzm posunięty do ostateczności. Pan Lefébure streszcza w pięciu głównych punktach niedostatki dotychczasowej metody czynienia dobrze:

1. Niedokładne wyzyskanie środków, brak lepszego poznania dzieł miłosiernych i zakładów, których jest we Francyi mnóstwo, zgotowanych dla każdej możliwej niedoli i cierpienia. Zbyt często nie wiemy, gdzie ich szukać, którędy do nich trafić, jak wydobyć z nich to, czego się spodziewać można.

2. Brak rozeznania wobec samych ubogich. Nie wiemy, nie próbujemy się dowiedzieć, czy ten lub ów ubogi godzien jest naszej opieki, czy kto inny się nim nie zajął uprzednio; nie badamy powodów jego nędzy, nie znamy środków najskuteczniejszych, aby ją usunąć, nie jesteśmy w stanie dostarczyć od razu pożądanego zarobku i zajęcia.

3. Stąd pomoc bywa spóźniona lub niedopasowana do potrzeb. Zbyt często ratunek przychodzi za późno, kiedy już niema drogi wyjścia z ostateczności nieszczęścia. Przeróżne formalności lub nieprzewidziane utrudnienia bywają także przyczyną zwłoki. A co główna, niesiona pomoc nie wystarcza, zasadzając się na doraźnej jałmużnie w naturze czy pieniądzach; bywa ona środkiem łagodzącym, palliatywem, nigdy atoli nie rozwiązującym trudności położenia.

4. Wadliwa forma udzielonej pomocy, dawanej bez rozeznania, ludziom czerstwym i silnym, kiedy pierwszą zasadą powinno być, iż nigdy się nie daje grosza człowiekowi zdrowemu,

inaczej jak w formie wynagrodzenia jakiegobądź trudu i pracy. Kto się od tej zasady uchyla, przyczynia się do utrzymywania całych zastępów próżniaków i złoczyńców. Pamiętać zaś należy, iż miłosierdzie nie na samej tylko polega jałmużnie.

5. Zatrzymanie w stolicy zbyt wielkiej liczby nieszczęśliwych, którzy nie mają żadnego powodu tu zostawać, a którzyby mogli na prowincyi prędzej znaleźć zajęcie lub przytułek, jeśli są skołatani wiekiem, w jakim prowincyonalnym zakładzie.

Powyższe tedy uwagi wpłynęły na sporządzenie następnych ustaw, rozwijających się odtąd coraz szerzej. Biuro centralne uchwaliło stworzyć węzeł pomiędzy wszystkiemi dobremi dziełami w kraju i za granicą, służyć za pośrednika między dobroczyńcami a nieszczęśliwymi, ułatwiać dostarczanie pracy i zarobku, o ile możności mnożyć związki asekuracyjne wśród rzemieślników, odstawiać ubogich do ich miejsc rodzinnych, ubezpieczając tamże ich byt i utrzymanie, bądź za pomocą stałego zarobku, bądź przygarnięciem do szpitala czy schroniska dla starców.

Nowe dzieło od razu stwierdziło swą wartość i konieczność. W drugim zaraz roku swego istnienia, miesięcznie otrzymywano do tysiąca zgłoszeń osobistych czy listownych, bądź ze strony ubogich, żądających wsparcia, bądź ze strony możnych, szukających informacyj. Skądinąd biuro zajęło się bezpośrednio sprawą 7.431 nieszczęśliwych, poleciło zaś opiece innych miłosiernych instytucyj przeszło 3.000 osób. Pomoc ta rozdzielała się w następnych kierunkach: 510 osób otrzymało zasiłek w formie zadatku dla rozpoczętej pracy, 787 dostało jałmużnę, której szafarstwo dobroczynne osoby poleciły biuru centralnemu; 312 nieszczęśliwym dostarczono pisemnego zajęcia, 290 dzieci udało się umieścić w przytułku dla sierót; 178 starców w schronisku, odpowiedniem ich potrzebie; 536 osób odstawiono do rodzinnego miasta; nareszcie 1005 osób otrzymało polecenia do innych miłosiernych instytucyj.

Odtąd rok w rok rośnie działalność biura, którą ogólnie wskażemy: W trzecim roku istnienia otrzymuje już 14.000 zgłoszeń, zawierających prośby o pomoc lub o informacye, a po-

średniczy w sprawach 9.053 osób. W czwartym roku ta ostatnia liczba podnosi się do 11.543, a biuro przeciętnie otrzymuje do 40 listów dziennie i dziennie też przeciętnie 60 osobistych zgłoszeń. W roku 1895—1896 liczba odwiedzających biuro podnosi się do 30.540, liczba zaś nieszczęśliwych skoczyła na 16.504. W następnym roku dalszy znaczy się przyrost a pośrednictwo biura niesie pomoc 21.000 osób, z których przeszło 1.200 odstawiono na prowincyę, 515 zapewniono stałe zajęcie i stanowisko i t. d. i t. d.

Jednoby z rozszerzonej czynności biura centralnego wynikać się zdawało: alboż nie wkracza ono w dziedzinę osobistego poświęcenia, nie zastępuje miłosierdzia indywidualnego organizacyą biurokratyczną, nie podstawia urzędowej filantropii w miejsce bliźniego stosunku? Zarzut ten, tu i owdzie podniesiony, ostać się nie mógł wobec najżywszych protestacyj założycieli biura centralnego. Jeśli kto, to oni pojmują miłosierdzie, jak go ojcowie nasi pojmowali, upatrując w jałmużnie jakoby ósmy sakrament, sakrament świętych obcowania. Za nicby nie chcieli uszczuplić osobistego stosunku z ubóstwem i własnoręcznego rozdawnictwa. P. Lefébure mianowicie żywo się od tego broni: „Działanie przezemnie zagajone — chętnie sam powtarza — o tyle tylko biurokratycznem pozostanie, o ile hojni dawcy odmówią osobistego pośrednictwa. Wystarcza mi dostarczać im żądanej informacyi, raz zaś objaśniwszy dostatecznie, chętnie im odstąpię rozkoszy osobistego złożenia ubogim własnej ofiary, osobistego zetknięcia się z niedolą. Ale gdy chodzi o pośpiech, o ulgę niezwłoczną, gdy każde opóźnienie może pogrążyć biedaków w ostateczności nędzy, nie dziw, iż więcej myśleć muszę o ich potrzebie, aniżeli o pociechach dobroczyńcy“. Nie ten jest prawdziwym dobrodziejem, kto daje najwięcej, lecz ten co daje najlepiej. Zasada to, wracająca w programie biura centralnego stałą zwrotką, ciągły kładzie nacisk na konieczność pomocy udzielanej w właściwej chwili i prawdziwie potrzebującym.

Pod tym ostatnim zaś względem ankieta nie może być dość ścisłą, dość sumiennie, w interesie prawdziwych ubogich przeprowadzoną. Jedna z nich poucza nas, iż na 727 żebraków

wyrzekających, iż nie mogą znaleźć ani zajęcia, ani zarobku, dokonane śledztwo wykazało, iż zaledwie 18 szczerze szukało pracy i pragnęło roboty! W świeżo ogłoszonym pamiętniku Maksa Müllera, uczony profesor oxfordzkiej wszechnicy osobny rozdział poświęca dziadom, utrzymując, iż naiwność własna pasowała go na przysposobioną ofiarę dla wyzysku żebraków. A opisując różne swe na tem polu doświadczenia, dodaje, iż z zwierzeń niejednego z tych, którym łatwowiernie dawał się oszukiwać, przekonał się, iż kto raz zakosztował żebractwa, z trudnością do innego da się nakłonić rzemiosła. Pewien podupadły znajomy z zapałem mu tłumaczył, iż w życiu różnych zaznał gorączek, na turfie czy przy zielonym stoliku, żaden atoli hazard nie dostarczył mu równie żywego zainteresowania nad niepewność, co padnie w dłoń żebraczą, jakie przyjęcie czeka pukającego do tych lub owych drzwi, do tej lub owej kieszeni.

A biuro centralne przedewszystkiem pracą, nie groszem chce prowadzić akcyę ratunkową. Zaczem jak to zwykle się dzieje w zbożnych sprawach, w dziełach czynnego a chrześcijańskiego miłosierdzia, z jednego pnia jęły wyrastać coraz to inne gałęzie, puszczać zaczęły coraz to nowe latorośle. Przedewszystkiem o biuro centralne oparło się dzieło wspaniałe, które się z każdym rokiem pomyślniej rozwija. Istniały już przytułki nocne i ogrzewalnie dla ludzi bezdomnych, chroniących się na spoczynek po kamieniołomach, drogach i opłotkach, którzy teraz znajdują dach nad głową i schronienie w noc zimową. Umyślono im zgotować inną jeszcze gościnność a mianowicie dostarczywszy spoczynku, dostarczyć i pracy. Dzieło nazwane *Hospitalité du travail,* przewyższa bodaj tamte skutecznością działania. Schronisko to daje robotę przez dwa do trzech tygodni ludziom chwilowo pozbawionym zarobku, dostarczając im go przelotnie, a zwłaszcza dając czas do wynalezienia innego jakiegoś stałego zajęcia i posady. Dom gościnny pracy dla mężczyzn, zaraz w pierwszym roku istnienia otworzył swe podwoje dla tysiąca przeszło nieszczęśliwych, pozbawionych zajęcia, i dał im przeciętnie po 14 dni, czyli ogółem 144.169 godzin pracy,

opłaconej dziennie dwoma frankami. Jakaż to bywa robota? Oto przedewszystkiem skubanie włósia na materace oraz przerabianie tychże, składanie grubej bielizny, głównie fartuchów rzeźniczych, nareszcie stolarskie roboty. Te ostatnie może zadziwią w zastosowaniu do ludzi, którzy najczęściej w ręku hebla nie mieli. Atoli wybrano to rzemiosło z wszystkich, bądź dla tego, że bywa korzystniejsze, bądź też, iż niema w niem nic upokarzającego. Wszakże i u nas Brat Albert łączący podwójną gościnność noclegu i pracy — w *Hospitalité de nuit et du travail,* te same dla przygarniętych losu rozbitków obrano zajęcia. Zaraz w pierwszym roku nowe dzieło potrafiło większej połowie ugoszczonych ułatwić powrót do dawnego rzemiosła. Między nieszczęśliwymi, którzy do tej przystani zawinęli, znajdować się zwykło zawsze do kilkudziesięciu ludzi, których nauki wyzwolone bynajmniej nie przygotowały na podobne losu odmiany, a którzy raz się tu dostawszy, niebawem uczynności biura centralnego zawdzięczali stanowcze z niedoli podźwignięcie.

Jednocześnie rozwijało się pokrewne przytulisko dla pracy kobiet, które ugaszczając przemijająco przeszło 3.000 osób, głównie zajętych szyciem i praniem, 2.456 z nich ułatwiło znalezienie stałego zarobku. Jednem słowem, zaraz w pierwszych latach swego istnienia, dzieło t. zw. *Hospitalité du travail,* ugaszczało miesięcznie i dostarczało pracy 400 ubogim. A starania o zajęcie i zarobek nie wystarczały opiekuńczym biura centralnego zabiegom. Osobna kasa pozwalała niekiedy szczerym i ochotnym pracownikom zadatkować robotę, forszusować płacę, a mianowicie odkupywać narzędzia rzemieślnicze, w chwili większej nędzy zastawione lub sprzedane. I ta to forma miłosierdzia nader częste znajduje zastosowanie; stanowi ona w rocznikach biura centralnego wcale ważną porcyę rachunkową.

Ale na tak rozległą działalność nie samych tylko potrzeba zachodów członków zarządu — bez pieniędzy żadne się dobroczynne dzieło nie ostoi, takie zwłaszcza, które wymaga dużo zachodu i nagłej pomocy. Otóż sprawdziło się raz więcej słowo, które niedawno usłyszeć nam przyszło z ust doświadczonego opiekuna ubogich d-ra Franciszka Chłapowskiego. Zdaniem jego,

gdy chodzi o dzieło miłosierdzia, nigdy materyalne rachuby nie powinny krępować poczynających rzecz zbożną. Byle myśl była dobra, pieniądze zawsze się znajdą! Rzeczywiście jest to pewnik niezawodny, stwierdzający się świadectwem archiwów miłosierdzia. Biuro centralne nowych tego dostarcza dowodów. Zrazu funduszów nie było wcale, członkowie datkujący składali po 25 franków, członkowie czynni po 10 fr. rocznie. Zmierzono niebawem korzyści organizacyi, spotęgowania sił i środków za pomocą łączności i węzła wspólnego... i jęły się sypać zasiłki, jałmużny, zapisy. Hr. Laubespin wraz z małżonką cały niemal znaczny majątek oddał w szafarstwo biuru centralnemu, *Figaro* zadzwoniło raz więcej na alarm, wskazując z jednej strony tłumy nieszczęśliwych, z drugiej akcyę ratunkową, roztropnie zainicyowaną przez scentralizowane miłosierdzia ognisko. Sypnęły się datki drobne, rosnące w olbrzymie sumy, dzięki tej francuskiej ofiarności, niewstydzącej się nigdy dać mało, byle wszyscy dali, zaczem każde wezwanie do składek wydawać zwykło plon niebywały. Jakie zaś niebawem zaufanie zdobyło sobie biuro centralne, najlepiej dowiedzie fakt, iż po katastrofie Bazaru miłosierdzia i w lot zebranej milionowej składce, podział tej kwoty powierzono wypróbowanemu włodarstwu zarządu biura centralnego, który rozporządził dowolnie, komu należało przyznać mniejszą lub większą część tych dobrowolnych ofiar, zastępujących dochód z dorocznej wenty, pożarem udaremnionej.

Nowoczesne wynalazki, zdaniem paryskich jałmużników, powinny służyć i miłosierdziu, przyspieszając jego działanie. Za pomocą telefonu i telegrafu, w mgnieniu oka można zasięgnąć żądanych wiadomości, zawiązać stosunki, zacząć rokowania. Gdy chodzi np. o umieszczenie chorego w szpitalu, o oddanie sieroty do schroniska, o rozwikłanie jakiejś trudności, pomyłki, niewiadomości, udoskonalone środki komunikacyi dostarczają w lot potrzebnych ułatwień czy informacyi. Chory nie czeka, dziecię osierocone nie może pozostać bez opieki, pozbawiony zarobku rzemieślnik brnie w coraz większej nędzy, jeśli odrazu nie znajdzie się pomoc spieszna i skuteczna, a na to

biuro centralne posiada niezastąpione sprężyny i sprężystość dla osobników, nawet najskwapliwszych i ochotnych niedościgłe.

W dorocznych sprawozdaniach znajdujemy też dużo szlachetnych rysów francuskiego miłosierdzia, które nas niemało zawstydzić powinno. Niech np. w Krakowie ktoś się potknie na ulicy, zasłabnie w kościele, zemdleje czy złamie nogę, ciekawych znajdzie się od razu tłum niezmierny, popatrzą, pogadają i pójdą, nikt nie zakrząta się o ratunek, nie zarządzi pomocy, nie udzieli jej rozsądnie. We Francyi tymczasem, w Paryżu niechno przechodzień zauważy dziecię zabłąkane lub opuszczone, natychmiast weźmie je za rękę, odprowadzi, obmyśli opiekę; niech spostrzeże chorego, a nie odejdzie, dopóki nie zgotuje ratunku i t. p. Przedewszystkiem rzewnie się tam przedstawia litość i spółczucie ubogich dla uboższych, nieszczęśliwych dla nieszczęśliwszych. W rocznikach biura centralnego, podobnie jak w przemowach Akademii francuskiej wieńczącej corocznie wybitne objawy cnoty i miłosierdzia, odnaleźć przychodzi istne cuda miłości bliźniego. Tak czytamy o biedaku, schorzałym cudzoziemcu, który niezdolny już opłacać komornego, przez nielitościwego właściciela został na ulicę wyrzucony. Patrzała na to stara sąsiadka, utrzymująca się z pracy rąk własnych. Niewiele myśląc, zastawiła co tylko posiadała przedmiotów wartościowych, najęła opodal izdebkę, i zajęła się losem nieszczęśliwego. Ale nadmiar trudu rychło jej siły wyczerpał. Zachorowała sama ciężko, i przeniesioną została do szpitala. A tymczasem biedak, który w niej znalazł opiekunkę, na nowo pozbawiony został wszelkiej pomocy. Już dogorywał, gdy wysłaniec biura centralnego w samą porę się znalazł, aby jednocześnie zająć się i opiekunką i jej biedakiem.

Podobnież słyszymy o biednej kobiecie, która ostatni materac sprzedała, aby przygarnąć chorą sąsiadkę; to znów o innej wdowie, która polecona jako matka 15-ga dzieci, tylko do 14-tu przyznawała się, a zapytana o piętnaste, wyjaśniła, iż była to sierota, którą matka w tym samym odumarła domu; przecież niepodobna było nieboże zostawić bez opieki, więc go się przybrało do licznej już rodziny!

Ze sprawozdań dowiadujemy się też, jak często dostarczeniem warsztatu, maszyny do szycia, a choćby kosza targowego, można zabezpieczyć uczciwy byt całej rodziny, zagrodzić drogę pierwszym próbom żebractwa, tak trudnego następnie do wykorzenienia. Bliższe ankiety niejednokrotnie wykazały, jak szybko się tworzą, jak szybko kształtują całe żebracze rodziny, które już się nie dadzą napowrót do pracy zapędzić, utrwalają się dziedzicznie, stanowiąc zarazem i plagę i niebezpieczeństwo społeczne.

Wyszlachetnienie pracą jest też bodaj najpewniejszym środkiem odrodzenia. Zaczem „gościnność pracy“ nad inne dzieła okazuje się korzystnem i skutecznem. Dostarczeniem zrozpaczonym i zwątpiałym kilku tygodni bezpieczeństwa i schronienia, kilku tygodni opłacającej się pracy, wraca się im utraconą ufność w siebie, udziela się im kordyału zdolnego jedynie człowieka dźwignąć z otchłani niedoli i nędzy, wszczepia się energię moralną, siłę obudzonej z uśpienia woli...

Nie trzeba mniemać, aby próba organizacyjna paryska była pierwszą i jedyną. Wcześniej jeszcze zawiązały się podobne biura i stowarzyszenia w Londynie, w Nowym Jorku, w Buffalo, w Elberfeldzie, gdzie bodaj najdoskonalej funkcyonuje, w Brukseli, w Kanadzie. Na podobieństwo stolicy, w pomniejszych miastach Francyi zakładają się biura centralne, biura informacyjne, służba ubóstwa, dobrze i umiejętnie zorganizowana. Jednocześnie z biura centralnego paryskiego pada wezwanie do zrobienia inwentarza miłosiernych instytucyj w całej Francyi, do skatalogowania wszystkich dzieł dobroczynnych, uzupełniających się nawzajem, do sporządzenia złotej księgi miłości bliźniego i cudów przez nią spełnianych na całej przestrzeni francuskiej ziemi. Dziś ta złota księga już istnieje, już wyszła z zakładów typograficznych Plon'a, a jak pozwala Francyi z chlubą policzyć bogactwa swego serca, tak reszcie świata dostarcza najwspanialszych oraz najróżnolitszych wzorów.

A katalog ten ma i praktyczne strony, dobrze ocenione przez biuro centralne. Poznaniem bowiem prowincyonalnych dzieł miłosierdzia ułatwia się jedno z naczelnych zadań biura,

usiłującego pomiarkować nieroztropny przypływ nędzy do stolicy, zwrócić jej prąd w strony rodzinne, na prowincyę, gdzie ubogi mniej bywa narażony na zgubę, aniżeli w Paryżu, podzielić odpowiedzialności, rozdzielić i czynność i czujność miłosierdzia na całą Francyę, zamiast centralizować jej zabiegi w samym tylko Paryżu.

Rozpisaliśmy się nad miarę o tej nowej, uzupełniającej dawniejsze instytucye, koronie miłosierdzia paryskiego, w myśli, iż może się ona da przeszczepić na grunt polski, grunt krakowski. Doświadczenie wskazuje, iż w naszem miłosierdziu tkwić musi jakaś zasadnicza wadliwość założenia, czy przystosowania. Wszakże Kraków rozporządza bardzo znacznemi, jak na naszą biedę, środkami. Dość wspomnieć Skargowskie instytucye, Arcybractwo Miłosierdzia, Bank Pobożny, Skrzynkę św. Mikołaja; dalej późniejsze związki miłosierne, jak Towarzystwo Dobroczynności i Konferencye św. Wincentego; przepyszne zakłady, jak oba schroniska, Lubomirskich i dom Helclów; skromniejsze, jak zakład św. Jadwigi i Dom pracy, nieodłączne od wszystkich licznych klasztorów rozdawnictwa i jałmużny prywatne i t. d. i t. d. A przecież skuteczność tylu szlachetnych usiłowań, tylu hojnych datków jest względnie niewielka. Ubóstwo ciągle wzrasta, zalewając gorzką falą ludzkiej niedoli nadwiślańską stolicę.

Zdaje nam się, że przedewszystkiem dwie rzeczy zasadnicze udaremniają nasze miłosierdzie: doraźna i rozdrobniona pomoc, oraz nieznajomość wspomożonych. Chodzące po domach dziady czy babki, proszące i piszące żebraki, zwykli to czynić nie z głodu, lecz z namiętnego upodobania w tem smutnem rzemiośle. Centy, dawane najczęściej dla pozbycia się natrętów, idą na wódkę, na cygara, na tabaczkę, rzadko na chleb, na utrzymanie rodziny, której nie są w stanie dźwignąć, lecz spychają coraz niżej, spodleniem próżniactwa. Otóż instytucya biura centralnego stawia sobie za zadanie położenie kresu tej najmarniejszej formie miłosierdzia, która zaspakajając sumienie dającego, w niczem nie poprawia losu obdarzonego. Rozpoznać stosunki każdego pojedynczego ubogiego, w księgach swoich zapisać, co on zacz, skąd pochodzi, co go wtrąciło w otchłań nę-

dzy, co go z niej dźwignąć potrafi, zebrać wszelkie możliwe dane i chętnie innym udzielać, ułatwiać prawdziwą dobroczynność wskazaniem jednocześnie i potrzeb i ratunku, oto program biura, które lepiej od samejże policyi usiłuje poznać klientów miłosierdzia i chętniej też udziela nabytych wiadomości. Ażeby jasno przedstawić działalność przypuszczalną takiego między nami biura, kilka przykładów wystarczy. Poczta przynosi np. list rozdzierający, albo nawet kwit lombardowy z błaganiem o wykupienie zastawionego przedmiotu. Biuro od razu sprawdzi rzetelność drugiej przesyłki, szczerość pierwszej, w danym razie pośredniczyć będzie w lombardzie, zniechęci lub zachęci gotowego ofiarodawcę. Na poddaszu czy w suterenach mieszka rodzina, obarczona dziećmi, ojciec rzemieślnik dogorywa, matka przez dzień cały praniem zajęta. Gdyby tak znaleźć dla jednego z chłopców umieszczenie w zakładzie Lubomirskich; ale na to trzeba dużo zachodu, pewnych informacyj, metryk, świadectw ubóstwa i t. d. Nie każdy za tem chodzić może lub umie. Zgłasza się do biura, podejmującego od razu potrzebne starania, prędko uwieńczone pomyślnym skutkiem lub też szybkim zawodem, zmuszającym do podjęcia starań w innym kierunku. Podobnież, gdy chodzi o oddanie chorego do szpitala, starca do schroniska, gdy idzie o wyszukanie pracy, o odstawienie do miejsca urodzenia i t. d., takie biuro oddaje nieprzeliczone usługi, przedewszystkiem wstrzymując próżną falę doraźnych jałmużn, aby ją zamienić na dobroczynną rzekę praktycznego miłosierdzia, nie tego, co się pozbywa ubogiego, ale tego, co się nim szczerze zająć próbuje i pragnie. *Bis dat, qui cito dat* powiada łacińskie przysłowie, a działalność informacyjna biura przyspiesza pomoc, obleka ją w najwłaściwszą formę. Ile to np. groszów codziennie marnieje w ręku żebraków, proszących niby o pomoc na drogę, na podróż, o której im się nie śni nawet. Biuro i tu wkracza w razie potrzeby, kupuje bilet kolejowy, opłaca koszta powrotu do wsi rodzinnej, obmyśla tamże odpowiedne zajęcie i zarobek. Prywatni jałmużnicy widzą tylko biedę, nie dopatrzą się skutecznego ratunku. Zadaniem

biura jest ratunek wynaleźć, podsunąć, ułatwić dwustronnie, tak pomagającemu, jak wspomożonemu.

Przy ostatniem zebraniu paryskich członków biura centralnego jeden z nich, p. Henryk Belle odzywał się stanowczo, iż brak zarobku i choroba stanowią dwa największe czynniki nędzy niezasłużonej, która też wyłącznie powinna wzbudzać politowanie i szybką, trwałą, skuteczną pomoc otrzymywać. Napiętnowawszy słowami pełnemi oburzenia wyzysk na wielką skalę, prowadzony przez fałszywych i udanych ubogich; wskazawszy, ile w tej mierze biuro paryskie dokazało, aby ocalić krocie, należące się prawdziwym nieszczęśliwym, w gorącem domówieniu zaklinał słuchaczów, aby zakres rozpoczętego dzieła rozszerzali czynną propagandą, aby pamiętali, że nie wystarcza dobrze czynić, lecz obowiązkiem chrześcijańskim jest nadto wyciągnąć z miłosierdzia wszystko, co ono dać może, nic nie uronić, nie dać krzywdzić ubogich przez szalbierzy i oszustów.

My chrześcijanie powinniśmy nieraz stawiać sobie pytanie, cośmy z naszymi ubogimi zrobili! Czyśmy umieli ich dźwignąć pracą, uszlachetnić roztropną pomocą, wrócić im zarazem i godność, i poczucie odpowiedzialności i uczciwość konieczną, czy też złem miłosierdziem nie zmarnowaliśmy, nie przefrymarczyli zarazem i zasobów dla ubogich przeznaczonych, i samych ich dusz! Raz więcej tu powtarzamy za promotorami i założycielami paryskiego biura centralnego: nie wstępuje ono w miejsce czynnego, osobistego miłosierdzia, nie wytrąca jałmużny z rąk litościwych, tylko pragnie ją regulować, spotęgować, dodać jej skuteczności i mocy. Uchowaj Boże, aby zarejestrowana dobroczynność miała zastąpić osobiste zetknięcie z ubóstwem! „Miłosierdzie nietylko przynosi ulgę wspomożonemu, lecz dostarcza zarazem i wspomagającemu pociech bez liku: daje mu przedewszystkiem dar zawsze pożądany, a w naszej epoce konieczny, oto hart duszy, odwagę do życia; a wskazując, gdzie obowiązek, chroni od nadwątlenia, zapobiega słabości i zwątpieniu“.

Ale czas nam zakończyć te urywki z działalności biura centralnego. Tych, coby pragnęli bliżej poznać jego ustrój,

odsyłamy do roczników i mnogich wydawnictw, stwierdzających cyframi błogie skutki instytucyi, zmierzającej do wydobycia zarazem *summum* obfitości i skuteczności jałmużny. Oby nasze sprawozdanie, niby ziarnko gorczyczne, padając na urodzajną ziemię, wyrosło w drzewo rozłożyste, pod którem nędza polska, nędza krakowska, znaleźćby mogła ochłodzenie.

M.

Z OSTATNICH KIERUNKÓW LITERACKICH.

HARAUCOURT, HUYSMANS, COPPÉE.

Zarówno myśl o zdrowiu narodu, jak i pragnienie pokoju duchowego, zażegnanie burzy wewnętrznej, oprzytomniło w dzisiejszej Francyi wiele wyższych umysłów. Wiedza Renanów i Taine'ów nie zaspokoiła wszystkich pragnień, jej hypotezy nie rozjaśniły zagadki bytu. Powracać więc do dawnych systemów filozoficznych nie można; historya filozofii, ułożywszy w jednym ciągu rozwój niespokojnej myśli ludzkiej, odebrała im równocześnie całą stronę dogmatyczną, pewną. Zamiast okazać się prawdą, filozoficzne systemy pokazały się tylko stopniami na drodze szukania prawdy. Ich porównawcze poznanie odebrało każdemu z osobna piętno prawdy niezbitej, a więc i osłabiło wiarę. Nienasycona tęsknota wyrywała się do dogmatu, a że nowego i niepodejrzanego nikt nie podał, wrócono z rezygnacyą do starego. Część myślących ludzi z konieczności zgodziła się na chrześcijaństwo.

Marzyciele, którzy znaleźli w dotychczasowej spuściźnie kultury przedmiot wrażeń już wyczerpany, przerobiony, przenicowany; którzy skutkiem tego stanęli przed pustką, żądni nowych wrażeń, świata nowego, niewydeptanego krokiem poprzedników, niespowszednionego tuzinkowymi zachwytami turystów, którym słowa zachwytu wyrywa czy dyktuje Baedeker — tacy poczynają zwracać się do mistycyzmu średnich wieków, pragnąc od-

kryć kraj nowy, źródło wzruszeń, dziś zapomnianych, wskrzesić w sobie te uczucia, jakie ożywiały ówczesnych ludzi, ożywić i przeżyć życie tamtej epoki. Ci przyjmują nietylko dobrą wiarę, ale i zabobony i przesądy zapadłych wieków.

Inni o duszach zaćmionych zwątpieniem, znużeni daremnem rozbijaniem głowy o mur, spragnieni pogody, światła i pokoju, wracają do dawnych wierzeń, z początku w przekonaniu, że lepszych nad nie nikt nie wymyśli, potem przez wspomnienie i utęsknienie odtwarzają tę wiarę w sobie, stają się dziećmi pod tym względem, zapominają o przeczeniach tak zwanej wiedzy i nakoniec odnajdują w duszy szczerą, prawdziwą, prostą wiarę.

Ostatnie dni nasunęły nam pod rękę z tego nowego kursu pisma trzech pisarzy: Haraucourt'a, Huysmans'a i Coppée'go. W tem najnowszem oświetleniu chcemy krótko i ulotnie zwrócić uwagę na tę nową, początkującą, często jeszcze fantastyczną reakcyę i na różne jej stopnie. Najniższy jej stopień wskazuje ostatni dramat Haraucourt'a.

I.

Edmund Haraucourt, znany poeta, którego pism pod względem etycznym rekomendować nie można, dał na scenę nową sztukę wierszem p. t.: *Don Juan de Manara*. Wystawiono ją w Odeonie po raz pierwszy 8 marca b. r.

Poeta troskliwy, połyskujący, nieznany szerszej publiczności, jest mimo to popularny. Niektóre jego wiersze, starannie opracowane, przedostały się do tłumu i stały się własnością powszechną, przysłowiami.

Człowiek to dziwny, podwójny. Czasami kipi życiem brutalnem, czasami ucieka przed ludźmi i skupia się w milczeniu. Zdaje się, jak gdyby opamiętawszy się, że żył za wiele, szukał wczasu po trudach. Jest to równocześnie kaznodzieja i żołnierz. Lubi przekonywać, narzucać swoją wolę, zwyciężać, bić się i bić się. Lubi konie spłoszone, widoki dzikie, niedostępne urwiska, pragnie się narażać ciągle. Jest bardzo dobroczynny, ale w pełnieniu miłosierdzia lubi być natrętnym, zmuszającym. Skoro zajmie się ubogim, biega, kwestuje, nudzi, aż protegowanemu

zapewni przyszłość. Dysputuje zapamiętale. Chęć walki przenosi do poezyi.

Ale po tych wytryskach życia i ruchu nastaje spokój. Wtenczas Haraucourt ucieka na wieś, nad morze, umieszcza się w rybackim domku, chodzi boso po chłopsku, łowi ryby, uprawia grzędy, maluje obrazy, milczy zacięcie i marzy.

Przechodząc do ostatniego utworu, rozpatrzmy najprzód genezę jego tematu. Temat wzięty jest z legendy hiszpańskiej. Kronika hiszpańska opowiada, że don Juan Tenorio, rozpustnik płaskiego gatunku, zabił w Sewilli don Gonzuelo d'Uloa, komandora Calatrav'y, uwiódłszy jego córkę. Istnieje nieuzasadnione podejrzenie, że jacyś zakonnicy, pomni dobrodziejstw komandora zwabili don Juana do klasztoru i tam zabili tę zakałę miasta, a legenda późniejsza mówi, że posąg zabitego cudem pociągnął zabójcę do piekła. Na tem tle oparł już w XVII. wieku Tirso da Molina swój dramat, przerabiając legendę w komedyę. Don Juan jest tu zupełnie w zgodzie z podaniem, prostym, banalnym, wstrętnym i brudnym rozpustnikiem i zbójcą. Nic więcej tam niema, prócz nauki, że Bóg karze uwodzicieli.

Tę samą postać wyprowadził na scenę Molière. W swoim *Festin de Pierre* zachował on wszystkie szczegóły główne z podania, ale pogłębił charakter bohatera. Don Juan jest niewierzącym. Osoba komedyi hiszpańskiej była złym chrześcijaninem, ale chrześcijaninem-katolikiem. Ten hidalgo wierzy w to, na co pluje, bluźni temu, czego zaprzeczyć nie myśli — on nigdy nie wątpił. Bohater Molierowski nie wierzy i nigdy wierzyć nie będzie. Tajemnica jest dla niego takiem absurdum, że dowód o jej prawdziwości nie zdołałby go przekonać.

Jednakże ten pogłębiony, artystyczny już don Juan nie jest u Molièra tym, co zwykliśmy rozumieć pod jego imieniem. Jest uwodzicielem, ma mnóstwo miłostek, ale to ubocznie, to nie główny rys charakteru, to nie ten kochanek fatalny, nieprzeparty. Dopiero muzyka Mozarta natchnęła Hoffmanowi postać tego don Juana, który pragnie rozkoszy niekupionych, brzydzi się podłemi rozrywkami, których pragnął. Jest to zbrodniarz bez zbrodni, ponieważ niema zbrodni, którejby nie odpokutował

przez trwogę; kłamca bez kłamstwa, ponieważ zawsze wierzy w to, w co wnet wierzyć przestanie, kocha rzetelnie to, co przestanie kochać, zapaleniec niestrudzony, po każdem rozczarowaniu w pogoni za ideałem, nigdy nieosiągniętym, i ciągle w mękach, że go osiągnąć nie może.

Ten typ dzikiej namiętności przejął Haraucourt do swego dramatu. Lecz poeta bierze go w chwili, kiedy ten uwodziciel zaczyna się przekonywać o nicości miłostek ludzkich. Osnowa dramatu jest prosta. Don Juan, mimo reputacyi nadszarganej, jest zaręczonym panny Dolores, córki starszej komandora; młodsza Luscinda jest narzeczoną don Miguela. Ale uwodziciel zwraca łakome oczy na Luscindę, a równocześnie pokazuje się, że miał też stosunki z Celią, służącą. W obronie przed gwałtem Luscinda się zabija, a nadbiegający komandor pada od szabli zamaskowanego napastnika. Don Juan tai swą zbrodnię; dopiero na wiadomość, że jakiegoś niewinnie posądzonego o podwójne zabójstwo w domu komandora wzięto na tortury, przyznaje się do winy. W tym stanie służąca Celia ratuje go przed pościgiem sprawiedliwości. Mógłby żyć bezpiecznie, ale woli iść wykraść Dolores, która w tym czasie wstąpiła do klasztoru, bo mu się zdaje, że potrafi wielbić, którą przestał kochać, odkąd był pewnym, że ją otrzyma. Dolores kochała go zawsze i wierzyła w jego niewinność, to też w dzień przyjęcia ślubów porzuca klasztor i ucieka z kochankiem. Ale on poznaje, że jej nie kocha i nigdy nie kochał; zniechęcony nie znajduje upodobania nawet we własnej boleści. Pełen rozpaczy chce przestać żyć, kiedy Dominikanin Le Mayor wskazuje mu drogę żalu i pokuty, na którą też don Juan wstępuje. Scena ta jest jedna z najdramatyczniejszych, jakie można widzieć, a w tej sztuce najpiękniejsza, ostatnia. Wprawdzie drukowany egzemplarz zawiera jeszcze jeden akt, jednakże myśl główna zawarta jest w scenie między don Juanem a Le Mayorem.

W chwili, gdy dla don Juana życie straciło wszelką wartość, mnich, przedstawiciel wiary, mówi mu: „Tyś przykładał za wielką miarę do rzeczy ziemskich. Zamiast kochać kobietę, tyś ją uwielbiał, ubóstwiał i przekonywałeś się zaraz, że przedmiot

twych uczuć nie wart tej miłości, jaką mu niosłeś w darze. Boś ty źle zwrócił uczucie swoje. Zwracając się do kobiety, chciałeś w niej widzieć istotę wyższą, nieskończoną, absolut — znajdowałeś człowieka. Pragnąłeś miłości wiecznie wiernej, trwałej i dziewiczej — znajdowałeś jutro odmienne od wczoraj. Tęskniłeś za wiecznym pocałunkiem boskim — znajdowałeś niesmak i wyczerpanie w pieszczocie.

„Otóż pociesz się. Istnieje istota nieskończona, godna miłości i uwielbienia, to Bóg. Istnieje miłość najwyższa, absolutna, to wiara, a pocałunek wieczny i nieprzerwany, to modlitwa".

Taka jest mnie więcej treść słów Dominikanina. Słowa te przekonywują don Juana — i ten zbrodniarz wstępuje do klasztoru.

Po brudnej rozkoszy i po zgruntowaniu całej jej nicości czyż nie byłoby ratunku dla człowieka? Jest pokuta, powrót do jasności, do Boga i modlitwy. I Haraucourt wyraźnie mówi, według jakiej nauki i jak pojmować tego Boga. Jest to Bóg miłosierdzia i przebaczenia, Bóg, którego słowo głoszą zakonnicy, Bóg katolicki.

A jednak po bliższem przypatrzeniu się temu dramatowi, człowiek poznaje, że autor nie jest jeszcze katolikiem. Jest to myśliciel, który przebiegł krainę zwątpienia i wewnętrznej rozterki, nie znalazłszy ukojenia. Z daleka spoglądał na wierzących, którzy chodzą w świetle, podczas kiedy on sam brodzi w ciemności. I uczuł zazdrość; uznał, że tamci lepszą obrali cząstkę, i dlatego wskazuje reszcie tych, co za nim idą, drogę do prawdziwego zadowolenia i spokoju. Jest to tylko wynik zwątpienia we własne siły i władze umysłowe, smutna rezygnacya, zgodzenie się na wiarę, w braku czegoś pewniejszego. Dlatego ta jego wiara jest tak chłodna, ta modlitwa tak poniżona, spuszczona, zziemszczona. Tu niema człowieka, który na skrzydłach wiary wzbija się do Boga, lecz jest Bóg, który zniża się, ułatwia człowiekowi, leżącemu w błocie, zbawienie, nie chce tego człowieka doświadczać, zapomina, a raczej zamyka oczy na jego grzechy, aby go ich przypomnieniem nie zadrasnąć.

Co do nas, wolelibyśmy, żeby don Juan otrzymał przebaczenie win dopiero po naprawieniu szkód, jakie wyrządził, i po

zadośćuczynieniu sprawiedliwości ziemskiej, nie zaś, żeby przed pościgiem tej sprawiedliwości krył się w klasztorze. Byłoby to więcej męzkie i więcej religijne.

Tak, jak jest, Haraucourt oznacza już postęp w stosunku do Bourget'a. Autor *La terre promise* przyjmuje etykę chrześcijańską, streszcza ją w dziesięciu przykazaniach dyalogu, ale czyni to jedynie dla dobra społeczeństwa. Jego etyka to nowy kontrakt społeczny, gdzie ludzkość dla własnego zdrowia i bezpieczeństwa zrzeka się części praw do zaspokojenia swych instynktów i uchwala sobie lub pozwala sobie narzucić najlepsze przepisy moralności. O dobroci tych prawideł świadczy praktyka, a nie ich pochodzenie. Otóż Haraucourt oznacza ściśle to pochodzenie. Źródło zdrowia i moralności jest w Kościele.

Jednakże ten Kościół Haraucourt'a jest to przytulisko, bardzo wygodne i pewne, ale bez reguł. Wystarczy chcieć wrócić na jego łono, aby on się ucieszył, przyjął marnotrawnego syna z otwartemi rękami i aby obaj na tem przestali. Haraucourt zdaje się nie wiedzieć o tem, że warunkiem rzeczywistego należenia do Kościoła jest zaparcie się siebie samego, dźwiganie krzyża i wiara oświecona uczynkami. U niego myśl czy serce grzeszyło — uczynki były tylko wynikiem błędów duchowych — wystarczy więc, że myśl i serce dadzą sobie narzucić prawdziwą etykę, aby zbrodnie były zapomniane.

Co znacznie obniża filozoficzną stronę tego dramatu, świetnie zbudowanego pod względem artystycznym, to francuskie postawienie kwestyi. Francuz pragnie rozkoszy — w zadowoleniu zmysłów szuka zapomnienia o kłopotach, zmartwieniach i zwątpieniach. Nie znalazłszy tam ukojenia, jest nieszczęśliwym i myśli o innej rozkoszy. Tę inną rozkosz Haraucourt daje mu w religii.

A przecież nietylko pociąg zmysłowy, potrzeba ciała, pragnienie serca niezaspokojone, są źródłem wewnętrznych bolów i rozpaczy. Jest jeszcze myśl, rozum, który fałszywie zastosowany potrafi wyśmiać, zwalić, obryzgać błotem wszystko, w czem serce ludzkie szuka podpory. Ten rozum ludzi XVIII. wieku, ta wiedza uczonych z XIX. w. więcej pustek zrobiła, więcej

zwichnęła egzystencyi, więcej złamała charakterów, niż gonienie za rozrywkami. Użycie cielesne u żadnego narodu nie jest religią, celem życia — ono bywa rozrywką uboczną lub trunkiem używanym na frasunek. Ale przyczyny frasunku bywają głębsze i inne. Ten dramat obejmuje więc jedną tylko stronę kwestyi. Jest on odpowiedzią daną umysłowcom, którzy głosili powrót do pogaństwa, a byli tylko satanistami, urągającymi szóstemu przykazaniu. Jako taki, dramat ten nie ma znaczenia ogólnoludzkiego co do tendencyi. Jest francuskim, jest dzisiejszym. Ogólnoludzkim może być tylko w wyjątkowym wypadku, w kwestyi ściśle dotyczącej rozkoszy zmysłowych.

Jako francuski ma w obecnej porze niezwykłą estymę. I jeżeli wartość literacka utworu wyróżni go ponad tłum produkcyj dramatycznych dnia dzisiejszego, być może, że i w historyi literatury otrzyma większe znaczenie.

II.

Z końcem ubiegłego roku i w pierwszym miesiącu bieżącego świat literacki paryski żywo zajmował się I. K. Huysmans'em. Znano go jako artystę, a raczej smakosza sztuki, jako rozpustnika, jako członka towarzystwa satanistów, bardzo pilnie studyującego przepisy tej czarnej religii, wreszcie jako autora bardzo naturalistycznych powieści. Po *Là-bas* przyszła *En route* i zdumienie ogarnęło wszystkich. Bohater Durtal po długich pasowaniach się z sobą, zniechęcony wszystkiem, pobiegł z czarnej mszy do Trapistów i wrócił do Kościoła. Oczekiwano więc z niecierpliwością nowego dzieła, z którego urywki ogłaszały niektóre dzienniki i mówiono o wielkim przewrocie, o epokowem znaczeniu wyjść mającej powieści, przepowiadano, że Huysmans będzie drugim Chateaubriand'em, który odrodzi katolicyzm we Francyi. Wyszła wreszcie oczekiwana *La Cathédrale*, ale wyszła właśnie w chwili największego wzburzenia umysłów podczas procesu Zoli i przeszła bez wrażenia.

Zdaje się jednak, że nietylko jej niewczesne ukazanie się, zgotowało jej zimne przyjęcie. Sama treść książki jest temu winna. Pod pozorem powieści Huysmans pomieścił tam cały

szereg swoich spostrzeżeń, niekiedy nadzwyczajnie trafnych — o wszystkich rzeczach. Wyładował w niej nieprzebrany zapas erudycyi scholastycznej (w gorszem znaczeniu tego wyrazu), a uczynił to w sposób niezręczny, suchy, niekiedy niesmaczny. Treść powieściowa jest krótka: Bohater Durtal (= Huysmans), powróciwszy do wiary ojców, nie może znaleźć spokoju w duszy. Rozumie modlitwę jako zupełne wylanie serca przed Bogiem i pragnie się modlić — ale ilekroć zgina kolano, zawsze jakaś niemoc osusza mu serce, zamyka duszę, i zamiast naprawdę wylać swą duszę przed Panem — powtarza tylko machinalnie słowa, które mu więdną na ustach. Daremnie chodzi do spowiedzi, daremnie rozpatruje katedrę w Chartres, aby nasiąknąć pobożnością tych, którzy ją stawiali, daremnie szuka w zakonach pomocy, — to skupienie, stopienie duszy w jeden głos uwielbienia dla Stwórcy, nie przychodzi.

Temat psychologicznie pociągający i ciekawy, ale opracowany licho — całe rozdziały poświęcone zupełnie innym sprawom, nie dają miejsca i czasu na rozwinięcie powolne tych nieznacznych przejść od suchej oziębłości i niemocy, do ożywczej ekstazy. Dlaczego Durtal nie może osiągnąć tego stopnia doskonałości, gdzie człowiek cały przetapia się w jedną myśl, w jedno uczucie? Po prostu dlatego, że jest starym *blasé*. Nie można bezkarnie całe życie walać się w błocie, aby na starość nagle dostać skrzydła i wzbić się ku słońcu. Zresztą jest to człowiek duchowo chory, smakosz artystyczny, który nakoniec chcąc stać się twórczym przemienia się w pedanta. I choć żadnego kamyka w starej katedrze nie opuści, choć kształty ich pieści okiem, głaszcze dłonią, choć rzuca na nie światło świec, lamp, jutrzenki, zachodu, dnia pogodnego i słotnego, choć na nie spogląda w czarną noc i w blasku słońca przecedzonego przez całą tęczę starych witraży, kamienie te zostają dlań nadal dziełem sztuki, ale nie nabierają ekstatycznej duszy tych, którzy je ociosywali, przystępując przed zaczęciem pracy do Stołu Pańskiego, starając się zakląć swój zapał religijny w dzieło, a bynajmniej nie myśląc o stwarzaniu dzieł sztuki dla sztuki.

Cała książka jest opisem katedry w Chartres. Autor nie

zapomina żadnej chwili, żadnego wrażenia, jakie w tym kościele można odebrać. Te obrazki, jak wschód jutrzenki w kościele, jak msza św. w krypcie, należą do najpiękniejszych w swoim rodzaju. Ale takie rzeczy mógłby pisać i odczuwać nasz ś. p. Płoszowski, gdyby go upodobania artystyczne zawiodły były w tę stronę. W tem jeszcze religijnego nastroju nie widać. *Domine dilexi decorem domus Tuae,* wziął Huysmans za motto do swego dzieła. I rzeczywiście prócz „ozdoby“ domu Pańskiego, trudno w tej książce znaleźć coś więcej.

Spostrzeżenia o śpiewie kościelnym, o wychowaniu religijnem, o ozdabianiu kościoła, o okazałości nabożeństwa, są bardzo słuszne, ale czy jest to usposobienie słuszne, ale czy jest to usposobienie religijne? Bynajmniej. Operowa muzyka, operetkowy śpiew, w katedrze gotyckiej, psują mu wrażenie, używanie. Jako artysta-autor, przeszedł wszystkie znane nam źródła rozkoszy artystycznych; dzięki studyom i zabytkom wżył się w epoki dawno minione, ale to go znudziło. Były to ścieżki zbyt już wydeptane przez poprzedników, gdzie zachwyty i wrażenia ustalono i zakatalogowano, gdzie czujący i zimni, widzący i ślepi stokroć powtórzyli frazesy uniesienia, dziś nic nieznaczące, choć niegdyś pełne znaczenia, gdy były pierwszymi; frazesy, wykute i znane jako warunek wykształcenia — tak że dla dzisiejszych nic już nie zostało prócz przeżuwania. Trzeby było sobie stworzyć świat nowy, odmienny od dzisiejszego, nieodkwiecony przez uczonych i turystów. Świat jakiś, w którym ludzie inaczej żyli, inaczej myśleli, inne mieli pojęcia o piękności, inne potrzeby i zwyczaje. Niedaleko go szukać. Przed nami stoją katedry gotyckie tak odmienne od wszystkiego, co się widziało; nie zbadane jeszcze należycie, bośmy zbytecznie się z niemi oswoili. To, że o każdym zwoju, o każdym kamieniu popisano studya, niewiele mówi — bo studya odbywa się nad rzeczami umarłemi — i wystarczy o czemś napisać naukową rozprawę, uzbrojoną w całe stosy cytat i odnośników erudycyjnych, aby chęć poszukiwań zabiła w człowieku ochotę rozkoszowania się. A tymczasem wyobraźmy sobie miasto o domach ostrych, gotyckich, ciasnych uliczkach,

o katedrach, w których każdy masswerk coś oznacza, każda linia posiada wyraz, każdy potwór coś mówi, każdy posąg po coś tam stoi. Ten labirynt łuków, linij, sklepień, kolumn rozczłonkowanych, czar okien kolorowych — dodajmy do tego urządzenia średniowieczne, tak odpowiadające ich budowlom, i zapytajmy, jakich uczuć, jakich wrażeń doznawał człowiek, patrzący na to od dziecka, uczący się na tem pierwszych pojęć, kształcący się na tem? Jakie osobne komórki mózgowe, jakie w sercu przysionki musiały się tworzyć, gdy te martwe dziś stosy kamieni były żyjącemi istotami, kiedy każda wklęsłość, każda wypukłość, każda nadzwyczajność odpowiadały tyluż, dla nas umarłym uczuciom, chęciom, upodobaniom? Wskrzesić ten czas ascetyzmu, mistyki, barbarzyństwa, zabobonu, baśni oryentalnej, wyrafinowania i prostactwa — i przeżyć jedną chwilę życiem tych ludzi. Oto zadanie, jakie sobie postawił Huysmans. Dzisiejsze dni są tak płaskie, poprawne, obrane z nadzwyczajności, że w Paryżu, Kalkucie, Sydney, w Pretoryi, pominąwszy małe lokalne różnice, człowiek znajdzie hotel oszklony i lokaja we fraku, z serwetą w ręku. Strój jednakowy, domy koszarowe, dziennikarstwo i płytkość myśli przy stosie wiadomostek — oto dzisiejszy charakter. Porównany z średniowiecznym, okazuje całą przepaść różnicy, jaka między temi epokami leży.

Huysmans'a dawnego znać jeszcze w tem dziele na każdym kroku; mimowoli wyrwie mu się z pod pióra jakiś dziwaczny pomysł, który przy temacie religijnym jest podwójnie niefortunnym. Zaraz z początku zadaje sobie pytanie, dlaczego Matka Boska objawiwszy się w La Salette, kilkanaście czy kilkadziesiąt lat później objawiła się w Lourdes? Dla reklamy — odpowiada spokojnie. A że w średnich wiekach, z każdego faktu wyciągano sens moralny, więc i on nie omieszka go zamknąć w tych słowach: „I człowiek pyta się, czy to nie jest lekcya pokory, najtwardsza, jaką dano człowiekowi, jako też wyrzut najgroźniejszy, rzucony plugastwu amerykańskiemu naszych czasów... Bóg zmuszony poniżyć się raz jeszcze aż do nas, przemawiać naszym językiem, używać naszych wynalazków, aby dać się słyszeć"... i t. d. Według Huysmans'a Zola był mężem Opatrz-

ności i jego „Lourdes“ było potrzebne, przewidziane i o mało nie natchnione przez niebo. A dalej: Pan Jezus od ostatniego zjawienia się bł. Małgorzacie Alacoque, postanowił powierzyć czynne opiekowanie się ludźmi swojej Matce. Więc się już znużył? Niektóre wezbrania nabożności mają dużo w sobie kazuistyki scholastycznej, nie przez myśl, ale przez obrobienie. Tak np. przy budowie katedry w Chartres, ludzie tak się żarliwie zabrali do pracy i oczyszczenia swych dusz, tak bez przestanku strzelali modlitwami do miłosierdzia Bożego, że Pan Bóg musiał kapitulować i oddał świat w opiekę Matce Swojej. Coś jak monarcha, który pod wpływem opinii i z obawy przed rewolucyą, powołuje popularnego ministra do rządów.

Książka ta jest raczej najdokładniejszym przewodnikiem po katedrze w Chartres, niż dziełem religijnem. Huysmans przestudyował wszystkich mistyków, scholastytów, kazuistów, pobożnych i mniej pobożnych pisarzów średniowiecznych, a specyalnie symbolistów. Jakoż symbolika zwierząt, roślin, minerałów, kolorów zajmuje tam większą część książki. Pod tym względem byłaby ona na prawdę kopalnią, gdyby nie to, że autor przytacza o każdej rzeczy kilka autentycznych zdań, które wzajem się zbijają i nierzadko zostawiają w zupełnej niepewności.

Jak określić tę dziwną książkę? Jak ocenić jej wpływ na przyszłość? Dobrze robi, gdy porusza sprawę wychowania religijnego, sprawę muzyki i śpiewu kościelnego. Dobrze jest również, że wprowadziwszy księży, zrobił ich sympatycznymi, że stara się Kościół wprowadzić na porządek dzienny rozmyślań, upodobań, dyskusyi. Na tej z pewnością Kościół nie straci.

Tylko że nie jest to religijność jeszcze. Przesadne objawy nie są wzorem do naśladowania. I nieszczerość, ekscentryczność, zabobon nie mogą pociągnąć ludzi zdrowych — artystów chorych być może, ale z tych na szczęście świat się nie składa. Mistyka ludzi niepowołanych została przez Kościół odrzuconą, więc po co mu ją narzucać i nią przyciągać tłumy?

Jest to wypływ niezdrowej atmosfery dzisiejszego wieku — inny kierunek symbolizmu. Nie mając idei wielkiej, człowiek chwyta się drobnostki — kobiety francuskie niektóre, zawiedzione

w miłości, poświęcają życie i majątek zwierzętom. Artyści i literaci, niezadowoleni szarem życiem, uciekają się do wybryków przekwitu cesarstwa rzymskiego, lub do ekscentrycznej dekadentycznej mistyki. Zdrowie niepodoba się, chyba, że jest tak brutalne, iż przechodzi w zwierzęcość...

III.

Przykładem człowieka gorącego w wierze jest Franciszek Coppée. Natura to cicha, łagodna, prawie średnia, o niezwykłem poczuciu artystycznem, człowiek pragnący kochać i nieumiejący się gniewać. Ten wróciwszy do religii, stał się jej świeckim kaznodzieją. Na szpaltach *Journal'u,* który zresztą cały trąci zgnilizną moralną, Coppée od dłuższego czasu pomieszcza swoje religijne natchnienia.

I on także wątpił. Jeżeli nie wojował z religią, nie miotał obelg na Kościół, to stanowisko, jakie zajmował, było jeszcze gorsze. On był niedowiarkiem obojętnym, A takie usposobienie świadczy tylko, że sprawa religii jest w sercu człowieka pogrzebiona na wieki. Stała się tak martwą, tak zeszła z porządku dziennego myśli i uczuć, że nie jest w stanie zająć, podniecić, jak historya jakiegoś ludu, o którym dzieje zapomniały. Kto się gniewa, kto walczy, ten naprzód uważa religię za ideę żywą, mocną, ten z nią się liczy, ten często w głębi serca pragnie wiary, ale u kogo ona tyle obudza zajęcia, ile jakiś przedmiot pospolity w muzeum archeologicznem, kogo ona zaledwie tyle zdoła zapalić, ile dzieje Etrusków lub Kartaginy, ten już zabił w sobie ostatnie jej ślady.

Jednakże Coppée miał inną naturę, niż wielu jemu podobnych. Czuły i wrażliwy, miał niezmierną potrzebę przywiązania się do czegoś czy kogoś, jak don Juan Haraucourta, tylko bez jego dzikiej natury fizycznej. Temperament więcej kobiecy, podobny do powoju. Przy tem zawsze był szczerym patryotą. Prosty i szczery z samym sobą, nie umiejąc oszukiwać samego siebie, zdawał sobie zawsze dokładną sprawę ze stanu własnej duszy. Przypatrywał się ojczyźnie i nie zasklepiając się

w ciasnocie, uważał bystrze tę ruinę moralną, w jaką się Francya rozsypuje.

Badając samego siebie, zrozumiał słowa Józefa de Maistre'a, że sumienie człowieka uczciwego, jest jednak czemś okropnem. Najlepszy człowiek odkrywa w samym sobie tyle myśli nędznych, podłych, przewrotnych, tyle słów podejrzanej wartości, tyle uczynków niepięknych, że jeżeli sam siebie nie oszukuje, musi pokornie spuścić oczy ze wstydem. Zrozumiał, że gdyby człowiek nie chciał uprawiać znajomości jak tylko z ludźmi godnymi szacunku, musiałby zerwać z całym światem, a nawet przestać znać samego siebie.

Ale to spostrzeżenie mu nie wystarczyło. Zrobiwszy rachunek sumienia, zapragnął koniecznie przedstawić komuś stan swej duszy. Sam mówi, że szukał wypróbowanego przyjaciela, aby się mu zwierzyć, — tak wielką była konieczność wyspowiadania się. Tylko to zwierzenie mu nie wystarczyło. „Czem się to dzieje — pisze Coppée w jednym artykule p. t.: *Confidence et Confession* — że prawie zawsze te zwierzenia wcale nas nie pocieszają? Ach! bo człowiek jest pełen sprzeczności i w samej chwili, kiedy nieprzeparty instynkt każe mu wyznać wszystko z zupełną szczerością, czuje się wstrzymany, pociągnięty w stronę przeciwną przez uczucie obawy i zawstydzenia. To też nawet najczulszemu i najpewniejszemu towarzyszowi nie pokazujemy całej prawdy, ale ją ubieramy, podajemy nie całą, starając się nie zapomnieć żadnej okoliczności, któraby była dla nas korzystna, lub mogła nas uniewinnić.... I po cóż szukać pociechy i pobłażliwości u powiernika, jeżeli rozstając się z nim mamy przeświadczenie, żeśmy zatarli coś z naszej przewrotności. Odchodzimy jeszcze smutniejsi i więcej zawstydzeni, przysporzywszy sobie jeden więcej wyrzut sumienia: oszukanie przyjaciela. ...Bardzo rzadko człowiek powie wyraźnie: Jestem nieuczciwy, — zdradziłem przyjaciela — jestem niewdzięczny — jestem zły — jestem podły".

I wtedy, w chwilach wewnętrznej rozterki i potrzeby wywnętrzenia się, zapłakania nad samym sobą, okazała mu się siła i wielkość spowiedzi chrześcijańskiej. „Byłem nędzny — mówi

gdzieindziej — i z instynktu szukałem powiernika pełnego litości i współczucia. Znalazłem go". Znalazłszy odpocznienie Coppée nawołuje wszystkich, aby wrócili do krzyża:

„Nieszczęśniku, który upadasz pod ciężarem sumienia, obarczonego złemi i brudnemi wspomnieniami, przybliż się. Zrzuć z siebie miłość własną. Nie lękaj się, że wzbudzisz strach lub obrzydzenie u nieznanego, u bezimiennego, którego bierzesz za powiernika. Ten, który cię słucha nie widzi nawet twojej twarzy, on nie dostrzeże, że ty się rumienisz. On nie zdradzi twej tajemnicy: jego usta są zamknięte pieczęcią sakramentu. Mów! Wyznaj mu całą swoją hańbę. On ci nie odpowie inaczej jak z ojcowską pobłażliwością, nie będzie mówił, jak tylko o miłosierdziu i przebaczeniu. Naturalnie, że każe ci naprawić złe, które popełniłeś; ale jeżeli już za późno, jeżeli to niemożliwe, zadowoli się wylaniem serca i szczerym żalem. A wtedy jako jedyną i słodką karę, nałoży na ciebie obowiązek namaszczenia duszy wonną modlitwą, podniesie rękę do twego czoła, wypowie kilka słów łacińskich, i ty odejdziesz pocieszony, rozgrzeszony, z duszą lekką, jak gdyby miała dostać skrzydeł anielskich.

„Ale na to wszystko — odpowiesz mi z krzykiem boleści — nie trzeba wątpić o potędze sakramentu, trzeba wierzyć!...

„O stare dziecko świata przecywilizowanego! czyż to tak trudno? Czyż już nie czujesz w sobie ani kropli krwi chrześcijańskiej, która od tylu wieków płynie w żyłach twojej rasy? Czyż nie słyszysz, jak wiecznie brzmi cudowne słowo, które wyleczyło świat starożytny z zepsucia i okiełznało dzikość barbarzyńców? Czyż nie czytałeś i nie rozważałeś Ewangelii, jedynej książki, w której znajdziesz odpowiedź na wszystkie utrapienia duszy?

„Biedny człowieku! Nie słuchaj tych, którzy ci mówią, że wiara już umarła i że ludzkość już od wieku, to jest od wczoraj, otrząsnęła z siebie całą przeszłość. Aby zaprowadzić nowe prawo, potrzeba było pokryć Francyę szafotami, zakrwawić całą Europę długiemi wojnami, a jednak od owego czasu skarga cierpiących nie ucichła. Przeciwnie Jezus Chrystus, aby zapewnić tryumf swojej myśli Bożej, nie poświęcił innej krwi prócz wła-

snej, poddał się mękom zbrodniarza; i jego dzieło jest nietknięte po dziewiętnastu wiekach — i wszędzie, gdzie spotkasz ludzi mniej złych i mniej nieszczęśliwych, wszędzie, gdzie żyje nieco sprawiedliwości i dobroci — spojrzyj! widzisz wszędzie wspomnienie pobytu Boga-człowieka między nami i obraz krzyża św.".

Przytoczyłem ten dłuższy ustęp, aby dać pojęcie o sposobie, w jaki Coppée swoje myśli rozszerza i o sile wiary, jak z nich tryska.

Lecz nie jest on tylko dzieckiem, co płacze i pożąda macierzyńskiej pieszczoty — i myśl jego jest zgodna ze słowami. Rozpatrując się w historyi, zobaczył w niej „obraz tylu cywilizacyi zniszczonych, tyle ludów zmiecionych z powierzchni ziemi, że mu się dzieje przedstawiły jako jeden nieprzerwany krzyk boleści". „Wszędzie i zawsze los małych i słabych był nieznośny, a nikt dotąd nie wynalazł lepszej pociechy na cierpienia, jak wzniesienie oczu ku niebu". I wtedy przyszło mu na myśl, że „Ewangelia zmieniła duszę świata i od dziewiętnastu wieków natchnęła najczystszemi cnotami i dała pokój serca tysiącom chrześcijan". Rozważając cudowne dzieło tego, który kazał na górze i umarł na krzyżu, przyszedł do przekonania, że „ten, z którego ust padło tyle prawd wiecznych, nie mógł kłamać" — i „uwierzył w Jezusa Chrystusa syna Boga wszechmogącego, przed obliczem którego planety i gwiazdy są mniejsze niż ziarna popiołu, sypanego w dzień popielcowy na głowę wiernych — w Mistrza wiecznego, który pośród nieskończonej tajemnicy króluje nad prochem światów i popiołem słońc". (Cendres, *Le Journal* jeudi, 24 février 1898).

Otóż ten zdrowy rozsądek, to proste zastanowienie, a tak głębokie, zdaje mi się najlepszem postawieniem kwestyi. Jest tak proste, że wymyka się uczonym z pod pióra, ale zarazem tak przekonywujące, że każdy znający choć trochę naturę ludzką musi się nań zgodzić. I dlatego katolicyzm Coppée'go można uważać za szczery, silny, płomienisty, bo jest on zarówno wynikiem potrzeby serca, jak i postulatem rozumu. Coppée więc przeciwnie niż wielu nowonawróconych z rezygnacyi, nie potrzebuje odrzucać rozumu, aby dać pokarm uczuciu — u niego

nie ma rozdźwięku między głową a sercem i dlatego jego wiara jest szczera, prosta, niepodejrzana.

Obecnie Coppée co dwa tygodnie pisuje po prostu kazania do *Journal'u* gdzie wszystkie kwestye moralne, społeczne, polityczne roztrząsa ściśle według przepisów religii. Nie jest on jednak suchym doktrynerem. Przeciwnie. Po jego artykułach widać, że pisząc rachunek sumienia dla narodu, sam ciągle bada siebie, oczyszcza myśli, słowa i czyny, doskonali się w myśl zdania, że kto stoi, ten się cofa; to też w każdym prawie następnym artykule znać pewien postęp duchowy, coraz większą żarliwość, prostotę i miłość do braci zbłąkanych, których nawraca na dobrą drogę.

Znajomi mówią, że jego życie jest illustracyą tego, co mówi. W każdym razie jako publicysta przynosi coraz to nowe przypomnienia obowiązków, coraz to rzuci swoje światło na sprawy codzienne. A ma do tego prawo i czuje, że to jest jego powołanie. Bo i cóż widzi w Paryżu? „Chodźmy — mówi w artykule *Les Ruines* (*Journal* jeudi, 10 février 1898) — do pałacu Burbońskiego (Izba deputowanych). Na pierwsze wejrzenie budowla, choć brzydka, zdaje się silną jeszcze, z kolumnami klasycznemi i czterema mężami stanu, pięknie umieszczonymi w kamiennych fotelach. A jednak strzeżcie się. My wszyscy powinniśmy być przejęci szacunkiem na widok tego pomnika, gdzie lud wyraża swą wolę przez usta wybrańców i kuje ją w trwałe prawa. Lecz ta świątynia wszechwładztwa ludowego była niedawno miejscem policzków. Pamiętamy tyle posiedzeń gorszących, tyle słów pustych, tyle haniebnych intryg. Czy wam się nie zdaje, że się widocznie chwieje i upadla ten parlament złej sławy? Czy nie macie przeczucia, że wkrótce runie ta trybuna roztaczana przez robaki zepsucia i przekupstwa? Czy bardzo oczekujecie tego „dobrego tyrana“, o którym marzył Renan? Ja nie — lecz drżę na myśl, co się z nami stanie, kiedy się zwali ta ruina“...

Patrząc na pałac sprawiedliwości woła: „O święty Ludwiku, który sądziłeś podług słuszności, siedząc pod dębem, czyś za-

dowolony z tego, co się dzieje w twoim pałacu? Och! i tutaj pełno szpar i porysowania".

I tak przechodząc kolejno wszystkie objawy życia, widzi wszędzie ruinę. Lecz jedna jeszcze została mu pociecha. „Na szczęście w tej ulicy starego Paryża dostrzegam gotycki szczyt kościoła. Właśnie dziś niedziela, godzina nabożeństwa. Wnijdźmy, uklęknijmy pośród wiernych i prośmy o siłę i trwałość dla naszego kraju, u Tego, który siłą i łaską rozporządza, ponieważ wszechmocny i wieczny. Wchodzę. Niestety! zapomniałem, że wydarto temu nieszczęsnemu narodowi nadzieję i wiarę. Kościół est prawie pusty i będę zapewne jednym, który się modli za Francyę".

„Lękam się — kończy — czy nie żyjemy w ruinach, które w niedługim czasie zawalą się na nasze głowy i znikną bez śladu. *Etiam periere ruinae*".

To też jako patryota i jako chrześcijanin, wiedzący, gdzie jest rachunek i łaska, wzywa wszystkich do powrotu na łono Kościoła. Przepiękny był jego artykuł popielcowy. Tam podawał leki nawet na społeczne choroby państwa.

W ostatnich chwilach, zważywszy wzmaganie się ruchu religijnego między umysłowcami, powstał ten nowy objaw pocieszający, wspaniałem *Hosanna*, p. t.: *Renaissance Chrétienne* (*Le Journal* jeudi, 10 mars 1898).

Kończymy nasze sprawozdanie na tej wielkiej nadziei Coppée'go, z jaką wita odrodzenie chrześcijaństwa.

O tem odrodzeniu pisze i mówi się dzisiaj bardzo dużo, nieraz nawet przecenia się może jego znaczenie i powiększa rozmiary. W każdym razie faktem jest niezaprzeczonym, że reakcya taka istnieje; na uzasadnienie tego pokaźną ilość objawów z dzisiejszej literatury przytoczyćby można. Trzej wymienieni pisarze są również jakimś tej reakcyi dowodem, a zarazem i zaznaczają wybitnie różne odcienia, jakie w jej łonie się rysują. Człowiek Haraucourt'a podnosi się dopiero ze stanu zwierzęcości i do Kościoła przychodzi wprost od rozpusty i zbrodni. Człowiek Huysmans'a postąpił już dalej, już w zakątkach i ta-

jemnicach religii szuka on środka, któryby go z Bogiem w ściślejszy sposób zjednoczył. Coppée wreszcie najszczytniejsze podaje ideały, bo samą wiarę bez obsłonek wskazuje. W jaką stronę początkujące to odrodzenie się zwróci i jakie wyda skutki, czy obejmie ono szersze sfery, czy będzie udziałem kilku tylko wybranych, czy pozostanie ono w stanie mgławicznym dziwacznych pomysłów Huysmans'a, czy raczej będzie się pomyślnie rozwijać, na razie przewidzieć trudno.

Jan Zamorski.

OBYCZAJ NA WSI RUMUŃSKIEJ.

Ładne tu niebo i jasne słońce pogodnie świeci nad ziemiami dawnych hospodarów od Karpat ku morzu Czarnemu, nad dzisiejszem królestwem zwanem Rumunią. I ziemia tu żyzna, w słońcu wykąpana, zlana dopływami Dunaju, pokryta winnicami i innym płodem południa, kryje jeszcze w łonie swojem źródła lecznicze i żyły kruszców obfite.

Ale i po tej ziemi chodzą ludzie, jak wszędzie, ludzie podlegli wielu chorobom na ciele i duszy. Febra mołdawska trapi ciało, a dusze tutaj chorują na swoją chorobę; jej nazwa brzmi po rumuńsku: *obyczejul,* co po polsku znaczy: obyczaj.

Cokolwiek wiemy o starożytnych i nowożytnych plemionach słowiańskich, a przedewszystkiem o ich przywiązaniu do każdego zwyczaju, choćby niedorzecznego, to samo widać u mieszkańców dawnej Tracyi, Dacyi, Mezyi i Gepidyi, dzisiaj Wołoszczyzny, Multan, Besarabii, Bukowiny, Siedmiogrodu, Banatu, Macedonii, Dobruczy: słowem na całym obszarze, równym rozmiarami Polsce, zamieszkałym przez Rumunów.

Zaborczy Rzymianin, kiedy słowiańską ziemię naszedł, mógł podług rozkazów Trajana zatykać swoje orły na wschodnich szczytach karpackich, mógł między spokojne, gotowe do ustępstw plemię, wnieść swój język i słowiańskim rolnikom narzucić swój rząd, ale nie mógł nad Dunajem dokazać tyle, ile dokonał nad Sekwaną, ile sprawił nad Ebro. Tam potomek Kwiryna zyskał przewagę nad pierwotnym mieszkańcem Galii i Iberyi, tam duch francuski i hiszpański albo portugalski, rzutki i przedsiębiorczy, ruchliwy i porywczy, niczem nie razi włoskiego ducha, owszem,

zamiast przeciwieństwa okazuje pobratymstwo, jakoby w tych wszystkich narodach jeden duch ożywiał pokrewne gałęzie romańskiego pnia. Przeciwnie tutaj, nad dolnym biegiem Dunaju, ledwo tyle pod względem etnograficznym zdziałali osadnicy włoscy, ile ich rodacy mniej więcej zostawili po sobie śladów nad brzegami Tamizy. Także na brytyjskim pniu szczepił legionista łacińską mowę i zewnętrzną stronę rzymskiej ogłady, układy pojęć i państwowego ustroju; ale nie wyrwał z pod piersi brytyjskiej dawnego serca, miejscowego żywiołu nie przeważył i w żyły pierwotnym mieszkańcom wlać nie zdołał włoskiej krwi. Gorący pierwiastek łaciński, choć odbił niejeden ślad w dziejach półwyspu brytyjskiego, choć nawet zostawił niezatartą pieczęć na języku angielskim, mimo to nie odbija już prawie w niczem więcej nad Tamizą: roztopiony i rozpuszczony w przeważnym żywiole brytyjskim, gdzieś zanikł na tle zimnej rozwagi Anglika.

Podobnie dzisiejszy Włoch, przybyły nad Dunaj, choć słyszy w ustach mieszkańców pokrewny język, jednak przy bliższych stosunkach z nimi spostrzeże, że nie przebywa między plemieniem pobratymców. Darmo miejscowy przewodnik pokazuje w rodakach pozory łacińskie: przez szatę ich, przez skórę przebijają inne kości i krew. Choć przewodnik dumnie powtarza o nich: *sunt Romani!...* zesłowianiony potomek rzymskiego legionisty wymawia tak niewyraźnie pierwotną nazwę swojego narodu, takiemi ustami czy też takiem gardłem, że już nie słychać łacińskich słów: *sunt Romani,* ale coś niby: *synt Romyń.* I Włoch słyszy wyrazy jakiegoś nowego języka, i przyjmuje z niego nazwę osobnego narodu: Rumuni. A nietylko mowę przodków włoskich i narodową nazwę przerobił Wołoch po swojemu: całą duszę swoją urobił na własny sposób, całemu jej rozwojowi i trybowi codziennego żywota nadał piętno niepodobne do ducha romańskiego.

A znowu dzisiejszy Słowianin, choćby z nad Warty albo Dniepru przybył nad Dunaj, czuje coś swojskiego; choć widzi zewnętrzną barwę kraju obcą i słyszy dźwięki cudzoziemskiej mowy, ale szata rumuńska, mimo łacińskich barw, zachowała słowiański krój; mowa legionisty z Latium brzmi pomieszana

z wyrazami jego żony słowianki; do dziś kobieta o mężu swoim mówi: „mój Rumun“, jak gdyby prawnuczka słowianek sama sobie nie mogła nadać nazwy narodowości rzymskiej; takich rodziców dzieci, ze słowiańskiej piersi wydobywają niektóre dźwięki swojej mowy czysto słowiańskiej, przechowane tylko u Bułgarów, Czechów i w pisowni rosyjskiej. Słowiańska ziemia wychowała razem i rodzone dzieci naddunajskie i przybrane, rodem z nad Tybru; wychowała je w swoim duchu, sobie właściwym, i wyryła im na sercu głęboko piętno i znamię: ów zmysł zachowawczy.

Zmysł zachowawczy, ujęty przez rozum w pewne granice, tworzy w każdym narodzie wielką potęgę. U Rumunów jednak dodatni ten przymiot serca słowiańskiego stał się prawdziwą chorobą narodu, choć przeczyć nie można, że ogromna potęga zwyczaju pewnym urokiem otacza i kraj i lud cały.

Zesłowianiony Rzymianin, w ciszy sielskiego dobrobytu, stawia krok za krokiem w te same ślady, któremi drogę przodkowie utarli, trwa nieruchomie na stanowisku, z jakiego prababki jego spoglądały po ludziach, na każdą zmianę spoziera z góry okiem podejrzliwem i, póki może, usiłuje jej zapobiedz, a kiedy nie zdoła, tak zwraca ku niej wzrok przerażony, jakby oglądał miasto, w którem domy chodzą albo ludzie latają.

Kogo widok ruchliwej Europy rozstroi i rozdrażni, kto chciałby wytchnąć na łonie ciszy, niezamąconej żadną niespodzianką, kto na lekarstwo potrzebuje widoku duszy, którą odrętwił sen skamieniały, a tylko miarowy oddech świadczy, że żyje jeszcze: kto tego pragnie, temu nie trzeba jechać na północne brzegi Syberyi, i patrzeć, jak wyglądają mamuty zamarznięte w bryle lodowej; taniej i prędzej zajedzie do którejbądź wsi na północnym brzegu Dunaju i po paru tygodniach zapomni, czy szaleją jakie burze nad społeczeństwem zachodniem, czy istnieje jaki wogóle ruch na świecie, czy jakie walki zakłócają gdzie spokojny sen wieków. O całe wieki w tył cofnięty umysł Europejczyka w tym zakątku świata, wyczekiwać będzie, czy nie błyśnie gdzie hełm legionisty rzymskiego, albo czy stąd nie zaleci tęskna piosnka wygnanego Owidyusza.

* * *

Niechże czytelnik, ciekawy wiedzieć, jak starożytne legiony rzymskie żyły nad Dunajem, teraz wystawi sobie, że odbywa wycieczkę z jakimś klasykiem w ręku i gdzieś pod bokiem większego miasta, a wcale nie na puszczy odludnej, więc np. w Kotnarach pod Jassami zastał zebraną wieś na zabawie, „żok“. Wieś to rumuńska, więc urządza żok na placu, przy którym stoi karczma, „kryszma“. Sąsiednia wieś Horlesti także urządza żok, ale tam katolicy Ungurzy, choć przyjęli rumuńską zabawę, przecie ją urządzają na placu przed kościołem. Jednak i tu i tam proboszcz spogląda na parafian swoich, czy odbywają żok skromnie; katolicki misyonarz widzi ich z okien probostwa; schyzmatycki zaś pasterz czuwa przy owieczkach w „kryszmie“. Dość, że zwolna na żok wyległa wieś cała. Kto widział kolumnę Trajana w Rzymie, ten w Kotnarach widzi takich samych Daków, w takich samych strojach, ledwo że nie w każdym ruchu ciała, jak ci, co na kolumnie postępują za tryumfalnym wozem Trajana. Tylko tu wielka ochota do pląsu bije z oka młodzieży. Już stanęli koło gęślarza i skrzypka, chłopcy i dziewczęta: po chwili już rozpoczęli widowisko, które przenosi widza gdzieś w czasy Sofoklesa. Żok, to żywcem wyjęta ze starożytnych opisów *chorea,* chwilami bardzo poważna, niby dzisiejszy polonez, czasem figurami żywiej urozmaicona, czasem do niczego z obecnych czasów niepodobna: na kilka minut staną wszyscy w miejscu i zapamiętale tupią nogami, aż daleko ziemia dudni, a uciechy w tem tyle znajdują, że ludzka siła nie utrzyma nikogo w niedzielę i święta, aby nie biegł na żok. Zimno na dworze? to cieplejsze wdzieją „pieptary“; gęślarz zachoruje, sam skrzypek im wystarczy; gdy i tego im zabraknie, do innej wsi biegną, byle na żok!

Ogromnem kołem otaczają rozochoconą młodzież mężatki ze swoimi Rumunami, zasiadają poważnie na murawie, cieszą oczy widokiem klasycznej zabawy, cieszą serca wymianą myśli na pogawędce. A pogawędka ich, to także nie urywek z rozmowy nowożytnej, to jakiś głos z doby zamierzchłej. Chcesz wiedzieć, o czem Rzymianie rozmawiali, a nie masz pod ręką

Terencyusza? — to posłuchaj rozmowy podczas żoku, a powiesz sobie: w dziejach ludzkich, któryś wiek upodobał sobie ładne niebo nad stokami Karpat ku morzu Czarnemu, żyzną ziemię, dorodny lud i został z gromadą na żoku; tu przysiadł do nich na gawędkę; inne wieki poszły i o nim zapomniały, a on jeszcze siedzi i gwarzy.

Gdzie najwięcej cienia pada z tej cerkwi, w swoim rodzaju właściwym wołoskiej, tam siadła gromadka najpoważniejsza: więc wójt, „prymar“, dyak, „psalt“, co najbogatsi gospodarze „bogac gospodari“, i co najpoważniejsza wiekiem „baba“, między nimi żona pisarza, „notaryca“.

— A gdzie „notar“? — zapytał się prymar.

— Został przy naszej córce, Marjuce — odpowiedziała notaryca.

— A cóż to zaszło z Marjuką? — badał prymar.

— Coś niedomaga, „slaba“; chociaż nic niema ważnego, przecież Rumun został przy niej.

Prymar głową pokiwał:

— Godność twoja myśli, że „majka“ nie potrzebuje chorej córki pilnować?

— Marjuka jeszcze nie umrze... jeszcze jej mamałyga smakuje.

— Nie zawsze śmierć zawczasu zapowiada, kiedy przetnie nić żywota: może Marjukę znienacka zaskoczyć — wywodził prymar.

Ale tu znalazł wszystkich przeciw sobie:

— Nigdy śmierć nie przychodzi bez zapowiedzi, zawsze uprzedza znakiem wyraźnym — odparło kilku, a najstarszy z nich, Jermolaj, poważnie dodał:

— Niech godność twoja wybaczy, ale mówi coś niesłychanego; jak żyję, nie pamiętam wypadku, żeby śmierć kogo nie przestrzegła zawczasu; ani o takim wypadku nie słyszałem od dziada i pradziada.

Ale po stronie prymara stanął Mikołaj Serwatos:

— Przecie mój brat Wasyl bez żadnego znaku i przestrogi umarł nagle.

— Owszem! — zaprzeczyli inni Serwatosy — owszem! Wasyl przed śmiercią stracił słuch, dlatego nie słyszał, że z trzaskiem pękł stół.

— A potem piec pękł i ławka! jeszcze wczoraj widziałam popękany piec! — poparła notaryca.

— Ale Tyt Dżiurdżesku sam w chorobie mówił mi, że nie dostał znaku, więc wyzdrowieje, a po godzinie „zasnął“ — znowu prymar zarzucił.

Jednak także inni świadkowie twierdzili, że tylko rodzina Tyta przed nieboszczykiem ukrywała znaki, ale wszystko było w porządku: coś pękło z naczynia, jakaś „stekla“ czy „butilka“, ikona spadła z gwoździa a ze ściany tynk, „tenkujala“, drzwi otwarły się same...

Rozmowa coraz szybszym krokiem szła, ale zawsze torem wróżb przedśmiertnych. Ktoby nie mógł pojąć, do jakiego stopnia pogańska wiara w zabobony panuje do dziś powszechnie między ludem rumuńskim, ten może znaleźć niezliczoną jeszcze ilość innych szczegółów, oprócz przytoczonych tutaj, obszernie opisaną przez członka akademii bukareszteńskiej, S. Fl. Mariana, w źródłowem dziele: *Inmormîntarea la Românî*, użytem przy niniejszej pracy. Trudno pojąć taką wiarę niezachwianą, ale łatwo wyobrazić, jak taka rozmowa roznamiętnia ciekawych słuchaczy, i jak taka notaryca z coraz żywszym niepokojem słuchać musiała o Josifie, któremu kura wywróżyła śmierć, bo zapiała jak kogut, o tem jak koty Michajla ostrzegły, bo nagle zaczęły tak miauczeć, aż jeden z nich zachorował, znowu Jelenie dał wróżbę ryk cielęcia, a Jewę o śmierci przestrzegł pies, który w nocy wył i grzebał ziemię pod jej chatą.

Ta wróżba wywołała spór: Anika utrzymywała, że podobna wróżba przestrzega przed śmiercią, a Jelisaweta w tej wróżbie upatrywała zapowiedź pożaru; rozstrzygnął ich sprzeczkę, „sfadę“, Dymitr, bywalec, który wyłożył, że na wróżbę śmierci, ze spuszczoną głową wyje pies i grzebie ziemię, a na pożar daje ten sam znak, ale z głową podniesioną.

I poszły inne wróżby: ze snów. Ilie twierdził, że „zobaczyć we śnie nieboszczyka, to zły już znak, ale dopiero wtenczas

wróży niechybną śmierć, jeżeli nieboszczyk kogo po imieniu nazwie, i sen wraca przez parę nocy z rzędu". „Jednak — dodał Onufrej — nawet w takim razie można dać sobie ze śmiercią radę". „A jakąż?" kilka głosów ciekawie zawołało. „Trzeba dać ubogiemu czosnku ‚na pomanę' (upominek za nieboszczyka) w imieniu duszy, widzianej we śnie, albo przez trzy dni z rzędu kłaść się rano plecami do okna i rzucać za okno prawą ręką czosnek, a przytem mówić te słowa: ‚kto mnie napastuje nocami, niech nie ze mną szuka zaczepki, ale z czosnkiem'. Środek ten wywiera skutek niezawodny; inaczej sen o nieboszczyku sprowadzi przynajmniej chorobę, w rodzaju bladaczki albo żółtaczki".

Ale ze wszystkich wróżb najgorszą Tudor wspomniał, tę, co zapowiada śmierć już nieuchronną: głos puszczyka! Na tle rozmowy o puszczyku widmo śmierci stanęło wszystkim przed oczyma tak strasznie, że wszystkie twarze sposępniały... darmo notar chciał rozpogodzić oblicza wzmianką o weselszych przedmiotach rozmowy... nie zdołał jej zawrócić z drogi na cmentarz... darmo psalt usiłował zmniejszyć grozę wróżby, dawanej przez puszczyka, powtarzał jakąś pogłoskę, że czasem ten ptak zapowiada tylko nieszczęście, nie samą śmierć koniecznie, wszystko to nie poskutkowało... młodzież o kilka kroków używała największej uciechy w żoku, a starszych wzmianka o puszczyku nastroiła smutkiem pogrzebowym.

A kto raz słyszał rozmowę podobną, kto widział ten lud, z głębi duszy przekonany o prawdzie swoich wróżb, równie o nich pewny, jak o słońcu na niebie, kto doznał, jak to trudno wykorzenić, jak wprost niemożebne osłabić w tym ludzie wierzenia, dawnym obyczajem przekazane, ten zrozumie, że tu wieki działały, aby wpoić w te umysły przesąd niewzruszony, ten jego początków szukać zacznie w księgach, pozostałych jeszcze z czasów pogańskich i przypomina sobie może pisma Cycerona „o wróżbiarstwie", albo ustęp z Pliniusza (*Hist. nat.*, lib. X·, cap. XVI.) „o tym ptaku żałobnym i znienawidzonym, choć używanym przy uroczystych wróżbach, który, kiedy zaleci do miasta, szczególnie w ciągu dnia, wszystkim zapowiada niepomyślne przygody". Czy z legionami Trajana zabobon Pliniuszowy zaszedł za Dunaj?

Czy smutny Owidyusz powtarzał to nad Czarnem Morzem, co zapisał w „Metamorfozach“ (V., 550)?

Ciężko nadleci ten ptak, co zasłonę wyroków rozrywa...
Jękiem żałobnym da znak i wnet śmierć już przystąpi do żniwa.

I kiedy notaryca niespokojnie słucha grobowych wróżb, nagle wpada chłopak, który zamiast rozgawędzonego psalta chciał dzwonić do cerkwi na „weczernię“, i oznajmia, że szarpnął silnie za „klopot“ dzwon i urwał sznur! Co robić teraz? jak zwołać ludzi do cerkwi? Popa lada chwili wyjdzie z kryczmy, a nie lubi czekać z weczernią!

Nim skończył, już skoczyła notaryca na równe nogi. Urwany sznur od klopotu! Ależ to wobec niej pada najjaśniejsza wróżba śmierci dla kogoś blizkiego psaltowi. Śmierć przestrzega o sobie, kiedy komu zepsuje narzędzie lub przyrząd, którym zarabia na życie: więc zepsuje strzelbę strzelcowi, kiedy do jego drzwi zapuka po kogoś z jego rodziny; tkaczowi w takim razie powala albo podrze płótno w robocie, kowalowi złamie młot i t. d. W tym razie urwała sznur, za który psalt ciągnie klopot, więc rzuciła znak Marjuce, chrzestnej córce psalta!

Ledwo ta myśl błyskawicą przeleciała przez głowę notarycy, aż tu jej mały Aleksandru, jakby na domiar nieszczęścia, przybiega prosić matkę o „bania“ na pióro, bo złamał swoje, a jutro musi iść do szkoły z piórem, bo przypada godzina ortografii. Tego już było zanadto na głowę notarycy: pióro złamane w domu pisarza! A to już zbijać cztery deski na trumnę dla Marjuki! Nie wątpiła o tem notaryca, nie wątpił nikt z sąsiadów i sąsiadek, powstał zgiełk i płacz kobiet nad dziewczyną, skazaną na śmierć w młodych latach... nad jedynem dzieckiem notarycy, która długo zmieniała mężów, nim notarowi powiła córkę.

Zmieniać mężów albo żony, to rzecz zwyczajna w rumuńskiej cerkwi; tak łatwo przychodzi do rozwodu, że, jak powiadają, dwie trzecie stadeł dzisiejszych w Rumunii żyje w związku kanonicznie nieważnym, bo skojarzonym dzięki rozwodowi. I nikt za złe nie bierze takiej małżonce, jak notaryca, którą pierwszy jej mąż odstąpił drugiemu w zamian za jakąś przysługę są-

siedzką, drugi zamienił z trzecim za jego żonę, trzeci nie długo przypadał jej do smaku, a dopiero czwarty posiadł ją notar.

Teraz ją gromadnie otoczyli znajomi i, jak który umiał, każdy pocieszał: ten radził leki, tamten poleca znachorki, wszyscy odprowadzili ją do domu.

O lekarzu nikt nie pomyślał. Kiedy kto zachoruje śmiertelnie między ludem rumuńskim, wtenczas zdziwiłby wszystkich jako niepojęty wyjątek, gdyby wezwał lekarza. Rodzina używa środków domowych, bardzo pierwotnych w tym kraju, gdzie mamałyga stanowi dosłownie cały pokarm, a za całą do niej okrasę służą ziemniaki i ogórki, albo na zmianę fasola i kapusta z czosnkiem albo cebulą: innego warzywa Rumun nie sadzi; zostawia ten zbytek bojarom albo przybyszom z Bułgaryi, którzy utrzymują ogrody. To też w spiżarni wiejskiej niewiele można przybierać na lekarstwo domowe. Więc rychło notaryca wyczerpała swoje zapasy; tedy stara Titiana orzekła, że więcej leków nie trzeba, bo chora już nie wyzdrowieje; nie wypada już nic, tylko tak, jak „obyczejul“ każe, wezwać do roboty znachorki, niech jeszcze chorobę „odczyniają“ albo „odśpiewują“.

Co znaczy odczyniać chorobę, to czytelnik *Przeglądu Powszechnego* wie, niestety, z guseł polskiego ludu, ale podobno nie wie, jak rumuńskie znachorki odśpiewują chorobę.

Odśpiewka rumuńska nosi na sobie mniej znamion guślarskich, niż środki używane, aby odczynić chorobę. O tyle odśpiewaczkę możnaby mieć za czarownicę, o ileby zakląć zamierzała chorobę słowami odśpiewki, albo im przypisywała jakąś niezawodną siłę, jakiś skutek zbawienny w chorobie. Ale najprostoduszniejsza ze wszystkich znachorek na świecie, rumuńska odśpiewaczka, ani choroby nie zaklina, ani nie zdoła powiedzieć, co przypisuje swojej odśpiewce; ot śpiewa, jak każe „obyczejul“, a czy przez to pomoże choremu? Spytana o to, odpowie: „jak Pan Bóg da, to pomoże, a jak nie da, to nie pomoże“. Prostota Rumuna nie rozróżnia między skutkami lekarstwa z apteki a skutkami odśpiewki. Wogóle żadnych skutków nie przypisuje ani siłom przyrody, ani innym jestestwom na świecie: wszystko jednemu tylko Panu Bogu. W rumuńskich pojęciach przebija

jakaś wiara, o której trudno wydać sąd stanowczy i orzec, co w niej tkwi, czy to, co najpobożniejszy z chrześcijan czuje, czy zasada fatalizmu. Rumun we wszystkiem widzi rządy Boga opatrznego: tak niezachwianie spogląda na nie okiem duszy, że może służyć za najpiękniejszy wzór dla nas, kiedy zapominamy, że nam bez woli Boskiej włos z głowy nie spadnie; ale przytem Rumun tak umie nieruchomem okiem spoglądać na Boga obecnego wszędzie i czynnego w każdym wypadku, tak bezczynnie przystaje na każdą przygodę, że nasuwa na pamięć pogańskie opisy wiary w fatum. Wyłowić nie da ze swojej duszy właściwego poglądu na bieg wypadków; zagadnięty o najprostszą rzecz, jakie tuszy o niej nadzieje, nie umie odpowiedzieć, chyba tylko bardzo ostrożnie, aby niczem nie uprzedzić przyszłych wyroków Boskich; tak np. gospodarz spytany, czy można teraz oczekiwać stałej pogody, odpowie: „może już teraz pogoda potrwa, bo dotychczas długo mieliśmy deszcze, ale może jeszcze nie ustanie słota, bo i słotę i pogodę zsyła Pan Bóg". A inny spytany, czemu nie wykopie rowów, aby spuścić wodę, która zalewa jego podwórze, odpowie równie ostrożnie: „może rów pomoże, może nie posłuży na nic. Jak Pan Bóg zechce, żeby woda zalała moje podwórze, to i rów nie przeszkodzi, bo wszystko zależy od Pana Boga".

Wystawże sobie, czytelniku, że przemawiasz w Kotnarach do starej Titiany, przejętej czcią dla odśpiewek, i chcesz ją przekonać, że nie wolno takiego środka przeciw chorobie używać zamiast lekarstwa. Niechże najstosowniejsze przykłady i najzręczniej użyte podobieństwa ułatwiają tobie sprawę z tą ciężką głową prostaczki, przecie zdołałeś jej najprzystępniej wyłożyć tę myśl, że między odśpiewką a powrotem do zdrowia żadnego związku nie upatrzy rozum z samej przyrody rzeczy. Titiana ostatecznie pojmuje, o co idzie, i albo sama albo przy pomocy obecnych, czy to doświadczonego Grigoriego, czy mądrego Sztefana, już powtórzy, że odśpiewka ze siebie nic nie ma do choroby, ani zdrowie nic do odśpiewki. Mniemasz już, że przecie czegoś dokazałeś, ale zaraz poznasz, że nie wykołatałeś nic, bo ledwo zamiast odśpiewki lekarstwo polecisz, zaraz i Titiana, i Grigorij

i Sztefan, a najśmielej stary Makowej zagadną: a dlaczego lekarstwo ma co do zdrowia, jeżeli odśpiewka nie ma nic? I wszyscy zaczną potakiwać na mądre pytanie. Darmo odpowiadasz, jak umiesz, i wyjaśniasz, co wiesz; słyszysz coraz natarczywsze zarzuty, coraz dosadniejsze pytania o sposób, w jaki lekarstwo działa na ustrój ciała ludzkiego. Uczujesz i sam sobie musisz już wyznać, że nie wiesz więcej od żadnego chemika na świecie o związkach pierwiastków i nie wyjaśnisz do ostatniego końca całej sprawy o tem, jakim sposobem np. chinina uśmierza gorączkę; musisz nakoniec powiedzieć, że doświadczeni lekarze świadczą o skutkach chininy. Na to Makowej odpowie: „Kiedy chinina służy skutecznie, tedy jej dał taką siłę Pan Bóg; ale doświadczeni nasi dziadowie świadczą o skutkach odśpiewki, więc odśpiewkom dał także siłę Pan Bóg. Nic ze siebie nie ma żadnej siły, bo wszystko daje Pan Bóg i wszystko od Pana Boga zależy. Jak Pan Bóg chce, to da skutek, a jak nie chce, to nie. Tylko że odśpiewka tania, a lekarstwo drogie; lekarstwo u każdego lekarza inne, a odśpiewka zawsze taka, jak każe „obyczejul".

Więc mówże z nimi! I może jeszcze nawet z nimi doszedłbyś końca, gdybyś mógł co zarzucić samej treści odśpiewek, ale wprost czarnoksięskich słów nie znajdziesz, a w wielu odśpiewkach słyszysz tylko wierszyki, bardzo dziecinne, bardzo nudne czasem, czasem nie pozbawione prawdziwej poezyi ludowej, a nawet ułożone na sposób pobożnej legendy, niby modlitwy nawet.

I właśnie, kiedy rozważasz, co odpowiedzieć Makowejowi, już Titiana, głosem wcale dobrze zachowanym mimo wieku podeszłego, zaczęła:

Szła Marjuka[1]
Przez drożynę,
Przez ścieżynę,
Urodziwa,
I pulchniutka,
I szczęśliwa,
I zdrowiutka.
Już przebyła
Pół drożyny,
Pół ścieżyny,
Zobaczyła
Potworzysko

[1] Albo kto inny, obecnie chory.

Z potworzątkiem
I żabisko
Ze żabiątkiem,
Dwuoczysko
Z dwuoczątkiem.
Te ledwo ją ujrzały
Zwaliły z nóg, schwytały,
Żółcią jej twarz polały,
I oczy jej zwalały,
Ciało w kawałki rwały,
Mięso z niej obgryzały,
I zdrowie jej odebrały,
Godzinę śmierci przyzwały,
Kości z niej połamały
I wszystką krew wyssały;
Z Marjuki, pełnej siły,
Nic dobrego zrobiły.
Marjuka zaczęła łkać,
Zaczęła łzy z oka lać;
Łkała do nieba wysoko,
Świat łzami zlało jej oko.
Nikt jej nie widział dokoła
I nikt nie słyszał jej zgoła.
Tylko Matka Boska stała,
Z za bram niebieskich czuwała.
Jedna Marjukę widziała,
Jedna Marjukę słyszała,
I nad nią się zlitowała
I tak do niej powiedziała:
„Marjuko! za czem masz łkać
I z oczu łezki tak lać?
Łkasz aż do nieba wysoko!
Łzami świat zlewa twe oko!“ —
„A jak nie mam łkać?
A jak łez nie mam lać?
Szłam drożyną,
Szłam ścieżyną,
Urodziwa,
I pulchniutka,
I szczęśliwa,
I zdrowiutka;
Już przebyłam
Pół drożyny,
Pół ścieżyny,
Zobaczyłam
Potworzysko
Z potworzątkiem,
I żabisko
Ze żabiątkiem,
Dwuoczysko
Z dwuoczątkiem.
Te ledwo mię ujrzały,
Już zwaliły, schwytały,
Żółcią mi twarz polały,
I oczy mi zwalały,
Ciało w kawałki rwały,
Mięso mi obgryzały
I zdrowie mi zabrały,
Chwilę śmierci przyzwały,
Kości mi połamały
I wszystką krew wyssały.
Tak ze mnie, pełnej siły,
Nic dobrego zrobiły“. —
„Marjuko, nie trzeba łkać!
Nie trzeba tylu łez lać!
Nie łkaj do nieba wysoko,
I wysusz sobie z łez oko.
Potworzysko
Z potworzątkiem,
I żabisko
Ze żabiątkiem,
Dwuoczysko
Z dwuoczątkiem.
Pójdą sobie na marne:
Połknie je Morze Czarne.
Tam dwie ryby pływają,
Co złote pletwy mają;
Dam znak, by czatowały,
Twoich wrogów porwały,
Żółcią im twarz polały,
I oczy im zwalały,
Ciało na strzępy rwały,
Mięso im obgryzały,
I zdrowie im zabrały,
Chwilę śmierci przyzwały,
Kości im połamały,
I wszystką krew wyssały.
Otrzyj sobie łezki z lic,
Nie doświadczysz złego nic!“

Tak odśpiewywała chorobę Titiana, a kiedy darmo szukasz, co w samej treści tej odśpiewki znajdziesz guślarskiego, już ją Titiana drugi raz zaczyna i trzeci raz powtarza, a przytem naciera chorą maściami z tartej cebuli. Kogo nie stać nawet na maść z cebuli, ten inną sporządza, na jaką stać jego biedną śpiżarnię.

Tak każe „obyczejul“ i trudno dosadnym dowodem przekonać prostaczków, że taki obrzęd zawiera coś pogańskiego. Nawet na maść z cebuli mógłby przystać każdy lekarz, gdyby widział, że np. Marjukę trapi ta właśnie choroba, która zwyczajnie Rumunom „przecina nić żywota“, owa sławna febra mołdawska, z której najłatwiej wyleczy, kto chorego natrze silnie maścią piekącą z cebuli, pieprzu i innych ostrych korzeni.

Ale nie każda odśpiewka tchnie tym samym duchem, co powyższa. W niektórych nie przychodzi już wzmianka o Matce Boskiej, tylko jakabądź bajeczka o potworach, które mają same ponieść takie męki, jakie zadały choremu. I do takiej odśpiewki po chwili musiała się uciec Titiana, kiedy poprzednia nie pomogła, czy to, iż stare ręce nie wcierały maści dość silnie, czy też dla tego, że Marjuka wcale nie zapadła na febrę. Ale ani druga odśpiewka nie pomogła. Na widok bezskutecznej pracy, Titiana odbyła naradę z innemi znachorkami i orzekła, że chorej już nie pomoże nic na świecie. Aby jednak im nikt nie mógł nic zarzucić, że w czemś uchybiły przeciw obowiązkom, nałożonym przez „obyczejul“, zaczęły jedna po drugiej wydobywać ze skarbnicy pamięci każda inną odśpiewkę. Jednak nawet najmniej chrześcijańska z tych odśpiewek wszystkich, nie zawierała nic bardziej zdrożnego, nad słowa zwykłe w ustach złośnicy. Titiana wyśpiewała przygodę, że chory spotkał po drodze babę ślepą, „baba-órba“, przez którą stracił zdrowie; za to Titiana wyzywa babę ślepą do walki, aby ją pokonać jej własną bronią; dalej grozi:

Co mi jedną ręką dasz:
Z moich dwóch wet za wet masz!
Co podwójną ręką dasz:
Z moich trzech wet za wet masz!

Co potrójną ręką dasz:
Z moich czterech odwet masz!
Co poczwórną ręką dasz:
Z moich pięciu odwet masz!
Co popiętną ręką dasz...

I tak dalej i dalej trwa ten przyrost nowych rąk na odwet, aż:

Co dziewięcią rąk mi dasz:
To z dziesięciu moich masz!
Aż nie zaschną ręce twoje,
Aż nie wyschnie gardło moje!

Nakoniec gardło wyschło wszystkim znachorkom; trzeba na to czekać długie godziny, czasem parę dni; oświadczyły, że widzą wyczerpany cały zasób środków domowych nad Marjuką, że darmo wszystkie odczyniały jej chorobę i odśpiewywały: Marjuka coraz słabszym głosem powtarza, że „już mamałygi jeść nie może". Kiedy tak stanowczo to oświadcza, czas już posłać po popów. Notar wyliczył „banie" znachorkom i pożegnał je; przygotował banie dla psałtów i „leje" (franki) dla popów, po których jutro dopiero można będzie rozesłać konie, bo dziś już późno, i kazał wszystkim spać, a sam siadł czuwać nad Marjuką.

Czuwał, póki nie usnął. I Marjukę sen także zmorzył. Zasnęła twardo, i rano wstała zdrowiusieńka: zadała kłam wszystkim wróżbom, wywiodła w pole wszystkie znachorki. Czy przez to osłabiła w kim wiarę w gusła i zabobony? O nie! cóżby mogło przekonać ten lud, że błądzi, kiedy zachowuje wszystko, co „obyczejul" każe?

* * *

Kiedy znachorki idą na własne oczy oglądać zdrową Marjukę, po drodze słyszą, że kowal, „kowacz", mężczyzna zdrowy i silny, choć nieswój od paru dni, nagle, bez żadnych znaków i wróżb, oświadczył, że mamałygi już jeść nie będzie i umrze. Słowa: „teraz już umrę!" w ustach Rumuna nie brzmią dziwnie i zasługują na wiarę; ten człowiek w stanie jakimś zdziczałym na łonie przyrody przeżyje swój wiek, przeczuje swój koniec, zapowie śmierć i umrze. Ledwo Rumun uroczyście oświadcza,

że umrze, zaraz znikną wszystkie lekarstwa, zabobonne środki nie śmią śladu po sobie zostawić, i chatka biednego i bardzo ciemnego Rumuna przybierze na kilka godzin przed jego śmiercią pozory domku zupełnie chrześcijańskiego.

Już do chorego kowacza rodzina zwozi popów; przynajmniej ich trzech musi pomazywać chorego ostatniemi olejami. Więc idą do wszystkich cerkwi poblizkich wózki, pozaprzęgane trójką koni. Czy te konie idą dobrze, czy źle, to sprawy nie zmienia; woźnica nie może cicho siedzieć na koźle: więc zachęca do biegu trójkę okrzykiem prawie nieustannym, a woła tak prawie, jak Mazur: „wio, wie, wii kyr!“ jak Mazur woła: „wio kary!“ choć powozi gniademi czy bułanemi.

Zjechało duchowieństwo licznie; tylu ich przybyło do bogatego kowacza, że nawet jego kieszeń nie wystarczy na leje dla nich; ale cała gromada najchętniej dorzuci; stąd bania, stamtąd leja — każdy coś złoży na „żertfę“ dla Boga, bo tu idzie o ostatnie oleje, o „maslul“, a maslul w oczach Rumuna więcej znaczy od spowiedzi, „spowada“. od „służby“, Mszy.

Po odejściu duchowieństwa następują zwykle uroczyste przeprosiny. Przeprosiny stanowią u Rumunów sprawę tak świecie wymaganą od śmiertelnie chorego, i jemu tak leżą na sercu, że niedawno jeden, w obawie, czy dożyje uroczystych przeprosin, w nocy wstał ze śmiertelnej pościeli i ledwo nie na czworakach zawlókł się do sąsiada, z którym wpadł był w zatarg. Kołatał do zamkniętych drzwi tak długo, aż zbudził obrażonego, przeprosił ostatniemi słowami: „przebacz, bo umieram“, wrócił do siebie i wkrótce jeszcze z Bogiem pojednany, spokojnie zgasł. — Zwyczajnie chory, wzywa przed swoje „łoże boleści“ wszystkich domowników i sąsiadów, nadto znajomych, z którymi miał kiedybądź przykrą przeprawę, i teraz „u progu śmierci“ każdego osobno przeprasza; wyznaje każdą winę, choćby najdrobniejszą, i ze łzami w oczach powtarza: przebacz! przebacz!

Widok tych rzewnych przeprosin, tych wyciąganych dłoni na znak odpuszczonej urazy, tego płaczu, którym wiele piersi obecnych łka w tej chwili uroczystej: to wszystko przypomina najpiękniejsze obrazy zwyczajów chrześcijańskieh i tak przema-

wia do serc, że najzakamienialszy wróg, przebłagany prośbami odpowiada także wzruszony: nie mam żalu żadnego do ciebie... za mnie nie masz nic odpowiadać na Boskim sądzie!

I po tych przeprosinach Rumun, podług ludowego języka, już nie umiera, tylko usypia. A gdyby umarł niepojednany, mówią, że ciężko umierał.

Następnie chory rodzinie przekazuje wolę ostatnią. Rzadko który wieśniak umie napisać testament, choćby podpisać; najczęściej ustnie, „językiem śmierci“ wobec świadków rozporządza swoim majątkiem. Najprzód idą znaczne wydatki na pogrzeb i szczegółowe przepisy o nabożeństwach, których wiele żąda Rumun za swoją duszę; o jej potrzebach każe święcie pamiętać pozostałym, a choćby znaczniejszą część majątku na te potrzeby przeznaczał, może liczyć, że nikt z rodziny ani myślą nie zgani woli jego ostatniej. Następnie dzieli spuściznę między rodzinę: oczywiście żadnemu ze spadkobierców nie będzie wolno tknąć swojego działu, póki pierwej nie spełni sumiennie całej woli nieboszczyka co do nabożeństw. Każdy spadkobierca wdzięcznie przystaje na wyznaczoną część dziedzictwa, ani podziału żaden nie nazwie niesprawiedliwym; nikt tego nie pomyśli w tej chwili uroczystej, wobec nietykalnej powagi „języka śmierci“. A nawet potem niesłychanie rzadko zachodzi wypadek, aby spadkobiercy wszczynali między sobą sprawę sporną z powodu niesprawiedliwego działu. A jeżeli kiedy powstanie spór, w takim razie pochodzi nie tyle stąd, żeby któryś ze spadkobierców zazdrościł drugiemu jego cząstki, jak raczej stąd, że któryś zalega z wypłatą zapisu na nabożeństwo za duszę nieboszczyka: tedy drudzy zanoszą na niego skargę, że nie czci „języka śmierci“.

Nakoniec chory, który przynajmniej kilka chwil ostatnich spędzał na ziemi po chrześcijańsku, dogorywa: wtedy trzymają przy nim zapaloną świecę. Czemuż z tą chwilą już jakby uleciał duch chrześcijański z biednego domostwa a pogaństwo wróciło z całym taborem guseł i zabobonów? Już ta świeca, zapalona niby gromnica, rozpoczyna długi pochód obrzędów, od których nie wolno odstąpić, aby nie przedłużyć choremu chwil zgonu. Dla tej samej przyczyny przy chorym zostają już sami obcy, wyjść muszą

wszyscy jego bliżsi i zaufani przyjaciele. Kiedy mimo to zgon trwa dłużej, tedy jedni drugich prześcigają pomysłami guślarskiemi: każdy z innym czarem przychodzi na pomoc duszy, aby wyszła z ciała.

Nakoniec środki odniosły skutek: chory oddał ducha. Ledwo śmierć zaszkli mu oko, zaraz jedni z pośpiechem zamykają powieki, aby nieboszczyk nie widział smutku po sobie, a drudzy biegną do drzwi i okien: wszystkie roztwierają na oścież, aby dusza miała którędy wyjść z domu. Za wielkie to nieszczęście uchodziłoby, gdyby przypadkiem nieboszczykowi nikt nie zamknął oczu zaraz po zgonie. Waga przykładana do tego szczegółu, przypomina zgryzotę, z jaką poganie przewidywali, że nikt im może nie zamknąć powiek zaraz po śmierci. Pliniusz zachował nam świadectwo (*Hist. Nat.* XI., LV), że „u Kwirytów święty obrzęd srogo przykazuje zamykać oczy umarłemu i znowu je otwierać na stosie". Za jedno z najgorszych przekleństw u Rumunów uchodzą słowa: „oby Bóg nie zesłał nikogo, ktoby ci zawarł oczy przy śmierci!" Podobnie Owidyusz wylewa w liście do Aryadny swój ból na myśl, że:

Nikt do wiecznego snu,
Oczu nie zamknie mi tu!

albo w *Trist.* III., 43:

Komubym wolę tu zdał
Ostatnią?
Choć jęknę, kto mi tu bratnią
Duszą współbolećby miał?
Kto wzrok mi zakryćby chciał?

Mniejszego już nieszczęścia życzy, ale także rzuca przekleństwo, kto powie: „Bodajeś w dzień skonał!", bo za dnia ptaki nie dają spokoju duszy, więc szczęśliwiej umiera, „komu gwiazda jego gaśnie" w nocy. Gaśnie każdemu przy śmierci jego gwiazda na niebie, ta gwiazda, od której każdy z nas, wedle Rumunów, zależy we wszystkich przygodach i całej doli swojej albo niedoli.

A może nad nieboszczykiem świeciła gwiazda szczęśliwa, może nieboszczyk nosił ze sobą szczęście całego domu, bo zawsze ktoś z rodziny je nosi, tylko nie wiadomo kto... więc

pozostali, aby na wszelki przypadek szczęścia nie stracić, obcinają nieboszczykowi trochę włosów, zwijają je, wtykają do dziury w ścianie albo we drzwiach, i zabijają gwoździem albo kołkiem, pewni już, że po nieboszczyku zachowali jego szczęście dla domu.

Ludzie z wyższych stanów obcinają długie kosmyki włosów nieboszczykom i wyplatają z nich „lancużele“ (łańcuszki), aby je przechować, a z niemi szczęście po nieboszczyku.

Potem wybrani osobno ludzie, nadzwyczaj starannie obmywają zwłoki z różnemi obrzędami i przepisami, jak gotować wodę, gdzie ją następnie wylewać, jak po niej oczyszczać naczynie; nakoniec pomazują zwłoki maściami z wonnych ziół.

Jakich wieków sięga ten uroczysty obrzęd?

Rzymianie starożytni zostawili w pisemnych pomnikach wzmiankę i o obcinanych włosach nieboszczykowi, i o ich zwłokach obmywanych i namaszczanych przez osobnych do tego ludzi: *polinctores*. Między innymi Wirgiliusz śpiewa (*Aeneid.* VI., 219):

Płomień zaczyna już tlić,
Już wybucha... i kotły już ciepłe...
Woda zawrzała, czas myć
I namaścić zwłoki zakrzepłe.

W innem znów miejscu Wirgiliusz (*Aeneid.* IX., 491) powtarza skargę matki, która nie mogła zwłok syna odziać szatą pośmiertną, a pospiesznie ją szyła dniem i nocą, i słodziła tem zgryzotę; podobną troskę do dziś żywią Rumuni, aby nieboszczyka ubrać pośmiertną szatą jak najokazalszą.

I dalsze teraz przepisy, na tę chwilę nałożone Rumunom przez „obyczejul“, przenoszą już całkiem widza w wieki, opisane przez klasyków. Chce kto własnemi oczyma oglądać, co na myśli Pliniusz miał, kiedy pisał (*Lib.* VII. 8): „Z obrzędu przyrodzonego zwykle człowiek przychodzi na świat głową, wychodzi nogami“, albo Persius (III., 106):

Wonią na cały już dom
Namaszczone zapachną wnet zwłoki...
Stopy zwrócone ku drzwiom
Wnet postawią ostatnie już kroki...

kto chce zrozumieć podobne zwroty klasyków, niech w Kotnarach ogląda, jak dla nieboszczyka szukają miejsca w izbie, aby ułożyć zwłoki na marach z nogami koniecznie zwróconemi ku drzwiom — nogami ma wyjść, nie głową.

Po chwili ujrzysz czytelniku coś jeszcze klasyczniej pogańskiego; pamiętasz o obolu? o tym pieniążku, dawanym nieboszczykom na opłatę dla Charona za przejazd Styksu? Umarły Rumun do ręki dostaje woskowy krzyżyk, z wetkniętym do środka pieniążkiem, a starzy poświadczą, że za młodych lat widywali ten pieniążek wkładany w usta nieboszczykowi. W okolicach Soloneć i Todireszćź, Słupki i Balacziany niech kto zagadnie rodzinę rumuńską, po co wtyka pieniążek nieboszczykowi, usłyszy odpowiedź najwymowniejszą, że między nami a drugim światem płynie rzeka, przez którą starzec dusze przewozi, dla niego zaopatrzyć trzeba nieboszczyka pieniążkiem.

Tymczasem słychać za drzwiami stuk: to siekiera zacina „prapor“ (proporzec), który zaraz wbiją w ziemię przed domem. Cóż to za prapor? Drzewko, najczęściej młoda sośnina, wogóle przynajmniej szpilkowe, w braku szpilkowego młoda śliwa, a kiedy jej niema, to ostatecznie jakiebądź drzewko, przyozdobione podobnie jak dla niemieckich dzieci choinka na Boże Narodzenie. Skądże znowu ten obyczejul? Może masz w ręku Pliniusza: znajdziesz (*Hist. Nat.* XVI., 10, 18) ustęp: „Sosnina w górach sobie lubuje i mrozach, żałobne drzewo i na pogrzebowy znak przed drzwi wtykana“. A zamiast sosny przed pałacem patrycyusza rodzina zatykała, jako godło żałoby, cyprys, według Lukana (*Phars.* III., 442):

Pańskiej żałoby tu znak: przed bramami zatknięte cyprysy?

o czem wiemy także od Wirgiliusza (*Aen.* III., 63), Horacego (*Ode* II., 14, 23) i innych klasyków.

Nakoniec orszak pogrzebowy rusza. Na czele wprawdzie, czytelniku, zobaczysz krzyż i sztandary z obrazami chrześcijańskiemi (chorążymi mogą być kobiety), usłyszysz śpiew chrześcijańskiego kapłana: masz jakąś rękojmię, że wyraźnie nie ujrzysz nic pogańskiego; jednak uważaj bacznie, a dojrzysz i usły-

szysz niejedno, co widzieli przy pogrzebach i opisali Horacy, Festus i Cycero. Pamiętasz ich świadectwa o *neniach* płaczek? Słuchaj płaczek rumuńskich... niejedna skończy żale okrzykiem potrójnym: *neno, neno, neno!* Słowa tego nie znajdziesz zwykle w słowniku rumuńskiego języka, ale w obszernym słowniku starożytnej łaciny znajdziesz pod wyrazem *praefica* opis rumuńskiej płaczki z jej neniami. Wspominają także ci pisarze o winie, którem poganie kropili zwłoki i stos pogrzebowy. Rumun niesie osobliwe naczynie z winem przy pogrzebie za popem, który tego wina używa, jakby wody święconej, aby kropić nieboszczyka. A pamięć o Styksie, przez który dusza przechodzi, ciągle pokutuje przy pogrzebie w postaci płótna, rozścielanego wszerz drogi, aby przez nie przejeżdżał wóz ze zwłokami. To znowu ubogim dają, popu wtykają w ręce pieniążki na pożytek nieboszczyka, jako przewoźne jego przez rzekę. Przytem co kilkaset kroków orszak staje, odprawia „popasul"; przewóz duszy idzie trudno... trzeba jeszcze więcej modlić się i kropić winem. Naczynie owo z winem zatrzymało do dziś dnia nazwę *Paus,* którą Rzymianie dawali osobnemu „bożkowi wiecznego odpoczynku".

Nakoniec przed cmentarzem ostatni „popasul". Za chwilę już spuszczą trumnę do grobu, więc trzeba teraz pozdejmować z nieboszczyka czy nieboszczki wszystkie pierścienie, kolczyki, spinki, i cokolwiek na zwłokach można znaleźć złotego albo srebrnego. Jakżeżby mieli zabić trumnę nad złotem i srebrem? Wszak rzymskie prawo dwunastu tablic zabrania tego stanowczo, a Cycero *(De legibus* II., XXIV.*)* świadczy, że nikt uczciwy nie śmiał tej ustawy przekroczyć.

Po pogrzebie przez czterdzieści dni jeszcze nie ustaje troska o nieboszczyka: nic więcej dla niego już nie można zrobić, to przynajmniej trzeba przez ten czas nosić wodę na jego grób, bo dusza nawet cnotliwego człowieka, jeszcze pokutuje przynajmniej sześć tygodni. A dusza grzesznika odbywa pokutę o wiele dłużej; latami całemi błądzi po świecie, skazywana nieraz na nowy żywot w ciele ludzkiem albo zwierzęcem, póki nie wypłaci długu win i nie zasłuży na wstęp do raju.

* * *

Cóż czytelniku? Czy wycieczka do Kotnar z klasykiem, w ręku nie wyjaśni żadnego ustępu o starożytnych obrzędach? Może teraz jaśniej rozumiesz klasyka, ale nie sądź, że już zrozumiesz, co tkwi w duszy Rumuna. W istocie cudzoziemiec przybyły do Rumunii stoi tu wobec tysiąca dziwów, i mnóstwa zagadek, na które słyszy niezmienną tajemniczą odpowiedź: *jeste obyczejul* (jest obyczaj)... i ten wszechwładny mocarz obyczejul dziwnie potężną prawicą dzierży berło nad milionami serc rumuńskich i każe im każdə tętno wybijać inaczej, niż w zachodniem chrześcijaństwie. I na widok tych osobliwych piętn chrześcijaństwa rumuńskiego, cudzoziemiec zadaje sobie pytanie: co to za człowiek, ten Rumun? Na zewnątrz ten Wołoch nieco Włocha przypomina, ale tylko z pozoru. We wnętrzu duszy posiada jakiś przedwieczny zarodek zastoju, jakiś rozrośnięty olbrzymio zmysł zachowawczy, niby słowianin, ale chyba wyrodny, bo nie cierpi Słowiańszczyzny. Tę tajemniczą i znamienną cechę swojego zmysłu zachowawczego w stopniu niemożliwym gdzieindziej, tak niepodzielnie posiadł Rumun i tak wyłącznie dla siebie ją zachowuje, że obcym przybyszom choć oddawna zamieszkałym wewnętrznych piętn swojej istoty nie udzieli nigdy. Ledwo na Madiarów osiadłych tu od wieków, zaczął przelewać swojego ducha i zawiązywać im oczy na wszystko, o czem milczy obyczejul. Inni katolicy do Rumunii napływają z Zachodu ciągle i osiadają w niej licznie: choć po dziesiątkach lat pobytu między Rumunami przyjmą ich język, strój zewnętrznych oznak wiele, ale jeszcze nieprzebytym odstępem oddzielili swoje dusze od ducha rumuńskiego, żadnej grobli nie chcieli usypać, czy nie mogli. A nawet zrumunizowanych Ungrów jeszcze otchłań dzieli od Rumunów: zawsze Ungar pójdzie zwinniejszym krokiem, zawsze przemyśli coś i przedsięweźmie na poprawę swojej doli, do dzieła stanie raźniejszy, przyłoży do niego duszę, a nie daje jej spać. Każdy bojar, każdy zarząd kolei, każdy przedsiębiorca woli do roboty znaleźć Ungra, niż posągowego Rumuna. Rumun zasklepił nad sobą swoje niebo, stworzył dla siebie świat odrębny, zagrodził swoją ziemię nieprzebytemi lodami do koła,

i usłał sobie w niezamąconej ciszy legowisko dla duszy, ułożył ją nieruchomo i kazał jej... spać.

Nic tego snu nie przerywa. Ciałem Rumun ożywiony, ciekawy jak dziecko, rozmowny, uprzejmy, wrażliwy, chciwy wiedzy, tysiąc zalet posiada, ale żywot duchowy na jedną tylko myśl zdoła wytężyć cały swój zasób sił: na myśl o tem, co każe obyczejul, jego pan wszechwładny. I przez to właśnie ten lud tak niewymownie przywiązany do dróg utartych, tak zacięcie głuchy na wszelkie hasła niezwykłe, sam stanowi niezwykłe zjawisko dla każdego cudzoziemca.

Zkądże to pochodzi?

Katolicyzm nigdzie dusz nie pozbawia ruchu, nie ubezwładnia ich, nie oblepia skorupą zakrzepłego względu na to jedynie, wszędzie i zawsze, co dawniej bywało. Kościół Powszechny stoi przed światem jako niewzruszona opoka prawdy niezmiennej, jako jej świadek nieugięty, ale żywy i czynny: choć zasad wiary nie pchnie na tory nowych tajemnic, przecie od wyznawców tej wiary żąda ciepłego serca dla tych prawd niewzruszonych, żąda od nich ciągłego postępu naprzód w świetle tych zasad nietykalnych, każe im rozwijać zasób sił duchownych, działać i czynem żyć: wykuwa z nich postaci, godne posągów, ale nie martwe pomniki. Zachowawczy zmysł, ta poważna struna serca słowiańskiego, znajdzie w Kościele Powszechnym najotwartszego obrońcę w walce przeciw wszelkiej nauce przewrotu, przeciw wszelkim nowinkom i przeróbkom, wiary, ale musiał z biegiem wieków wymódz na sobie tysiączne odstępstwa od starych narowów i dawno już sobie z pamięci wybił np. nad Wisłą przepisy z czasów Trygława i Łady.

Rumuński lud stoi do dziś dnia nieruchomym pomnikiem albo niemym świadkiem doby, w której tu chrześijaństwo zastało bałwochwalców. Cerkiew osadzona na mieliźnie cezaropapizmu, zdołała zabić bałwochwalstwo w Rumunii rozkazem władzy świeckiej, ale nie zdołała sił żywotnych wlać w kraj, zroszony wodą chrztu, nie umiała owiać jego mieszkańców duchem chrześcijańskich pojęć i czynów; tylko trupa po zabitem pogaństwie

zabalsamowała i siadła przy nim brać dochody od ciekawych prostaczków, którzy chodzą do niej na widowisko.

W Rumunii tyle widać ruchu, ile odstępstwa od cerkwi narodowej, a zapału dla haseł wolnomyślnych; tyle tu słychać o zmianach, o nowych przedsiębiorstwach, o żywszem tętnie żywota społecznego, ile skarg, że teologia cerkiewna nic nie wyjaśnia, nie oświeca rozumu umiejętnym poglądem na świat, nie zaspokaja serca nauką o szczęściu prawdziwem. A nowe te wolnomyślne prądy coraz bardziej się szerzą.

Niczem bowiem nie skrępowana swoboda słowa w Rumunii otwiera usta każdemu zwolennikowi racyonalizmu, przeistacza nawet przedziały wozów kolejowych w uczelnie ewolucyonizmu, przepełnia te wykłady obelżywemi wycieczkami przeciw chrześcijaństwu, drwinami z nabożeństw i świętych Pańskich, bluźnierstwami przeciw samemu Bogu. Podręcznik szkolny może szerzyć bezbożne zasady, a nikt nie kiwnie palcem na taką np. książkę dla młodzieży, która napisana jest w duchu Straussa i Renana. Ostatecznie na polu zasad wyznaniowych spotkać można takie nieuctwo u ludzi najlepszych chęci, że może ani sam pisarz tej książki bezbożnej dla młodzieży nie ocenił należycie, co za strawę podał umysłom niewyrobionym, ani ministeryum nie posiada ludzi dość światłych, aby spostrzegli, w jakim duchu prowadzą młode pokolenie. Wiedzą ci zwolennicy prądów wolnomyślnych i jasno rozumieją, że Cerkiew rumuńska nie odpowiada swojemu posłannictwu nauczycielki prawdy, że nie dorasta do stanowiska, na jakiem stać winna w przeddzień wieku XX., ale czego mianowicie tej Cerkwi brakuje, tego nie pojmują. Ale mniej jeszcze to dziwi słyszeć świeckich bojarów, przekonanych o braku prawdy w Cerkwi narodowej, o braku nauki w jej wykładach teologii. Większą niespodziankę stanowi podobna skarga na ustach samego duchowieństwa rumuńskiego, którego część także podziela ujemny sąd o własnej nauce teologicznej po seminaryach.

Duchowieństwo światlejsze nie tai przed sobą, że ciemną drogą samo idzie i prowadzi za sobą lud... Nie czuje nad sobą jasnego słońca prawdy, w którego świetle otworzyłoby owiecz-

kom oczy na bezdroże pogaństwa, w jakiem je utrzymuje „obyczejul". Na ten smutny widok spogląda nieraz ze łzami i powtarza: I dojśćże teraz ładu z tym biednym ludem! Znaleźć teraz radę na jego przesądy!.. Cerkiew przez kilkanaście wieków nic nie poradziła. Więc jej sługa nieraz wyznaje, że w niejednym względzie nie tyle umie, ile potrzebuje, i ze czcią spogląda na stopień nauki duchowieństwa katolickiego. Nie dawno czterech kleryków z autokefalicznego seminaryum przyszło w Jassach do rektora seminaryum katolickiego z prośbą, aby tu mogli słuchać wykładów teologii. Rektor, uderzony niezwykłą prośbą, odpowiedział: „Przypuszczam chyba, że skłaniacie serce ku Kościołowi Powszechnemu, dlatego chcecie poznać jego naukę?" „O tem nie myślimy, — odpowiedzieli — ale pragniemy przecie coś umieć, a nie tracić czasu, jak dotychczas, na wykładach naszych profesorów". Świadkowie tego wypadku nie pamiętają, czy biedni klerycy wyraźnie oświadczyli, że za zgodą swojej władzy przyszli z tą prośbą, ale oczywiście trudno przypuścić, aby bez wiedzy zwierzchników zamierzali codzień przychodzić na wykłady katolickiej teologii.

W ostatnim czasie znowu kilku z nich zadzwoniło do drzwi katolickiego seminaryum: „pozwólcie nam przynajmniej oglądnąć z blizka ten przybytek waszej nauki!" Zaproszeni do wnętrza obeszli te nie sale, ale izby wykładowe, w których katoliccy klerycy mają zarazem swoje pokoje mieszkalne, zwiedzili te ciemne pokoiki, z wilgotnej drewutni przerobione, przeglądnęli murowane i drewniane części domostwa, doczepiane jedna do drugiej, byle przecie sklecić coś jako tako mieszkalnego, ze czcią spoglądali na tych doktorów z uczelni zachodnich, spotykali seminarzystów w sutannach dobrze wytartych, a wesołych i spokojnych, jakby ubóstwo ani w seminaryum im nie dolegało, ani nie czekało ich na parafiach; usiłowali pojąć tajemnicę, jak seminaryum katolickie przy środkach tak szczupłych zdoła takim zapasem bogatej wiedzy i prawdy wyposażyć umysł wychowańców... i odeszli zamyśleni. Czy komu z nich przyszło na myśl, że przyczyną tej żywotności katolicyzmu może być prawda?

Stracić wiarę w powagę swej Cerkwi Rumuni mogą, ale

gdy to nastąpi nie ku owczarni Piotrowej zwracają oko, tylko duszę, długo skrępowaną, puszczają na wolę wiatrom i burzom i z odwagą, godną lepszej sprawy, pędzą przed siebie, jak żeglarze bez kompasu. I porywają ich prądy, aby unosić ku Zachodowi, ku paryskiej ogładzie, ku blaskowi stolic niemieckich, ku światłu europejskich wszechnic, skąd można czerpać wiedzę, gdzie tyle wynalazków ułatwia żywot w wygodach. Najnowsze wynalazki chyba zacofańca zdziwią, który nie wie, że w rumuńskiej wsi znajdzie telefony tak dobrze znane, jak w biurze ministra wiedeńskiego.

Z zachodnich podróży młody bojar, z zachodnich wszechnic urzędnik przywozi do kraju gorączkę, ruch, nowe pomysły, żyłkę przedsiębiorczą i zwyczaje daleko gorsze od tych, do których prostaczków zmusza ich „obyczejul". Odstępca od wiary cerkiewnej przestał drzemać, zaczął pełnemi płucami wdychać obce powietrze, łapczywie chwytać poglądy wolnomyślne i na pniu ojczystym szczepić obecny postęp europejski. Jedynie w jednym względzie nie wyszedł poza ciasny widnokrąg zakorzenionych poglądów: w Kościele Powszechnym po dawnemu widzi świat niemożebny dla siebie. Niedawno zaszedł jeden z licznych wypadków, które świadczą, że do dziś dnia, mimo tylu prac misyonarskich, jeszcze Rumun nie może dostrzedz związku między sobą a Kościołem Powszechnym. Powiedział sobie od wieków, że to Kościół obcy, bardzo czcigodny i silniejszy umysłowo od Cerkwi rumuńskiej... ale dla cudzoziemców dobry i doskonały, dla Rumunów zupełnie obcy. Otóż któryś z misyonarzy katolickich musiał ostatniemi czasy odwiedzić wielu urzędników rumuńskich i wchodzić w stosunki z bojarami. Gospodarz domu, któremu służba przedstawiała księdza katolickiego, zwykle otwierał już usta w jakimś z języków zachodnio-europejskich, aby witać gościa chętnie widzianego. Ale gość uprzedzał i pierwszy zaczynał rozmowę płynną w czystym języku rumuńskim. Po chwili słyszy od zdziwionego gospodarza pytanie, czy istotnie katolicki to ksiądz przeszedł progi jego mieszkania. „Niewątpliwie katolickiego księdza Wasza Godność gości u siebie". „Ale Wasza Świątobliwość używa w rozmowie języka rumuńskiego i włada

nim biegle!“ „Czemuż to zastanawia Waszą Godność? Wszak zwykle znamy więcej języków prócz ojczystego...“ „Tak, nas nie dziwi w ustach księdza katolickiego wprawa w kilku językach: włoskim, francuskim, niemieckim i t. d., ale czy katolik może tak samo mówić jak Rumun?...“ Nie mało się zdziwiła, a może ucieszyła „Jego Godność“, gdy usłyszała od księdza, że słudzy Kościoła Powszechnego bratają się z każdym narodem, nie wyjąwszy rumuńskiego, i jego językiem mówią.

Na tem miejscu można jednak zadać pytanie: Czemu Kościół powszechny w tem królestwie wygląda tak obco? Czy tylko Cerkiew wpajała w umysły zasadę, że Kościołowi nic do Rumunów?

Na nieszczęście zbieg różnych wypadków rzucał na ziemie hospodarów takich katolików, że lud zapytywał: czy to Turcy, czy gorsze od Turków plemię? Do dziś zwaliska cerkwi, obróconych w perzynę, szczątki monasterów, z których czernice uciekały przed hańbą, świadczą, że księga dziejów wojennych kryje w sobie stronice o treści bardzo zagadkowej. Wreszcie brakło takich przedstawicieli religii katolickiej, którzyby się starali zbliżyć się sercem do tego ludu, zrozumieć jego potrzeby. Dziś, Bogu dzięki, już się coś pod tym względem robi.

A po świadectwie dziejów idą żywi świadkowie o takich wyznawcach wiary powszechnej, którzy z zimnem okiem przechodzili koło wszystkiego, co Rumun kocha, jawnie szydzili z bólów Rumuna, deptali dumnie, co Rumunowi kazał czcić, już nie obyczejul, ale zakon wrodzony; a na domiar, kiedy kopali przepaść między sobą a Rumunią, wtenczas obłudnie przypisywali sobie posłannictwo przedstawicieli katolicyzmu i opiewali, jak szczodrze im papież odwdzięcza wierne zasługi, a lud nie rozumiał, że tak bezecnie możnaby kłamać!

Ale na szczęście wszystko to należy już do doby minionej. Tkwi to jeszcze w pamięci, ale zacieranej codzień, kiedy inny widok uderza oczy i pokazuje obraz zupełnie odmienny. Powoli do coraz szerszych kół rumuńskich dochodzą wieści o pracy katolików, zrośniętych z Rumunią duszą i sercem... dziś jedni drugim powtarzają np., że jasskie seminaryum katolickie szcze-

rych Rumunów wychowuje, że od rana do wieczora potoczna rozmowa niczem nie odróżnia kleryków katolickich od autokefalicznych, że w stosownej chwili, jak przy odwiedzinach królewskich albo przy wstępie którego z dostojników w progi seminaryum, słychać powitalną mowę rumuńską, albo i wiersz powitalny, o którym może zbyt pochlebnie powiedział minister oświaty, że należy do pereł literatury rumuńskiej. Dziś zaczyna Rumunia spostrzegać, że wiara powszechna to nie zamorski świat, z którym syn tej krainy nie ma nic wspólnego.

Ks. K. Czaykowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Austryacki proces cywilny. *Dr. Władysław Daisenberg.* Lwów 1898. (Zeszyt I., str. 160).

P. Daisenberg, były docent filozofii w uniwersytecie Jagiellońskim i autor kilku dzieł filozoficznych („Dzieje filozofii prawa i państwa", tom I., „Dzieje filozofii nowożytnej", „Filozofia duchowego rozwoju", *Theismus und Pantheismus*), obecnie obrońca w sprawach karnych we Lwowie, rozpoczął tym zeszytem publikacyę ciekawą i na wielkie zakrojoną rozmiary. Ma to być studyum, poświęcone naszej nowej procedurze cywilnej, ale zarazem obejmujące wiele innych spraw i zagadnień, które nasuwają się same, kiedy jest mowa o sądownictwie, albo też z niem dadzą się połączyć. Główną treść tego zeszytu stanowi rozbiór kwestyj filozoficznych, odnoszących się do istoty ludzkiej, do religii, etyki, do podstaw prawa i państwa, jak wskazują już same napisy rozdziałów: I. Człowiek i prawo, II. Religia, moralność i prawo, III. Prawo i państwo. We wstępie zaś porusza szan. autor sprawę pierwszorzędnej doniosłości, domagając się reformy austryackiego sądownictwa. Według jego zdania, system nauczania na wydziale prawnym „wymaga radykalnego przekształcenia i obmyślenia stosownych środków zaradczych, aby słuchacz praw nie mógł przepędzać czasu, dla nauki przeznaczonego, jako pisarz, guwerner lub w innym charakterze, zdala od uniwersytetu" (str. 28). Chciałby on dalej wyswobodzić całkowicie sądownictwo z pod władzy rządu, który ma na nie wywierać wpływ, niezgodny z ustawami zasadniczemi (str. 22), a zwłaszcza

pragnie p. D. ograniczenia samowoli prezydentów: „Władza prezydentów nie może pozostać tak absolutną, jaką jest dzisiaj, nie długo czekać, a wiatr wolności i niezawisłości sędziowskiej, prawdziwej, a nie pozornej, zdmuchnie i absolutyzm prezydentów, których urzędowanie wymaga dla dobra stanu sędziowskiego, aby władze wyższe na nie miały zwróconą baczniejszą uwagę, niżeli dotąd“ (str. 18). Żali się on w kilku miejscach na „lizuństwo“ *(sic)* i „karyerowiczostwo“ (str. 3), które ma być rakiem, toczącym sądownictwo nasze. Czy zapatrywania autora na panujące w tej dziedzinie stosunki nie są zbyt pesymistyczne, w to nie wchodzimy; w każdym razie nie można odmówić słuszności jego myśli zasadniczej, że los sędziego nie powinien być zawisły od dobrej woli i łaski przełożonych.

Co się zaś tyczy poglądów filozoficznych p. Daisenberga, stwierdzamy najpierw z przyjemnością, że nie należy on do owych pisarzy, którzy upatrują jakąś sprzeczność między rozumem a wiarą, owszem staje on stanowczo po stronie religii i wypowiada o niej wiele zdań, zawierających głębokie prawdy. Tak np. czytamy na str. 130 i nast.:

„Jak w człowieku nie może być mowy o wiedzy, uczuciu i woli, bez ducha wiedzącego, czującego i działającego, tak i w wszechświecie nie mogłoby być celowości, harmonijności ani organizacyi sił, gdyby w nim nie było Rozumu Boskiego, Serca Boskiego i Mocy Boskiej. Bez Boga o etyce nie może być mowy. To zdanie nie jest wymysłem księży i świętoszków, boć pierwsi filozofowie pogańscy, bez wpływów obcych, siłą jedynie swego rozumu, doszli do poznania tej prawdy“. A na str. 143: „Jedynie etyka ewangeliczna zdąża do postępu i jest podporą cywilizacyi“. Szan. autor jest szlachetnym idealistą, a nawet czyni ową sławną trójcę ideałów: prawdy, dobra i piękna, podstawą swojej filozofii; ludzkość ma się, według niego, ustawicznie doskonalić, zdążając do tych ideałów: „harmonijna współdziałalność prawdy, piękna i dobra pojawia się nietylko w jednostce ludzkiej, ale na większe jeszcze rozmiary w moralnych organizmach, jakiemi są rodzina, ród, naród i społeczeństwo z jednej strony, a gmina, kraj, państwo z drugiej strony“ i t. d. (str. 71).

Jednakowoż znajdujemy w tym zeszycie także wiele zdań, na które niepodobna się zgodzić. Wogóle nadmienić trzeba, że metoda autora nie jest dość ścisłą. Nie rozwija i nie wyprowadza on jednej myśli z drugiej, poprzedniej, ale traktuje rzecz często po platońsku, mówiąc o zagadnieniach najtrudniejszych, jako o rzeczach, które cał-

kiem jasno odsłoniły się oczom jego duszy; wie on np., że podobnie jak powszechne ciążenie „utrzymuje ruch gwiazd i porządek w całym świecie materyalnym“, tak „analogiczna grawitacya podtrzymuje cały ruch i porządek w całym świecie duchowym. Wszystko, co choćby iskierkę tylko duchowości w wnętrzu swem kryje, ciąży do doskonałości bezwzględnej, kupiącej w sobie bezwzględną prawdę, bezwzględne piękno i bezwzględne dobro“ i t. d. (str. 45). Podobnych zdań wypowiada p. D. znaczną ilość, żadnego zaś nie popiera ścisłym, przekonywującym dowodem, ani też nie powołuje się na dowody, dostarczone przez innych. A przecież nasuwają się tu przeróżne wątpliwości, które należałoby uwzględnić. Weźmy tylko same myśli zasadnicze autora: „Duch jest świadomą siebie siłą, zawsze z pewnym stopniem energii działającą, a umysł, uczucie i wola są trzema różnemi władzami jednego i tego samego ducha, ale tryskającemi z jednego i tego samego źródła, a tem samem zestrzeliwającemi się w jedno ognisko“ (str. 37). Wszystkie objawy umysłu, woli i uczucia są wytworami sił oddzielnych (str. 38). Ta teorya nie ma już wielu zwolenników między dzisiejszymi psychologami, ponieważ nazwa „siły“ lub „władzy“ nie wiele wyjaśnia (wyrazy te oznaczają w logice „warunki mniej lub więcej trwałe zjawisk, niepodlegające bezpośredniej obserwacyi“), raczej nawet stan rzeczy zaciemnia, jeżeli pojmuje się np. uczucie jako osobną „siłę“, sprowadzającą pewne skutki. Otóż nie czynimy bynajmniej autorowi z tego zarzutu, że ma własne zdanie, stwierdzamy tylko, że ono nie jest w książce uzasadnione i że w ten sposób na nie zgodzić się nie możemy; wyrazy: rozum, uczucie i wola oznaczają, naszem zdaniem, trzy grupy zjawisk duchowych, z których każdą znamionuje przewaga jednego z tych pierwiastków psychicznych, stanowiących zresztą składniki każdego duchowego zjawiska.

Nie możemy się także zgodzić na dedukcyę pojęcia powinności, zawartą w książce p. D., ani też na jego pojmowanie praw moralnych: „powinność“ jest według niego „ciążeniem“ duszy „do doskonałości“ (str. 45), etyka zaś jego („rozwojowa“) uczy, że „dla każdego człowieka jest najwyższą instancyą jego własny rozum i jego własne serce, a wola jego do tej najwyższej instancyi stosować się powinna“ (str. 139); a więc każdemu wolno w tej najdonioślejszej sprawie polegać na własnym, łatwo błądzącym rozumie i słuchać głosu swojego serca? A jeżeli głos serca nie zgadza się z głosem rozumu? „W tej etyce nie rozstrzyga wola Boża, oznajmiona przez wysłanników boskich, ale rozum,

dążący w szukaniu prawdy ku wszechwiedzy Bożej, serce, w miłości naśladujące wszechmiłość Bożą, i wola działająca, za wzór sobie biorąca wszechmoc Bożą" (tamże). Całkiem odmienna jest podstawa etyki chrześcijańskiej (chociaż autor sądzi, że stanął na tym samym gruncie i pisze się na cały szereg zdań, wyjętych z Pisma św. Nowego Zakonu, na str. 140 i nast.). Sam rozum uznaje, że powinnością stworzeń jest słuchać Stwórcy i Pana wszechrzeczy i praw, przez Niego ustanowionych; te zaś prawa nie są wynikiem naszej natury, naszego dążenia do doskonałości, ale raczej to dążenie jest naszą powinnością, bo jest nam nakazane: przyrodzona zaś skłonność do szukania prawdy, do piękna i dobra, nie może być sama w sobie uważana za obowiązek: kto nie chce pracować nad uszlachetnieniem swej duszy (a takich jest niestety wielu) wytworzy sobie pojęcia etyczne całkiem odmienne od chrześcijańskich, skoro raz przyjmie zasadę, że jego rozum jest „najwyższą instancyą", a etyka ewangeliczna nie jest wyrazem woli Bożej, ale „jedynie dalszym ciągiem etycznego poglądu Platona, jego wykończeniem i udoskonaleniem" (str. 142).

Także w innych miejscach znajdujemy wyrażenia niejasne i niewłaściwe, albo zdania z pewnością błędne, jak np.: „Dzieje Hellady wskazują nam inny jeszcze powód zjawienia się w narodzie helleńskim wiary w logiczny, estetyczny i etyczny wpływ Boga na świat i ludzi" (str. 146). „Ewangelia zakazała bać się Boga" (str. 153; por. Mat. X., 28; „bójcie się tego, który i duszę i ciało może zatracić do piekła"). „Nie należy przecież zapominać, że tak filozofia, jak i religia stoją na gruncie niewzruszonym, bo na naturze świata i człowieka, a różnią się jedynie tem, że jeden filozof poznał lepiej tę naturę, niż drugi, albo że jeden założyciel religii znał ją lepiej niż drugi. Za tem też idzie rozwój tak filozofii, jak i religii, polegający na tem, późniejsza wnika głębiej w naturę ducha ludzkiego i wszechświata, niż dawniejsze" (str. 132). Boga poznaje człowiek według p. D. w ten sposób, że „obraz Bóstwa z koniecznością nieubłaganą *(sic)* odbija się w duszy jego" (str. 130) i t. d.

Uważaliśmy za swój obowiązek wytknąć te usterki szan. autorowi; zarazem jednak przyznajemy jak najchętniej, że zeszyt ten zawiera dużo rzeczy zajmujących z zakresu dziejów cywilizacyi; por. np. ustęp o ludożerstwie na str. 82, o czci bogów rodzinnych u Rzymian i innych Aryjczyków (str. 100—113) i t. d.

Dr. P.

Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego. *Józef Weyssenhoff.* Warszawa 1898. (Str. 387).

Czy utwór ten wypada nazwać powieścią, czy psychologiczno-obyczajowem studyum — orzec nie łatwo. Należy bowiem do każdej z tych kategoryj po trosze. W każdym razie rzecz niepospolita, obraz przykry, ale uderzający, dający do myślenia wiele. Autor kryje się tu za podwójną zasłonę: pióra swego bowiem, a raczej pendzla, pożycza panu Jackowi Ligęzie, każe mu bogatemi farbami malować apoteozę, a nam wśród tej apoteozy dopatrzeć się subtelnej, ale gorzkiej satyry. Bogu dzięki, jest to krytyka typu, a nie całej warstwy społecznej, do jakich przyzwyczaiła nas większość tegoczesnych powieści. Według zdania niektórych, krytyka w tej książce delikatna prawie aż do zbytku tak, że grubsze umysły mogą się na niej nie poznać, zwłaszcza w pierwszej części. Tacy jednak, wątpię, aby książkę doczytali do końca, nie znajdując w niej dosyć romansowego obroku. Niepodobna wprawdzie powiedzieć, aby go brakło zupełnie; jest nawet i tragiczność faktów i cała głębia uczucia. Wszystko to jednak podobnie, jak satyra, podskórne, prawda pokryta grubą, acz przeźroczystą szybą sofizmatu.

Podfilipski, syn dzierżawcy, sięgający tradycyą, acz nie dokumentami, do świetności rodowej, zagasłej już gdzieś za Jagiellonów, piękny, światowo rozumny, zasłużony krajowi wniesieniem doń z zagranicy kapitałów zdobytych — na kim i na czem, nie dobrze wiadomo, ale to rzecz podrzędna — pragnie bardziej się jeszcze zasłużyć, rozsiewając w ojczyźnie światło cywilizacyi zachodniej. Jest (co mu się chwali) apostołem mydła i gąbki, bardzo potrzebnym u nas, gdzie, jak sam powiada, nie dziw, że Zabłocki źle wyszedł na mydle; apostołem porządku, dobrobytu, wykwintności w życiu osobistem i towarzyskiem, kaznodzieją tego, co nad Sekwaną nazywa się *le savoir vivre* i *le savoir faire*. Dotąd wpływ jego mógłby być niezłym, a umie niekiedy wywierać go potężnie, jak świadczy sam bezgraniczny podziw Ligęzy, spisującego z naiwnem przejęciem wszystkie wywody mistrza o filozofii życia i sposobach zastosowania takowej według potrzeb chwili. Ligęza przyznaje (zawsze na nutę pochwalną), że ton owych wywodów zmienia się z dziwną giętkością nietylko według chwili, ale i według audytoryum, że Podfilipski umie nawet ukłony swoje stopniować według miary powodzenia w świecie osoby, z którą się wita. Posiada on broń różnego gatunku: kadzielnicę o wykwintnych woniach dla szczęśliwców, stojących na wyżynach światowych, skupioną i podziwiającą uwagę dla przodowników przemysłu, pogardliwe szyderstwo

dla reszty. Ostatnim tym rodzajem broni umie zwłaszcza wojować, a dość jest choć trochę obrócić się w świecie, aby się przekonać, jaką wogóle ostrze jej posiada siłę: niejeden poszedłby odważnie w ogień, a cofnie się przed uśmiechem niezasłużonej pogardy. Nie dziw więc, że działając na miłość własną ludzkości Podfilipski dosięga celu. Staje się dla wielu z młodzieży wyrocznią w sprawach mody, gwiazdą przewodnią w sporcie wyścigowym, który dzięki jemu nabiera w ich oczach ważności patryotycznego czynu. O wierze, o jakichkolwiek dogmatach lub prawach moralnych oczywiście mowy niema: serce nazywa „pierworodnym osłem, którego każdy z nas nosi w sobie". Bliźni są materyałem, którego pielęgnować, oszczędzać lub niszczyć należy, w miarę korzyści, jakie zeń wyciągnąć możemy. W kobiecie „należy wprzód zabić wszelką indywidualność", aby z niej potem według swej dogodności lalkę ulepić. Przytem zamiłowanie do wszelkiego rodzaju materyalnego piękna, miara w używaniu, niedopuszczająca nigdy przesytu, słowem, „sztuka życia", epikureizm moralny i fizyczny doprowadzony do ostatecznych granic.

Jacek Ligęza, spisujący z pamięci przygodne o Podfilipskim wspomnienia, ukazuje nam go, poruszającego się głównie na gruncie warszawskim, a zatem w salonach, restauracyach i na wyścigowej arenie, zawsze niemal wśród najwyższych sfer towarzyskich, co daje prawdziwemu autorowi sposobność do podania bardzo wiernych opisów i charakterystyki niejednego warszawskiego typu. Płochość zabaw, stanowiących dla wielu już nie rozrywkę, lecz stałe zajęcie, namiętne tworzenie skandalu w niektórych domach, mogących nosić firmę fabryki plotek, brak wyższego celu u jednych, a „męzkiej zgody" w wszystkich, salonowanie po kościołach w dnie kwesty — oto zarzuty, uczynione z cicha, smutno, ale miłośnie przez Warszawianina niektórym koteryom Syreniego Grodu. Ostrość sądu złagodzona jest szlachetnością lub sympatycznością większości nakreślonych wizerunków. Podfilipski o opinię tego świata dba wielce, pomimo że wobec swego adepta nie przestaje wyrażać swego lekceważenia dla przesądów, obskurantyzmu, zaśniedziałości i brudu ziemi ojczystej. Prawi też nie mało o swej misyi cywilizacyjnej, a zaczynając dzieło od szczytu, usiłuje rozciągnąć swój wpływ na najmilszego z urwiszów, młodziutkiego księcia Alfreda Zbarazkiego. Radby wydostać go z pod oka rodziny i pchnąć na wielkie tory paryzkie; nieszczęściem jednak wygaduje się z tem w wagonie przed starym księciem, którego, wziąwszy za fabrykanta makaronu, różnemi oprócz tego usiłował dotknąć szyderstwami. Gdy zaś po paru godzinach dowiaduje się, kogo miał przed sobą, olimpijska jego ogłada

pryska na chwilę pod naciskiem gniewnego wstydu i pospolite „psiakrew!“ dowodzi Ligęzie, że nawet ten wielki Ateńczyk ma pod skórą zwykłego śmiertelnika z nad Wisły. Przeciwstawieniem do Zygmunta Podfilipskiego jest brat jego Tomasz, nie Ateńczyk, ale natura słowiańskiego poety, szlachetna, nieco miękka, rozmarzona, a wobec zimnej wyższości brata nieśmiała. Kontrastem też postać biednej Falbanki, istoty ślicznej, dobrej a słabej, na której bezlitosne wykonywa eksperymenta *in anima vili,* aż mu silniejsza odeń potęga, wpływ kobiety-chrześcijanki, ofiarę z szponów wyrywa. Chrześcijanką tą jest żona Tomasza, Alina, typ dziwnie szlachetny, dusza, o której tarczę z kryształu sztuka Podfilipskiego po dwakroć się rozbija. Porównywano typ Podfilipskiego z przeszłym już w przysłowie Płoszowskim z „Bez dogmatu“ Sienkiewicza. Otóż z zestawienia wykazało się, że brak dogmatu Płoszowskiego chwiejny jeszcze, roztapiający się jak mgła w złocistej Nirwanie estetyki, u Podfilipskiego staje spotęgowany, zmateryalizowany, ujęty w ścisłe kształty bezbrzeżnego egoizmu. U Płoszowskiego jest rozkład, działający zabójczo na siebie i drugich, bez złej woli wszakże, niemal jak bezwiedna, elementarna siła. W Podfilipskim objawy przybrały charakter gorszy: z estetycznych dążności pozostała jedynie ogłada zewnętrznych form, pewien artyzm w zmysłowym zbytku, ale poziom moralny obniżył się o jeden stopień. Kryteryum złego i dobrego nie jest już samo piękno, ale osobista korzyść, o którą wola wyostrzona jak stal walczy bezwzględnie, nie dbając, czy cios jej pada z przodu, czy z tyłu zdradziecko i podle... Zresztą zupełnego zestawienia zrobić niepodobna: te dwa typy osobną zupełnie mają historyczną genezę. Prapradziad Płoszowskiego bił się zapewnie pod Warką i pod Chocimem a przytem składał wiersze w komnatach Maryi Ludwiki, bawił się w polityczne intrygi pod czarem zagadkowego uśmiechu Marysienki; dziad należał do czwartkowych obiadów króla Stanisława, rozbierał filozoficznie teorye Jana Jakóba Rousseau, szarpał się między złudnymi a zabójczymi podszeptami ościennych dworów. Ojciec bił się pod Ostrołęką z poświęconym mieczem w dłoni, a całym rojem romantycznych balad w głowie... Podfilipskiego genealogię moralną kreśli p. Weyssenhoff inaczej; zgaduje, że przodkami jego „byli ci, którzy w wieku XV. i XVI. stoczyli zwycięzką walkę z miastami i pognębili ten rozrastający się niebezpieczny element, ci, którzy, uważając, jak pan Zygmunt społeczeństwo za zbiór wybitnych indywiduów, wprowadzili elekcyę i wszechwładzto szlacheckich sejmów; ci, którzy zasnęli potem na jakie sto lat, nie podzielali zapału do reform wewnętrz-

nych XVIII. w., a obudzili się dzisiaj dopiero ze swym nowym programem cywilizacyjnym, wcielonym w wymowną postać p. Zygmunta. Tak — rasa to historyczna, odrębna...“

Istotnie autor podaje nam Podfilipskiego jako spotęgowany typ rasy, przewidując, że choć jego bohater umarł nagle we Francyi, zapisawszy cały majątek na założenie polsko-cudzoziemskiego klubu w Paryżu (zawsze w celach cywilizacyjnych dla naszej młodzieży), to z teoryi jego i przykładu wyłoni się liczne potomstwo drobnych „cywilizatorów“, depczących w kraju łany pszenicy dla wytępienia kilkunastu roślinek kąkolu, że niejeden będzie usiłował choćby na Podfilipskiego pozować. Najlepszą bronią przeciwko zakusom tej groźnej falangi byłoby, abyśmy idąc śladem Mieszka I. sami wyplenili kąkol, dający im pozór do tratowania pszenicy. P. Weyssenhoff, czy z rozmysłu, czy też może bezwiednie, co się nieraz autorom zdarza, postawił nam swego bohatera jako ostrzeżenie; w usta zaś Ligęzy, domagającego się dlań pamiątkowej kolumny z napisem: „Umiał sobie życie urządzić“ — kładzie powątpiewanie, czy w późniejszych wiekach ludzie, widząc, że pomnik jest „dziwaczny i pozbawiony użyteczności“, nie pomyślą, że „przedstawiał może, jak żyć nie warto? Zbliżą się bardzo do prawdy ci uczeni...“ dodaje autor i w tem powiedzeniu cały sens moralny książki zamyka.

T. W.

Róża złota. Fragment historyczny przez *X. M. S.* Lwów 1896.

Czytamy często, że papieże przesyłali i przesyłają złotą różę królowom i księżniczkom katolickich państw. Otrzymywały je w darze i królowe polskie, dawniej zaś przed końcem XVI. wieku miasta, kościoły, a nawet królowie, jako objaw łaskawości papieskiej.

Poświęca złotą różę papież w 4-tą niedzielę postu, *Dominica Laetare,* jako symbol Najśw. Maryi Panny, a zarazem i Syna Maryi, Jezusa Chrystusa „na znak radości duchownej“ z odkupienia ludzkości i jakoby w zadatek wiecznej „radości w górnem Jeruzalem“.

Pierwszą złotą różę otrzymał w Polsce od Mikołaja V. król Kazimierz Jagiellończyk 1448 r.

Drugą od Juliusza II. król Aleksander Jagiellończyk 1505 r., on ją zaś podarował do skarbca katedralnego; w r. 1702 zabrali ją wraz z innemi srebrami Szwedzi.

Trzecią przesłał Grzegorz XIII. Henrykowi Walezemu przed przyjazdem jego do Polski 1574 r.

Czwartą Sykstus V. królowej Annie Jagiellonce, żonie Batorego 1585 r.; ona zaś podarowała ją do skarbca kolegiaty św. Jana w Warszawie.

Piątą Klemens VIII. przysłał Annie Austryaczce, pierwszej żonie Zygmunta III. 1592 r. „przez młodego kamerarza".

Szóstą Paweł V. przez nuncyusza Fr. Simonetti ofiarował Zygmuntowi III. 1607 r.

Siódmą różę otrzymała królowa Konstancya, druga żona Zygmunta III. od Urbana VIII.; rok niepewny.

Ósmą królowa Marya Ludwika od Innocentego X. na ręce nuncyusza Jana de Torres 1651 r.

Dziewiątą królowa Eleonora, żona króla Michała, od Klemensa X. przywiezioną przez „kamerarza" ks. Piotra Korycińskiego, a oddaną uroczyście przez nuncyusza Anioła Ranuzzi 1672 r.

Dziesiątą różę przysłał Innocenty XI. po wiktoryi wiedeńskiej królowej Maryi Kazimirze wraz z mieczem poświęconym i czapką dla bohaterskiego króla Jana III. Uroczysty akt wręczenia przez nuncyusza Pallavicini odbył się w Żółkwi 25 lipca 1694 r.

Jedenastą różą złotą zaszczycił Klemens XII. królową Maryę Józefę, żonę Augusta III., rok niewiadomy, ale między 1730—1740. Ona zaś przekazała ją testamentem 1757 r. do skarbca katedry krak. Róża ta waży 600 dukatów i jedna jedyna dotąd się przechowuje w skarbcu wawelskim.

Z osób prywatnych w Polsce otrzymała złotą różę od Klemensa VIII. Halszka z Radziwiłłów Sapieżyna, pobożna żona Lwa Sapiehy, świeżo nawróconego z kalwinizmu przez Skargę. Rok niepewny, ale między 1599—1605 r. Ona zaś podarowała ją do kościoła św. Michała, który jej mąż, Lew Sapieha w r. 1596 PP. Benedyktynkom fundował.

Także panna Urszula Mejerin, ochmistrzyni fraucymeru Anny i Konstancyi, miała otrzymać złotą różę od Urbana VIII. Autor podaje to w wątpliwość, przypuszcza, że dar ten otrzymała panna Mejerin od królowej Konstancyi, zaszczyconej, jak wiemy, złotą różą od Urbana VIII. Testamentem legowała ją panna Mejerin wileńskiemu domowi nowicyatu Jezuitów.

Przy tej sposobności autor podjął się rehabilitacyi pamięci panny Mejerin, sponiewieranej przez ks. Siarczyńskiego, Magnuszewskiego i innych.

Trudno w tak drobnej książeczce, jak ta o 43 stronicach, znaleźć tyle historycznych dat i wypadków krytycznie przedstawionych.

Ks. St. Załęski.

Wyniki badań przyrodniczych, ogłoszonych w wydawnictwach Akademii Umiejętności z lat 1893—1896 [1].

H. Kadyj: „Przyczynki do anatomii porównawczej zwierząt domowych". — J. Nusbaum: „Lyssa i szczątki podjęzyka zwierząt mięsożernych". — Tenże: „Przyczynek do kwestyi powstawania śródbłonków i ciałek krwi w zarodkach kręgowców. — Tenże: „Materyały do embryologii i histogenii równonogów". — M. Siedlecki: „O budowie leukocytów oraz podziale ich jąder u jaszczurów. — M. Kowalewski: „Studya helmintologiczne. I—IV. — K. Kostanecki: „Badania nad zapłodnionemi jajkami jeżowców". — Józef Dzięddzielewicz: „Zestawienie zapisków o owadach siatkoskrzydłych w Tatrach podczas pobytu w l. 1891—1892".

IV.

Zoologia równie liczny poczet prac dostarczyła w tym czasie. Z nich 4 w zupełności a jedna częściowo mają za przedmiot zwierzęta kręgowe *(Vertebrata)*, 14 i 3 częściowo członkonogi *(Artropoda)*, 5 w zupełności i 3 po części robaki *(Vermes)*, jedna szkarłupnie *(Echinodermata)* a jedna i to tylko częściowo pierwotniaki *(Protozoa)*. W tym też porządku rozpatrzymy rezultaty w nich zawarte.

Prof. H. Kadyj badał pod względem anatomii porównawczej zwierzęta domowe [2]. Wykazał, że mięsień *(pronator terres)* służący do wykonywania obrotu kości sprychowej koło kości łokciowej w przedramieniu odnóży przednich, jako zanikły skutkiem zlania się tych dwu kości — u konia mylnie był dotychczas oznaczany. — Przeprowadził też najściślej badania nad kształtem, budową, sposobem przyczepienia i sposobem przebiegu tego szczątkowego mięśnia, opisał rzecz dokładnie i ilustrował ryciną wykonaną podług fotografii zdjętej z preparatu. Nadto dał dokładny opis powierzchni stawu łokciowego u kota, psa, królika, świni, wołu i konia, a porównawszy staw ten ze stawem łokciowym człowieka, wykazał mylność twierdzenia Augusta Cuénoda,

[1] *Przegl. Powsz.* t. LIV, str. 435: t. LV, str. 279; t. LVIII, str. 261.

[2] H. Kadyj, „Przyczynki do anatomii porównawczej zwierząt domowych". Rozpr. Wydz. mat.-przyr., str. 15—36, t. XXVI. Kraków 1893.

odnośnie do rzekomej różnicy między stawem łokciowym człowieka i małp a innych zwierząt.

Prof. J. Nusbaum zbadał dokładnie i opisał budowę *lyssy* [1] u psa, tj. utworu sznurkowatego kształtu, znajdującego się pod śluzową błoną dolnej powierzchni języka zwierząt mięsożernych. Że zaś badał i historyę rozwoju na zarodkach psa, przeto odkrył po raz pierwszy szczątki podjęzyka *(sublingua)* u psa, [tj. fałdy błony śluzowej znane (pod nazwą *fimbriae plicae medianae* i *plicae sublingualis*) u wielu innych zwierząt i u człowieka] — dobrze rozwiniętego u małpozwierzów *(Prosimii)*, torbaczów i t. d. Po raz też pierwszy zyskuje nauka wskutek badań autora wyjaśnienie znaczenia *lyssy*. Mianowicie: chrząstkowe części *lyssy* odpowiadają jądru podjęzyka małpozwierzów *(Lemuridae)*, które opisał Gegenbauer, są zatem szczątkami skieletowych części języka niższych kręgowców, a mięśnie *lyssy* są szczątkami mięśni języka tychże zwierząt.

Tensam badacz wykazał na podstawie poszukiwań [2], jakich dokonał na zarodkach żaby płowej *(Rana temporaria)*, że pierwsze zawiązki ciałek krwi należą do *entodermy*, wewnętrznego listka zarodkowego, a nie *mezodermy*, środkowego listka zarodkowego, jak to dotychczas mniemano.

Od Arnolda począwszy starali się liczni badacze udowodnić, że przy dzieleniu się komórek przez proste przewężanie się (podział amitotyczny) można wyróżnić dwa rodzaje tego procesu, tj. segmentacyę, przy której miejsce przewężania się jądra zaznaczone bywa stałemi powierzchniami, i fragmentacyę, przy której jądro dzieli się w któremkolwiek miejscu. W badaniach tych atoli, nie uwzględniano nigdy roli plazmy, lecz obserwowano same jądra. Stąd też i najnowsze badania Göpperta poparły zapatrywanie wypowiedziane przez Arnolda, które powyżej co dopiero naszkicowano. Ten stan rzeczy spowodował p. M. Siedleckiego do zbadania leukocytów [3], komórek z brzegu limfatycznego wątroby luźnych, bez istoty międzykomórkowej, które pokrywają wątrobę jaszczurów (salamandry, traszki, axolotla).

---

[1] J. Nusbaum, „Lyssa i szczątki podjęzyka zwierząt mięsożernych". Z 1 tabl. Rozpr. Wydz. mat.-przyr. t. XXXII, str. 258—278. Kraków 1896.

[2] J. Nusbaum, „Przyczynek do kwestyi powstawania śródbłonków i ciałek krwi w zarodkach kręgowców". Z 3 tabl. Rozpr. Wydz. mat.-p. str. 93—148, tom XXVIII. Kraków 1895.

[3] M. Siedlecki, „O budowie leukocytów oraz podziale ich jąder u jaszczurów". Z 1 tabl. Rozpr. Wydz. mat.-przyr. t. XXXI, p. 11—40. Kraków 1897. (Odbitka wyszła w 1896).

Badacz ten rozróżnił w nich plazmę czynną *(archoplasma)* i bierną *(deutoplasma)*, opisał jądro pod względem kształtu różnorodnego i wewnętrznej budowy i wykazał, że chromatyna pozostaje ułożona tak samo jak w ostatnich stadyach karyokinezy. Opisał też pierwsze stadya karyokinetycznego podziału i dowiódł, że ten rodzaj podziału — a nie amitotyczny — istnieje tutaj, z biernem zachowaniem się deutoplazmy a z czynnym udziałem archoplazmy.

Wyświetleniem historyi rozwoju zarodkowego: systemu nerwowego, naczyniowego i narządu grzbietowego u skorupiaków grupy równonogi, *Isopoda*, dotychczas znanej niedostatecznie, zajął się prof. J. Nusbaum[1]. — Znakomity embryolog zbadał w tym celu rozwój — od jajka począwszy — raczka morskiego *Ligia oceanica L.* i wykazał, że: układ nerwowy powstaje jako całość z zewnętrznego listka zarodkowego *(ectoderma)* a mózg w szczególności ze zlania się 4 par zwojów nerwowych.

System naczyniowy, tj. serce i jama ciała, w której krew krąży, powstaje z blaszki środkowej *(mesoderma)*; samo zaś serce tworzy się między górną częścią jelita tylnego a ścianą ciała grzbietną — w postaci dwóch rynienek, wklęsłą stroną ku sobie zwróconych, które wreszcie zrastają się z sobą brzegami w rurkowate serce.

Narząd grzbietowy nakoniec powstaje tuż za głową, z listka zewnętrznego, w środkowej linii grzbietu, i zdaje się — zgodnie z zapatrywaniem Claus'a — odpowiadać tarczy grzbietowej innych skorupiaków.

Na podstawie też historyi rozwoju równonogów oświadcza się prof. Nusbaum za bliskiem pokrewieństwem równonogów z szczeponogami przez grupę *Mysidea* i za wspólnością przodków tych dwóch grup.

Pan M. Kowalewski zajmował się badaniami robaków pasorzytnych. Wykrył nowego pasorzyta w jelicie cienkiem kaczki i kury, należącego do przywr *(Trematodes)*, którego nazwał *Distomum Froelichii*; w gęsi odnalazł tasiemca, nazwanego przez niego *Taenia Krabbei*, a nadto w jelicie kury dwa obleńce: *Trichosoma dubium* i *Trichosoma gallinum*. Te opisał i ilustrował w I części swej pracy[2] wraz z 5 przywrami i 5 tasiemcami, znanymi już wprawdzie, o których wiadomości przecież

[1] J. Nusbaum, „Materyały do embryogenii i histogenii równonogów *(Isopoda)*". Z 6 tablicami. Rozpr. Wydz. mat.-przyr. t. xxv, str. 165—263. Kraków 1893.

[2] M. Kowalewski, „Studya helmintologiczne", I. Rozpr. Wydz. mat.-przyr. t. xxix, str. 349—367. Z 1 tablicą. Kraków 1895.

uzupełnił różnymi szczegółami nowymi. W części II [1] omówił budowę skóry przywr na podstawie badań mikroskopowych, uzupełniając dotychczasowe wiadomości o gruczołach skórnych. W III i IV [2] wreszcie części opisał nową przywrę pod nazwą *Bilharzia polonica*, którą odkrył w jelicie kaczki krzyżówki *(Anas boschas)* i cyraneczki *(Anas crecca)*, i określił systematyczne stanowiska znanych dotąd przedstawicieli rodzaju *Bilharzia*, redukując poznane dotychczas gatunki do dwóch, tj. *B. polonica* i *B. haematobia*, i tworząc w zakresie gatunku ostatniego 3 podgatunki albo odmiany.

Zachowanie się jąder podczas zapłodnienia wcześniej zostało zbadane, jak rola archoplazmy i centrosomów (ciałek biegunowych), stanowiących środek promienistej figury archoplazmy czyli ogniska, w których — tak podczas karyokinezy, jak i podczas spoczynku komórki — promienie plazmatyczne się gromadzą. Rola więc archoplazmy i centrosomów, mimo znacznej już liczby prac jej poświęconych, wymagała nowych, ściślejszych badań, które umożliwiłyby usunięcie wielu sprzecznych poglądów w tej dziedzinie. Podjął je prof. K. Kostanecki, obierając za przedmiot żywe zapłodnione jajka jeżowców [3], które badał w stacyi zoologicznej w Neapolu. Wykazał też, że skręcanie się plemnika, po jego wejściu do jajka, tak, że centrosom znajduje się obok główki plemnika, a wreszcie ją wyprzedza podczas zbliżania do jądra jaja — jest prawem ogólnem. Promienie, zbiegające się w centrosomie jako środku, powstają w swym początku z pasemka, łączącego główkę plemnika z jego nitką, a następowo rosną przez przyswajanie sobie plazmy jajka tak, że skoro jądro plemnika zbliża się do jądra jaja, promienie te zajmują całą część jajka, którą przebył plemnik. Te też promienie — według autora — posiadają czynną rolę w czasie zbliżania się plemnika do jądra jajka, a nie same centrosomy plemnika, lecz całe jego pasemko łączne (centrosomy i archoplazma) niezbędne są do wywołania podziału jaja.

Prócz tych prac mamy znaczny szereg badań faunistycznych, mających na celu rozpoznanie fauny przeważnie kraju naszego, rzadziej

---

[1] Tenże, „Studya helmintologiczne“, II. Ibidem, str. 372—390. Z 1 tablicą i ryc. w tekscie.

[2] Tenże, „Studya helmintologiczne“, III. Ibidem, t. XXXI, str. 41—70. Z 1 tablicą. Kraków 1897. — IV. Ibidem, t. XXX, str. 345—356. Z 1 tablicą. Kraków 1896.

[3] K. Kostanecki, „Badania nad zapłodnionemi jajkami jeżowców“. Rozpr. Wydz. mat.-przyr. Akad. Umiej., t. XXXII, str. 1—44. Kraków 1896.

fauny obcej, i przygotowanie materyału do ścisłego określenia praw, kierujących rozmieszczeniem zwierząt wogóle.

Autor „Wykazu owadów siatkoskrzydłych", ogłoszonego w 1890 r. w tomie XXVI. Sprawozd. Kom. fizyograficznej, p. J. Dzięddzielewicz, uważając wiadomości o tatrzańskich gatunkach sieciarek *(Neuroptera)* i prasiatnic *(Pseudoneuroptera)*, jakie na podstawie obcych spostrzeżeń w nim podał, za ogólnikowe, poświęcił lato r. 1891 i 1892 samodzielnemu badaniu tych owadów tak w dojrzałym stanie, jako też w postaci gąsienicy i poczwarki. Wyróżnił też w faunie Tatr[1] 122 gatunków, z których 10 nowymi są dla fauny krajów Polski, a 17 nowymi dla fauny Galicyi. Nadto odkrył po rok 1890 we wschodnich Karpatach 12 gatunków owadów siatkoskrzydłych, z których 4 nowe są dla fauny polskiej, a 6 dla galicyjskiej; gatunek zaś *Brachycentrus carpathicus* został wogóle po raz pierwszy przez autora odkryty i opisany.

Roman Gutwiński.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Staatslexikon. Herausgegeben im Auftrage der Görres-Gesellschaft zur Pflege der Wissenschaft im katholischen Deutschland, durch *Dr. Adolf Bruder*, nach dessen Tode fortgesetzt durch *Julius Bachem*, Rechtsanwalt in Köln. I—V. Bände. Freiburg im Breisgau, Herder'sche Verlagshandlung. 1889—1897. (Preis M. 69; geb. M. 81).

Pierwsza myśl tego wydawnictwa zrodziła się w czasie, który dla niemieckich katolików był epoką wielkich ludzi i wielkich czynów. Schodził wówczas do grobu biskup Ketteler, zostawiając katolickim Niemcom bogatą spuściznę swych politycznych i społecznych myśli; naukowe i popularne publikacye katolickie zaczęły się pojawiać w nieznanej przedtem obfitości; z każdym rokiem wzrastało o kilku nowych członków katolickie *Centrum*, a o kilka nowych pism katolicka prasa; Janssen pisał „Historyę narodu niemieckiego", a hr. Galen — wówczas szyderstwem przyjęty — stawiał w parlamencie pierwszy wniosek ochrony robotników, pierwszy w Niemczech projekt doniosłych reform socyalnych.

[1] Józef Dzięddzielewicz, „Zestawienie zapisków o owadach siatkoskrzydłych w Tatrach podczas pobytu w latach 1891—1892. Z 1 tablicą. Spraw. Kom. fiz. Akad. Umiej., t. XXX, str. 1—40. Kraków 1895.

W tych to czasach grono wybitnych ludzi, skupionych w świeżo założonem towarzystwie naukowem imienia Görresa, wychodząc z przekonania, że wobec zamieszania i chwiejności, jaka pod wpływem nowoczesnych wydarzeń i prądów, zapanowała na wszystkich prawie polach życia publicznego, naglącą stało się potrzebą szerzenie zasadniczych pojęć społecznych, prawno-państwowych i gospodarczych, opartych na gruncie prawa przyrodzonego i zgodnych z katolickim na świat poglądem, powzięło już na drugiem swem walnem zebraniu w Monasterze 18[illegible] r. śmiały zamiar wydania encyklopedyi, któraby tej potrzebie choć w części była w stanie zaradzić. W rok potem, na następnem walnem zebraniu w Kolonii, ułożono ogólny program wydawnictwa i oznaczono najgłówniejsze linie wytyczne. „Największy nacisk — mówi odnośna rezolucya — położyć należy na rozwinięcie podstawniczych pojęć o religii i moralności, prawie naturalnem i pozytywnem, kościele i państwie, rodzinie i własności. Z silnem zawarowaniem katolickiego stanowiska winno iść w parze staranne wnikanie w szczególne potrzeby nowożytnego społeczeństwa i dokładne uwzględnianie zachodzących w danym wypadku faktycznych stosunków. Wszystkie artykuły opracowane być mają wedle ścisłych wymagań dzisiejszej wiedzy".

Takie były ogólne ramy wydawnictwa, śmiało zakreślone i niełatwe do wypełnienia.

Kierownictwo prac przygotowawczych objął prof. Hertling; on też wypracował szczegółowy program, przyjęty w r. 1880 na walnem zebraniu we Fuldzie. Redakcyę wydawnictwa objął z początku Gramich, ale będąc obarczonym innemi już pracami, nie był w stanie prowadzić jej z należytym pośpiechem. Dopiero kiedy po jego śmierci (1885) przyjął na siebie obowiązki głównego redaktora kustosz uniwersyteckiej biblioteki w Innsbruku, dr. Bruder, praca wydawnicza zaczęła iść raźniejszym krokiem. Pod koniec 1887 roku wydał Bruder pierwszy zeszyt encyklopedyi, pod koniec zaś 1889 r. pierwszy tom (od *Aargau* do *Corpus iuris*). W r. 1892 pojawił się tom drugi (od *Costarica* do *Grosstädte*); w r. 1894 trzeci (od *Grotius* do *Oekonomie*); w r. 1895 czwarty (od *Oesterreich-Ungarn* do *Schweiz*). W ciągu pracy nad piątym tomem zaskoczyła zasłużonego redaktora śmierć (1896); redakcyę objął po nim dr. J. Bachem z Kolonii i wydał tom ostatni (od *Schwerin* do *Zwischenherrscher*) w drugiej połowie 1897 roku.

Wydawnictwo to, wzięte w całości, przedstawia się pod każdym względem bardzo poważnie. Każdy z pięciu tomów, w formacie dużej ósemki, liczy 1200—1600 kolumn zbitego druku, na których po-

mieszczono przeszło 3000 nagłówków. Artykuły tymi nagłówkami oznaczone, chociaż wogóle bywają zwięzłe i treściwe, w ważniejszych jednak przedmiotach dochodzą nieraz do książkowych prawie rozmiarów. Obejmują one bardzo szerokie dziedziny. Oto tytuły niektórych ważniejszych, wraz z nazwiskami autorów: Autonomia (Kämpfe); Absolutyzm (Hertling); Kwestya robotnicza (Hitze); Ustawodawstwo agrarne (Wichmann); Kapitał i Kapitalizm (Scheimpflug); Cywilizacya (Haffner); Religia (Lingens); Sobory (Scheeben); Celibat (Lauvin); Konkordaty (Kreutzwald); Rodzina (Pruner); Walka kulturna i prawa majowe (J. Bachem); Emancypacya kobiet (Norrenberg); Małżeństwo (Kreutzwald); Emigracya (Kämpfe); Akcyjne towarzystwa (Steinle); Prawo autorskie (Schwane); Biurokracya (Hertling); Proces cywilny (Spahn); Związki zawodowe (Kämpfe); Szkoła ludowa (Weyer); Prawo natury i filozofia prawa (Meyer); Lichwa (Ratzinger); Prawo wyborcze (Widder); Zbytek (Buol); Giełda (Scheimpflug); Podatki (Huene); Długi państwowe (Biegeleben) i t. d.

Jaką jest szczegółowa wartość tych artykułów, na to oczywiście całkiem dokładnej odpowiedzi nie jest w stanie dać ani piszący tę notatkę sprawozdawczą, ani żaden wogóle pojedynczy recenzent. Na taki wyczerpujący sąd o całości musiałby się złożyć długi szereg krytyk fachowych, co z czasem dopiero jest możliwe. Ale przy pobieżnem nawet rozglądnięciu się w publikacyi i przy częściowej tylko znajomości poruszonych w niej kwestyj, dostrzega się zaraz, że Encyklopedya Görresowska jest dziełem niezwykłem; że znaczna część jej artykułów napisana jest gruntownie i wyczerpująco, nieraz wprost świetnie. Przebija w nich dokładna znajomość najnowszych wyników wiedzy, głębokie zrozumienie doniosłych potrzeb chwili obecnej, katolickie zaś stanowisko uwzględnione jest wogóle należycie, a zawsze z tą miarą, która, przy całej stanowczości zasad, umie oszczędzać osoby innych przekonań i wstrzymywać się od ostrych przeciwko nim wycieczek. Przyznały to dość jednozgodnie liczne czasopisma protestanckie; z pism naukowych świeżo podnosi tę samą zaletę *Zeitschrift für Socialwissenschaft*.

Wogóle pominąwszy parę nieprzejednanych pism — z góry nieprzypuszczających możliwości poważnej publikacyi naukowej u ludzi, którzy się przyznają do wiary w Boga, tem bardziej w chrześcijańskie Objawienie — cała prawie prasa niemiecka licznych barw i odcieni przyjęła słownik Görresowski z mniejszą lub większą sympatyą i wyznaczyła mu wybitne miejsce wśród najpoważniejszych dzieł ostatniej doby. Pogląd

ten podzielają i pisma fachowe. *Zeitschrift für Litteratur und Geschichte der Staatswissenschaften* zaznacza, że gruntowne, jasne i wogóle pełne miary przedstawienie rzeczy, jakie się spotyka w artykułach najnowszej Encyklopedyi katolickiej, zadowolnić może ludzi fachowych, nawet nie hołdujących przekonaniom katolickiego Kościoła. Monachijskie znów *Mittheilungen für Juristen* stwierdzają, że publikacya dobrze jest pomyślaną i dobrze przeprowadzoną, a poszczególne artykuły stoją wogóle na stanowisku najnowszych wyników wiedzy.

Nie wynika stąd jeszcze, żeby encyklopedya miała być bez braków. Jak w każdej tego rodzaju publikacyi zbiorowej, nie wszystkie prace są równej wartości i miary. Wielu z piszących, obarczonych innemi zajęciami zawodowemi, mogło tylko dorywczo zająć się opracowaniem artykułów, przeznaczonych do Encyklopedyi. Niezmiernie mała liczba katedr uniwersyteckich, zajmowanych w Niemczech przez katolików, sprawia, że tylko nieznaczny procent katolickich uczonych może korzystać z tych ułatwień, jakie przy naukowej pracy dają posady uniwersyteckie. Dość długi stosunkowo przeciąg czasu, jaki upłynął od wyjścia pierwszego zeszytu aż do ukończenia wydawnictwa (1887—1897), był znowu powodem, że niektóre, w początkowych zwłaszcza tomach umieszczone prace, nie uwzględniają najnowszego materyału, który przy dzisiejszych stosunkach z każdą chwilą się powiększa albo nawet zupełnie zmienia. I z katolickiej strony możnaby uczynić pewne zarzuty... Między innemi słusznie podniesiono w katolickiej prasie niemieckiej, że taki np. artykuł, jak: „Kościół i państwo“ (*Kirche und Staat*, 3 Bd., kol. 666 i nast.) zawiera pewne twierdzenia, które mogą dać podstawę do błędnych wniosków; że charakterystyka takich osobistości, jak Bodin (I. Bd., kol. 1085), oparta na sądach pisarzy niechętnych Kościołowi, wypadła jednostronnie i razić musi katolickie uczucia. I filozofia prawa, przynajmniej ta, która wychodzi z poglądu, że wszelkie prawo oprzeć się musi ostatecznie na jakiejś niezmiennej i trwałej dla wszystkich czasów podstawie, nie może się zgodzić na stanowisko, jakie wobec prawa przyrodzonego zajął autor artykułu o prawie narodów (*Völkerrecht*, Bd. V., kol. 1002). Powiedziano tam, że prawo narodów jest prawem li tylko pozytywnem, opierającem się na uznaniu odnośnych państw, i że jako takie nie wymaga podkładu „t. zw. prawa przyrodzonego“. To jest powiedziane trochę za śmiało!

Wszystkie te jednak usterki i niedostatki nie osłabiają wartości dzieła, wziętego jako całość, tem bardziej, że łatwo dadzą się usunąć

przy drugiem wydaniu, które niedługo zapewne stanie się potrzebnem. Jeżeli tego rodzaju braki wogóle nieuniknione są w każdem wydawnictwie zbiorowem, zwłaszcza tak rozległem i różnorodnem, to w niniejszej publikacyi o tyle więcej wytłumaczyć je można, że jest to pierwsza w tym zakresie na większą skalę podjęta próba encyklopedyi naukowej w duchu katolickim. Uczeni niemieccy z katolickiego obozu mogą sobie tej próby powinszować. Położyli oni bądź co bądź trwałe i gruntowne podstawy, na których dalsze pokolenia będą mogły dalej budować. Bez żadnej przesady powiedzieć można, że Görresowska Encyklopedya jest jednem z najdonioślejszych przedsięwzięć, jakie śmiało podjęła i szczęśliwie doprowadziła do skutku katolicka partya w Niemczech. Jest w tem nietylko zasługa naukowa, ale i doniosły czyn społeczny.

Rok po wyjściu pierwszego tomu słownika Görresowego zaczął wychodzić w Jenie głośny, bardzo szybko ukończony, 6-tomowy *Handwörterbuch der Staatswissenschaften*, dopełniony już dzisiaj dwoma tomami dodatkowemi. Dzieło to zdumiewające ogromem pracy, jaką w nie włożono, zwłaszcza niezwykłą obfitością najświeższych dat statystycznych, pokrewnem jest pod niektórymi względami Encyklopedyi Görresowskiej — błędem jednak byłoby mniemać, że czyni ją zbyteczną. Zakres *Handwörterbuchu* jest wogóle ciaśniejszy: pomija on cały szereg bardzo ważych zagadnień, które w Encyklopedyi Görresa są poruszone. Głównym jego celem jest „dokładne przedstawienie faktów“, mniej mu zaś chodzi o pewne podstawnicze pojęcia, które umyślnie nawet pomija. Są w nim zresztą poglądy, na które katolik żadną miarą zgodzić się nie może, a dodawać nie trzeba, że katolickie stanowisko wcale nie jest dla niego miarodajnem. Wiem, że ten punkt widzenia w dość szerokich kołach uchodzi za jedynie naukowy; są jednak ludzie (znacznie liczniejsi, niżby się na pierwszy rzut oka wydawać mogło), którzy nie podzielają tego zapatrywania. Odwieczne kwestye zła i dobra, religii i moralności, ostatnich podstaw prawa i najwyższej jego sankcyi leżą na dnie wszystkich naszych społecznych i politycznych zagadnień, i nie mogą być pogrzebane... milczeniem. Niepokoją one ciągle umysły, pomimo wszystkich (często nieszczerych) zaprzeczeń i pomimo wszystkich pozorów obojętności, jakiemi się to zaniepokojenie nieraz pokrywa. Doświadczenie zresztą poucza, że te najżywotniejsze, wiecznie nas dręczące pytania stanowią oś, koło której obracają się wszystkie wielkie prądy dziejowe i wszystkie wielkie reformy społeczne. Znajomość faktów jest bezwątpienia niezbędną — sama jednak nie wy-

starcza. I właśnie w tem, czego niedostaje badaniom i publikacyom, uwzględniającym faktyczną tylko stronę życia, przynosi bardzo cenny zasób wyjaśnień i głębokich myśli słownik Görresowski. To mu też zapewnia szczególną wartość i pewną niespożytość nawet wówczas, kiedy faktyczny podkład dzisiejszych stosunków ulegnie zmianom, a publikacye jego badaniom poświęcone stracą wartość aktualną i zachowają tylko znaczenie historycznego dokumentu przeszłości.

Ks. Wł. Piątkiewicz.

Drohnenschlacht. Roman. II. Bände. *Max Nordau.* 1898.

Dziwne rzeczy dzieją się na tym świecie. Gdy przed kilku laty Drumond w ciągu swej antysemickiej kampanii wyjawiał i gromił zbrodnicze spekulacye giełdowe, nie spodziewaliśmy się, że bicz upuszczony przez niego, zostanie podniesiony przez.. Żyda. Bicz ten, zrazu tak krwawy, stępił się w ręku Francuza, dzięki samej gwałtowności ciosów; wyrazy oburzenia na samą istotę złego ginęły w pośród krzyków nienawiści rasowej. Nordau ma ponad nim tę wyższość, że może tu działać zupełnie bezstronnie, z całą potęgą objektywnego spokoju. Przynajmniej nikt go nie posądzi o narodową stronniczość. A jednak i on też działa z pobudek narodowych. Prąd Syonizmu, którego on jest jednym z głównych przedstawicieli, postawił sobie za cel, obok mrzonki odkupienia dla Żydów Palestyny, oczyszczenie narodu Izraelskiego z wszelkich podłących nałogów: szachrajstwa, lichwiarstwa, kłamliwej pokory lub nadętej pychy; pragnie go odciągnąć od popierania w krajach chrześcijańskich jakichkolwiek politycznych lub społecznych stronnictw, natomiast całą jego dążność skrystalizować w uszlachetnionym patryotyzmie żydowskim. To przynajmniej głoszą niektóre czasopisma syonistyczne np. *Die Welt.* Żyd taki, jakiego zbyt często widujemy po naszych wsiach i miastach, zwie się u Syonistów pogardliwie „Mauszel", a jeśli mamy im wierzyć, uważają go za gorszego wroga od wszystkich antysemitów. „Mauszel", powiadają, jest „antysyonistą", jest nim również każdy niemal wzbogacony na giełdzie milioner, który woli królować w Europie, niż nudzić się na Wschodzie, jest nim zwłaszcza każdy bogacący się dopiero spekulant, któryby dla żadnych królestw Izraela nie opuścił pola swych działań. Wstęp ten koniecznym był, aby zdać sobie sprawę dla czego Nordau, Żyd, prowadzi przeciw giełdzie kampanię.

Drohnenschlacht — „Walka trutni", nie jest czem innem jak satyrą na giełdę. To co Drumond piętnował ukazując nam szkielet suchych,

ale po większej części autentycznych cyfr — to Nordau ubrał w ciało powieści, ożywił gorącą krwią namiętności i uczuć. Może na niejednego ten sposób lepiej podziała. Widownią jego „walki trutniów“ jest oczywiście Paryż, głównymi aktorami osiedleni tu Niemcy; Żydzi występują dopiero przy końcu. Profesor gimnazyalny Koppel, skompromitowany w berlińskich ruchach socyalistycznych, ale w gruncie dobry i uczciwy człowiek, zmuszony jest wyemigrować z żoną, idealną Frau Käthe, ze starą matką i dwojgiem dzieci. Znalazłszy posadę w prywatnej szkole niemieckiej a oprócz tego mnogie a dobrze płatne lekcye, utrzymuje się od kilku lat nieświetnie, ale porządnie. Polityka poszła w kąt — za to spokój i szczęście zakwitły w skromnem mieszkaniu, zbyt szczupłem na olbrzymie a ciężkie z Niemiec przywiezione sprzęty. Odyssea tych mebli i ostateczne wprowadzenie ich oknami, godne są nieśmiertelnej „Familii Buchholtzów“ Stindego. Na swoje nieszczęście Koppel spotyka raz dawnego przyjaciela swego, Henneberga, i rad że kogoś ze swoich odnalazł, przyprowadza do domu. Nie wie on jeszcze, iż Henneberg, którego znał niegdyś bardzo ubogim, jest dziś finansową potęgą. Matka jego była z szlachetnego rodu, ale odepchnięta przez rodzinę z powodu niestosownego małżeństwa, doszła do ostatecznej nędzy: dzisiejszy milioner spędził pierwsze swe lata w stajence, niegdyś zamieszkałej przez kozę... Poczciwy jakiś stary pastor zaczął go uczyć z litości, aż w końcu chłopiec nietylko skończył szkoły i zdał doktorat, ale został profesorem matematyki. Fortuna dopłynęła doń, dzięki dawnemu uczniowi, synowi prezydenta z Wenezueli. Ten dla okazania swej wdzięczności posłał wprzód ex-mistrzowi wielką wstęgę orderu Boliwara, a gdy wskutek tego zaszczytu Henneberg stracił posadę (żaden bowiem z jego przełożonych nie mógł marzyć o tak wysokiej odznace), młody Amerykanin wyrobił mu pełnomocnictwo do traktowania z bankami w Londynie, w Paryżu o 6-milionową pożyczkę dla rzeczypospolitej. W tej funkcyi Henneberg nietylko się obłowił, ale się nauczył sporo i nawiązał korzystne stosunki. Obecnie kozia stajenka zamieniła się w pałac pełen jedwabiów, marmurów, dzieł sztuki i wygalonowanej służby. Pan domu przystojny, śmiały i dumny, nosi wysoko tytuł kędyś po świecie kupiony, zdobi srebra herbem swej matki, wydaje obiady na których jednak, obok świata finansowego, dziwne tylko jakieś zjawiają się figury. Zaproszona raz z mężem pani Koppel, czuje się, pomimo otaczającego zbytku, jakoby w norze zbójeckiej. Jedna tylko osoba ją przyciąga. Jest to też dawna znajoma, która z biednej nauczycielki stała się baronową Agostini, żoną właści-

ciela firmy francusko-wschodniego banku. Przeszłość jej nie każdemu wiadoma: istnieje w niej — między chwilą, kiedy jako uboga Augusta Hausblum przyszła prosić o poparcie rodziny Koppelów a dniem, w którym poślubiła barona — parę lat strasznych, kędy grzech, rozpacz, samobójstwo, nędza i znowu grzech wypełniają to, co baronowa sama nazywa *ihre Höllenfahrt*. Związek z Agostinim wyratował ją z toni i wtedy uczciwa w gruncie i szlachetna natura wzięła znów górę jednym silnym rzutem: przeszłość zapadła w ciemny grób zawalony popiołem żalu; na ziemi pozostała tylko wierna i przykładna żona. Baron jest śmiesznym, wymuskanym starcem, ale jest jej wybawcą, któremu się jej dozgonna wdzięczność należy. Królewska piękność i rozum Augusty górują nad otaczającym ją światem spekulantów i parweniuszów — inny zaś jest dla niej zamknięty. Dlatego lgnie z ufnością i niemal pokorą do poczciwej Frau Käthe, a z czułością do córki jej Elzy. Dlatego dumna i twarda na pozór, staje się aniołem dobroci wobec cudzego cierpienia i zadaje czynem kłam własnym gorzkim wyrazom. „Ilekroć zetkniesz się z ludźmi — odniesiesz ból".

Baron Agostini, dziedzic poważnej firmy, założonej za pierwszego cesarstwa, dał się wciągnąć do syndykatu, na którego czele stoi Henneberg. Panowie ci ściągnęli do siebie monopol rtęci w Ameryce i Europie; zakupując wszystek wykopany metal; stanowią ceny kupna i sprzedaży, akcye ich t. zw. Almady z każdym dniem podnoszą się w kursie. Jest to, pod inną nazwą, historya słynnej przed kilkunastu laty sprawy monopolu miedzi, jednego z tych kolosalnych zarzuceń sieci, przy których setki milionów gromadzą się w rękach kilku potężnych graczy i zdają się co dnia wzrastać i mnożyć, aż naraz z niewiadomej na pozór przyczyny następuje zwrot, skarby ulatniają się gdzieś w powietrzu a przed oczami widza zostają tylko kałuże krwi samobójców, potoki łez zrujnowanych biedaków i olbrzymie stosy moralnych — brudów.

Powieść rozpoczyna się w chwili największego powodzenia Spółki. Że zaś przykład za sobą pociąga, przeto i Koppel olśniony bogactwem Henneberga zaczyna w tajemnicy przed wszystkimi grać grubo na giełdzie, zakupuje głównie Almady i wkrótce zyskuje majątek. Usposobienie jego zmienia się wszakże od pierwszego kroku na ślizgim gruncie spekulacyi; praca staje mu się ciężarem, sen ustępuje gorączce, oszczędność w domu wydaje się małodusznem sknerstwem. Już poczyna roić sny złote swobodnej przyszłości dla żony i siebie, szczęśliwego związku dla córki z szlachetnym ale niebogatym młodzieńcem, świetnej karyery dla syna a wreszcie upragnionego przez starą matkę powrotu do Nie-

miec. Tu jednak spotyka go pierwsze rozczarowanie: syn Oskar wychowany w Paryżu wśród grona dekadentycznych studentów wzbrania się powrócić do kraju. Ojczyzna? patryotyzm? — to czcze, przestarzałe pojęcia, powijaki, z których już ludzkość wyrosła. Jemu dobrze we Francyi, więc niema co myśleć o żadnej ziemi rodzinnej, chce dalej pisać wiersze, które tylko adepci zrozumieć zdołają, zamierza zostać wielką pochodnią przyszłości... Gdy zaś ojciec obstaje przy swojem, pisze doń długi list po francusku z oświadczeniem, że każdy człowiek jest panem swej woli. W całej, wybornie obrobionej charakterystyce Oskara, znać pióro z pod którego wyszła *Entartung*, mniej dosadny niż w powieści o „Chorobie wieku"; jest to jednak typ doskonały: wydaje się tak żywym, jak gdyby lada chwila miał zejść z kart książki i do czytelnika przemówić.

Wkrótce przychodzi rozczarowanie drugie. Koppel nie zrealizował swego zysku, bo Almady szły ciągle w górę a chciwość szeptała mu wciąż: „Jeszcze więcej, jeszcze, jeszcze!" Aż naraz kurs począł się chwiać, to spadał, to szedł w górę, jakoby w nerwowych podrygach, a Koppel łudził się jeszcze w nadziei, że burzę przeczeka. I tak czekał, aż pewnego poranku spostrzegł z rozpaczą, iż stracił wszystko, wygrane 250.000 fr., kapitalik 40.000 świeżo odziedziczony przez żonę, a prócz tego pozostał winnym 21.000 pośrednikowi na giełdzie. Pierwszą myślą nieszczęśliwego była śmierć, koniec nagły, dobrowolny... ale co potem? Dla rodziny hańba, nędza i żal. Nie! on ich pokrzywdził, więc też i ratować powinien. Ratować jak? Chyba asekurując się na życie bardzo wysoko... Tak, ale na to trzeba było czasu, przeróżnych formalności a tymczasem mogła go śmierć przypadkowa zaskoczyć. W tej chwili życie, które niedawno chciał rzucić, zdało się najdroższym skarbem; począł drżeć przed każdym najeżdżającym powozem, uważać na każdy krok, aby się nie poślizgnąć, nie upaść. Niestety i ta nadzieja asekuracyi zawiodła, bo nie miał funduszów na wkładkę. Pośrednik giełdy groził więzieniem a choć sąd według litery prawa uznawał dług za niebyły, przecież niemiłosierne sumienie mówiło głośniej od sądu. Trzeba było nareszcie wszystko wyznać przed żoną; toż i stan jego fizyczny od kilku tygodni go zdradzał... Raz wchodząc do salonu Koppel zastał ją z córką — obie tonęły we łzach a Elza na widok jego uciekła. Gdy zaś począł żonę niespokojnie badać mówiąc, iż niema prawa nic przed nim taić:

„Więc czemuż ty się przed nami ukrywasz?" — zapytała smutno Frau Käthe. Ona już od dawna wiedziała o wszystkiem, ale milczała,

czekając na pierwsze słowo męża; a gdy ten obecnie padł na kolana głowę ukrył w jej sukni, przytuliła go tylko do siebie, łagodnym macierzyńskim ruchem. „A on wtedy opowiedział jej całą prawdę, wszystko do ostatniego słowa. I czynił to z rodzajem bolesnej rozkoszy, gdyż za każdą wyznaną winą zmniejszał się ciężar, gniotący mu serce i rozwalniały więzy krępujące duszę. Cudownie gojąca moc spowiedzi[1] przenikała do głębi wszystkie części jego jestestwa i nowem zalewała je życiem". Przyszedłszy nieco do siebie Koppel zapytał o córkę, czemu płakała i czego uciekła? Niestety dowiedział się, że przed chwilą właśnie, ów upragniony konkurent, Brünne-Tillig, oficer przyłączony do ambasady niemieckiej, oświadczył się o jej rękę i dostał odmowną odpowiedź. Elza jednak nie przyznała się przed nim, że go odmawia dlatego, iż ojciec przegrał jej posag, że już niema za co wymaganą kaucyę wystawić. Nadto szlachetna dziewczyna płaci połowę ojcowskiego długu, poświęcając wszystko, co w ubiegłym roku zebrała za malowane przez siebie pastele i akwarele: ani się domyśla biedactwo, że to baronowa, chcąc jej przyjemność zrobić, kupowała za fantastyczne ceny wszystkie jej obrazki za pośrednictwem handlarza.

W kilka dni potem syndykat Spółki rtęciowej zbierał się w pałacu Henneberga, wezwany do ważnej narady. Interesa stały źle; odbiorcy odmawiali uporczywie zapłaty, jakiej od nich żądano i przestawali kupować; towar bez zbytu napływał co dnia do magazynów Spółki i gromadził się olbrzymiemi masami. Trzeba zań było płacić zarządom kopalń, a że pieniądz ze sprzedaży nie płynął, należało szukać kredytu. Szanse zaś były bardzo słabe; od pewnego czasu zjadliwe organa prasy nie przestawały ostrzegać publiczności i wzywać rząd do energicznych kroków przeciwko „szajce zbójeckiej". Nadto jeden z banków londyńskich zapowiadał na następny miesiąc wypowiedzenie 8-miu milionowej pożyczki... Henneberg przedstawił położenie jasno, dobitnie, ale bardzo poważnie, wszyscy obecni słuchali z głęboką troską na twarzy. Okryty orderami jenerał argentyński Zagal otwierał szeroko oczy. pytając, czy ma sprzedać swoje galony i gwiazdy? Baron Agostini oświadczał, że prócz akcyi spółkowych niema już grosza w swej kasie. Jeden tylko z wspólników Kohn (łatwo po nazwisku dorozumieć

[1] „Die wunderbare Heilkraft der Beichte durchrieselte ihn bis in die innersten Fasern seines Wesens und tränkte ihn mit neuem Leben". II B. S. 288.

się narodowości) nie przestawał się uśmiechać i stroić żarciki. Wprawdzie on miał w grze tylko trzy miliony a tamci!...

Przy końcu Henneberg proponuje jeszcze sposób ratunku: zamianę syndykatu na nowy rodzaj towarzystwa akcyjnego, puszczającego w obieg papiery drobnej wartości nietylko w Paryżu, ale w Belgii, Anglii i południowych Niemczech. Akcye te przedstawiać mają zbiorową sumę 600 milionów, za pomocą których można będzie przeczekać burzę i zmusić odbiorców do uległości. Kampania prasowa już jest przygotowana w tym celu. Teraz więc chodzi głównie o to, aby znaleźć w dwa tygodnie ośm milionów na zapłacenie londyńskiego banku — ominąwszy tę rafę będzie znów można na pełne morze wypłynąć.

Na tem kończy się narada; wspólnicy mają się zebrać znowu za kilka dni a tymczasem Henneberg zniecierpliwiony wyrzuca Kohnowi dziwną jego wesołość: „Ot, widzisz pan — brzmi odpowiedź — pochodzi to stąd, że ja pogardzam pieniędzmi. Tak — pogarda pieniędzy jest najpierwszą finansisty zaletą". Słysząc zaś barona Agostini chwalącego pomysł Henneberga, zauważa drwiąco do innego kolegi: „Papiery zagwarantowane na rtęci! Pytanie tylko, czy żywe srebro nie okaże się zbyt ruchomą podstawą?"

Jedynym ze Spółki rtęciowej, zdającym się zasługiwać na zajęcie autora i czytelnika, wydaje się Agostini. Jego położenie też było najkrytyczniejsze. Almady, na których jednych opierał się obecnie jego majątek, topniały jak śnieg na wiosnę; ludzie cisnęli się, aby je wysprzedać. Co gorzej, w ostatnich dniach zażądano od francusko-wschodniego banku wypłaty kilku bardzo grubych wkładek. Wreszcie naczelnicy biur przyszli przestrzedz swego pryncypała, iż wszelki obrót z konieczności ustanie, jeśli natychmiast nowe fundusze do kasy nie wpłyną; z rana już tego dnia czek z podpisem francusko-wschodniej firmy nie został w innym banku przyjęty. Agostini miał jeszcze dość siły, aby wobec podwładnych opanować wzruszenie; gdy wyszli zawezwał telefonem Henneberga. Ten wysłuchał złych wieści zaciskając zęby, odrzekł jednak dość szorstko, że nie pojmuje dlaczego Agostini, będący od 30 lat pierwszorzędną potęgą finansową do niego o pomoc się zwraca. Za jedyny ratunek wskazał mu udanie się do życzliwości którego z innych królów pieniężnych np. barona Zeil. Na zarzut, że to przecież on jest wszystkiego złego przyczyną, odpowiedział, że trzeba było wcześniej mieć się na ostrożności, że wprawdzie Agostini może teraz go zgubić wyprzedając na gwałt swoje Almady i część zapasów rtęciowych, ale tem samem zgubi najpierw sam siebie. Dodawał

słusznie, że teraz nie pora na kłótnie, ale na szybkie i energiczne działanie. Stary bankier poczuł się bezsilnym w żelaznych rękach Prusaka; nie wiedział, iż Henneberg zapewnił był sobie na przypadek upadku miękie bardzo posłanie, umieszczając skrycie w zagranicznych bankach znaczne kapitały i że usiłując ratować Spółkę działał więcej z miłości własnej, aniżeli z potrzeby. Raczej niż uznać się zwyciężonym gotów był ostatnią kroplę krwi ze swych wspólników wydusić, a „w razie porażki bez najmniejszego wyrzutu sumienia zostawić ich na polu bitwy na pastwę sępów i wilków". Upadek Agostiniego, po którym przewidywał tegoż śmierć, był mu nawet na rękę: przed jego ślubem kochał się był czas jakiś w pięknej Auguście, ale pomimo jej przychylności, poślubić jej nie chciał. Teraz, gdy stanowisko jej w świecie odmieniło się, nietylko gotów był to uczynić, ale liczył na pewno na jej owdowienie i myślą o tym celu ozłacał szaloną grę hazardu, jaką z losem rozpoczął.

Agostini musiał w istocie udać się z prośbą o pomoc do barona Zeil. Był to krok bardzo bolesny: „w pierwszej połowie wieku domy Agostinich i Zeilów stanowiły dwa współzawodniczące i wrogie obozy. Pojednał je *coup d'état* Napoleona III., przy którym wystąpiły oba jako podpory młodego cesarstwa i odtąd pozostały w zgodzie, podzieliwszy świat między siebie. Dom Agostinich objął Wschód a Zeilowie Zachód, jedni budowali koleje, drudzy zakładali Towarzystwa żeglugi parowej. Zeilowie, którzy byli Żydami popierali pieniężnie papieża (*sic!* jedyne głupstwo w całej książce), tamci zaś katolicy podtrzymywali sułtana". U Zeila czeka Agostiniego nowe upokorzenie: „Od roku już spodziewam się pańskiej wizyty" — rzecze tenże i wyraziwszy zdumienie, że poważny finansista mógł się na seryo wdawać z awanturnikiem, jakim był Henneberg, dodaje kilka wyrazów ubolewania nad niechybnym już upadkiem starożytnej firmy. Na pomoc lub ratunek już za późno — od ludzi tonących trzeba się trzymać z daleka. Agostini odchodzi złamany. Żona, która wezwana depeszą o północy przybywa zastaje go w tak strasznym stanie, iż z razu obawia się, że oszalał. Wkrótce jednak poznaje prawdę i wtedy następuje jedna z najładniejszych scen powieści: podziękowanie starego męża, młodej i pięknej żonie za jej dobroć, wierność i niezmordowaną troskliwość, heroizm kobiety ofiarującej oprawę swą i klejnoty, aby przyjść w pomoc mężowi. Baron odmawia: toż to kropla wody na ugaszenie pożaru. W końcu Augusta myśląc, że biedaka ukoiła do snu, odchodzi; nazajutrz rano zastają go bez życia z kulą rewolwerową w skroni.

Henneberg tryumfuje. Spółki wprawdzie ocalić nie zdoła, musi nawet uciekać przed ręką sprawiedliwości — cel życia jednak jest osiągniętym: Augusta będzie jego żoną. Przychodzi więc do niej i szorstko, tonem nie proszącego lecz pana, żąda jej ręki. Ale Augusta wobec niezastygłych zwłok męża, odpycha go z oburzeniem, każe iść precz i pada obok trupa zemdlona. Wtedy dopiero Henneberg czuje, że mu się ziemia z pod nóg usuwa, wraca do siebie i tu za przykładem Agostiniego strzela sobie w łeb.

Te dwa po sobie następujące samobójstwa są istotnym błędem w powieści; może tak niestety bywa w rzeczywistości, ale to nie przeszkadza, że zgon Henneberga nie sprawia już żadnego wrażenia. Nordau mógł Agostiniego zabić apopleksyą, byłoby to lepiej licowało z podniosłem usposobieniem, jakie okazuje przy końcu. Co do Henneberga, jest on zaprawdę łotrem, ma jednak swoje romantyczne strony. Jest to postać ukuta z twardego metalu: śmiały, rzutny, bezwzględny, byłby dyktatorem w Rzymie, kondotierem we Włoszech, tyranem rzeczypospolitej w Peruwii lub w Chili — w Paryżu został po prostu *gründerem.*

Baronowa wkrótce jednak powróciwszy do zdrowia, oddaje swój ulubiony zamek w Bretanii na klasztor dla Sióstr Miłosierdzia i sama w nawpół zakonnem odzieniu osiada przy nich, dzieląc swe życie między uczynki miłosierne i czytanie ksiąg świętych. Lud okoliczny ją czci, jakoby swoją patronkę.

A Koppel? Ten wstrząśnięty do głębi w straszny dzień katastrofy błądził od pałacu Henneberga do francusko-wschodniego banku, słysząc zewsząd przekleństwa na nieboszczyków, widząc obrazy ruiny, żalu, rozpaczy. Wdzięcznym był (nie wiedzieć komu, bo o Panu Bogu nie myślał), że mu danem było wycofać się na czas, nie tracąc ni honoru, ni życia. Do domu Agostinich dotrzeć nie mógł, w ulicy bowiem ciągnął się długi szereg ludzi wszelkiego wieku i płci, wszyscy czekają na swoją kolej, aby się dostać do banku. O dziwo! Bank funkcyonował jak gdyby tu na górze nie leżał trup Agostiniego, ówdzie trup Henneberga, a większość Spółki rtęciowej nie siedziała pod kluczem w więzieniu. Obnoszone ogłoszenia zapewniały, że z całego tego tłumu nikt grosza nie straci. „Koppel przypatrywał się twarzom, postaciom. Wieluż to ludziom, wielu rodzinom groziła straszna zagłada! Czyż łotry wysysające krew społeczeństwa przedstawiają sobie kiedy swe zbrodnie w takim żywym obrazie? Czyż kiedy w duchu widzą trzodę swych ofiar, jako żywe pojedyncze osoby? Gdybyż oni tu byli, ci zbóje, co złupili bank, co mu własny jego majątek wydarli... W tejże chwili

przyszło mu do głowy, że się nigdy nie był zapytał, skąd pochodziła owa ćwierć miliona, którą w chwili największego zysku byłby mógł ściągnąć do swojej szuflady. W skład tej ćwierci miliona wchodził zapewne niejeden grosz wdowi, może na niej ciężyły łzy a może i krew. Sumienie jego wszakże milczało wtedy na widok mamony, gdyż nie widziało na niej ludzkiego oblicza. Bezimienność zbrodni dozwala spekulantom z lekkiem sercem dokonywać łupieztwa".

„W ostatnim razie rząd wystąpił był jako wybawca. Dostrzegłszy straszne niebezpieczeństwo, grożące tysiącom ludzi, minister skarbu odbył późnym wieczorem z baronem Zeil i kilku pierwszorzędnymi finansistami naradę, której wynikiem było wzięcie w posiadanie Banku francusko-wschodniego przez inny syndykat bankowy z warunkiem zadosyćuczynienia wszystkim tegoż zobowiązaniom. Członkowie Spółki tracili do ostatniego szeląga, ale wszelkie wkładki były uratowane".

Pogrążony w swem dumaniu Koppel, zdziwił się mocno, widząc zbliżającego się swobodnym krokiem Kohna, jednego z wspólników. Przyszedł tu nacieszyć się widokiem wylękłego tłumu przedstawiającego dlań urok rodzajowego obrazka. Zdawał się być w najwyborniejszym humorze; zacierał ręce i czynił filozoficzne uwagi, mówiąc, że „za naszych czasów podobne wstrząśnienia mogą już wywołać dwie tylko potęgi: pieniądz i wiara". To znów puszczał się na facecye, twierdząc, że „giełda powinnaby właściwie zwać się Kornelią, skoro jest matką krachów (Grachów)". Wesołym był i nie dziw: toż za pierwszą oznaką burzy wmięszał się w tłum sprzedających. Jego trzy miliony udziału wprawdzie przepadły, ale z pogromu wyniósł ich przeszło 30... Umiał też tak się zakręcić, że został przyjętym do nowej Spółki rtęciowej.

„Nowy Syndykat utworzył się na poczekaniu. Baron Zeil mianowicie uznał, że pomysł Henneberga był dobrym pod warunkiem, że go się wykona nie z 300 milionami, ale na podstawie półtora miliarda. Czekał aż metal i kopalnie do szczętu upadną w cenie. Odbiorcy i spekulanci czekali również na zniżkę. Gdy jednak ceny doszły do cyfry, którą był sobie z góry naznaczył, Zeil zakupił wszystko. Z zarządami kopalń zawarł nowe umowy na daleko korzystniejszych dla siebie warunkach, niż te, które był uzyskał Henneberg; wszystkie ceny postawił wyżej, niż to była śmiała uczynić poprzednia Spółka, a konsumenci i spekulanci musieli na nie się zgodzić, wiedzieli bowiem, że nowa Spółka z baronem Zeil na czele była od nich silniejszą. Rząd patrzał przez palce i ani myślał nowego syndykatu molestować, był

bowiem baronowi Zeil wdzięczny za gotowość, z jaką tenże rzucił się z pomocą w chwili upadku francusko-wschodniego Banku i instytucyę tę postawił napowrót na nogi. Zeilowi jednak przyszła ta ofiara łatwiej, że objąwszy bank w wartości 80 milionów, mógł go dzięki Spółce rtęciowej po niejakim czasie za niemal 400 milionów spieniężyć. Niemniej przeto prasa wiła syndykatowi Zeila dębowe wieńce, za to, iż odwróciwszy z nad placu grożącą chmurę, wyrwał z szponów obcych rzezimieszków ważną gałąź handlową i oddał ją w ręce patryotycznie usposobionych ludzi".

Cały ten ustęp przytoczyliśmy żywcem, zawiera bowiem główny sens moralny książki. Że jest prawdziwym i słusznym, o tem może nas przekonać doświadczenie codzienne: złodziej, który ukradnie komu chustkę, idzie pod klucz — wyzyskiwacze ssący krew całych społeczeństw, przechadzają się swobodnie pod słońcem. Pod tym względem zatem nowe dzieło Nordau'a jest ciekawem i wielce dodatniem. A pod innemi? Wolelibyśmy, choćby dla dobrego smaku, aby baronowa w swojej *Höllenfahrt* zajechała choćby o jeden stopień mniej nizko; aby, w innej części, budzące się złe instynkta Oskara opisane były mniej szczegółowo. Wszelako nawet te szczegóły muszą wobec dzisiejszej literatury powieściowej uchodzić za umiarkowane: autor zanadto zgromił wyuzdanie u innych, aby go się sam w sposób rażący dopuszczać. To co jest złe, nazywa złem, a co dobre — dobrem, surowość zaś i oschłość głównego tematu okrasza mnóstwem zabawnych epizodów i pięknych, pobocznych postaci. Taką miłość, jaką Koppel otacza swą matkę, rzadko chyba spotyka się na świecie; takie żony jak Frau Käthe możnaby żywcem na ołtarzu postawić a obok nich trochę niżej złotowłosą Elzę, do której Brünne-Tillig powraca, skoro tylko odziedziczony majątek pozwala mu porzucić służbę. Jednego tylko brak wśród tylu dobrych ludzi: uwydatnienia bodźca, który jest ich dobroci przyczyną. Nordau, jak wiemy z „Konwencyonalnych kłamstw", był wrogiem wszelkiej religii. Może być, że Syonizm zdziałał w nim jakąś zmianę na lepsze, że nauczył go przynajmniej szanować wiarę w drugich.

T. W.

Grundriss der Stilistik, Poetik und Aesthetik für Schulen und zum Selbstunterricht von *Gerhard Gietmann S. I.* Freiburg im Breisgau. Herder 1897. W 8-ce, str. 386.

Ponieważ dzisiaj sztukom pięknym wielkie znaczenie w rozwoju kultury i podniesieniu ogólnego umysłowego poziomu przypisują, łatwo

sobie wytłumaczyć zjawisko, że rok rocznie pojawiają się nowe nauki lub popularne podręczniki estetyki. Słusznie zaznaczają dziś wszyscy wielki wpływ sztuk pięknych na życie, a przedewszystkiem jego religijną i etyczną stronę, słusznie też żądają od każdego wykształconego człowieka, aby się obznajomił z zadaniem sztuk pięknych i ich prawami, a tym sposobem przyswoił sobie konieczne warunki do artystycznego zrozumienia pięknych utworów. To żądanie jest tem słuszniejsze i tem bardziej uprawnione, że z jednej strony przeciętne wiadomości tak zwanych klas wykształconych są zwykle bardzo powierzchowne i encyklopedyczne, z drugiej znów strony przypisuje sobie każdy wykształcony prawo do wydawania sądów i poglądów na dzieła sztuki, czy to po czasopismach czy też w towarzystwie. Literatura niemiecka obfituje w podręczniki estetyczne i krytyczne o wysokiej wartości, lecz jak niestety słusznie H. Lotze w swej historyi estetyki w Niemczech zaznaczył, bardzo mało z tych prac przeszło w stały zysk ogólnie uznanych wyników estetycznych". Oprócz tego rozszerza największa część tych estetyczno-krytycznych dzieł zasady i zapatrywania stojące w bijącej sprzeczności z najjaśniejszemi pewnikami zdrowej filozofii i dążące do tego, aby z biednego ludzkiego serca wyrzucić ostatnie resztki obyczajów i dobrego smaku. Ilość dzieł, posiadających prawdziwą wartość a opierających się na dokładnem zbadaniu sztuki i piękna, nie jest znów tak wielka, aby nowo pojawiającą się książkę o estetyce i poetyce nazwać niepotrzebną lub zbyteczną.

Stöckla *Lehrbuch der Aesthetik* (3 wyd. 1889) odznacza się wielką jasnością, ale też i niemniejszą zwięzłością, tak że niewtajemniczonemu nie wystarczy. Jungmana estetyka (3 wyd. 1886) celuje dokładnością, głębokością i naukowem opracowaniem, ale w pojęciu piękności są jego zapatrywania zbyt jednostronno-idealne. Oprócz tego wymaga to dzieło od czytelnika za wiele i żąda filozoficznie wykształconego umysłu, któryby się i abstrakcyjnego rozumowania nie uląkł. Brakło więc jeszcze estetyki, którąby wolną była od tych usterek a zarazem, co najgłówniejsze, dała się użyć za podręcznik w szkołach. Dzieło niniejsze nadaje się zupełnie do wypełnienia tego braku i rzeczywiście zawdzięcza ono swe powstanie życzeniu autora, pragnącego dać uczniom odpowiedni podręcznik stylistyki, poetyki i estetyki. Przeprowadzenie jednak rzeczy jest takie, że może oddać wyborne przysługi i przy studyum prywatnem. Książka ks. Gietmanna omawia prawie wszelkie pytania, które w tym przedmiocie mają jakiekolwiek znaczenie. Z ufnością bierzemy dzieło do ręki, ponieważ do jego czytania przystępujemy

z przekonaniem, że mamy przed sobą powołanego znawcę sztuki i odnośnej literatury, który w wielu rozprawach estetycznych i krytycznych, przedewszystkiem zaś w wielkiem swem trzytomowem dziele *Klassische Dichter und Dichtungen* (Fryburg, Herder) dał nam dowód, że dziedzina sztuki i piękna jest mu dobrze znaną.

Książka składa się z trzech części, z tych pierwsza obejmuje stylistykę. Główne cechy odpowiedniego dobrego przedstawienia, jako to zrozumiałość, przystosowanie i piękność, środki do przyswojenia sobie pięknego stylu, wyłożone tam jasno i wyczerpująco i objaśnione na trafnych, odpowiednio dobranych przykładach. Dokładniej i szczegółowiej oznacza nam autor opisywanie, opowiadanie, rozprawki i dzieła literackie; w dodatku rozwodzi się nad stylem mów.

Cała druga część zajmuje się poezyą. Autor prowadzi nas do samej pracowni poety i omawia najpierw jasno i gruntownie działalność poetycką, a więc: zadanie poety, fikcyą i prawdę, cudowność w poezyi, jedność, uidealizowanie przedmiotu, stosunek poezyi do moralności i rzeczywistości, wyobraźnię poetycką, szkicowanie charakteru, nastrój, uczucie, wreszcie język poetycki, rytm i rym. Szczegółowa część poetyki zajmuje się trzema rodzajami poezyi, a więc epiką, liryką i sztuką dramatyczną, a wszędzie charakteryzuje dokładnie i trafnie ich istotę, własności, różnice i t. d. Przedewszystkiem sztuka epiczna opracowana obszernie i bardzo dobrze. W samem dziele posługuje się autor całemi szeregami wyjaśniających cytat, zapożyczonych z poetów, które służyć mogą za wzory w omawianych rodzajach.

W ostatniej części zastanawia się autor nad estetyką. Ustaliwszy najpierw pojęcie estetyki i jej zadanie, omawia obszerniej pojęcie sztuki. Następuje najcenniejsza i najbardziej interesująca część całego dzieła, mianowicie zbadanie (ustalenie) pojęcia „piękna“. Aby nam zrozumienie tego trudnego pytania ułatwić, i zdanie, na czem właściwie to piękno polega, jaśniej rozwinąć, postępuje stopniowo od twierdzeń łatwiejszych do trudniejszych w całym szeregu pojedynczych tez. Pięknem jest najpierw to, w czem znajdujemy bezinteresowne upodobanie, czyli to, czego samo rozważanie w wysokim stopniu do smaku nam przypada, albo, jak mówi św. Tomasz, w którego kontemplacyi pożądanie tymczasowo spoczywa. Konsekwentnie odrzuca słusznie zdanie, że moralizująca dążność dzieła sztuki jest jej głównem zadaniem.

Pięknem jest tylko to, w czem znajdujemy bezinteresowne upodobanie. Twierdzenie to wyprowadza autor z ogólnego przekonania ludzi i ścisłem filozoficznem rozumowaniem. Stąd przychodzi do wniosku,

że czysto materyalne pojęcie piękna i najskrajniejszy realizm, który się dzisiaj w sztuce rozpanoszył i do usunięcia ducha z krainy piękności dąży, utrzymać się nie da. Pięknem jest tylko to, w czem znajdujemy bezinteresowne, umysłowo-zmysłowe upodobanie. To, dla zrozumienia istoty piękna tak ważne zdanie, omawia obszernie i doskonale. Artysta ma więc duchową ideę „w zmysłowo-pięknym obrazie“ przedstawić, ponieważ sama myśl nie robi na nas zwykle wrażenia, a rozbudzenie fantazyi i uczucie serca wywołuje dopiero piękna, zmysłami objęta forma. Widzimy to we wszystkich dziełach Bożych, i na tem polega piękność świata. Prawdziwość powyższego twierdzenia wynika również z zmysłowo-duchowej natury człowieka, któremu tylko ta prawda się podoba, co zstępując z nieba wciela się w świat zmysłów. Autor nie uważa jednak, jak to np. stronniczo czyni Jungman w swej skądinąd wybornej estetyce, tego „zmysłowego piękna“ jedynie za błyskotliwą osłonę piękności, lecz za istotną jej część. Dowody są jasne i przekonywujące. Idei samej w sobie za piękność nigdy uważać nie będziemy; nikt nie powie o najgłębszej nawet prawdzie, że ona jest piękną w znaczeniu sztuki; jeżeli się więc ma stać piękną, musi jej dać artysta ujmującą formę. Prosty dowód objaśnia tę rzecz jeszcze więcej. Jak długo mamy dzieło sztuki przed oczyma, tak długo mamy wrażenie piękności; jeżeli zaś obraz uleciał z wyobraźni naszej, zginęło wraz z nim i nasze upodobanie estetyczne, dlatego pragniemy znowu ten obraz zobaczyć. Tak samo dzieje się, jak to każdy wie z własnego doświadczenia, i z utworami poetyckimi. Znamy dobrze ideę, prawdę, jaką poeta w wierszu nam przedstawia, a jednak brak nam estetycznego upodobania. Bierzemy więc na nowo do ręki poemat, aby się ucieszyć piękną formą, w którą mistrz myśl swą przybrał. Gdyby piękna forma nie należała do istoty piękności, odwracałaby tylko i rozdrabniała naszą uwagę. Po cóż więc tyle starań artysty, aby zmysły nasze piękną formą ująć? Aby dobrze utwierdzić zdanie, że zewnętrzna zmysłowa strona jest czemś więcej, aniżeli warunkiem do zrozumienia idei, posługuje się autor bardzo trafnem porównaniem. „Rusztowanie sklepienia, pisze, rozbieramy, gdy sklepienie osiągło potrzebną mu trwałość; słupy podpierające powałę muszą pozostać, bo pomagają dźwigać. Podobnież ma się rzecz z pięknem w stosunku do zmysłowego poznania. To ostatnie byłoby niepotrzebne, owszem byłoby przeszkodą, gdyby duch sam dla siebie rozkoszował się w piękności. Bo gdy duch zdobyte poznanie zewnętrznych przedmiotów przerabia, zgłębia i w niem sobie rozkoszuje, a w tym samym czasie zmysł jest czemś zaprzątnięty, to ta działalność ducha

trafia na przeszkodę, a nie na pomoc“ (str. 262). Piękność jest wprawdzie w swej istocie i w swem działaniu jedna, składa się atoli z dwóch części, z idei i formy. Twierdzenie to sprawdza się i wtenczas, gdy czysto duchowe przedmioty swą pięknością na nas działają; i one muszą przyjąć piękną zmysłową postać. Wzorami w tym względzie są np. prorocy, kiedy w zmysłowych uchwytnych obrazach uwielbiają wielkość Boga.

Autor przechodzi wreszcie do wyjaśnienia objektywnej istoty piękności i stawia nam, jako czwarte twierdzenie, zdanie, że piękność jest to promieniejąca, swym blaskiem upodobanie w nas budząca doskonałość jakiejś rzeczy, a więc własność objektywna. Wreszcie stawia nam następujące zupełne określenie piękności: Piękność wogóle jest to jasno objawiająca się prawda albo doskonałość; piękność zaś dla nas ludzi jest to prawda albo doskonałość objawiająca się nam jasno w zmysłowej formie (str. 270). Koniec tego interesującego rozdziału stanowi krótkie lecz trafne zbadanie własności pięknu przeciwnych i ich uprawnienie w sztuce. Cała ta rozprawa o piękności należy bez wątpienia do najlepszych ustępów dzieła. Podziwiać w niej trzeba tę niezwykłą łatwość i przejrzystość myśli, z jaką przedmiot, ulegający, tylu trudnościom jest traktowany. Każdy myślący czytelnik pójdzie dla tego bez trudności, a z wciąż rosnącem zainteresowaniem za autorem.

Ostatni rozdział ogólnej części estetyki zajmuje się sztuką piękną i jej zadaniem, przyczem słusznie ogranicza naukę o niezależności sztuki i stawia ją w miejscu jej istotnie przypadającem. Dobitnie objaśnia nam dalej stosunek sztuki do natury, prawdy, moralności i religii, przyczem rzuca kilka bardzo na uwagę zasługujących i interesujących zdań o realizmie w sztuce. W szczegółowej części estetyki omawia autor mimikę, muzykę, malarstwo, rzeźbiarstwo, architekturę i wskazuje wszędzie krótko, lecz wystarczająco, na istotę każdej sztuki, na jej własności, podziały i t. d. Oprócz tego znajdujemy w dziele trzy obrazy i jedną tablicę kolorową Dyspucie Rafaela poświęca ks. Gietmann szczegółowy estetyczny rozbiór i podaje nowy sposób tłumaczenia lewej strony obrazu.

Jeżeli nasz sąd o tem dziele krótko streścić mamy, musimy przyznać z wszelkiem uznaniem, że autor wywiązał się z założonego sobie zadania ku zupełnemu zadowoleniu. Zapanowanie nad przedmiotem, zgłębienie rzeczy i znajomość odnośnej bogatej literatury przejawiają się na każdym kroku. Pojęcia zawsze ściśle określone i logicznie rozwinięte; przedstawienie tu i ówdzie trochę za zwięzłe, ale jasne i przej-

rzyste. Na tę właśnie logiczną przejrzystość i jasność, a zarazem i na ostre zarysowanie pojęć musimy zwrócić uwagę, a to tem bardziej, że tematów tego rodzaju używają zbyt często autorowie, jako najodpowiedniejszego pola do pustych frazesów.

Max Kohlsdorfer.

La tiare pontificale du VIII. au XVI. siècle. *E. Müntz.* Paris 1897.

Zdawałoby się, że po wielu dotychczasowych studyach o papieskiej tyarze, już nic nowego o niej powiedzieć nie można; mimo to jednak wrócił do niej wybitny historyk renesansowej sztuki E. Müntz i niejeden ciekawy szczegół do poprzednich wiadomości dorzucił. Do studyum tego wyzyskał wiele niedrukowanych dokumentów, zwłaszcza z tajnego papieskiego archiwum, przestudyował portrety i nagrobki papieży, ich monety i medale i rozprószone po bibliotekach rzymskich starsze reprodukcye.

Używanie tyary przez papieży można dopiero udowodnić od czasów Grzegorza VII. Była to jednak tyara prosta; dzisiejsza tyara, porównana z tak zwaną tyarą św. Sylwestra, wykazuje cały szereg ewolucyj. Podwójna korona weszła w tyarę za Bonifacego VIII., a potrójna za czasów awenionskich. Gdy tyary poprzednie rażą ciężką archaiczną formą, tyara w wieku XIV. robi wrażenie jakiejś małej gotyckiej wieży. A przytem ornamentyka była bogatą: tyara Eugeniusza IV. była szacowaną na 2 miliony franków, Pawła II. na 6—8 milionów, a wszystkie przewyższyła bogactwem tyara Juliusza II., która 10 milionów franków kosztowała, a w której dla lepszego ułożenia drogich kamieni zatarto wybitną różnicę trzech koron. Tyara ta uległa później przeróbkom tak, że o właściwej tyarze Juliusza II. nie miano dokładniejszego pojęcia. Dopiero autorowi udało się w paryskiej szkole sztuk pięknych znaleść jej wierne odbicie.

Ks. J. K.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

WYBORY WE FRANCYI. Rządy Francyi od pierwszych dni trzeciej Rzeczypospolitej, spoczywały wyłącznie w rękach masońskich zaprzysięgłych wrogów Kościoła katolickiego, których życie całe i całą działalność dobrze obmyślaną, tajemniczą i zarazem nieubłaganie konsekwentną streścić można w słowach: „Śmiertelna nienawiść ku Kościołowi katolickiemu“. Masoni znakomicie korzystali z 30 prawie lat, w ciągu których stali na czele rządu, aby wszystkie warstwy dla swych celów pozyskać, występując nieraz, by bojaźliwszych nie zrazić, pod płaszczykiem dobroczynności, filantropii, w ostatnich czasach nawet pod hasłami socyalnemi. Francya dzisiejsza — chlubić się mogą z tego masoni — po większej części już zpoganiała. Kobiety może jeszcze przeważnie są wierzące, ale z mężczyzn $^2/_3$ w nic nie wierzy; z praktyką religijną porzucili i wszelką wiarę, i niczem się nie różnią od starych pogan z późniejszych czasów cesarskich, chyba tem, że mimo woli żyją i oddychają cywilizacyą na gruncie chrześcijaństwa wyrosłą.

W zeszycie styczniowym wspomnieliśmy o przedwyborczym ruchu katolickim, skierowanym w pierwszej linii ku temu, by wytrącić ster rządu z rąk radykalno-masońskich i póki czas jeszcze zapobiedz zupełnemu zniszczeniu wiary katolickiej w kra-

jach św. Ludwika. Jak Zolę w sylwetce Paryża ciągle razi kościół Serca P. Jezusa, który z Montmartre nad miastem panuje ze swym wspaniałym napisem: „Francya pokutująca Najśw. Sercu Jezusowemu“, tak dla masonów gryzącą solą w oku była ta propaganda klerykalna, szerząca się po całym kraju. Radykalni masoni połączyli się ze wzrastającą potęgą socyalistów, by zgnieść wspólnego nieprzyjaciela. Atoli wszelkie wysiłki zdają się być bezskuteczne. Zaczyna brzydnąć Francyi to straszne nie do opisania zepsucie, które z bezwyznaniowych szkół po całym kraju się rozeszło. Coraz częściej dają się słyszeć złowrogie głosy, wychodzące z ust najpoważniejszych mężów, katolików i niekatolików, że Francya zginie, jeżeli nie zerwie z tradycyami masońskiemi. — Ostatnie wybory do parlamentu, które się odbyły 8 maja, pokazały, że i u ludu francuskiego hasła masońskie przestają być popularnemi.

Katolicy francuscy dzielnie się przygotowali do walki wyborczej. Wszyscy prawie biskupi w osobnych listach pasterskich przypomnieli swym wiernym ścisły obowiązek głosowania i nakazali publiczne nabożeństwa. Było to pierwszy raz, że katolicy pogodzeni z formą rządu rzeczypospolitej według wskazówek Leona XIII. przystąpili do urn wyborczych; nikt się więc nie spodziewał, że naraz wielka liczba katolików republikańskich wejdzie do Izby poselskiej. Katolicy bardzo roztropnie postawili sobie jako pierwszy cel wyprzeć radykałów z krzeseł poselskich i dlatego postanowili nie stawiać swego kandydata w okręgach, gdzie toczyła się walka między radykałem a umiarkowanym republikaninem, zwolennikiem obecnego ministerstwa Méline, ale oddać swe głosy kandydatowi rządowemu. Choć bowiem Méline nie jest katolikiem, to przecież wszyscy — nawet M. Vogüé w swym pesymistycznym liście o stanie Francyi — przyznają, że to człowiek dzielny, a co dla katolików ważniejsza, człowiek pragnący pokoju z Kościołem i stanowczego, jak 12 marca w Izbie oświadczył, zerwania z radykalizmem masońskim. Dla dokładnej charakterystyki kierunku teraźniejszego prezydenta ministrów podajemy dosłowny ustęp przedwyborczego jego manifestu: „Zwalczałem zawsze — pisze Méline — politykę sekciarstwa i nienawiści,

która się stara rozłączyć Francuzów, zamiast ich zbliżyć, dlatego coraz bardziej przywiązuję się do polityki połączenia i uspokojenia. Pierwsza jest polityką dekadencyi, która zawsze prowadziła do zguby ludów, które się poddały jej złowrogim natchnieniom; druga jest polityką zbawienia i wielkości narodowej; doprowadziła ona wszystkie narody, które ją uprawiały, do najwyższego stopnia siły i potęgi. Ta polityka, jak widzieliście, od dwu lat rządzi krajem; ... dzięki jej Francya wraca coraz bardziej na swe stanowisko światowe..." Te słowa przypominają mimo woli mowę Brunetiére'a, wypowiedzianę 19 lutego w Bezanson, gdzie oświadczył, iż według teraźniejszego stanu świata cywilizowanego wszystko, co się robi w interesie katolicyzmu, to się robi w interesie samej Francyi...

Katolicy więc najsłuszniej współdziałać mogli dla wzmocnienia tak pokojowo względem religii usposobionego rządu, który żadną miarą się nie identyfikuje ze skandalem panamskim i żydowsko-masońską korupcyą przeszłych rządów, ale właśnie się zbliża do Kościoła. Teraźniejsza większość republikańska znacznie się różni od większości z r. 1893 tem, że się odwróciła od masonów. Francuscy katolicy, wspierając Méline'a, działali w myśl Leona XIII.

Nie można jeszcze wydać stanowczego sądu o wyborach, gdyż na 581 okręgów wyborczych, skutkiem wielkiej liczby kandydatów, 179 wyborów jest jeszcze nierozstrzygniętych — fakt, który wymownie świadczy o chwili przełomu we Francyi. Stwierdzić jednak można, jak to dzienniki wszystkich odcieni przyznają, że wybory wypadły przedewszystkiem na korzyść rządu Méline'a. Umiarkowani republikanie za współudziałem katolików pozyskali mniej więcej 20 krzeseł. Republikanów katolickich *(ralliés)*[1] wybrano 45 (niektóre gazety podały niższe liczby, 30, 24,

[1] Partyę tak zwanych *ralliés* tworzą katolicy pogodzeni z republikańską formą rządu. Dzienniki radykalne francuskie często z umysłu, a nasze przez pomyłkę, mięszają katolików *ralliés* z monarchistami. Jest to gruby błąd, ponieważ różnica, zachodząca między dwoma obozami politycznemi jest tak znaczna, że *ralliés*, jeżeli mają do wyboru między katolikiem monarchistą a pokojowo usposobionym republikaninem, choć nie katolikiem, raczej ostatniemu pomagają. Uważają oni tę taktykę za koniecznie

skutkiem bałamuctw, powstałych przez nowe ugrupowanie posłów). Katolicka partya republikańska zdobyła więc 9 nowych miejsc. Ponieważ wogóle mało nowych kandydatów postawiła, miarą zwycięstwa jest przedewszystkiem ilość głosów, jaką pojedynczy ich posłowie otrzymali. Otóż wybitniejsi ich wodzowie przeszli prawie bez walki. Tak hr. de Mun (dep. Finistère) na 12.860 głosujących otrzymał 11.000 głosów; ks. Gayraud (dep. Finistère) na 11.200 9.853; ks. Lemire (dep. Nord) przeszedł większością o $^1/_4$ znaczniejszą, niż przy ostatnich wyborach. Znaczącym jest też powrót do Izby inicyatora nowego kierunku politycznego katolików, J. Piou, który w okolicy socyalistycznej (Saint Gaudens, dep. Garonne) 823 głosami socyalistę pobił. Socyaliści pozyskali dwa miejsca; wogóle 41 z ich partyi zostało wybranych.

Dotkliwym jednak a niespodziewanym ciosem dla socyalistów były klęski, które ponieśli ich wodzowie, Jaurès (niedawno temu pod niebiosa wychwalany w naszem socyalistycznem *Prawie Ludu*) i Guesde. Jaurès w drugim okręgu departamentu Tarn został pobity 1187 głosami przez markiza de Solages, katolickiego republikanina (nie monarchisty). Sam Jaurès w socyalistycznym *Matin* tak się wyraża o swej klęsce: „Niepowodzenie moje bardzo po prostu się tłumaczy. Przedewszystkiem trzeba je przypisać presyi z góry, która była straszna. Wielką liczbę chłopów, którzy aż dotąd zupełnie się polityką nie zajmowali, wciągnięto teraz i przyprowadzono do urn wyborczych. Padłem ofiarą koalicyi republikanów, klerykałów i nawet kilku radykałów". Zresztą p. Jaurès oświadcza, że się chce wycofać na jakiś czas z życia publicznego i daje wogóle radę towarzyszom swoim, by nie nadużywali sił swych przewódców parlamentarnych, ale pozwalali im od czasu do czasu odetchnąć. Drugiego wybitnego socyalistę

potrzebną, aby przeprowadzić w ustawodawstwie reformy w katolickim duchu, których kraj aż dotąd przyjmować nie chciał, gdyż identyfikował katolików z monarchistami. Identyfikowanie partyi politycznej z katolicyzmem było w historyi zawsze zgubnem dla Kościoła, dlatego katolicy francuscy dobrze robią, starając się usilnie o wykorzenienie podobnych przesądów.

Guesde'a zwyciężył również poparty przez katolików umiarkowany republikanin, E. Motte 3.276 głosami. Wogóle jednak z dokładnych sprawozdań oddanych głosów widać, że socyaliści także i w tych miejscach, gdzie nie zostali wybrani, stosunkowo wielką otrzymali liczbę głosów, i że prawdziwie groźną dla Francyi stanowią potęgę. Zadaliśmy sobie pracę, by zliczyć sumę socyalistycznych głosów, oddanych w największym departamencie Seine, z którego 46 posłów w Izbie zasiada. Otóż na 581.400 głosujących przypadało 270.300 głosów na socyalistów — pokaźna liczba![1] Podobno w całej Francyi otrzymali koło 800.000 głosów. Stanowczą porażkę ponieśli... tylko radykali; stracili kilkanaście mandatów, a nawet ich wódz, eksminister L. Bourgeois musi poddać się ściślejszym wyborom; socyaliści jednak są rosnącą potęgą, przeciw której katolicy złączonemi siłami zwrócić się muszą.

Niestety, jeszcze wielka część katolików nie pogodziła się ze wskazówkami Ojca św. i za żadną cenę nie chce odstąpić od tradycyj monarchicznych. Wybrano aż dotąd 46 monarchistów, coby wskazywało, że katolicy prawie pół na pół podzieleni są na dwa obozy. Jaką szkodę z tego ponosić musi sama sprawa katolicka, każdy łatwo zrozumie. Gdyby te dwa obozy były stanęły razem do walki, wątpić nie można, że przynajmniej trzecia część mandatów byłaby się dostała w ręce katolików. Wobec tego łatwo zrozumieć, że Ojciec św. w liście do kardynała Perraud, ciesząc się z coraz lepszego rozumienia swych wskazówek we Francyi, wyraża życzenie, aby i reszta katolików, utrzymywana w przeciwnych zasadach przedewszystkiem przez czytanie monarchistycznych gazet katolickich, z czasem lepiej oświecona również przyjęła nauki Stolicy św. Nawet najupartsi rojaliści — co się też przebijało w ostatnich manifestach księcia orleańskiego i przedewszystkiem w mowie księcia de Luynes w Blois — widzą, że w teraźniejszem położeniu Francyi polityka Ojca św. jest dla kraju zbawienną. Dlatego powiadają, że jak

[1] Wynik wyborów w dep. Seine był następujący: Wybrano 13 socyalistów, 1 radykała, 1 monarchistę, 3 republikanów umiarkowanych, 1 republikanina katolickiego; 27 wyborów rozstrzygną ściślejsze wybory 22 maja.

w r. 1870 legitymista nie patrzył, czy walczył pod sztandarem trójkolorowym, czy pod lilią białą, tak i teraz miłość kraju wkłada obowiązek walczenia przeciw socyalistom i radykałom z partyą umiarkowaną Rzeczypospolitej. Usposobienie monarchistów, które się w powyższych słowach odbija, można słusznie, jak to też i w Rzymie zrobiono, uważać za zbliżenie się ich do wskazanej przez Leona XIII. polityki; może też ono się przyczyniło do utrzymania ich mandatów; ale w niem tkwi jeszcze głęboko duch nieprzyjaźni przeciw rządom republikańskim, który uniemożliwia spokojną, wspólną pracę, skierowaną przedewszystkiem ku temu, by Kościołowi i religii katolickiej nie przez przewroty, ale za pomocą istniejących rządów przywrócić należne prawa. Jak trzeźwo i trafnie w Rzymie się zapatrują na stosunki we Francyi, pokazuje artykuł, który się kilka dni przed wyborami pokazał w szpaltach *Osservatore Romano*. Kończąc nasze sprawozdanie, przytaczamy dwa z niego ustępy, gdyż choć napisane były przed wyborami, przecież znakomicie streszczają rzeczywisty wynik wyborów. „Liczba kandydatów katolicko-republikańskich — pisze *Osservatore* — będzie wprawdzie niewielka, jednak wpływ katolików, wiernych wskazówkom papieża w utworzeniu większości umiarkowanej, pokaże się przez porównanie liczby wyborców umiarkowanych posłów, z liczbą wyborców, którą ciż posłowie mieli przy przeszłych wyborach". Tak więc z autorem cytowanego artykułu streścić można rezultaty polityki papieskiej: zerwanie stanowcze rządu z masońsko-radykalnemi żywiołami i porażka tychże, a z drugiej strony zbliżenie się katolików do umiarkowanych republikanów, wśród których wieje duch żądny pokoju religijnego i gotowy do potrzebnych zmian ustawodawczych.

ROZRUCHY WE WŁOSZECH. Pod grozą armat i karabinów, pod bezwzględną siłą dyktatury wojskowej półwysep Apeniński wrócił do chwilowego pokoju. Gazety urywczo doniosły o krwawych zajściach rewolucyjnych a już te luźne opisy pojedynczych scen dostarczyły nam obrazów aż nazbyt ponurych i strasznych. Rządowi włoskiemu — jak się rozumie — chodziło bardzo o to, by wieści

rewolucyjne nie rozchodziły się daleko, by przedewszystkiem za granicą nie wiedziano o faktach ostatnich — przynajmniej nie w całości. Pisma socyalistyczne konfiskowano, inne poddawano ostrej cenzurze, nawet telegramy z miast, gdzie rewolucya była krwawsza, musiały przechodzić przez rządową cenzurę. To samo stanowi już dowód wystarczający, jak straszne sceny odegrać się tam musiały...

Dla katolickiej jednak sprawy dobrze jest, by przedstawiono fakta w świetle nagiej prawdy.

Piemonckie rządy obiecywały od dziesiątek lat, że skruszywszy papieskie jarzmo, kraj uszczęśliwią; że go pod każdym względem podniosą do świetności niebywałej dotąd — katolicy trzymając się daleko od rządów, powtarzali w ucisku, że rządy wrogie Kościołowi, doprowadzą lud do ruiny i w ostatnich zwłaszcza latach nawoływali rząd do pogodzenia się z Watykanem, dopóki jeszcze czas, dopóki rewolucya nie zaprowadzi nowego porządku we Włoszech. Po czyjej stronie słuszność, na to odpowiedziała majowa rewolucya.

Podajemy naprzód według najlepszych źródeł przebieg głównych wypadków. Rozruchy rozpoczęły się w południowych Włoszech, w Faenza (Romagna) 25 i 27, w Bari (Apulia) 27 kwietnia a stąd rozszerzyły się po całem zjednoczonem państwie włoskiem; rewolucya wybuchła w Neapolu, w Rzymie, we Florencyi, w Bolonii, w Medyolanie, w Palermie w Sycylii, w Sassari, na wyspie sardyńskiej. Zbyt nużącem byłoby wyliczenie wszystkich miast, które były widowiskiem tumultów rewolucyjnych. Podajemy tylko, o ile możemy dokładnie, liczbę wybitniejszych powstań: 29 kwietnia rozpoczęły się krwawe rozruchy w 15 miastach; 30 w 7-miu; 1 maja i w następnych dniach ogień rewolucyi ogarnął całe prawie Włochy: 1 maja rewolucya wybuchła w 10 miastach, 2 w 6-ciu, 3 w 15-tu, 5 w 5-ciu, 6 w 17-tu. Wszędzie przyszło do starcia między wojskiem a ludem, wszędzie krew się polała; we Florencyi, Liwornie, w Prato i w innych miastach lud za barykadami się bronił przeciw wojsku, okrzyki rewolucyjne napełniały miasta, wszędzie prawie wzniecano pożary.

Aby dać wyobrażenie o tem, co się działo, skreślimy tylko

kilka scen powstańczych z Minerwo Murge (miasto w Apulii liczące 15.000 mieszkańców) i w Medyolanie. Jak donosi *Corriere delle Puglie*, 4 maja rewolucyoniści w liczbie przeszło 3.000 przebiegali ulice z okrzykami: „chleba i pracy“; potem rzucili się na gmachy municypalne i rządowe, na starostwo *(pretura)* i urząd podatkowy i na 6 gmachów prywatnych, które wszystkie zrabowali, podpalili i prawie do szczętu zniszczyli ze wściekłą nienawiścią. Doktora Brandi, który prosił, żeby się zlitowali nad chorą żoną, a widząc, że prośby nie skutkują, pistoletem jednego z napastników trupem położył, zabito na miejscu siekierami i sztyletami; potem dziki tłum podpalił łóżko, na którem chora leżała. Pana Barletta właściciela młyna również ani prośby ani grube pieniądze — mówią, że blizko 60.000 lirów rozrzucił między ludem — nie mogły ochronić przed śmiercią. Wyrzucono wszystkie sprzęty przez okno, młyn i dom jego spalono a uciekającego właściciela dogoniono, by pod razami zginął. Oddział 30 żołnierzy, którzy przyszli na pomoc, był zmuszony cofnąć się przed rozbestwionym tłumem.

Wszystkie te sceny blednieją obok opisów okrucieństw, jakie się działy w Medyolanie. „Duchowa stolica“ zjednoczonych Włoch, słynna z pięciodniowego powstania przeciw Austryi w r. 1848, przez dnie 6, 7, 8 i 9 maja r. 1898 dała jeszcze jaskrawsze niż wówczas dowody, że lud i teraźniejszych rządów nie cierpi. Rozpoczęły się niepokoje 6-go skutkiem aresztowania robotnika rozdzielającego manifest drukowany „do socyalistów medyolańskich“. Natychmiast zebrały się tysiące robotników żądając jego uwolnienia; część udała się na policyę, obsypując gradem kamieni gmachy publiczne. Wojsko przy pierwszem zaraz spotkaniu, nie próbując łagodniejszych środków, dało ognia; 5 robotników padło. Walka zawrzała na wszystkich punktach miasta; robotnicy przewracali omnibusy i wznosili barykady, by walczyć przeciw konnicy i najlepszym pułkom włoskiej piechoty *bersaglieri*, nawet na dachy się wdrapywali, by cegłami zabijać żołnierzy. Dreszczem przejmują opisy zachowania się dzieci i kobiet — wszędzie widziano je w pierwszych rzędach powstańców; niektóre maczały chustki we krwi rannych i twarze sobie

nią mazały. — To lud wychowany w szkołach masońskich, z których wypędzono księdza, by nie głosił niebezpiecznych dla państwa nauk o władzy papieskiej! Po ogłoszeniu stanu oblężenia dnie 7 i 8 maja były spokojniejsze. Dziewiątego, podczas gdy wojsko rozpędziło zgromadzonych na *Corso Indipendenza* padły na żołnierzy strzały z klasztoru Kapucynów, do którego niektórzy rewolucyoniści wdarli się byli przemocą. Wojsko zdobywszy klasztor armatami, aresztowało wszystkich zakonników, gdy tymczasem powstańcy ucieczką po części im uszli.

Pięćdziesiąt lat temu rządy jeszcze nie miały takiej siły zbrojnej, jak teraz; nic też dziwnego, że dzisiaj się udało stłumić rewolucyę, kiedy się użyło najostateczniejszych środków, strzelając z armat do domów i ustawiając na placach baterye gotowe każdej chwili tłum kartaczami przyjmować. Rząd musiałby być ślepy, gdyby nie widział, że jeżeli tym trybem dalej pójdzie, zbliży się chwila, kiedy i armaty i karabiny żołnierzy z ludu wziętych — zwrócą się przeciw niemu.

Drożyzna chleba i głód — to były bezpośrednie powody do pierwszych demonstracyj. Rząd powiada, że rewolucya w całem państwie była zorganizowana przez radykałów i socyalistów. Socyaliści mieli zapewne w niej wielki udział, ale wszystkiego im, zdaje nam się, przypisać nie można; skłania nas do tego już ta okoliczność, że zaburzenia równie były straszne w południowych Włoszech, gdzie socyalizm jest dopiero w pierwszych początkach rozwoju. Najgłębsza przyczyna jest powszechne rozgoryczenie ludu na rząd. Dla wielkości Włoch obarczono go podatkami, aby świecić w trójprzymierzu, aby Afrykę zdobywać... a głuchym się było na jego jęki i prośby. Partya, albo jak niektórzy mówią, zgraja rządząca, zagarnąwszy milionowe majątki kościelne, z których przedtem ubodzy korzystali, nielitościwie ssała lud a zapomniała o tem, że i on ma czucie. Tylko katolicy ludem się zajmowali. Nareszcie zabrakło temu ludowi cierpliwości. I zwrócił się on nie przeciw tym, których rząd w parlamencie i pismach swoich okrzykuje za najgorszych wrogów narodu włoskiego — uwagi godnem jest, że nigdzie, o ile wiemy, rewolucyoniści nie napadali ani na pałace biskupie, ani wogóle na du-

chowieństwo — ale zwrócili się wyłącznie przeciw przedstawicielom rządu.

Niemiecka prasa żydowsko-liberalna podsuwa wprost katolikom wielką część winy w ostatnich wypadkach. Najlepszym dowodem, że tak nie jest, to urzędy wojskowe, które zwyczajnie w politykę się nie bawią i bezwzględnie postępują; choć rozwiązały wszystkie stowarzyszenia socyalistyczne, przecież ani jednego katolicko-socyalnego stowarzyszenia nie rozwiązały. Dobrze tu przypomnieć, że Rudini kilka miesięcy temu kazał się obchodzić ze stowarzyszeniami katolicko-socyalnemi, klerykalnemi, jak pisał, tak samo jak ze stowarzyszeniami, które wprost hołdują zasadom rewolucyjnym. — Według *Civiltà cattolica* [1] mylną jest też wieść, w naszych i zagranicznych gazetach powtarzana, jakoby *Osservatore cattolico di Milano* wraz ze socyalistycznemi gazetami został suspendowany. Podobno redaktor ks. Davide Albertorio, który niedawno temu otrzymał pochwalne brewe od Ojca św., sam wydawnictwo wstrzymał. Ale cała włoska prasa katolicka, choć szczerze i głęboko ubolewała nad zajściami, zarzucała rządowi zbyt surowe wystąpienie przeciw niepokojom, a z drugiej strony przypomniała mu ciężkie jego winy, które musiały lud do rewolucyi doprowadzić. Zresztą katolicy już oświadczyli, że wprost dopomagać rządowi w stłumieniu rewolucyi nie będą, dopóki rząd się nie pogodzi z Watykanem. Czy rząd bez katolików da sobie radę? Wydatki na stłumienie buntów i zwołanie pod broń rezerwistów z r. 1873 wynosić będą przynajmniej 40 milionów!

Rok, który miał być obchodzony uroczystościami, poświęconemi pamięci roku 1848 i pierwszym początkom zjednoczenia Włoch, smutno się zapisał w dziejach nowego królestwa. Trzeciego dnia tumultów medyolańskich obchodzono w Turynie 50-letnią rocznicę utworzenia parlamentu piemonckiego. „W tej sali, powiedział król, nieśmiertelny mój przodek głośno oświadczył, że słyszy i przyjmuje krzyki boleści, które z każdej części Włoch ku niemu się zwracały“. Musiał sam król czuć, że straszniejszym

[1] 21 maja 1898, str. 487.

krzykiem boleści odpowiadał mu dzisiejszy lud włoski oświadczając o wiele głośniej, iż nie uznaje dobrodziejstw wyświadczonych sobie przez dom sabaudzki. I dlatego też na końcu dodał słowa, źle ukrywające pewne zwątpienie. „Boleści — mówił — które w obecnej chwili w sercu odczuwam jako Włoch i król, są łagodzone wiarą, którą zachować musimy w przyszłość ojczyzny *(che dobbiamo conservare nell' avenire della patria)*".

AUSTRYA A PROTESTANTYZM NIEMIECKI.

W ostatnim numerze marcowym berlińskiego organu Związku ewangelickiego, *Tägliche Rundschau*, znalazła się wiadomość, która na pierwszy rzut oka mogła się wydawać śmieszną blagą i niczem więcej. „Donoszą nam z Austryi — pisze *Rundschau* — od osób zajmujących wysokie bardzo stanowiska i dobrze poinformowanych, że w wielu niemieckich katolickich gminach Austryi usposobienie jest takie, iż tylko energicznej inicyatywy potrzeba, aby spowodować tłumne przejście na protestantyzm". Jest w tych słowach przesada, ale obok przesady mieszczą one w sobie dużo prawdy. Od dawna już istnieje między Niemcami Austryi ruch, o którym ci, którym Opatrzność rządy niemieckich katolickich ludów Austryi powierzyła, wiedzieć nie chcieli, a którego lekceważenie teraz się nad Austryą mścić zaczyna.

Wszystkie niemieckie stowarzyszenia liberalne w Austryi, czy to *Deutscher-Schulverein* czy najrozmaitsze *Turnervereiny* były zawsze źle usposobione dla katolickiego Kościoła i zawsze strzelały oczyma ku państwu Bismarcka. Widzieli to i wiedzieli od dawna o tem wszyscy, którzy się nieco bliżej zetknęli z temi stowarzyszeniami; rząd nawet czasem czuł się zmuszonym pohamować zapędy uwielbienia dla Bismarcka a może byłby się nawet zdobył do użycia energiczniejszych środków przeciw propagandzie prusko-niemieckiej, gdyby nie ten żelazny list, który czynił niemieckich agitatorów nietykalnymi — tj. ich „antyklerykalność". Austrya, której świętym obowiązkiem było bronić interesów katolickich, korzystała z przywilejów przynależnych jej jako krajowi katolickiemu raczej w tym kierunku, aby usypiać i ubezwładniać ruch katolicki a bojąc się zarzutu zacofania i klerykalizmu,

pozwalała się szerzyć prądom wrogim wierze, stawała zawsze po stronie liberałów, tłumiła z wielką troskliwością każde żywsze objawy katolicyzmu, wtrącała nawet do więzienia świątobliwych biskupów, jak wielebnego już ks. biskupa Rüdigiera z Lincu, za to, że śmiało się domagał sprawiedliwości dla spraw katolickich. Owoce tej polityki, zdaje się, już dojrzały. Pierwociny ich podziwialiśmy w scenach parlamentarnych wiedeńskich. Lecz zostawmy na boku kwestyę, jakie będą dalsze skutki tego systemu dla politycznego bytu Austryi; tu chcemy tylko zwrócić uwagę na jeden punkt, który prasa codzienna zupełnie prawie omija, mianowicie, że w tej walce na pozór tylko narodowościowej, która szarpie wnętrzności Austryi, znaczną rolę odgrywa, tak jak wszędzie, kwestya religijna. Wyznała to otwarcie protestancka *Kreuzzeitung* pisząc 6 kwietnia b. r.: „Oby niemiecki lud Austryi wnet poznał, że N i e m c y i R z y m tak do siebie się mają jak ogień i woda! Kto chce być posłusznym synem katolickiego Kościoła, ten nie może być świadomym swej narodowości Niemcem. Tylko w Kościele ewangelickim jest miejsce dla swobodnego rozwoju niemieckiego charakteru; reformacya dopiero uskuteczniła zupełne zlanie się niemieckiego narodu z Chrystyanizmem. I dlatego, jeśli inaczej być nie może, niech będzie: rzymski katolicyzm dla romańskich ludów, greckie prawosławie dla Słowian — protestantyzm jednak na całej kuli ziemskiej dla Niemców“ [1]. Tak protestanci z nad Sprei przemawiają do swych współrodaków w Austryi a część ich, która do liberalnego obozu należy, z chciwością nauki swych rodaków przyjmuje. Schönerer nazwał katolicyzm, z którym Polacy swą narodowość identyfikują (oby tak było!) „śmiertelnym wrogiem niemieckiego ludu“; studenci wiedeńscy przesyłając do *Kreuzzeitung* sprawozdanie z uroczystego wręczenia adresu rektorowi

[1] Ciekawa jest uwaga, którą *Historisch-politische Blätter* (z 1 maja b. r. str. 696) do powyższych słów dodają. Według świadectwa ks. Abla, nuncyusz wiedeński Falcinelli, który przedtem był w Brazylii, słyszał od tamtejszego prezydenta ministrów, że zamiarem wolnomularzy jest założyć trzy wielkie monarchie w Europie: niemiecką pod Hohenzollernami, słowiańską pod panującymi z domu Gottorp i romańską pod Sabaudczykami.

uniwersytetu za jego zachowanie się w zajściach listopadowych, tak piszą: „Jeżeli jeszcze nie występujemy stanowczo przeciw Rzymowi, to zaznaczamy, iż nie uważamy tego w tej chwili za stosowne. Ale niemiecko-liberalni studenci czekają tylko na sposobną chwilę, aby pokazać ludowi swojemu wielkim przykładem, jak się powinien wyrwać z pęt rzymskiego śmiertelnego wroga, aby w niemiecko-chrześcijańskim protestanckim Kościele otrzymać wychowanie tysiąc razy szlachetniejsze, liberalniejsze a przedewszystkiem narodowe. (Tu mowę przerwały długotrwające, grzmiące okrzyki, wśród których znikły protesty kilku pobożnych rzymskich młodzieńców)“ [1].

W Styryi cała klasa średnia, tak zwana inteligencya, świat urzędniczy, profesorowie i t. d. po wielkiej części już dzisiaj z tymi prądami sympatyzują. Czy ruch ten doprowadzi do tłumnego, jak *Rundschau* przewiduje, przejścia na protestantyzm? — Przeciw temu walczy partya katolicka, silna w Tyrolu, w górnej Austryi i Salcburgskiem. W interesie Kościoła, którego sprawy dobremu katolikowi zawsze przed wszystkiemi innemi na sercu leżeć muszą, gorąco życzyć trzeba, aby niemieccy katolicy nie dali się obałamucić fanatyzmem narodowościowym i nie zapomnieli, że w wznieconej walce wchodzą w grę najwyższe dobra wiary. Czytając wstępny artykuł *Naprzodu* w numerze z 1 maja, gdzie socyaliści się chełpią, iż „wśród nienawiści i szowinizmów narodowych, porywających ludzi w otchłań głupoty i zdziczenia, wśród zbrojeń, przyprowadzających narody do bankructwa“, oni sami głoszą ideę powszechnego braterstwa [2], nasunęła nam się mimowoli bolesna myśl, że w istocie socyaliści w naszych czasach rosną nietylko przez nienawiść klasową, do której pobudzają — bo nienawiść nic nie buduje — ale rosną głównie przez to, że

[1] *Kreuzzeitung* z 15 grudnia 1897.

[2] Zręczną, nie wiemy, czy szczerą, jest też nieco niżej w tym samym artykule umieszczona obrona socyalistów przeciw zarzutowi anty-narodowości: „Że taka (tj. socyalistyczna) międzynarodowość nie przeczy narodowości, o ile ta jest dążeniem do niepodległości i swobody każdego narodu, to widzi każdy rozumny człowiek. I tylko ci *(sic)*, co żyją z nienawiści międzyplemiennej, co drugich uciskają pod względem narodowym, tylko ci rzucają na nas złorzeczenia i klątwy bezsilne“.

przywłaszczyli sobie tę wspaniałą myśl Chrystusową o powszechnem braterstwie i znakomicie ją wyzyskują. Choć myśl tę na wszystkie strony obcięli i wykrzywili, przecież nawet tak skoszlawiona cząstka idealnego prawa Chrystusowego wlewa w ich organizacyę siłę i moc nadzwyczajną; gdy tymczasem katolicy, którzy naukę Chrystusową nietkniętą przechowali, w życiu czynnem i politycznem wcale prawie nie korzystają z ogromnych zasobów sił społecznych, jakie się w niej kryją.

INTERWENCYA PAPIESKA W SPRAWIE ZAWIESZENIA BRONI NA KUBIE.

Chociaż mimo usilnych starań pokojowego załatwienia sprawy kubańskiej, przedsięwziętych przez Leona XIII., wojna amerykańsko-hiszpańska niestety wybuchła, sądzimy jednak, że stosownem będzie podać na tem miejscu dosłowny tekst autentycznych dokumentów urzędowych, które świadczyć będą o tem, co papież uczynił dla zachowania pokoju.

Telegram hiszpańskiego ministra spraw zewnętrznych do posła hiszpańskiego przy Watykanie:

„Madryt 9 kwietnia 1898.

„Niech Wasza Ekscelencya raczy bezwłocznie uwiadomić kardynała Rampollę, aby doniósł Ojcu św., że rząd hiszpański wobec żywych, szlachetnych i ponawianych przedstawień Jego Świątobliwości, zdecydował się rozkazać komenderującemu jenerałowi wojsk na Kubie, ażeby natychmiast zgodził się na zawieszenie broni na czas, który jego roztropność uzna za stosowny, celem przygotowania i ułatwienia pożądanego pokoju. Mając przyjemność zadośćuczynić w ten sposób życzeniom wielbionego Papieża, miło mi uwiadomić przytem Waszą Ekscelencyę, że madryccy posłowie sześciu wielkich mocarstw we wspólnej wizycie, którą mi dziś rano oddali, zgadzali się w swych dążnościach z życzeniami Jego Świątobliwości, której przy tej sposobności przypominamy nasz poprzedzający telegram z nadzieją, że usilnie nad tem czuwać będzie, aby zadość się stało naszym słusznym wymaganiom: aby powaga katolickiego naszego narodu w niczem nie została zachwianą".

Odpowiedź kardynała Rampolli na ręce nuncyusza madryckiego:

„Polecam Waszej Ekscelencyi, spiesznie oświadczyć hiszpańskiemu rządowi zadowolenie, jakie Ojcu św. sprawia wiadomość o zarządzeniu natychmiastowego zawieszenia broni na Kubie. Ojciec św. uważa, że powyższy krok wobec usposobienia wielkich mocarstw, może być bardzo pomocnym do oddalenia klęski wojny i ułatwienia pacyfikacyi wyspy. Oświadczając rządowi w imieniu Jego Świątobliwości szczególniejsze podziękowanie, niech Wasza Ekscelencya go zapewni, że papież nie zapomni użyć przy danej sposobności swego wpływu, ażeby słuszne życzenia rządu hiszpańskiego były uwzględnione i powaga szlachetnego i katolickiego narodu hiszpańskiego w niczem nie została zachwianą".

Cesarz austryacki otrzymawszy 10 kwietnia pierwszą wiadomość o zawieszeniu broni na Kubie, wysłał następujący telegram do Ojca św.:

„Z głębokiem zadowoleniem otrzymałem przez mego posła przy Jego Świątobliwości wiadomość o udzieleniu zawieszenia broni przez rząd hiszpański. Niech Wasza Świątobliwość pozwoli mi złożyć gorące życzenia szczęśliwego skutku Jej interwencyi, która za pomocą Wszechmogącego przyczyni się, jak śmiem spodziewać się, do utrzymania pokoju i interesów ludzkości. — Franciszek Józef".

Ks. Wł. Ledóchowski.

Z dziedziny ekonomiczno-socyalnej [1].

O najnowszem ustawodawstwie przemysłowem w Wiktoryi. — Położenie robotników i robotnic w głównych centrach konfekcyi niemieckiej. — Strejki w przemyśle budowlanym w Niemczech z wiosną 1898 r. — „Kwestya socyalna" w Japonii.

Wiktorya, najruchliwsza i najgęściej zaludniona kolonia angielska w Australii, rządzona, jak wszystkie tamtejsze kolonie, przez osobnego gubernatora i własne ministeryum, odpowiedzialne przed dwiema Izbami: niższą i wyższą, nabrała od kilku lat rozgłosu, jako przodowniczka na drodze demokratycznego rozwoju i najdalej posuniętych reform socyalnych.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje nowela do ustawy przemysłowo-fabrycznej, jaką tam uchwalono na wniosek rządu przed dwoma niespełna laty. Celem tej nowej ustawy było zapewnienie warstwom pracującym większej i skuteczniejszej, niż dotąd, ochrony; niektóre zaś środki, jakie ku temu celowi obmyślono, idą znacznie dalej, niż wszystkie znane dotychczas próby ustawodawcze, i śmiało zrywają z pewnymi poglądami, od których odstąpić nie miano gdzieindziej odwagi. Dosłowny tekst całej ustawy i krótki szkic walk parlamentarnych, jakie jej uchwalenie poprzedziły, podał niedawno temu dr. Benno Karpeles w *Archiwum* Brauna [2]; tutaj chcemy tylko zwrócić uwagę na najważniejsze szczegóły.

Wiadomo, że jedną z najbardziej dotkliwych form wyzysku warstw zarobkujących bywa praca domowa, odbywana po prywatnych mieszkaniach na rachunek wielkiego przedsiębiorcy. Praca ta, licho płatna, trwająca nieraz całemi dniami i nocami, a uskuteczniana w najgorszych dla zdrowia warunkach, wytwarza z jednej strony dotkliwą konkurencyę dla robotników zawodowych, z drugiej strony, wzbogacając przedsiębiorcę, któremu oszczędza wydatków na narzędzia i utrzymanie lokalów, rujnuje całe generacye pracowników i pracownic, wprzągniętych w jej ciężką niewolę, tem cięższą, że ukrytą i usuwającą się z pod wszelkiej kontroli.

W Wiktoryi uczyniono ważny krok naprzód w celu naprawienia tych smutnych stosunków i umożliwienia pewnej przynajmniej kontroli

---

[1] Por. *Przegląd Powszechny* z stycznia 1898 r., str. 144.

[2] *Archiv für soziale Gesetzgebung und Statistik.* Zehnter Band, S. 581. Nadto por. *Jahrbücher für Nationaloekonomie und Statistik.* Jahrg. 1898, Heft 2, str. 180.

nad pracą domową. § 14 nowej ustawy przemysłowej postanawia, że każda osoba, która poza obrębem fabryki lub warsztatu pracuje dla handlu i sprzedaży nad sukniami lub jakiemkolwiek ubraniem, obowiązaną jest osobiście lub pisemnie podać głównemu inspektorowi przemysłowemu swoje nazwisko, swój adres i każdorazową jego zmianę. Pisemne zawiadomienie wolne jest od opłat pocztowych. Każda w ten sposób zarejestrowana osoba obowiązaną jest odpowiedzieć inspektorowi na wszystkie zapytania, odnoszące się do osoby pracodawcy, dla którego towar wyrabia, i do zapłaty, jaką za swą pracę pobiera. Kobiety i dziewczęta mogą być zapytywane tylko przez inspektorki.

Każdorazowe przekroczenie tej ustawy ma być karane grzywną aż do wysokości 10 szylingów.

Nazwiska i adresy osób, zajętych pracą domową, nie mogą być jednak publikowane; nikt nie ma prawa wglądać w ich listę, jak tylko podsekretarz stanu, szef inspektoratu i jego powładni urzędnicy, którzy jedynie w celach ściśle urzędowych posługiwać się mogą nazwiskami i adresami, zresztą obowiązani są pod przysięgą do ścisłej tajemnicy; za naruszenie jej karani być mają grzywną aż do wysokości 100 f. szt.

Prawo to w ostatecznej swej redakcyi, którąśmy tu dokładnie streścili, znacznie się różni od pierwotnego projektu, jaki przedłożył Izbom do uchwalenia Peacock, członek ministeryum Turnera. Wnioskodawca domagał się, aby wykonywanie pracy domowej nie było dopuszczalnem, jak tylko za zezwoleniem inspektora. Atoli projekt Peacocka uzyskał większość tylko w Izbie niższej; w wyższej spotkał się z zaciętą opozycyę, która przełamać się nie dała przez cały prawie rok. Pięć razy projekt obcięty i zmieniony wracał z Izby wyższej do niższej. Po wielu wreszcie walkach i obustronnych ustępstwach zgodzono się ostatecznie, przy zachowaniu wolnego charakteru pracy domowej, na poddanie jej pod kontrolę inspektorów, w sposób opisany powyżej.

Prawo to, samo przez się, nie potrafi zapewne usunąć wszystkiego złego w zakresie pracy domowej; nie ulega jednak wątpliwości, że jest ono w stanie przynieść o wiele donioślejsze rezultaty, niż ustawy innych sąsiednich kolonij, w których pracodawcy informować mają inspektora o liczbie i płacy robotników, jakich zatrudniają po prywatnych mieszkaniach. Że przy tym systemie łatwo przychodzi pracodawcom zataić właściwy stan rzeczy, nie potrzeba chyba dowodzić. Przeciwnie w Wiktoryi inspektor zwraca się po informacye do samego robotnika, a jeśli zważymy, że władza inspektora jest w Wiktoryi

tak rozległą i skuteczną, jak nigdzie, łatwo pojąć, że jego kontrola i interwencya przynieść może bardzo znaczne korzyści.

Dotychczasowa praktyka zdaje się stwierdzać ten pogląd. Wedle oświadczeń urzędowych walka z nadużyciami pracy domowej prowadzona jest skutecznie i przyczynia się nawet wiele do rozwoju przemysłu fabrycznego. Po wprowadzeniu w życie ustawy, o której mówimy, przedsiębiorstwa zajęte wyrobem sukien i bielizny wzrosły w Wiktoryi bardzo znacznie [1].

Drugą, jeszcze donioślejszą zdobyczą, jaką na drodze ustawodawczej osiągnięto w Wiktoryi, jest próba ograniczenia dowolności kontraktów roboczych przez przymusowe oznaczenie *minimum* zapłaty.

Przymuszanie pracodawców do *minimum* płacy, zgodnego z wymaganiami sprawiedliwości, uważanem było dość powszechnie za rzecz równie pożądaną, jak i niemożliwą do przeprowadzenia wśród dzisiejszych stosunków. Wobec tego śmiały krok naprzód, jaki wbrew wszystkim niedowierzaniom i wątpliwościom uczyniono w Wiktoryi — jeśli się okaże praktycznym — nabrać może pierwszorzędnego znaczenia.

Przypatrzmy się odnośnym paragrafom nowej wiktoryańskiej ustawy. W § 16 postanowiono, że w fabrykach lub jakichkolwiek warsztatach nikt zgoła nie może być zajęty za niższą zapłatę, jak 2 sh. 6 d. (=$2^1/_2$ mk.) [2] tygodniowo. Jest to wprawdzie zapłata bardzo nizka; ale nie w wysokości oznaczonego *minimum* zapłaty leży znaczenie tej ustawy; leży ono w tem, że ustawa czyni pierwszy wyłom w zasadzie, iż prawodawstwo nie może wkraczać w sferę kształtowania się płac i prywatnego kontraktu. Przytem ma ta ustawa i praktyczne znaczenie. Bywają przecież wypadki, że młodzi robotnicy, uczniowie i t. p. albo żadnego wynagrodzenia w pieniądzach nie otrzymują, albo niższe od tego *minimum*, jakie ustawa w Wiktoryi oznaczyła.

Zresztą prawodawcy nie ograniczyli się do tego jednego szczegółu: idą oni znacznie dalej. W § 15 postanowiono, że żaden przedsiębiorca, zajmujący się produkcyą sukien, odzieży, obuwia, pieczywa i mebli, nie może dawać robotnikom, zajętym tak w warsztatach i fabrykach, jak i poza niemi, niższej zapłaty od tej, jaką ustanowi osobna komisya, złożona z przedstawicieli przedsiębiorców i robotników. Komisyę tę każdej chwili powołać może do życia gubernator. Ma się ona składać najmniej z czterech, najwięcej z dziesięciu człon-

[1] Por. *Sociale Praxis*, VII. Jahrg., nr. 21, str. 551.

[2] 1 penny (d) = 8,5 fenigów niem; 12 d. idzie na 1 szylling (sh.).

ków i przewodniczącego. Połowę członków wybierają posiadacze fabryk i warsztatów, połowę robotnicy. Gdyby zachodziły jakieś przeszkody lub opóźnienia w wyborze, rząd sam mianuje członków komisyi. Członkowie ci mają wybrać przewodniczącego, nienależącego do żadnej partyi; rząd udziela mu zatwierdzenia. Gdyby po 14 dniach prezesa nie obrano, mianuje go rząd. — Komisya ta, zbadawszy stosunki, ustanawia *minimum* płacy dla wszystkich kategoryj osób, zajętych w odnośnej produkcyi; uchwały jej mają być spisane wyraźnemi literami łacińskiego alfabetu i wywieszone w lokalach na miejscu otwartem i dostępnem. Egzemplarz tych uchwał ma być nadto okazany przez przedsiębiorcę każdej osobie, pracującej dla niego poza fabryką. Dla tych ostatnich ma komisya oznaczyć płacę od sztuki, dla osób zaś zajętych w obrębie fabryki może oznaczyć wedle swego sądu i potrzeby płace tak od sztuki, jak i od czasu.

Rozporządzenia komisyi obowiązują obie strony od dnia oznaczonego przez komisyę; nie pierwej jednak, jak 14 dni po ich uchwaleniu. Obowiązują zaś tak długo, póki ich nie zniesie nowa komisya.

Komisya ma też rozstrzygać, ilu uczniów niżej 18 lat może być zajętych w odnośnych przedsiębiostwach i jaką powinna być najniższa ich płaca.

Przekroczenie tego prawa ma być karane grzywną; pierwsza kara może dochodzić do wysokości 10 f. szt.; druga do 25 f. szt.; trzecia i dalsze od 50—100 f. szt.; po trzeciem przekroczeniu ustawy szef inspektoratu ma nazwisko odnośnego przedsiębiorstwa skreślić w regestrach rządowych.

Z początku, kiedy ta ustawa miała wejść w życie, wiele było hałasu i wrzawy. Mówiono z przerażeniem o reakcyi, o krępowaniu wolności, o zagrożonym indywidualizmie i t. p. rzeczach — frazesy dobrze znane od stu lat. Komisye jednak mimo to wszystko wprowadzono. Na razie mają one charakter do pewnego stopnia prowizoryczny — jest to niejako próba. Dotychczas jednak przynosi ta próba dobre podobno rezultaty. Niedawno temu ustanowiono *minimum* zapłat dla robotników i robotnic, zajętych w dziale ubrań i odzieży. Robotnicy za pracę ośmiogodzinną mają pobierać 7 sh. 6 d. (7,50 mk.) dziennie, a robotnice starsze nad 18 lat, 3 sh. 4 d. (3,40 mk.) dziennie. W dziale obuwia wyznaczono dla mężczyzn płacę dzienną 7 sh. 6 d., dla kobiet zaś płacę 20 sh. za 48-godzinną pracę tygodniową[1]. Pierwszy mini-

[1] *Sociale Praxis,* VII. Jahrg., nr. 21, str. 551.

ster Turner wyraził się niedawno do korespondenta *Daily News*, że rozwój stosunków, wytwarzających się w Wiktoryi na podstawie ostatniej noweli przemysłowej jest bardzo interesujący. Co najciekawsze, oświadczają się za nową metodą szefowie wielkich firm. „Jesteście na dobrej drodze“ — mówił któryś z nich do ministra. „My ze swej strony nic nie mamy przeciw temu, aby nasi robotnicy otrzymywali dobrą zapłatę; byleby tylko wszystkie firmy bez wyjątku były do takich zapłat obowiązane, a przez to straciły możność szkodzenia nam kosztem robotników u nich zajętych“ [1].

* * *

W Niemczech niedawno temu osobna komisya badała z polecenia rządu stosunki panujące wśród robotników i robotnic, zajętych w przemyśle konfekcyjnym, w dziale już to ubrań już to bielizny. Na żądanie komisyi inspektorzy przemysłowi zbadali dokładnie 835 pracowni i 4143 mieszkań w 13 najgłówniejszych centrach tego przemysłu, jakiemi są: Berlin, Szczecin, Lubeka, Herford, Bielefeld, Norymberga, Aschaffenburg, Stuttgart, Wrocław, Erfurt, Kolonia, Monachium i Aue. Nadto komisya sama przesłuchała znaczną liczbę robotników i robotnic, pracujących w tychże okręgach, pewną ilość kupców, fabrykantów, i zależnych od nich majstrów pośrednich — razem osób 122. Materyał zebrany przez komisyę stał się przedmiotem wielu dyskusyj, zachęcił do dalszych badań i opracowań [2].

Wyniki zebrane dowodzą, że położenie pracowników a zwłaszcza pracownic w niemieckim przemyśle konfekcyjnym jest bardzo niepewne i uciążliwe, a pod niejednym względem z każdym rokiem się pogarsza. Skonstatowano między innemi, że płaca stale się obniża od lat prawie 20; w niektórych działach konfekcyi opadła ona o 30% a nawet o 50%. Główną tego przyczyną są pokątne szwaczki, pracujące po wsiach i mniejszych miasteczkach za bardzo nizką zapłatę i wytwarzające w ten sposób robotnicom zawodowym, zajętym w głównych centrach konfekcyjnego przemysłu, silną konkurencyę. Dość też znaczną konkurencyę czynią im i po większych miastach żony i córki nauczycieli, podoficerów, niższych urzędników pocztowych i podatkowych, które w szyciu szukają pobocznych źródeł dochodu.

---

[1] *Das Leben*, Jahrg. 1897, Heft 4, str. 389.

[2] Por. *Archiv für sociale Gesetzgebung und Statistik.* x Bd, S. 495. — *Jahrbücher für Nationaloekonomie und Statistik*, 3 Folge, 14 Bd, S. 414

We wszystkich centrach konfekcyi zarobek jest bardzo niestały i niepewny. W dziale bielizny najmniej stosunkowo daje się ta niepewność odczuwać; choć i tu nieraz, w letnich zwłaszcza miesiącach, robota ustaje zupełnie. W dziale ubrań męskich i dziecinnych bywa o wiele gorzej: przez trzy mniej więcej miesiące w roku albo niema żadnej roboty, albo tylko bardzo nieznaczna. Najgorzej jednak przedstawiają się stosunki w konfekcyi damskiej: stała praca trwa tam zaledwie przez 6—7 miesięcy; przez resztę roku ciągnie się częścią zupełne bezrobocie, częścią praca bardzo nieznaczna, dająca małej tylko liczbie robotnic całkiem niewystarczający zarobek.

A ta praca jest ciężka. Po warsztatach trwa ona czasem po 15 i więcej godzin dziennie, po prywatnych mieszkaniach trwa znacznie dłużej; podawano komisyi wypadki, w których robotnice szyły w domu do 20 godzin na dobę.

Skonstatowała też komisya w wielu miejscach bardzo szkodliwe warunki dla zdrowia. Najgorszem jest przepełnienie pracowni i warsztatów. Wiadomo, że przy dobrej wentylacyi i średniej temperaturze wymaga hygiena przynajmniej 20 kub. m. powietrza na osobę. Z 350 warsztatów i pracowni zbadanych w Berlinie, było 21,7% takich, które dawały na osobę 15—20 kub. m. powietrza; 18,3% dawało tylko 12—15 kub. m.; 15,1% dawało 10—12 kub. m.; 16,1% dawało 8—10 kub. m.; 5,1% tylko 6 kub. m., w jednym wreszcie wypadku wypadało zaledwie 3—4 kub. m. na osobę.

W Wrocławiu na 249 zbadanych warsztatów znaleziono 14, w których mniej niż 5 kub. m. powietrza wypadało na osobę. Podobne pracownie spotkano i w Erfurcie.

A teraz, co najważniejsza, przejdźmy do wysokości zarobku, jaki przynosi praca w przemyśle konfekcyjnym.

Ogólnie biorąc, wysokość zapłaty jest bardzo różna. W najlepszem stosunkowo położeniu są ci, co pobierają zapłatę tygodniową lub miesięczną, przedewszystkiem kierownicy robót, dozorczynie, przykrawacze i t. p. Ci ostatni np. otrzymują w niektórych miejscach 18—20 marek tygodniowego zarobku. Uczony czeladnik krawiecki może zarobić w tygodniu 15—25 marek; w południowych jednak Niemczech zarabia on znacznie mniej.

O tych nam jednak tu nie chodzi. Są to — możnaby powiedzieć — kapitaliści w porównaniu z liczną rzeszą robotnic, płatnych bardzo licho, zwłaszcza jeśli są zgodzone od sztuki i pracują po prywatnych mieszkaniach.

Jeśli zarobek średnio płatnych robotnic w różnych działach konfekcyi sprowadzimy do ogólnych cyfr przeciętnych, na podstawie 10-godzinnego dnia pracy, okazuje się, że zarabiają one w Berlinie 1.20—1.40 mk dziennie, na prowincyi zaś (w Szczecinie, Wrocławiu, Erfurcie) 86—100 fen. dziennie. Zarobek ten przedstawia ledwo połowę zapłaty, jaką w odnośnych miejscowościach otrzymuje nieuczony robotnik męski. W Berlinie zarabia on 2,70 mk dziennie, w Szczecinie 2—2,50 mk, w Wrocławiu i Erfurcie 1,50—2 mk.

O wiele jeszcze posępniejszy otrzymamy obraz, jeśli od ogólnych cyfr przeciętnych przejdziemy do poszczególnych działów konfekcyi.

W konfekcyi damskiej, w której sezon trwa najwięcej przez 30 tygodni w roku, przeciętny zarobek roczny wynosi w Berlinie 375 mk, w Wrocławiu 250, w Erfurcie zaledwie 220 mk. W tej ostatniej miejscowości są robotnice, których roczny dochód dochodzi do 167 mk. Za ręczne szycie spodni lub kolorowych koszul robotniczych zarabia szwaczka 7 fenigów na godzinę; jeśli tę pracę wykonuje przez 50 tygodni po 12 godzin dziennie, może zdobyć zaledwie 250 mk rocznego dochodu. Jeśli robota nie trwa przez tyle tygodni, zarobek bywa znacznie mniejszy; w pewnych razach dochodzi ledwo do 160 mk na rok. W Wrocławiu za uszycie tuzina robotniczych koszul kolorowych, na co trzeba 13—15 godzin szybkiej pracy, otrzymuje robotnica 90 fen. zapłaty. Przy 15-godzinnej pracy dziennej uzyskuje więc ona ledwo 5,40—6,23 mk zarobku tygodniowego.

Te cyfry są po prostu straszne.

Dr. Weber oblicza[1], że do *minimum* egzystencyi robotnicy berlińskiej, utrzymującej się wyłącznie z własnej pracy, niezbędnym jest zarobek tygodniowy 9 marek, czyli zarobek roczny 450—470 marek. Za bardzo lichą izdebkę musi ona płacić miesięcznie 7—9 marek, za jedno miejsce do spania 6 marek miesięcznie i wyżej; koszta zaś pożywienia wynoszą przynajmniej 6 marek tygodniowo. Po opłaceniu tych najniezbędniejszych wydatków, pozostaje robotnicy, mającej 450—470 mk rocznego zarobku, zaledwie 50—60 mk na opędzenie wszystkich innych potrzeb. Tymczasem w Berlinie w jednym tylko dziale bielizny, w którym praca jest dość stałą, dochodzą przeciętnie robotnice do 470 mk rocznego dochodu. W innych działach konfekcyj bywa dochód, jak widzieliśmy, tak nizki, że do *minimum* egzystencyi niedostaje robotnicy po 100 i po 120, nawet po 200 marek rocznie.

[1] *Archiv für soziale Gesetzgebung* etc. x Bd, str. 497.

A na podstawie dość pewnych danych dochodzi się do bardzo prawdopodobnego wniosku, że przeszło połowa robotnic berlińskich zarabia rocznie mniej niż 350 mk, a przeszło czwarta ich część mniej niż 250 mk.

* * *

Wraz z nadejściem wiosny zwykły wybuchać liczne strejki w przemyśle budowlanym. Tak też było i tego roku w Niemczech. Między innymi strejkowali w wielu miejscowościach cieśle, prawie wyłącznie o skrócenie czasu pracy i podwyższenie zapłaty. W Ohrdruf, Gräfenhain, Crawinkel i Hohenkirchen domagali się 10-godzinnego dnia roboczego i 28 fen. najniższej płacy za godzinę; w Eberswald żądali 38 fen. za godzinę i $9^1/_2$ godzin pracy dziennej.

W Naumburgu strejkowali znowu murarze: żądali oni 10 godzin pracy dziennej i 35 fen. minimalnej zapłaty za godzinę.

Przez trzy tygodnie trwał strejk malarzy w Wiesbaden. Walczyli oni głównie o zredukowanie 11-godzinnego dnia roboczego na 10-godzinny i o podniesienie płacy z 33 na 38 fen. za godzinę. Skoro majstrowie zgodzili się na te żądania, 352 strejkujących postanowiło wrócić do pracy.

W Monachium podjęło strejk przeszło 200 robotników tapicerskich, domagając się 9-godzinnej pracy dziennej i dość wysokich dodatków za nadliczbowe godziny pracy, zwłaszcza nocnej. Znaczna większość strejkujących w dość krótkim czasie przeprowadziła swe żądania.

W Jenie robotnicy budowlani różnych działów uzyskali 10-godz. dzień roboczy, podwyższenie płac dla murarzy i cieśli, a nadto pewne uregulowanie płac za nadliczbowe godziny i nadzwyczajne zajęcia.

Z drugiej jednak strony i pracodawcy nie byli bezczynni. Aby się zabezpieczyć i większą sobie na wypadek strejku zapewnić siłę, łączą się coraz bardziej i organizują. Tak np. w Eisenberg przedsiębiorcy murarscy zobowiązali się notaryalnie pod karą konwencyonalną 1500 mk przerwać wszystkie roboty w razie wybuchu jakiegokolwiek strejku. W Lubece znowu uchwalili tamtejsi przemysłowcy utworzyć osobną komisyę celem popierania akcyjnego stowarzyszenia przemysłowców, niedawno temu pod nazwą „Industria“ założonego w Berlinie, a mającego za zadanie zabezpieczyć pracodawców przeciwko stratom, wynikającym ze strejków, a zarazem zapewnić ochronę niechętnym strejkowi robotnikom wobec teroryzmu strejkujących. I w Monachium złożyli przedsiębiorcy dosadny dowód solidarności. Kiedy 250 robotni-

ków stolarskich, zajętych w 7 wielkich firmach, rozpoczęło częściowy strejk, firmy te 26 marca zamknęły swe zakłady, zostawiając chwilowo 1000 robotników stolarskich bez chleba [1].

* * *

Japonia po wydaleniu Europejczyków ze swych granic, była od połowy XVII. wieku państwem pod względem gospodarczym zupełnie zamkniętem; światowy rozwój ekonomiczny przez dwa z górą wieki nie dochodził do jej wnętrza ani w swych dodatnich, ani w ujemnych objawach.

Dopiero po r. 1854 pod naporem tak wewnętrznych, jak i zewnętrznych czynników zaczęły się zmieniać stosunki. Wymuszony na Japonii traktat handlowy ze Stanami Zjednoczonymi dał początek wielu innym traktatom; zaczęto otwierać porty dla zagranicznych okrętów, a obcokrajowcom zapewniono wolność wyznaniową i gospodarczą. Od tego czasu życie gospodarcze Japonii weszło na nowe tory.

Pierwsza 18-milowa kolej żelazna, którą w r. 1872 połączono stolicę Tokio z głównym portem Yokohama, rozrosła się dziś w gęstą sieć, której pod koniec 1895 r. było 1574 km. w rękach rządu, a 2026 km. w ręku towarzystw prywatnych, ciągnących wielkie zyski i płacących wysokie dywidendy. Nie wspominając już nic o pocztach, bardzo rozgałęzionych telegrafach i telefonach, a nawet o istniejącem w niektórych miastach oświetleniu elektrycznem — zewnętrzny handel japoński w przeciągu 27 lat (1868—1895) wzmógł się tak kolosalnie, że import z 10,7 milionów yen [2] wzrósł na 129 milionów, eksport zaś z 15,5 milionów na 134,9. Towarami swemi zarzuca Japonia nietylko Wschód, zwłaszcza Chiny i Koreę, ale zdobywa też kosztem Europy i Stanów coraz dalsze rynki handlowe, które zaopatruje głównie w jedwab, herbatę, miedź, niemożliwie tanie parasole, mydła i zapałki, nadto w produkta morskie i różne wytwory przemysłu artystycznego, zwane powszechnie „japońszczyzną".

Te i inne podobne a powszechnie znane rezultaty, jakie w tak krótkim czasie osiągnęła Japonia na drodze ekonomicznego rozwoju, wywołują w Europie zdumienie i obawę przed niebezpieczną współzawodniczką od Wschodu; mniej może mówi się o tem, że młode i ru-

---

[1] Por. *Jahrbücher für Nationaloekonomie und Statistik*, Jahrg. 1898, Heft. 4, *Volkswirtschaftliche Chronik*, S. 77.

[2] 1 yen = 1,30—1,50 złr. w. a.

chliwe to państwo, przyswajając sobie z gorączkowym pośpiechem wszystkie zdobycze europejskiej kultury, wchłania wraz z niemi i zarodki tych chorób, które od dawna już trapią nasze społeczeństwo.

Pozwolimy tu sobie przytoczyć parę interesujących pod tym względem szczegółów, wyjętych z krótkiego szkicu, jaki zamieścił zeszłego roku dr. J. Grunzel w wiedeńskim kwartalniku *Das Leben* [2].

Mądra polityka agrarna, jaka panowała w Japonii przez długie czasy, dążyła stale do tego, aby każdej rodzinie zapewnić kawałek ziemi, starczący na opędzenie potrzeb życia i utrzymania. Kraj cały pokryty był nieskończoną liczbą drobnej własności ziemskiej, niedochodzącej przeciętnie nawet do rozmiarów 1 hektara. Ustawodawstwo agrarne parło rolników różnymi środkami do starannej uprawy roli; przemysł zaś i handel uchodziły za zajęcia drugorzędne, dodatkowe i nie wielkim cieszyły się szacunkiem. Tą drogą odwracano od Japonii przez długie czasy to, co stanowi klęskę społeczeństw europejskich — wzrost bezwłasnościowego proletaryatu.

I dzisiaj jeszcze rolnictwo stanowi główny filar gospodarstwa krajowego w Japonii. Chociaż skutkiem wulkanicznego charakteru wielkiej części wysp, tylko 12% całej powierzchni nadaje się pod uprawę, mimo to jednak poświęca się tam rolnictwu przeszło 3 części ludności, która wedle urzędowej statystyki z roku 1893 wynosiła przeszło 41 milionów dusz.

Ale tej ludności rolniczej jest coraz gorzej. Wraz z rozszerzaniem się po kraju zagranicznych wpływów i wzrostem wielkiej produkcyi fabrycznej mnożą się niepomyślne dla rolnictwa warunki. Wolna własność prywatna skupia się w coraz mniej licznych rękach, mnożą się zaś dzierżawy. Dla państwa, potrzebującego coraz więcej pieniędzy, staje się gruntowy podatek najważniejszem źródłem dochodów; wzrasta on też znacznie i nadmiernie obciąża gospodarstwa rolne. Następstwem tego jest coraz większe obdłużenie ziemi — i dzisiaj grozi już Japonii nieznana w dawnych czasach kwestya agrarna.

Przemysł fabryczny znajduje się na drodze olbrzymiego, ale bardzo niezdrowego rozwoju. W r. 1883 było w Japonii fabryk pracujących maszynami 83, ze zbiorową siłą 1748 koni parowych; w 1893 było ich 1163 z siłą 35.277 koni parowych. Przędzalni bawełny było w 1888 r. 24, a w nich 113.856 wrzecion; w styczniu 1896 było ich 58, a liczba wrzecion wzrosła do 883.574. Pod koniec 1896 roku

[1] *Das Leben*, 1. Jahrg., Heft 1, str. 60.

miało być w ruchu 1,120.000 wrzecion. A towarzystwa płacą przy tem po 15—40% dywidendy!

W ciągu roku 1895 w nowe przedsiębiorstwa lub w rozszerzenie starych włożono 340 milionów yen. Od stycznia do połowy maja 1896 roku powołano do życia przeszło 140 różnych fabryk, kopalń i przedsiębiorstw wytwórczych, których zbiorowy kapitał wynosić miał 40 milionów yen.

Ta nadmierna gorączka, wynikająca z dzikiej spekulacyi, nieliczącej się z prawami zdrowego rozwoju, doprowadzić musi do powszechnego przesilenia. Z początku dopomagały szybkiemu rozwojowi przemysłu tanie siły robocze i skromne wymagania ludności pracującej; dziś jednak stosunki i pod tym względem uległy zmianie. W ostatnich dwóch latach zapłatę robotników podnieść musiano mniej więcej o 25%; ceny środków życia znacznie podskoczyły, całe utrzymanie stało się znacznie droższem. Ludność zaniedbuje coraz bardziej rolnictwo i napływa do fabryk. Skoro tylko nadejdzie przesilenie i fala ekonomiczna pocznie się cofać, będzie mieć i Japonia swój proletaryat i swoją kwestyę socyalną. Strejki nie należą już i dzisiaj do rzeczy w Japonii nieznanych.

Ks. Wł. Piątkiewicz.

Domniemane wiersze Skargi.

Za tem, że w Skardze, przy wielkim darze wymowy, istniało jakieś poetyczne uzdolnienie, świadczyćby mogło niejedno miejsce w jego kaznodziejskiej spuściźnie. Nie było jednak dotąd słychać, żeby Skarga pisał wiersze. Dopiero w ostatnich dniach, po wydaniu katalogu rękopisów bibl. Ossolińskich, zaczęły o jakichś nieznanych wierszach Skargi chodzić po świecie głuche wieści.

Znajduje się w bibliotece Ossolińskich rękopis (1137), 219 kart liczący, a pisany kilku rękami w drugiej połowie XVI. wieku. W rękopisie tym mieszczą się wiersze łacińskie, greckie i polskie, ustępy prozą i dyalogi, pisane w szkole Jezuitów w Wilnie. Tytuł rękopisu, wystosowany po grecku, brzmi: „Nasze wiersze i naszych uczniów i niektóre innych, jakoteż inne rapsodye z bożą łaską". Są to więc wiersze niektórych Jezuitów i niektórych uczniów wileńskiej szkoły.

Pojedyńcze utwory nie są zazwyczaj żadnym opatrzone podpisem i tylko pod pięciu ustępami znajdują się nazwiska: Petrus Kwia-

towski, David Bryndza, Joannes Sapieha, Valentinus Babski — na końcu ostatniej stronicy rękopisu umieszczony jest podpis: P. Skarga 18 Janu.

Ostatnia ta stronica rękopisu, mieszcząca pięć wierszyków polskich, pisana jest jedną ręką; ostatni tylko dwuwiersz pisany jest innym atramentem i po jakiejś przerwie czasu, może w kilka dni później, ale także tem samem pismem. W ten sposób choć nazwisko Skargi umieszczone jest tylko pod ostatnim dwuwierszem, zdawaćby się mogło, że należy i poprzednie, niepodpisane wiersze tej samej stronicy, jako tą samą pisane ręką, do Skargi odnieść. Z tych pięciu wierszyków trzy są enkomiami na herby, jeden o św. Krzysztofie i w końcu dwuwierszowy epigram bez tytułu. Cała ta stronica tak się przedstawia:

Wiersze polskie na herb Gembickich Nałęcz.

Po wszystkie wieki czasu szczęśliwego
Zażyiesz: gdy czcisz Męża tak wielkiego
Gembickich Nałęcz wszystko to zawiera
Mężność, cnotę i co okręt[1] zabiera.

Wiersz na herb miasta Cracova. Trzi wieże znaczy.

Trway w sławie póty, niedobyta wieży,
Dokąd żółw wszystkiego świata nie obieży:
Abo dokąd mrowka morza nie wypiie
Lub dokąd umarły znowu nie ożyie.

Wiersz na herb I. M. P. Firleiów nazwani Lewart.

Rozum, dzielność y męstwo z tym kleynotem chodzą
A za sobą wszystkich cznot zaczne trzody wodzą.
Siła ten dom iak przedtym, tak teraz swą głową
Dokazuje, trzymaiącz wszytko radą zdrową.
Dzielność iego urzędy wielkie ogłaszają,
Które w domu Firleiów[2] dziedzicznie mieszkaią
Tak z krewnym przyczynkiem dobra koronnego,
Że po nich wszyscy życzą następcze takiego.
Chceszli wiedzieć o męstwie, iakie zawzdy mieli?
Często sławne zwycięstwa z nieprzyiaciół wzięli.
Krótko powiem, co drudzy cząstką tylko maią,
Firleiom wszystko razem chętliwie przyznaią.

[1] Wyraz nieczytelny; może ma być: obręb.
[2] W oryginale błędnie: Firleiowie.

Wierszyk O. Ś. Krzysztofie Przypijac Nam. [1]

Na to na lewej ręcze Christusa piastuie
Krzistow, że twey w ratunek drugiey potrzebuje.
Piastuy że z nim Ciężar święty, a Bóg ciebie,
Oddaiąc wzaiem, będzie sąm piastował w niebie.

Gdzie Christusowa dziedzina, tam murem y paięczyna
A gdzie mur Christusów taie; mur się paięczyną staie.
P. Skarga 18 Janu.

Ten ostatni wierszyk, przedstawiający w pięknej formie tę myśl głęboką, że dla jednostki w społeczeństwach, gdzie Chrystus króluje, żadnych murów ani policyi nie trzeba, a gdzie Chrystusa niema, tam i mury nic nie pomogą, bardzoby odpowiadał duchowi Skargi. Poprzednie cztery wierszyki są bardzo słabe.

Przy orzeczeniu, czy Skarga jest rzeczywiście tych wierszy autorem, nasuwa się ta trudność, że pisane są one charakterem tak odmiennym od pisma Skargi, że niepodobna nawet przypuścić tożsamości ręki. Z tego względu można rozmaite przypuszczenia za i przeciw autorstwu stawiać; mogło może być i tak, że jakiś współczesny wielbiciel Skargi ulotne te wierszyki wielkiego kaznodziei, tu i ówdzie rozrzucone zebrał i do zbiorku jezuickich wierszy wpisał.

W tym ostatnim wypadku przypuścićby nawet trzeba, że tylko ostatni dwuwiersz, jako imieniem Skargi podpisany, do Skargi należy; cztery poprzednie byłyby własnością wpisującego. I to przypuszczenie wydaje się nam bardzo prawdopodobnem. Wierszyk ten jest wprawdzie krótki i jako taki nie ma szerszego znaczenia, ale za to jest piękny i głęboki i najcałkowiciej odpowiadający charakterowi tego, który całe życie nad umocnieniem dziedziny Chrystusowej w swojem społeczeństwie pracował, bo pragnął, by mur jego obronny nie stał się się pajęczyną.

Ks. J. Pawelski.

Polemika.

Otrzymujemy następujące pismo, o którem sąd zostawiamy czytelnikom *Przeglądu*. *Redakcya.*

W mało ciekawej ocenie naszego czasopisma *Lud*, napisanej przez ks. W. Zaborskiego w kwietniowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* (str. 121—130) czytamy między innemi:

---

[1] Oba wyrazy nieczytelne.

„W rok coś później p. Gorzycki redaktor *Ludu,* chcąc zatrzeć wątpliwości, jakie podniósł p. Strzelecki w tej sprawie (snochactwa), w krótkiej notatce popiera zdanie p. Franki. ‚Mojem zdaniem — pisze on — lewirat był ogólnym, tj. zawsze i wszędzie powtarzającym się śladem familii t. zw. gminnych'" i t. d. Notatka moja — muszę to wyraźnie i stanowczo zaznaczyć — nie ma na celu „zacierania wątpliwości, jakie podniósł p. Strzelecki"; nie jest bowiem wyrazem moich przekonań tendencyjnych, ale studyów ściśle umiejętnych, które nie od dzisiaj w kwestyi lewiratu poczyniłem. Ściślej wyraziłem moje w tym względzie zapatrywanie w rozprawie p. t.: „Nowa teorya socyologiczna prof. d-ra Muckego" (*Ateneum* 1897 i w osobnem odbiciu), ponadto niech mi wolno będzie *ad usum* Wielebnego recenzenta przytoczyć kilka wcale nietendencyjnych dzieł, na których pogląd mój opieram. Są one — obok ogólnie znanych dzieł socyologicznych — następujące: Prof. dr. Stade, *Geschichte des Volkes Israel,* Prof. dr. Leffman, *Geschichte des alten Indiens,* Mayer, *Geschichte des alten Aegyptens,* Homel, *Gesch. der Babylonier u. Assyrier* i inne tym podobne. Jeśli zaś Wielebny ks. Zaborski pisze, że snochactwo nie było powszechne — to godzę się z nim w zupełności, z tą różnicą, że nigdy inaczej nie twierdziłem, lecz sądzę: że snochactwo ma zawsze charakter lokalny, a ogólnie — zdaniem mojem — stanowi tylko lewirat w różnorodnych swych formach — pewien *sui generis* etap w rozwoju rodziny. Snochactwo — według badań d-ra Franki i przeżytku (a więc księże recenzencie „wyjątku"), przeze mnie w *Ludzie* zacytowanego — okazuje się specyalnie słowiańską formą lewiratu; czy jednak forma ta była nawet wśród Słowian powszechną — nie mogę dzisiaj jeszcze nawet w przybliżeniu orzekać; przeciwnie zdaje mi się, że wśród plemion prasłowiańskich istnieć musiały jeszcze inne — mniej jaskrawe formy lewiratu. Zarazem zechce Wielebny Ks. recenzent przyjąć do wiadomości, że ja jestem tylko sekretarzem Towarzystwa ludoznawczego, a redaktorem *Ludu* jest i był zawsze prof. dr. A. Kalina. Odpowiedź na inne zarzuty — osobiście do mnie się nie odnoszące — pozostawiam więc Szanownemu Redaktorowi naszego czasopisma i p. Witortowi, również osobiście i imiennie zaatakowanemu.

Dr. K. I. Gorzycki.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronica
Walka narodowościowa na kresach zachodnich. Przez *Wielkopolanina*	1
Dzisiejsze stanowisko medycyny. (Dok.). Przez *d-ra J. Zanietowskiego*	19
Z podróży do Brazylii. Plantacye kawowe w stanie S. Paulo. Przez *d-ra Józefa Siemiradzkiego*	33
Rokosz Zebrzydowskiego i Jezuici. (Dok.). Przez *ks. St. Załęskiego T. J.*	48 188
Jan Chrzciciel, tragedya Sudermanna. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	65
Dzisiejszy okultyzm naukowy. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.*	157
Malarz Czechowicz. Studyum na podstawie dzieł jego krakowskich. Przez *d-ra Jerzego Kieszkowskiego*	205 323
Strejk wobec etyki. (Dok.). Przez *ks. Wł. Piątkiewicza T. J.*	223
Lombroso w świetle nauki przyrodniczo-lekarskiej. Przez *d-ra J. Zanietowskiego*	309
Organizacya miłosierdzia. Przez *M.*	345
Z ostatnich kierunków literackich. Haraucourt, Huysmans, Coppée. Przez *Jana Zamorskiego*	361
Obyczaj na wsi rumuńskiej. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	379

Przegląd piśmiennictwa.

Stronica

Z piśmiennictwa krajowego:

Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła. Przez Romana Plenkiewicza. (Jana Kochanowskiego Dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe. T. IV. Część pierwsza). *(Antoni Mazanowski).* 88

Zagadnienia ogólne z teoryi nauk lekarskich. Władysław Biegański. *(Dr. J. Zanietowski).* 99

W stolicy Padyszacha. Wrażenia z podróży do Konstantynopola. Stanisław Bełza. *(Wiktor Wiecki T. J.)* 101

Księgi wiary. Poemat Napisał Jatrań. *(Ks. J. Pawelski T. J.)* . 102

Wyobrażenia i pojęcia. Napisał dr. Kazimierz Twardowski, profesor filozofii w uniwersytecie lwowskim. *(J. Nuckowski T. J.)* 251

Janów Biskupi czyli Podlaski. Z dawnych i współczesnych źródeł napisał P. I. K. Podlasiak. *(M.)* 256

Nurty. Ogniwa dramatyczne. Cezary Jellenta. *(Ks. J. Pawelski T. J.).* 260

Austryacki proces cywilny. Dr. Władysław Daisenberg. Zeszyt I. *(Dr. P.)* 406

Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego. Józef Weyssenhoff. *(T. W.)* 410

Róża złota. Fragment historyczny przez X. M. S. *(Ks. St. Załęski T. J.)* 413

Wyniki badań przyrodniczych, ogłoszonych w wydawnictwach Akademii Umiejętności z lat 1893—1896. III., IV. *(Roman Gutwiński)* 261 415

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Geschichte des deutschen Volkes seit dem XIII. Jahrhundert bis zum Ausgang des Mittelalters. Emil Michael S. J. I. Band. Deutschlands wirtschaftliche, gesellschaftliche und rechtliche Zustände während des XIII. Jahrhunderts. Zweite, unveränderte Auflage. *(Dr. K. Krotoski).* 104

The mighty Atom („Potężny atom"). Marie Corelli. I. vol. *(T. W.).* 113

Die Malereien der Sacramentscapellen in der Katakombe des hl. Callistus. Von Joseph Wilpert. Mit 17 Illustrationen. *(Ks. J. Bilczewski)* 267

Pierre le Grand. L'education. L'homme. L'oeuvre. D'après des documents nouveaux. K. Waliszewski. I. vol. *(T. W.).* . . 271

Luthers Lebensende. Eine kritische Untersuchung von Dr. Nikolaus Paulus. Erläuterungen und Ergänzungen zu Janssen's Geschichte des deutschen Volkes. Herausgegeben von Ludwig Pastor. I. Bd, 1 Heft. *(Herman Libiński T. J.).* 281

Stronica

Un apôtre de la charité aux XIX. siècle. L'abbé Didelot. *(X. T. J.)* 285

L'évangile et le temps présent, par l'abbé Elie Perrin. *(X. T. J.)* 267

Staatslexikon. Herausgegeben im Auftrage der Görres-Gesellschaft zur Pflege der Wissenschaft im katholischen Deutschland, durch Dr. Adolf Bruder, nach dessen Tode fortgesetzt durch Julius Bachem, Rechtsanwalt in Köln. I—V Bände. *(Ks. Wł. Piątkiewicz T. J.)* 419

Drohnenschlacht. Roman. II. Bände. Max Nordau. *(T. W.)* . 424

Grundriss der Stilistik, Poetik und Aesthetik für Schulen und zum Selbstunterricht von Gerhard Gietmann S. I. *(Max Kohlsdorfer T. J.)* 433

La tiare pontificale du VIII. au XVI. siècle. E. Müntz. *(Ks. J. K.)* 439

Z pism czasowych:

Kwartalnik „Lud". *(Ks. W. Zaborski T. J.)*. 121

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Wzrost radykalizmu w Szwajcaryi. — Niemieckie *Centrum*. — Studenci rzymscy. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 131

Listy z Anglii o ruchu religijnym. II. Przez *Edmunda Naganowskiego* 142

Nowa kongregacya dla misyj afrykańskich. Przez *ks. F. S.* . 153

Korespondencya Redakcyi: O zjawiskach w Nienadówce . . 156

MAJ.

Sprawy Kościoła: W sprawie samorządu Kościoła katolickiego na Węgrzech. II. Przez *Józefa Glinkiewicza* 286

Wyprawa Sven Hedin'a. Przez *M.* 296

Ze świata literatury. Sully Prudhomme o poezyi. — Dusza francuska. — Poprzednik romantyki. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* 301

Stronica

CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Wybory we Francyi. — Rozruchy we Włoszech. — Austrya a protestantyzm niemiecki. — Interwencya papieska w sprawie zawieszenia broni na Kubie. Przez *ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.* 439

Z dziedziny ekonomiczno-socyalnej. O najnowszem ustawodawstwie przemysłowem w Wiktoryi. — Położenie robotników i robotnic w głównych centrach konfekcyi niemieckiej. — Strejki w przemyśle budowlanym w Niemczech z wiosną 1898 r. — „Kwestya socyalna“ w Japonii. Przez *ks. Wł. Piątkiewicza T. J.* 454

Domniemane wiersze Skargi. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* . . 464

Polemika. 466

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.